

Pierwszy polski serial literacki

 EWA MADEYSKA

RODZINA O.

SEZON ① 1968/1969



EWA MADEYSKA

Rodzina O.

Sezon I
1968/1969

znak *litera*
nova

Kraków 2017

Markowi, z miłością i wdzięcznością

PIERWSZY
22 marca 1968
(piątek)

1.

Paweł Opolski nienawidził zapachu kiełbasy i swędzenia stóp.

W pociągu relacji Warszawa – Bolegoszcz czuł jedno i drugie.

Na drewnianej ławie, w przedziale klasy drugiej, naprzeciwko Pawła siedziała kobieta. Z synem. Od początku podróży matka i jej smarkacz wcinali kiełbasę.

Opolski chciał zatkać nos albo wyjść z przedziału, lecz aby stać na korytarzu, potrzebował stóp, które nie swędzą.

Swędziały.

Zwrócił głowę w stronę okna. Wisiała pod nim niedomykająca się popielniczka pełna niedopałków. Paweł głęboko wciągnął powietrze. Pomyślał, że ludzie uzależnieni od wąchania czterochlorku etylu w ramach odwyku powinni jeździć pociągami. Po zapachowym miszmaszu potów, kiełbachy, potu, brudu i moczu nie wciągnęliby nosem nawet najlepszego butaprenu. Odjazd murowany.

Opolski tkwił między śpiącą zakonnica a właścicielem torby z gęsią. Zakonnica chrapała, gęś gęgała, właściciel gęsi milczał. Gapił się na zastłonki, które falowały nad gorącym grzejnikiem. Co jakiś czas facet poprawiał na głowie czapkę z kożucha. Poza tym ani drgnął. Wyglądał jak Budda. Budda w czapie, spod której strumieniami sływał pot. „Całkiem jak ze mnie przed egzaminem z gospodarczego”, przypomniał sobie Paweł.

Stęknął. Bolał go tyłek. I kręgosłup. „Kręgosłup?”, pomyślał. „Przecież nie mam kręgosłupa”.

Głowa zakonnicy opadła na ramię Opolskiego. Jej prawa dłoń, opleciona różańcem, osunęła się na ławę. Lewą wciąż trzymała pod szkaplerzem. Z konsekrowanych ust spływała strużka śliny. Paweł po raz pierwszy ujrzał na własne oczy to, o czym w dzieciństwie wciąż słyszał od babki Heleny. „Katolickie piekło”. Język pokryty mlecznym osadem, brak lewej górnej czwórki, trzy srebrne zęby, sześć amalgamatów. „Piekło! Pełne czarnych ateistów i czerwonych komunistów! Ciebie też pochłonie”, babka straszyla Pawła, kiedy w niedzielne poranki oznajmiał ze złością, że nie pójdzie na łańską mszę świętą. Nudził się na niej bardziej niż przy książkach dziada Kraszewskiego.

Za antykatolicką opozycję dostawał od babki w lewe ucho, za Józefa Ignacego w prawe. I dreptał do kościoła. A po mszy, w ramach pokuty, czytał *Starą baśń*.

Było, minęło.

Paweł przebiegał palcami prawej dłoni po udzie.

„W tym miejscu nie tak”. Powtórzył kilka ostatnich taktów *Tańca rycerzy Prokofiewa*.

Bez sensu. Powinien naprawdę wrócić do pianina, a nie przebierać paluchami w powietrzu. Ostatni koncert dał w przeddzień wyjazdu na studia. Cztery i pół roku temu. I to nie byle gdzie, bo w lubelskiej filharmonii. W Lublinie bowiem, w szkole muzycznej drugiego stopnia, Paweł złożył eksternistycznie egzaminy. Wszystkie zdał tak dobrze, że dyrektor filharmonii wieszczył mu przyszłość w konkursach chopinowskich. Opolski wybrał jednak prawo. „Rodzinna tradycja”, wyjaśnił zdumionemu dyrektorowi.

Poruszył stopami. Wciąż swędziały. Lepiej byłoby zzuć buty, ściągnąć skarpety, podrapać się normalnie, a na koniec posypać podeszwy talkiem. „Ale jakoś wstyd”, myślał Opolski.

– Proszę pana. – Chłopiec z naprzeciwka przełknął kawałek kiełbasy. Machał nogami. Pociągał nosem. I nie spuszczał wzroku z Pawła. – Co pan taki wyprostowany?

„A co ty taki ciekawy?”, chciał zapytać Opolski, ale spojrzał tylko spode łba na szczeniaka.

Biały kołnierzyk wokół chudej szyi. Szczupłe ręce w za szerokich rękawach. Patykowate kostki i łydki w wełnianych spodniach wyprasowanych na kant. Włosy jak u aniołka – blond loki do ramion.

Ile mógł mieć lat? Dziewięć? Dziesięć? Jedenaście? Opolski nie znał się na dzieciach. Nie zamierzał się na nich poznawać ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości.

Mały tymczasem pogryzał kiełbachę. Nie spuszczał wzroku z Pawła.

„Kabanos”, pomyślał Opolski.

Matka Kabanosa również zerknęła na Pawła. Żarłoczniej niż syn. Od czasu do czasu podbijała dłonią utapirowany hełm w kolorze słoneczników. Po każdym kęsie kiełbasy szminkowała usta na perłoworóżowo.

„Jakby Dzień Kobiet wciąż trwał”.

Dzień Kobiet. Paweł nie tak wyobrażał sobie to święto. Policzył. Od ósmego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku minęło dokładnie czternaście dni.

Dokładnie dwa tygodnie temu, kiedy wbiegał z dwoma bukietami goździków na trzecie piętro w kamienicy na Radnej, spotkał schodzącą z góry matkę Hanki.

– Nie ma jej w domu. Poleciała gdzieś. – Krystyna Górka ominęła Pawła.

Miała czterdzieści pięć lat. Wyglądała na dwadzieścia więcej. Z nieodłączną laseczką w dłoni. W płaszczu przewiązanym w pasie. Z grubym szalem wokół szyi. W berecie na głowie (nie zdejmowała go nawet latem). Z płócienną torbą przewieszoną przez ramię.

– Ja nie tylko do Hanki. – Opolski spojrzał na jeden z bukietów. Na ten, który zamierzał wręczyć Hance. – Dziś przecież święto kobiet...

– Innych kobiet oprócz Hanki w domu nie ma.

Paweł zgłupiał.

– A pani?

– Ja? Ja idę na zakupy.

– Może pomogę?

– Nie trzeba.

– Więc jak tylko pani wróci, to...

– Jak tylko wrócę? – Matka Hanki przerwała Pawłowi, zatrzymując się w pół kroku, w pół słowa, w pół myśli. – Jak tylko

wrócę... – powtórzyła. – Słuchaj, chłopcze, wyszłam z domu w czterdziestym pierwszym i dotąd nie wróciłam.

Paweł opuścił głowę. I rękę z kwiatami.

– Gdzie jest Hanka? Niech mi pani powie – poprosił.

– Musi mi pan powiedzieć. Co pan taki wyprostowany? – Smarkacz z naprzeciwna wciąż gapił się na Pawła.

Opolski wzruszył ramionami.

– Zdzisio będzie pana męczył, dopóki nie usłyszy odpowiedzi. – Matka Kabanosa rozłożyła ręce i przewróciła oczami.

„Mały, cholera, Książę”, pomyślał Paweł.

– Połknąłem widelec – odpowiedział. – Jakbym się zgarbił, toby wylazł pod wątrobą.

Małemu Księciu oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

„A mogłem wybrać pedagogikę zamiast prawa. Dzieciaki łykną każdy kit”.

– Duży ten widelec? – zapytał Zdzisio.

Paweł wyciągnął rękę. I pokazał. Stąd dotąd. Od ramienia do nadgarstka.

– Głupoty pan dziecku opowiada. Spróbuje pan lepiej. – Matka Kabanosa w poczuciu wspólnoty ponad kolejowymi przedziałami podsunęła Pawłowi pod nos kiełbasę, chyba lekko podsuszaną albo półsurową. Zrobiła to już po raz czwarty, a może nawet piąty. Nikomu więcej nie zaproponowała poczęstunku.

– Nie jestem głodny – podziękował Paweł.

– Od czterdziestego piątego, proszę pana, ludzie jedzą nie dlatego, że są głodni. Jedzą, chociaż nie są głodni. Jedzą, żeby ciągle czuć sytość. Żeby nigdy nie dopuścić głodu tutaj. – Położyła rękę na żołądku. Spojrzała kątem oka w swoje odbicie w szybie. Strzepnęła z ust okruch chleba. – Nigdy go nie dopuścić. – Przytuliła do siebie dwie siatki wypchane świeżą wieprzowiną. – Prawda, Zdzisio?

Chłopak gapił się na ptaka Buddy.

– Chcę mieć gęś. Kup mi, mama, gęś.

– Gęś?

Gęś, która chyba usłyszała, że o niej mowa, dziabnęła Pawła w tydkę. „Dlaczego mnie? To nie ja ciebie chcę, tylko Mały Książę!”

W pierwszym odruchu chciał zdzielić ptaka po łbie. Opanował się. Przez wzgląd na właściciela gęsi. Wciąż siedział wpatrzony w bure szmaty udające zasłony. Nic nie mówił. Niczego nie chciał. O nic nie pytał. Nikim się nie interesował. Nie częstował Pawła gęsim piórem, dziobem ani jajem. Nie pytał, kto, skąd i dokąd jedzie. Pasażer idealny.

– Tak, mama, chcę gęś. – Mały Książę patrzył na ptaka w torbie Buddy jak na jedyną w kosmosie różę. – Właśnie gęś.

„Ja też chcę gęś”, pomyślał Opolski. „Ale nie taką”. I razem z zakonnica na ramieniu oparł się o ścianę przedziału. Przymknął oczy. „Żeby tylko wiedział...”

– Wiem, co o mnie myślisz – powiedziała Hanka Górską, kiedy wreszcie cudem znalazł ją pośród krzyczącej gawiedzi między Królewską a Krakowskim Przedmieściem.

Hania.

Hanula.

Haneczka.

Tłum wylał się na ulicę. Falował w pobliżu kina Skarb.

Paweł zobaczył dziewczynę najpierw z daleka. Zaciskała pięści na transparencie. Nie mógł rozczytać hasła. A może nie chciał? Swoje nosił w sobie. Od wielu tygodni to samo. Maszerował szlakiem od głowy do serca i od serca do głowy z transparentem „Kocham Cię. Wyjdź za mnie”.

Przebił się przez tłum. Dotarł do Górskiej.

– Hania, chodź.

– Przecież idę.

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Do ciebie. Mieliśmy dziś pisać. Ja o *Zwierciadle saskim*, ty o *Zwierciadle Reja*. Pamiętasz?

Nie pamiętała.

*

Ponieważ zapomniała. Wszystko zapomniała. Na przykład o ich pierwszym spotkaniu. W bibliotece uniwersyteckiej. Ponad cztery lata

temu. W dżdżyste listopadowe popołudnie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

– Jak to nie ma dla mnie książki? Zamówiłem prawo rzymskie ponad dwa tygodnie temu!

Opolski postanowił tupnąć, huknąć i fuknąć na starego bibliotekarza, ale dostrzegł pod mankietem koszuli obozowy tatuaż. Trzy ostatnie cyfry. Sześć. Jeden. Jeden.

Zrezygnował z awantury. Nie będzie przecież walczył z ofiarą wojny. Trudno. Zaliczy rzymskie w innym terminie. Pożyczy podręcznik od kogoś, kto dorwał egzemplarz z biblioteki wydziałowej, robi notatki, wkuje i na pewno nie zapomni, gdyż nigdy niczego nie zapominał.

– Przyjdę innym razem – powiedział tylko.

Stary bibliotekarz rozciągnął usta w uśmiechu, a ręce w geście bezradności.

Wtedy pojawiła się ona.

– Panie Zygmuncie, a na półce z egzemplarzami dla pracowników?

Pan Zygmunt kiwnął głową i zniknął w labiryncie biblioteki. Po chwili przed Pawłem leżała książka, której potrzebował.

– Moja matka była tutaj kierowniczką. Przez piętnaście lat – wyjaśniła dziewczyna. – Wychowałam się między Heideggerem a Heinem.

Paweł odgarnął włosy z czoła.

– A ty? – zapytała dziewczyna.

„A ja między szpitalem dla wariatów a domem wariatów”, chciał wypalić, ale się powstrzymał. Uśmiechnął się tylko do nieznajomej.

– Hanka. Jestem Hanka.

Była inna niż te, które spotkał dotychczas. Te roztrzepane i rozchichotane. Te robiące się na. Na Sagankę. Na Bardotkę. Na Rakkę. Na Dziedziczkę. Ona nie. Rozpuszczone włosy z naturalnie siwym pasmem. Lewa pierś wielkości pomarańczy. (Paweł jadł pomarańcze pięć razy w życiu. Dwa razy marokańskie. Raz hiszpańskie. Dwa razy jugosłowiańskie. Kobięcych piersi wcześniej dotykał tylko raz). Prawa chyba mniejsza. Gapić się nie chciał. Twarz bez makijażu. Błyszczący czubek perkatego nosa. Okulary w rogowej oprawie. Rzęsy bez tuszu. Wyraźna linia brwi.

– A ty jak masz na imię?

Odpowiedział. Później pozwolił się uwieść.

Ona zaś rozmyślała go w sobie oglądając literacką. Zaskakiwała Opolskiego. Milán Füst? Miguel Ángel Asturias? Jean Giono? Pär Lagerkvist? Simone de Beauvoir? Kim, na Boga, byli ci mężczyźni? „Simone de Beauvoir to kobieta”, wzdychała Hanka.

Czuł się przy niej prowincjonalnym głąbem.

– Co ty we mnie widzisz? – pytał czasem Hankę podczas rzadkich spotkań w mieszkaniu na Królewskiej.

– To, czego inne w tobie nie widzą – odpowiadała Hanka i kładła dłoń na podbrzuszu Pawła. – Nie gadaj tyle. Matka zaraz wróci – dodawała.

Z piekarni, mleczarni, warzywniaka, ze spółdzielni lekarskiej czy z apteki. Mieli szczęście, jeśli udało im się upolować w mieszkaniu Hanki godzinę bez starej Górskiej. Czasem robili to, kiedy kręciła się w sąsiednim pokoju. I zawsze przy uchylonych drzwiach. Matka Hanki natychmiast otwierała zamknięte drzwi. Przy zamkniętych dostawała ataków paniki. Wpadała w histerię. Chowiała twarz w drżących rękach i nieskładnie mówiła o piwnicach, strychach i skrzyniach. Paweł gubił się w strzępach tragedii. W okrawkach wspomnień.

Ukrywał się więc z Hanką na podłodze, między regałem z książkami a stojącą lampą z nylonowym abażurem. Ostatni raz kochali się siódmego marca. Wyjątkowo na klatce schodowej. Przy wejściu na strych. Tam, gdzie nie sięgało wścibskie oko pani Cwojdy, sąsiadki Górskich z naprzeciwka. Paweł zaciskał usta, Hanka zaciskała pięści. Żeby nie krzyczeć.

Teraz Paweł patrzył na te same pięści zaciśnięte na transparencie.

I na Hankę, która krzyczała: „Robotnicy z nami! Robotnicy z nami. Robotnicy z nami!”

Tłum zafalował.

– No chodź – powtórzył Paweł. Chwycił dłoń dziewczyny. Rozgrzaną dłoń. – Masz wysoką gorączkę. – Musnął ustami czoło Hanki.

– Przestań! – Dziewczyna wyrwała się Pawłowi.

„Robotnicy z nami! Robotnicy z nami. Robotnicy z nami!”

„Żydzi do Izraela! Żydzi do Izraela! Żydzi do Izraela!”, zagrzmiało z innej strony.

Paweł od razu by pojechał. Pojechałby do Izraela, gdyby był Żydem, gdyby mu tylko dali paszport. Naprawdę. Zabrałby ze sobą Hankę. Zbudowałby dla niej kibuc. Założyłby sad oliwny. Studiowałby Torę. Nosiłby kipę. I wylewał łzy pod Ścianą Płaczu. Gdyby choć w jednej dwudziestej był Żydem. Albo Hanka Żydówką. Ale ani on, ani ona nie mieli pochodzenia.

– Chodź. – Szarpnął Hankę za ramię.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Z „zostaw-mnie-wreszcie-w-spokoju” w oczach.

Próbował przypomnieć sobie, w którym momencie między nim a Hanką pojawił się historyczny bałagan. Czy wtedy, kiedy on zdawał poprawkę z prawa konstytucyjnego i przez cały miesiąc nie znalazł chwili nawet na krótką randkę? Czy też wtedy, gdy ona uczyła się do egzaminu z literatury międzywojennej, lecz w połowie jej przygotowań wybuchła izraelsko-palestyńska wojna sześciodniowa. Tak, to właśnie wtedy. W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego Hanka zaczęła spotykać się z ludźmi, którzy mieli poglądy. Paweł znał ich nazwiska. Wiedział, co robią. Wiedział, gdzie studiują. Umiałby znaleźć Hankę w ich kwaterach. Gdyby tylko chciał.

Nie chciał.

Dlaczego nie chciał?

Ojciec na pewno zapytałby o to Pawła. Do skutku szukałby odpowiedzi. W odpowiedzi zobaczyłby diagnozę. W diagnozie znalazłby przyczynę. W przyczynie usprawiedliwienie. I na pewno wiedziałby co dalej. Ojciec wszystko wiedział. Być może miłość Pawła do Hanki zaliczyłby do przypadków zespołu fantomatycznego.

„Ojciec?”

A cóż to za autorytet? Zwłaszcza w sprawach miłości. Matka przed laty wyprowadziła się z jego łóżka, ze wspólnych spraw, z wieczornych rozmów, z porannych kaw, z sobotnio-niedzielných wyjazdów na działkę do Łączek.

– Proszę! – Paweł krzyknął w stronę Hanki oddalającej się z demonstrantami. – Wracajmy do domu! Twoja matka...

Hanka odplynęła z falą demonstrantów.

„Robotnicy z nami! Robotnicy z nami. Robotnicy z nami!”

„Głupia gęś! Głupia gęś! Głupia gęś!”, zdążył jeszcze krzyknąć Paweł, a później –

– Gęś, gęś. Bo ty chcesz, Zdzisiu, gęś. A później? Co z nią zrobisz? Masz już psa, dwa kanarki i rybki w akwarium. Mało ci, Zdzisiu?

– Z psa, kanarków i rybek w akwarium nie zrobię pasztetu. Chcę gęś.

„Za to z politykowania Hanki zrobił się pasztet”, pomyślał Paweł, przecierając oczy. Chyba zasnął, nie był pewien. Spokojny sen stał się w jego życiu towarem luksusowym jak dzinsy w dewizowych sklepach PeKaO.

– Coś ty się na gęś uparł? – Matka Kabanosa nie mogła zrozumieć fanaberii syna.

– Jakbyśmy mieli gęś, tobyśmy do tego twojego głupiego Matuszka do Podskierniewic nie jeździli po świninę.

– Jeszcze słowo, Zdzisiu, a...

– Obetniesz mi włosy. – Mały Książę wydał usta.

– Żebyś wiedział, że obetnę!

– Se tnij. – Kabanos wzruszył ramionami.

Jego matka zwiotczała, zamilkła. W torbach ze świeżym mięsem i kiełbasą nie miała innych argumentów. Spojrzała z zawiścią na śpiącą zakonnicę. Takiej to dobrze. Cisza i spokój za grubymi murami. Ślub z nieistniejącym (choć kto wie?) Oblubieńcem (nie trzeba dzielić z nim łoża). Dwa metry kwadratowe klasztornej celi na własność (bez chrapiącego obok jak parowóz zniechęca). Dwie spowiedzi w miesiącu (człowiek pewnie po nich lekki i wolny jak po rozwodzie). Dwa habity na zmianę: świąteczny i codzienny (żadnych kłopotów ze strojem). Ta śmieszna konstrukcja na głowie – jak miniatura trójmasztowca (i święty spokój z wizytami u pani Reni, która wszystkim babom włosy ścinała i układała zawsze tak samo). O! Kobiecość i macierzyństwo były trudniejsze niż posługa w klasztornej kuchni. Tego jednak matka Kabanosa nie wiedziała, gdy rozkładała nogi najpierw przed Zdzisiem pierwszym, w krzakach nad Bolą, a następnie przy Zdzisiu drugim, kiedy go z wrzaskiem rodziła pod bolegoską izbą przyjąć. Na porodówkę nie zdążyła.

– Tylko stoi i stoi. Wszystko stoi i ani trochę do przodu – powiedziała matka Zdzisia ze złością w głosie.

Miała rację.

Pociąg nie ruszył z miejsca od czterdziestu minut.

„Całkiem jak ja, kiedy Hanka szła z nimi”, pomyślał Paweł. „Całkiem jak ja. Bez lokomotywy, bez pary, bez drogowskazu. Z wewnętrznym dróżnikiem, który tylko stawia szlabany i na nic nie ma wpływu. Na nic”.

W głowie Pawła zabrzmiały słowa wiersza, który na początku lat pięćdziesiątych klepał na akademiach w podstawówce, zawsze późną jesienią, zawsze w czarnych spodniach, w białej koszuli z aksamitką pod szyją:

Pędzi pociąg historii,
błyska stulecie – semafor.
Rewolucji nie trzeba glorii,
nie potrzeba szumnych metafor.
Potrzebny jest maszynista,
którym jest On:
towarzysz, wódz, komunista.
Stalin – słowo jak dzwon.

– Słowo jak dzwon – powtórzył.

Głowa zakonnicy zsunęła się z ramienia Pawła.

Świątobliwa ocknęła się. Ziewnęła. Zrobiła znak krzyża. Dłonią przetarła twarz. Skubnęła się w policzki.

– Mięso w piątek to grzech – powiedziała, patrząc zamglonym jeszcze wzrokiem na kielbasiane obżarstwo.

– Dziś czwartek – Paweł poprawił zakonnice.

– Może byś chciał, młody człowieku, żeby czwartek – zakonnica mruknęła spod ożaglowania na głowie. – Może byś chciał, żeby nawet środa, ale dziś piątek. Zresztą mięso we środę i we czwartek też grzech.

– Siostra tak mówi, bo sama by pewnie zjadła, co? – Matka Kabanosa odgryzła kawał kielbasy.

Zakonnica już miała zacytować werset o rzucaniu pereł przed wieprze, lecz zrezygnowała. Nie bardzo wiedziała, przed jakie wieprze. Czy przed te ludzkie, co siedziały przed nią, czy przed te zakłute w kielbasy, których kręcone ogony wystawały z torby matki

Kabanosa. Przez chwilę medytowała o marności świńskiego życia. I matki Kabanosa. Zastanawiała się nad tym, czy bydłota mają duszę. I matka Kabanosa. Wreszcie z czeluści szkaplerza wyciągnęła kawałek waty. Rozerwała go na pół i wepchnęła w uszy. Sięgnęła po brewiarz i zatoneła w modlitwach.

Właściciel gęsi wyjął z kieszeni bibułę i tytoń.

Skręcił, poślinił i zapalił.

Przedział zniknął w tytoniowym dymie.

Paweł poczuł, że musi zdjąć buty. I podrapać stopy. Natychmiast.

Zakonnica zaniosała się kaszlem.

Wynurzyła się z brewiarza.

– Na świętą Genowefę! – krzyknęła. – Pan przestanie! Zaraz się uduszę! Mam astmę i polipy w nosie!

Matka Małego Księcia najpierw ucieszyła się, że świątobliwa też człowiek z dolegliwościami, a później trzepnęła syna po gębie. Zdzisio wdychał tytoniowy dym jak pensjonariusz kurortu sole zdrowotne.

– Do jasnej ciasnej, dziecko mi pan uwędzi! Czy mój syn wygląda panu jak schab?

Właściciel gęsi nie poruszył się.

Poruszyła się za to gęś.

Poruszył się również pociąg.

Zakonnica wyrwała Buddzie papierosa. Rzuciła go na podłogę. Zdusiła butem. Powoływała się pod nosem na Wszystkich Świętych Pańskich. Brała ich na świadków przedwczesnej śmierci. Czyniła ich rzecznikami przed niebieskim trybunałem. Trójmasztowiec na jej głowie falował jak żagiel na okręcie hiszpańskich misjonarzy.

Właściciel gęsi nie zareagował.

Siedział i patrzył w okno.

Zdzisio przestał jeść. Jego matka przestała mówić. Zakonnica wyszła na korytarz zaczerpnąć świeżego powietrza. Wzięła ze sobą czarną torbę. Czyżby nie zamierzała wrócić do przedziału?

Budda w czapce z kożucha znowu zapadł w letarg.

Matka Kabanosa postanowiła uchylić okno, żeby wywietrzyć w przedziale. Ale okno się nie otwierało. Rozsunęła więc drzwi.

Z tytoniowym dymem i z kiełbasianą cuszką zmieszał się smród z pobliskiego kibla.

– Pan student? – Kobieta usiadła i z ulgą zrzuciła z nóg buty. Nogi położyła tuż obok prawego uda Pawła.

Opolski kątem oka zauważył paznokcie jej stóp z łuszczącym się wiśniowym lakierem. Wędrujące po pończosze oczko. Owłosione łydki. Szczupłe. Na lewym kolanie siniak. Kolano gładkie. Zgrabne.

Paweł wziął przykład z Buddy. Zaczął gapić się w okno. Nie chciał oglądać nóg obcej kobiety. Chciał patrzeć na nogi Hanki. Co z tego, że były dużo brzydsze niż matki Kabanosa? Paweł kochał Hankę nie za nogi. Chociaż za nogi również. Za uciekającymi tramwajami biegały szybciej niż Pawłowe, a na Zawrat i Świnicę wędrowały bez zadyszki i bez słowa narzekania. Nie, nogi nie miały najmniejszego znaczenia.

– Odpowie mi pan? – Współpasażerka zahaczyła stopą o łokieć Pawła. Podciągnęła lekko spódnicę.

– Przepraszam?

– Pytałam, czy pan student.

Paweł dojrzał za oknem mury otaczające szpital w Niedorośli. „Ojciec pewnie znowu w pracy”, przemknęło mu przez głowę. „Powinni mnie tam zamknąć. Na oddziale dla kobiet. Miałbym spokój i codzienne sesje z tatusiem”.

– Kiedy pani pytała?

– Przed chwilą.

– Po co? – zapytał Paweł matkę Kabanosa. – To przesłuchanie?

– To nie przesłuchanie, tylko ustalanie faktów – docent Mieczysława Hałas pouczyła Pawła. Specjalistka od prawa cywilnego i od stosunków międzyludzkich.

Dwudziestego marca Paweł stawiał się na jej wezwanie. Nie w gabinecie, lecz w sali konferencyjnej. Ze ścian tego pomieszczenia patrzyli na Opolskiego Marks, Engels, Lenin, Gomułka i gołąb z parapetu. Jedyny, który chciał ustalić, gdzie jest żarcie, a nie prawda.

Docent Hałas siedziała przy długim stole. Ze zmarszczonymi brwiami. Z głową utkwioną w papierach. Oficjalna jak akademia ku czci. Sztywna jak mowa okolicznościowa na cześć.

Przed sobą ustawiła szklanę zimnej herbaty. I Pawła.

– Siadajcie, Opolski – powiedziała z wciąż opuszczoną głową.

Paweł nie poruszył się.

– Krzesło tutaj – wskazała ręką.

Paweł wciąż stał.

Tak było wygodniej. Ból pleców nadal dotkliwie dawał znać o sobie. Zwłaszcza wtedy, kiedy siedział lub leżał na lewym boku. To znaczy próbował, ale ani siedzieć, ani leżeć nie mógł. Myśleć również, chociaż w głowę pałką akurat nie dostał. W ogóle nie powinien dostać. Za co? Że szukał dziewczyny? Że przechodził przypadkiem Krakowskim Przedmieściem? Że nigdy nie brał udziału w nielegalnych zgromadzeniach? Że nie krzyczał ze studentami przeciw władzy? Że władzę miał w takim poważaniu, w jakim ona miała jego? Chociaż tego akurat nie był do końca pewien.

– Krzesło, powiedziałam. – Docent Hałas patrzyła na Opolskiego z miną kata.

Pod koniec lutego zdawał u niej egzamin.

Przypomniał sobie uśmiech wykładowczyni sprzed trzech i pół tygodnia. Jej ręce pokryte czerwoną łuską. Czarny pas do pończoch. I obietnicę, że dostanie wpis do indeksu wraz z oceną. Dostateczną za wypowiedź ustną (docent Hałas rozchyliła nogi, zamerdała językiem), dobrą za wypowiedź ustną i pisemną (zamerdała językiem jeszcze intensywniej, chwyciła mocno dłoń Pawła i włożyła między swoje nogi).

Pięć minut później Opolski wyszedł z gabinetu docent Hałas z oceną w indeksie.

„Bardzo dobry”.

Ale to zdarzyło się dawno. Dokładnie dwadzieścia cztery dni temu.

Przedwczoraj, między Marksem, Engelsem, Leninem, Gomułką a gołębiem, Paweł usłyszał od docent Hałas, że jest elementem reakcyjnym i należy go niezwłocznie wydalić z uczelni. Bez prawa do powrotu. Bez prawa do zatrudnienia w państwowych instytucjach oraz urzędach.

– I co mam z wami zrobić, Opolski? – Docent Hałas zmarszczyła nos. Potarła jego czubek. Kichnęła.

– Tam, na Krakowskim, byłem przypadkiem. – Paweł próbował się bronić. – Chciałbym wyjaśnić, że...

Że co?

Że zamknięte drzwi na uczelnię zamykają mu drogę do przyszłości. Do doktoratu. Do pracy naukowej. Do zajęć ze studentami. Przecież już dawno zaplanował karierę zawodową. Zamierzał przeglądać się w *Zwierciadle saskim*, a nie w lustrze rzeczywistości. Zamierzał ukryć się w średniowiecznych inkunabułach, w pismach i dokumentach. I nie wychodzić z nich nigdy do obron, oskarżeń, śledztw, postępowań dowodowych, uzasadnień, a przede wszystkim do sądu, którego bał się bardziej niż katalogu grzechów babki Heleny.

Chciałby również wyjaśnić, że zamknięte drzwi na uczelnię otwierają mu drogę do przeszłości. Do powrotu do Bolegoszczy. Do rodzinnego domu przy Rewolucji Październikowej 26. Do pokoju dzielonego z bratem. Do melancholijnej matki. Do zapracowanego ojca. Do pobożnej babki.

– W teatrze też byliście, Opolski, przypadkiem? – Docent Hałas wrzuciła do zimnej herbaty trzy łyżeczki cukru. Zamieszała. Łyżeczka zadzwoniła jak dzwon w kaplicy na cmentarzu. – Więc?

Więc Paweł nie chodził do teatru. Był dwa razy w Narodowym (ale na czym?), raz polazł z Hanką, a raczej za Hanką do opery (ale na co?). Obudziła go tuż przed zakończeniem. Z zapłakaną twarzą. Miał nadzieję, że przez wzruszające libretto, a nie przez jego zachowanie.

– W teatrze? – zastanowił się głośno.

– Na sztuce, o której wiadomo. – Docent Hałas oblizwała łyżeczkę.

Opolski przypomniał sobie słowa ojca: „Zawsze mów prawdę. I tak ci nie uwierzą”.

– W teatrze nie byłem w ogóle – odpowiedział.

– I może, Opolski, w ogóle nie znacie Górskiej Hanny?

– Tylko trochę.

– I?

– Pomagałem jej w łacinie.

Docent Hałas parsknęła śmiechem.

– W łacinie. Klasyczny unik. – Uspokoila się dopiero po dłuższej chwili. – Przestajecie pełnić, Opolski, obowiązki studenta. I nie

dlatego, że byliście tam, gdzie jak mówicie, nie byliście.

– Ale? – Paweł poczuł, że chciałby jak ten gołąb z parapetu. Zrobić swoje na szybę i odlecieć.

– Ale dlatego, że porządny z was chłopak. Nikt nigdy nie potraktował mnie podczas egzaminu jak wy. Pamiętacie?

Pamiętał.

Zamiast z zamkniętymi oczami zaspokoić wykładowczynię, podszedł do niej, z szacunkiem zasłonił jej nogi spódnicą, skłonił się i pocałował dłoń, wyznając, że tak piękne kobiety jak docent Hałas nie zasługują na podobne traktowanie.

– Właśnie – podsumowała wykładowczyni. Ściszyła głos. – Więc tak. Oficjalnie zaczną wyrzucać już wkrótce. Winnych i podejrzanych będą wydalać z wilczym biletem. Bez prawa do normalnego życia i do normalnej pracy. Wy możecie wyjść z uczelni jedynie z dwóją z gospodarczego. Załatwię, co trzeba z kim trzeba, jeśli zechcecie. Napiszcie tylko podanie o urlop dziekański. Kiedy wszystko się uspokoi, może już jesienią, wróćcie. Znowu będzie z was, Opolski, student.

– Student, student – Paweł odpowiedział wreszcie matce Kabanosa. Znowu próbował włożyć dłoń w skarpetę i się podrapać. Beznadziejna sprawa.

– Do końca pan jedzie? – zapytała kobieta zachęcona energiczną reakcją Opolskiego.

– Do początku. – Paweł postanowił, że wytrzyma.

– Słucham? – Matka Małego Księcia zmrużyła oczy. – Do jakiego początku?

– Nie wiem. Ale o co pani chodzi?

– O matko! Kiełbasy może pan teraz spróbuje? – Kobieta w geście pojednania po raz kolejny podsunęła Opolskiemu pod nos kawał padliny.

– Niech mnie pani wreszcie zostawi w spokoju.

– Ja do pana z dobrym słowem i z kiełbasą na dłoni, a pan do mnie warczy jak do psa. – Matka Zdzisia odwróciła się od Pawła. W stronę okna. Za którym przedpola Bolegoszczy. Za którym przedmieścia. Już za dziesięć minut pojawi się rzeka i stacja Bolegoszcz.

„To przecież cała wieczność!”, Opolski poddał się. Zzuł wiązane pantofle, ściągnął skarpety i począł szorować dłonią lewą stopę. Wyjął z podręcznej torby talk. W przedziale zawirowały białe drobiny.

– Obrzydlistwo – szepnęła kobieta.

Paweł wzruszył ramionami.

W drzwiach przedziału pojawił się konduktor.

– Sprawdzane było?

Wszyscy skinęli głowami. Oprócz Buddy.

Konduktor trącił go w ramię.

Mężczyzna dopiero teraz się poruszył. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza wymięty dokument.

– Głuchoniemy kombatant?! – krzyknął w jego stronę konduktor. – A ptactwo to opiekun kombatanta?! – Zaśmiał się zadowolony z dowcipu.

Paweł włożył skarpety. Wzuł buty. Wiedział, że swędzenie wróci, zanim pociąg wtoczy się na stację.

– Pan na targ w Bolegoszczy?! – konduktor wrzasnął jeszcze głośniejsze, zwracając kombatantowi papier.

Budda nie odpowiedział.

Za to gęś opiekunka podskoczyła. Jak podskoczyła, to wyskoczyła z torby właściciela. Przeszła między nogami konduktora, zostawiając zielonorzadki ślad na podłodze.

Z korytarza rozległo się: „*Apaga Satanas! Demon! Apaga!*”.

Paweł wyrzwał na zewnątrz.

Ptaka kotłował się w habicie zakonniczy.

W ślad za ptakiem w ciemność habitu wskoczył głuchoniemy kombatant.

– Zboczeniec! – krzyczała świątobliwa.

„Komandos”, pomyślał Paweł. „Żeby tak w obronie gęsi?”

I opuścił głowę. Żeby on tak w obronie Hanki, kiedy dosięgło ją pierwsze uderzenie gumowej pałki. Nie ruszył w stronę kordonu ORMO, żeby ochronić dziewczynę przed razami. Patrzył tylko, jak leją ją po plecach, po nogach, po głowie, jak wrzucają do sukki, jak odjeżdżają. Widział jej twarz, jej spojrzenie w okratowanym oknie samochodu. Później sam dostał. Raz. Może dwa razy. Najdalej trzy. Po nerkach. Tak bardziej po lewej stronie.

Konduktor popatrzył na zakonnice kotłującą się z Buddą.
Mruknął coś pod nosem, z którego wystawały włosy, i zniknął.

Zdzisio beknął.

– Zbieraj się. – Matka huknęła syna w kark.

Pociąg zaczął hamować przed mostem na Boli.

Paweł ściągnął walizę spod sufitu.

„Każdy ma swoje demony”, pomyślał. „Każdy”.

2.

Nie każdy.

Nie każdy mógł kupić marlboro u Benka Karpia.

„*No fucking way*”, powtarzał Benek przypadkowym klientom, którym obmierzły narodowe sporty i lokalne giewonty. Jeśli nie rozumieli po angielsku, Benek ucinał handlowe negocjacje po polsku. Zwrotem do mężczyzn: „Spierdalaj pan”, oraz zwrotem do kobiet: „Następnym może, kurwa, razem, co?”.

Barbara Opolska nie mogła sobie pozwolić na następny raz. W skórzanej torbie, w paczce marlboro sfatygowanej sąsiedztwem kluczy, szminki, puderniczki, pilnika do paznokci, podręcznej łopatkii do ziemi i kawałków starej gazety, zostały trzy ostatnie sztuki papierosów.

Nie żeby nie mogła palić tego, co wszyscy.

Mogła.

Nie chciała.

Stała przed drzwiami Benka. Przy Rewolucji Październikowej 26 przez 9. Na parterze. Na klatce ze ścianami w kolorze munduru milicjanta. Na schodach prowadzących do mieszkania Opolskich na pierwszym piętrze. I wyżej. Na piętro drugie, trzecie, wreszcie na strych. Na który nikt nie wchodził, od kiedy powiesił się na nim stary Czeczot. Czyli już od czterech lat.

Poprawiła na głowie chustkę z morelowej anilany. Przyjrzała się swojemu odbiciu w pękniętym, zaśniedziałym lustrze, wiszącym pomiędzy mieszkaniem Benka Karpia a Gajewskich z naprzeciwka. Sprawdziła, czy kosmyki rudych włosów nie wymknęły się spod chustki na twarz. Czy pończochy są całe. Czy obcasy białych kozaczków na francuskim obcasie czyste. Czy guziki płaszcza z jasnej wełny zapięte.

Wszystko w porządku.

Więc dlaczego zwleka?

Powinna szybko załatwić sprawę. Z Benkiem to przecież łatwe. Nie lubił zbędnych słów, długich wyjaśnień i grzeczności. Przede wszystkim grzeczności. Zazwyczaj, stojąc w progu swojego mieszkania, z którego dobywała się duszna woń kadzidełek, krótko pytał: „Czego?”, i oczekiwał równie krótkiej odpowiedzi: „Łiski”. „Papierosów”. „Bitelsów”. „Stonesów” nie sprzedawał. „Stonesami” nie handlował. Byli dla niego święci jak Matka Boska z Guadelupe, przed której obliczem kilka lat wcześniej modlił się o uzdrowienie matki. Matka umarła. Wyzdrowiał ojciec Benka. Po śmierci żony przestał pić. Nie miał z kim.

Barbara usłyszała hałas na górze. Coś huknęło o podłogę. Ktoś wrzasnął. Kłatkę schodową opanował zapach duszonej kapusty. Pewnie Czeczotowa z trzeciego piętra warzy bigos albo kapuśniak. Opolska zakryła ręką nos. Wszystko, tylko nie kapusta. „Błagam!” Tylko nie duszona kapusta. I nie bimber. I nie zapach męskiego potu. I nie zapach skóry. Świeżej kożłęczącej skóry. O ten, na szczęście, nie było łatwo.

Barbara położyła dłoń na klamce drzwi Benka Karpia.

Cofnęła ją.

I znowu położyła.

Klamka była zimna jak dłonie Tadeusza.

Otóż to! Tadeusz. Dlaczego nie poprosiła go o pomoc? To on zazwyczaj kupował żonie u marynarza kilkumiesięczny zapas marlboro, dla siebie rezerwę tytoniu do fajki, dla Andrzeja (młodszeo) płyty, a dla Pawła (starszeo) nic nie brał. Paweł nigdy nie złożył zamówienia u Benka. Niczego od Karpia nie chciał. Mówił, że nie potrzebuje. Nie dotykał marlboro matki, tytoniu ojca, płyt brata. Milkł, kiedy ktoś wspominał o Benku. Wycofywał się. Na jego twarzy pojawiała się flauta.

„Właśnie że nie mogłam poprosić Tadeusza”, uświadomiła sobie Barbara.

Oczywiście, że nie mogła.

W domu Opolskich od ponad dwóch tygodni panowało milczenie. Na początku marca Tadeusz oznajmił Barbarze, że zwalnia panią Janeczkę. Panią Janeczkę od gotowania, sprzątania i zakupów. Świętą Janeczkę od codziennych cudów czystości oraz obfitości. Strażniczkę ładu i porządku. Opiekunkę domowego portfela, którym

Barbara interesowała się o tyle, o ile był pełen. Więc jak? Jak Barbara miała sobie radzić z domem bez pani Janeczki?

Zdjęła drżącą rękę z klamki i włożyła do torebki. Tylko dobre papierosy łagodziły ból istnienia. I smród kapusty. Wyjęła marlboro.

Na trzecim piętrze, zza drzwi Czeczotowej, rozległo się jazgotanie jamnika. I wrzask: „Uważaj, cholero, jak dupę wleciesz!”.

„Zapukać, nie zapukać. Zapukać, nie zapukać”.

Papieros w ustach. Jeszcze zapałki. Szara tektura. Na niej czarno-niebieska krowa pod karawaką. I napis: GRUŻLICA BYDŁA NISZCZY TWOJE ZDROWIE. SPOŁECZNE KOMITETY WALKI Z GRUŻLICĄ.

Barbara zaciągnęła się. Z ulgą. Zapałki. Źródło wiedzy i mądrości. Głos rozsądku w domu każdego palacza. Światło na oświecenie ludu. Barbara zaciągnęła się po raz drugi. Z mniejszą ulgą. Właśnie dowiedziała się, dlaczego gorzej z nią ostatnio. Bóle głowy. Kaszel. Bezsenność. Wymioty. Zaburzenia równowagi. I znowu wymioty. Początki bydłęcej gruźlicy? Boże! Zaciągnęła się po raz trzeci. Z wyraźnym niepokojem. Mięso! Wszystkiemu winne mięso. Pieczone. Duszone. Smażone. Drobiowe. Wołowe. Wieprzowe. Chwileczkę. Miałaby zrezygnować z klopsów w sosie koperkowym z kopką tłuczonych ziemniaków?

Nie była na to gotowa.

Zduśiła o ścianę wypalonego do połowy marlboro. Resztę papierosa zostawiła na później.

Posłyszała ruch za drzwiami Benka Karpia.

Cofnęła się o dwa kroki. O trzy.

Bała się marynarza. Cham i prostak. Świnia i bydlak. Daj Boże, żeby z gruźlicą. Zazwyczaj posyłała do niego Tadeusza. Czasem synów. Dwa razy odwiedziła go osobiście. Dwa razy potraktował ją jak... Właściwie nie wiedziała jak. Za pierwszym razem zapytał: „Pani doktorowa włosy na cipce też ma rude?”, a za drugim: „Jak się pani doktorowa wkurwi, to piegi jej na gębie wybuchają?”. Za każdym razem strasznie rechotał. Barbara więcej do Benka nie poszła.

Zakrztusiła się, zakaszła.

„Jezu, skurcz w piersiach i w lewej łydce, nie, w prawej, i ta boleść w krtani, to przez tę kapustę, przez tę duszoną kapustę i przez początki gruźlicy bydłęcej”.

I nagle doktorowa Barbara Opolska poczuła, że kurczą się nie tylko jej płuca, oskrzela i łydki, poczuła, że sama się kurczy. Zobaczyła, że przed drzwiami Benka Karpia stoi już nie Barbara Opolska, żona ordynatora jednego z oddziałów w zakładzie dla psychicznie i nerwowo chorych w Niedorośli, lecz Baśka Gnatowska, ta sama, która dwadzieścia kilka lat temu przyjechała do Bolegoszczy prosto ze wsi leżącej gdzieś między Białymstokiem a Gródkiem, która wyruszyła w świat w kożuchu ojca, w sukience po matce, w trzech spódnicach (które sama sobie uszyła) włożonych na sukienkę, w walonkach ściągniętych z martwej Zuzanki Sołomowej, taki był mróz.

*

Mróz. Na początku stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, w naprawdę wielki mróz, Baśka Gnatowska zabrała się ciężarówką z Heńkiem Jękotem, znajomym z sąsiedniej wsi, do Lublina, chociaż Heniek zażądał za podwózkę kilkadziesiąt złotych, czyli dużo więcej niż chłop z Gródka zmierzający w stronę Białegostoku. Baśka nie chciała do Białegostoku. Kojarzył jej się z rynkiem pełnym ludzi w chałatach. Jaśko Gnatowski, ojciec Baśki, robił z nimi interesy przed wojną. Targował się nawet o hacie w końskich podkowach. „Oni tak lubiejo, Baśka, pamiętaj. Nie tylko Żydki. Ludzie w ogóle lubiejo, jak z nimi się naobkoło obchodzić”.

Wybrała więc ciężarówkę. Wyklócała się trochę, zgodnie z ojcową nauką, żeby Heńkowi zapłacić choć pięć złotych mniej, ale nic z tego. Heniek był nieugięty. Miał żonę na utrzymaniu, Baśka widziała ją ze dwa razy. Podobno właśnie urodziła syna. „Dobry czas wybrał, dzyndzel, na narodziny. Koniec wojny tuż-tuż”, śmiał się Heniek, zatraskując za Baśką drzwi od szoferki.

Wyruszyli o świcie.

Baśka nie patrzyła na Heńka. Ani wyglądał, ani pachniał. Spod jego pach dobywała się woń przedwojennego chyba jeszcze potu. Śmierdział jak żołnierskie onuce. Na kufajkę przy każdym podskoku rozwalającej się ciężarówce spadały z głowy Heńka płaty łuszczącej się skóry.

W osłoniętej pace gruchota, tuż za plecami Baśki, ciągle coś się przewalało, stękało, a czasem – Baśka mogłaby przysiąc – płakało.

Nie chciała pytać, kogo lub co (oprócz Baški) transportuje Heniek. Jej ojciec powtarzał: „Mniej wiesz, dłużej żyjesz”. Stary Gnatowski musiał naprawdę mało wiedzieć, bo przeżył dwie wojny i wszystkich czterech braci. Iwan Duraczok.

Baška gapiała się w okno. Drogami ciągnęli ludzie. Samotnie i w grupach. Z bagażami na ramionach i w wózkach obładowanych schedą po tych, którzy nie przeżyli. Meble, gary, wory z ciuchami, niektóre z książkami. Wszystko albo uratowane w przedostatniej chwili z pożogi, albo wyszabrowane w ruinach lub opuszczonych domostwach.

Baška dostrzegła starca, który niósł na plecach dziurawe jak sito drzwi z dębowego drewna. Dziewczynę, która ślizgając się po oblodzonej drodze, z trudem prowadziła zardzewiałą damkę. A na niej ręczną maszynę do szycia. I jeszcze jedną dziewczuchę zobaczyła Baška. Wiodła osła na postronku. Osła? W stronach Baški Gnatowskiej nikt nie widział osła od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Podobno wszystkie osły poszły z Ruskimi za granicę.

Wózki ciągnęli i mężczyźni, i kobiety. Większe wozy – konie.

Ci ze wschodu wędrowali na zachód. Ci z zachodu na wschód. Ci z północy mijali się z tymi z południa. Na rozstajach i ludzie, i zwierzęta wymieniali się informacjami. Jedni zmieniali kierunek podróży. Inni wracali w rodzinne strony. Część szła bez planu, przed siebie, gdzie bądź.

Tak jak Baška. Rejterowała od ojca alkoholika, pijącego kieliszek za kieliszkiem, a najwięcej pomiędzy kieliszkami. Od braku matki zamordowanej w połowie wojny i zgwałconej również w połowie, bo dopiero po śmierci. Od całkiem upośledzonej siostry, która nie pojmowała tego, co wokół niej.

Gnatowska westchnęła głęboko. „Ech”. Byle dalej od rodzinnej wsi. Byle dalej od siebie. I znowu westchnęła. „Ech”. Ale nie dlatego, że było jej źle, ciężko lub niewygodnie albo – nie daj Boże – dlatego, że pożałowała ucieczki. Westchnęła po to, aby pierwsze westchnienie nie pozostało samotne. Spóźniła się. Westchnienia się nie spotkały. Minęły się po drodze. „Głupia ja”. Baška wzruszyła ramionami i zaczęła oddychać bez teatralnej zadyszki.

Pod plandeką hałasowało.

Baška nie zapytała co to.

I kto wie? Może dojechałaby do samego Lublina, gdyby Heniek nie chciał ciągle się z nią całować? Może nawet zgodziłaby się całować z Heńkiem, gdyby jego oddech nie woniał wczorajszym bimbrem i cebulą na zagrychę? Może nawet cebulę i bimber Baśka zdzierzyłaby, gdyby Heniek nie robił innych propozycji? Nie to, że nie wiedziała, o co chodzi. Wiedziała. Napatrzyła się w wojnę na brud i porubstwo. Ale nie po to ze wsi uciekła, żeby teraz, w drodze do miasta, robić znowu to, czego nie chciała.

Heniek złościł się coraz bardziej. Wziął dziewczynę na ciężarówkę, żeby sobie poużywać. Zapłaciła za drogę, prawda, ale co z tego? On z żoną nie miał uciechy od paru miesięcy. Najpierw zaciążyła, później łąziła z brzuchem po obejściu wielka i głupia jak krowa, a teraz urodziła. Myślałby kto – wyczyn. Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

Heniek coraz bardziej wściekły chuchnął w dłonie.

Popatrzył na Gnatowską.

Już dawno zrobiłby z nią swoje, gdyby dziewczucha nie zsunęła chustki z głowy. Zsunęła. Wtedy Heniek zobaczył, że ma długie rude włosy. Widział Baškę wcześniej parę razy, prawda, ale całkiem zapomniał, że ona miedziana. Takie same włosy miała świętej pamięci matka Heńka, co zmarła na zapalenie płuc w trzydziestym drugim. Nie, z rudą dziewczuchą Heniek nie mógł. Stracił ochotę na całych osiemdziesiąt sześć kilometrów. Na osiemdziesiątym siódmym kilometrze Baśka zarzuciła na siebie chustkę i Heniek znowu poczuł wolę. Baškę w chustce mógł nawyobrać. Zwolnił, obłapił dziewczuchę jedną ręką, ale, dziwka, strasznie się szarpała.

Tuż przed wjazdem do Bolegoszczy Heniek zatrzymał się na postój przy moście pontonowym na Boli. Z pełnym pęcherzem ciężko zabrać się za babę. „Jak wrócę, to się policzymy”, zagroził.

Kiedy sikał, Baśka wymknęła się z szoferki. Miała ochotę zajrzeć pod plandekę, żeby sprawdzić, co się tam pod nią przez całą drogę tłukło, jęczało i płakało. Uchyliła rąbek brezentu i ze strachem na powrót zasłoniła. „Mniej widzisz, dalej szczasz”, przypomniała sobie kolejną mądrość ojca. Zupełnie bez sensu. I mądrość starego, i pamięć Baški.

Szczękając zębami, kryjąc dłonie w rękawach kożucha, z tobołkiem zarzuconym na ramię, ruszyła szybkim krokiem wzdłuż

Boli. W stronę mających w oddali zabudowań.

Mróz ścisnął Baškę mocniej niż Heniek. Ale mrozowi w pysk dać nie mogła. Ani splunąć mu w gębę. Ani nochala podrapać. Ani w rękę ugryźć. Ani nic.

W nocy dotarła do miasta.

Zanim znalazła łóżko na kwaterze w pobliżu fary, kilka dni i nocy spędziła na zniszczonym dworcu kolejowym. W czasie zawieszonym między wojną a pokojem, między rozpaczą a nadzieją, między „wyjechać” a „zostać”.

Zdała się na los.

Los okazał się łaskawy.

Trzeciego dnia dworcowej udręki Baška postanowiła przejść się po mieście. Rozejrzeć się. Popatrzeć ludziom w oczy i na ręce. I całkiem przypadkiem dostała robotę w Punkcie Skupu Ważyw i Owoców, w pobliżu rynku. Powiedziała Tolкови Siemaszce, właścicielowi budy, że w szyldzie, który właśnie malował na kawałku poszarpanej dykty, zrobił błąd ortograficzny. Nie żeby znała się na poprawnej pisowni wyrazów polskich albo zagranicznych. Nie bardzo. Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego skończyła siódmą klasę. Złożyła papiery do gimnazjum w Białymstoku. Matka chciała, żeby Baška, tak prędko do nauki, tak wszystko w lot chwytająca (oprócz ortografii), nie robiła na roli, lecz uczyła się, ale wiadomo.

Stała teraz Baška przed Tolkiem Siemaszką i czuła, że go chyba uraziła.

Całkiem słusznie.

– Jak taka uczona, niech na nauczycielkę idzie! – Siemaszko smarknął ze złością na gruz zwalony obok budy. Smarki zamarzyły w locie. Tolek zatupał, wytarł nos rękawem kufajki i popadł w krótką zadumę, mróz bowiem szczypał w policzki, a tego dnia również w dupę. Tolek nie włożył kalesonów, choć żona naszykowała mu rano błękitne gacie z wełny. Żeby więc co prędzej zakończyć artystyczną robotę, chwycił pędzel z farbą olejną i poprawił napis na szyldzie: Punkt Skupu Ważyw i Owocuw.

– Teraz lepiej? – Tolek zapytał Baškę.

A ona pokiwała głową. Że tak. Że lepiej. Co miała nie pokiwać.

Wtedy Tolek Siemaszko – już bez złości – popatrzył na dorodną dziewczuchę. Raz, drugi i trzeci. Niewiele zobaczył.

Baśka okutała głowę wełnianą chustą, a biust i talię schowała w za dużym kożuchu, który ściągnęła ze śpiącego ojca tuż przed wyjściem z chałupy. „Tylko Pela – zwróciła się do siostry na pożegnanie – nic tatulowi nie mów, rozumiesz? I o baranicy nie mów, że to ja jemu. I że wyjeżdżam nic nie mów. Albo powiedz. Że nigdy nie wrócę, jemu powiedz”.

Pela, która nie mówiła od urodzenia, zaklaskała w dłonie. Na zgodę. Na niezgodę też klaskała, ale inaczej (i nie tym razem). Z większą złością. Kiedy nie chciała rozmawiać, klaskała stopami. Siadała na ziemi, chowała głowę w rękach i uderzała stopą o stopę. Dlatego zawsze chodziła bosą. Zawsze. Nawet w największe mrozy.

Baśka przed wyjściem z rodzinnego domu po raz ostatni odgarnęła siostrze włosy. Splotła rude loki wariatki w luźny warkocz. Powinien się trzymać do wieczoru. Pocałowała Pelę w czoło. „Muszę, Pela, muszę. Jak teraz nie odejdę, to na zawsze tu zostanę. Z tobą, z ojcem i z grobem matki w sercu”, wyjaśniła siostrze. „Przepraszam”.

Teraz jednak, stojąc przed Tolkiem i przestępując z nogi na nogę, Baśka nie zamierzała przeproszać.

Tolek znał się na babach tak dobrze jak na ważywach. Od razu rozpoznawał świeże i wyględne.

– Pracy szukam. – Baśka poprawiła pas na kożuchu.

Siemaszko zmierzył spojrzeniem dziewczuchę po raz ostatni i przyjął mądrą za kontuar, żeby robiła. A raczej żeby nie robiła, bo jakie warzywa i owoce można skupować w styczniu? Oprócz zmarzniętych ziemniaków, resztek marchwi i kapusty. Dlatego już od trzynastej Baśka podawała pijakom w mundurach i w cywilu, którzy rozsiadali się przy dwóch stolikach zbitych ze skrzynek, bimber pędzony przez Tolka Siemaszkę i bigos, który gotowała żona Tolka. Chyba na kościach wygrzebywanych z ruin trupów. Tak śmierdział.

Baśka się nie skarżyła. I może zrobiłaby karierę w handlu, ale znowu nie wyszło. Beznogi żołnierz zaczął domagać się wdzięków Baśki. W cenie siwuchy zagryzanej bigosem, czyli za darmo. Tolek Siemaszko w żądaniu gościa nie widział nic złego.

– Takie czasy, Baśka, nastali, że na dwieście bab przypada pięćdziesiątka chłopca, w tym połowa z kikutami. Ty, Baśka, durna nie

bądź i policz, jakie ty masz szanse, żeby którego upolować. Nawet z takimi włosami. – Tolek Siemaszko jedną dłonią głaskał dziewczynę po rudym warkoczku, a drugą ugniatał coś w kieszeni. – A chłopu po wojnie dać – oblig baby. Ty, Baśka, zostań tutaj, bo gdzie będzie ci lepiej? Widzisz. Ja tam kikuta rozumiem. U mnie, po Bogu mówiąc, fisharmonia małżeńska szczęśliwa, ale jakby ją inaczej nastroić, to kto wie? Może ja by z tobą jaki związek zawiązał?

– Na zakład publiczny, panie Siemaszko, trzeba mieć pozwolenie. Tak jak na spirytus. Pan się pilnuje i ręce trzyma z daleka ode mnie. I od kieszeni. – Baśka trzasnęła drzwiami.

Na górze trzasnęły drzwi.

Barbara Opolska podskoczyła.

Usłyszała, że ktoś zbiega z góry na dół. Nie chciała, by ktokolwiek zobaczył ją pod drzwiami Benka. Przeplancowała się pod lustro, wyjęła puderniczkę, zajęła się nosem, na którym ze zdenerwowania pokazały się krople potu.

– Dzień dobry! – usłyszała. To Grześ Drygała śpieszył się do pracy. Na autobusach jeździł. – Słyszała pani awanturę u Czeczotek nad ranem? Stara z młodą darły koty. Śpię ściana w ścianę z ich kuchnią, to się nasłuchałem. Że która której co winna. Oka nie zmrużyłem przed zmianą. Pani doktorowa nie poprawia urody. I tak pani doktorowa najładniejsza.

Barbara nie zdążyła odpowiedzieć: „Dzień dobry”, „Dziękuję”, „Co też pan, panie Grześku!”.

Ledwie Drygała przemknął, a już pomknął. Tyle go Opolska widziała.

Znowu podeszła do drzwi Benka Karpia.

Spojrzała na zawieszoną tuż nad framugą wypreparowaną czaszkę.

„Ludzka?” Barbara nie miała pewności. „Małpia?” Sprawdziła, czy własną głowę ma na miejscu.

Na górze znowu rozjazgotał się jamnik Czeczotowej.

Na dole, w piwnicy, ktoś grzebał w węglu.

Zapach kapusty się nasilił. Szedł chyba jednak nie od Czeczotek, ale od Porosiów z pierwszego piętra. Mieszkali naprzeciwko

Opolskich. „Diabli nadali repatriantów. Jedną nogą zawsze zostają na wschodnich śmieciach. Żyją na cebuli i na śmierdzących kiszonkach”.

Barbara oparła się o ścianę. Poczwała zawroty głowy i ściskanie w żołądku. Poranna kawa i ćwiartka murarki z masłem powędrowały w górę. Opolska powstrzymała wymioty. Powinna jak najszybciej załatwić prostą sprawę z Benkiem, zrobić sprawunki w osiedlowym sklepie i znowu zaszyć się w domu.

Przygotowała wskazujący palec prawej ręki. Wyciągnęła go w stronę dzwonka. Zatrzymała się. Przyłożyła ucho do drzwi Karpia.

„Jak cicho. Pewno nie ma go w domu, poszedł na dziwki, ludzie mówili, że wciąż spaceruje po Wroniej, że podobno wybiera te najmłodsze, więc zadzwonię, tak, zadzwonię. I tak nie otworzy, bo go pewnie nie ma. A jeśli jest w domu i otworzy?” Barbara zmarszczyła nos. „Głupia babo! Jeśli otworzy, to się na ciebie nie połakomi, piętnaście lat miałaś dwadzieścia pięć lat temu, lekko licząc”. Barbara spojrzała w zapluta szybę dzielącą wejście na korytarz od klatki schodowej, poklepała policzki, przygryzła wargi, poprawiła chustkę na rudej czuprynie. „Co z tego, że wyglądasz na dwadzieścia... dziewięć. Zadzwon, kup fajki. Załatw sprawę albo wracaj na górę i zajmij się przeganianiem gołębi z balkonu”.

Poczwała ssanie w żołądku.

Doktorowa przyłożyła ucho do drzwi. Zerknęła w górę. Czwała, że czaszka wisząca nad framugą wbija w nią puste oczodoły.

„Wystarczy. Przecież Benek to tylko sąsiad z parteru, nie ma czego się bać”.

Położyła palec na dzwonku.

Za chwilę ujrzy szparę w drzwiach.

Szpara w drzwiach była najważniejsza. Wszystkie informacje o tym, jakie cuda zgromadził Benek, pochodziły od tych, co zaglądali do mieszkania właśnie przez szparę w drzwiach. Później, przy konsumpcji (wódeczka ze śledziem w restauracji Czardasz, na Romantyczną pozwalał sobie lepszy sort bolegoszczan), ci, którzy zerknęli przez niezwykłą szparę, rozprawiali o tym, co zobaczyli. Obrazy w złoconych ramach, tapety w holenderskie tulipany, latające dywany i hebanową skrzynię, w której Benek trzymał – ludzie, narody! – zapas czaszek. Niewykluczone, że przez wypreparowane

ludzkie albo małpie łby nikt nigdy nie włamał się do mieszkania Karpią. Strzegły chałupy lepiej niż polisa PZU czy K+M+B.

„Dlaczego Tadek nigdy nie powiedział, co widział u tego chama?”

– Pani doktorowej palec zdrętwiał? – Barbara podskoczyła. Schowała rękę za siebie. Obejrzała się. Dozorca Drewienko. Człowiek, który wiedział i widział wszystko. Umorusany węglem. Nawet na łysej czaszce osadził się czarny pył. A więc to on hałasował w piwnicy.

– Mąż pani był już u marynarza. Tak koło siódmej. Długo siedział. Nie patrzyłem na zegarek, ale ze dwadzieścia minut to na pewno.

– Na strychu już pan sprzątał po zimie? – Barbara spojrzała z góry na dozorcę. Nie tylko dlatego, że stała czternaście schodów wyżej.

– Grzecznie pana doktora szanownego zapytałem, tak po cichu i w zaufaniu – Drewienko ściszył głos – czy wie, że Karp to konfident. Ludzie tak mówią. I czy się szanowny doktor o reputację nie boi. Reputacja na wysokim stanowisku to rzecz święta, jak łza Matki Boskiej Płaczącej w farnych relikwiach.

„Na łzę Matki Boskiej, jak gorąco”. Barbara przysiadła na schodku.

– Ludzie różne głupoty opowiadają. Mój ojciec powtarzał: „Mniej słyszysz, dalej plujesz”. Albo jakoś tak...

– Pani doktorowej słabo? – Drewienko podszedł do Opolskiej.

Barbara oddychała ciężko. Zsunęła chustkę z głowy.

– Czeczotowa znowu naznosiła śmieci – powiedziała, nie otwierając oczu. – Widział pan? Na strych. Wszystko tam jest. Podarta pościel, trepy chyba jeszcze sprzed wojny, rozwalony gramofon, szwabskie książki i rama po stłuczonym lustrze. Na samym środku. Pan jej coś powie, panie Drewienko. Ona nikogo nie słucha. – Barbara zagryzła usta. Bolało ją serce. Brzuch. Podbrzusze. Nie, nie była pewna reputacji swojego męża. Dlaczego Karp wpuszczał do środka tylko Tadeusza? Dlaczego Tadeusz nigdy nie komentował tych wizyt? – Niech się pan, panie Drewienko, zajmie Czeczotową.

– Pani doktorowo, może ja panią do domu zaprowadzę? Herbaty zrobię, jeśli życzenie, wódki podam, ale, pani doktorowo, bo ten...

Drewienko gapił się na Barbarę. Na jej nogi. Nie spuszczał oczu z jej kolan

– Za krótka spódnica? – zapytała Opolska spod półprzymkniętych powiek. Wciąż siedząc na schodach, oparła się o ścianę. – Za cienkie pończochy? Za wysokie obcasy? Licha reputacja, prawda, panie Drewienko?

Dozorca milczał.

Barbara otworzyła oczy. Zerknęła w dół. Po najzgrabniejszych w Bolegoszczy łydkach spływała krew.

Znowu.

*

I znowu Baśka trzaska drzwiami od budy Tolka Siemaszki. W uszach brzmia słowa, które przed momentem wypowiedziała: „Pan się pilnuje i ręce trzyma z daleka ode mnie. I od kieszeni”. Jest z siebie dumna. Naprawdę dumna. Świętej pamięci matka Baśki dobrze wiedziała, że młodsza córka bystra i że trzeba ją dalej do szkół posłać.

Baśka wybiega w ciemność styczniowej nocy. Śpieszy się na dopiero co wynajętą kwaterę. Już myśli tylko o metalowym kubku pełnym gorącej wody z cukrem i z kwaskiem cytrynowym. Już miesza krupnik w żeliwnym garnku. Zdobyła trochę kaszy jęczmiennej, więc w domu czeka na nią gar zupy. Zagrzeje prędko dwie chochle w rondelku i –

I ktoś Baśkę chwyta. I ciągnie w gruzy. I rzuca na ziemię.

Baśka szarpie się, gryzie i pluje. Słyszy w oddali pijacki śpiew:

Odwrócił się dziadek i zobaczył babkę,
Chwycił całą ręką za siwą kuciapkę.

Rozbrzmiewa rechot. Dźwięk tłuczonego szkła.

Baśka próbuje się podnieść. Krzyczy. Dostaje w twarz. Ale nie dłonią. To nie dłoń. To kawałek drewna. Kawałek drewna obleczony skórą. Miękką, świeżo wyprawioną skórą.

Drewniany kikut w rękawicy gładzi Baśkę po twarzy.

Baśka odwraca się.

Znowu dostaje w pysk. Krew z nosa i z ust. Jakby belka z powały wiejskiej chałupy urwała się i wylądowała na policzku dziewczyny.

Baśka czuje też pulsowanie w tyle czaszki. Głowa chyba rozbita. Tak. Na pewno tak. Przy upadku. Boli, ale nie bardzo. Przecież dwie chustki rano włożyła. Taki mróz.

Teraz Baśka czuje, że ktoś szarpie się z jej kożuchem. Ze spódnicą. Że zdiera wełniane pończochy, przedwczorajsze majtki. I wpycha się w nią. Lecz wpycha się nie to, co powinno. Baśka przecież nie zapomniała. O nie. Dobrze pamięta, że niemieckie to, co powinno, było łagodniejsze niż sowieckie to, co powinno. Z niemieckim to, co powinno, wszystko trwało dłużej. I nie cuchnęło smalcem z cebulą. Baśka przecież dobrze wie. Wojna ma swoje zasady. Reguły, które dotyczą również kobiet. Nie krzycz. Nie uciekaj. Nie walcz. Zamknij gębę i oczy. Odwróć głowę. Zaciśnij pięści. Może przeżyjesz.

Ale jest już po wojnie. Warszawa wolna. Baśka wolna. Poznań jeszcze się broni. Więc Baśka też będzie walczyć. Sięga po kamień. Po cegłę. Po kawałek żelaza. Szuka po omacku. Jej ręka trafia na zimne ciało obok. Na trupa. To kobieta. Baśka dotyka jej długich włosów. Jest ciemno. Baśka nic nie widzi. Ale wie, że martwa jest jasnowłosa. Była. Przecież nie żyje. Baśka czuje w palcach (zgubiła rękawice) aksamitne, długie, cienkie włosy. Jak u najśliczniejszej blondyneczki we wsi – Zuzanki Sołomowej.

Baśka przestaje szukać kamienia. Cegły. Żelaza. Szuka martwej dłoni kobiety. Chwyta ją mocno. Ścisza. Po raz pierwszy w takiej chwili nie będzie sama. Zawsze to raźniej.

Czuje w sobie drewniane to, co nie powinno. Jeszcze mocniej ścisza dłoń zmarłej. Na serdecznym wyczuwa pierścionek. Z dużym oczkiem. Z oczkiem twardym jak to, co rozrywa Baśkę. Gnatowska mocije się z pierścionkiem, który nie chce zleźć. „Już ci nie będzie potrzebny, przyjaciółko”, szepcze do martwego ucha. „Proszę”. A jeśli Baśce również się nie przyda? A jeśli to jej ostatnie chwile? Obleczone miękką skórą drewniana dłoń wychodzi z Gnatowskiej. Zaczyna się część właściwa. To, co być powinno.

„Dziękuję”, mamrocze Baśka.

W zaciśniętej pięści ścisza pierścionek.

W ustach czuje krew.

– Pani doktorowo! Pani doktorowo! Jezus Maria! Zemdlała pani czy co?

Dozorca Drewienko mocował się z Barbarą Opolską, która bezwładnie osunęła się na schody. Chciał ją zaprowadzić do mieszkania, pod dwunastkę, ale nie dźwignął żony ordynatora. Zawsze wydawała mu się taka szczupła, taka zgrabna, taka wiotka, a jak co do czego, to nie może kobiety unieść, ciężka, jakby kto przytwierdził do niej stukilogramowe odważniki.

Zostawił doktorową na chwilę i począł walić w drzwi Benka Karpia.

Benek otworzył po dłuższej chwili. Owinięty białym puchatym ręcznikiem w pasie.

– Czego? – zapytał.

– Doktorowa umiera. – Drewienko obawiał się najgorszego. Jak krew idzie człowiekowi z ucha, z gardła, a u kobiety, no, wiadomo skąd, to śmierć blisko.

– Bierz pan z drugiej strony – zakomenderował Benek.

Mężczyźni podnieśli Opolską.

– Podam jej wódki, zaraz dojdzie do siebie. Dokąd? – Benek zatrzymał w progu Drewienkę. – Dalej sam se poradzę.

Zaskrzypiały drzwi od bramy.

Barbara uniosła powieki.

Usłyszała kroki na schodach.

Tak ostrożnie chodził tylko –

– Mamo. – Barbara usłyszała za sobą. – Co z tobą?

Przed zakrwawioną Barbarą opierającą się o niemal nagiego Karpia stał starszy syn. Paweł. Obok niego waliza. Przewiązana pasem. Pasem ojca Barbary. Pasem, który ukradła wraz z kożuchem, przed wyjazdem z rodzinnej wsi.

– Wróciłem.

3.

– Już wróciłeś? – Ewa Mazurkówna cofnęła się z przedpokoju do kuchni, żeby nastawić wodę na kawę. Zawsze podawała ojcu (nie tylko wtedy, kiedy wracał z roboty) plujkę – mocną, zabielaną, bez cukru. Cierpliwie czekała, aż fusy opadną na dno szklanki. Przyglądała się wirującym drobinom w nabożnym skupieniu. Obserwowała, jak chaos poddaje się naturalnemu porządkowi, jak ulega sile grawitacji. Zdarzało się, że w harmonijny świat wprowadzała zamęt. Kiedy ostatni strzęp zmielonego ziarna lądował na dnie, wkładała łyżeczkę do naczynia i energicznie mieszała. Zabawa zaczynała się od początku. Ewa czuła się wtedy jak Bóg, który mąci w ludzkich losach.

Dziś jednak nie miała czasu na boskie nieporządki. W pośpiechu podała ojcu kawę i spojrzała na zegarek. „Pora na mnie”, pomyślała. Zbliżała się dziewiąta dwadzieścia. O dziewiątej pięćdziesiąt jedenasta b zaczynała lekcje. Wyjątkowo. Dwie pierwsze godziny odwołano z powodu choroby matematyka.

Z wnętrza Renaty dobiegł dźwięk maszyny do szycia. I piosenki.

...herbaciane pola Batumi.
Cykadami dźwięczący świt
świadkiem był szczęścia chwil...

– Ma robotę? – zapytał Franciszek Mazurek. Zdjął palto na podpinke z watoliny, czapkę i rękawice. Chuchnął w dłonie.

– Ma. Wiosenny płaszcz, dwa kostiumy, spodnie i kilka spódnic. Poza tym przeróbki. Z mniejszego na większe. Z większego na mniejsze. Jak zwykle. Skarży się, że brakuje jej nici, igieł i czasu. – Ewa podała ojcu kawę.

– Zupa jest?

– Ogórkowa.

– Ze śmietaną? – Franciszek zajrzał do garnka.

– Przecież wiesz, że nie.

– Gęsta chociaż? – Franciszek zamieszał zupę chochlą. – Nalej trochę.

– Już po pogrzebie? – Ewa wyjęła z za okna śmietanę w słoiku, która stała na zewnętrznym parapecie obok białego sera. Nabiał mógłby nie istnieć dla młodszej Mazurkówny. Jeśli mogła (rzadko), wybierała mięso i wędliny. Ojciec przeciwnie. Na śniadania i na kolacje musiał mieć twaróg, mleko i czarny chleb. Najlepiej z kminkiem.

– Po pogrzebie.

– Szybko dzisiaj.

– Szybko to ludzie umierają. Za szybko.

„I za często”, pomyślała Ewa, patrząc na spierzchnięte ręce ojca, które sięgały właśnie po chleb.

Franciszek odgryzł kawałek pajdy i nabrał łyżką śmietany.

Mazurkówna nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jej dłonie spoczywały w dłoniach ojca. Choćby w jednej dłoni. W tej lewej. W tej zdrowej. W tej niewybrakowanej. Prawa nie miała dwóch palców. Serdecznego i środkowego.

„Nigdy nie słyszałam, jak ojciec gra. Nigdy”.

– Kogo tym razem chowaliście? – zapytała.

– Nikogo. – Franciszek wzruszył ramionami.

– Przecież powiedziałaś, że już po pogrze...

– Grzebaliśmy, a nie chowaliśmy. Nikt nie może się schować.

Ewa patrzyła na ojca.

– Przed śmiercią i przed SB. Nikt. – Franciszek zwilżył usta kawą.

– Tato. Ty znowu swoje.

„Złośliwy jest pewnie przez bezsenną noc. Znowu wołał matkę nad ranem”.

Mazurkówna przyglądała grzywę nad brwiami. Poprawiła czapkę na głowie.

– Wychodzę – powiedziała.

– Kiedy wrócisz? – Franciszek dopiero teraz uniósł głowę znad parującego kubka. Zupę już zjadł.

– Przyjdiesz? – zapytała Ewa.

– Gdzie?

– Do kościoła. Dziś rocznica śmierci mamy.

„Mama” – słowo puste jak „hiszpańska pomarańcza”, o której Ewa niedawno czytała w „Przyjaciółce”, że spośród wszystkich pomarańczy najśłodsza, najjędrniejsza i najbardziej niedostępna. Ewa nigdy nie widziała, nie smakowała, nie dotykała i nie poznała. Ani mamy, ani hiszpańskiej pomarańczy. Nie próbowała nawet domyślać się, jak to jest. Z mamą, która ostrzega, że spódnica za krótka, „mój Boże, jak ty, dziecko, wyglądasz, przecież do ludzi tak nie uchodzi”. Z mamą, która czeka wieczorem na powrót z pretensją, że „pierogi drewniane, omasta zimna, ile można odgrzewać?” Z mamą, która na niedzielny deser w środku marca podaje hiszpańską pomarańczę z bitą śmietaną i miętą, gdyż „na placu Bema można kupić wszystko, naprawdę wszystko”.

– Na cmentarzu już byłem – powiedział ojciec.

– Mszę zamówiłam.

Ewa podeszła do ojca. Dotknęła wierzchu jego prawej dłoni. Tej bez palców.

– Tato? –

– Ojciec – powiedział młody, bardzo młody oficer śledczy. Tak młodego Franciszek Mazurek jeszcze nie spotkał, a spotkał ich już trzech. – Przecież jesteście ojciec. Ile macie dzieci?

Franciszek Mazurek liczył. Areszty śledcze, nie własne dzieci.

Próbował sobie przypomnieć, który to z kolei. Przesłuchiwano go już w Bolegoszczy i w Białymstoku. Tydzień temu, miesiąc temu, Bóg wie jak dawno, ponieważ czas stracił miarę, a przestrzeń znaczenie, przewieziono Mazurka do Warszawy. Trzeci. W takim razie to trzeci areszt. I czwarty, tak, na pewno czwarty oficer śledczy. W Bolegoszczy trzepało Mazurka dwóch, w Białymstoku jeden.

W Białymstoku Mazurek siedział przez chwilę tuż przed transportem do stolicy, choć z tym siedzeniem różnie bywało. Częściej leżał i stękał, a nawet płakał. Na zakończenie białostockiej przygody strażnicy przeciągnęli obite ciało Franciszka przez dziedziniec aresztu i wrzucili na podłogę półciężarówki. Wtedy mało przytomny Mazurek po raz pierwszy od aresztowania zobaczył ziemię (wcześniej zakładali mu na głowę worek albo wiązali oczy). Żwir na

spierzchniętej glebie, suchą trawę i martwe kwiaty (chyba aksamitki) na klombach. Strażnicy polewali wodą przesłuchiwanym. Nie rośliny.

Kiedy półciężarówka z więźniami na pace ruszyła w stronę wtedy jeszcze nieznaną, Mazurek po raz pierwszy od aresztowania ujrzał drzewa i niebo. Dostrzegł, że liście na lipach i topolach żółkną, że niebo chmurzy się od zachodu (może wreszcie spadnie deszcz), a wczesnojesienne słońce pali jak ciało po każdym uderzeniu metalowej pałki.

Do Mazurka dotarło, że chyba nastąpiła jesień, że jest prawdopodobnie połowa września tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. A może początek października. Że przyszli po niego dwa miesiące wcześniej. A może trzy. Załomotali pewnego lipcowego dnia. Tego dnia, kiedy Maria Mazurek wyznała mężowi: „Spodziewam się dziecka”.

– Córkę. Mam jedną córkę. – Franciszek rozumiał, że jego odpowiedź nie ma znaczenia. Że młody oficer śledczy i tak wszystko o nim wie. Nauczony doświadczeniem pamiętał jednak, że brak odpowiedzi lub odpowiedź niewłaściwa skończy się karą. Kolejną karą przed wyrokiem.

– Renatę? – zapytał warszawski oficer śledczy.

Mazurek skinął głową.

Oficer spoglądał w papiery. Dwie kartki do przodu. Dwie kartki do tyłu. Bez podnoszenia głowy znad dokumentów. Bez emocji na twarzy. Zdjął okulary. Przetarł szkła wykrochmaloną chustką. Inną chustką, wyciągniętą z tylnej kieszeni spodni, osuszył spocone czoło.

– Żona w ciąży... – dodał.

– W marcu. Rozwiązania spodziewa się w marcu – potwierdził Franciszek.

– Macie więc dla kogo żyć i pracować.

– Mam.

– Jak?

– Co jak? – Franciszek podniósł głowę.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Pokój przesłuchań taki jak wszystkie inne. Mały, ciemny, wilgotny. Ślady krwi na ścianach i na betonowej podłodze, krata w oknie. Twarz oficera śledczego jednak inna. Okrągła jak kajzerka. Pszenna. Z masłem. I z odrobiną soli.

– Jak chcecie żyć dla rodziny?

– Budując socjalistyczny porządek. – Tej odpowiedzi Mazurek nauczył się od oficera śledczego numer jeden. W Bolegoszcy. Za każdą złą odpowiedź („praworządnie”, „uczciwie”, „ku chwale ojczyzny”) otrzymywał razy w jądra. Kolczatką.

– A jak pracować?

– Zgodnie z wykształceniem. Nauczając muzyki w socjalistycznej placówce oświatowej. – W Bolegoszcy oficerowi śledczemu numer dwa powiedział, że wróci na przedwojenną posadę parafialnego organisty u Świętego Jakuba. Chwilę później stracił dwa zęby. Oficer śledczy numer jeden pouczył Mazurka: „Nie po to, skurwysynu, uczyłeś się na pianistę, żeby klechom Chopina grać do wina mszalnego”.

– W placówce-palcówce. – Warszawski oficer śledczy uśmiechnął się. – Skoro z was taki, Mazurek, porządny obywatel, to co tutaj robicie? Na Rakowieckiej.

– Nie wiem.

– Nie wiem, czy przyjdę do kościoła. Nie wiem. Daj mi spokój, Ewa. Daj spokój. – Franciszek Mazurek wysunął niepełnosprawną dłoń spod dłoni córki.

„A może właśnie dzisiaj przyjdzie? Może zdarzy się cud?”, pomyślała dziewczyna.

Od osiemnastu lat ojciec ignorował msze w intencji matki. Popępiał również – zdaniem Ewy – gorsze zaniedbania. Nie sypał głowy popiołem w środy popielcowe. Nie adorował Grobu Pańskiego w Wielkim Tygodniu. Nie klękał przy żłóbku betlejemskim. O zwykłych niedzielach roku liturgicznego Ewa wołała nie myśleć. Ojciec nie pamiętał, aby dzień święty święcić. Jesienią i zimą w każdą niedzielę spał do południa, a wiosną i latem jechał rowerem na ryby, nad Bolę.

– Kawy zrób jeszcze. Mocniejszej. Też z mlekiem – zażądał Franciszek.

„Może dzisiaj zrobi wyjątek?”

– Myślicie, że zrobię dla was wyjątek, bo przed wojną, zaraz, w którym to roku? – Śledczy przerzucał papiery.

– Nie pamiętam – wyszeptał Franciszek zgodnie z prawdą. Jedno uderzenie głową o podłogę wymazało najlepsze wspomnienia Mazurka.

– Nieważne. Myślicie, że zrobię dla was wyjątek, bo dotarliście do drugiego etapu Konkursu Chopinowskiego? Nie zrobię, rozumiecie, Mazurek? – zapytał warszawski oficer śledczy.

– Rozumiem – odpowiedział Franciszek.

„Nawet Bóg nie zrobił dla mnie wyjątku”, pomyślał. Oficer śledczy nie mógł być lepszy od Boga, chociaż Bóg, gdyby zechciał, już dawno okazałby Mazurkowi łaskę. Widocznie nie chciał. Franciszek zastanawiał się pomiędzy przesłuchaniami, jak to możliwe, że dla niego, prawego, uczciwego absolwenta konserwatorium muzycznego, miłującego Kościół, ojczyznę, rodzinę i muzykę, że właśnie dla niego Bóg nie zrobił wyjątku. Mazurek błagał Boga o proste rzeczy: o wybawienie z czerwonej niewoli; o ciszę nieprzerywaną wyciem współwięźniów w nocy i strzałami o świcie; o kawałek chrupiącej bułki, o kubek ciepłego mleka i o bliskość ciężarnej Marii. Prosił też o muzykę. O to, żeby nigdy nie zapomniał dźwięków Chopina, Bacha, Liszta, Dvořáka. Wierzył, że wróci do grania. Wierzył, że wraz z muzyką wróci do niego to, co najlepsze.

Bóg milczał.

Mazurek złożył więc Bogu ostateczną propozycję: wymieni własne życie na własną śmierć. W śmierci pragnął znaleźć ukojenie, a po śmierci otrzymać skromny etat w niebiańskiej filharmonii. To był uczciwy interes. Naprawdę uczciwy interes, którego Bóg nie sfinalizował.

„Jeśli człowiek potrzebuje Boga, Bóg nie potrzebuje człowieka”. Mazurek ułożył prostą zasadę, kiedy pewnej nocy, po wyjątkowo okrutnym przesłuchaniu, próbował przewrócić się z lewego boku (obitego bardziej) na prawy bok (obity mniej). Leżał z sześcioma innymi współaresztantami na dwóch siennikach. Obrót był możliwy tylko wtedy, kiedy pozostała piątka wyrażała zgodę na zmianę pozycji.

„Jeśli człowiek nie potrzebuje Boga, Bóg nie potrzebuje człowieka jeszcze bardziej”, zaraz za pierwszą pojawiła się druga zasada. Wciąż w oczekiwaniu na obrót.

Tej właśnie nocy mąż Marii i ojciec Renaty porzucił wiarę w dziesięć przykazań Bożych, w dziewięć chórów niebieskich, w osiem błogosławieństw, w siedem cnót i grzechów głównych, w sześć prawd wiary, w pięć przykazań kościelnych, w cztery cnoty kardynalne, w trzy osoby Boskie i w jedno przykazanie miłości.

Postanowił być wierny wyłącznie Dwóm Prawdom Mazurka.

– Gdzie znajduje się teraz wasz dowódca? – zapytał warszawski oficer śledczy. – Porucznik Roman Górny. Pseudonim Góra. Oficer AK.

Mazurek nie wiedział, czy zaczęło się kolejne przesłuchanie, czy wciąż trwa poprzednie. Tracił przytomność, odzyskiwał ją i znowu tracił.

– Nie wiem – odpowiedział Mazurek. „Żarówka chyba straciła moc”, pomyślał Franciszek. „Świeci mniej żółto”. A może nie? Może to przez spuchnięte oko Franciszka docierało mniej światła? – Nie widziałem go od grudnia czterdziestego czwartego.

Cios pałką.

Franciszek postanowił, że po piątym uderzeniu w nerki zemdleje.

Zanim stracił przytomność, przypomniał sobie zapach ciała Marii. Wyobraził sobie jej brzuch noszący dziecko, czarną linię biegnącą od pępka do łona, coraz większe piersi, powiększające się sutki, pełne uda i mały nosek. Dlaczego właśnie nosek?

Zadarty nosek. Okrągła buzia. Niebieskie oczy. Warkocz sięgający talii. Bez obcasów nie za niska. Na obcasach nie za wysoka.

Ewa.

„Jest taka podobna do matki”, pomyślał Franciszek. „Taka podobna...”

I poczuł ukłucie w sercu.

Maria urodziła drugą córkę o czasie. Sześć godzin po pierwszym krzyku Ewy ofiarowała drugiej córce wyjątkowy prezent – ostatnie tchnienie.

Umarła, zanim zobaczyła dziecko.

Chrzcziny Ewy zbiegły się z pogrzebem Marii.

Pod koniec marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

Żeby nie trzeba było dwa razy do kościoła chodzić.

Tak zadecydowała babka Jadwiga Czaplicka, matka Marii.

W kaplicy cmentarnej jedenastoletnia Renata Mazurek nie mogła uspokoić wrzeszczącego noworodka. Wepchnęła więc małej Ewie w usta kawał szmaty nasączonej bimbrem (tak poradziła jej któraś z sąsiadek). Mieścił się w kieszeni płaszcza. W przeciwieństwie do butli z mlekiem.

Ewa zamknęła gębę. Po kwadransie spała przez kolejnych piętnaście kwadransów.

Od tamtej pory nigdy nie skosztowała wódki.

Wódki.

Franciszek Mazurek poczuł w ustach smak wódki.

Odzyskał przytomność.

– Porucznik Górny – twarz warszawskiego oficera śledczego zawisa nad pękniętą żuchwą Franciszka, znowu jak kajzerka, tym razem czerstwa, tym razem bez masła, ale z solą i z pieprzem – to wróg narodu. Znajomość z nim czyni z ciebie, skurwysynu, zdrajcę i takiego samego wroga. Władzy ludowej. I ludu.

Franciszek kolejny raz stracił orientację.

Nie tylko w tym, ile znowu zębów stracił.

– Przecież do wszystkiego się przyznałem – wydukał.

Przynależności do AK przestał wypierać się w areszcie w Białymstoku. Wtedy oficer śledczy numer trzy pokazał Mazurkowi Szumilasa. Kazał go przywlec do pokoju przesłuchań.

Szumilas był kolegą Mazurka z partyzantki. Lubił igrać z losem i ze słowami. Zwykł mówić: „Wysadzę ten pociąg, kurwa! Zrobię to, albo tu mi szumi las!”, i łapał się za jaja, których na pewno nie miał, kiedy trzeci z kolei oficer śledczy pokazywał Franciszkowi to, co zostało ze skatowanego druha.

Mazurek nie był pewien, czy zakrwawiona kupa mięsa i wyłażących z mięsa kości jest Szumilasem. Instynkt podpowiadał mu, że lepiej nie pytać o tożsamość prawie trupa, a może już całkiem trupa.

Innych kolegów nie wsypał. Ani Józka Wedlera, ani Heńka Makulca, ani Żyda Perczika, ten zresztą zginął, zanim dopadli go Ruscy. Dlaczego miałyby zdradzić swojego dowódcę?

– Myślę – powiedział Mazurek ze spuszczoną głową – że porucznik Górny spierdolił w Tatry. Szukaj go pan na przełęczach

wąskich jak moja dupa.

Warszawski oficer podszedł do Franciszka.

– Że co...?

– Że gówno – szepnął Franciszek w stronę zwisającej nad nim twarzy.

Chwilę później usłyszał skrzywienie imadła.

– Marzą ci się fortepianowe palcówki w ludowych placówkach oświatowych? – usłyszał głos oficera. – Poczekaj ty.

Obudził się po dwóch dobach.

Bez środkowego i serdecznego palca prawej dłoni.

Ewa nigdy nie usłyszała od ojca serdecznego słowa.

Okaleczony wrócił do Bolegoszczy w styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego. W domu czekały na niego dwie dziewczynki i Jadwiga – teściowa Franciszka.

– Gdzie Maria? – zapytał.

Maria? Czekala na męża cierpliwie. Na cmentarzu.

Zapytał więc o syna.

I zdziwił się. Prawie siedem lat wcześniej Maria urodziła córkę. Ewę. Franciszek przypomniał sobie naraz rehot strażników we Wronkach. Z trzyletnim opóźnieniem przekazali Mazurkowi treść depechy informującej o narodzinach syna – Adama. Mazurek ze szczęścia płakał dwa dni. Klawisze śmiali się dwie minuty z głupiego żartu.

Przez pierwsze miesiące po powrocie z więzienia Franciszek spał, jadł i milczał. Nie odzywał się do nikogo. Nie pożegnał teściowej wyjeżdżającej do rodzinnego Lubartowa. Nie pozdrowił „pochwalonym” księdza, który przyszedł po kołędzie. Zamknął mu drzwi przed nosem i nie wpuścił za próg. Nie odpowiadał na zaczepki sąsiadów. Ani na te grzeczne, ani na te mniej grzeczne. Nie dbał o formy. Formy umarły przed wojną. Muzyczne i międzyludzkie. Na córki też nie zwracał uwagi. Na wyrośniętą, samodzielną Renatę, która chyba miała już osiemnaście lat i pewnie prowadziła się z chłopakami, i na drobną Ewę – jak na złość – bardzo podobną do matki.

Kiedy Mazurek wyspał się i najadł, zadbał.

O sztuczną szczękę.

W jego ustach pojawiły się nowe zęby.

O garderobę.

Wymienił za duże spodnie i marynarki na te w sam raz. Stare rzeczy spakował i postanowił oddać do szpitala w Niedorośli. Zanim to zrobił, Ewa przeszukała wszystkie kieszenie jego starych ciuchów. Wierzyła, że w jednej z nich znajdzie odcięte palce ojca.

Nie znalazła.

Franciszek wciąż milczał.

Na koniec zadbał o pracę.

Zatrudnił się u grabarza. Do kopania grobów. Chciał być blisko Marii. Przed robotą i po robocie siadał na jej mogile i gadał. Tylko z nią.

Kiedy zmęczony pracą i rozmowami z żoną wracał do domu, Ewa klękała przed nim na podłodze i adorowała jak Najświętszy Sakrament. W milczeniu. Franciszkowi skończyły się słowa, Ewa nie znała właściwych.

Po raz pierwszy Mazurek odezwał się dopiero pierwszego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku.

– Pora do szkoły – powiedział do Ewy.

– Pora do szkoły. – Ewa na powrót wystawiła śmietaną za okno. Umyła talerz po ojcu. Rozejrzała się po kuchni. Wyglądała jak hol w sowieckim sierocińcu. Brudnobiała, z kilkoma szafkami w kolorze cmentarnej ziemi. Z łuszczącą się farbą na ścianach. Z zaciekami na suficie. – Dziś wrócę później. Bo kościół. Msza. Mówiłam.

Chciała czym prędzej wyjść z kuchni, której wyglądu nie ratowały ani czyste firanki, ani wykrochmalone ściereczki, wiszące na oparciu jednego z trzech krzesel, ani fikus w glinianej donicy.

– Zaczekaj. – Franciszek zatrzymał Ewę. – To dla ciebie.

W zdrowej dłoni Mazurka zakwitł bukiet czerwonych goździków.

„Jak on to zrobił”, pomyślała Ewa, „że nie zauważyłam?”

– Wszystkiego najlepszego – powiedział, nie patrząc na córkę. – Dziś twoje urodziny.

– Ty dokąd? – Ewa już narzucała na plecy czarną chustę w róże, już otwierała drzwi, kiedy dopadło ją pytanie siostry.

„Spóźnię się!”

Renata.

Z centymetrem krawieckim jak stęła zarzuconym na szyję.

Ze szpilkami wsuniętymi w wyłogi domowego fartucha.

„Jak cierniowa korona umęczonej krawcowej”.

– Jak to dokąd? Do szkoły.

– Od razu po lekcjach do domu. Samo się nie uszyje. Za cmentarne pieniądze ojca lodówki nie kupimy. Wiosna idzie. Na parapecie jedzenia dłużej trzymać się nie da. Kto tak w ogóle jeszcze robi? Tylko my i Dobrowolska. Ale ona pijaczka. Całą emeryturę przepija. A my co? Jak ona?

Ewa patrzyła na siostrę.

Na kąciki ust coraz bardziej opadające do dołu.

I na powieki.

I na biust.

I na życie.

– Dziś u Czesi. Powtarzamy biologię. – Ewa wyszła na klatkę schodową.

Nie zamierzała przypominać Renacie o mszy za matkę. Powinna pamiętać.

– Ty się lepiej przyznaj, że z chłopakami się prowadzasz. – Renata trzymała w rękach spódnicę. Ze złością wyciągała z niej fastrygę. – Ty wiesz, jacy oni są?

– A ty wiesz?

„Stara panno”, chciała dodać Ewa, ale nie dodała. Mniej słów, mniej kłopotów. Mniej myśli, mniej pokus. Mniej marzeń, mniej wyborów.

– Wiedziałabym, jakbym ciebie nie musiała niańczyć! I nie tylko to bym wiedziała. Ty sobie nie myśl, że po maturze pójdziesz na studia. Ty sobie nie wyobrażaj, że będziesz miała lepsze życie od mojego. Miejsce przy maszynie czeka.

Ewa opuściła głowę. Znała dalszy ciąg przemówienia Renaty. Na pamięć. Patrzyła na starszą siostrę jak na kronikę filmową relacjonującą otwarcie kolejnej sesji obrad Sejmu. Jak na kronikę filmową z wyłączonym dźwiękiem. Z ruchu ust domyślała się, że...

– ...mogłabym śpiewać i zrobić karierę większą niż te całe Filipinki. One wyją o herbacianych polach Batumi, a ja wyję po

kątach.

– Sopranem koloraturowym – nie wytrzymała Ewa.

Renata cisnęła w Ewę spódnicą i ledwie powstrzymując płacz, zniknęła w głębi mieszkania.

Młodsza Mazurkówna podniosła z podłogi spódnicę i położyła na szafce pod lustrem. Na porannym wydaniu „Głosu Bolegoszczy” i na wczorajszym „Ekspressu Wieczornego”.

Z korytarza dobiegł Ewę smród kocich szczyn.

Usłyszała koloraturowy płacz siostry i stukanie ojca w blat stołu. Franciszek Mazurek ośmioma palcami grał mazurka Fryderyka Chopina. E-moll. W rytmie walca. Walca historii, który Mazurka nie oszczędził.

Mazurkówna trzasnęła drzwiami i pędem zbiegła na dół.

4.

– Na dół, panie doktorze! Na dół, do dyżurki! Telefon do pana. Syn dzwoni! – Z dołu rozległ się donośny głos siostry przełożonej. Rozbrzmiał i wybrzmiał na pustym o tej porze korytarzu szpitala psychiatrycznego w Niedorośli.

– Wysikać się w spokoju nie można – mruknął doktor Tadeusz Opolski, ordynator dwóch oddziałów dla kobiet w pawilonie A. Pierwszego dla pobudzonych, drugiego dla niepobudzonych. – Zaraz zejść! – odkrzyknął. Wiedział, że przełożona Łucja Koszura na pewno go usłyszy. Łucja Koszura wszystko słyszała. I wszystkich. Najlepiej tych, którzy milczeli. Taki miała dar.

Doktor nie przerwał jednak tego, co robił, gdyż to, co robił, przerywało się samo. Hydraulika Tadeusza szwankowała coraz bardziej. Sikał tak, jak mówiła Bronka Zdrzałka z sali jedenastej: „Bo... o... o... o... łą... mnie gło... o... o... o... sy ... w... w... w... mooojej gło... o... o... wie”.

Opolski powinien zbadać jąkający się pęcherz moczowy. W najbliższym terminie. Zaraz po niedzieli.

– Panie doktorze! No pilna sprawa jest! Pan się pośpieszy – huknęła znowu siostra Łucja.

„Andrzej? Pewno coś zmalował. Tylko nie przed maturą. Utrapienie z chłopakiem. Ale dlaczego on dzwoni, a nie Krowa? Z sekretariatu zawsze ona”. Doktor podskoczył raz i drugi w nadziei, że wydali resztki moczu. Nie wydalił. Walnął tylko kolaniem o pisuar, zaklął i zapiął rozporek.

Przeszedł przez korytarz na drugim piętrze. Wiódł przez oddział dla kobiet pobudzonych. Doktor poczuł to co zwykle. Smród środków dezynfekujących, uryny i resztek ze śniadania. Może jeszcze zapach tanich perfum pielęgniarek i krwi miesięcznej pacjentek.

Ktoś stukał w ścianę. Ktoś szurał kapciami. Ktoś cicho śpiewał. Wciąż to samo zdanie. Wciąż tym samym tonem. „A na obiad zupa

z grzybami i pędrakami. A na obiad zupa z grzybami i pędrakami. A na obiad zupa z grzybami i pędrakami”.

Doktor zszedł na pierwsze piętro.

Zatrzymał się obok pokoju przełożonej.

Podrapał się za prawym uchem.

Zrobił cztery kroki do przodu.

Dwa kroki do tyłu.

Zapukał.

Poczekał.

Otworzył.

Włożył głowę między framugę a drzwi.

– U siostry telefon też nie działa?

– Od godziny bez sygnału. – Łucja Koszura stała odwrócona tyłem do doktora. Szorowała ręce nad pękniętą umywalką.

– U mnie od wczoraj. – Ordynator przeczesał włosy dłonią. – Zaraz. Skąd pani wie, że ktoś do mnie dzwoni?

– Portier Kanarek zgłosił to osobiście. – Koszura zakręciła kran. – Niech pan idzie do niego na dół.

– Słyszała siostra? Karwowska śpiewa o grzybowej i robakach – powiedział doktor Opolski.

– Wieczorem zaczniesz tłuć głową o ścianę i wzywać świętego Jerzego. – Łucja Koszura wycierała ręce. Od tyłu wyglądała jak dębowa szafa Heleny Opolskiej. Czterodrzwiowa. Wysoka i szeroka. Z łapami wielkimi jak szuflady. Żadna z pielęgniarek szpitala w Niedorośli nie była ani mała, ani słaba, ale Łucja Koszura wzrostem i siłą przewyższała wszystkie. – Insulina już przygotowana. – Pielęgniarka odwróciła się w stronę doktora i popatrzyła na niego z góry. – Dokładnie tyle, ile Karwowskiej trzeba na osiem godzin snu.

– Dziękuję. – Opolski skinął z szacunkiem głową.

Takim samym szacunkiem darzył swoją matkę. Do dziesiątego roku życia. Mniej więcej. Wtedy poznał tajemnicę jej ślepego oka i szacunek Tadzia do matki osłabł. Koszura wciąż jednak robiła wrażenie na ordynatorze. Mocna jak haloperidol. Skuteczna jak elektrowstrząsy. Kompetentna jak sam Opolski. Czasem nawet bardziej. Tylko ona bezbłędnie umiała określić, jaką dawką insuliny uśpić chorego na pół godziny, na godzinę, na dwie albo na

dwanaście. W mgnieniu oka oceniała wagę i stan psychiczny pacjentek. Nigdy się nie pomyliła. Nigdy nikogo nie wysłała na tamten świat. Ze śpiączek wybudzała tak sprawnie, jak usypiała. Nie czuła lęku przed najbardziej agresywnymi kobietami. Te nawet – Opolski od dawna żywił podejrzenie – lubiła najbardziej. „Moje wariatki”, mówiła często o wszystkich pacjentkach, a w jej głosie słychać było czułość i cierpliwość.

„Też byłby pan czuły i cierpliwy, jakby pan uspił w czterdziestym czwartym wszystkich chorych z trzech oddziałów”, mocno wstawiona Koszura przyznała się Opolskiemu w sylwestrową noc z sześćdziesiątego drugiego na sześćdziesiąty trzeci. To była jedyna zakładowa zabawa, w której wzięła udział. To był jedyny raz, kiedy Opolski widział ją podpitą. I jedyna chwila szczerości, na jaką sobie pozwoliła.

Skończyła wreszcie szorowanie, wycieranie rąk i usiadła na krześle. Sięgnęła po paczkę sportów. Zapaliła. Rzuciła na biurko zapalniczki w opakowaniu z napisem: PRAWIDŁOWO UMOCOWANA LAMPA ZAPOBIEGA WYPADKOM. Na granatowym tle cień chłopskiej furmanki z doczepionym lampionem. „A wóz z koniem bardziej niezawodny niż syrenka”, pomyślał Opolski.

– Telefony ciągle się psują – powiedziała przełożona.

– Tak jak ludzie. Odbiorę telefon u portiera, później zajrzę do pawilonu D. Gdyby szukał mnie doktor Złotoś...

– Syn mówił – Koszura przerwała Opolskiemu, puściła w stronę doktora kłęb dymu; kopciała jak komin szpitalnej spalarni – że pana żona w klinice.

– W klinice? W jakiej klinice?

– W szpitalu miejskim. Na alei Dwudziestolecia.

– Barbara?

Ordynator wybiegł z pokoju przełożonej.

W jego głowie pojawiły się rozmaite scenariusze.

Wypadek, napad, gwałt, rabunek.

W środku dnia?

Nigdy nic nie wiadomo.

Wpadł do dyżurki.

Skinął portierowi na powitanie i chwycił za telefon.

– Andrzej? Co z matką? Żyje? Nie Andrzej? Paweł? A co ty robisz w Bolegoszczy? Nie będziesz się tłumaczyć? Jak to? Niemożliwe. Dlaczego nie chcą ci nic powiedzieć? Dam spokój, kiedy się dowiem. Zaraz przyjadę.

Doktor Opolski rzucił słuchawkę na widełki.

– Panie Józefie, mamy wolny jakiś ambulans? – zwrócił się do portiera Kanarka.

– A co? Syrenka pana doktora wciąż popsuta?

– Nie mam kiedy oddać do warsztatu. U starego Świerszcza termin dopiero za tydzień.

– Świerszcz najlepszy, trzeba poczekać. To tak. Dwa ambulanse stoją na parkingu. Pan sobie wybierze. – Kanarek lekko przesunął służbową czapkę na środek głowy. Podrapał się po czole pełnym bruzd i zmarszczek. W zębach trzymał zapalną.

– Szybszy. Wybieram szybszy.

– Rozumie się. Szybszy. Szybszy jest Zenek Jasieczko. Ten drugi, Jurek Furmanek, e, szkoda gadać. Jak to furmanek. Kierownicę ściska niby lejce kulawej chabety.

– O ambulansie mówiłem. Nie o furmance.

– A ja o szoferze. Pan doktor może nie wie, ale wszystkie nasze karetki jeżdżą jak po lekach na głowę. Znaczy ledwie, ledwie. Rzecz rozchodzi się o kierowcę. Lepszy ten, który szybciej dojedzie.

– Zenek Jasieczko – powtórzył doktor Opolski. – Zenek Jasieczko. A pożycz mi pan swój płaszcz? Mój został na górze.

Kanarek bez słowa sięgnął po długi ciężki szynel w burym kolorze. Cuchnął starym, wojennym potem. I jeszcze czymś. Opolski znał ten zapach.

– Czy to palto...?

– Jak się patrzy, prawda? Leżeć będzie na panu doktorze gładko jak chłop na babie.

– Czy ono jest po zmarłym? – zapytał Tadeusz.

– Znaczy...

– Znaczy?

– Aj tam, zaraz po zmarłym. Po prostu po ukatrupionym Szwabie. Ale to nie ja Niemca rąbnąłem, tak dla jasności. Nie ja. Inni go na widłach roznieśli, jak front przechodził. Ja tylko mantel wzięłem

z jego szafy. Wisiał to wzięłem. Jakbym ja nie wziął, to inny by zabrał. Wszyscy brali, jak była okazja. Czuje pan, panie doktorze, jaki on ciepły? Może pan w nim zasuwać z Zenkiem pod sam Stalingrad.

Opolski nie mógł trafić ręką do drugiego rękawa.

– Czapkę też panu doktorowi pożyczyć? – Kanarek zdjął służbowe nakrycie głowy, ale ordynatora już przy nim nie było.

Pędził na parking.

Lekkie płócienne buty topiły się w grudach marcowego błota i resztek śniegu.

Po kilku krokach Opolski poczuł, że skarpety i nogawki spodni przemakają. Że w szpitalnych pantoflach chlupie woda.

Jeszcze tylko dwie alejki przyszpitalnego parku. Wzdłuż pawilonu B.

Ordynator schował zmarznięte ręce do kieszeni. W lewej wyczuł paczkę papierosów. W prawej garść drobnych kamieni.

Jeszcze tylko dziedziniec główny.

Północny wiatr urywał konary drzew. „Mogłem jednak wziąć czapkę Kanarka”, pomyślał. Postawił kołnierz płaszcza. Ukrył twarz między wyłogami kołnierza.

Jeszcze tylko pół dziedzińca.

„Zenek Jasieczko”, powtórzył.

– Tadeusz Opolski? – usłyszał za sobą.

Odwrócił się gwałtownie. Lewa noga wjechała na rozmarzniętą błotnistą kałużę. Prawa za nią. Po chwili ordynator, w płaszczu po zabitym Niemcu, wyłożył się na ziemi. Padł na plecy. Poczuł, że coś łupnęło, chrupnęło w jego łędźwiach. Ujrzał nad sobą siwe niebo, kłęby czarnych chmur. A z boku tłumiony rechot.

„Tego brakowało”, mruknął pod nosem.

– Owszem. Tadeusz Opolski. We własnej, sponiewieranej – ordynator wciąż leżąc, otrzepywał rękawy płaszcza z lepkiego błota – osobie. A panowie? – zapytał, unosząc się na łokciach. Potłuczonego odwłoka nie miał siły unieść.

– Doktor pojedzie z nami.

Przed ordynatorem stało dwóch. Jeden w fedorze i długiej czarnej jesionce. Drugi w kurtce (na watolinie) z futrzanym kołnierzem i czapce pilotce na głowie.

Ten pierwszy jedną ręką przytrzymał kapelusz, drugą płaszcz. Ten drugi próbował skrzesać ogień zapałką.

Wiatr wiał coraz mocniej.

„Esbecka moda polska. Od dwudziestu pięciu lat taka sama”, pomyślał doktor, podnosząc się z trudem.

– Pojadę, pojadę. Może nawet z wami, ale do żony. Podwieziecie mnie, panowie, do szpitala? – Opolski wykonał obrót i przeszedł z pozycji siedzącej do klęczącej. Spodnie w jodełkę i jeszcze rano w kancik szlag trafił. Ostatni raz Tadeusz upaprał się w ten sposób, kiedy był jeszcze Tadziem. Prawie czterdzieści lat temu. W trzeciej klasie szkoły powszechnej. Kiedy zsiąkał się z trwogi przed bernardynem sąsiadów. Nigdy nikomu nie przyznał się ani do strachu przed psem, ani do wstydliwego zachowania. Nawet Jerzemu, starszemu bratu, przed którym nie miał przecież żadnych tajemnic. Wrócił do domu uwalany po pas błotem, trawą i moczem. Wtedy też skłamał po raz pierwszy. „Upadłem”, wyjaśnił ojcu, sędziemu sądu powiatowego. Nic więcej nie powiedział. Przeczynał, że im więcej słów, tym więcej kłamstw. Im więcej kłamstw, tym więcej bólu.

Teraz czuł ten sam ból.

Natychmiast powinien coś zrobić.

Natychmiast.

Wstał, ukrywając grymas cierpienia. Rozpiął płaszcz portiera Kanarka. Wyciągnął z kieszeni fartucha wykrochmaloną białą chustkę z inicjałami T.O. i wytarł nią spodnie.

Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze widział jego poniżenie. Rozejrzał się. Nikogo nie zauważył. Oprócz Bronki Zdrzałki, która stała z czołem przylepionym do szyby w oknie na pierwszym piętrze pawilonu A.

– Raczej żonę do pana podwieziemy – powiedział ten w jesionce.

– Tylko po co? Po takim szusie to przez długo żony pan nie będziesz potrzebować – powiedział ten z papierosem. W końcu go zapalił.

– Tam, za dębem. Do samochodu – dodał ten w palcie.

„Czarna wołga. Oczywiście. Jakże by inaczej”, pomyślał ordynator.

– Nie mam czasu na towarzyskie spotkania – powiedział.

– Wszystkiego doktor dowie się na miejscu.
Opolski wyprostował się.

Zanim wszedł do samochodu, odwrócił się i ostatni raz spojrzął na pawilon A. Bronka Zdrzałka wciąż stała z głową wklejoną w szybę. Ordynator wiedział, co mówi. Powtarzała to samo zdanie od ponad tygodnia. „Niech szesznią kartofle. Tłuczek z nimi. Na wieki wieków amen”.

Ten z papierosem w zębach prowadził.

Ten w jesionce nucił:

Pieścić nie warto, łowić nie warto,
Stracić nie warto, zarobić nie warto.
Sprzedać nie warto i kupić nie warto,
Jedno, co warto, to upić się warto...

„Trzyma, skurczybyk, rytm tanga”, pomyślał ordynator Opolski i skrzywił się. Ból dolnej części pleców stawał się coraz silniejszy. Doktor postanowił o nim nie myśleć. Postanowił trzymać się godnie.

Wołga wyjechała z Niedorośli, leżącej dwadzieścia kilometrów od Bolegoszczy. Toczyła się po trakcie ułożonym z kocich łbów. W samochodzie trzęsło. W rytmie tanga. W rytmie niepewności. W rytmie złości.

Kierowca wydłubał papierosy z wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Kurwa, się skończyły. Masz pan może? – zwrócił się do Opolskiego.

Ordynator włożył rękę do kieszeni płaszcza po Niemcu i wymacał paczkę fajek Kanarka. Znalazł też zapałki. Wyłuskał pudełko i spojrzął na przasną grafikę. Na czarnym tle zielony badył z czerwonymi owocami. Wokół zielona obwódka. Na niej napis: LUCERNA ZAPEWNIA WYSOKOBIAŁKOWĄ PASZĘ.

„A myszy laboratoryjne chroni przed hipoglikemią”, przypomniał sobie i wsunął zapałki z powrotem do kieszeni.

– I co? – zapytał kierowca.

– I nic. Nie mam – odpowiedział Opolski. – Nie palę.

Wjeżdżali do Bolegoszczy.

Do miasta ani małego, ani dużego, ani starego, ani młodego.

Wszystkiego, co najważniejsze, Bolegoszcz miała po cztery. Cztery parafie (trzy katolickie, jedną prawosławną). Cztery cmentarze (dwa katolickie, jeden prawosławny i jeden komunalny). Cztery wydziały sądu w czteropiętrowym budynku. Cztery po cztery główne ulice. Cztery po sześć miejskich linii autobusowych. Cztery razy po czterdzieści kilometrów do granicy wschodniej. Tyle samo do Warszawy, do Białegostoku i do Lublina.

Jedynie rzekę Bolegoszcz miała jedną, zmienną jak cztery pory roku. Bola dzieliła miasto na dwie nierówne części (a łączyła tylko dwoma mostami, od kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym jej nurt porwał trzeci most – pontonowy). Na tę lepszą, po prawej stronie, gdzie toczyło się życie (w parafiach, w sądach, w szkołach, na głównych ulicach, a nawet na cmentarzach), i na tę gorszą, po lewej stronie, od zawsze nazywaną Kuliczkami. Podobno sam czort rzadko zaglądał w te strony.

Samochód gwałtownie podskoczył. Wjechał na kamień albo w dziurę.

Doktor uderzył głową o dach wołgi.

Kierowca zaklął.

– Gówniane ulice. Doły chyba jeszcze przedwojenne.

Po chwili zahamował gwałtownie na ulicy Benedyktynskiej. W pobliżu kościoła Świętego Jakuba i klasztoru.

– Wysiadać – zarządził esbek w jesionce.

– Ale...

– Na kawę pan doktor teraz pójdzie. Tutaj. Do Romantycznej.

– Kawę już piłem – odpowiedział doktor. Na ścianie kamienicy, w której znajdowała się knajpa, dostrzegł wryty scyzorykiem napis: JACKOWSKA TO KURWA, KOŹMIŃSKA TO KURWA, ALDONA TO KURWA, KURRRWA ODDAJCIE PAPIEROSY! – Już piłem – powtórzył. – Kolejnej nie chcę. Nie mogę – tłumaczył.

– A to – kierowca popchnął doktora w stronę drzwi restauracji – to się jeszcze okaże.

5.

– To się jeszcze okaże, o której stąd wyjdziecie. I czy w ogóle wyjdziecie. Macie coś na swoje usprawiedliwienie? – Dyrektor Wanda Maciejewska ściągnęła brwi. Bruzda na jej czole była głęboka jak świeżo wykopany rów wzdłuż szkoły. Od strony boiska. Z powodu awarii kanalizacji. Dzień wcześniej coś się przytknęło, zatkało, pękło i wystrzeliło. Jakby trzystu uczniów wraz z ciałem pedagogicznym puściło w tym samym momencie pawia do klozetu. Może nie tylko pawia? Smród wokół budynku, a nade wszystko w budynku, był nie do zniesienia. Jak ci dwaj, którzy ze spuszczoneymi głowami i ramionami siedzieli przed nią. „Niewykluczone, że uszkodzone rury to również ich sprawa”, pomyślała dyrektor Maciejewska. „Cholerni anarchiści”. Skrzywiła się. Nawet w myślach nie lubiła używać inwektyw.

Zawiesiła spojrzenie na wizerunku towarzysza Wiesława, który również był zawieszony. Na ścianie. Pod usychającą paprotką. Szkolna sekretarka Krowa (nikt nie wiedział, kto i dlaczego wymyślił takie przezwisko) znowu zapomniała o podlaniu kwiatka. Jedyne w gabinecie dyrektorki. Z drugiej strony, kiedy Krowa dbała o paprotkę, na głowę Wiesława kapiała z donicy brudna woda. Złe miejsce na portret towarzysza. Lepszego jednak Maciejewska nie znalazła. Tylko spod paprotki Wiesław mógł patrzeć dyrektor Maciejewskiej prosto w oczy. A ona jemu.

Dzisiaj pierwszy sekretarz spoglądał na towarzyszkę Wandę wzrokiem karcącym, pełnym pretensji. Aby go uniknąć, Maciejewska równie karcąco przyglądała się Andrzejowi Opolskiemu i Bolkowi Świerszczowi.

– Raz jeszcze pytam: macie coś na swoje usprawiedliwienie?

Bolek szturchnął Andrzeja łokciem.

Andrzej gapił się na świeżo wypastowaną podłogę.

– Na co się tak gapisz? – Bolek dwie godziny wcześniej usiadł w ławce obok Andrzeja w sali historycznej.

– Na nic. – Andrzej wyrównał książki na pulpicie ławki. W puste miejsce po kałamarzu wrzucił śmieci, które zgarnął z blatu.

– Słuchaj. A wiesz to na pewno? Bo tak na pałę, to ten. Nie bardzo. – Świerszcz gmerał w uchu paluchem tłustym jak serdelek.

– Na jaką pałę? Przecież wszyscy wiedzą. – Opolski znowu patrzył przed siebie.

W drugiej ławce w rzędzie pod oknem siedziała ona. Ewa Mazurkówna. W tym tygodniu pełniła dyżur klasowy. Właśnie wywietrzyła salę. Wyszorowała tablicę. Przygotowała kredę. Rozwiesiła rozbiorową mapę Polski. Rozwiązała i zawiązała wstążkę na jasnym warkocz, którego koniec dyndał nad wąską talią Ewy. Nad talią podkreślona wcięciem granatowego fartucha.

Andrzej zajmował miejsce w przedostatniej ławce. Zamiast myśleć o tym, co dzieje się na lekcjach (nie tylko historii), najczęściej marzył. Powoli rozwiązywał błękitną lub różową wstążkę Ewy, jeszcze wolniej rozplatał ciasny warkocz. Obejmował dziewczynę mocno w pasie. Przyciągał do siebie. Kładł dłonie na piersiach. Zanurzał twarz we włosach, które – jak sobie wyobrażał – pachniały polnymi kwiatami. Później rozpinął czternaście guzików fartucha, a następnie...

– Wylądujesz u Maciory. – Bolek szturchnął Andrzeja w bok.

– Tarczę popraw. Agrałka ci się odpięła.

– Nie boisz się?

– Matka mogłaby ci przyszyć. – Andrzej szarpnął swoją tarczę. – Widzisz? – Jego tarcza mocno trzymała się rękawa ciemnego pulowera. Nie przyznał się, że krawieckimi naprawami w domu Opolskich nie zajmuje się Barbara, lecz pani Janeczka, którą ojciec chyba niedawno zwolnił. A może nie zwolnił? Andrzej podrapał się w głowę. Rzadko bywał w domu, jeszcze rzadziej słuchał tego, co mówią rodzice.

– Ty wiesz, ile moja stara ma roboty przy piątce dzieci? Więcej niż ojciec, który od rana do nocy siedzi na warsztacie.

– Słuchaj, jak tylko zadzwoni dzwonek, ja biegnę do tablicy, a ty robisz porządek z krzesłem.

– Nie tak się z tobą umawiałem. – Bolek oblizał palec, który właśnie wyjął z ucha. – W ogóle się z tobą nie umawiałem.

– No to właśnie się umówiłeś. Trzymaj. – Andrzej sięgnął do teczki. – No trzymaj.

Świerszcz zobaczył na dłoni Opolskiego garść pinezek i kilka gwoździ.

– Nie chcę później do Maciory – powiedział.

– A marlboro chcesz?

Maciejewska sięgnęła po paczkę sportów.

Patrzyła na chłopców.

Chłopcy uciekali wzrokiem to tu, to tam.

Trwała rewia spojrzeń nudniejsza niż Festiwal Piosenki Żołnierskiej.

– Macie coś do powiedzenia?

Nie mieli.

Za to Krowa miała. Sekretarka. Znowu bałbotąła przez telefon. W służbowych godzinach. Jej krowi głos, donośny jak dzwonki na szyjach holenderek, dobiegał zza nieomkniętych drzwi:

– No nie wiem, jak ty to sobie wyobrażasz. Jak masz dzieci w wieku pracochłonnym, to musisz sama się poświęcić. Oj, Franek, Franek. Jakby Franek umiał zajmować się bachorami, toby sam je sobie urodził. Chłop nie od tego jest, mówię ci, Walerka. Kto ci ich będzie pilnował, ja? Ty o mnie nawet nie myśl! Ciotka, ciotka. Jaka ze mnie ciotka? O nie. Że nie mam własnych, to znaczy, że mam czas i że mogę? Nie mogę. Ty mnie, Walerka, nie wrabiaj. O placówkach pomyśl. Żłobek. Przedszkole. Co? No może nie mam instynktu, jak ty to mówisz. Ale za to mam święty spokój. Słyszałaś, że Halina znowu...

Maciejewska poczuła dobiegający z sekretariatu zapach lakieru do paznokci i czarnej kawy.

– Bo my, pani dyrektor, przypadkiem. Nie chcieliśmy – odezwał się wreszcie Andrzej, przerywając dyrektorce w pół myśli.

– Przypadkiem? Ty, Opolski, przypadkiem napisałeś na tablicy obraźliwe zdanie. – Maciejewska podniosła się zza biurka. Z ręką na biodrze, kuśtykając z trudem, podeszła do portretu Gomułki. Wyjęła z kieszeni żakietu chustkę i przetarła nią oblicze wodza.

Bolek obgryzał paznokcie.

Andrzej obserwował przez okno dziewczyny z dziesiątej a, które biegały wokół boiska.

– Na jakiej podstawie, Opolski, uważasz, że to przypadek? Wytłumacz się, proszę.

Andrzej w grupie ćwiczących dziewcząt rozpoznał Julkę Zawadzką. Nigdy wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. I na jej biust. Duży, jędrny „i wyzywający”, skonstatował. Najlepszy miała Ewka.

– A ty, Świerszcz, przypadkiem rozrzuciłeś na krześle profesora Stillera pinezki? – Maciejewska wróciła na miejsce za biurkiem. – Przypadkiem też rzuciliście się obaj na pomoc profesorowi, który stracił równowagę? A później zasłabł? Przypadkiem wyczyściliście jego garnitur brudną szmatą od tablicy? – Dyrektorka walnęła dłonią w blat.

Świerszcz podskoczył.

Opolski spokojnie spojrzął na dyrektorkę.

Krowa po drugiej stronie gabinetu strąciła szklanekę z kawą na podłogę. Zza drzwi dobiegło przekleństwo i „Zadzwoń później, Walerka”.

– Przypadkiem roztarliście resztki kredy na marynarce i na spodniach profesora? – Maciejewska znowu zajęła miejsce za biurkiem. – Przypadkiem zamiast do pielęgniarki sprowadziliście go do kotłowni? Przypadkiem? Przypadek, Świerszcz z Opolskim, to jest *nominativus, genetivus, dativus...*

– ...*accusativus, ablativus...* – Andrzej patrzył Maciejewskiej prosto w oczy.

– Świerszcz, wymień następny po ablativusie. – Dyrektorka przerwała Opolskiemu. Założyła za ucho wymykający się z koka kosmyk siwych włosów.

– Przypadkiem... zapomniałem – bąknął Bolek.

– Lepiej siedź cicho, głąbie. Opolski, jak to wyjaśnisz?

– Bardzo prosto. Bolek, pani dyrektor, nie ma czasu na łacinę. W domu ceruje skarpety i przyszywa tarcze rodzeństwu.

– Ty, ty... – dyrektorka zapowietrzyła się. – Ty...

– ...bezczelny arogancie – powiedziała Ewa, kiedy cała klasa zgromadziła się na dziedzińcu, przyglądając się w milczeniu, jak

dwóch sanitariuszy pakuje do karetki profesora Stillera, leżącego na noszach. – Jak mogłeś?

Mazurkówna podeszła do stojącego na uboczu Andrzeja i odezwała się do niego po raz pierwszy od dziewiątej klasy. Ignorowała chłopaków, Opolskiego w szczególności.

„Dla ciebie to zrobiłem”, wyjaśnił dziewczynie w duchu Andrzej. „Żebyś wreszcie na mnie spojrzała. Jak na człowieka. Jak na faceta”.

– Ktoś wreszcie musiał wyrazić na głos... – zaczął.

– „Wyrazić na głos”? Głupi jesteś. Co ty wiesz o życiu? – zapytała Ewa.

– A ty? Co ty wiesz o życiu, panno nadęta? – odparował Andrzej.

– O życiu w Dachau? Nic.

Ewa drżała. Mogła wybaczyć Opolskiemu arogancję i bezczelność, ale nie okrucieństwo. Jakim prawem napisał na tablicy: „Kapusie z Dachau do budy! Hau, hau!”. Z drugiej strony nawet do niej dotarły plotki ludzi, którzy tyle lat po wojnie wciąż szeptali, że Stiller kupił swoje życie w obozie za życie współwięźniów.

Szczękała zębami. Marcowy wiatr przenikał przez fartuch i cienki sweterek.

– Przyniosę ci palto albo chustę. Tę czarną w kolorowe kwiaty. W róże. Chyba. Chcesz? – zapytał Andrzej.

– Nie chcę. – Ewa pociągnęła nosem. – Twój brat jest prawnikiem, prawda?

– Studiów jeszcze nie skończył.

– Więc niech ci powie.

– Nawet jak mówi, to go nie słucham.

– Więc niech ci powie, że najpierw dowody, a później oskarżenia.

– Ty też idziesz na prawo? – Andrzej nie wiedział, jak zmienić temat.

Było mu coraz bardziej łyso. Co miał jednak zrobić? Kwiaty, które zostawiał Ewie w szatni na wieszaku pod jej płaszczem, oddawała pryszczatej Agacie. Na jego oczach i w jego obecności. Poetyckie liściki, nierymowane, ale jednak poetyckie, pełne przymiotników: „śliczne”, „obłądne”, „szałowe”, które wysyłał do niej pocztą pantoflową, wyrzucała bez czytania. Nie odpowiadała na „serwus” ani na „do zobaczenia”. Słyszał, że Mazurkównę często można zobaczyć

w kościele, a to w farze, u benedyktynów, a to u Świętego Jakuba, ale do kościoła Opolski nie chodził. Nie poszedłby nawet dla Ewy.

– Nie twoja sprawa, czy idę na prawo, czy w całkiem inną stronę. – Ewa odwróciła się od Andrzeja. – Aha. – Zatrzymała się. – I przestań na lekcjach ciągle gapić się na mnie.

– Co ty? Oczy masz w dupie? – Opolski nie wytrzymał. Od razu pożałował.

Przemarznięta dziewczyna uciekła do szkoły.

Andrzej patrzył na kształtne pośladki Mazurkówny.

Na jej szczupłe łydki, tak zgrabne jak łydki matki Andrzeja.

Na jej wąskie kostki.

Gdyby potrafił, zrobiłby Ewie teraz piękną fotografię.

Od tyłu.

Do tyłu? Czyżby towarzysz Wiesław oglądał się za siebie? Czyżby ze wzgardą odwracał się od dyrektora Maciejewskiej? Nie. To tylko złudzenie.

Dyrektorka od dłuższej chwili szukała zapalek. „Wiesiu, dopomóż. Nie, spiczki sama znajdę. Tym sobie głowy nie zawracaj. Ty doradź, jak z nimi rozmawiać? Co to za młodzież jest? Co z niej wyrośnie? Bez ideałów. Bez autorytetów. Bez wiary”.

Właśnie. Bez wiary. Czego jak czego, ale braku wiary dyrektor Maciejewska nie pojmowała. Ona na przykład głęboko wierzyła. Po pierwsze: w niewinność Sokratesa, w kalokagatię Platona, w żarty Arystofanesa i w to, że Homer był kobietą. Po drugie, po trzecie, po czwarte i po dziesiąte: w nieomylność partii. Zaczęła w nią wierzyć zaraz po wojnie, gdy okazało się, że katolicyzm jest omylny, a Bóg katolików jeszcze bardziej. Najpierw dopuścił piekło na ziemi, po piekle koniec świata. Obiecane zmartwychwstanie ciał nie nastąpiło, chociaż Maciejewska do końca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego czekała na wskrzeszenie trupa Ukraińca Hryńki. Jak on całował. Jak kochał chromą nogę Wandeczki. I zginął. Dlaczego? Dlaczego tak?

Dyrektorka podejrzewała, że zawstydzony swoją słabością Bóg schował się przed nią w zakładzie dla nerwowo chorych w Niedorośli. Teraz czasem woła, że jest Żydem i że chce do Palestyny; innym razem, że On czystej krwi polski goj i że musi z pielgrzymką na Jasną

Góre; a kiedy oszukuje z pigułkami, grozi, że wróci do rasowych Niemców. Bo przecież dobrze pamięta, że *Gott mit uns*.

Lepiej w Niego nie wierzyć niż wierzyć.

W coś jednak wierzyć trzeba. Zamiast. Taki jest wewnętrzny porządek każdego człowieka. Taka jest jego ludzka kondycja.

Niewiara w Boga i wiara w socjalizm pomogły Maciejewskiej awansować z przedwojennej nauczycielki łaciny i greki na powojenną dyrektorkę Liceum Ogólnokształcącego im. Synów Pułku w Bolegoszczy.

„Durne życie”, pomyślała. „Durniejsze niż tych dwóch tutaj”.

Świerszcz i Opolski wciąż przed nią siedzieli.

Odetchnęła głęboko.

Na wiarę, niewiarę i na niesfornych uczniów najlepsze były papierosy.

– Papierosy. Dawaj marlboro. – Świerszcz wyrósł obok Opolskiego, kiedy tylko Mazurkówna zniknęła z pola widzenia. I rażenia. Na Świerszcza też działała, chociaż nikomu się do tego nie przyznał. „Nie dla psa kiełbasa”, myślał, kiedy patrzył na dziewczynę ukrytą podczas wszystkich przerw za okładkami książek i zeszytów. Ciągle czegoś się uczyła.

– Później – powiedział Opolski. – Narobiło się, cholera jasna.

Wciąż stali na dziedzińcu i obserwowali, jak karetka odjeżdża spod szkoły, jak nauczyciele i uczniowie wracają do swoich zajęć, jak znika garstka gapiów obserwujących aferę ze szkolnych okien, jak wreszcie w głównym wejściu do Synów Pułku pojawia się dyrektor Maciejewska i kiwa na nich, na Opolskiego i Świerszcza, długim palcem.

Chłopcy usłyszeli sygnał karetki, a po chwili wołanie Maciejewskiej: „Do mnie, głąby!”. Ujrzeni, jak kuśtyka w ich stronę, podpierając się laską.

– Bardzo źle ze Stillerem? – zapytał Andrzej. – Wiesz coś może?

– E tam. Przeżyje. Wydłubią mu z dupy pinezki i wróci. Pytałem o papierosy. – Bolek znowu grzebał w uchu.

– Nie masz większych zmartwień?

– Nie.

– Maciora idzie po nas. Usprawiedliwienia za ostatni wtorek napisałeś?

– Nie.

Bolek był geniuszem w podrabianiu podpisów. Nie tylko zresztą podpisów. Potrafił imitować zamaszyste pismo doktora Opolskiego, kulfony własnego ojca, drobne litery Dzidzi, młodszej siostry, a nawet dostojną kaligrafię dyrektora Maciejewskiej. Zdradzały go jedynie błędy ortograficzne. Ale nad tym, żeby się nie pojawiały, czuwał Andrzej.

– To napisz – fuknął Opolski. – Dzisiaj godzina wychowawcza. Ona – wskazała głową na zbliżającą się Maciejewską – pewnie przyjdzie na lekcję za Stillera. Będzie się czepiać każdej nieobecności.

– Zapomniałem. Ty też zapomniałeś. Zapomniałeś, że obiecałeś fajki, Opolski. Umowa jest umowa. Dawaj. – Bolek chciał trącić Andrzeja w bok, lecz ten uskoczył. – Świnia jesteś – powiedział. – Dałeś słowo.

– Zapomniałeś, Świerszcz, przypadkiem zapomniałeś łacińskich przypadków. Dlaczego nie jestem zdziwiona? Ty, przepraszam, wy – dyrektor Maciejewska znowu sięgnęła po papierosa, znowu rozejrzała się za zapalkami, znowu ich nie dostrzegła, cisnęła więc paczką sportów o stół – powinniście wiedzieć, że wasz wychowawca przeszedł kolejny zawał serca. Nie wiadomo, czy przeżyje. Wspaniały prezent otrzymał od swoich uczniów, prawda? Przypadkiem. Na dwa miesiące przed maturą – profesor Maciejewska podniosła głos.

Razem z głosem podniosła resztę ciała.

Podeszła do okna. Wyrzała na dziedziniec. Trzeba posprzątać na wiosnę obejście szkoły. Trzeba posadzić nowe kwiaty na rabatach. Przyciąć gałęzie wierzby. Niech tylko wiatr przestanie wiać. Niech tylko wreszcie wyrzy słońce.

– Świerszcz, Opolski, jakie wy macie plany na przyszłość?

Andrzej otrząpywał spodnie z niewidocznych pyłków.

Bolek gapił się na niedomyte ręce. Mógł szorować łapy godzinami, a smar i tak zostawał na skórze.

– Pani dyrektor! Z województwa dzwonią! Łączyć? – zawołała Krowa zza drzwi.

„Zadek mogłaby ruszyć”, pomyślała Maciejewska.

– To co mam powiedzieć? – Krowa znowu krzyknęła.
– Że mam pilną rozmowę z aktywem! – odpowiedziała. –
Więc? – zwróciła się do chłopców.

– Zdaję na medycynę – odpowiedział Andrzej.

– A ja będę robił na zakładzie – wyjaśnił Bolek. – Na mechanicznym.

– Na zakładzie. Na mechanicznym. – Maciejewska powtórzyła za Bolkim. Spojrzała na niego. Przedstawiciel klasy robotniczej. Spracowane, brudne dłonie, silne ramiona, szeroka klatka piersiowa (pewnie owłosiona). Chłopak jak z powojennego plakatu. Zaraz, zaraz. Przedstawiciel klasy robotniczej? Jego ojciec to prywaciarz! Właściciel warsztatu samochodowego. Przedsiębiorca kapitalista. Podróża proletariatu. Fałszywka. „Wiesiu, ratuj!”, westchnęła. – Dlaczego, Świerszcz, wybrałeś liceum, a nie technikum mechaniczne?

– Bo do Białegostoku było za daleko, a ojciec potrzebuje kogoś, kto rozezna się na biurowych papierach.

– Kogoś, kto rozezna się na biurowych papierach, powiadasz – westchnęła Maciejewska. – Słuchaj, Świerszcz, z ciebie nic już nie będzie. Głębem byłeś i głębem będziesz. Skończysz między podwoziem a karoserią. Będziesz oliwić tryby, przykręcać śruby, grzebać w mechanizmach silnika o budowie bardziej skomplikowanej niż twoja durna głowa. Ale ty, Opolski? Syn najlepszego w całym województwie psychiatry? Syn, który przynosi wstyd rodzinie? Nie nauczono cię szacunku dla starszych i dla mądrzejszych od ciebie?

Maciejewska odgarnęła ze złością stertę papierów. Pod nią zobaczyła zapalki. Znalazły się. Jak zwykle z wróżbą. DO PUNKTU SKUPU DOSTARCZAJCIE ZWIERZĘTA NIEOKARMIONE!, przeczytała ostrzeżenie. „Tylko w jakim punkcie skupu przyjmują bydło przekarmione, bydło, które siedzi przede mną? W żadnym. W żadnym!”, pomyślała ze złością.

– Profesor Stiller przeżył Dachau, ale was może nie przeżyć. – Zaciągnęła się papierosem. – Wiecie, że przed każdą lekcją z waszą klasą zażywa nitroglicerynę? Wiecie, że na hasło „jedenasta b” prostuje się jak przed plutonem egzekucyjnym? Chcecie go wykończyć? Chcecie go zabić? – Zakaszła. – Ty, Opolski, na medycynę zdajesz, tak? Chyba po moim trupie, Opolski, chyba po

moim trupie, którego nie pokroisz w prosektoarium, gdyż Opolski, nie dopuszczam cię do matury. Bez matury możesz zapomnieć o studiach, o zajęciach z patomorfologii i o moim truchle w kostnicy. – Zdusiła na wpół wypalonego papierosa. Poczwała chęć na gęstą czarną kawę prosto od Krowy. – „Było, minęło”, jak ty to mówisz. A może twój ojciec tak mówi? Właśnie, twój ojciec. Bo widzisz, Opolski, może jest tak – profesor Maciejewska znowu zmarszczyła czoło – że doktor Opolski dba o wszystkich nerwowo chorych w całej okolicy, ale na ciebie nie ma już czasu? Albo siły. Kto wie. Ja mam i czas, i siłę. Nie z takimi jak ty dawałam sobie radę. Zrozumiano?

– Zrozumiano? – zapytał Opolski, błogosławiąc nieoczekiwany zwrot akcji. Takie rzeczy zdarzały się tylko w kinie na amerykańskich filmach sensacyjnych. Byłby skończonym fajfusem, gdyby go nie wykorzystał.

Stała przed nim. Drżąca Mazurkówna. Z rumieńcami na zazwyczaj białych policzkach.

– Zrozumiano? – zapytał raz jeszcze.

Milczała.

Spotkał ją chwilę wcześniej w podpiwniczeniu, w szatni. Sądził, że prymuska popędziła już na język polski. Że siedzi z ręką do góry i cytuje podczas powtórkowego szaleństwa Przerwę-Tetmajera na zmianę z Kasprowiczem. Miała dryg do wierszyków. I do języków obcych. Najlepsza z łaciny i z niemieckiego. Łacińską składnię ACI tłumaczyła każdemu oprócz Opolskiego. Niemiecką stronę bierną we wszystkich szwabskich czasach wyjaśniała każdemu oprócz Opolskiego. Tymczasem – proszę. Zamiast siedzieć w sali pięćdziesiąt dwa, szukała w szatni swojej wełnianej chusty.

– Zostaw mnie – odpowiedziała Ewa.

Przywarła do ściany z siatki. Poczwała żelazny wieszak na wysokości karku, a także smród trampek, który unosił się w szatni jak poranna mgła nad Bolą.

Andrzej przysunął się do Ewy. Głęboko wciągnął powietrze. Nie. Jej włosy nie pachniały polnymi kwiatami. Jej włosy pachniały sianem. Letnim sianem. Obietnicą tego, co na sianie.

Delikatnie polizał ucho dziewczyny.

– Nie będziesz ze mną tak rozmawiać. Nie będziesz gardzić mną ani mnie unikać – wyszeptał. Schował twarz we włosach dziewczyny. – Będziesz ze mną rozmawiać, kiedy się do ciebie odezwę. Będziesz patrzeć mi prosto w oczy, kiedy spojrzę na ciebie. Będziesz...

– Opolski, na górę! Czego ty tam w szatni szukasz? – rozległ się w holu na parterze zachrypnięty głos Maciejewskiej. – Ale już!

– Kurtkę tylko wezmę, pani dyrektor! – krzyknął. – Zrozumiałaś? – Opolski odsunął się od dziewczyny.

Oddychała szybko i płytko.

– Będziesz odpowiadać na moje pytania, rozumiesz?

Opolski poczuł dłoń dziewczyny na swojej twarzy. Policzek mocny jak setka wódki, na którą poczuł nieodpartą ochotę.

Ewa bez chustki i bez odpowiedzi na pytanie Andrzeja uciekła na górę.

– Idź no, Bolek, i zobacz, co ten Opolski robi na dole. – Dobiegł Andrzeja rozkaz Maciejewskiej. – Natychmiast, Bolek.

Bolek potarł nos brudną łapą.

– Ciebie, Świerszcz, dopuszczam do egzaminu dojrzałości.

– Dziękuję, pani dyrektor. Ja wiedziałem, że...

– I tak nie zdasz.

– To klawo... Zaraz no, kurde. Nie. No nie mogę. Ja tam wolę karę. To ja, pani dyrektor, wymyśli... – Bolek próbował się tłumaczyć, ratować sytuację i paczkę obiecanych marlboro.

– Nie ty. Nie wmówisz mi, że jesteś winien. Już ja wiem, kto jest mózgiem waszego tandemu. Prawda, Opolski? Ty też wiesz. Masz prawo do ostatniego słowa. Słucham.

Dyrektor Maciejewska czekała na „przepraszam”, na „przykro mi”, na „to się więcej nie powtórzy”, najchętniej na „błagam, niech mi pani tego nie robi” lub na jakiegokolwiek łgarstwo, które ocaliłoby niepokornego smarkacza. I jego przyszłość.

Andrzej Opolski wstał.

– Mogę wyjść?

Dyrektorka zatrzymała papierosa w połowie drogi do ust.

– Mam spotkanie, śpieszę się – wyjaśnił, rozkładając ręce.

I bez zezwolenia opuścił gabinet.

Maciejewska zza niedomkniętych drzwi usłyszała jeszcze, jak zatrzymał się w sekretariacie i rzucił Krowie komplement. O oczach. Krowich. A może o włosach. Postrzępionych jak krowi ogon. Maciejewska wyobraziła sobie, jak Krowa uśmiecha się i poprawia fryzurę.

Po chwili znowu rozległ się dźwięk telefonu.

Andrzej krzyknął: „O rany!”.

Trzasnęły drzwi.

Kasztanowa głowa Krowy pojawiła się w gabinecie dyrektorki. Zadek został po drugiej stronie futryny. Zaszło chyba coś ważnego, skoro Krowa ruszyła z miejsca odwłok.

– Na pierwszej linii wciąż z województwa czekają. Z samego komitetu. Mówią, że z aktywem to pani dopiero będzie miała spotkanie. Na drugiej linii był telefon ze szpitala. Matka tego całego Opolskiego podobno umierająca.

– Umierająca? – zdziwiła się Maciejewska. Jeszcze wczoraj widziała ją na Rynku Siennym. Kupowała twaróg od chłopca i przymierzała kolorowy szal. Udawała, że nie poznaje Maciejewskiej. Może w istocie nie poznawała? Nigdy nie pojawiła się na wywiadówce u Pawła czy u Andrzeja. „Ordynatorowa”.

– Podobno umierająca. – Krowa poruszyła żuchwą. – Kawy zaparzyć? – Wyszczrzyła zęby. Między nimi pełno fusów.

– Nie teraz – odrzekła Maciejewska.

„Przeżuwa. Przeżuwa fusy. Ciągle przeżuwa. To dlatego mówią o niej Krowa. Właśnie dlatego”. Dobrze też wiedziała, jak ją przezywają. „Maciora. Bo kieruję chlewem”.

– Aha. Opolski przekazał to Świerszczowi. Podobno więcej nie ma. – Krowa położyła przed Bolkiem jednego papierosa.

Maciejewska skinęła głową na Świerszcza. Ten czmychnął na zewnątrz bez pożegnania.

„Co teraz?”, zastanowiła się Maciejewska. Popatrzyła na towarzysza Wiesława. Ten zaś, jak tyle razy wcześniej, odpowiedział krótko: „Spokój, czujność, praca”.

Akurat.

Maciejewska podeszła do portretu pierwszego sekretarza. Zdjęła go ze ściany i włożyła do szuflady.

Po raz pierwszy w życiu zapaliła marlboro.

Amerykańskie.

6.

Amerykańskie aktorki nie zagrałyby lepiej niż Mazurkówna. Obojętności na męskie pożądanie. Odrzucenia zakochanego amanta. Spektakularnej – jak z Alcatraz – ucieczki z szatni.

Zabrzmiał dzwonek na lekcję. W jedenastej b zaczynała się zoologia. Zaraz po języku polskim. Mazurkówna dobrze pamiętała, że dziś mieli powtórkę z pasożytów. Żerujących na bydle domowym.

Oczywiście, że była przygotowana do odpowiedzi. Ustnej i pisemnej. W każdej chwili mogła zacytować fragment podręcznika, w którym stało, że

motylca wątrobowa jest przywrą pasożytującą w drogach żółciowych ssaków roślinożernych. Swoim kształtem przypomina liść. Ma ciało nieczłonowane, nieurzęsione, wyposażone w dwie przyssawki – przednią i brzusznią. Układ pokarmowy motylcy wątrobowej jest rozgałęziony, zakończony ślepo. Nie posiada otworu odbytowego. Motylce wątrobowe oddychają...

Oddychają.

Tak jak Ewa. Pięć razy głęboko, piętnaście razy płytko i znowu pięć razy głęboko. Wiedziała, że musi natychmiast wrócić na biologię. Powinna dostać kolejną piątkę. Następną na astronomii. Z trudem jednak wracała do siebie po spotkaniu z Opolskim. W dodatku gdzie! W kiblu, w którym, o dziwo, śmierdziało mniej niż w innych ubikacjach.

Spojrzała na zamkniętą klapę sedesu i pacnęła spoconą dłonią rozpalone czoło.

Jak mogła ukryć się w toalecie TYLKO DLA PERSONELU? Jak mogła nie zauważyć, że od ponad sześciu minut łamie zakaz wstępu do służbowych ubikacji, w których podczas niedawnego remontu zainstalowano porcelanowe trony. W uczniowskich wciąż straszły wiecznie zafajdane dziury kloaczne.

„Zaraz wyjdę”, pomyślała. „Zanim ktoś mnie tu znajdzie”.

Znowu jednak poczuła drżenie kolan.

„Jak on mógł. Tak blisko. Tak do mnie i na mnie. Jak śmiał. Zboczeniec. Nigdy na niego nie spojrzę. Nigdy do niego ani słowem. Nigdy nie dotknę, choćby się dławiał własnym językiem. Język!”

Sięgnęła do kieszeni fartucha po chusteczkę. Zaczęła trzeć prawe ucho. To, które Opolski polizał swoim ohydny ozorem.

Ucho poczęło swędzieć i boleć. Lizanie było przyjemniejsze niż tarcie.

„Wariatka!”, skarciła siebie. „Wracaj na lekcję. Ale już”.

Usłyszała, że za drzwiami ubikacji cichnie gwar, w przeciwieństwie do smrodu, który na korytarzu dawał się we znaki bardziej niż w toalecie dla personelu.

Wychyliła głowę za drzwi. Kilka postaci mignęło przy sali pięćdziesiąt osiem. Jeszcze chwilę poczeka. Oplucze twarz zimną wodą. Wysika się. Co za ulga. Normalnie nie korzystała ze szkolnej toalety. Kontrolowała pęcherz moczowy. Wolą swoje sprawy załatwiać w domu, choć w domu było nie lepiej (dzielony z sąsiadami kibel na półpiętrze).

Znowu wyjrzała na korytarz. Prawie pusto. Tak, teraz wymknie się na lekcję. Na zoologię. Na przedmiot wstrętny jak ludzki parazyt, obok którego musiała siedzieć kilka razy w tygodniu. Opolski! Dlaczego profesor Jadwiga Lament przesadziła pryszczatą Agatkę z ławki Ewy do ławki Waldka? A obok Mazurkówny posadziła Opolskiego?

Buhaja. Wieprza. Bydlaka.

Zaprotestowała. Powiedziała, że nie chce, że nie życzy sobie towarzystwa Opolskiego.

„Bez dyskusji, Mazurkówna, to nie zebranie komisji POP, żeby interpelacje jakież!”, usłyszała od profesor Lament.

Siedziała więc z Andrzejem. W pierwszej ławce. W środkowym rzędzie. Pod samym nosem nauczycielki, z którą mąż wziął rozwód (parę lat wcześniej) miesiąc po ślubie. Tak mówili w Bolegoszczy. Zabrał młodej żonie psa rasy owczarek niemiecki, telewizor Ametyst i swoje nazwisko – Świnkiewicz. Ludzie szeptali po kątach, że zostawił Lamentównę z powodu jej zrosniętego sromu.

„Sromu?”

Chyba powiek. Powieki Lamentówna miała zrosnięte, a nie srom, skoro nie widziała, jak wzrok Andrzeja ślizga się po dłoniach Ewy, po

jej kolanach i piersiach, wprawiając dziewczynę w niepokój.

Usta. Usta Lamentówna także musiała mieć zrosnięte, ponieważ słowem się nie odezwała, kiedy Andrzej dwukrotnie położył rękę na kolanie Ewy i wyszeptał: „Lepsze nogi ma tylko moja matka”.

Mazurkówna nie pozwoli, żeby obmacywał ją obleśny pasożyt z gębą jak zarośnięty odbył motylicy wątrobowej. Postanowiła, że do matury nie pojawi się na lekcjach profesor Lament.

Poczuła duszności. Szarpnęła klamkę okna. Na parapet posypał się suchy kit. Ewa strzepnęła go na podłogę, wychyliła się na zewnątrz i głęboko odetchnęła.

Przed szkołą dostrzegła Andrzeja Opolskiego.

Śpieszył się. Przebiegł przez dziedziniec, doskoczył do furty, zatrzymał się, splunął przed siebie.

„Gdybym wiedziała, że pasożyt zwieje z zoologii, to poszłabym na lekcję”.

Andrzej się odwrócił. Spojrzał w górę, prosto na Ewę.

Mazurkówna natychmiast przypomniała sobie, że ma wąską talię i długie włosy, które zamierzała ściąć bardzo, bardzo krótko, chociaż jeszcze nie teraz. Jak zwykle najbardziej zawstydził ją własny biust.

– Biust? Zwariowałaś? A co ty chcesz zamiast biustu? Hiszpańskie pomarańcze? Piersi dar Boży. Bóg dał Ewie dydle w raju, a Maryi na ziemi. Właśnie. Maryja. Ty sobie popatrz na obraz Matki Boskiej Karmiącej. Na ten w lewej nawie – powiedział z czeluści konfesjonau kapłan z sąsiedniej parafii. Do swojej Ewa nie miała odwagi pójść. W swojej znali ją wszyscy księża, a ona ich. Wcześniej czy później każda tajemnica wychodziła na światło dzienne. Nawet tajemnica spowiedzi. – A najlepiej się pomódl.

– Do piersi Matki Boskiej mam się pomodlić? – zapytała Ewa.

– Teraz grzechy – powiedział zakonnik i zakaszłał teatralnie.

– Bo ja przychodzę z tym, że kolega z klasy ciągle gapi się na mój biust.

– Jak on się gapi, to nie ty masz grzech swawoli, dziewczyno, tylko ten twój kolega. Zaraz. Chyba że jednak masz. Chyba że pozwalasz na to, żeby on na ciebie patrzył. Pozwalasz?

– Nie. Ale on i tak się gapi.

– Powiedz, ty coś czujesz, jak on na ciebie tak bez pozwolenia się patrzy? Cieleśne poruszenia jakieś?

– Nie.

– Myślisz z przyjemnością o czynach niepopołnionych, które byś popełniła, gdyby tylko okazja?

– Nie!

– Jakie to czyny? Wyszczególnić trzeba. Przedmiot nierządu z dokładnością określić. – Kapłan pociągnął nosem. Przysunął się do ażurowej kratki. O drewno konfesjonału obił się drewniany różaniec zawieszony na cingulum. – Całowanie? – Ksiądz mlasnął. – Grzech śmiertelny. Przed ślubem grzech śmiertelny. Dotykanie płci własnej? – Uderzył w kratkę.

Kolana Ewy zapadły się w bordową ceratę, którą obity był klęcznik.

– Głowę podnieś, dziewczyno. Nie zasypiaj na spowiedzi świętej. Dotykanie płci własnej to podwójny grzech, w dodatku śmiertelny. Pamiętaj. Dotykanie płci niewłasnej. Potrójny. A obcowanie cielesne przed małżeńskim błogosławieństwem – hańba śmiertelna. Ogień piekielny i pożar wieczny. Mów więc.

– Kiedy ja – Ewa skuliła się. – Kiedy ja...

– Ty, ty. Bezwstydne spojrzenia kierujesz?

– Nie ja. Przecież mówię, że nie ja, tylko kolega.

– Kolega. Czy on się patrzy na weneryczne części twojego ciała?

– Jezus Maria! Ja już nie wiem, na co on się dokładnie gapi! – Ewa nie wytrzymała. Poczula duszącą woń lilii zdobiących ołtarz świętego Antoniego. W słabym świetle, sączącym się zza niedomkniętych drzwi dębowego konfesjonału, ujrzała kapłana. Wygląd przedwojennego dorożkarza: wielki czerwony nos, broda capa i okulary w rogowej oprawie. Lewe szkło pęknięte. Podklejone plastrem opatrunkowym.

– Jeśli spojrzenia są bezwstydne, to co tu wiedzieć – odpowiedział.

– Nie moje spojrzenia. Przecież mówię, że kolegi.

– Kolegi, kolegi. Z którymi ty grzechami przychodzisz do spowiedzi? Z którymi spojrzeniami? Co? Z cudzych się spowiadasz? To co robisz, kiedy on na ciebie się patrzy? Co?

Andrzej Opolski wciąż stał na dziedzińcu. Naraz wyjrzało słońce. Chłopak zmrużył oczy. Podniósł kołnierz ocieplanej wiatrówki. Nie spuszczać wzroku z Mazurkówny, splunął raz jeszcze. Później

przeskoczył przez kałużę i zniknął za rogiem, za zakładem fryzjerskim pana Góreckiego.

Ewa zamknęła okno.

W tej samej chwili podjęła decyzję, że dzisiaj, po powrocie do domu, wyzna prawdę ojcu. Zamierzała opowiedzieć mu o swoich planach przed wyjściem do szkoły, ale znowu nie znalazła w sobie dość odwagi. Przekroczyła próg dorosłości, ale nie strachu przed ojcem. Powinna skończyć z zastanawianiem się, czy nadszedł odpowiedni moment, z wybieraniem właściwych słów, z czekaniem na sprzyjające okoliczności. Powinna z wysoko podniesioną głową wyznać prawdę. Tak. Zrobi to zaraz po wieczornej mszy świętej za duszę matki.

Zbierała się do wyjścia, gdy usłyszała zbliżające się kroki oraz głosy.

Znowu schowała się w kiblu, w tym bliżej okna. Zasunęła skobel. Kucnęła na zamkniętej klapie deski sedesowej. Schowała nos w rękawie fartucha. Smród się nasilił.

– Nie ma nikogo? – zapytał głos męski.

Ewa rozpoznała profesora Czarneckiego.

– Nie ma – odpowiedział głos żeński.

Rozpoznała też profesor Lament.

– Pewna jesteś? – dociekał matematyk. Zazwyczaj nie wierzył w nic, czego nie mógł obliczyć, sprawdzić czy też udowodnić. – Jak tu capi.

– Ja tam nic nie czuję. – Profesor Lament pociągnęła nosem.

Mazurkówna usłyszała szelest wędrującej w górę spódnicy i chrobot rozpinanego rozporka.

– Nie tutaj. – Profesor Czarnecki szarpnął drzwi, za którymi siedziała Mazurkówna.

Dziewczyna powstrzymała atak kaszlu i duszności.

– Pewno sprzątaczką zatrzasnęła. Tutaj otwarte. Chodź. – Profesor Lament wciągnęła matematyka do ubikacji obok.

Mazurkówna usłyszała serię mlaśnień i liźnięć.

– Myślę. Że. Wystarczy. – Głos matematyka począł się rwać. – Dosyć. Tego. To. Zły. Pomysł. Bardzo. Był. Geometria. W. Dziesiątej c. Muszę wracać.

Nie tylko do dziesiątej c. Przede wszystkim do żony i do trzech synów, z których najmłodszy nie umiał jeszcze jeździć na rowerze.

– Wrócisz, ale nie teraz. Teraz mnie weź... – Lamentówna oddychała ciężko. – Obiecałeś.

– Od psiej strony?

– Przecież tak chciałeś, Józiu. Prosiłeś.

Ewa zagryzała wargi. Co to jest, do diabła, „psia strona”?

– Odwołuję. To jednak wbrew prawu. Wbrew prawu natury. Nie chcę.

– Już ty mi tutaj o naturze nie opowiadaj. Zabieraj się do roboty.

Mazurkówna stanęła na sedesie i zajrzała do sąsiedniej ubikacji.

Biolożka wypinała zadek przed matematykiem, a matematyk nie wiedział. Nie wiedział, co dalej. Po raz pierwszy pokonała go geometria. Geometria naturalna. Spoglądał na trzęsący się przed nim idealny okrąg z przecinającą go średnicą (tyłek Lamentówny) oraz nieidealny odcinek: krótki, wiotki i wąły (własny fajfus).

– Dlaczego tak? – zapytał.

– *Synechia hipoestrogena*. – Profesor Lament poklepała się po pośladku.

Ewa cofnęła się, żeby nie widzieć. I znowu zajrzała, żeby zobaczyć.

Matematyk próbował sforsować odbył biolożki, z zamkniętymi oczami sterując przyrodzeniem.

– A co to znaczy? – postanowił zagadać niemoc.

– To znaczy, że normalnie nie mogę – odrzekła biolożka.

Ewa położyła dłoń na ustach. „Jezus Maria!” Ludzie prawdę plotkowali. Lamentówna na dole naprawdę jest zrośnięta. Jak motylca wątrobowa!

– No tak. To pewna komplikacja. – Matematyk przecierał okulary rąbkiem rozpiętej koszuli w kratę.

– Od urodzenia tak mam. Pociesz mnie, Józiu. Cnotka Mazurkówna nie przyszła na lekcję. – Lamentówna zakręciła biodrami przed Czarneckim. Wypięta się jeszcze mocniej. – Ogier Opolski też nie przyszedł. Zły dzień. On nie maca jej pod ławką. Ona nie posyła mu anielskich spojrzeń. Nie ma na co patrzeć. Nie ma na kogo patrzeć. A oni tacy ładni. Tacy świeży. Już im wolno. Pewnie

parzą się jak marcowe koty, kiedy tylko mogą. Ja nigdy tak nie mogłam. Postaraj się, Józiu, mocniej. Może tobie się uda.

Mazurkówna przeżegnała się.

Zeskoczyła z sedesu. Trzasnęła drzwiami. Wybiegła z ubikacji TYLKO DLA PERSONELU. Prosto do wyjścia głównego.

Nie zatrzymała się przy woźnej Gieni („A ty, Mazurkówna, dokąd? Do dzwonka będzie jeszcze ze trzydzieści minut!”). Nie zauważyła wchodzącej do szkoły Krowy, której wytrąciła z rąk karton sportów („Arogancka i bezczelna!”). Nie usłyszała, jak profesor Czarnecki krzyczy z bólu („Ożeż do kwadratu!”), przycinając rozporkiem przyrodzony odcinek hańby.

– Ktoś tu był! Ktoś widział! Ktoś słyszał! – panikował.

– Naprawdę? – Lamentówna wygładzała spódnice. Nie przyznała się Czarneckiemu, że tak lubi najbardziej. Kiedy ktoś jest w pobliżu. Kiedy widzi i słyszy. A najbardziej, kiedy są to niedopieczzone panienki, przewracające oczami jak zakonnice po ślubach wieczystych.

Zakręciła po raz ostatni tyłeczkiem przed Józefem.

Wypięła się jeszcze mocniej.

W zamian dostała siarczystego klapsa.

Od niedomkniętych drzwi.

Tak bez powodu.

– Zawsze są jakieś powody. – Helena Opolska przysunęła w stronę Mazurkówny imbryk, filiżankę z parującą herbatą i głowę z wpatrzonym w Ewę prawym okiem. Poprawiła czarną opaskę na lewym oku. Założyła ręce na podołku. – Pij, dopóki gorąca. Tylko gorąca smaczna.

„Parzy usta, język, podniebienie, wody, zwyczajnej wody, najlepiej ciepłego mleka z miodem i z czosnkiem”, pomyślała Ewa. Od kwadransa siedziała w dużym pokoju swojej pracodawczyni Heleny Opolskiej. O tym, że u niej pracuje, nikt nie wiedział. Prawie nikt.

– Powiedz więc, co to za koncept, żeby tak wychodzić ze szkoły w środku dnia?

„A co to za koncept, żeby tak w środku szkolnego dnia oglądać szatańskie sceny? Boże, bądź miłościw mnie grzesznej”.

– W dodatku bez palta.

„Na co komu w piekle palto?”

– Przecież dzisiaj tylko sześć stopni.

„Sześćset sześćdziesiąt sześć w skali Lucyfera”.

– Milczysz. Trudno. Popij. Jeszcze popij. Nie chcesz, nie mów. Z niczego nie musisz się tłumaczyć. Dobrze, że przyszedłeś. – Kobieta znowu poprawiła czarną opaskę na oku. – Zadzwoń do Milewskiej. Powiem, że z tobą pójdę do kościoła. Zaprowadzisz mnie?

Ewa skinęła głową, nie patrząc na Helenę.

– Ogrzej się tylko. – Stara Opolska dotknęła dłoni Mazurkówny. – Całkiem przemarzałeś.

– Do którego kościoła? – odezwała się wreszcie Ewa.

– Do Świętego Jakuba.

– Do benedyktynów? – Ewa poczuła, że herbata parzy przełyk.

– Dziś mam wizytę osobistą. U ojca Stanisława. – Helena sięgnęła po słoiczek i wrzuciła do imbryka kilka suszonych goździków (podobno niemieckich), które dostała od Tadeusza. – U kierownika duchowego. Wspominałam chyba, że mnie prowadzi.

„Ktoś musi trzymać sumienie na smyczy. Zakładać kaganiec na pysk wątpliwości. Otwierać lokatę na życie wieczne. Ubezpieczać na wypadek grzechu śmiertelnego. Boże, bądź miłościw mnie grzesznej”.

– Później wrócimy tutaj. – Opolska dołąła Ewie herbaty. – Słyszysz?

Ewa skinęła głową.

– To dobrze. Zaniesiemy pranie do magla. Drobne rzeczy sama wyprasujesz. Zawsze to kilka złotych więcej.

Mazurkówna siedziała wyprostowana, z dłońmi równo ułożonymi na stole. Pomiedzy nimi stała parująca polska herbata Popularna z niemieckimi goździkami.

– Bo jak nie chcesz, to oddam młodej Łopockiej. Tam u niej zawsze bieda. Dlaczego wciąż milczysz? Spójrz na mnie, panienko. Co się stało?

„Po prostu nie wiem, jak smakuja hiszpańskie pomarańcze”.

– Nic, proszę pani.

– Ciągle drżysz.

– To przez niestrawność, pani rozumie.

– Ani trochę. – Kobieta chwyciła nadgarstek Ewy. Znalazła puls. Spojrzała na zegarek. Wpatrywała się we wskazówkę sekundnika. – Tętno jak u trupa. Dziecko, co z tobą?

„Przeżyłam, ale umrę. Od tego, co widziałam, umrę. Spróbować hiszpańskich pomarańczy. Przed śmiercią spróbować hiszpańskich pomarańczy”.

– Żebyś gorączki nie dostała. Kto to widział bez odzienia uciekać ze szkoły – gderła Opolska.

„Czytałam, że hiszpańskie najśłodsze. I że całkiem niedostępne u nas. Więc może śmierć nie tak szybko? Może nie tak od razu?”

– Herbata nic niewarta. Podam coś na specjalne okazje.

Helena ruszyła w stronę kredensu. Wyciągnęła kieliszek. Po chwili namysłu wyciągnęła drugi. Szkło ustawiła na tacy, obok karafki z bursztynowym płynem.

– Tego spróbuj. – Podsunęła Ewie pod nos koniakówkę w jednej czwartej wypełnioną alkoholem. – Tego.

– Pani Heleno, ja nie. To byłoby za dużo na dziś.

– Nie na dziś, ale na niestrawność.

Ewa podsunęła kieliszek pod nos. Poczula mieszankę zapachów: śmierci, skarpet ojca po powrocie z cmentarza i konwaliowych perfum Renaty.

Kichnęła.

– Na katar też. – Helena uniosła swój kieliszek do góry.

– Nie mam kataru.

– Masz koniak. Wszyscy Opolscy piją koniak. Na ból życia, śmierci, ciała i duszy.

„I na rozwiązanie języka!”, pomyślała Ewa i postanowiła milczeć jak grób-trup.

Godzinę później Helena Opolska i Ewa Mazurkówna maszerowały w górę ulicy Mickiewicza.

– Naprawdę nikomu jeszcze nie powiedziałaś? – Starsza pani wspierała się na ramieniu Ewy.

I to nie był najlepszy pomysł.

Ewa po wypiciu podwójnej, a może potrójnej lufy koniak, widziała raz podwójnie, innym razem potrójnie. W ciągu dziesięciu

minut zobaczyła dwa ambulanse (jeden obok drugiego), trzy przejścia dla pieszych (Ewa wybrała to środkowe), na przejściu troje identycznych dzieci (Ewa szturchnęła jedno, rozbeczała się cała trójka). Za dziećmi pojawili się dwaj rowerzyści. Obaj w niebieskich czapkach z pomponem i z nogawkami spodni spiętymi spinaczami. Jeden jechał prosto na Ewę i krzyczał: „Uważaj, idiotko!”, drugi pukał się w czoło.

„Muszę złapać pion i ostrość widzenia”, postanowiła dziewczyna.

Zatrzymała się zaraz za przejściem. Kiwała się. W lewo, w prawo. Do przodu, do tyłu. Nie złapała ani pionu, ani ostrości widzenia. Zrozumiała, że musi wytrzeźwieć. Tylko jak?

– Nikomu – odrzekła Ewa. – Nikomu jeszcze nie powiedziałam.

Poprawiła na sobie kuse futro.

„Wrócę do szkoły po palto i chustę”, powiedziała przed wyjściem z domu.

„Teraz nie ma na to czasu”, powiedziała Helena. „Włóż to. Na wieczór może ścisnąć mróz”, i kazała włożyć Ewie swoje przedwojenne futro ze stójką, na trzy zatrzaski. „Z nerek”, dodała Helena.

„Chyba ze szczurów wodnych”, pomyślała Ewa. Futro śmierdziało odpływem kanalizacyjnym.

Mazurkówna powstrzymała beknięcie.

W szybie sklepu mleczarskiego ujrzała swoje odbicie (podwójne). Na głowie kapelusz (trzy sztuki). W kształcie krowiego placka. W placku pióro. Czarne. Do placka przypięta czarna woalka.

Ewa dmuchnęła.

Woalka ani drgnęła.

– Nikomu. – Ewa zachwiała się. – Nikomu nie powiedziałam.

– Kiedy zamierzasz?

– O tym, że idę...? – Ewa beknęła. – O tym, że idę do...?

– Do? – Helena spojrzała na Mazurkównę z uwagą.

Ewa potrząsnęła głową jak pies po wyjściu z wody.

– Znaczy o tym, że pracuję u pani? To nie wiem. Nie wiem kiedy. Pewnie po maturze.

– Na co ty właściwie zbierasz? – Stara Opolska zatrzymała się, aby zaczerpnąć tchu. Łypnęła na Ewę prawym okiem. Dziewczyna

wyglądała marniej niż przed rozgrzewką koniackiem. „I nic nie powiedziała”, westchnęła.

– Co zbieram? – zapytała Ewa.

– Pieniądze.

– Aha. Na wszystkiego dwanaście.

– Na wszystkiego dwanaście? – Helena nie zrozumiała.

– Tak, na dwanaście. Na wszystkiego dwanaście zbieram.

– Na dwanaście czego wszystkiego?

Ewa beknęła.

Dwóch chłopców bawiących się na Psim Skwerku w wojnę spojrzęło na nią z obrzydzeniem. Dziesięciolatek z drewnianym karabinem pod pachą krzyknął: „Alarm bojowy! Padnij!”. Pacnął wraz z kolegą w marcowe błoto. Obaj obserwowali Mazurkównę, gotowi do ataku. Ten z karabinem wycelował w Ewę.

– Może chcesz wrócić do domu? – zapytała Opolska.

– Nie, nie chcę. – Mazurkówna złapała w końcu pion. – Chodźmy. Do Świętego Jakuba tędy. Prosto przez Psi Skwerek, później Brzozową do końca, w prawo w Lipową i przez plac Dzierżyńskiego. – Ewa wyrecytowała trasę. – Widzi pani? Pamiętam.

– Słuchaj, a może powinnam płacić ci więcej? Żebyś zdążyła zbierać. – Stara Opolska patrzyła podejrzliwie na Ewę. Czasem pieniądze rozwiązywały ludziom języki i otwierały serca. Stawały się początkiem znajomości trwałych jak waluta, którą płaciło się za informacje.

– Na co zbierać? – Ewa znowu zachwiała się.

– Na dwanaście wszystkiego.

– Aha. No tak. Na dwanaście wszystkiego. To nie. Nie trzeba. Wystarczy to, co mi pani teraz płaci.

Ewa stłumiła beknienie. Wraz z nim posłała do nieba stłumioną modlitwę dziękczynną do świętej Rity. Nigdy nie zrealizowałyby swoich planów bez pomocy patronki od spraw beznadziejnych, a także bez jej współpracownic: Heleny oraz Barbary Opolskich.

Do Heleny Opolskiej Ewa Mazurkówna trafiła przypadkiem.

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego do Renaty, która po pracy

w zakładzie krawieckim dorabiała prywatnym szyciem, zawitała Barbara Opolska.

– Zastałam twoją siostrę?

Ewa przyglądała się matce Andrzeja. Widziała ją kilka razy z daleka, ale nigdy z bliska. Z bliska tymczasem wydawała się starsza, mniej sprężysta.

– Nie, nie ma – odpowiedziała Mazurkówna.

– Przyszłam z drobnym zleceniem. Na mieście mówią, że twoja siostra szyje najlepiej.

– Nie wiem. Możliwe. To znaczy tak. Najlepiej. Ale teraz jest w pracy.

– Kiedy wróci? – Opolska zajrzała do środka. – O której?

– Jak skończy zmianę i zrobi zakupy. Niedługo. – Ewa otworzyła szerzej drzwi. – Proszę wejść. Poczekać.

– Jaki dziś dzień tygodnia? – Barbara poprawiła morelową apaszkę na szyi.

„Ciekawe, czy reszta stroju też pod kolor?”, pomyślała Mazurkówna.

– Czwartek – odpowiedziała.

– Więc innym razem. Chociaż... – Opolska spojrzała na zegarek. – Mam kwadrans, nie więcej.

„Renata wróci dopiero za godzinę”, pomyślała Ewa. Wiedziała, że wraz z doktorową ucieknie zarobek. Na mieście mówili, że Opolska płaci najlepiej.

– Mogę zdjąć miarę. Kroić bym się bała, ale miarę tak. Miarę mogę zdjąć.

– Ty? – Ordynatorowa przyglądała się Mazurkównie. – Potrafisz?

– To tylko miara. Każdy potrafi.

Opolska weszła za Ewą na ciemny korytarz. Wprost z niego wsunęła się do wnęki za ciężką zasłoną. Panował w niej krawiecki nieporządek: ścinki materiałów, dwie maszyny do szycia, jedna do rzeczy lekkich, druga do ciężkich, na podłodze splątane fastrygi.

– Do miary trzeba zdjąć płaszcz. I resztę – powiedziała Ewa.

– Jaką resztę?

Mazurkówna rozłożyła ręce.

Opolska rozebrała się do samej halki (w kolorze dojrzałej dyni, na wąskiej gumce, z koronką zdobiącą dół). Zastanawiała się, dlaczego nie odmówiła dziewczynie. Powinna zadbać o czwartkowe popołudnie, o kilka spraw wymagających troski (rachunki na pocztę, sprawunki w sklepie, wieczorny obchód wokół rabat w parku Przyjaźni w poszukiwaniu wiosennych sadzonek). Patrzyła jednak na panienkę szukającą centymetra. Na dziewczuszkę słodką jak landrynka. Miłą jak szczeniaczek. Pracowitą jak pszczołka. „Czeka ją przyszłość bez wojennych i powojennych przygód. Dom, mąż, rodzina i praca w nowym supersamie, jeśli będzie miała trochę szczęścia”, westchnęła Barbara. „Dlaczego miałyby nie mieć?”

Ewa tymczasem podeszła do Opolskiej z miarką i już sprawdzała obwód biustu, talii i bioder.

Barbara wykonywała polecenia Ewy.

Ręka w górę, ręka w dół.

Obrót w prawo, obrót w lewo.

Teraz przodem, a teraz tyłem.

Między kolejnymi komendami Mazurkówny Opolska zastanawiała się, gdzie zgubiła ostatnich dwadzieścia pięć lat swojego życia, pod jaką stertą szmat ukryła młodość, pod jaką kupą ścinków urodę. „Życie oddać do krawieckiej przeróbki bym chciała. Najpierw wybrać materiał z mocną osnową i wątkiem. Wykroić wydarzenia wedle najlepszych form. Wyciąć kilka przykrych historii. Całość wydłużyć i ozdobić haftem”.

Ewa krążyła wokół Barbary. Nic nie umknęło jej uwadze. Stanik nie pierwszej świeżości i jasnorude włosy na łydkach. „Taka zadbana, a ręce ma jak kuchta”, pomyślała, zerkając na dłonie Opolskiej. Zawstydziała się. „Nie można tak o ludziach. To grzech. I do spowiedzi z każdą złą myślą o innych też ciągle nie można. Musiałabym codziennie”.

– Jaka długość sukienki? – zapytała Ewa. Sama nie nosiła spódnic krótszych niż do połowy łydki.

– Nie wiem.

– Tutaj są wzory. – Mazurkówna sięgnęła po kilka numerów „Burdy”. Zawsze zastanawiała się, gdzie Reneta kupuje zagraniczne magazyny. W polskich gazetach mody prawie nie drukowali. Jeśli nawet, była nudna jak obchody rocznicy zaślubin Polski z Bałtykiem.

– Słuchaj, jak ty właściwie masz na imię? – zapytała Barbara, przerzucając kartki niemieckiego miesięcznika.

– Ewa.

– Jakie masz plany na życie? – Opolska odłożyła gazetę.

– Nie zdecydowałam. – Ewa zawiesiła centymetr na szyi.

– Czym się zajmuje twoja matka?

– Nie żyje.

„Jeśli ta mała została z takim ojcem jak mój...”

– Szybka jesteś, sprytna i chyba zdolna – powiedziała Opolska. – Moja teściowa potrzebuje kogoś takiego jak ty.

– Do czego? – zapytała Ewa.

– Do pomocy. Trochę do sprzątanania, trochę do gotowania – wyjaśniła Barbara.

Ubierała się. Zapięła zamek przy beżowej spódnicy. Sięgnęła po bluzkę z kołnierzykiem w dokładnie takim samym odcieniu.

„Tak jak myślałam. Wszystko pod kolor”, skostatowała Ewa.

– Zarobisz trochę. – Opolska wyrównała pasek przy spódnicy. – Helena dobrze płaci.

– Nie mogę. – Ewa skubała końce centymetra. – Muszę się uczyć.

– Na pewno nie tyle co inni.

– Skąd pani wie?

Zaskoczona propozycją Ewa przysiadła na krześle przy maszynie. Zapomniała, że przed momentem na wytarte obicie siedzenia rzuciła nożyce. Poczuli, że jedno ostrze wbija się w jej lewy pośladek. Jak ostrzeżenie.

– Zastanów się.

– Andrzeja też wysłałaby pani do pracy po lekcjach?

– To wy się znacie?

Mazurkówna kiwnęła głową.

Opolska zapięła ostatni guzik żakietu. Wyjrzała za zasłonę. Ujrzała kuchnię z wąskim oknem, w której nad włączonym gazem suszyło się pęto kiełbasy – żałosne poświęteczne resztki. „Całkiem jak u nas na wsi”, pomyślała Barbara.

– Andrzej – odpowiedziała – nie musi pracować.

Ewa wyjęła nożyce spod siebie.

– Za ile? – zapytała.

– Codziennie od szesnastej do dwudziestej.

– Za ile?

– Będziesz zadowolona. Powołaj się na mnie. – Barbara rzuciła na do widzenia i zniknęła za drzwiami.

Ewa rozważała propozycję matki Andrzeja dwa tygodnie. Z jednej strony matura, z drugiej strony wyprawka na przyszłość. Z jednej strony nauka, z drugiej strony samodzielność. Wahała się.

Postanowiła pójść po rozum do głowy. Rozum znajdował się w farze przed Najświętszym Sakramentem. Klęczała przed nim dziewięć wieczorów pod rząd po dziewięćdziesiąt minut. Prosiła o dar mądrości. Po zakończeniu nowenny pojęła, że skoro może tyle czasu poświęcić modlitwie, równie dobrze może pracować. Na troskę o maturę przyjdzie jeszcze czas.

Na początku lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego Ewa Mazurkówna stanęła przed domem Heleny Opolskiej. Nacisnęła dzwonek przy furtce. Cofnęła się kilka kroków, kiedy zobaczyła, że z ciemnego wnętrza wynurza się równie ciemna postać z opaską na oku.

– Więc powiadasz, że przysyła cię moja synowa. I że ja ciebie potrzebuję? – odezwała się stara po wysłuchaniu Mazurkówny. Wbiła w Ewę jednookie spojrzenie.

Ewa potwierdziła w milczeniu. Poczowała ciarki na plecach. Dreszcze na karku. Chłód między palcami stóp i dłoni. Nie tylko dlatego, że zimno.

– I że mam cię zatrudnić do sprzątania?

Ewa znowu kiwnęła głową. Jak dziad pod kościołem w podzięce za datek.

– I że może jeszcze zapłacę ci za to?

Ewa kolejny raz potaknęła.

Stara Opolska nie spodziewała się, że Barbara znajdzie kogoś do sprzątania. Wciąż powtarzała Helenie, że powinna pozbyć się Łopockiej. Nie dość, że szoruje gary i podłogi byle jak, to jeszcze kradnie. Przecież Helena o tym wiedziała. Sama wsuwała pieniądze pod cukiernicę, pod tacę z karafką na koniak, za fotografie w swojej sypialni tylko po to, żeby Łopocka je znalazła i wsunęła po cichu za stanik. „Przecież nie przegonię z pracy wdowy z trójką dzieci. A i tej

dziewuszki, ze wzrokiem owcy prowadzonej na rzeź, też nie przegonię”.

– Wejdz. – Helena Opolska otworzyła dziewczynie drzwi.

Kilka chwil później Mazurkówna siedziała przy stole w domu sędziny. Z fajansowego kubka unosił się zapach kawy zbożowej z mlekiem i z cukrem. I z jeszcze czymś. Dziewczyna nie mogła rozpoznać tego zapachu.

– Miałaś kiedyś psa? – Opolska zapytała Ewę.

Dziewczyna zaprzeczyła z ustami pełnymi kawy.

Nigdy w życiu nie piła tak pysznej.

– Trochę cynamonu, wystarczy ćwierć laski wrzucić do półlitrowego garnuszka, a smak zupełnie inny, prawda? – Helena dołała Ewie z dzbanka aromatycznego napoju.

„Trochę cynamonu do półlitrowego garnuszka i smak zupełnie inny. Gdzie dostać cynamon?”, powtórzyła w myśli Mazurkówna.

– Więc nie miałaś psa. Od dzisiaj będziesz miała. Tak jakby.

Ewa przełknęła kawę.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Na razie nie potrzebuję nikogo do sprzątanía. Ale będziesz wyprowadzać mnie na spacer. Trzy razy w tygodniu. Od kwietnia pięć razy. Na godzinę zimą. Na dwie godziny wiosną. Jestem półślepa. Nie lubię chodzić sama. Za dużo pułapek. Za dużo ludzi ślepych na ślepych. W niedzielę na mszę do fary. Na dziewięć trzdziesiąt. W niedzielę płacę podwójnie. Aha! I za każdym razem, kiedy przyjdiesz, będziesz polerować pianino. Bez otwierania klapy. Klawiszy nie dotykaj. Rozumiesz?

Ewa milczała.

– Na koniec to. – Helena Opolska podsunęła Ewie książkę. – Chyba potrafisz czytać?

Mazurkówna spojrzała na tekst. *Lalka* Bolesława Prusa.

– Od tego miejsca. Na głos.

*

Opolska stuknęła głośno laską o krawężnik.

– Panienko!

Ewa poczuła szturchnięcie.

Ocknęła się.

Czyżby straciła przytomność, prowadząc Helenę do kościoła?

A może już wytrzeźwiała?

W pobliżu parzyły się koty. Miauczały jak zarzynane w Betlejem niewiniątka. „Koty w marcu, a ludzie cały rok. Ohyda!”

Kobiety minęły Psi Skwerek.

Dwaj nieletni żołnierze z drewnianymi karabinami zawarli chwilowy pakt o nieagresji i mierzyli zgodnie prosto w Mazurkównę. Tym razem darowali jej życie. Zastrzelą bekającą pijaczkę przy innej okazji.

Helena i Ewa doszły wreszcie do rozwidlenia na końcu ulicy Brzozowej. W lewo do fary. Do benedyktynów w prawo.

Już blisko.

W drogę.

Spocony ojciec Stanisław pobłogosławił Helenę Opolską i wyprowadził z rozmównicy. Zawsze pocił się podczas rozmów z dociekliwą staruszką. Dziś akurat próbował jej objaśnić jedną z mariologicznych wątpliwości. Nie przyznał się, że nie rozumie posoborowej mariologii. Sam był wyznawcą przedsoborowego kultu Matki Boskiej. Maryi Współodkupicielki, Pośredniczki i Orędowniczki. Nie wiedział, jak wyłgać się przed półślepą wierną szukającą w Piśmie Świętym uzasadnień maryjnych tytułów. „Zawsze Dziewica”. Co znaczy „zawsze Dziewica”? pytała. Dlaczego „zawsze Dziewica”? Ojciec Stanisław miał jedną odpowiedź, niebudzącą żadnych wątpliwości: „Bo tak!”. Jakby każdy katolik chciał rozumieć Kościół po swojemu, toby nowy Luter rodził się co ćwierć wieku. O! To nie na nerwy ojca Stanisława. Babsztyl powinien modlić się o uzdrowienie wzroku, o łaskę spokojnej śmierci, o uczciwych testamentariuszy; babsztyl powinien pomyśleć o spadkobiercach, a nie jednym okiem czytać Biblię. No nie. Ojciec Stanisław nie pochwalał roboty kolegów z Tyńca. Tłumaczenie Starego i Nowego Testamentu dla każdego? Pod strzechy? Pod płoty? W brudne łapy? W jeszcze brudniejsze serca? Przed jednookie potwory? I czym to się kończy? Tym! Tym, że teraz każdy ma własne wątpliwości. Dostęp do źródeł powinien być zakazany, a już na pewno ograniczony. Biblia Tysiąclecia to co najmniej tysiąc lat duchowego bałaganu.

Ojciec Stanisław puścił przodem Helenę Opolską, nie zdradzając żadnej ze swoich myśli. Jego duchowa córka (prababka raczej!) spotkania z nim traktowała jak kolędę i zawsze zostawiała suty datek (raz w miesiącu). Za ten dzisiejszy ojciec Stanisław postanowił naprawić wreszcie okulary.

Ewa czekała na Helenę w lewej nawie kościoła.

Siedziała w ławce i gapiała się bezmyślnie na obraz świętej Teresy od Dzieciątka Jezus, na stojącą tuż obok figurę świętego Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem Jezus w ramionach, na świętego Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu i na obraz Matki Boskiej Karmiącej z Dzieciątkiem Jezus przy piersi. Przy tej samej piersi, do której modliła się pół roku wcześniej.

Na obrazie w nawie głównej ujrzała zmartwychwstałe Niedzieciątko Jezus, które w wysoko podniesionej ręce dzierżyło chorągiew zwycięstwa. Rozejrzała się. Na ścianach świątyni wisiały rzeźbione stacje drogi krzyżowej, którą Niedzieciątko Jezus musiało przejść i przeżyć, żeby dojść i umrzeć. Na chwałę swojego Ojca i na zbawienie grzesznego człowieka.

Ewa poczuła, że traci orientację w kwestii Dzieciątka i Niedzieciątka Jezus. Jeden w pieluchach, drugi na krzyżu. Jeden ssący, drugi cierpiący. Jeden radosny, drugi bolesny. Dmuchnęła w woalkę. Nic nie rozumiała. „Teologiczne kwestie są pewnie TYLKO DLA PERSONELU”. Nie powinna o nich myśleć. Nie powinna wsadzać głowy tam, gdzie nie trzeba.

– Wracamy. – Głos Heleny Opolskiej odbił się echem w pustej świątyni.

„Wracamy? Zaraz, zaraz. Miałam coś jeszcze do załatwienia dzisiaj w kościele. Tylko co?” Ewa zapomniała o mszy w intencji matki.

– Nie będziemy czekać na drogę krzyżową. Za dużo czasu.

Ewa ujrzała znajomą postać. A nawet dwie.

Ta druga, ta stojąca obok Heleny, ta, na której ramieniu wspierała się Helena, miała wielki czerwony nos, capią brodę i okulary w rogowej oprawie z pękniętym lewym szkłem podklejonym plastrem opatrunkowym. Brudniejszym, znacznie brudniejszym niż ostatnio.

Ewa skurczyła się. „Zapaść się choćby pod marmurową posadzkę”.

– Ojciec Stanisław wszystko mi objaśnił. – Helena Opolska stuknęła łaską. – No, prawie wszystko. Teraz do domu. Do pralni jeszcze musimy.

Tymczasem benedyktyn przyglądał się Ewie tak, jakby ją poznawał.

Dziewczyna naciągnęła woalkę niżej. Opuściła głowę. „Pewno pamięta moją spowiedź”. Wszystkie brudne słowa. Wszystkie pokrętne myśli. Nie tylko! „On wie, na pewno wie, co się dzisiaj stało! Wie, co widziałam. Może też to widział przez te swoje boskie okulary! Matko Święta!”

Ojciec Stanisław patrzył to na Ewę, to na Helenę. Potarł nos. I jeszcze raz potarł. Skrzywił się. Kichnął.

– A co tutaj tak? – Rozejrzył się w poszukiwaniu źródła smrodu.

– Grzechy ludzkie – odrzekła Helena w pośpiechu, stając przy ławce, w której siedziała Ewa. „Wlazła dziewczucha w kocia nieczystość na rozwidleniu Brzozowej z Lipową. Parząca się swołocz obfajdała chodnik”. – Toż przy konfesjonałach stoimy. – Opolska wskazała łaską na katorżnicze budki dla katolików szukających odpuszczenia win.

Ojciec Stanisław nie przestawał pocierać nosa. I nie przestawał patrzeć na Ewę.

– A ty, córko, chyba zapomniałaś, że karnawał się skończył, co? Że Wielki Post trwa? – powiedział. Ewa opuściła głowę jeszcze niżej. – Żeby do świątyni włożyć kapelusz z piórkiem lekkim jak obyczaj Marii Magdaleny? I futro kuse jak frak Lucyfera? – Benedyktyn gestem ręki kazał Ewie wyjść z ławki. Okrążył dziewczynę dwukrotnie. I raz do połowy.

Mazurkówna odetchnęła z ulgą. Więc nie o tamto chodzi. Nie o tamto.

Benedyktyn uniósł woalkę, którą natychmiast opuścił. „Kobieta winna zasłaniać oblicze, bowiem nie zostało stworzone ono na obraz i podobieństwo Boga”, przypomniał sobie słowa świętego Ambrożego. „Może jednak trochę?”, zadumał się. Tak smutne oczy widział tylko raz. W Hiszpanii, kiedy na przyklasztornym cmentarzu spotkał Katalonkę oplakującą swoje zmarłe dziecko.

Tymczasem Helena Opolska kipiała. „Frak Lucyfera?“, zapowietrzyła się. „Kusy frak Lucyfera?!” Ten tutaj głąb, który nie ma pojęcia o zawszedziewictwie Maryi, wyśmiewa najlepszy wielkanocny kapelusz Heleny i futro, które dostała od świętej pamięci męża na dziesiątą rocznicę ślubu!

– Idziemy! – huknęła na Ewę.

Ewa, już prawie trzeźwa, wyprostowała się. Podała Helenie ramię i ruszyła z nią w stronę wyjścia z kościoła.

– Dziewczyno! Czekaj! – krzyknął zakonnik.

Ewa stanęła. Odwróciła się.

– Za ten strój przeproś modlitwą na różańcu!

Ewa potaknęła.

Ojciec Stanisław sięgnął do kieszeni.

– A na oczy zjedz witaminy. Żebyś lepiej drogę do kościoła widziała. I żeby ci buty grzechami nie cuchnęły. Łap!

Rzucił w kierunku Ewy pomarańczę.

– Prosto z klasztoru w Montserrat. Hiszpańska.

7.

– Hiszpańska mucha. Słyszałeś, proszę ja ciebie, o takim wynalazku? – Prokurator Ryszard Mielnicki siedział przy stole pod oknem w Romantycznej. Mieszał kawę w filiżance, choć – doktor Opolski mógłby przysiąc – że jemu i Barbarze kawę w tej restauracji zawsze podawano w szklankach. – Słyszałeś?

– Nie słyszałem – odpowiedział esbek, który właśnie kończył późne śniadanie.

Doktor Opolski stał przy stole, przy którym siedzieli prokurator i oficer milicji. Nie usiadł mimo zaproszenia. Obserwował mężczyzn. Prokurator kiwał się na krześle z nogą założoną na nogę. Od czasu do czasu bębnił palcami w blat stołu. Esbek zmiatał żarcie z talerza, popychał śledzia z cebulą kolejnymi kęsami chleba.

– Nie ciebie, Zygmunt, pytałem. Chciałbym poznać zdanie doktora Opolskiego.

– Aha. – Kapitan Żurło wytarł usta. – To nie wiedziałem.

– Ty, Zygmunt – Mielnicki skinął ręką na kelnerkę – skoro już wypiełeś i śledziem zagryzłeś, ruszaj dalej.

– Hiszpańska mucha. To coś do jedzenia? – Esbek zapalił sporta. Jakby nie usłyszał polecenia, chociaż może raczej rozkazu. – Coś jak francuskie ślimaki?

– Możesz się odmeldować. Twój przydupas czeka przy samochodzie. – Mielnicki wyjął spomiędzy palców Zygmunta papierosa i zgasił go na talerzu w resztkę śledzia i cebuli.

Zygmunt podniósł się, chwycił swoje rzeczy i wyszedł z restauracji.

Tadeusz Opolski obserwował go przez brudną szybę. Żurło zatrzymał się przy samochodzie, klepnął w kark kierowcę w pilotce, załadował kopniaka w oponę wołgi, wlał do samochodu, trzasnął drzwiami i pewnie puścił wiązanek w stronę kierowcy.

„Typ histeryczny”, pomyślał doktor o esboku. „Dominujący, niedojrzały emocjonalnie, seksualnie zamrożony. Zmienia zdanie

w zależności od okoliczności. Z okoliczności najbardziej lubi takie, w których może błyszczeć. Człowiek kameleon”.

– Nie krępuj się. – Mielnicki po raz kolejny zaprosił Opolskiego do stołu. – Proszę, spocznij.

– Przecież nie stoję na baczność. – Tadeusz rozejrzał się po knajpie. Nic się nie zmieniło od ostatniego pobytu doktora w tym miejscu. Wciąż te same aksamitne story w oknach. W kolorze dojrzałych śliwek. Obrusy czyste. Doktor zdziwił się, ponieważ przy okazji spotkania z Łaniewskimi musiał prosić o wymianę szmaty poplamionej barszczem i sosem grzybowym. Na stołach sztuczne kwiaty. Na parkiecie zdarty lakier. Pod kaloryferem kilka odklejonych klepek. Podróża perskiego chodnika prowadząca na podwyższenie, na którym chyba od czasu do czasu ktoś grał, ktoś śpiewał, ktoś może nawet tańczył. Opolski w przeciwieństwie do swojego ojca i brata nie znał się na muzyce. W tańcu zupełnie nie miał rozeznania. Orientował się natomiast całkiem nieźle w sztukach plastycznych. Najbliższy był mu niedoroślański prymitywizm. Znakomicie interpretował zgrzebne rysunki swoich pacjentów. Sztuka naiwna. Czarne słońca, szczerbate mury, zamknięte pudła, iglaste deszcze, zębate macice, beznogie psy, labirynty bez wyjścia.

– Siadaj. – Prokurator wskazał na puste krzesło.

– Powiedziałem, postoję – odrzekł Opolski.

Być może skorzystałby z propozycji prokuratora, gdyby tak bardzo nie bolał go tyłek po upadku. I kręgosłup w górę od tyłka.

Sala o tej porze była niemal pusta. Na środku, pod jednym z czterech filarów siedziała para. On patrzył na nią, ona nie patrzyła na niego.

– Wciąż ci się wydaje, że jesteś mądrzejszy? – zapytał Mielnicki.

– Zależy od kogo. – Opolski pomasaował lędźwiowy odcinek kręgosłupa. – Nie mam czasu na pogaduszki. Barbara w szpitalu.

Ryszard uniósł głowę. Spojrzał z uwagą na Tadeusza.

– Co się stało?

– Przecież nie o Barbarze chciałeś ze mną rozmawiać.

– Obsługa! – Mielnicki krzyknął w stronę baru.

Po chwili do stolika przydreptała kelnerka o krótkich nogach i o figurze golonki duszonej w piwie. Nieświeży czepek na głowie.

Pognieciony fartuszek wokół miejsca na talię. Czerwona szminka na ustach. Różowy lakier na paznokciach. Z odpryskami.

– Dawno mieliście tutaj kontrolę sanitarną? – zapytał Mielnicki.

– Niedawno – odpowiedziała kelnerka. Otarła rękawem spocony nos. – W zeszłym tygodniu.

– A skarbową?

– Trzeba zapytać kierownika. – Kobieta wyjęła bloczek i ołówek kopiowy. – Dla panów?

– Dwie kawy, dwie pięćdziesiątki i coś do tego – prokurator złożył zamówienie.

– Słodkiego czy słonego?

– Wódki nie będę zagryzał pączkami. Czeka. To sprzątnij. – Mielnicki ruchem głowy wskazał na brudne naczynia po posiłku Zygmunta.

Kelnerka zabrała talerz, literatkę oraz sztucce i umknęła w stronę baru, przy którym wisało obwieszczenie: „Alkohol wydaje się po godzinie 13.00”. Zegar w restauracji pokazywał dokładnie dwunastą dwanaście.

– Tak do kobiety? Zapomniałeś o manierach? – zapytał Opolski.

– Zapomniałeś, że nigdy ich nie miałem? – odrzekł Mielnicki.

– Czego chcesz, Ryszard?

– To raczej ty powinieneś chcieć. – Mielnicki pogłaskał obrus. Opolski zauważył plamę po oleju. – Pogadajmy. Ale najpierw usiądź.

Tadeusz ukrył grymas bólu pod obojętną miną i przysiadł na skraju krzesła.

– Słabo wyglądasz – mruknął Mielnicki.

– Dwa dni temu ściągnąłeś mnie do prokuratury. Nie wiem po jaką cholere. Grzałem tyłek na krześle przed twoim gabinetem trzy i pół godziny. Później twoja sekretarka posłała mnie do diabła. – Opolski znowu położył rękę na dolnej części pleców. Przygarbił się. – Nie udawaj pierwszego sekretarza. Gadaj, czego chcesz, i do widzenia.

– Wybacz, ale denat, który wypłynął z Boli, nie zadzwonił do mnie wcześniej. Moi klienci nie uprzedzają o wizytach. – Mielnicki oglądał paznokcie. Krótkie. Wypielęgowane. Z wyciętymi skórkami. Mały palec lewej dłoni zdobił dłuższy niż inne paznokieć w kształcie migdała.

– A teraz twoi ludzie przywożą mnie tutaj, do knajpy dla prominentów. Po co? – Opolski masował miejsce po upadku. – Widzisz tę parę pod filarem? On to sędzia Reguła, a ona? Pewnie jego kochanka. To miejsce dla ludzi z twojego towarzystwa.

– Znowu masz złe informacje, przyjacielu. Sędzia Reguła jest ciotą, a ta mała to jego córka. Nie pytaj mnie, jak ją zrobił. Zresztą sam tu bywasz, prawda? Ostatnio z Łaniewskimi. Szóstego lutego. – Mielnicki nawet nie spojrzał w kierunku Reguły.

– Śledzisz mnie?

– Bolegoszcz to nie metropolia. Wszyscy wszystko wiedzą. I widzą.

– Ty chyba więcej niż inni.

– Taka robota. Ale o co to ja pytałem, proszę ciebie? – Mielnicki wyjął pilniczek z wewnętrznej kieszeni marynarki. Zaczął niedbale szlifować długi paznokiec. – A tak. Pytałem, czy wiesz, co to hiszpańska mucha.

– Nie wiem.

– To się dowiesz. – Mielnicki schował pilniczek. Schylił się. Wyciągnął spod stołu aktówkę z czarnej skóry, a z niej kolorowe pismo, które z namaszczeniem położył przed Opolskim. – Popatrz, tutaj piszą.

– „Playboy”? Skąd to masz? – zdziwił się Opolski.

– Widzisz? – Otworzył magazyn na stronie założonej skrawkiem gazety i wskazał palcem krótkie ogłoszenie. – *Spanish Fly*.

– Nie jestem entomologiem – odpowiedział Tadeusz. – Nie znam się na muchach. Ani na hiszpańskich, ani na polskich, ani na żadnych.

– Poproś swojego przyjaciela Karpia, żeby mi to przywiózł. – Mielnicki postukał palcem raz jeszcze w informację o afrodyzjaku. – Następny rejs ma do Alicante.

– Sam poproś.

– Zapomniałeś, że ja nigdy nie proszę?

– Więc wydaj rozkaz. Ale nie mnie.

– Może bym wydał, ale mam nie po drodze. On, ten Karp, mieszka, zdaje się, tam gdzie ty. Nie rób problemów, Tadeusz. Zajrzyj do Karpia i się z nim dogadaj. Ładna, prawda? – Mielnicki poklepał dłonią modelkę na fotografii. Wypił wódkę, którą nie wiadomo kiedy

krótkonoga postawiła przed nim i przed Tadeuszem. Zagryzł ogórkiem. Śledzia odgarnął widelcem na bok. Od lat nie wziął żadnej ryby do ust. Ryby śmierdziały wodą, wodorostami, mułem i śmiercią. Jadalne denatki. Obrzydlistwo. Gorsze niż trupy wyławiane z Boli.

– Zabierz to. – Opolski mimowolnie przyglądał się nagiej blondynce w „Playboyu”. Na głowie wykrochmalony koronkowy czepek kelnerski. Pod jędrnymi piersiami – wąska talia. Na niej śnieżnobiały, zdobiony haftem krótki fartuszek. Paznokcie czerwone. Lakier bez odprysków. Wskazujący palec prawej dłoni w ustach błyszczących szminką. Środkowy palec lewej dłoni przyłożony do wilgotnej klitoris. – Powiedziałem, zabierz to. – Opolski odsunął gazetę od siebie.

Jakby nie widział golasek w akcji. Te z oddziału dla kobiet pobudzonych rozdzierały szmaty przy każdym ataku psychozy. Kompulsywnie się onanizowały. Ocierały się o kanty stołów, o krzesła i o pielęgniarzy. Te z oddziału dla kobiet spokojnych często nie ubierały się w ogóle. Nie miały ani siły, ani ochoty, a czasem nawet odpowiednich rzeczy. Leżały nagie lub półnagie. Gapiły się w sufit. Bez ruchu. Bez woli. Czasem przez wiele dni.

– Karp wypływa za dwa tygodnie. Wraca w połowie lipca, może trochę wcześniej. – Mielnicki schował „Playboya” z powrotem do aktówki. – Załatw to, o co, niech ci będzie, że proszę.

– Muszę już iść.

– Nie musisz. Napij się.

– Nie piję.

– Naprawdę? – Ryszard tym razem nie udawał zdziwienia.

– Dawno nie mieliśmy okazji siedzieć przy wspólnym stole. – Opolski patrzył na Mielnickiego. Postarzał się. Przytył. Kiedy widział go po raz ostatni z bliska? Na pogrzebie matki Ryszarda. Pięć? Sześć? Dwanaście lat temu? Od tamtej pory całkiem wyłysiał. Nosił jeszcze mocniejsze okulary. Jego oczy zmalały do wielkości łuskanych pestek dyni. Podgardle obwisło. Gładkie dłonie bez śladu... – ...obrączki – odezwał się po dłuższej chwili Opolski. – Nie nosisz, Rysiek, obrączki?

– Obrączki. Mamy jeszcze złote obrączki – oznajmił mężczyzna. Jego głos drżał. Jego ciało drżało. Jego uda drżały. Jego kolana

drżały. Jego ręce drżały. Cały drżał.

Zimno. Oczywiście, że zimno. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego wciąż trzymał mróz, któremu nikt nie dziwił się od września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Mróz – przyjaciel trwogi. Mróz – umyślny donosicieli. Mróz – nieobecność Boga. Niezwykły mróz. Pojawiał się w środku czerwcowego dnia. W ciszy lipcowego wieczoru. We mgle sierpniowego poranka. Normalna anomalia.

– Podejdź bliżej – powiedział Rysiek.

Mężczyzna zrobił dwa kroki do przodu.

Kobieta w zaawansowanej ciąży nie poruszyła się. Podtrzymywała brzuch. Jej twarz kurczyła się tak jak macica. Dokładnie co siedem minut.

– Ściągaj gacie – wydał rozkaz Rysiek.

– Przecież widzisz, że on nie Żyd. – Opolski chwycił Mielnickiego za rękę. – Nic ci do niego.

– Ściągaj, powiedziałem. – Rysiek trzymał w dłoni wielki łom, który znalazł przed wejściem na strych. Ktoś wcześniej podpierał nim wejście na górę.

– Co masz do nich? – zapytał Tadek. – Kobieta rodzi, nie widzisz? Daj spokój.

– Wariat – parsknął Rysiek.

– Bolszewik – odszczeknął Tadek.

Nie bez powodu. Rysiek komunizował od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Wciąż gadał o potrzebie nowego ustroju. Do partyjnych struktur miał przyłączyć się już latem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, najpierw do Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, do wydziału walki z bandytyzmem, a później do Milicji Obywatelskiej.

Tadek freudyzował od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Czytał papę Sigmunda po niemiecku, analizował ludzi oraz sny, fascynował się świadomością i nieświadomością, projekcją, hipnozą oraz metodą wolnych skojarzeń. Pragnął wejść do każdej chorej głowy jak do opuszczonego, samotnego domu, pragnął przyjrzeć się jej umeblowaniu i nie przestawiając sprzętów, sprawdzić najpierw bałagan na strychu, a później zejść do piwnicy. Tam zawsze było najciekawiej.

– Ściągaj portki, powiedziałem, jeśli ci życie miłe. – Rysiek zażądał po raz kolejny.

Mężczyzna nie poruszył się.

– I życie twojej rodziny – dodał po chwili Mielnicki.

Wiedział, co mówi. Rodzina była dla niego naprawdę ważna.

„Za ojczyznę? Do lasu? Daj spokój. Mam matkę i siostry na utrzymaniu”, powtarzał za każdym razem Rysiek, kiedy Tadek wspominał, że może powinni dołączyć do partyzantów. Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego przyłączył się do nich Jerzy, brat Tadeusza. Ukrywał się na Lubelszczyźnie, Rzeszowszczyźnie, kto wie, może w okolicach Bolegoszczy również. Walczył o Polskę. Nie o kawałek żytniego chleba. Nie o smalec na chleb. Nie o kawę zbożową. Nie o ćwierć kilo fasoli. Naprawdę walczył. O wolną i wielką Rzeczpospolitą.

Tadek też tak chciał. Zostawiłby ojca i matkę, i uciekłby. Uciekłby, gdyby ojciec chodził, a matka widziała. Tymczasem Jan Opolski umierał na postępującego raka kości (z przerzutami do płuc), a Helena Opolska, która w żaden sposób nie mogła ulżyć cierpieniom męża, patrzyła na jego konanie jednym okiem.

Jan i Helena myśleli o tym samym, choć ani razu nie wypowiedzieli tego na głos: lepszy szybki koniec przed plutonem egzekucyjnym niż niekończące się cierpienia w czystej pościeli. Jan modlił się o śmierć łagodną jak kula w głowę. Kiedy wył z bólu, Helena modliła się o to, żeby śmierć strzeliła mu w łeb jak najszybciej.

Rysiek też był odpowiedzialny. Za matkę chorą na gruźlicę oraz za trzy dużo młodsze siostry. Jego ojciec, szewc, zaginął dwa lata wcześniej. Zniknął. Tak po prostu. Wszedł rano do pracy, a wieczorem nie wrócił. Bolegoszczanie mówili, że Szwaby zgarnęły go w łapance i wysłały na roboty do Reichu.

Nigdy nie dał znaku życia. A powinien. Ludzie przecież pisali z robót. Bronce Kołakowskiej ojciec raz w tygodniu przysyłał chleb w paczce. Wysyłał go spod Monachium. Bronka całą okupację powtarzała, że życie zawdzięcza poczcie niemieckiej. Bochen docierał do niej dokładnie co siedem dni, zapakowany w czystą ściereczkę. Pólczerstwy, bez śladu pleśni. A stary Mielnicki nic. Po kątach w Bolegoszczy szumiało, że to przez długi, jakich narobił

przed wojną. I że sam zgłosił się do transportu, żeby go w Rzeszy nie dorwał polski lichwiarz, żeby nie wybił zębów i nie ściągnął razem z długim skórą z karku.

Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego przyszła depesza z Düsseldorfu, że ojciec Ryśka umarł. Na zapalenie płuc. Mielnicka cisnęła telegram do pieca, krzycząc do dzieci: „Lichwiarz, cholerny lichwiarz ojca wam zabił. Jakby stary nie musiał spierniczać przez niego do Niemców, toby żył”.

Tadek – syn sędziego i sędziny.

Rysiek – syn szewca i krawcowej.

Od urodzenia mieszkali na Mickiewicza. Tadek w piętrowym domu z ogrodem na końcu ulicy pod numerem sześćdziesiątym ósmym. Zaraz przy furtce rosły: szara reneta, strzelisty modrzew i trzy brzozy. Willę otaczały sosny i cisy. Za domem sad – grusze, śliwy, a nawet morela. Pośród drzew – ławki kute przez miejscowego mistrza Juliana Oleckiego. Na werandzie – jak z dramatów Czechowa – białe meble ogrodowe, haftowane poduchy, wełniane pledy. W mosiężnym gazetowniku, zrobionym również przez miejscowego mistrza Oleckiego, najświeższa prasa ojca. Na stoliku – książki matki. Pośród nich najważniejsza – *Lalka* Prusa. Wydanie z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku.

Rysiek gnieździł się w suterenie czynszowej kamienicy na początku Mickiewicza, na skrzyżowaniu ze Słowackiego i Norwida. W jednej izbie rodzina, w drugiej zakład szewski. Bimber i krzyki. Dźwięk maszyny do szycia butów i maszyny do szycia żakietów. Zapach gotowanej co drugi dzień kapusty z grochem i widok z okna na: zelówki, buty, skarpety, podwiązki, pończochy, mankiety spodni, rąbki spódnic, poły palt oraz futer. Perspektywa do kolan przechodniów. Oczy Mielniczątek nigdy nie sięgały wyżej.

Tadzio chodził do szkoły katolickiej na Pałacowej, Rysio do szkoły powszechnej na Jesionowej. Obaj trafili do tego samego gimnazjum. Obaj celująco zdali małą maturę. Matka Tadzia wypiła za sukces syna lampkę koniaku. Matka Ryśka zabrała się do szycia kolejnego żakietu, żeby zarobić na naukę jedyne syna. Córki musiały dobrze wyjść za mąż. Inne rozwiązanie w ich przypadku nie wchodziło w rachubę.

Tadzia i Rysia wszystko dzieliło. Łączyły zaś dwa końce ulicy Mickiewicza, samotność (starszy brat Tadzia miał swoje towarzystwo, młodsze siostry Rysia nie liczyły się), wiek, letnie wypadki nad Bolę, studiowanie map Afryki i Azji, a później niewieścich wdzięków.

Tadzio lubił Rysia. Nie zawsze pojmował, dlaczego Rysio wpada w złość na widok Tadzinego kuferka pełnego łakoci albo na widok kierowcy sędziego, który w słotne dni czekał na małego Opolskiego przed gimnazjum.

Kiedy złość mijała, Rysio przybiegał do Tadka. Przyglądał się zza płotu (mocno mrużąc oczy), jak Opolscy raczą się na werandzie świeżym ciastem drożdżowym i gorącą kawą podawaną zawsze w filiżankach.

Tadek nigdy nie zaprosił Rysia na podwieczorek.

Rysiek zapraszał czasem Tadka na przedstawienia.

Opolski siadał wówczas na skraju jednego z trzech łóżek i w milczeniu obserwował. Ojca szewca, matkę krawcową i wszystkie momenty kulminacyjne czterech małżeńskich kłótni, jakie pozwolił obejrzeć mu Rysio. Za drobną opłatą. Za wstęp. Jak w teatrze. Awantury były jednak prawdziwe. Jak w życiu. Dwa razy z rękoczynami. Ojciec szewc tłukł matkę krawcową pierwszym lepszym butem, jaki wpadł mu akurat w łapy. Ona prała go tą samą szmatą, którą wcześniej wycierała podłogi. „O!” To było wszystko, co Tadzio myślał, kiedy siedział na brudnej pościeli w pierwszym prywatnym teatrze w Bolegoszczy. Po spektaklu myślał więcej. Że to, co zobaczył, było lepsze niż Cyrk Staniewskich i warszawski ogród zoologiczny, w których Tadzio był kilka razy.

Tadek poszedł do liceum. Po maturze planował medycynę.

Rysiek nie zaczął liceum, wylądował w warsztacie u ojca. Nie miał planów innych, niż przeżyć dzień do wieczoru, a wieczór i noc poza pełną wrzasku suteroną.

A później wybuchła wojna, która zmieniła świat Tadka i życie Ryśka. Elity zrównała z ziemią. Biedotę wydobyła spod ziemi.

Opolski i Mielnicki dużą maturę zrobili na tajnych kompletach.

Tadek zapisał się na zawodowe kursy medyczne. Rysiek na nauczycielskie.

Tadek pracował jako listonosz. Rysiek dorabiał w piekarni.

Obaj spotykali się na zajęciach z niemieckiego u profesor Kujawskiej, która powtarzała, że język wroga trzeba znać lepiej niż ojczysty. I męczyła wszystkich na kompletach, tak jak Artur Greiser dręczył Wielkopolan.

Właśnie wychodzili z kolejnej lekcji w mieszkaniu germanistki, kiedy Rysiek usłyszał hałas na strychu. „Za Żydów”, szepnął, „można dostać talon na pięćdziesiąt kilo cukru”, i ruszył na górę.

Tadek za nim. Nie żeby zaraz lubił Żydów. Nie lubił. Nikt ich nie lubił. Ale Żyd też człowiek. Tak mówił brat Tadka – Jerzy, w którego oddziale służyło dwóch obrzezanych. Jeden z nich uratował Jerzemu życie. W jaki sposób – Jerzy nigdy nie powiedział. Podobno wydobył go z kotła. Podobno Jerzy był ranny. Podobno cudem ocalał. Podobno przez sześć tygodni kostucha ostrzyła kosę nad jego łóżem. Zamiast Jerzego ścięła Żyda. Tego właśnie, który go ocalił. Mógł Perczik nie leżeć do wioski, do polskiej baby. Polazł. Trafił go nóż zdradzanego męża. W tętnicę szyjną.

– Widzisz? – Rysiek zapytał Tadka.

– Nie widzę. – Tadek usłyszał szmer na korytarzu. Pewnie reszta kolegów i koleżanek wymykała się od profesor Kujawskiej.

Opolski zamknął właz na strych. Przez okno dobywały się dźwięki ulicy. Kopyta konia na bruku. Przejeżdżające samochody. Klakson. Z oddali dźwięk katarynki. Z bliska okrzyki chłopca: „»Popołudniowy Kurier Bolegoski«! »Popołudniowy Kurier«! Komendant Niedorośli powiesił się! Komendant Arnold Hoffman nie żyje. Popęłnił samobójstwo! Ciało znaleziono w pobliżu...!».

– To popatrz, co on tam ma. – Rysiek popchnął Tadka w stronę mężczyzny. – Trzeba sprawdzić.

– Kutasów nie będę oglądał. – Opolski strącił z ramienia dłoń Mielnickiego. – Sam sobie patrz, jak chcesz.

– Brzydę się. Cuchnie z daleka.

– To zatkaj nos. – Tadek podszedł do kobiety. Nie ukrywała cierpienia. Jedną ręką wciąż podtrzymywała brzuch. Drugą masowała okolice krzyża. Opolski zauważył mokrą plamę na spódnicy i kałużę na podłodze.

– A ty gębę zatkaj. – Mielnicki zaczął lekko uderzać łomem o dłoń. – Patrzałki mi siostra stłukła miesiąc temu. Na nowe jeszcze

nie zarobiłem. Ty musisz sprawdzić, czy ten tutaj to Żyd czy nie Żyd. – Rysiek zmrużył oczy. Prawie nic nie widział.

– Nic nie muszę. Zjeżdżamy stąd.

– A cukru chcesz? – zapytał Mielnicki.

– Nie.

– Sprawdzaj.

– To ty kazałeś temu człowiekowi... – Opolski badał puls kobiety.

– Człowiekowi!

– ...zdjąć gacie. – Tadek położył rękę na brzuchu rodzącej. – To już, prawda?

Skinęła głową.

– Ty się na tym lepiej znasz, doktorku – odciął się Rysiek. – Kutas żydowski czy nieżydowski, twoja rzecz.

– Który miesiąc? – Tadek jeszcze ciszej zapytał kobietę.

– Prawie koniec – wyszeptała z trudem. – Niedawno odeszły wody. Niech pan ratuje męża.

– Uratuje albo nie uratuje. To się jeszcze okaże. – Rysiek wciąż uderzał łomem o dłoń.

Tadek podszedł do półnagiego mężczyzny.

Nie wyglądał na tego, kim był. Nie wyglądał na Żyda. Wysoki, kiedyś chyba blondyn. Teraz niemal łysy. Błękitne oczy. Rude rzęsy.

Mógł być starszy od Opolskiego może o pięć, może o dziesięć lat. Nie wiadomo. Wojna zmieniła nie tylko pogodę, fundując ludziom nieustające ataki mrozu. Niektórym przerobiła życiorysy, daty urodzenia, a nawet daty śmierci. W sprzyjających okolicznościach (dobry wygląd, odwaga w oczach i znajomość pacierza) modyfikowała rasę i narodowość. Oczywiście za stosowną cenę (złoto, najlepiej złoto, to z gęby też ujdzie).

Tadek podszedł do obcego.

– Pokaż – zażądał.

Mężczyzna stał z opuszczoną głową.

– Pokaż, powiedziałem.

Mąż rodzącej ujął członek w dłonie.

„Obrzezany”, westchnął Tadek.

– To Polak – zwrócił się do Mielnickiego. – Wszystko ma na miejscu. Jak chcesz, sam możesz sprawdzić. Jest na co popatrzeć.

Takiego w życiu nie widziałem. Rysiek, chodź. Mówię ci, okaz!

– A dużo widziałeś? Chyba żeś pederasta – zakpił Rysiek. – Cholera, cukru nie będzie. Ale zaraz. Jak wy nie Żydzi, to czego się chowacie na strychu? – zwrócił się do zbiegów. – Dokumenty jakieś macie? Dawajcie.

– Włóż szybko spodnie – Opolski szepnął do mężczyzny.

Mielnicki zbliżył się do Żyda, kiedy ten zapinał pasek.

Na twarzy kobiety pojawiła się ulga.

– Moja żona rodzi. Zdaje się, że trzeba jej pomóc – Żyd odezwał się po raz pierwszy. Wcześniej ani słowem. Nie tłumaczył się. Nie prosił o łaskę. O miłosierdzie. O życie. Dopiero teraz. W sprawie żony.

– Zajmę się tym – uspokoił go Tadek.

– Czekaj, czekaj. Najpierw dokumenty. – Mielnicki zamierzał doprowadzić sprawę do końca. – Kennkarta.

– Proszę. – Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni wymięty papier. Podał go Mielnickiemu.

– Lipiński. – Rysiek przeczytał półgłosem. – Karol Lipiński. A ona?

– Ona jest Lipińska i zaraz urodzi na twoich oczach. – Tadek ujął kobietę w pól.

– Nie tak szybko – zaprotestował Mielnicki.

– Właśnie że szybko. Chyba że masz pod ręką wrzątek, czyste prześcieradło i sterylny nóż. Dziecko nie będzie czekać. – Tadek cicho otworzył właz. – Za rogiem jest kawiarnia – zwrócił się do kobiety. – Dojdziemy tam. Powoli. Uwaga. Tędy ostrożnie. Tutaj bardzo stromo.

Kobieta patrzyła na mężczyznę.

Mężczyzna patrzył na kobietę.

– Znajdę cię – powiedział Żyd z czułością. – Idź.

Rodząca przy pomocy Tadka zaczęła schodzić na dół.

– Lipiński. Karol Lipiński. – Mielnicki studiował kennkartę. Pocierał czoło dłonią. – I mieszkasz na Różanej 12?

Właściciel kennkarty skinął głową. Niepewnie. Jakby nie mógł sobie przypomnieć. Z drugiej strony jak mógł pamiętać o czymś, o czym nie miał pojęcia. Trzy godziny wcześniej za ostatnie dolary

kupił papiery „na Lipińskiego” od szemranego cwaniaka obwieszonych zegarkami.

– Na Różanej 12, powiadasz. Nad sklepem żelaznym braci Jodełko? – drażył Mielnicki.

Karol Lipiński skinął głową raz jeszcze.

– A obok jest lombard? Cosik za Grosik?

Żyd patrzył na Ryśka jak zając złapany we wnyki.

– Kto by pomyślał. Jeszcze mi powiedz, że twój ojciec to Aleksander Lipiński, a ci uwierzę.

I Żyd potwierdził po raz ostatni.

– Taki Polak jak ty, to gorzej niż Żyd. Swołocz! Skurwysyński lichwiarz! Przez twojego ojca mój musiał do Reichu. Na roboty. Uciekał od twojego starego! Od jego bandytów, którzy mu ciągle mordę obijali. Forsy chcieli. To masz swoją forszę. Masz! Masz, na co zasłużyłeś. Masz cosik za grosik. Koniec z długami! Ty gnoju! Bydlaku! Rachunki wyrównane. Zdychaj!

Tadek i ciężarna kobieta już na schodach usłyszeli głuchy łomot. Osuwające się na podłogę ciało. Kilka kopniaków na zakończenie.

– Nie teraz. Dziecko najważniejsze. – Tadeusz przytrzymał omdlewającą Lipińską. – Niech pani myśli o dziecku. Tylko o dziecku.

– O dziecku. Alicja ciągle mówiła i wciąż mówi o dziecku. Później pomieszało się jej w głowie. Nie może zrozumieć, że nie może. Że nie może mieć dzieci. – Mielnicki zrobił nieokreślony gest ręką. – Małych, głośnych i ruchliwych. – Skrzywił się.

– Co to znaczy, że Alicji pomieszało się w głowie? – Opolski próbował opanować drżenie. W płaszczu po Niemcu robiło mu się coraz zimniej. Możliwe, że od przemoczonych stóp. Obawiał się, że odezwą się stare odmrożenia. Że palce znowu zrobią się czerwone i dwa razy większe. Że znowu nie zmieszczą się do żadnych butów. Wystarczy kłopotów z kręgosłupem.

– Przez dzieci można zwariować. Nigdy nie rozumiałem, na co ludziom one. Ale od ich braku, mówię ci, jeszcze większe szaleństwo. Przecież wiesz. Znasz się na wariatach i wariatkach.

– Nie znam się. Ani trochę.

– To taki żart, prawda?

– Tylko na psychicznie i nerwowo chorych.

– Czyli na wariatach. Wygodne auto, proszę ja ciebie, prawda?
Kwadrans wcześniej prokurator zaproponował, że podwiezie
ordynatora do szpitala. Do Barbary, z którą wciąż nie wiadomo co.

Opolski nie chciał, ale nie miał specjalnego wyboru.

Jechał więc teraz samochodem Mielnickiego. Citroënem DS,
w którym było zimno jak w bydłęcym wagonie.

W czerwonym kabriolecie unosił się zapach mocnych męskich
perfum i skórzanej tapicerki. Ryszard lekko uchylił dach. Nie. Nie
dlatego, że zapalił papierosa. Mielnicki nigdy nie palił. Nie znosił
zapachu papierosów. Stęchlizny, jaką po sobie zostawiały. I popiołu,
który prokuratorowi kojarzył się z końcem wszystkiego.

„Otworzył dach, żeby się pochwalić. Żeby mi udowodnić, że
syrenka przy citroënie, to...”

Głośna muzyka przerwała myśli Opolskiego.

Prokurator włączył radio. Zadzźwięczał jazzowy kawałek.

„Andrzej pewnie by rozpoznał. Zna ich wszystkich, tych
szarpidrutow”, pomyślał doktor.

– Poznajesz? – zapytał Mielnicki.

Opolski spojrzął przez okno. Zdało mu się, że przez Psi Skwerek
maszeruje jego matka Helena Opolska z jakimś czupiradłem pod
rękę, ubranym...

„Co? W norki Heleny? Bzdura. Psychotyczna multiplikacja”.
Przetarł oczy. „Muszę się wreszcie wyspać. Pojechać do Jastarni na
urlop. Albo do Zakopanego”. I zawstydził się. Jak może myśleć
o urlopie, kiedy Barbara w szpitalu.

– Poznają. Chociaż nie do końca – odpowiedział, wciąż patrząc
na sylwetkę chyba-matki i na tę drugą.

– Muzyka z filmu. *Nóż w wodzie*. Widziałeś?

– Słuchasz zachodniej stacji?

– Francuski samochód z francuskim radiem. Nic na to nie
poradzę.

Opolski potarł dłonią zmęczone oczy. Powinien natychmiast
zażyć coś przeciwbólowego.

– Czego ty chcesz, na Boga? Nie podpiszę żadnych papierów.
Nie będę na nikogo donosił. Nie mam na kogo. Chyba że na dwie

Matki Boskie, na Wielką Grę i na Kopciuszka. Zatrzymaj się. Wysiadam – zażądał Opolski.

– Nie tak szybko. Przyjmiesz Alicję na oddział. Z diagnozą... Nie wiem. Wymyśl coś. Histeria maciczna zagrażająca życiu. Ty wiesz, ile razy ona mówiła, że się zabije?

– Z powodu dziecka, bo go nie ma, czy z twojego powodu, że ty jesteś?

– Gustowny płaszcz. – Mielnicki rzucił okiem na Opolskiego. – Wcześniej nie zauważyłem. Dostałeś w spadku po pacjentce?

– A tak. Wczoraj umarł na gruźlicę. – Tadeusz pogłaskał rękaw. – Nie wiem, może jeszcze prątkuje...

Mielnicki gwałtownie zahamował.

– Wynocha.

Otworzył dach kabrioletu do końca, mając nadzieję, że zimne powietrze i wiatr załatwią wirusy i bakterie.

Opolski wytarabanił się z Citroëna. Włazł prosto w kałużę. Stał teraz przed Mielnickim, jak cień szwabskiego trupa.

– Tak to załatw, żeby Alicja nigdy nie wyszła z psychuszki. Rozumiesz? – Prokurator sięgnął do skrytki po miękką bawełnianą chustkę. Z wewnętrznej kieszeni jesionki wyjął piersiówkę ze spirytusem, którym począł czyścić po Opolskim jasne skórzane obicie fotela. – Zadzwoń jutro do szpitala. Jutro, bo jutro masz dyżur. Powiem, co trzeba. Ty wyślesz do nas ambulans. Adres znasz. Ale podam go dyspozytorowi, żeby wyglądało. Przyjmiesz Alicję na izbie przyjęć. Później wsadzisz ją na oddział dla najbardziej upośledzonych.

– Bardziej niż ty?

– Zrobisz to. – Mielnicki odłożył chustkę i alkohol. Wychylił się w stronę Opolskiego.

– Nie zrobię.

– Posłuchaj. Wszystko mi zawdzięczasz. Wszystko. Gdyby nie ja, byłbyś nikim. Nigdy nie zostałbyś lekarzem. Wsadziłbym cię już w październiku czterdziestego piątego. Siedziałbyś w pierdlu co najmniej dziesięć lat. Po wyjściu zostałbyś pacjentem psychuszki, w której teraz pracujesz.

– Gdyby nie ja, nigdy nikogo nie wsadziłbyś do pierdla. Zapomniałeś?

– Spłaciłem dług, półhrabku. Obiecałem, że władza nie wykwateruje twojej matki z burżujskiej willi ani jej nikogo nie dokwateruje. Obiecałem, że z twojej teczki zniknie informacja o bracie w AK. Dotrzymałem słowa. Zostawiłem cię w spokoju na lata, chociaż nie musiałem. Pracowałeś, badałeś, leczyłeś, konferowałeś. Dostałeś posadę ordynatora. Myślisz, że dlatego, bo jesteś taki zdolny i uczciwy? Nie. Dlatego że ja tak chciałem. Doktor Złotoś musiał wstąpić do partii, żeby objąć oddział dla mężczyzn. Podobno kandyduje na stanowisko dyrektora. A ty? Gdzie twoja partyjna legitymacja? Zapisaleś się do PZPR?

Wiatr wywiął z głowy Tadeusza wszystkie odpowiedzi. Pozostało w niej tylko pytanie: czy drabina, po której się wspinał, należała do Mielnickiego?

– Jak sądzisz, komu zawdzięczasz swoje sukcesy? Nie odpowiadaj. Teraz przyszła pora na koleżeńską uprzejmość. Na wdzięczność za dwie dekady spokoju.

Tadeusz wyszedł z kałuży. Podniósł kołnierz.

– Chcesz odejść od Alicji, tylko nie wiesz jak – powiedział.

– Domyślny jak śledczy na stażu. – Ryszard zajął się znowu sterylizacją fotela po Opolskim. Szorował oparcie drzwi, na którym spoczywał prątkujący rękaw.

– Wykombinowałeś, że zamkniesz ją w zakładzie, zamiast wziąć rozwód. Proszę bardzo, zamknij. W Tworkach. W Choroszczy. W Branicach. Wszędzie, ale nie na moim oddziale.

– W Tworkach, w Choroszczy czy w tych... w Branicach, może „wyzdrowieć”.

– A jeśli wyzdrowieje w Niedorośli?

– Ciągłe masz sporo do stracenia. Pracę, żonę, synów.

– Nie zrobisz tego.

– O, nie od razu. Przecież wiesz, że jestem cierpliwy. Potrafię długo czekać.

Opolski włożył dłoń do kieszeni. Przesiewał między palcami kamienie. Jeden z nich przeciął skórę jego dłoni. Ostre krawędzie. Krzemień?

Mielnicki zasunął do połowy dach samochodu. Poprawił fular na szyi i okulary na nosie.

– Słuchaj. Mam lepszy pomysł. Zabij Alicję. To dla ciebie pestka. – Tadeusz podszedł do Citroëna. Wyjął z kieszeni rękę i przejechał kamieniem po lakierze. Dźwięk rzezanej karoserii zagłuszyły muzyka z radia i hałas z ulicy.

– Zrób z mojej żony warzywo, które nie będzie wiedziało, kim jest i jak się nazywa. – Mielnicki uruchomił silnik. – Rozumiesz?

Opolski zrobił dwa kroki do tyłu. Podziwiał rysy na karoserii Citroëna.

– Trup w rzece – powiedział. – Ciało w spalonym samochodzie. Zmasakrowane zwłoki na Psim Skwerku albo w parku Przyjaźni pod pomnikiem betonowych pederastów lub – to najlepsze – zniknięcie bez śladu. Umiałbyś zatrzeć każdy trop, Rysiek. Kto, jeśli nie ty?

– Twój brat. – Mielnicki wyłączył radio.

– Jerzy nie zacierał tropów. – Opolski wrzucił kamień z resztkami lakieru do kałuży. – Robił to, co do niego należało.

– Więc stul pysk i słuchaj. Znam, kogo trzeba i gdzie trzeba. Nie chcesz wiedzieć kogo i gdzie. Zadbaj więc o to, żeby Alicja stała się wariatką. Nie, nie wariatką. Osobą chorą nerwowo, jak ty to mówisz. Pamiętaj, że Alicję odwiedzi w zakładzie Troszkiewicz. Minister Troszkiewicz. Pojawi się w ciągu dwóch tygodni od jej przyjęcia. Chcę, żeby zobaczył swoją córkę w stanie psychozy, neurozy czy innej chujy. Jeśli tego nie zrobisz, szukaj pracy na poczcie. Masz długie nogi i jesteś głupi jak znaczek pocztowy. Wystarczy cię polizać od wewnętrznej strony, żebyś...

– Zjeżdżaj.

– I jeszcze jedno. Pewnie nie wiesz, że twój starszy syn ma kłopoty. Wrócił dzisiaj z Warszawy. Dość nieoczekiwanie, prawda? Wiesz dlaczego?

Doktor poczuł, że robi mu się gorąco. Skok tętna. Ucisk w żołądku. I znowu parcie na pęcherz.

– Wiem – skłamał.

– Pochwalił się? Cwaniaczek, nie podejrzewałem, że taki z niego chojrak.

– Wiem, że najlepsza jest *Aralia cordata* – powiedział Opolski.

– Że co najlepsza?

– *Aralia sercowata*. Inaczej czartowskie drzewo.

– A idź do diabła.

– Rośnie na Sachalinie i na Wyspach Kurylskich. Kto wie, może na Kamczatce również. Kamczatka po sąsiedzku. Popatrz na mapę i sam się przekonaj. – Na wpół schylony Opolski z trudem próbował wytrześć wodę z przemoczonych butów. – Zapamiętaj: *Aralia cordata*. Najlepsza na potencję, impotencje. Weź parę dni urlopu, poszukaj zioła za granicą i zapomnij o hiszpańskiej musze. Nie usiądzie na takim gównie jak ty.

8.

– Jak ty, tato, wyglądasz? – Paweł Opolski zaciągał się papierosem. Stał przed wejściem do szpitala, którego drzwi zamierzał sforsować Tadeusz.

– Ja? – Ordynator zatrzymał się w biegu. – Jak ja wyglądam? Lepiej powiedz, co ty tutaj robisz. Po co przyjechałeś?

– Odwiedzić matkę w szpitalu.

– Myślisz, że nie wiem?

Paweł wzruszył ramionami.

– Protesty, manifestacje, strajki, rezolucje, listy studentów do rządu, do robotników. Miałeś z tym coś wspólnego? Narozrabiałeś?

– Czy ja kiedykolwiek, tato, narozrabiałem?

Tadeusz przeczesał dłonią włosy, kiedyś ciemne, dziś siwe na skroniach.

– I od kiedy palisz papierosy?

– Znalazłem w torebce matki dwa ostatnie. Właściwie dwa i pół. – Paweł naciągnął na głowę kaptur budrysówki. – Ohyda. – Zakaszlał i przydeptał niedopałek.

Tadeusz przyglądał się synowi.

Zmężniał? Niemożliwe, żeby w ciągu dwóch miesięcy.

Wydoroślał? Zawsze zdawał się dorosły i poważny.

A może stał się bardziej pyskаты? I dobrze. Prawnik powinien być wyszczekany. Od swojego ojca, sędziego, Tadeusz zawsze słyszał, że prawo to sztuka słowa oraz interpretacji. „Poezja zaklęta w paragrafy”, powtarzał Jan Opolski. „Poezja, ale nie dla każdego”.

„Szkoda, że nie doczekał tego tutaj poety od paragrafów”, westchnął ordynator, obserwując, jak obcas Pawła rozprawia się z niedopałkiem.

– Papierosy znalazłeś w torebce matki. Dlaczego szperales w jej rzeczach?

– Szukałem dowodu. Potrzebowali w rejestracji jakichś dokumentów. Co miałem zrobić?

- Zadzwoń do mnie.
- Przecież zadzwoniłem.
- Co z matką?

Paweł naciągnął na głowę kaptur.

- Tato, dlaczego w torebkach kobiet można znaleźć wszystko?
- Idziemy na górę.
- U matki na przykład. Trzy szminki. Dwie puderniczki. Klucze od domu, na strych i do piwnicy. Portfel, ale tylko z bilonem. Składane lustro. Takie wysuwane. Trzy siatki na zakupy. Nowe pończochy. Stare pończochy. Jedna para po repasacji.

– Matka lubi mieć zapasowe.

– A gdzie ona zmienia te pończochy, jak już musi?

Doktor wzruszył ramionami.

– Puderniczka. Pilniczek i lakier do paznokci. Lakier w kolorze różowego lukru. – Paweł skrzywił się z niesmakiem. – Kłębek waty. Paczka marlboro. Prawie pusta. Mówiłem. Batonik Studencki. Okruchy. Kozik. Rozumiesz? Kozik do strugania ziemniaków. I obcas. Złamany obcas. A na koniec najlepsze. To. – Paweł wyciągnął z kieszeni kurtki owiniętą w gazetę łopatkę do ziemi. – Po co jej to?

– Widać znowu coś wykopuje. Albo z parku, albo z ogródka benedyktynów. Podkrada co lepsze rośliny państwu i Kościołowi. Później sadi w Łączkach. Wystarczy tego gadania. Gdzie ona leży?

– Pod łóżkiem w sali dwanaście na pierwszym piętrze.

– Matka? Na Boga!

– Torebka. Ty wiesz, jaka ona ciężka? Jak walizka.

– Paweł!

– Dlatego musiałem zapalić. Jeżeli każda kobieta, tato, nosi przy sobie tyle śmieci, to ja nigdy nie zrozumieję kobiet.

– I dobrze. Dłużej będziesz zdrowy.

– To też było w jej torebce. – Paweł sięgnął do drugiej kieszeni.

Podał ojcu list. W białej kopercie. Z brytyjskim znaczkiem. Bez adresu zwrotnego. Nadawca: G. White. „Przypomniał sobie?”, pomyślał ordynator.

– Idziemy – zwrócił się do Pawła, rozpinając płaszcz i wsuwając list do fartucha.

– Spokojnie. Matka na razie śpi. Przecież nie będziesz jej budzić, prawda?

– Prawda.

– To ja sobie zapalę jeszcze jednego – odrzekł syn. – Przedostatniego.

– Dlaczego?

– Bo więcej nie ma. Ostatni zostawię dla matki.

– Dlaczego nie chcesz wejść do środka?

– Andrzej jest przy niej od kwadransa.

– Znowu się poprzytykaliście?

– Zapalę i przyjdę na górę. Obiecuję.

Zamiast na piętro pierwsze, do sali numer dwanaście, Opolski ruszył na piętro czwarte, do dyżurki lekarskiej. Zapukał dwa razy i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Jesteś! – odetchnął z ulgą.

Za biurkiem, pochylony nad dokumentacją medyczną, siedział doktor Edward Łaniewski, przyjaciel Tadeusza.

W czasie wojny obaj kończyli kursy medyczne, a po wojnie studia w Warszawie. Po powrocie do Bolegoszczy Łaniewski zaczął się w szpitalu miejskim na oddziale kardiologii, Opolski dostał etat w Niedorośli.

– Tadek? – Edward przyglądał się Tadeuszowi. – Łajdaczyłeś się? – zakpił. Wiedział, że prędzej Słońce zacznie się kręcić wokół Ziemi, niż Tadek zdradzi Baškę.

– Pożycz mi świeże ubranie, Edek. W takim stanie nie mogę się pokazać na dole.

– Stało się coś?

– Ciuchy, Edziu. Proszę.

Edward podszedł do szafy i bez zbędnych pytań wyciągnął z niej spodnie, flanelową koszulę i...

– Skarpety też? – zawahał się.

Tadeusz skinął głową, że owszem, skarpety też.

– Barbara wylądowała na pierwszym piętrze – poinformował Edwarda.

– Na pierwszym piętrze?

– Paweł mi tak powiedział. – Tadeusz ściągał z siebie brudne ubrania. W pośpiechu wkładał świeże. Przemoczone buty wrzucił do kubła. Wyjął ze szpitalnego kitla, w którym wybiegł z zakładu w Niedorośli, list od G. White’a i przełożył go do kieszeni czystych spodni. Kitel wsunął do rękawa mantla po Niemcu.

– Paweł ci tak powiedział? – upewniał się Łaniewski.

– Paweł. Dlaczego pytasz?

– Bo przed kwadranssem spotkałem Andrzeja.

– Na kardiologii? Czego tu szukał?

– Jego zapytaj.

Opolski czuł coraz większe zmęczenie.

– Zapytam. Kiedy tylko spotkam.

– Bo widzisz, Tadek, na pierwszym piętrze znajduje się...

– Interna. Pamiętam. – Tadeusz spostrzegł, że ma bose stopy. Zajrzał do szafy Łaniewskiego. Znalazł w niej chodaki Edwarda. Na obcasach. Przymierzył. Za małe, ale trudno. Większego durnia już z siebie raczej nie zrobi. – Mogę? – zapytał.

– Słuchaj, Tadek, źle pamiętasz. Na pierwszym piętrze jest...

– Nie masz przypadkiem, Edziu, odrobiny koniaczku?

Zaterkotał telefon.

– Zaraz będę na dole – odpowiedział Łaniewski.

Łaniewski popędził na izbę przyjęć do zawału.

Opolski zszedł więc na pierwsze piętro sam.

Na korytarzu usłyszał krzyki i jęki.

„Na internie?”

Minęło go kilka obolałych kobiet. Poruszały się z trudem. Jedna z nich szła w stronę toalety, co chwila odpoczywając pod ścianą.

– Pan do kogo? – Opolski usłyszał za sobą kobiecy głos.

Powinien się odwrócić. Przywitać. Powiedzieć. Wyjaśnić. Zapytać. W formach grzecznościowych równie biegły jak w interpretacjach snów swoich pacjentów.

– Do żony – odpowiedział tylko.

– Czyli do kogo?

– Do Barbary Opolskiej. – Opolski czuł na plecach wzrok pielęgniarki. Jak wkłucia lotek zakończonych igłami. Jak wkłucia lotek w papierową tarczę.

- Ostatnie drzwi po prawej stronie.
- Wie siostra, co z nią?
- Informacji udziela doktor Czubek.
- Kto? – Ordynator Niedorośli dopiero teraz się odwrócił.
- Doktor Czubek. Prowadzi pana żonę.
- Mogę z nim porozmawiać?
- Teraz operuje.
- A później?

– Później odwiedziny się kończą. Dokładnie za pół godziny. O czternastej. Przy łóżku chorej może przebywać tylko jedna osoba wizytująca. Przy pana żonie już ktoś jest.

Tadeusz nie mógł oderwać wzroku od pielęgniarki. Była proporcjonalna jak chiński wazonik, drobna jak chińska aktoreczka, miękka jak chińska panda. W białym obcisłym fartuchu. W białych obcisłych podkolanówkach. Z białymi, lekko wystającymi zębami. Wymykały się spod górnej wargi jak biała koronka stanika spod fartucha.

– Jestem krewnym – odpowiedział.

– Mówił pan, że mężem.

– Jestem bliskim krewnym doktora Łaniewskiego – skłamał Opolski. – Proszę więc nie robić problemów. Jak się siostra nazywa?

– Anna Łoś-Niechciał.

„Każdy łoś by chciał”, pomyślał Tadeusz. Wciąż analizował zarys piersi. Zarys pośladków. Zarys pragnienia. Niejasnego. Niewygodnego. Niepotrzebnego. Zapomnianego.

Naraz poczuł się źle i staro. Do tej chwili rzadko myślał o swoim wyglądzie, jeszcze rzadziej o utraconych szansach i porzuconych możliwościach. Osobistych. Zawodowe wykorzystał tak dobrze, jak tylko potrafił.

Przygarbił się.

Ból pleców.

Parcie na pęcherz.

– Wiem. Wyglądam jak wariat – wyjaśnił. – Przepraszam.

– Nie dostałam posady w Niedorośli – oznajmiła Anna Łoś-Niechciał. – W zeszłym roku starałam się o pracę. Stwierdził pan, że mam za małe doświadczenie.

„Ale biust w sam raz”, skonał doktor.

– Powiedział pan jeszcze, że mam za małe dłonie do pracy z umysłowymi. – Kobieta wyciągnęła ręce w stronę Opolskiego. Wsunęła w kierunku doktora naprawdę drobne dłonie. Na serdecznym palcu prawej – złota obrączka. Błyszcząca. Bez zarysowań. Bez przeszłości. Z przyszłością, której łatwo się domyślić.

– Popeliłem błęd. – Opolski ukłonił się pielęgniarce. – Widocznie nie tylko wyglądam jak wariat.

I odszedł.

W sali numer dwanaście stały cztery łóżka.

Trzy wolne. Jedno zajęte.

Przy Barbarze, odzianej w wykrochmaloną koszulę nocną z broszą czerwonego stempla na sercu, siedział nie Andrzej, lecz Paweł.

– Twój brat gdzie? – zapytał Tadeusz. – Podobno szwendał się po kardiologii.

– Bo ja wiem? Może pali. Może pije. Może poszedł na baby. – Paweł schylił się i wyciągnął torebkę matki spod łóżka. Postawił ją obok stóp Barbary. – Sam widziałem kilka pielęgniarek, które...

– Coś wiadomo? – Do sali wbiegł Andrzej. Sapał. – Tato? Ty już tutaj?

– Czego szukałeś u wuja Edwarda?

– Niczego. Zabłądziłem. Co z matką?

– Doktor Czubek...

– Kto? – zapytali jednocześnie Andrzej i Paweł.

– Doktor Czubek operuje. Trzeba czekać, aż skończy. Wtedy nas powiadomi. – Tadeusz podszedł do łóżka Barbary. Spojrzał na kartę informacyjną. Imię, nazwisko i data urodzenia. Temperatura 37,7.

„Tylko?”, zdziwił się.

Dotknął wewnętrznej strony dłoni żony. Przyłożył usta do jej czoła. Zmierzył Barbarze puls. W normie.

– Przebrałeś się. – Paweł patrzył na ojca. – Wyglądasz teraz jak swój własny pacjent.

– Bez kaftana się nie liczy – zażartował Tadeusz.

Gdyby był swoim własnym pacjentem, zamknąłby się teraz w izolatce. Zażyłby potrójną dawkę pierwszego lepszego

mózgotrzepa i poprosił o zakaz budzenia przez pięć lat. „Tak łatwo stać się wariatem. Wystarczy za duży płaszcz po zawidłowanym Niemcu, kuse spodnie po starym druhu i kilka osób, którym się wydaje, że są normalne”. Zapragnął położyć się obok żony. „Marzenie. Głupie marzenie”, pomyślał Opolski. Nie leżał we wspólnym łóżku z Barbarą od pięciu, może nawet sześciu lat.

– Dlaczego ty właściwie nie w szkole? – Tadeusz zwrócił się do Andrzeja.

– Święty Paweł zadzwonił do Krowy, to przyjechałem. Krowa powiedziała, że matka jest umierająca.

– Zamknij się, głąbie. – Paweł również podszedł do matki. Poprawił poduszkę pod jej głową. – Krowa nie mogła nic takiego powiedzieć, bo ja...

– Krowa zawsze wie najlepiej. Wie lepiej niż Maciora. Zapomniałeś? – Andrzej przerwał bratu.

– Jak to Krowa. – Paweł nie zapomniał. Żaden z absolwentów Synów Pułku nie zapominał o Krowie. – Zadek liryczny, chód prozaiczny, a reszta...

– ...cycem się toczy – dokończył Andrzej.

Tadeusz położył dłoń na przedramieniu żony.

Barbara zmarszczyła nos przez sen.

„Wciąż jest tak samo piękna”.

W lutym skończyła czterdzieści jeden lat. Mężczyźni wciąż się za nią oglądali na ulicy. Na zakupach w domu handlowym Cezar. Na Rynku Siennym i dwa razy do roku w kościele: na Wielkanoc i na Boże Narodzenie.

– Zachowujcie się. – Tadeusz zdyscyplinował synów. – Bo odeślę was do domu.

– To chyba akurat lepiej. – Andrzej stał przy kuble na śmieci. Nie zbliżył się do łóżka matki, przy którym krzatali się ojciec i starszy brat. – Ty na długo z powrotem? – zapytał Pawła.

– To zależy.

– Wywalili cię po tym wszystkim, co w Warszawie? – W głosie Andrzeja zabrzmiało niedowierzanie.

Paweł i zamieszki na ulicy? Niemożliwe. Andrzej przypomniał sobie, co działo się za śmietnikiem, kiedy obaj byli dziećmi. Paweł ciągle dostawał w skórę. Najwięcej od Fluka Fluczka. Zresztą

nie tylko od niego. Na podwórku starszego Opolskiego łał każdy, kto usłyszał jego groźbę: „Jak mnie walniesz, mój tato zamknie cię w szpitalu wariatów”.

Andrzej uśmiechnął się pod wąsem.

W domowych bitewkach jajogłowy też dostawał w tyłek – od niego, od Andrzeja, który bardziej bał się Cyganów, milicjantów i Guduna niż tego, że wyląduje w Niedorośli.

– Wyrzucili cię? – zapytał Tadeusz.

– Nie słuchaj, tato, głąba.

– Mógłbyś mimo wszystko wyjaśnić?

– Wróciłem, bo postanowiłem po wakacjach zmienić kierunek studiów.

Ordynator poczuł parcie na pęcherz. Prostata wyjaśnia wszystko, ale nie zmianę kierunku studiów przed obroną pracy magisterskiej. I na pewno nie polityczne fanaberie.

– Wywalili go. – Andrzej skubał skórki przy paznokciach. – Maciejewska wspominała dzisiaj o warszawskich anarchistach. Z ciebie taki anarchista jak...

– ...jak z ciebie filolog klasyczny – Paweł przerwał Andrzejowi. – Maciejewska na lekcjach odzywa się tylko po łacinie i nigdy nie komentuje tego, co przeczytała w „Trybunie Ludu”. Powtórz więc po łacinie, głąbie, co mówiła o warszawskich anarchistach albo od razu przyznaj się, że wylądowałeś u niej na dywaniku.

Andrzej spochmurniał.

Ordynator zgiął się w pół. Kręgosłup w rozdarciu. Mocz w natarciu. Synowie w zwarcu.

– Byłem u Maciory, ale nie na dywaniku, lecz... lecz w sprawie czynu społecznego. No co? Będzie w kwietniu.

– Wystarczy! Paweł, co to za zmiana studiów? – dopytywał ojciec.

– Prawo mnie znudziło. Najpierw zamierzałem przenieść się na pedagogikę. – Paweł wyrzał przez okno. Do karetki na podjeździe sanitariusze wnosili staruszka siedzącego na krześle z wysokim oparciem.

– Na pedagogikę? To ty wiesz, jak wyglądają dzieci? – parsknął Andrzej.

– Specjalnej troski, owszem. – Paweł wskazał głową na Andrzeja. – Po namyśle zdecydowałem, że... że jednak zupełnie zmienię swoje życie i zacznę... – Tadeusz i Andrzej nie spuszczaali oczu z Pawła – ...że pójdę na medycynę.

Doktor Opolski zaczął odliczać: „Trzy, dwa...”.

Na jeden Andrzej poczerwieniał.

– Nie masz własnych pomysłów? – Młodszy podszedł do starszego. Zaciśnięte usta i pięści. – Zawsze musisz zabierać, co nie twoje?

„Znowu kogucik dał się podpuścić”, pomyślał Tadeusz. „Łatwiej być psychiatrą niż ojcem”.

– Tylko żartowałem. – Paweł odsunął się od brata. – Naprawdę żartowałem, słuchaj... – Naraz poczuł, jak pięść Andrzeja melduje się w okolicach jego splotu słonecznego. Skulił się. Przysiadł na podłodze. Zamknął oczy.

– Wystarczy. – Tadeusz wreszcie zareagował. – Jeden do domu, drugi do szkoły. Nic tu po was.

Synowie Tadeusza nie poruszyli się.

– Nie wracam do domu – odpowiedział Paweł.

– Najlepsza wiadomość od czasów Manifestu Lipcowego. – Andrzej oddychał ciężko.

Tadeusz zauważył, że Barbara porusza głową i oblizuje spierzchnięte usta.

– Pojadę do babki Heleny. – Paweł podniósł się z podłogi. Masował brzuch.

– A do Warszawy? Kiedy? – Doktor Opolski podał żonie wodę. Poił ją ostrożnie. Kropla spłynęła po szyi Barbary. Zniknęła w miejscu, którego Tadeusz od dawna nie widział, nie dotykał, nie pieścił.

– Nie wracam.

– Jak to? – Ordynator Opolski wylał na żonę resztkę wody ze szklanki.

– Wziąłem urlop dziekański.

– Na długo? – Tadeusz sprawdził kieszenie. Edzio Łaniewski we wszystkich spodniach nosił świeżo wykrochmalone chustki. Znalazł jedną. Wielką jak obrus. W bladoniebieską kratkę. Rąbkiem otarł Barbarze dekolt.

- Na rok.
- Z powodu?
- Zajmę się babką.
- Prosiła cię o to? – Tadeusz nie nadał za starszym synem.
- Czy ona o cokolwiek prosi?
- Nie. – Doktor otarł z czoła pot. „Gorąco jak diabli. Okna pewnie się nie otwierają, chociaż to nie psychiatryk”. – Ale ja proszę. O wyjaśnienia.
- Tato, daj spokój. – Paweł próbował bagatelizować. – Muszę po prostu odpocząć. Przemyśleć kilka spraw. Nic więcej.
- Co ze studiami? – zapytał ojciec.
- Co z twoim awansem na dyrektora? – odpowiedział pytaniem starszy syn.
- „Więc mam się nie wtrącać...”, pomyślał ordynator.
- Potrzebujesz pomocy? – zapytał.
- Może tylko w przewiezieniu walizki na Mickiewicza i reszty rzeczy z naszego...
- Z mojego – wtrącił Andrzej.
- ...pokoju – dokończył Paweł.
- Nie o takiej pomocy myślałem. – Tadeusz podszedł do Pawła. „Wzrok uciekający w górę i na boki. Nozdrza nerwowe. Malinowe wykwity na szyi. Lewostronny przykurcz twarzy. Kliniczne objawy kłamstwa”. – Zresztą w domu jest miejsce. Nie musisz się wyprowadzać.
- Podjąłem decyzję.
- Niech będzie. Andrzej ci pomoże – zdecydował Tadeusz.
- Nie mam czasu. – Młodszy usiadł na jednym z pustych łóżek. Niech się przemądrzały fajtłapa sam męczy z przeprowadzką. – Muszę się uczyć do matury.
- W takim razie zrób bratu miejsce w swoim pokoju. Młodszy uderzył pięścią w materac.
- Załatwmy to od razu. – Andrzej wyciągnął rękę w kierunku ojca. – Kluczyki do syrenki, poproszę.
- Możesz dostać kluczyki bez syrenki – odpowiedział Tadeusz. – Wciąż popsuta.
- Więc jak ty to sobie wyobrażasz?

– Autobusem. Na piechotę. Tak, na piechotę. Do babki Heleny jest pod górkę. Wyładujesz agresję.

– Dlaczego?

– Bo masz jej dzisiaj w nadmiarze.

– Dlaczego auto niezrobione?

– Starego Świerszcza zapytaj. Powołałem się nawet na twoją znajomość z Bolkiem, ale i tak nie chciał gruchota przyjąć do warsztatu.

Ordynator znowu pilnie się przyglądał Barbarze. Odzyskiwała przytomność.

– Panowie z rodziny? – W sali numer dwanaście rozległ się dźwięczny tenor. – A co was tutaj tyłu?

Trzej Opolscy odwrócili się w stronę drzwi.

– Doktor Czubek? – zapytał Tadeusz. Podniósł się z łóżka Barbary. Wyciągnął rękę.

– Stanisław Czubek. – Lekarz skinął głową i uściśnął dłoń ordynatorowi Niedorośli i jego synom.

– Wszyscy z rodziny? – upewnił się.

Tadeusz, Paweł i Andrzej potwierdzili.

– Pańska żona – doktor Czubek zwrócił się do Tadeusza – poroniła.

– Słucham? – Ordynator Niedorośli jak wstał, tak usiadł na łóżku Barbary.

– Ciążę. Pozamaciczną. Drugi miesiąc. Może połowa trzeciego. Trudno stwierdzić, ponieważ pacjentka przed zabiegiem straciła przytomność. Nie uzyskałem informacji, panowie wybaczą – doktor Czubek lekko skłonił się braciom – o terminie ostatniej miesiączki.

Andrzej i Paweł wymienili zgodne spojrzenia.

„To starzy jeszcze TO robią?”

– Poroniła? Więc dlaczego leży na internie? – wybąkał Tadeusz.

– Na jakiej internie? Interna była tu przed remontem. Teraz jest ginekologia i patologia ciąży.

– Ginekologia i patologia ciąży... – Tadeusz powtórzył bezmyślnie.

– Podałem pacjentce antybiotyk, który powinien...

– Barbara poroniła ciążę. – Tadeusz pocierał dłonią brodę. Marzył o koniaku. – Pozamaciczną.

– Zdarza się. Ale co innego zdziwiło mnie bardziej. O rękawicy. – Czubek bazgrał po karcie Barbary. – Pana żona podczas zabiegu wciąż mówiła o ręce w skórzanej rękawicy. Rozumie pan coś z tego?

Tadeusz siedział przy odzyskującej przytomność Barbarze.

– Jak się pani czuje? – zapytał doktor Czubek. Położył dłoń na jej czole. Zbadał puls.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Gorączka spadła. Leki działają. Zbadam panią jutro po porannym obchodzie. Dziś proszę odpoczywać, a pan, panie doktorze – ginekolog zwrócił się do Tadeusza – powinien wiedzieć, że na łóżkach pacjentów nie wolno siadać.

Tadeusz wstał.

Andrzej nawet się nie poruszył.

– Czy ktoś mi powie, co się stało? – odezwała się słabym głosem Barbara.

– Nic – odpowiedział Tadeusz.

I wyszedł.

DRUGI
6 kwietnia 1968
(sobota)

1.

I wychodził za każdym razem, kiedy Barbara próbowała się rozmówić.

Uciekał.

Na przykład do pracy.

Zamykał się w Niedorośli, w swoim obskurnym gabinecie na oddziale dla kobiet pobudzonych. Ślęczał nad wykładem na październikową konferencję psychiatrów w Warszawie. W przerwach czytał. Nie tylko literaturę fachową.

W szufladzie szpitalnego biurka ukrywał egzemplarz *Podróży Guliwera*. Tadeuszowi została jeszcze z dzieciństwa słabość do tej książki. Ojciec czytał mu ją wieczorami po angielsku. Opolski, tak jak Guliwer, raz czuł się olbrzymem wśród liliputów, innym razem liliputem wśród olbrzymów. I tęsknił za dalekimi krajami. Świętował każdy powrót Benka Karpia z zagranicy. Marynarz szmuglował bowiem, oprócz whisky i papierosów, opowieści o ludziach i miejscach. Opolski łaknął nowych historii jak świeżego powietrza po dwudziestu czterech godzinach dyżuru.

Kiedy Benek zniknął na trzy miesiące, na sześć, a czasem na dwanaście, Tadeusz słuchał opowieści pacjentek. Każda z ich przygód była jak piesza pielgrzymka do zamku Włada Palownika. Każdy sen jak wycieczka hulajnogą do spalonego słońcem Kaszanu. Tak, doktor Opolski uwielbiał sny swoich wariatek.

Po zdradzie Barbary znowu zaczął wszystkie zapisywać. Na przykład: o powolnej śmierci zadawanej agrafką wkłuwaną przez Matkę Boską w sam środek źrenicy (Anna Z., lat 23, bezrobotna), o jedzeniu świńskich głów upieczonych na liściach kapusty w płonących pochwach prostytutek (Bronisława W., lat 44, operatorka dźwigu), o kupowaniu bawarskiego stroju ludowego od nagiego Rudolfa Hessa (Jadwiga B., lat 56, księgowa), o hodowli doniczkowych niemowląt w Ogrodach Watykańskich (Zenona Z., lat 48, położna).

Po raz pierwszy jednak sny pacjentek zaczęły męczyć doktora Opolskiego. Dość miał własnych koszmarów. Na powrót stał się poważnym klinicystą. Zajął się z uwagą przypadkiem trzydziestosiedmioletniej zakonnicy cierpiącej na schizofrenię i badaniem wpływu związków trifluoperazyny i flufenazyny na przebieg jej choroby (częstotliwość kontaktów siostry Karoliny z demonami wyraźnie osłabła).

Poza tym przeprowadzał dokładne wywiady. Wypełniał skrupulatnie dokumentację. Czynił drobiazgowo notatki. Zostawał w szpitalu po godzinach. Nikomu się nie tłumaczył.

Łucja Koszura o nic nie pytała. W swojej praktyce widziała większych desperatów niż Opolski. Na przykład samą siebie. Brała wszystkie możliwe dyżury. Najchętniej w sylwestra, w święta państwowe i kościelne, czyli w każdą niedzielę, Wielkanoc i Boże Narodzenie. Zamieniała się z tymi, którzy mieli domy, rodziny, działki, psy, koty, kwiaty i przyszłość. Chętnych nie brakowało.

W ciągu dwóch tygodni od poronienia Barbary Opolski kilka razy przyjechał do Niedorośli nie po to, żeby pracować nad październikowym wykładem; nie po to też, żeby czytać lub słuchać.

Wchodził do pawilonu A, mijał aptekę, izbę przyjęć oraz gabinet RTG i kierował się na pierwsze piętro, na oddział dla kobiet niebudzonych. Zaglądał do sali numer siedem. Siadał na krześle przy krótko ostrzyżonej pacjentce i czekał. Ona patrzyła w sufit, on przyglądał się bliznom na jej rękach.

Kiedy nie mógł przyjechać do Niedorośli (najczęściej przez humory syrenki), Opolski umykał do miasta, żeby postać w przypadkowej kolejce. „Im dłuższa, tym lepsza”. Rzadko stosował inne kryterium wyboru. Kiedy wolno przesuwiał się do przodu, nie

podnosząc głowy, nie rozglądając się na boki, nie patrząc na innych, nie sprawdzając nawet, w jakim sklepie i po co stoi, zastanawiał się nad fenomenem socjalistycznej kolejki. Nad ruchem jedyne go w kosmosie zdarzenia, którego koniec prowadził na początek. Nigdy odwrotnie. Chyba że trzeba było obrócić dwa razy.

Na początku kolejki padało nieuchronne pytanie: „Co dla pana?”.

„Nic”, odpowiadał doktor i umykał. Za sobą słyszał: „Wariat jakiś!”, „Do Niedorośli, na leczenie!”.

Dwa razy wpadł na herbatę do matki. Żeby posłuchać grania Pawła (o ile ten akurat nie spędzał czasu z Barbarą), żeby popatrzeć na dziewczynę (miłe stworzenie), która gotowała i sprzątała u Heleny. Trzeciego razu nie było. Trzeci raz wzbudziłby podejrzenia. Za trzecim razem Helena zaczęłaby wypytywać, sprawdzać, dochodzić.

W cieplejsze dni, a kilka takich zdarzyło się pod koniec marca, szedł nad Bolę. Na prawym brzegu, gdzie trotuar i ławki, przysiadł i medytował. Gapił się na rzekę i oddychał. Tylko tyle. Nic więcej.

Na lewym brzegu, dzikim jak złość na Barbarę, uprawiał marszobieg. Chodził w tę i z powrotem, od mostu Wschodniego do trzeciego zakola Boli. Im więcej chaszczy i zarośniętych ścieżek, tym lepiej.

Trzy razy natknął się na parę kopulującą w krzakach. Trzy razy na tę samą. Z kobietą na górze. Poczł złość zamiast podniecenia. A może zazdrość? Zagroził kochankom, że wezwie milicję, jeśli raz jeszcze ich tutaj zobaczy. Nie zobaczył.

Kilka razy (również na lewym brzegu Boli) spotkał niewiastę w długim płaszczu. Dźwigała plecak. Chodziła wzdłuż rzeki. Z prądem i pod prąd. Czasem zatrzymywała się na skarpie między drugim a trzecim zakolem. Patrzyła w wodę. Normalnie doktor Opolski zapytałby, czy nie pomóc, nie ulżyć, nie ponieść. Gdyby się zgodziła, pytałby dalej: o imię, o pogodę, o cenę chleba, o wiadomości we wczorajszym „Głosie Bolegoczy”, o to, czy warto strzyc się u Mielcarkowej i czy na Kuliczkach zrobili wreszcie chodnik od przystanku do działek pracowniczych. Po serii takich pytań wiedziałby, czy kobieta tylko spaceruje, czy jest już przypadkiem klinicznym.

Nie odezwał się jednak. Sam potrzebował pomocy. Kilku pytań jak koła ratunkowe. Kilku odpowiedzi jak kotwice.

I wędkarze. Oni też ciągle łazili wzdłuż lewego brzegu. Klęli jak szewcy. Pluli jak rzeźnicy. Sikali jak na zamówienie – zawsze razem i zawsze w tę samą stronę. Doktor, patrząc na nich, po raz pierwszy od dawna poczuł pogardę wobec bliźnich. Później ulgę (tylu ludzi jest gorszych od niego). I znowu pogardę, która wróciła ze zdwojoną siłą. Pogardę wobec siebie.

Zachodził wreszcie do Łaniewskich. Pił z Edwardem koniak. Pił, dopóki Ela nie usłyszała bełkotliwego wyznania Tadeusza: „Twoja żona, Edziu, jest taka brzydka, że oczu nie mogę od niej oderwać”. Usłyszała i wywaliła Opolskiego z domu. „Może brzydka, ale wierna!”, huknęła za Tadeuszem drzwiami i wyznaniem prawdy.

Z małżeństwem radził sobie jak człowiek, nie jak psychiatra.

Uciekał.

Teraz nie miał dokąd uciec. Barbara wzięła go z zaskoczenia.

Pojawiła się w kuchni ze zboląłą miną. Z gazetą pod pachą. Nos i dekolt przysypała bladobeżowym pudrem. Usta powlekła wazeliną. Na szyi powiesiła złoty łańcuszek z sercem – prezent od Tadeusza na osiemnastą rocznicę ślubu. Wtedy nie wiedział, że stanie się pamiątką ich ostatniej wspólnej nocy. Popołudnia właściwie, sobotniego popołudnia, kiedy po odrobinie świątecznej wiśniówki Barbara poczuła się zobowiązana i zrobiła to z mężem po raz ostatni. Zaraz po podwieczorku (Andrzej pobiegł grać w gałę, a Paweł poleciał do babki Heleny ćwiczyć Beethovena), a jeszcze przed kolacją (zanim Andrzej wrócił znad Boli, a Paweł z kina Jutrzenka). Zrobiła to jak zwykle z zamkniętymi oczami, z zaciśniętymi ustami, z szeroko rozłożonymi rękami, którymi macała pościel na łóżku.

A teraz?

Teraz z gazetą pod pachą usiadła przed Tadeuszem. W błękitnym, pikowanym szlafroku. W błękitnej halce wysuwającej się spod szlafroka. W bladobłękitnych domowych pantoflach na obcasie ozdobionych kremowym puszkciem.

„Puszkciem do góry?” Tadeusz zacisnął pięść na ołówku. „A może puszkciem do dołu? Może robiła to ze swoim fagasem tak jak dziwka znad rzeki? Ona na nim. On pod nią. A jeśli nie tak, to jak? Jak?!”

Wolał nie myśleć.

Barbara tymczasem usadowiła się po przeciwnej stronie kuchennego stołu, założyła nogę na nogę, gazetę położyła na

kolanach.

Opolski poczuł zapach kwiatowych perfum i kremu NIVEA i... „Oczywiście, jakżeby inaczej. Włosy zaczesła gładko w kok”, skonstratował Tadeusz. Taką fryzurę robiła tylko wtedy, kiedy czegoś chciała od męża. Dobrze wiedziała, że ma słabość do jej karku. Do linii między szyją a plecami. Do idealnie prostej linii.

– Bo widzisz, Tadziu... – zaczęła Barbara.

Nie dokończyła. Sięgnęła po paczkę damskich. Wyjęła papierosa. Zapaliła. Skrzywiła się z obrzydzeniem. To nie marlboro. Zirytowana rzuciła zapaliki na stół.

Tadeusz dostrzegł napis na żółtopomarańczowym pudełku: PSZCZOŁY TWOIM SOJUSZNIKIEM.

Pszczoły. W tej sytuacji mogą być nawet pszczoły. Niewielka, ale zawsze pociecha.

– Widzisz, Tadziu... Ja... – zaczęła znowu Barbara.

„Żadnych rozmów. Żadnych tłumaczeń. Żadnego prowokowania awantur. Wylewania łez. Odkrywania tajemnic. Składania obietnic”.

W pierwszym odruchu zamierzał zgarnąć stertę książek i czasopism, ryzę papieru, maszynę do pisania i wyjść.

W drugim odruchu zrezygnował. „Mam wciąż uciekać? Nie. Co jednak powinienem zrobić?” Wiedział. Powinien posadzić Barbarę w fotelu. Powinien usiąść naprzeciwko. Powinien założyć nogę na nogę. Powinien z uwagą wysłuchać historii żony. Powinien poszukać przyczyn. Powinien wyjaśnić skutki. Powinien zachować się jak profesjonalny mąż.

– Nie widzisz, że pracuję? Przeszkadzasz – powiedział tylko.

– Ja, widzisz, chciałam zapytać... Może byśmy telewizor kupili?

Popatrz.

Barbara położyła przed Tadeuszem „Głos Bolegoszczy”.

Opolski zerknął na ogłoszenie.

OKAZJA!

TELEWIZOR TOPAZ 21 cali

11 000 złotych

pierwsza rata 370 złotych plus koszt manipulacyjny

WE WSZYSTKICH SKLEPACH ZURT

– Klapetek – Tadeusz skwitował krótko. Pochylił się nad notatkami i począł stukać w klawiaturę maszyny dwoma palcami: środkowym lewej dłoni, środkowym prawej dłoni.

– Oczywiście. Klapetek – powtórzyła Barbara.

Tadeusz nigdy nie wyraził zgody, by w ich mieszkaniu, w największym pokoju, na szafce przykrytej serwetką stanął telewizor. Za każdym razem, kiedy powracał pomysł jego zakupu, Opolski mówił krótko: Klapetek. Tajemniczy neurolog albo psychiatra (Barbara zastanawiała się, jaka jest między nimi różnica. Obaj przecież od nerwów). Naukowiec z Czechosłowacji. Klapetek pod koniec lat pięćdziesiątych opisał dwa przypadki padaczki telewizyjnej. „Grające pudło? Nigdy”, Opolski kwitował prośby żony i synów. Chłopcy biegali więc na telewizję do Grzesia Drygały na drugie piętro. I tylko wtedy, kiedy ojca nie było w domu.

– Tadzio, a co u Pawła? – zapytała Barbara.

Tadzio nie podniósł głowy.

Z kranu kapąła woda.

Opolski miał nadzieję, że dzisiaj, tak jak wczoraj i przedwczoraj, jego żona zostanie w swoim pokoju. Że nie wyjdzie z łóżka do samego wieczoru. Wieczorem zaś przemknie do łazienki i znowu zniknie u siebie. „Trawiona poczuciem winy”. A Tadeusz spokojnie dokończy artykuł do „Neurologii, Neurochirurgii i Psychiatrii Polskiej”, a później doszlifuje wykład na październikowy kongres psychiatrów.

Przez chwilę przemknęło również Tadeuszowi przez myśl, że powinien znaleźć i przeczytać list od G. White’a. Może nawet odpisać? Biała koperta gdzieś jednak zniknęła. Czyżby wypadła z kieszeni spodni pożyczonych od Łaniewskiego?

– Pani Janeczka wróciła? – Barbara zapaliła drugiego papierosa.

– Przecież widzisz, że...

„...jest czysto, kawa pachnie, dom pachnie, obrus czysty, podłoga lśni, a kamionkowy dzbanek pełen gorącej kawy czeka na kuchennym blacie obok pieca gazowego”, chciał powiedzieć Tadeusz.

Nie powiedział.

– Odprawiłeś przecież panią Janeczkę pięć tygodni temu. – Barbara wydeła usta tłuste jak gąski i sięgnęła po gazetę. Śliniła palec, przerzucała kartki i czytała tytuły.

„Społeczeństwo domaga się usunięcia syjonistów i rewizjonistów” (a także bezdomnych psów, kotów oraz inwalidów wojennych, dodała w duchu). „Bolegoszcz przyszłości” (rozkwita jak pustynny kwiat z kolcami). Konkurs literacki „Pióro i karabin” (dlaczego nie podają, jaka nagroda za pierwsze miejsce?). „Byliśmy i będziemy z naszą partią” (kto nie był, ten już nie będzie, chociaż nigdy nic nie wiadomo). „Przywódca Murzynów USA M.L. King zamordowany przez rasistę” (pech). „Powódź nie grozi” (komu?), „Świńskiej historii w Dużej Rucie ciąg dalszy” (w Bolegoszczy, na ulicy Rewolucji Październikowej 26/12 – dopiero początek), „Jaki będzie świat w roku 2000” (dożyję?). Pochyliła się nad proroczym artykułem: „...z analizy ankiety wynika, że ludzie zainteresowani są rozwojem gospodarki (nuda)... mają nadzieję na wypieranie pracy fizycznej na rzecz umysłowej (wszyscy do biur? to ja zostaję w ogrodzie)... zaś 2/3 ankietowanych przewiduje, że ludzie w Polsce będą mniej religijni (to chyba fantazja na rok trzytysięczny, a nie dwutysięczny)... a nawet będzie można określić przed narodzeniem płeć dziecka (w jakim celu?) i kształtować jego charakter (też przed narodzeniem?)...”. Bez sensu. Zerknęła na prognozę pogody. W dzień siedem stopni powyżej zera. W nocy zero. Zimno.

Na program telewizyjny nie spojrzała. Gdyż Klapetek.

– Ale znowu poprosiłem panią Janeczkę o pomoc. Zaczęła dziś rano. – Tadeusz wstał. Otworzył okno. Dusił się w dymie papierosowym.

Opolski popatrzył z góry na Barbarę. Założył rękę na rękę. Zmrużył oczy.

Zapytał krótko:

– Kto to jest?

– Kto to jest? – Helena Opolska otworzyła szeroko drzwi.

W czarnej bluzce, w czarnej kamizelce, w długiej czarnej spódnicy. Czarna wdowa. Od czterech miesięcy nosiła żałobę po sędzim Janie Opolskim. Zmarł na początku września tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego.

– Pytam, kto to?

Tadek wtaszczył do niewielkiego holu willi przy Mickiewicza 68 bezwładne ciało.

Razem z Tadkiem do domu wszedł styczniowy mróz. Ściął dłonie, twarz i serce Heleny, która nie spuszczała oka z kobiety: leżała na okrągłym, ręcznie tkanym perskim dywanie jak szmata i zasłaniała wzory. Nie pasowała. Burzyła porządek. Krwawiła. Spod nosa. Z ust.

– Odpowiedz, Tadeusz. – Matka wbiła w syna prawe oko. Na lewym połyskiwał czarny atlas.

– Będzie mamusia miała pomoc do domu i do kuchni. Przecież mamusia szukała, prawda?

– Zdrowej i uczciwej dziewczyny, a nie kogoś takiego. Kogo ty mi tutaj przywlokłeś?

– To... było tak. Spotkaliśmy się w kilku u Łaniewskiego. Mówiłem mamusi, że wrócę dziś później.

– Nie mówiłeś.

– Na wódkę się umówiliśmy – odpowiedział Tadeusz. Kątem oka dostrzegł, że matka lekko krzywi usta. Koniaczek w domu jak najbardziej, ale wódka z kolegami poza domem? Tadek szukał pulsu na nadgarstku dziewczyny. – Wódka, mamusia, też dla ludzi. Warszawa już wolna. Trzeba było wypić. Wie mamusia, że Edek teraz mieszka u zbiegu Jasnej i Kościuszki? – Tętno było w normie. Zanurzył dłonie w gęstych miedzianych włosach nieznanym. Rana na potylicy krwawiła. – Może mamusia zagotować wody, przynieść bandażę i jodynę?

– Łaniewski mieszka teraz u zbiegu Jasnej i Kościuszki. – Helena stała nieruchomo.

– Właśnie. W tym mieszkaniu, co to mu rodzice kupili jeszcze w trzydziestym ósmym. Dwa pokoiki na piętrze...

– I co z tego?

– I to, że... – Tadeusz miał nadzieję, że czaszka dziewczyny nie jest pęknięta. Zdjął płaszcz. Podłożył pod głowę znajdy. Dziękował w duchu przypadkowemu ubekowi, który jechał willisem ze śródmieścia do Zakuliczek. Zabrał Tadek i jego ludzki, ledwie powłóczący nogami bagaż. Zapytał o nieprzytomną gąskę.

„Co z nią, towarzyszu?”

„Schłała się z radości, że już prawie koniec wojny”, odpowiedział Tadeusz.

„Taką kobitę, coby ze mną popiła, też bym chciał”, mruknął ubek i wysadził Tadka pod samym domem, z pozdrowieniami dla szanownej narzeczonej, kiedy odzyska przytomność.

Tadek odgarnął włosy z twarzy dziewczyny. Po raz pierwszy wyraźnie zobaczył jej szczupłą twarz. Wydatne kości policzkowe. Pełne usta. Bładą cerę. Piegi na nosie. Kilka na policzkach. „Ładna jest, ale gnojek przecież nie poleciał na jej urodę. Nic nie widział w ciemnościach”, pomyślał Tadeusz.

- To, że zaraz za budą, wie mama, za którą...
- Z karygodnymi błędami w szyldzie.
- Właśnie, za tą budą jest zburzona kamienica.
- Za tą, co w niej był zakład pana Lipmana?
- Właśnie.
- Ojciec chodził tam się golić.
- Wiem. Mamusiu, wody poproszę.

Helena Opolska zakręciła się i po chwili przyniosła wrzątek w metalowej misce.

– Kipiała tuż przed twoim przyjściem. Na zupę nastawiłam. Będzie na dziewczynę. Masz.

– Teraz resztę.

Helena poszła do łazienki po jodynę i bandaże.

Tadek nie powiedział matce, że kilka dni wcześniej wyniósł apteczkę z łazienki. Zranił się nożem w kuchni, potrzebował czegoś do opatrzenia cięcia na palcu. Po wszystkim wrzucił podręczny zestaw ratunkowy do szafki, w której stały domowe mikstury na kaszel, na gorączkę, na ból jelit, na przeczyszczenie. I buteleczka koniaku. Koniak łagodził wszystkie cierpienia.

Opolski rozchylił kożuch na piersiach dziewczyny. Dostrzegł rozdartą bluzkę. Pod nią płócienną halkę. Brak biustonosza. Piersi wymykające się na zewnątrz. Poczul pożądanie.

„Tylko nie to”, pomyślał. „Nie w takim momencie. Nie do tej dziewczyny”.

– Imię. Jak masz na imię? – szepnął rudej prosto do ucha.

Odpowiedziała coś niewyraźnie.

O rękawicy. O skórze. O pierścionku.

„Pierścionelek?”

Znalazł go w kieszeni kożucha.

Cacko. Z agatem? Z jadeitem? Tadek nie był pewien. Znał się na jubilerstwie jak jego matka na kobietach. Do tej pory wszystkie, które przyprowadził do domu, nie pasowały Helenie.

– Słyszysz mnie? – Poklepał lekko dziewczynę po policzkach. – Jak masz na imię?

Nie zareagowała.

Dłoń Tadeka zjechała w dół.

Za dłonią ruszył wzrok.

Opadające pończochy.

Zakrwawiona spódnica.

Otarcia na wewnętrznej stronie ud.

„Przecież będę lekarzem. Tak. Będę lekarzem, więc mogę... Powinienem... A nawet muszę...”

Nie musiał.

Nie musiał sięgać zbyt głęboko. U nasady ud trafił na lepiące się do palców nasienie. „Skurwysyn”, zaklął w duchu. „Skurwysyn jeden. To musiał być on. Kulał po tym, jak dostał w goleń taboretą”.

Pojawiła się kolejna fala pożądania. Większa niż chwilę wcześniej. Mocniejsza niż przy Anieli, Celinie czy Krystynie. Znowu w nieodpowiednim momencie.

– Imię! – spróbował raz jeszcze.

– Baśka – wyszeptała dziewczyna.

Otworzyła oczy. Zielone jak kamień, który ścisnęła w dłoni.

– To ty? – zapytała matka.

Tadek zastłonił spódnicą nogi Baśki. Począł obmywać jej głowę.

– To ty przeniosłaś apteczkę z łazienki do kuchni?

– Pewnie mamusia zapomniała, że sama...

– Niczego nie zapominam.

– Niech mamusia wreszcie poda, o co prosiłem.

Tadeusz wziął z rąk matki bandaż i jodynę. Sprawnie oczyścił ranę. Zrobił opatrunek.

– Wymienić wodę? – zapytała Helena.

– Poproszę.

Sędzina schyliła się po miskę i oparła ją na biodrze.

– Znasz tę pannę?

- Znam – odpowiedział Tadeusz.
- Skąd?
- Z tańców.
- To ty tańczysz? Nie wiedziałam.
- Bo w domu tańców mamusia nie pozwala urządzać.
- Z jakich tańców ją znasz?
- Nic o Basi nie mówiłem, boby się mamusi i tak nie spodobała.

Jak Aniela, Cela i Krysia.

- Wszystkie trzy były flądry. Z jakich tańców?
- Mamusia powinna pracować na gestapo...

Nie zdążył postawić kropki na końcu zdania, kiedy Helena wylała na niego resztkę wody z miednicy.

– Niech mamusia posłucha, bo powiem to tylko raz. – Tadeusz podniósł się. Otarł twarz rękawem swetra ze zgrzebnej wełny. – To moja narzeczona. Barbara. Prawda jest taka, że miałem się z nią zaręczyć u Edzia. W tajemnicy, bo tutaj bym nie mógł. Stąd wyrzuciłaby mnie mamusia, zanim Basia przestąpiłaby próg domu.

Dłoń Basi zacisnęła się na dłoni Tadka.

- Zaręczyć?
- Pierścieniem. O tym. – Tadeusz pokazał cacko.
- Ze szmaragdem? – zapytała Helena.
- „Jednak szmaragd”, pomyślał Opolski.
- Ukradłeś?
- Mamusia... Odkładałem z pensji.
- To na poczcie tak dobrze płacą?

Tadek nie odpowiedział.

- Gdzie ona mieszka? – Helena jednym okiem świdrowała syna.
- Mieszka...? Mieszka... na... na Smętnej.
- Na Rybakach? W willach? Ona?
- W willach? No... nie. Dalej. Trochę dalej – plątał się Tadeusz.
- Dalej nic nie ma.
- Jest. – „Tylko co?”, kombinował Opolski.
- Kościół Świętego Wawrzyńca i plebania – dodała podejrzliwie

Helena.

- Właśnie. Bo ona u księdza gospodynią jest... była.
- U księdza Adolfa?

– Ani razu nie wpuścił mnie na plebanię.

Tadek spostrzegł, że Basia patrzy na niego coraz bardziej przytomnym wzrokiem. Zmrużył oczy i dał znak głową. Że nie. Nie powinna się odzywać, wtrącać, zaprzeczać czy też potwierdzać. Powinna zemdleć.

Pojęła.

Zamknęła oczy.

– Jutro sama zapytam księdza Adolfa – ostrzegła Helena.

– O co?

– Na Boga! O tę dziewczuchę. Miałeś zamiar wziąć ślub bez mojej wiedzy? Bez czekania na powrót Jerzego?

– O ślubie bym uprzedził. We właściwym czasie. A Jerzy już do nas nie wróci.

– A skąd ty to wiesz?! Boga w sercu nie masz, żeby bratu źle życzyć.

– Przepraszam – mruknął Tadek.

– Dlaczego ona tak wygląda? – Helena spoglądała na Baškę. Ostatnio patrzyła tak na Puszka, który zginął pod kołami niemieckiego motocykla. Z psa została krwawa plama ozdobiona wiankiem flaków.

– Nie przychodziła do Edka.

– Na wódkę i na patefon – dogryzła Helena. „Na wódkę i na patefon to ulicznice chodzą do Niemców, a nie polskie dziewczyny, w dodatku od księdza”, pomyślała, ale nic nie powiedziała.

– Na zaręczyny, mamusia, na zaręczyny. Więc nie przychodziła. Wybiegłem sprawdzić, co się stało. Pomyślałem, może spotkam Basię po drodze. Może się poślizgnęła. Mamusia prawie nie wychodzi z domu to i nie wie, jakie ślizgawki na chodnikach.

– Swoje wiem.

– Jeszcze sobie pomyślałem, że może ksiądz Adolf ją zatrzymał. Ale jak to, przy sobocie?

– I pobiegłeś.

– Właśnie. Martwiłem się, bo Basia jest punktualna, nie tak jak Aniela. I świetnie piecze, nie tak jak Cela. I...

– Do rzeczy.

– Z ruin tej kamienicy, za budą Tolka Siemaszki, usłyszałem wołanie Baśki. Ktoś ją napadł i okradł, zanim dotarła do Edka. To wszystko.

– Pokalał ją? – zapytała Helena.

– Słucham?

– Zgwałcił?

– Nie.

– Sprawdziłeś? – Helena spojrzała z podejrzliwością na syna.

– Mamusia myśli, że skoro będę lekarzem, to mi wszystko wolno?

– Po prostu pytam.

– Przecież widać, że – na szczęście – tylko powierzchownie poturbowana.

– Dlaczego ona?

– Skąd mam wiedzieć? Nie zdążyłem zapytać bandyty, dlaczego właśnie ją wybrał.

– Dlaczego ty ją wybrałeś? Nic nie mówiąc. Nic nie wspominając, że się z jakąś panną prowadzasz na tańce. – Helena stała oparta o framugę drzwi. Pustą miednicę wciąż trzymała na biodrze. – To i tak bez znaczenia. – Machnęła ręką. – Doprowadź dziewczuchę do porządku. I odprowadź tam, gdzie mieszka.

– Nie. – Tadeusz wstał i położył dłoń na ramieniu matki. – Basia z nami zostanie.

– Słucham?

– Dobrze mama usłyszała. Basia z nami zostanie. Dopóki nie wydobrzeje.

– Tutaj?

– Tu.

– Tu nie ma nic do wyjaśniania – odpowiedziała Barbara.

Przyglądała się, jak Tadeusz sprząta z kuchennego stołu. Jak składa książki i czasopisma. Jak wkłada maszynę do pisania do walizki. „Maszynę? Zawsze stała w sypialni na komódce. Wyprowadza się, czy co?”

– Zapytałem tylko, z kim się łądaczyłaś.

– Nieważne. I tak go nie znasz.

– Waszego dziecka też bym nie poznał?

– Nie.

Tadeusz zastygł w bezruchu. Czekał.

– Usunęłabym. – Barbara przerwała milczenie. – Tym razem usunęłabym.

Tadeusz odwrócił się od Barbary. Kawa w dzbanku całkiem wystygła. Wylał ją do zlewu.

Nastawił wodę na herbatę. Potrząsnął opakowaniem z napisem MADRAS. Pełne. Pani Janeczka musiała kupić nowe pudełko.

– Po co to mówisz? Myślisz, że będzie mi przez to łatwiej?

Wsypał herbatę do imbryka.

Kiedy popełnił błąd? W którym momencie podjął niewłaściwą decyzję?

Wystarczyło powiedzieć matce prawdę, że znalazł zgwałconą dziewczuchę w ruinach, zamiast odgrywać farsę z pierścionkiem. Nie, nie powiedziałby jej przez kogo. Ta wiedza nikomu nie była potrzebna.

Wystarczyło wyleczyć Baśkę, odświeżyć i wysłać w świat – do braku rodziny, do braku przeszłości, do braku wykształcenia, do braku pracy.

Zamiast tego przekupił księdza Adolfa z kościoła Świętego Wawrzyńca. Za kilka porcji morfiny klecha sprzedał Helenie baśń o pracowitej i cnotliwej gospodyni, skromnej Basi z plebanii, której słodkich opłatków będzie księdzu bardzo brakowało, ale on przecież rozumie, że takie czasy, trzeba iść za mąż, skoro jest za kogo.

Siódmego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, po zmierzchu i w tajemnicy przed innymi pobłogosławił związek Tadeusza i Barbary.

Parę miesięcy później ochrzcił chłopca, który marszczył nos tak samo jak Tadeusz.

„Pomyliłem pożądanie z miłością, a litość z odpowiedzialnością”, westchnął w duchu doktor Opolski.

Zalał wrzątkiem herbatę.

– Jesteś jak z przedwojennego wierszyka – zwrócił się do Barbary.

– Z jakiego wierszyka?

Tadeusz z imbrykiem w dłoni ukłonił się teatralnie i jak pierwszoklasista na akademii szkolnej zadeklamował:

Wolno mężatce mieć kochanków,
Wielu zapragnie tylko dusza,
Byle po cichu i dyskretnie –
I nikt się na to nie obrusza.

- Wiesz, co dalej, prawda?
- Nie wiem – odrzekła Barbara.

Wiedziała.

Znała tę rymowanąkę od Heleny Opolskiej, stara kutwa recytowała ją po kilku lampkach Basinej nalewki. W myślach dopowiedziała ciąg dalszy:

Nie wolno jednak rzucić męża
I z ukochanym żyć otwarcie.
Być szczerą – skandal niesłychany –
Opinia staje wnet na warcie.

Zagwizdał czajnik.

– To nie poezja. – Tadeusz patrzył na żonę. Na serdecznym palcu prawej dłoni wciąż nosiła pierścionek ze szmaragdem. Obrączki prawie nigdy. – To życie – dodał.

Znowu usłyszeć głos Barbary. Nie ten codzienny. Nie ten zwyczajny, ale ten ze stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Ten z ruin kamienicy Lipmana. Niezbyt głośny. Niezbyt natarczywy. Ale wyraźny. „Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Ratunku!” Niechby teraz się rozpląkała. Niechby okazała bezradność. Niechby powiedziała: „Uratuj mnie”, a zostawiłby wszystko. Pracę. Ambicje. Pacjentów. Konferencje. Artykuły. Dyżury. Matkę.

– Woda kipi. – Barbara wskazała dłonią szalejącej na palniku czajnik.

Zza wciąż uchylonego okna wleciała do kuchni pierwsza tej wiosny mucha. Przysiadła na stole. Barbara zdzieliła ją „Głosem Bolegoszczy”. Trafiła. Zabiła.

– Jak mogłaś mi to zrobić? Przecież ja cię nie zdradziłem. – Opolski patrzył żonie prosto w oczy.

– A może nigdy mi o tym nie powiedziałaś? – Barbara sprzątnęła kantem gazety ślad po musze. Spojrzała na swoje zniszczone ręce.

Powinna pójść do pani Bożenki na manikiur. Tylko po co? Zaraz i tak oblezie przy pracy na działce w Łączkach. Kwiecień to miesiąc pełen prac w ogrodzie. Musi przekopać wszystkie grządki po zimie. Posiać marchew, pietruszkę, rzodkiew, buraki. I kwiaty. Szarłat, godecję, maciejkę, nasturcję. Odślonić krzaki róż. Przemalować wreszcie ławkę. I zadbać o rdzewiejącą wannę na deszczówkę.

– Jesteś... – Tadeusz szukał właściwych słów. – Naprawdę... Jesteś...

Zadzwoił telefon.

Tadeusz stał.

Barbara siedziała.

Telefon dzwonił.

Z głębi mieszkania rozległ się głos Andrzeja:

– Tato! Do ciebie. Z zakładu! To pilne! Łucja Koszura mówi, że pacjentka z siódemki próbowała się powiesić.

2.

Strome schody.

Andrzej Opolski przeskakiwał po dwa, trzy stopnie. Chciał co prędzej znaleźć się na czwartym piętrze starej kamienicy przy Jagiellonów 14.

Śpieszył się. Przed czynem społecznym w parku Przyjaźni pragnął poczuć smak gorącego czaju w spodku i kostkę cukru rozpuszczającą się w ustach. Lecz tak naprawdę potrzebował znaleźć się daleko od matki, ojca oraz brata. Pragnął złapać dystans. Do rodziny, do Ewki, do szkoły. „Ludzie po czterdziestce powinni mieć zakaz uprawiania seksu”, pomyślał między parterem a pierwszym piętrem. „Paweł czasem jest taki wkurwiający, że no aż”, pomyślał między pierwszym a drugim piętrem. „Co takiego jest w Ewce, że mnie tak pociąga?”, pomyślał między drugim a trzecim piętrem. „Trzeba być skończonym debilem, żeby wylecieć z budy na miesiąc przed maturą”, pomyślał, zanim zapukał do drzwi pokrytych zieloną farbą.

Położył rękę na klamce i zamarł.

Zazwyczaj z wnętrza mieszkania już od pierwszego piętra dobiegały dźwięki krosna i smutny kontralt, śpiewający ruskie ballady.

Tym razem panowała cisza.

Andrzej stał pod drzwiami.

Wiedział, że zobaczy za nimi najpierw kuchnię, a w niej biały piec, gorący nawet latem, bo przecież gotuje się przez cały rok. I usłyszy buczenie lodówki. W powietrzu poczuje zapach pieczonego chleba albo buły drożdżowej. Na parapecie zsiadłe mleko w obitej kance. W kredensie – talerze i szklanki w połączonych koszyczkach. A w kącie krosna, stare, lecz wciąż sprawne, z rozpoczętym wątkiem. Z nigdy niezakończonym wątkiem, tak jak opowieść o Włodku.

Opolski wiedział, że jeśli przejdzie skrzypiącym traktem kuchennych desek (kolor jasny orzech), znajdzie się w przestronnym pokoju. A w nim: piec kaflowy z ceramicznych płytek tłoczonych

w okrągły wzór, dwie wersalki okryte szorstkimi kapami, dębowy stół, krzesła, szafa i regał na książki wraz ze zbiorem klasyki literatury rosyjskiej.

Na ścianach ujrzy dwie ikony: świętego Andrzeja i Matki Boskiej Pocieszycielki Strapionych. Pod nimi stolik przykryty sztywnym od krochmalu obrusem i dwanaście świec. Na przeciwległej ścianie zdjęcia Włodka w wieku różnym. Od niemowlaka wciśniętego do wózka z budą wielką jak kopuła fary po kilkunastoletniego chłopca w krótkich spodniach na szelkach. Białe podkolanówki, ciemna marynarka, sznurowane trzewiki. Odstające uszy. Piegry na nosie. Szczecina na głowie. Na ostatnim zdjęciu wyglądał jak ruski pierożek polany skwarkami. Okrągły i pryszczaty. Fotograf nie uchwycił pierwszych włosów Włodka pod pachami oraz jego marzeń o podróży do Grodna.

Między fotografiami chłopca Andrzej po raz kolejny zobaczy kilka zdjęć mężczyzny z marszałkowskim wąsem (w przeciwieństwie do Marszałka nie musiał ukrywać braku górnych jedynek). W pozach godnych, statecznych. Z rękoma ułożonymi albo na kolanach (pozycja siedząca), albo na ramionach żony i syna (pozycja stojąca).

Andrzej nacisnął wreszcie klamkę.

Wszedł.

I zdębiał.

Bałagan.

Ujrzał bałagan, jakiego nigdy nie widział.

Bałagan rejestrował oczywiście codziennie. W swoim pokoju, w swojej szafie i na swoim biurku. Znakomicie czuł się w kontrolowanym rozgardiaszu. Orientował się, gdzie znaleźć czyste skarpety, podkoszulki i slipy. Wiedział, spod której sterty książek wygrzebać szkolne zeszyty, a spod której wypisy z akademickich książek do biologii i chemii. Brudną odzież podrzucał od czasu do czasu do łazienki. Pakował od góry do enerdowskiej WM 66 i pozostawiał na pastwę maszyny.

Ale w mieszkaniu Luby Stanisławskiej zawsze panował porządek. Stanisławska codziennie zmywała podłogi. Okna czyściła w każdą sobotę. Nigdy nie przechowywała w komorze zlewozmywaka brudnych talerzy czy garnków. Wszystkie naczynia polerowała dopóty, dopóki nie błyszcząły jak carskie wrota

w bolegoskiej cerkwi Świętego Andrzeja. Na piecu, w specjalnym garze, nieustannie podgrzewała wodę. Z kranu ciepła nie leciała, a inną niż ciepła rąk, a wieczorem nóg, nie myła.

W mieszkaniu Stanisławskiej od lat nic się nie zmieniło. Andrzej nie zauważył, aby Luba Grigoriewna cokolwiek kiedykolwiek przestawiła. Stół, szafa, wersalki, fotografie, wszystko stało i wisiało zawsze tak samo. Andrzej po ciemku znajdował takie drobiazgi jak: ołówek, zapalniczki, nici, igły, nożyce, świece, sznurek, korkociąg, tamborek. Tak, tamborek również. Podawał go Lubie z namaszczeniem i w milczeniu obserwował, jak kobieta haftuje. Kiedy nuciła *Tonkiju riabinu*, napinając jednocześnie surowe płótno między obręczami tamborka, Andrzej czuł, jak napięcie i złość, z którymi przybiegał do Stanisławskiej, zmieniają się we wzór słonecznika, róży albo w obrazek sielankowej biesiady przy wspólnym stole. *Gość w dom. Bóg w dom.*

Małomówna Luba haftowała wszystkimi rodzajami ściegów (paprotkowym, jodełkowym, atłaskowym, naprzemiennym i ostrym). Jednego unikała: krzyżkowego. „Dopokąd nie postawię samych ważnych dla mnie krzyżyków, nikakoj krzyżkowej wyszywki, Andriusza, ja dla nikogo nie zrobię”.

Andrzej stał na progu i patrzył na podłogę zaśmieconą odpadkami z kubła. W zlewozmywaku ujrzał resztki po zsiadłym mleku, skorupy naczyń walające się w pobliżu pieca. I wygasający piec.

„Skąd ten bardak?”

Czyli epicki nieporządek, którego nie opisałby żaden z klasyków: ani Dostojewski, ani Tolstoj, ani Czechow. Ani Fiodor Gładkow. Andrzej dostał kiedyś od Luby jego książkę, której nigdy nie przeczytał. Włożył *Cement* pod nogę chwiejącego się biurka.

W pokoju pod świętymi ikonami nie paliła się żadna z dwunastu świec, a fotografie, wszystkie fotografie, ktoś wyszarpał z ramek, podarł i rozrzucił jak płatki kwiatów na katolickiej procesji.

Andrzej zajrzał do na wpół otwartej szafy. Na półkach panował taki sam bałagan jak w mieszkaniu. Jakby ktoś czegoś szukał, jakby pakował się w pośpiechu. Opolski dojrzał białą bieliznę Luby Stanisławskiej. Wyjął z kłębowiska ciuchów halkę. Zamknął oczy. Podniósł głowę. Wąchał. Halka pachniała zupełnie inaczej niż włosy

i szyja Ewy. Sierpniowym wieczorem. Obietnicą gorącej nocy. Długim świtem. Dojrzałymi owocami. Długimi porankami.

Kiedy Andrzej, z wciąż podniesioną głową, rozchylił powieki, dostrzegł, że zniknął ruzsak, który zawsze leżał na szafie. Jego długie szelki przeszkadzały zazwyczaj Stanisławskiej w porządnym zamknięciu szafy. „Fabianu tam łożył ruzsak, ja jemu miesta zmieniać nie budu”.

Andrzej pożyczyl ten plecak trzy lata wcześniej na wycieczkę do Gdańska. Wtedy jeszcze nie miał własnego. Później kupił sobie amerykański. Od Benka Karpia. Też używany. Elegancko podniszczony. Z – miał nadzieję – powietnamskimi bliznami.

Ruzsaka Luby jednak nie było.

Luby również.

Opolski oddychał coraz szybciej.

Próbował zrozumieć, co zaszło. Dlaczego Stanisławska najpierw zrobiła epicki bajzel, a później wyjechała? Wyjechała? Gdyby wyjechała, wzięłaby ze sobą to, co zazwyczaj ludzie zabierają w podróż: bieliznę na zmianę, szczoteczkę do zębów, ręcznik, ubrania na pogodę i niepogodę, a przede wszystkim porządną walizkę. Luba wszystko to zostawiła. Wzięła ze sobą tylko plecak. I?

Andrzej rozejrzył się po pokoju.

I książki.

Zauważył, że z biblioteczki zniknęła znaczna część rosyjskich powieści.

– Lubow Grigoriewna, wy gdzie? – zawołał tak, jak Luba Stanisławska lubiła najbardziej. – Wy gdzie?

Spojrzał na kalendarz. Data obwiedziona czerwoną kredką. Obok obwódki trzy krzyżyki.

„To dzisiaj!”

Wybiegł na zewnątrz.

Musiał natychmiast dostać się na drugą stronę miasta.

Na lewy brzeg rzeki.

Przejechał przez krótką ulicę Mieszczzańską i przez most Wschodni. Trzy przystanki. Szesnaście minut biegiem, na który tym razem nie mógł sobie pozwolić.

Wyskoczył z autobusu.

Rzucił się w stronę nadrzecznych chaszczy.

Biegł.

Zarośla. Krzewy. Błoto.

Szybciej!

Poślizgnął się.

Wstał.

Nie sprawdził, czy spodnie całe.

„Narysowała na kalendarzu trzy krzyżyki!”, krzyczał w myślach.
„Tylko nie to. Błagam, tylko nie to!”

Zatrzymał się dopiero w pobliżu pustego szałaszu dla wędkarzy, między drugim a trzecim zakolem Boli. Zawsze pustego, od kiedy dwa lata wcześniej znaleziono w nim zwłoki zgwałconej i zamordowanej kobiety. Przyjezdnej, bo nikt z bolegoszczan nie przyznał się do pokrewieństwa z denatką.

Właśnie tutaj Opolski znalazł Stanisławską.

– Lubow Grigoriewna, wy tu? – zapytał głupio. Przecież widział, że tu.

Stała na brzegu, który w tym miejscu był stromy i wysoki.

Andrzej przeczuwał, że wystarczy jeden nierozważny ruch, a Luba wykona krok. Ostatni krok. Wiry wciągną kobietę na samo dno, od którego już się nie odbije. Tak jak nie odbiła się od dna, na którym żyła od lat. „Na dnie łatwiej nie żyć niż żyć”, pomyślał Andrzej.
„Ale nie teraz, litości! Nie dzisiaj!”

– I ja ci, kurwa, Jaśku, mówię, nie, to nie tutaj, za trzecim zakolem, no to ci mówię, że ona jest tak szpetna, że jakby ją pies zobaczył, toby budę rozwalił i łańcuch wyruchał. Ale słuchaj, wczoraj ona do mnie przyłazi i mówi, że kocha? Kocha? Kocha to głównie z dupy wychodzić, ale nie ona mnie. To mówię do niej, że... – Dwóch wędkarzy minęło Stanisławską i Opolskiego. Jeden palił. Drugi niósł wędkę. I wiadro. W wiadrze chlupała woda. W wodzie pływały ryby. Jedna brzuchem do góry.

– Chodźmy stąd, Lubow Grigoriewna. – Andrzej ujął Lubę za łokieć.

Wyglądała zwyczajnie. Tak, jakby wyszła na zakupy do mleczarni, piekarni lub do rzeźnika. Długi płaszcz, na głowie ciemna bawełniana chustka, sznurowane kozaki, w dłoni siatka na sprawunki.

Tylko ten plecak, który mógł pamiętać kampanię wrześniową i kilka innych wojennych przygód.

– Co wy w tym plecaku? – podszedł do Luby. – Co on taki ciężki? I kanciasty.

Powinna zadziałać – forma „wy”, okraszona otczestwem Luby, zazwyczaj łagodziła nastroje Stanisławskiej.

Nie tym razem.

– Oni nie wozwrócą się. Ja w kance kancow poniała eto.

Pewnie, że nie wrócą. Andrzej od dawna to wiedział. Nie mógł jednak przewidzieć, że Stanisławska przeżyje olśnienie właśnie dzisiaj, w rocznicę zaginięcia Włodka i jego ojca, Fabiana Stanisławskiego.

– Iskali, iskali, a ciał nie naszli. Sześć lat będzie, jak ciał nie naszli. Sześć lat. – Kobieta zrobiła krok do przodu.

– Lubow Grigoriewna, znajdą. Może jeszcze znajdą – powiedział Andrzej.

– Jakby ja wiedziała, że mnie tu takie nieszczęście spotka, toby nigdy za mąż nie poszła za Fabiana. I by nie ujeżdżała z nim z Grodna. Nigdy by nie dała się namówić Fabianu, na żyzn̄ zdzieś. Polski się zachciało... Durna ja. Ludzie i tu, i tam takie same, tylko Niemen bolieje szirokij, cziem wot eta riećka.

– Niemen szerszy, piękniejszy, Lubow Grigoriewna. Macie rację. Andrzej podszedł do Stanisławskiej. Położył rękę na jej ramieniu.

– Chodźmy. Proszę.

– Ja tut cudza. Wsiegda budu cudza. Miesta tut dla mienia nie tu.

– Plecak zdejmę.

– Nie trogaj. – Znowu zrobiła ćwierć kroku w stronę Boli. – Ty mnie powiedz, czego ty Włodka wtedy na riekę powiódł? Lód jeszcze stał na wodzie. Skaży.

To prawda. Sześć lat wcześniej na początku kwietnia lód ciągle skuwał Bolę. Słabszy niż ten styczniowy, jednak wciąż krzepki.

Nie.

Wcale nie zamierzali na niego wchodzić. Wcale. Najpierw jak zwykle po lekcjach pobiegli do Włodka. Połowę drogi prześlizgali się po chodnikach, drugą połowę pokonali, rzucając w siebie brudnym śniegiem. A raczej zmarzniętym błotem.

Tego dnia Luba szykowała na obiad pielmieni. Ukochane pierożki Andrzeja. Z farszem z baraniny, wołowiny i wieprzowiny. Andrzej oblizywał się na samą myśl o nich.

Tak jak uwielbiał pielmieni, tak kochał Stanisławskich. Ciągle u nich przesiadywał. Obserwował inny świat. W wieku dwunastu lat został wykwalifikowanym badaczem codzienności przeciętnej rodziny. Specjalistą od matczynej (ale nie Barbary) troskliwości. Ekspertem od serdecznych ojcowskich (ale nie Tadeusza) gestów. Kolekcjonerem pełnych miłości spojrzeń (kierowanych przez rodziców w stronę Włodka). Patrzył z zazdrością na Fabiana przytulającego Lubę, na Lubę całującą Włodka, na Włodka wpatzonego w rodziców. „Rodzina jak z obrazków babki Heleny”, myślał czasem.

Do tamtego kwietniowego dnia, sześć lat wcześniej.

Andrzej z Włodkiem najpierw odrobili lekcje, później połknęli pielmieni okraszone śmietaną (najlepsze!). Fabian jak zwykle poprzekomarzał się z nimi (najedłście się jak za cara, więc na lód nie włączcie, bo pęknie pod wami), Luba jak zwykle poprawiła czapki na ich głowach (chołodno!). Na szyi Włodka zawiązała długi szalik. Żeby tylko synaczek nie chwycił kataru. Żeby tylko się nie zaziębił. Taki chorowity. Po Fabianie.

Szukali ich. Pewnie, że szukali. Nurkowie, milicja wodna, a przede wszystkim sąsiedzi, którzy do końca października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego spacerowali wzdłuż Boli pełni nadziei, że znajdą ciała Stanisławskich. Chcieli ich pożegnać i pogrzebać, a gospodarną Lubę Stanisławską wyswatać z jednym z okolicznych wdowców (z dziećmi) lub kawalerów (oficjalnie bezdzietnych – niektórzy po prostu nie przyznawali się do potomstwa).

Nic z tego.

Ciała nie wypłynęły na brzeg.

Bolegoszczanie pokiwali najpierw głowami: „Tak to już jest. Krąg życia i śmierci. Krąg wesel i pogrzebów. Krąg zdrowia i choroby”, a później zapomnieli. Wszyscy oprócz Stanisławskiej.

– Lubow Grigoriewna, herbaty zaparzę z konfiturą. Wracajmy do domu. – Andrzej wziął dłoń matki Włodka w swoją dłoń. Była całkiem zimna. Wilgotna.

– Ty mi, Andriusza, powiedz, co się wtedy naprawdę stało. Z Wołodią. I czemu ten durnowaty Fabian za nim. Toż było wiadomo, że tak nie lzia. Ty wiesz? Żeby choć Fabian mnie się ostał, tak na utieszenie. Ty powiedz. Ty wiesz.

Opolski gapił się na Bolę. Wpadała do Bugu. Z Bugiem do Wisły. I dalej. Wiadomo. W świat. Nieobliczalna rzeka. Każdej wiosny zalewała niżej położone wsie. Niszczyła łąki, pola, lasy. Latem trochę wysychała, lecz wciąż kusila obietnicą chłodu, wypoczynku, wakacyjną przygodą. Jesienią oczyszczała się. Wydalała lipcowo-sierpniowych topielców. Tylko zimą milkła na chwilę. Mróz skuwał jej mordę, chociaż nigdy do końca. Ciągłe połykała dzieciaki i wędkarzy. Tych pierwszych z łyżwami. Tych drugich z wędkami i w woderach.

– Andriusza, ty wiesz – powtórzyła Grigoriewna.

– Nie wiem. – Opolski wzruszył ramionami. – Naprawdę nie wiem.

Wiedział.

Sześć lat wcześniej bawił się z Włodkiem w wojnę.

Na drugim brzegu, na lewym, na tym bardziej dzikim. Za mostem Wschodnim.

Andrzej wylosował rolę Niemca. Pewnie, że wolałby wylosować Amerykańca, ale w Amerykańców i Japońców nie pozwalał bawić się ojciec Włodka. „Imperializm i kapitalizm to nie igraszki. To zło”, powtarzał. Igraszek w Polaków i w Ruskich też im zakazywał. Bo przyjaźń między narodami. Zostawali więc tylko Ruscy i Niemcy.

Po krótkich podchodach i jeszcze krótszej pogoni Niemiec złapał Ruskiego. Głupi Ruski zaczął się szalikiem o krzaki! Żołnierze nie noszą dwumetrowych szalików. Matka żołnierza mogła o tym pomyśleć. Szkop zdał z Sowietu trofeum. Wojenny fant zawiązał na swojej szyi. Co jednak zrobić z Ruskim?

Kaplica. Kaput. Czapa.

Tak zrobiłby prawdziwy Niemiec. I Amerykaniec. Nie patyczkowałby się z komunistą.

Andrzej ustawił Włodka pod drzewem. Gdzieś tu był. Kałasznikow. A, jest. Długi kij. W sam raz. Leżał tuż obok. Nad urwiskiem. W miejscu, gdzie skarpa.

Cel i –

Bezbronny Włodek wypalił, zanim Andrzej załadował broń. Wypuścił krótką serię słów. Największego kalibru. Podniósł głowę i powiedział:

– Mówią, że twoja matka to bladź.

Andrzej doskoczył do Włodka.

– Powtórz.

– Kurwa znaczy.

Andrzej uderzył Włodka w twarz.

Włodek rzucił się na Andrzeja.

Kotłowali się w brudnym śniegu. W błocie. W kępach gnijącego mchu. Andrzej próbował zatkać gębę krzyczącego Włodka piachem, szyszkami, pięścią.

Włodek bił na oślep. Niższy, grubszy, mniej zwinny, uderzał jednak celnie.

Andrzej poczuł krew w ustach.

Włodek wywinął się z uścisku Andrzeja. Stał, z trudem utrzymując równowagę. Za jego plecami płynęła Bola.

– Bladź – powtórzył.

Andrzej kopnął Włodka w brzuch.

Włodek pochylił się do przodu. Półobrót. I poślizg. Na błocie. Na śniegu. Na mchu. Trzask. Woda. Cisza.

Andrzej krzyknął. Rzucił za przyjacielem szalik. „Łap, Włodek! No łap! Włodek!”

Mały Stanisławski zniknął w rzece.

Opolski zamknął oczy.

Miał nadzieję, że kiedy je otworzy, zobaczy na brzegu Włodka, który powie: „Twoja matka to bladź”. Oddałby wszystko, żeby tylko usłyszeć tę obelgę.

Nie zobaczył i nie usłyszał, więc pobiegł po Fabiana.

– Włodek! Panie Stanisławski, Włodek.

– Jak ty wyglądasz? – zapytał Stanisławski, patrząc na ubłoconego Andrzeja. – Co z nim? Co z Włodkiem?

– Próbowałem ratować, ale –

– ale to dzisiaj bez znaczenia. Trzeba żyć, Lubow Grigoriewna. – Andrzej uwolnił Lubę od ciężaru plecaka. – Trzeba żyć.

– A Fabian? Czego on za Wołodią skoczył w riekę? – Luba patrzyła na wiry szalejące tuż pod skarpą. Tuż pod nią.

– Tego nie wiem.

Nie wiedział.

Bo czego spodziewał się stary Stanisławski? Że wyłowi martwe dziecko z dna rzeki? Że wyrwie syna z jej objęć? Wściekła Bola nie oddawała ofiar. Za bezczelność karała śmiercią.

Andrzej zarzucił plecak na ramię. Wyczuł w nim książki. „Balast”, pomyślał. „Pewnie chciała szybciej na dno”.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył.

Tyle razy chciał powiedzieć, jak było. Tyle razy chciał wyznać prawdę. Tyle razy pragnął zdjąć z ramion Luby ciężar tęsknoty, a ze swoich ciężar winy.

Stanisławska zrobiła krok do tyłu.

– Nu, wsio. Chwacit. Poszli czaju popić. Z konfiturą – powiedziała.

Andrzej odwrócił się z ulgą.

– Tak, chodźmy do domu.

– Do domu. A w domu... – powtórzyła Luba.

Po czym skoczyła prosto w kotłujące się wiry.

Zanim Andrzej zdążył rzucić wypakowany plecak Grigoriewny na rozmokłą ziemię, zanim zdążył uchwycić kątem oka zbliżających się od północno-wschodniej strony rzeki dwóch wędkarzy, zanim zorientował się, że powinien powiedzieć Lubie o tym, że wylali go ze szkoły, że może zapomnieć o studiach, że dziewczyna go nie chce, że jest idiotą, który nie wie, jak żyć i co ze sobą zrobić, zanim chwycił Lubę za poły płaszcza, zanim zrozumiał sens ostatnich słów Stanisławskiej, zorientował się, że kobiety już przy nim nie ma. Zniknęła w kipieli-kąpieli. Ruszyła na spotkanie z synem i mężem.

Koliste wiry.

Kręgi na tafli wody.

I czapla siwa na przeciwległym brzegu rzeki. Tam, gdzie płytko, a latem gorący piasek na plaży.

Andrzej zasłabł. Zawroty głowy. Krew w nosie.

Oparł się o drzewo, o to samo, pod którym sześć lat wcześniej chciał rozstrzelać Włodka.

Wędkarze łążący brzegiem w tę i z powrotem zatrzymali się przy Opolskim.

Andrzej poczuł smród przepoconych kurtek, woń ryb, mułu i wodorostów.

Jeden z mężczyzn zamachnął się wędką. Drugi zapalił papierosa.

– ...to będzie chyba tutaj. Wcześniej coś pokurwiłem. Mówił Tokarzewski, że pełno w tym miejscu węgorzy, nawet zimą. Żerowisko chyba mają, ale co one żrą, Jaśku, to ja nie wiem. Padliny żadnej. No chyba że ogryzają topielców do ostatniej kosteczki.

– Węgorze, Kostek? – Jaśko zaciągał się głęboko. – Akurat.

– Tak mówił Tokarzewski. Że właśnie tutaj zapierdolił tłustego jak Józia z garmażerki. Znasz Józzię? – zapytał ten, który łowił.

Ten, który palił, potwierdził.

Andrzej wstał.

Sięgnął po plecak.

I po kamień leżący obok. Wycelował prosto w błyszczący sławik wędkarza. Trafił.

– Kurwa twoja mać – zaklął ten, który łowił.

– No, patrz – dodał ten, który palił. – Co za cipa.

3.

Ewa Mazurkówna siedziała w kuchni przy stole. Ręce złożone do modlitwy trzymała na ceracie. Głowę pochyliła lekko do przodu. Jej usta poruszały się bezgłośnie.

– Jajecznicza wystygnie. – Renata dziobała widelcem w talerzu.

Nie rozumiała nabożności Ewy. Jej codziennych adoracji w kościele. Jej noszenia swetrów ze zgrzebnej wełny. Bez podkoszulka. Na nagie ciało. Nie pojmowała różańców w każdej kieszeni. I lektur. Z których najstraszniejsza wedle Renaty była *Noc ciemna*. Jak można czytać coś takiego? Renata raz jeden wzięła do rąk rozpadającą się księgę w szarej obwolucie. *Noc ciemna*? Pomyślała najpierw, że to historia Polski. W dodatku współczesna. Tylko ten autor. Święty Jan od Krzyża. To raczej nie o Polsce. Wydawnictwo też dziwne. Ojców Karmelitów Bosych. Do środka nie zajrzała. „Bosi? Karmelici bosci? W nocy ciemnej?” Przestraszyła się, że Ewka przestanie nosić buty. Byłby wstyd na całe miasto.

– Słyszysz? Jajecznicza – powtórzyła.

Ewa nie zareagowała.

– O której wrócisz? – Renata spojrzała na spakowaną torbę Ewy. Na starą konduktorę, którą kupiła siostrze na Krupówkach w Zakopanem (ojcu przywiozła z jedynej wycieczki, na jaką się wybrała, ciupagę). Zaciśnęła dłoń na krawędzi stołu. Czekają ją wykańczanie kostiumu dla niecierplivej klientki, która za chwilę pojawi się do przymiarki. Klientka, tłuściutka niczym salceson brunszwicki, rozsiądzie się na wersalce jak na pajdzie chleba i zacznie marudzić. Dlaczego strój ciągle niegotowy. Przecież Wielkanoc tuż-tuż. – Znowu pewnie późno. Nie wiem, gdzie ty łazisz. Znikasz na całe popołudnia i wieczory. Z tego, Ewka, będą same kłopoty. Powiem ojcu, że ty, że ty...

– Amen. – Ewa przeżegnała się. – Tato ma dziś cztery pogrzeby. – Podniosła głowę. Sięgnęła po widelec. Odrobina zimnej jajeczniczy. Kęs czarnego chleba. Wszystko przeżuwała wolno.

Połykała jeszcze wolniej. – Możesz naskarżyć na mnie, proszę bardzo, ale najwcześniej po szesnastej. I wiesz? Podziękowałabyś czasem za to, co jest na stole – pouczyła siostrę.

– Komu?

– Panu Bogu.

– To nie Pan Bóg zarabia na jajka.

– Więc za to, że masz pracę w Niteczce. I prywatne klientki. Przychodzą wciąż nowe. Lubią cię. Mówią, że jesteś najlepsza.

– Za garb na plecach, za żyłki w tyłku i za ból ręki od dźwigania dziesięciokilowego żelazka też mam podziękować?

– I że tato ma pracę. Że stać na jaja, sery, śmietanę i mortadelę. – Ewa odsunęła talerz z prawie nietkniętym śniadaniem. – Zwyczajna wdzięczność.

– Wdzięczność. To twój sposób?

Ewa zagryzła pytanie Renaty chlebem.

– Waldek puścił cię kantem? – zapytała siostrę.

Celne uderzenie. Renatę zabolalo.

– Nie twoja sprawa.

– Za to też powinnaś podziękować. Waldek zdradziłby cię już w noc poślubną.

– A ty, mała świętoszko? Ty dziękujesz?

– Za wszystko. – Ewa zapięła sweter. Sięgnęła po torbę.

– Za to, że matka przez ciebie umarła, też dziękujesz?

Ewa zeszywniała. Wolno podniosła się od stołu. Milczała.

– Powiedz. – Renata rzuciła widelec na talerz. – Za co dziękujesz tej swojej Matce Boskiej, kiedy codziennie klepiesz pacierze przed jej obrazem? Najświętsza Paniienka adoptowała cię? Dała ci swoje nazwisko? Boska. Ewka Boska.

– Przestań.

– Ewka Boska, nie zadzieraj noska.

Ewa nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wrócę przed czwartą.

– Lekcje kończysz o pierwszej.

– Dziś jest sobota...

– Wszystko powiem ojcu.

– ...sobota czynu społecznego. Sama na takie chodziłaś. Nie jesteś aż tak stara. Musisz pamiętać. – Ewa zarzuciła torbę na ramię. Ugięła się pod jej ciężarem. „Ki czort”, pomyślała. „Dwie kanapki, termos z herbatą, a jakby worek kamieni”. – Dzień przyjaźni polsko-radzieckiej.

– Radzieckiej słuchać nie będziemy! – Helena Opolska zawołała z głębi domu. – Wyłącz to, proszę!

Paweł sięgnął do pokrętki.

Ściszył piosenkę, ale nie wyłączył.

Śpiewała Maja Kristalinskaja.

Zesłoroczny przebój z Soczi.

Nieżnost.

Słyszał go ostatnio u Hanki w Warszawie. Kilka dni przed tym, co wydarzyło się na Krakowskim Przedmieściu. Dziewczyna podskakiwała na Pawle w rytmie radzieckiego fokstroda. Podskakiwała z przymkniętymi oczami, dobrze znała drogę do celu. Nuciała łatwo wpadającą w ucho melodię. Tak łatwo, że Paweł mógłby ją zagrać natychmiast po tym, kiedy Hanka skończyła. Czyli po pierwszej zwrotce. I po refrenie.

Ty gladel na mienia, ty iskał mienia wsiudu,
Ja, bywało, biegu, oto wsiech twoi wzglady chrانيا,
A tiepier niet tiebia, pocziemu-to?

Nie ma go przy Hance. Nie ma. Opolski schował głowę w rękach. Wszystko na nic. Wszystko zupełnie na nic.

– Powiesz mi wreszcie? – Babka Helena wdrapała się na piętro i weszła do pokoju Pawła.

Rozejrzała się.

Po raz pierwszy od dawna poczuła klucie w sercu.

Paweł patrzył na babkę. Miał wrażenie, że zastała. Przysiadła na fotelu stojącym między wąskim tapczanem a biurkiem. Bardzo rzadko wchodziła do tego pomieszczenia.

Wcześniej, dużo wcześniej, mieszkali w tym pokoju Tadeusz i Jerzy. O Jerzym przypominała tylko kolekcja białej broni. Wszystkie rzeczy starszego syna Helena rozdała. Po piętnastu latach modlitw i niespokojnego oczekiwania. Przed każdą Wigilią. Przed każdym

Zmartwychwstaniem Pańskim. W każde swoje imieniny, o których Jerzy nigdy nie zapominał.

Nie doczekała się. W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego kazała wywieźć do Niedorośli wszystkie ubrania Jerzego. Paweł pomagał jej w znoszeniu pudeł. W jednym z nich znajdowały się książki Jerzyka. „Sienkiewicz leczy zmysły lepiej niż elektrowstrząsy. Takie tam bajdurzenia. W sam raz dla wariatów”. Prusa nie oddała.

– Babciu, wszystko w porządku? – zapytał Paweł.

*

Nie, nie wszystko było w porządku.

Helena patrzyła na wnuka, który słuchał ruskiej pieśniarki i pielęgnował tęsknotę w sercu.

Po czym?

Po kim?

„Jaki on do Tadzia podobny...” Takie same błękitne oczy. Takie samo spojrzenie. Ostrzejsze niż u Tadeusza. Prosty nos. Wąskie wargi, które – gdy czasem się złościł – zaciskał w linijkę. Tadeusz czynił podobnie. Jerzy zresztą także. Tylko miedziane włosy Paweł wziął po matce. Reszta to dziedzictwo Opolskich”. Ukochany wnuk.

A tak niewiele brakowało... Tak niewiele brakowało, żeby...

– ...żeby pod moim dachem ulicznica mieszkała? – zapytała Helena wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. – To nie uchodzi, Tadeusz. Ja nie pozwolę. Tylko patrzeć, jak brzuch zacznie jej rosnać.

– Nie „ulicznica”, mamusia, tylko moja przyszła żona. I zostanie tutaj tak długo, jak długo ja będę mieszkał pod mamusi dachem.

Została.

Prąta, gotowała, sprzątała. Jedynie na zakupy nie chciała wychodzić. Zwłaszcza po zmierzchu. Kiedy zaczynało brakować chleba, ziemniaków lub fasoli, chlipała i prosiła o zmiłowanie. „Zrobię wszystko, byle nie sprawunki. Błagam”.

Apropozycją zajął się Tadeusz. I narzeczoną, z którą spędzał większość wieczorów. Ona płakała, on jej coś tłumaczył. On jej coś tłumaczył, a ona się śmiała.

Helena węszyła podstęp.

Kiedy pytała o ślub, Tadek odpowiadał, że trzeba poczekać na Jerzego.

„Jak długo?“, indagowała sędzina. „Przecież wiesz, Tadziu, że z nim nigdy nic nie wiadomo. Ostatni raz odwiedził nas cztery lata temu. Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy się znowu pojawi”.

Tymczasem zamiast starszego Opolskiego pojawiło się tylko kilka niepewnych plotek. Ktoś widział go w obozie przejściowym w Pruszkowie. Ktoś pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego w Częstochowie.

Pod Jasną Górą ślady się urywały.

A Helenie pękała głowa od nowych frasunków.

W lutym dziwiła się ciągłym zgagom rudzielca i częstym wizytom w toalecie. „Sika jak koń”, myślała, „choć pije tyle, co nic”.

W marcu przyglądała się barchanowej sukience przybłądy i kusemu serdakowi, które z dnia na dzień stawały się coraz ciaśniejsze. „Puchnie jak topielec”, myślała Helena, krojąc kiszzone ogórki, na które tamta gapiała się łakomie jak na tort weselny.

W kwietniu wiedziała na pewno, choć nie straciła nadziei i codziennie modliła się o cud. „Panie Boże, wyprowadziłeś Izraelitów z ziemi egipskiej, z domu niewoli, teraz wyprowadź rudą kwokę z ziemi i z domu Opolskich razem z jej brudnym przychówkiem”.

W maju obawiała się dwóch rzeczy: że przyjdzie telegram o śmierci Jerzego i że bezużyteczna, bezdomna ulicznica z bajstrukiem na stałe zostanie na Mickiewicza 68.

W czerwcu nikt niczego już nie udawał. Ani Helena, ani przybłąda, ani syn, ani brzuch.

– Czyje to dziecko? – Helena zapytała rudą w pewien gorący wieczór.

Tamta próbowała fantazyjnie ustawić w wazonie na werandzie świeżo ścięte gałęzie różanecznika. „Ma talent, ale do rozkładania nóg, nie do układania kwiatów”.

– Tylko mi nie kłam. Inaczej Bóg pokarze paraliżem ciebie i twojego bękarta.

Boża kara to dobry argument, chociaż ani Bóg, ani jego sługa, ksiądz Adolf, nie mieli nic wspólnego z poczęciem bastarda.

Właśnie, ksiądz Adolf. Helena gruntownie sprawdziła relację Tadzia. Po tym, jak przywłókł pobitą Baškę do domu, podrałowała do kościoła Świętego Wawrzyńca. Proboszcz potwierdził, że choć panna Basia sprzątała i gotowała u niego, to nigdy wobec obcych mężczyzn, a już – Panie Święty! – wobec księdza Adolfa żadnych zamiarów lubieżnych nie wyrażała. Poczciwa, prosta i pobożna. Żadnych junaków przychodzących do niej też nigdy nie zauważył. Czas spędzała na modlitwie i na pracach domowych.

„Prawie jak Matka Boska”, Helena prychnęła w duchu.

Nie wiedziała, że ksiądz Adolf, owszem, chwalił dziewczynę, ale tę, która zapodziała się w wyzwoleńczej zawierusze. Fila Murawska, śliczna i uczciwa, z zawsze spękanymi ustami, zniknęła w dniu swojego ślubu. Ksiądz Adolf cały wieczór czekał na nią i jej narzeczonego ze stulą i z gotowymi formułami wiążącymi mężczyznę i kobietę do grobowej deski. Nie doczekał się. Narzeczony Fili też zapadł się pod ziemię. Mroczny jak grzech pierworodny. Na myśl o nim ksiądz Adolf zadrżał. Drżał, dopóki za Heleną Opolską nie zamknęły się drzwi plebanii. Kiedy tylko zniknęła, zażył pół działki morfiny. Na odpuszczenie grzechu fałszywego świadectwa.

– Czyje więc? – powtórzyła pytanie Helena.

– Moje – odpowiedziała Baška z opuszczoną głową. Brzuch zasłaniał jej widok na stopy i na wzorzysty chodnik leżący na werandzie. Czysty i elegancki chodnik. Nie to co jej reputacja.

– I moje. – Na werandę wszedł Tadeusz. Rzucił torbę listonosza na progu. Pocałował Baškę w czoło.

– A ty pewien jesteś? – zapytała Helena.

– Tak jak mamusia jest pewna, że Maryja zaszła w ciążę z pomocą Ducha Świętego.

– Nie bluźnij! – Helena chwyciła gałąź różanecznika i zdzieliła syna po karku. – A jeśli to dzieciak ruskiego żołdata? Pełno ich tutaj ciągle. Z gębami jak łopaty. Z nosami jak kartofle.

– Mamusiu!

– Poczekam. Popatrzę. Jeśli coś będzie nie tak, wyrzucę na zbity pysk, jasne?

– Jasne, że tak, babciu. – Paweł spojrzał na Helenę. – Jasne, że wszystko powiem.

W lewym oku wnuka sędzina dojrzała ułańską fantazję Jerzego, w prawym łagodny upór Tadeusza. „Opolski! Prawdziwy Opolski”.

Wzruszyła się.

To ona, Helena, nosiła Pawełka w nocy, gdy jego matka zaraz po porodzie odwróciła się do dziecka plecami (myślałby kto, że z powodu melancholii!). To ona wzywała doktora Stefaniaka do kokluszki, zapalenia płuc, odry i nieustannych dolegliwości ucha. To ona łagodziła bóle ciała i duszy wnuka. To ona uczyła go znaku krzyża i pierwszych liter. To ona opowiadała mu sądowe dykteryjki z praktyki dziadka Jana. To ona uczyła go uczciwości. To ona pielęgnowała we wnuku mit heroicznego stryja Jerzego, który zginął za ojczyznę. To ona szeptała o powstaniu warszawskim i o Katyniu. To ona wreszcie tęskniła za Pawłem najmocniej, kiedy po narodzinach Andrzejka rodzina przeprowadziła się do mieszkania na Rewolucji Październikowej.

Helena podeszła do radioodbiornika. Odebrała głos Mai Kristalinskiej.

Paweł wstał. Stał przy oknie.

– Nie zdałem ważnego egzaminu. To wszystko. Obląłem.

– To jeszcze nie koniec świata. Co dalej zamierzasz?

– Rozglądam się za pracą. Szukam czegoś. Może na poczcie?

– Niech Bóg cię broni! Umów się na poprawkę. – Babka ściągnęła czarną opaskę. Wiedziała, że na Pawle wyłom w jej twarzy nie robi najmniejszego wrażenia. – Proszę cię.

– Przeżyłem objawienie.

– Nie kpij, głupcze, z rzeczy świętych.

– Nie kpię. Zrozumiałem, babciu, że prawo nie dla mnie. Nie było, nie jest i nie będzie sprawiedliwe.

– To ty tego nie wiedziałeś? Potrzebowałeś objawienia?

– Widocznie potrzebowałem.

– Durny jesteś, a nie objawiony. – Poglaskała wnuka po głowie. – Skończ studia, później wróć do domu. Jedź do Warszawy. Zrób porządek w życiu.

– To nie takie proste. Poprawkę też obląłem.

– Kiedy?

– W zeszłym tygodniu.

– To dlatego wyjechałeś na całą sobotę?
Paweł ściągnął brwi.
I włączył radio.

Ty skazał, czto pridziosz, choć nie wiecier wiernioszsia siuda,
Wiecier mnie ni k czemu, wiecier mał kak piesczinka,
Ja tiebia podożdu tolko ty prichodi na wsiegda.

Paweł nie obiecał, że wróci na wsiegda. Wsiegda to tylko słońce świeciło. I tylko na Kubie. Nie. Paweł niczego nie obiecał. Nie Hance.

Obiecał sobie.

Że przeprosi Hankę i że poprosi o kolejną szansę.

Tydzień po tym, jak wrócił do Bolegoszczy, zadzwonił do Górskiej. Niezupełnie do niej. Do sąsiadki z naprzeciwka. Do pani Cwojdy, wielkiej i ciepłej jak piec kaflowy, zawsze gotowej na wizyty nieoczekiwanych gości. Czekwała na nich z herbatą i ciastem. Głównie na esbeków. Odwiedzali ją raz, może dwa razy na tydzień. Zadawali jedno pytanie: „I co tam, pani Cwojda, słyhać u sąsiadów?”. I zaczynała się wielosłowna opowieść o wszystkim. O tym, co pani Cwojda widziała, co podsłuchiwała i co rozumiała. O rzeczach niepojętych nie wspominała. Zaliczała do nich: jazdę figurową na lodzie (te ich potrójne i poczwórne tulupy – to niemożliwe!), dziadka do orzechów (ja nie miałam żadnego, więc dlaczego orzechy go mają?) i miłości (a o czym, panie, tu mówić?).

O niczym.

Paweł czekał na połączenie.

Pani Cwojda odebrała po długiej chwili. Poprosiła o cierpliwość. W ciągu czterech minut oczekiwania Paweł zdążył przeżyć cztery lata związku z Hanką. Włącznie z rozstaniem.

- Nie może podejść. – Pani Cwojda nie brzmiała zbyt pewnie.
- Choruje?
- Po prostu nie może podejść.
- Zadzwonię jutro.
- Nie. – Głos pani Cwojdy się załamał.
- Więc pojutrze.
- Kazała, żeby pan nie dzwonił. W ogóle nie dzwonił. I jeszcze powiedziała, żeby pan zapomniał.
- Musiałbym ojca poprosić o lobotomię. – Paweł nie wytrzymał.

– A to dobre na zapomnienie? – zapytała pani Cwojda.

– Najlepsze.

– Jak ojciec może, to niech panu to kupi – powiedziała pani Cwojda i odłożyła słuchawkę.

Przez następny tydzień Paweł Opolski próbował zapomnieć bez lobotomii.

Nie udało się.

W poprzednią sobotę zgarnął kilka rzeczy do podręcznej torby. Kupił bilet na poranny pociąg do stolicy. Nikogo nie uprzedził o swoim wyjeździe.

Wczesnym popołudniem wysiadł na dworcu w Warszawie. Wszedł drewnianymi schodami na górę. W stronę Emilii Plater. Rozejrzał się. Jakby nic się nie zmieniło. Jakby nic nie zaszło. Te same tramwaje. Te same autobusy. Te same przystanki. Ten sam hałas. Na chodniku, przy wejściu-zejściu na dworzec, ta sama baba okutana chustami. Jak zwykle sprzedawała bukiety – tym razem – goździków. Paweł kupił pięć sztuk.

Ruszył w stronę Radnej. Na Emilii Plater minął naukowo-kulturalny wzwód. Bez podniecenia. Pałac nigdy nie robił na Opolskim wrażenia, nawet gdy odbywały się w nim historyczne imprezy. „Historyczna pomyłka”, myślał o budynku za każdym razem, gdy go widział. W takiej pomyłce choćby zeszłoroczny koncert Rolling Stonesów musiał brzmieć fałszywie. Nie, nie był na nim, chociaż kupił bilet. Ruszył niebo, ziemię i wszystkie oszczędności, żeby go zdobyć. Trofeum wręczył Hance. W dzień koncertu, trzynastego kwietnia, świętowała urodziny. Bez Pawła, choć dzięki Pawłowi.

Przeszedł Świętokrzyską w dół, skręcił w Krakowskie Przedmieście. Na Oboźnej poczuł, że chce uciec z Warszawy jak najdalej.

Nie uciekł.

Pod mieszkaniem Hanki pojawił się chwilę po czternastej.

Zapukał.

Nic.

Zapukał mocniej.

Nic.

Zadzwoił.

Dzwonek nie działał.

Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Zastukał do pani Cwojdy.

U niej też nic. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Chociaż zazwyczaj albo podsłuchiwała, albo podglądała.

Usiadł na schodach i czekał. Myślał trochę o rodzicach. O tym, co z nimi dalej. Poronienie matki, co za historia. Miałby mieć brata o niemal ćwierć wieku młodszego? Na siostrę nie liczył. W rodzinie Opolskich od kilku pokoleń rodzili się sami chłopcy. Uśmiechnął się. „Z drugiej strony dlaczego nie?” Może dziecko dałoby starym radość, którą oboje zgubili. Matka wciąż uciekała na działkę do Łączek, a ojciec brał wszystkie zastępstwa w Niedorośli i siedział ze swoimi wariatkami. Myślał trochę o sobie. Że nie może i nie chce mieszkać u babki. Że powinien znaleźć pracę, kwaterę, a po wakacjach wrócić na studia. „A kto mnie przyjmie z powrotem na prawo? Z życiorysem wywrotowca nawet na poczcie nie znajdę jednej czwartej etatu”. O Andrzeju też pomyślał. „Będzie z niego taki lekarz jak ze mnie pedagog. Wykombinował sobie medycynę. Medycynę!”

Limit rozsądnych refleksji wyczerpał w ciągu kwadransa.

Resztką ołówka kopiowego, który znalazł w torbie podróżnej, rysował nuty na schodach. Poczł swędzenie stóp, więc zdjął skarpety i się podrapał. „Bez sensu. Ulga i tak potrwa tylko chwilę”.

Wreszcie położył ręce na udach. Zamknął oczy. Przebiegał palcami po wyobrażonej klawiaturze. Ćwiczył nowy utwór. Własną kompozycję. Męczące ostinato. Jeszcze niezapisane. Jeszcze bez zakończenia. Jeszcze bez ostatnich taktów.

Minęła godzina.

Dwie.

Trzy.

Gdzieś na klatce schodowej płakała kobieta, krzyczał mężczyzna, wrzeszczały dzieci. Radio grało, telewizor dudnił. Ktoś wchodził, ktoś schodził. Ktoś tłukł mięso, ktoś walił w ścianę. Coś szcęknęło, coś miauknęło. Zapach stęchlizny i smażonej cebuli. Pęknięty sufit nad Pawłem, skrzypiące schody pod Pawłem.

Życie kamienicy.

Paweł spojrział na zegarek. Zbliżała się piąta po południu.

Na osiemnastą szesnaście kupił powrotny do Bolegoszczy.

Wstał, otrzepał spodnie. Pora wracać. Usłyszał naraz stukanie laski i czterech obcasów.

Na piętrze pojawiła się Hanka Górską ze swoją matką Krystyną.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała Hanka. Patrzyła na Pawła ze zdziwieniem.

We wzroku Haninej matki nie było ani pretensji, ani nienawiści, ani zainteresowania. Tylko obojętność.

– To dla ciebie. – Paweł podał Hance goździki. – Potrzebują trochę wody.

Dziewczyna nie podniosła głowy znad torebki. Nie zwróciła uwagi na kwiaty. Szukała kluczy.

Paweł spostrzegł we włosach młodej Górskiej pasma siwych włosów. Na nosie nowe oprawki okularów. Pod lewym okiem żółknący siniak. Na nosie gojące się zadrapania. I lewą rękę na płóciennym temblaku.

– Na kawę? – zapytał Paweł. Bar naprzeciwko uniwersytetu był już nieczynny. Zostawał barek w Bristolu. „Tam kawa po pięć złotych. Trudno”. – Wyrwiesz się? Najwyżej na kwadrans.

– Nie mogę. Pakuję się – odpowiedziała.

Paweł poczuł mdłości. Pewnie z głodu. Od rana zjadł tylko suchą bułkę z makiem, którą w ostatniej chwili kupił na dworcu w Bolegoszczy tuż przed odjazdem pociągu.

– Wyjeżdżasz? – zapytał.

– Taki mam plan. – Hanka znalazła wreszcie klucze. Otworzyła drzwi.

Krystyna Górską gestem ręki zaprosiła Pawła do środka.

– Nie dzisiaj, mam. Paweł za chwilę wraca do Bolegoszczy. – Matka Hanka uważnie spojrzała na chłopaka córki. Po raz pierwszy w historii ich znajomości. Z zainteresowaniem. Bez obojętności.

– Do Bolegoszczy? – upewniła się.

– Tak. Do Bolegoszczy. Idź już, mam. – Hanka wprowadziła matkę z klatki schodowej do przedpokoju. – Ty też już idź – zwróciła się do Pawła.

– Może tym razem przyjmiesz? – Podał dziewczynie kwiaty.

– Zaraz pomogę ci, mam. Zostaw zakupy. – Hanka wzięła bukiet od Pawła i przekazała go Krystynie. – Połóż w kuchni na

stole. – Popchnęła starą Górską w głąb mieszkania. Zamknęła drzwi. – Wszyscy teraz wyjeżdżają. Bliżej, dalej, ale wyjeżdżają. Włącznie z tobą – zwróciła się do Pawła. – Nawet się nie pożegnałeś.

– Ty dokąd?

– Jeszcze nie wiem.

Wciąż stali na korytarzu.

Paweł chciał skorzystać z zaproszenia Krystyny Górskiej. Chciał wejść do środka. Chciał dostać mocnej herbaty z cukrem. Chciał choćby pół kromki chleba z marmoladą. Chciał przeprosić, wytłumaczyć, wrócić. Chciał zrozumieć. Chciał schować się z Hanką na podłodze, pod abażurem w kolorze zjełczanego masła. Chciał dotknąć ciała dziewczyny. Chciał pogłaskać jej twarz, dłoń, pierś. Chciał zatrzymać w ramionach. Chciał – jeśli nie mógł tego, co wcześniej – pomóc w pakowaniu. A później chciał spotkać tego, który stłukł Hankę. Nie miał pojęcia, co by mu zrobił ani co powiedział. Pewnie nic.

Oboje posłyszeli sapanie. Sapanie wspinało się na drugie piętro.

– A jednak pan przyjechał. – Na piętrze pojawiła się pani Cwojda. Przyglądała się Hance i Pawłowi. Westchnęła. – Chociaż miał pan nie przyjeżdżać, to jednak proszę, wzięj i przyjechał. Pewnie dlatego, że nie zapomniał.

Paweł potwierdził.

– Ojciec nie kupił?

– Nie kupił. – Opolski rozłożył ręce.

– Czego nie kupił? – zapytała Hanka.

– Pan powtórzy, bo mi całkiem z głowy wypadło. A w sklepie ani razu nie trafiłam, chociaż pytałam. No. Niech pan przypomni – poprosiła pani Cwojda.

– Lobotomii.

– Ojciec nie kupił ci lobotomii? – powtórzyła Hanka. W kącikach jej ust na chwilę pojawił się uśmiech.

– Właśnie – ucieszyła się pani Cwojda. – Teraz ze wszystkim coraz większy kłopot. Ledwie znalazłam mięso do zarzutki. Na niedzielę będzie. I ciasto drożdżowe muszę nastawić... Ręce już nie te. Kręcą na deszcz bardziej niż na mróz. I...

Zrzedząca sąsiadka zniknęła w swoim mieszkaniu.

– Kiedy wyjeżdżacie? – zapytał Paweł.

– Nie twoja sprawa. Słuchaj, naprawdę idź już sobie.

Znowu szczerkanie psa. Wrzask dzieci. Pęknięty sufit nad Pawłem. Brudne schody pod Pawłem. Zrzęczenie pani Cwojdy zza drzwi.

– Przepraszam.

– Za co? – Hanka poprawiła temblak. Uwierał ją w szyję.

– Za wszystko.

– Zostaw mi swój adres. Wyślę ci kartkę z podróży. A teraz zjeżdżaj.

– Po to właśnie wyjeżdżałem do Warszawy. Właśnie po to. Na poprawkę. Oblałem. – Maja Kristalinskaja odpłynęła wraz z radiową falą.

– Co teraz? – zapytała Helena Opolska. – Pozwolą ci powtarzać rok?

– Nie wiem. Na razie zostanę u babci, później znajdę jakiś kąt do mieszkania. I pracę.

– Ale o czym ty mówisz? Przecież jesteś tutaj zameldowany. – Babka Helena wzięła z talerza kawałek ukruszonego herbatnika. Wzrok miała słaby, ale zęby własne i zdrowe. Wszystkie. Co do jednego. – Pusto tu od piętnastu lat. Mieszkaj, jak długo zechcesz.

– Po wojnie nigdy nikogo babci nie dokwaterowali?

– Nigdy.

– Niemożliwe. Wszystkim dawali lokatorów.

– Kiedy przychodzili ci z komisji, zdejmowałam opaskę i mówiłam, że każdy, kto tu mieszka, traci wzrok. Naprzód na jedno oko, później na drugie. Tłumaczyłam, jak to się dzieje: robi się dziura, w dziurze lęgnie się robactwo, które następnie...

– A tak naprawdę?

– A tak naprawdę... – Babka otarła usta. Okruchy z dłoni strząsnęła na podłogę. Wyjęła długą szpilkę z siwego koka. Po chwili na powrót wsunęła ją we włosy. – Tak naprawdę przyjaciel twojego ojca pomógł załatwić papiery, że lokal niezdatny do dokwaterunku.

– Edzio Łaniewski? To on taki ustawiony?

– A nie wiem który. Dawne dzieje. Pawełku, powinieneś wreszcie z ojcem porozmawiać. Z matką. Właśnie, z matką. Co z nią właściwie, że tydzień leżała w szpitalu?

Paweł wstał i podszedł do okna. Zauważył, że lśni i błyszczy. Żadnych zacieków. Żadnych smug. „Przedwielkanocna czystość”.

Świeża firana pachniała mydlinami, krochmalem i maglem.

– Kobiece sprawy – odpowiedział. – Niech babcia mamę zapyta.

– Ostatnio nie ma okazji.

– Więc tatę.

– Ucieka od odpowiedzi jak harcerz z pionierki obozowej.

Paweł wciąż wyglądał przez okno.

– Babciu, niech babcia opaskę założy.

– Zbrzydło patrzeć na inwalidkę?

– Ewa idzie.

– Jezus Maria! Zapomniałam, że dziś przynosi książki z biblioteki. Która godzina? Dziewiątej jeszcze nie ma. Powinna być po południu. Ale nie teraz! Nie rano!

– Niech się babcia pośpieszy. – Paweł znów zerknął przez okno. – Babcia naprawdę potrzebuje tej dziewczyny do pomocy?

– Ani trochę.

– To po co ona tutaj?

– Bo ta dziewczyna potrzebuje mnie – odpowiedziała Opolska, poprawiając atłasową opaskę na oku.

Zeszła na dół, stanęła przed wejściem i czekała.

Paweł ruszył za nią. Obserwował nadchodzącą dziewczynę tym razem przez okno w kuchni. Tak samo czyste jak to na górze.

„Ładna mała”, pomyślał. Proporcjonalna figura. Plecy proste. Nogi lepsze niż Hanki. Twarz dziecka. Uśmiech na ustach i w oczach. Biust, Paweł nie był pewien, jaki biust ukrywa pod luźnymi swetrami lub kuchennymi fartuchami.

Ewa Mazurkówna. Tak dokładna w pracach domowych, że babka odprawiła wdowę Łopocką. Tak dobra w kuchni, że sędzina przestała samodzielnie gotować rosół na niedzielę. „Tylko Ewie wychodzi czysty, klarowny”, wyjaśniła.

Paweł kilka razy zaczął dziewczynę, kiedy krzątała się po domu Heleny. Obserwował ją znad klawiatury pianina, znad książek albo z fotela, na którym do śmierci lubił siedzieć Jan Opolski.

– Uczysz się u Synów Pułku? – zapytał zaraz po tym, jak pojawił się u babki.

Potwierdziła.

– Pewnie znasz mojego brata.

Nie odpowiedziała.

– Wybierasz się na studia?

Wzruszyła ramionami.

„Głupia czy tylko udaje?” Paweł nie był pewien. Ilekroć próbował porozmawiać z Ewą, tylekroć spuszczała wzrok i patrzyła uparcie w zlew, garnek, kubeł na śmieci i na szmatę do podłogi.

Po ostatnim powrocie z Warszawy spotkał Mazurkównę tylko raz. W kuchni, kiedy smażyła racuchy. Zastanawiał się, co myśleć o małomówniej dziewczynie. Postanowił w ogóle nie myśleć.

Bardzo trapił się tym, że z Hanką koniec.

Ewa długo myślała, jak załatwić sprawę z Pawłem. Postanowiła, że zrobi to jeszcze dzisiaj przed rozmową z dyrektorką Maciejewską (głowiła się, w jakim celu Maciora wezwała ją do siebie) i przed czynem społecznym. Wiedziała, że prace w parku Przyjaźni potrwać do późnego popołudnia. To oznaczało, że znowu nie zobaczy Pawła. Że umknie jej tak, jak w ubiegłą sobotę. Że zniknie na cały dzień. I że Ewa nie powie mu tego, co chce powiedzieć. I że nie skończy tego, co tak naprawdę nigdy się nie zaczęło. To znaczy zaczęło się. W Ewie się zaczęło.

Dokładnie dwa tygodnie wcześniej.

Głośno i z pasją.

W sobotę dwudziestego trzeciego marca, dzień po swoich urodzinach, Ewa pobiegła do Heleny Opolskiej. Po drodze załatwiła sprawunki. Oddała do biblioteki książki sprzed tygodnia. Wypożyczyła tym razem tylko jedną. *Disneyland* Dygata. Wiedziała, że sędzina nie przepada za młodymi autorami, ale Dygata darzyła szacunkiem. Na półce w bawialni, pośród ulubionych lektur, stało *Jezioro Bodeńskie*.

Z zakupami w jednej ręce, z teczką i książkami w drugiej już z daleka postyszała dźwięki pianina. Nigdy nie widziała starej sędziny przy instrumencie. „Więc kto gra, jeśli nie ona?”

Mazurkówna przekroczyła próg domu bez pukania. W holu na podłodze położyła siatkę. Teczkę i książki rzuciła na ławę. Zastuchała się.

– Mój starszy wnuk – oznajmiła sędzina, która z palcem na ustach wyrosła przy Ewie. – Nastaw supę.

– To brat Andrzeja? – zapytała Ewa.

Helena skinęła głową.

– Student?

– Tego właśnie – westchnęła Helena – nie jestem pewna.

Miedzianowłosy siedział przy nieużywanym na co dzień pianinie i grał.

Ewa przemknęła przez hol i zniknęła w kuchni. Zabrała się do skubania kury. Zapaliła gaz. Osmaliła ptaka nad ogniem. Korpus podzieliła na połowę. Nastawiła wodę w dwóch garnkach. Ten większy na supę, ten mniejszy na potrawkę.

Sięgnęła do siatki z warzywami. Oskrobała pół selera, dwie pietruszki i cztery marchwie. Skaleczyła się podczas krojenia jarzyn. Z palcem w ustach, z marchwią w kieszeni fartucha, podkrađła się pod uchylone drzwi bawialni. Źeby zobaczyć, usłyszeć i poczuć.

Przyglądała się mężczyźnie. Jego rozbieganym rękoma, tańczącej nad klawiaturą pianina głowie.

Więc tak, myślała, mógłby wyglądać ojciec, gdyby nie złamało go kalectwo.

Tak mógłby grać.

Tak mógłby żyć.

Byłby artystą. Koncertującym artystą. Oklaskiwanym artystą. Szanowanym artystą, który wykształciłby Renatę na koloraturową primadonnę, a Ewę... Bez przesady z artystyczną edukacją. Ewie wystarczyłoby, że po każdym występie trzymałaby ojca za rękę z kompletem palców.

– Czajkowski – usłyszała Ewa. Podskoczyła. – Wielka *Sonata G-dur*. Dawno tego nie grałem.

Stał przed nią. Wyższy o pół głowy.

Ewa wciągnęła głęboko powietrze. Źadnego zapachu trumien, cmentarza, żałoby i płaczu. Doleciała ją za to woń rosołu.

– Muszę obrać marchew.

– Marchew – powtórzył starszy wnuk Heleny. – Biegnij.

Ewa uśmiechnęła się.

– Ładna jesteś – powiedział i dotknął jej po raz pierwszy. Musnął dłonią policzek i założył za ucho niesforny kosmyk włosów.

Tego samego wieczoru pojawiły się i zostały.

Pragnienia.

Uśpione pragnienia, o których Ewa tylko czytała. Chciała się ich pozbyć. Zaczęła na okrągło wkładać sweter z gryzącej wełny. Zazwyczaj odwracał uwagę od tego, co brudne. Pomagał, gdy przychodziły pokusy takie jak: łakomstwo (salceson i piernik!), zazdrość (o lepsze oceny koleżanek i o świętość Małej Teresy), a także próżność (buty na wysokim obcasie – chociaż raz w życiu przejść się w takich po Bolegoszczy).

W wełnianej włosiennicy Ewa powstrzymywała się również przed popełnianiem grzechów powszednich, takich jak: gniew (na Renatę), złość (na Renatę), złorzeczenie (Renacie), złośliwość (względem Renaty). Nawet Andrzej Opolski nie drażnił Ewki tak bardzo jak siostra (dzięki Bogu tylko czasami).

Ale od czasu przyjazdu Pawła Opolskiego sweter stał się bezużyteczny. Zamiast czynić w nim pokutę, Ewa wyobrażała sobie porutę. Zamiast drażnić plecy, ostra wełna drażniła sutki.

Przytargała z piwnicy drabinkę. Wlazła na nią i wpakowała źródło grzechu do schowka pod sufitem.

W postanowieniu poprawy wytrzymała trzy dni i trzy noce. Później znowu usłyszała głos Pawła: „Ładna jesteś”. Nigdy wcześniej nie usłyszała podobnego komplementu.

Przychodziła do Heleny Opolskiej codziennie, zaraz po szkole, lecz zamiast sprzątać i gotować, podglądała i podsłuchiwała Pawła. Z otwartymi oczami wyobrażała sobie to, co nigdy miało się nie wydarzyć: wspólne życie.

„Głupia ty”, ganiła samą siebie, gapiąc się na olejne lamperie w kuchni Heleny. Powinna zabrać się za ich szorowanie. Z bawialni tymczasem dobiegały ją dźwięki, nie miała pojęcia czego. Czegoś słodkiego i rzewnego. „Jakie wspólne życie? Ty lepiej Pana Boga błagaj o łaskę miłosierdzia i weź się wreszcie do roboty”.

W poszukiwaniu spokoju, ukojenia oraz ratunku uciekała na całe wieczory do parafialnego kościoła. Liczyła na pomoc Matki Boskiej. Na wsparcie całej armii Matek Boskich (Cierpliwie Słuchającej, Wniebowziętej, Niepokalanie Poczętej, Zwycięskiej, Anielskiej,

Miłosiernej, Królującej, Tronującej, Koronowanej, już Ukoronowanej, Pocieszającej, Wyzwalającej, Pośredniczącej, Matkującej, z Dzieciątkiem, bez Dzieciątka, a także Matek Boskich: ze szczygłem, z goździkiem, z jaskółką, z kądzielą, z różą, z długą szyją, z różańcem, w żałobie, w grocie, pod jodłami i w różanej altanie).

Matki Boskie zajmowały się jednak innymi sprawami, ponieważ Ewa nie poczuła ani spokoju, ani ukojenia, ani ratunku. Została sama z palcami Pawła wygrywającymi na jej ciele rozgrzewające gamy, podniecające pasaże i zmysłowe koncerty.

Paweł przychodził do Mazurkówny co noc. Od pierwszego spotkania. Od pierwszego spojrzenia. Od pierwszego dotknięcia.

– Pani Heleno, chcę zrezygnować z pracy – powiedziała kilka dni po powrocie Pawła do Bolegoszczy.

– Nie możesz.

– Muszę.

– Przecież zbierasz.

– Zbieram?

– Zbierasz. Na dwanaście wszystkiego – odrzekła stara sędzina, mrużąc podejrzliwie jedno oko.

– No tak... – szepnęła Ewa. – Na dwanaście wszystkiego.

I została.

Pomyślała, że widocznie Bóg tak chce. Że widocznie wystawia Ewę na pierwszą i ostatnią pokusę przed tym, co dla niej przeznaczył. Że widocznie nie ma innej drogi do świętości, jak przez słabe i śmiertelne ciało.

Ciało.

Paweł po raz drugi dotknął ciała Ewy trzeciego. Mazurkówna mieszała ciasto na racuchy z dodatkiem zeszłorocznych jabłek z działki Barbary Opolskiej.

Mężczyzna pojawił się w kuchni, stanął za dziewczyną i w milczeniu obserwował energiczne ruchy jej ręki.

Ewa wyczuła obecność Pawła. Zwilgotniała nie tylko pod pachami.

– Pani Helena bardzo się o pana martwiła w ostatnią sobotę – wyszeptwała. – Kiedy pan tak zniknął na cały dzień nie wiadomo gdzie. Bez śniadania, bez obiadu, bez słowa wyjaśnienia. Ona... Znacząca pana babka, ona płakała.

– Każdy ma swoje demony, Ewuniu, każdy. – Podeszedł do Ewy, otarł jej nos z mąki, palcem przesunął po ustach, po szyi, zatrzymał się tuż nad piersiami.

„Ewuniu?” Nikt nigdy nie zwracał się do Mazurkówny w ten sposób. I wodził palcem po jej twarzy jak po szybie ściętej mrozem. „Boże, dopomóż!”

Bóg nie dopomógł.

Ewa nie przestała myśleć o Pawle.

„Jak to się stało?”

„Co się stało, to się odstanie”.

I właśnie teraz, szóstego kwietnia, w sobotę czynu społecznego, po bezsennej ciemnej nocy Ewa zapragnęła wszystko wyjaśnić. Ostatecznie. Męczyła się od prawie dwóch tygodni jak straceniec. Nie o takie męki chodziło przecież w nocy ciemnej. Nie o cielesne cierpienia, tylko o duszne.

Stała w holu na Mickiewicza 68 w niemodnych sznurowanych trzewikach na płaskim obcasie. Nie patrzyła ani na Helenę, stojącą przy wejściu do swojej sypialni, ani na Pawła, który opierał się o framugę kuchennych drzwi.

– Ja tylko na chwilę – powiedziała, wsuwając pod czapkę jasną grzywę. – Śpieszę się. Chciałam jedynie uprzedzić, że dziś po południu, pani Heleno, nie zdążę przyjść na gotowanie. Szkolne porządki w parku Przyjaźni.

– Przymusowe roboty przy sowieckich bandytach? – prychnęła sędzina. – Świat się kończy. Oby szybciej.

– Takie polecenie dyrektorki – wyjaśniła Ewa.

– Obrzydliwa komunistka.

– Przepraszam – powiedziała Mazurkówna.

– Nie przepraszaj za czerwoną swołocz. – Helena poprawiła opaskę.

– Babciu, przecież babcia nie zna dyrektora. – Paweł dotknął ramienia Heleny.

– Że nie zadzwoniłam, przepraszam. Że nie uprzedziłam, że dzisiaj będzie inaczej. – Ewa podrapała się w szyję. Kwiecista chustka gryzła ją jak sumienie. – Nie miałam skąd.

– Trudno – odrzekła Opolska. – Paweł pójdzie ze mną na targ.

Paweł skinął głową. Patrzył na drapiącą się po szyi dziewczynę. Zauważył czerwone plamy pod brodą i drżące ręce na brodzie.

– Babciu, może odrobinę koniaczku? – zaproponował. – Ewunia chyba przemarzła.

– Dziękuję. Muszę prędko do szkoły. A później do parku. Alkoholu nie. – Mazurkówna zdecydowanie odmówiła.

– I słusznie! Ciebie, dzieciaku, trzeba rozgrzewać piotunem i gorczycą, a nie koniaczkiem.

– Ale my możemy kapkę, babciu, zanim na ten targ. Przyniesie babcia?

Helenie nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zniknęła w kuchni.

Ewa i Paweł usłyszeli, jak otwiera skrzypiącą szafkę pełną nalewek. Jak ustawia kieliszki na posrebrzanej tacy.

Paweł zamknął drzwi wejściowe, zza których dobiegł dźwięk młotka uderzającego w blachę. To wędrowny ostrzyciel noży sygnalizował swoje nadejście.

– Niech pan do mnie nie mówi „Ewuniu”. Nigdy więcej – wyszeptała Mazurkówna, korzystając z okazji.

Paweł zrobił krok do tyłu.

– I niech mnie pan zostawi – wyszeptała Ewa, korzystając z nieobecności sędziny. – Niech pan mnie nie dotyka.

– Słucham? – Paweł ze zdziwieniem patrzył na dziewczynę.

– Oczami niech pan mnie nie dotyka. I niech pan do mnie nie przychodzi w nocy.

– Ja?

– Tak.

– Przecież ja...

– Po prostu niech pan wyjedzie. Proszę. Niech pan zniknie. Tak jak w zeszłą sobotę. Pan nie potrzebuje swojej babki. Pan ma dokąd pójść. Ja nie mam. To znaczy mam, ale nie teraz. Teraz muszę jeszcze pracować. Rozumie pan?

– Nic a nic – odpowiedział Paweł.

Ewa jednak tego nie usłyszała.

Wybiegła z domu Heleny Opolskiej.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu Mickiewicza, Słowackiego i Norwida.

Nie mogła złapać tchu.

Tak.

Paweł miał rację.

Każdy ma swoje demony.

Każdy.

Ale nie każdy ma na własność całe piekło.

4.

„Samozagłada pacjenta to piekło”, myślał doktor Opolski, wchodząc na oddział dla kobiet chronicznie niebudzonych. W swojej szpitalnej praktyce ze śmiercią pacjentów musiał zmierzyć się dwa razy. Dwa razy w życiu nie wiedział, jak spojrzeć w oczy personelowi i reszcie chorych. Dwa razy w życiu myślał o zmianie specjalizacji. Dwa razy w życiu nie mógł sobie wybaczyć. Podobno do trzech razy sztuka. „Tylko nie to. Wszystko, tylko nie to”. Gdyby Mielnicka popełniła samobójstwo na jego oddziale, sam musiałby się powiesić. Na tym samym sznurze.

– Teraz śpi. – Głos Łucji Koszury zatrzymał ordynatora. Przełożona siedziała w niewielkim pomieszczeniu za szybą, z widokiem na cały korytarz i na wszystkich czternaście sal. – Doktor Złotoś zalecił podwójny surmontil domięśniowo.

– Pięćdziesiąt miligramów?

– I przeniesienie do izolatki.

– Pasy na ręce...

– ...i na nogi. Zgodnie z przepisami.

– Przepisy to nie wszystko.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – odpowiedziała zirytowana Koszura. – Wszystko.

– Prosiłem, żeby uważać na Mielnicką. – Ordynator zmienił ton głosu na łagodniejszy. – Osobiście siostrę prosiłem. Zaraz po przyjęciu na oddział. Uprzedzałem, że jest specjalną pacjentką – powiedział i natychmiast poczuł się jak idiota.

Przecież wiele razy obserwował, jak siostra Łucja rozmawia z chorymi kobietami. Jak zapina guziki przy ich szpitalnych pidżamach. Jak podciąga spodnie ze sparciałymi gumami w pasie. Jak głaszcze pacjentki po głowach. Jak łagodzi konflikty między wariatkami. Jak spaceruje z podopiecznymi w przyszpitalnym parku. Na pewno nie chciała skrzywdzić żony Ryszarda.

– Takich jak ona, specjalnych pacjentek, to ja mam tutaj jeszcze kilkadziesiąt. Nie zauważył pan doktor? Jak pan doktor chce, żeby niektóre z nich były lepsze, to niech założy prywatną praktykę. – Koszura pękła. Usiadła na krześle, które zatrzeszczało pod jej ciężarem.

Ona też poczuła się głupio. Uświadomiła sobie, że dokładnie od dwóch tygodni ordynator zachowuje się inaczej. Przestał słuchać i słyszeć. Pytał tylko o Mielnicką i tylko z nią się spotykał. Na inne pacjentki nie zwracał uwagi. Gdyby zwracał, zauważyłby, że Czerniga (jej łóżko stało tuż obok łóżka prokuratorowej) ma ostry atak nerwicy natręctw.

– Kiedy doszło do... do incydentu? – zapytał ordynator.

– Dziś rano.

– Na czym próbowała?

– Na pasku od szlafroka.

– Przecież nie wydajemy pacjentkom szlafroków z paskami!

– My nie.

– Więc?

– Nie wiem. To była całkiem nowa podomka. Z mocnej bawełny. Na metce zauważyłam MADE IN GERMANY. – Koszura zacytowała napis. Fonetycznie. – Materiał niezbyt ładny. We wzory, które z daleka wyglądają jak kozie bobki, a z bliska...

– Siostro.

– Pan doktor sam może obejrzeć. Skonfiskowałam pasek i całą resztę.

– Kto przeszkodził Mielnickiej?

– Raczej kto ją uratował. Czerniga.

– Teodora – dodał Opolski. – Mówi, że nazywa się Wielka Gra.

– Od tygodnia jest z nią gorzej. Raportowałam, ale był pan zajęty... innymi sprawami. Ten, kto podrzucił Mielnickiej podomkę, nie wiedział, że Czerniga lata do łazienki trzydzieści razy na godzinę. Ciągle szoruje ręce. Widział pan doktor skórę na jej rękach?

– Przecież pacjentki mają w sali kran i zlew.

– Czerniga twierdzi, że w siódemce woda płynie z zatrutego źródła. Brudzi ręce, nogi i... resztę ciała.

– Resztę ciała? To ona resztę ciała w zlewie...?

– Właśnie. Głowę, nogi... Po prostu resztę ciała. Pan rozumie. Więc Czerniga poleciała do łazienki, zaraz za Mielnicką, żeby wyszorować niech mnie pan nie pyta co. Usłyszała hałas za kotarą. Rozchyliła ją. A tam Mielnicka montuje sznur...

– Pasek – wtrącił Opolski.

– ...na prysznicu. Czerniga narobiła krzyku. Wszyscy się zbiegli. Doktor Złotoś. Sanitariusze. Reszta pacjentek buczała, krzyczała, klaskała, śmiała się. Normalnie jak w cyrku. Garbińska dostała ataku.

– Przecież ona nigdy nie miała żadnego ataku.

– No to już miała. Zaczęła wrzeszczeć, że teraz będą wieszać jak na Montelupich. Trzeba ją przenieść na drugie piętro. – Koszura zdjęła okulary. Opolski dopiero teraz zauważył, że przełożona ma wielkie zmęczone oczy i sińce pod nimi. „Za dużo pracuje”, pomyślał. – Ta Garbińska, pan doktor pamięta, uciekła z Krakowa do Bolegoszczy.

– Przed byłem mężem i przed głosami. Ale nie wiedziałem, że siedziała na Montelupich.

– Stała.

– Stała?

– Strażniczką była. Pan doktor wie, dlaczego ona wciąż nosi czapkę na głowie? Dlatego nosi czapkę. Ze strachu przed czapą. Wydierała się, że prysznicze od dawna ją ostrzegały, że będą egzekucje. Rzuciła się na jeden z nich i wyrwała ze ściany.

– Jezus Maria! – stęknął doktor Opolski.

– Wczoraj doktor Złotoś przyjął. Pawilon B. Drugie piętro. Sala siedemnaście. Student – pan uważa – psychiatrii.

– Co to ma do rzeczy?

– Ten student upiera się, że jest Jezusem Marią. Ani Jezusem, ani Marią, tylko Jezusem Marią. W jednej osobie. Słyszał pan o czymś takim?

– Po raz pierwszy. Ale to później. Wezwała siostra milicję do Mielnickiej?

– Tak.

– I?

– Milicjanci przyjechali i natychmiast odjechali.

– Nie rozumiem.

- Ja też.
- Zajrzę do Mielnickiej.
- W pana gabinecie.
- Od kiedy w moim gabinecie jest izolatka? – Opolski czuł, że za chwilę sięgnie po podwójną dawkę barbituranów.
- W pana gabinecie czeka od godziny. – Koszura podniosła zapałki z podłogi. Doktor Złotoś musiał zgubić podczas awantury z Mielnicką. Przeczytała napis na pudełku: W ZDROWE SADZONKI ZAOPATRZYSZ SIĘ W CENTRALI NASIENNEJ. – Minister Lucjan...
- Ludwik – doktor poprawił siostrę Łucję. Już wiedział, o kogo chodzi.
- Ludwik Troszkiewicz. Pan go zna?
- Osobiście? Nie.
- To już za chwilę pan pozna. Proszę ministrowi przekazać prośbę. Jaki to właściwie minister?
- Od kultury albo innej bzdury.
- Aha. Więc proszę mu przekazać, żeby uprzedzał o swoich przyjazdach. Nie tylko dlatego, że przed wizytą urzędowych gości trzeba wyszykować oddział. – Koszura podbiła dłonią krótkie, sztywne od lakieru włosy z widocznymi odrostami. – Ale też dlatego, że dokumentację na kontrolę muszę zawczasu przygotować. Nie w ostatniej chwili. W dyżurce pielęgniarek ktoś z Ministerstwa Kultury albo innej bzdury grzebie w papierach. To co?

To, co doktor Opolski powinien natychmiast zrobić, to wyrzucić Ludwika Troszkiewicza ze swojego gabinetu. I esbeka z pokoju pielęgniarek. Dokumentację medyczną obejmowała tajemnica. Potrzeba było nakazu prokuratora, żeby dostać ją do wglądu. Chyba że... Chyba że Mielnicki. Oczywiście, że Mielnicki. Przecież Tadeusz dobrze wiedział, że Ryszard rozliczy go z umowy, której warunki osobiście określił: albo Alicja zostanie przyjęta na oddział, albo drabina z doktorem na szczycie z hukiem zwali się na ziemię.

Ordynator włókł się przez oddział na pierwszym piętrze. Zajrzał przez wizjer do izolatki. Mielnicka spała. Noga za nogą ruszył w stronę schodów. Wolno wchodził na drugie piętro.

„Zrób z mojej żony warzywo”, przypomniał sobie słowa prokuratora.

„Może od razu pęczek włoszczyzny”, pomyślał ze złością Tadeusz. Ze złością na siebie. Że nie rozpoznał w Alicji samobójczych dyspozycji. „W wywiadzie i w obrazie klinicznym nic nie wskazywało na skłonność do autoagresji”.

Wcześniej, poza murami Niedorośli, widział Alicję kilka razy. Pierwszy raz na pogrzebie matki Ryszarda we wrześniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego. Tadeusz postanowił podziękować Jadwidze Mielnickiej, leżącej w skromnej trumnie, za najcieplejszą kamizelkę, jaką kiedykolwiek nosił. Matka Ryszarda uszyła mu ją jeszcze przed wojną z resztek starego kożucha. Na pogrzebie teściowej Alicja trzymała męża pod rękę. Miała na sobie czarny płaszcz, czarny kapelusz z woalką i czarne rękawiczki.

Po raz kolejny Tadeusz zobaczył Mielnicką na pochodzie pierwszomajowym w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym. Stała na trybunie honorowej kilka kroków za mężem. W płaszczu przeciwdeszczowym, w jedwabnej chustce zawiązanej z tyłu głowy, w ciemnych okularach i z parasolem w dłoni.

Po raz trzeci widział ją w parku Przyjaźni, w wiosenną niedzielę tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego albo sześćdziesiątego czwartego roku. Opolski wracał z Heleną z popołudniowego spaceru. Alicja siedziała sama na ławce. Tadeusz ledwie ją poznał. Chuda, blada, ostrzyżona krótko. Ręce trzymała na podołku, na jej kolanach leżała zamknięta książka, a przy nodze warował pies. Biały pudel. Chwilę później obok Alicji pojawił się Ryszard. Pogłaskał po łbie szalejącego z radości psa. Alicję szturchnął w ramię. Kazał jej wstać. Pójść za sobą. Psa puścił przed sobą bez smyczy. Mielnicka ruszyła za mężem jak na smyczy.

„Człowiek podobno zawsze ma jakiś wybór”, pomyślał Opolski. „O ile jest wolnym człowiekiem. Albo pudlem Mielnickiego. A ty jesteś bydlęciem”, powiedział do siebie. „I co powiesz ministrowi na górze? Żeś sprzedajna świnią?”

Tak. Opolski czuł się jak świnią. Czuł się jak trzoda świń w zafajdanym chlewie.

Zrobił to.

Przed dwoma tygodniami, dzień po rozmowie, którą przeprowadził z prokuratorem przy jego samochodzie, oczekiwał żony Mielnickiego w izbie przyjęć.

Nie wysłał po nią sanitarki. Z tego punktu umowy się nie wywiązał, to prawda. Sprawy jednak skomplikowały się niespodziewanie. Jedna karetka pojechała do Radzyna Podlaskiego po milicjanta, który zwariował podczas służby na komendzie i strzelał w okna, stoły oraz krzesła, wykrzykując obelgi na teściową, na miód gryczany i na mleczne pończochy. Druga sanitarka stała popsuta na parkingu.

Mielnicki wiedział o komplikacjach. Wszystko musiał wcześniej sprawdzić.

Opolski nie zdziwił się, kiedy punktualnie o dziesiątej na dziedziniec zakładu dla nerwowo i psychicznie chorych w Niedorośli wjechała czarna wołga. Alicję wprowadziło do szpitala dwóch mężczyzn. Nie, nie tych samych, którzy transportowali Tadeusza do Romantycznej.

Tuż za Alicją i za esbekami pojawił się sam prokurator. Niósł torbę z drobiazgami i kilka książek pod pachą. Twierdził, że dla żony. Tylko niezbędne rzeczy.

Alicja ledwie trzymała się na nogach.

Ordynator z daleka wyczuł woń alkoholu.

Nastąpiła rewia grzeczności.

„Panie ordynatorze”.

„Panie prokuratorze”.

„Tak, panie ordynatorze”.

„Nie, panie prokuratorze”.

Kiedy pielęgniarka wyszła z gabinetu, scenariusz się zmienił.

– Instrukcja Ministerstwa Zdrowia z dnia 10 XII 1952 – powiedział Opolski.

– Dziennik Urzędowy tego samego ministerstwa z dnia 15 XII 1952, nr 24, pozycja 240. Zaczynij mnie wreszcie, Tadeusz, doceniać.

Mielnicki rzucił na biurko Opolskiego plik papierów.

– Świadcstwo lekarskie stwierdzające potrzebę leczenia psychiatrycznego. Komplet podstawowych badań. Wiem, że bez tego nie mógłbyś jej przyjąć. Znam prawo. Najpierw zrób wariatce detoks – Mielnicki nachylił się w stronę Opolskiego – a później wszystko zgodnie z umową.

I wyszedł.

Tadeusz zerknął na świadectwo lekarskie. Przeczytał. Podejrzenie choroby alkoholowej, depresji ze skłonnością do *raptus melancholicus sine lucidum intervallum*. Akurat. Na dokumencie podpisał się „dr med. Janusz Noga”. Opolski nie znał konowała.

Wezwał sanitariuszy, którzy przewieźli Alicję na pierwsze piętro do siódemki.

Alicja obudziła się następnego dnia z bólem głowy i stawów. Nie wiedziała, gdzie jest. Nie pamiętała, jak znalazła się w szpitalu. Ani z jakiego powodu. Czerniga, która po śniadaniu szorowała ręce już po raz osiemnasty, poinformowała Mielnicką, że znajduje się w krainie zatrutej wody (dzisiaj trochę lepsza) i gadających pryszniców (ostatnio ciszej, tak twierdzi Garbińska). Alicja pojęła.

Wstała z łóżka. Zachwiała się. Czerniga ją przytrzymała. „Do kibla?”, zapytała. Alicja skinęła głową. „Sama sobie poradzę”, podziękowała Czernidze. Z trudem doszła do łazienki. Po chwili znowu leżała pod kołdrą, odwrócona plecami do pozostałych pacjentek.

Po południu dowlokła się pod dyżurkę pielęgniarek. Poprosiła Koszurę, aby zadzwoniła do Mielnickiego. Rozmyśliła się po chwili. Następnie zażądała połączenia z ojcem. Również zrezygnowała.

Wróciła do łóżka i schowała się pod kołdrą. Na pytanie Czernigi, czy idzie do kaplicy, bo to przecież niedziela (tylko niech najpierw umyje ręce, nogi i to, co pomiędzy nogami, o ile to ma, na przykład Czerniga nie ma, więc nie musi), Alicja odrzekła, że jest za bardzo zmęczona, że chce zasnąć i obudzić się dwadzieścia dwa lata wcześniej.

– Z nikim nie rozmawia. Nie chce przyjmować leków – Koszura osobiście poinformowała Opolskiego, który w poniedziałek, dwa dni po przyjęciu Mielnickiej na oddział, pojawił się w zakładzie godzinę przed rozpoczęciem dyżuru. Zaaferowana Łucja pofatygowała się na drugie piętro, chociaż aparat telefoniczny ordynatora już działał. – Nie będzie też jeść, pić...

– ...ani się pocić – dodał ordynator. – Idealna pacjentka.

Koszura wyczuła irytację w głosie ordynatora.

– Jeszcze jedno. Portier Kanarek pytał o swój płaszcz. Pan coś wie? – zapytała.

Wiedział.

Powinien odebrać go z pralni.

Tylko z której?

Zgubił kwit.

To później.

Teraz musiał pilnie zająć się Mielnicką.

Zszedł na dół.

Pomógł Alicji wstać z łóżka i wejść na drugie piętro. Nie pytał, czy ma na to siłę lub ochotę. Na górze usadził ją w prywatnym fotelu, starym kraciatym uszaku, w którym sam rozsiadał się tylko po dyżurach i tylko wtedy, kiedy wiedział, że nikt nie przeszkodzi mu w spokojnym wypaleniu fajki.

Opolski zauważył, że Alicja drży.

Rozłożył pled na jej nogach. Na plecy zarzucił kamizelkę z kożucha (tę samą, którą uszyła mu matka Ryszarda). Po chwili z plikiem papierów w rękach stanął pod oknem. Oparł się o parapet. Poczuł, jak ostro zakończony liść draceny łaskocze go po plecach.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się prokuratorowej bez pośpiechu i z bliska. Niewysoka, krótko ostrzyżona, zupełnie siwa. Zimne, nieufne oczy. Lewe w kolorze zielonozłotym. Prawe w kolorze złotym. Szczupłe dłonie. Od nadgarstka do połowy przedramienia chude ręce. „Niedożywiona?” Trudno powiedzieć. Szpitalna pidżama, która nie dodałaby uroku nawet Brigitte Bardot, szczelnie ukrywała ciało Alicji. „Trafiła jej się góra ze wszystkimi guzikami. Szczęściara”.

Po raz kolejny zajrzał w kartę przyjęcia do zakładu. Rocznik dwudziesty szósty. Kilka miesięcy starsza od Barbary.

Rzucił okiem na wyniki ogólne – mocz, EKG, EEG, RTG w normie. Badania krwi wykazywały lekką anemię.

„I co ja mam z tobą, dziewczyno, zrobić?”, pomyślał doktor Opolski.

Usiadł za biurkiem.

Sięgnął po formularze oraz pióro. Przygotował bibułę na wypadek kleksów. Nie tolerował ich w dokumentacji. Zadał Alicji zestaw podstawowych pytań.

Na żadne nie odpowiedziała.

– Proszę mnie posłuchać. – Ordynator wstał i poprawił kamizelkę na plecach pacjentki. – Jestem pani... lekarzem prowadzącym. Pomogę pani. Obiecuję.

– Obiecuje pan? – odezwała się wreszcie. Głos zupełnie nie pasował do jej wątego ciała. Matowy alt. Lekko zachrypnięty.

Kiwnął głową.

– Obiecuje pan, że nie zrobi ze mnie warzywa?

Opolski poczuł chłód na karku i ból w okolicach nerek.

– I że mnie pan stąd nie wypuści?

Doktor milczał.

– Pan wie – zaczęła Alicja – że mój ojciec...

– Pan wie, że jestem ojcem Alicji Mielnickiej! – usłyszał Tadeusz, kiedy tylko minął tajniaka stojącego przed jego gabinetem.

Minister Ludwik Troszkiewicz (poseł aktualnej kadencji) pojawił się w szpitalu szóstego kwietnia przed południem, dokładnie dwa tygodnie po przyjęciu Alicji na oddział. „Prokurator dotrzymuje słowa jak górnicy dostaw węgla”, pomyślał Tadeusz, zamykając drzwi.

– Niech pan siada – wydał rozkaz Troszkiewicz.

Opolski rozejrzył się po pomieszczeniu, które doskonale znał. „Z tej perspektywy wygląda inaczej”.

Prosty regał z płyty wiórowej mieścił rząd medycznych podręczników i szpaler systematycznie prenumerowanego dwumiesięcznika dla neurologów i psychiatrów. Zauważył, że zrobił się w nich bałagan. „Powinienem uporządkować chronologicznie”.

Spostrzegł, że okno jest brudne, a uschnięta dracena nadaje się do wyrzucenia. Ściany, niegdyś białe, w jednym miejscu pożółkły, w innym poszarzały. Nad wersalką nakrytą kocem w kratę wisiała przekrzywiona reprodukcja *Babiego lata* Chełmońskiego.

– Będzie pan tak stał? – zniecierpliwił się Troszkiewicz.

A co miał zrobić?

Minister zajął za biurkiem miejsce Opolskiego. Ręce opierał na lasce ze złotą rączką w kształcie głowy smoka. Nie, psa. Rozparł się na obrotowym krześle obitym rudym skajem. To krzesło Tadeusz kupił w Berlinie Wschodnim podczas konferencji dla psychiatrów z bloku wschodniego. W przerwie między jednym a drugim referatem wyszedł do marketu po suszarkę (Barbara prosiła), a wrócił z krzesłem (bez suszarki).

Opolski usiadł naprzeciwko Troszkiewicza na drewnianym zydelku dla pacjentów. Poczuł, że taboret jest twardy, niewygodny

i podejrzenie skrzypi.

„Wciąż jestem ordynatorem”, pomyślał, próbując zachować godność i równowagę na chybottliwym siedzisku.

– Więc jest pan ojcem swojej córki – odezwał się wreszcie Opolski.

– Żądam dokładnych wyjaśnień.

– Dokumentacja została na dole.

– Po co ona panu? Na pewno wszystko pan wie. Dokumentacja to wymówka. – Troszkiewicz stuknął laską o podłogę. – Proszę mówić.

– Pańska córka przechodzi chwilowe załamanie nerwowe.

Troszkiewicz wyprostował się.

– Spowodowane?

– Nie znam przyczyny. Leczę skutek.

– Ona wciąż milczy, prawda? – Troszkiewicz poruszył się.

Opolski skinął głową.

– Proszę mi wszystko objaśnić. Martwię się o córkę.

– Objaśnić? – Tadeusz zachybotął się na stołku. – Pod jednym warunkiem.

– Pan nie będzie mi stawiał warunków! Pan wie, kim ja jestem?!

– Że zamienimy się miejscami.

– Pan kpi?

– Ani trochę.

– Więc co za różnica, gdzie pan siedzi? Kapitanie Rabczko! – krzyknął Troszkiewicz.

– Wszystko dla dobra Alicji. Pana Alusi.

Kapitan Rabczko wsunął głowę przez uchylone drzwi. Ukazała się stercząca szczecina i błękitne oczy.

– Sprawdźcie, czy moja córka się obudziła! – wydał polecenie Troszkiewicz.

Esbek skinął głową i zniknął.

– Niech będzie. – Troszkiewicz, sapiąc i stękając, podniósł się z obrotowca. – Gdzie mam usiąść?

– Tutaj.

Troszkiewicz usadowił się w uszaku.

Opolski odzyskał pewność siebie. Podjechał na swoim krześle do ministra. Wyjął notes. Ołówek.

– Czy zdarzały się w państwa rodzinie przypadki chorób psychicznych?

Troszkiewicz zapowietrzył się.

– W mojej rodzinie?!

– Panie ministrze, ktoś musi mi wreszcie powiedzieć.

– Mój zięć przecież mógł...

– Pana zięć? Czy pana zięć zna wszystkie rodzinne tajemnice? – Opolski patrzył na ministra.

– To pomoże Alusi? – Troszkiewicz splatał i rozplatał palce. Na jego czole pojawiły się krople potu. – Niech pan włączy radio. Tylko głośno.

Opolski uruchomił stary odbiornik i natychmiast wyłączył, kiedy po szumach i trzaskach zabrzmiał sygnał Radia Wolna Europa.

– Innych stacji nie odbiera? – zapytał Troszkiewicz. Z politowaniem patrzył na Opolskiego. – Tylko wywrotową propagandę?

Tadeusz wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Kran. W takim razie niech pan odkręci kran. Jak najmocniej – zdecydował minister.

Rozległ się szum wody.

Troszkiewicz skinął palcem na Opolskiego.

– Podejdź pan tu bliżej. Bliżej, jeszcze bliżej.

Opolski niemal przyklęknął przy ministrze, ten zaś począł szeptać mu prosto do ucha.

– Moja była żona... Niech pan odłoży papier i pióro. Żadnych notatek.

– Pana była żona... – Doktor wykonał polecenie ministra.

– Tak, Danuta. Rok po naszym rozwodzie popełniła samobójstwo. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

– Z powodu?

– Wie pan, nie zdążyłem zapytać. – Troszkiewicz się obruszył. – Jakbym znał przyczyny, tobym...

– Nie chodzi o powody śmierci, ale rozstania.

– To takie przyziemne. Ja chciałem działać w partii, ona mówiła o wyjeździe do Ameryki. Ja byłem Polakiem, ona Żydówką. Ja byłem biedny, ona bogata. Zbyt wiele nas dzieliło. Nic nas nie łączyło.

Oprócz pierwszego zauroczenia i jego skutku: Alusi. Ona jest taka podobna do matki.

– Córka została z matką?

– Do końca. Dopóki... rozumie pan, dopóki Danuta nie zrobiła tego.

– W jaki sposób?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Ma.

– Pigułki. Łyknęła pigułki. Samobójstwo to chyba nie choroba psychiczna? Alusia, mam nadzieję, nie odziedziczyła...

– Czy to pańska córka znalazła ciało matki?

Troszkiewicz potwierdził. Na jego okrągłej twarzy pojawiły się kolejne krople potu. Wyjął z kieszeni marynarki pomiętą chusteczkę w kratę.

– Jak po tym zdarzeniu zachowywała się Alicja?

– Przez blisko dwa lata z nikim nie rozmawiała. Zabrałem ją do siebie. Z Łodzi do Warszawy. Późną jesienią trzydziestego dziewiątego uciekliśmy do Sandomierza. Nikt z jej łódzkiej rodziny nie ocalał.

– Czy Alicja kiedykolwiek wspominała o śmierci matki? Rozmawiała o tym z panem albo z kimś z rodziny?

– Nigdy. Wie pan, zawsze była piekielnie zdolna. Najlepsza uczennica. Najlepsza studentka. Bystra tak samo jak matka, tak samo piękna, te oczy i głos, i tak samo skryta.

– Czy Alicja kiedykolwiek wspominała, że chce odebrać sobie...?

– Przed ślubem nigdy. W pięćdziesiątym pierwszym wyszła za mąż. Za Mielnickiego. Młody, też zdolny, przystojny. Zakochała się w nim. On aspirujący prokurator. Ona magistrantka na anglistyce, u profesora Helsztyńskiego. Pan wie, że profesor chciał zostawić ją na uczelni?

– Dlaczego tego nie zrobił?

– Ryszard postanowił wrócić w swoje strony. W połowie pięćdziesiątego drugiego.

– Pomógł mu pan w tym?

– Trochę. – Troszkiewicz potarł intensywnie nos. Kichnął. – Załatwiłem mu przydział do Bolegoszczy. Alusia wyjechała z nim.

- Pracowała po wyjeździe z Warszawy?
 - Żona prokuratora, która na prowincji uczy w szkole angielskiego?
 - Dzieci?
 - Chyba nie mogła zająć w ciążę, chociaż z tego, co wiem, od medycznej strony wszystko było w porządku.
 - A kontakty? Utrzymywała z kimś tutaj, w Bolegoszczy, bliższe kontakty? Jakies przyjaciółki? Koleżanki?
 - O kontakty niech pan Ryszarda pyta. On jest specjalistą.
 - Fakt – potwierdził Opolski.
 - Zdawała się szczęśliwa. Miała wszystko: mieszkanie, pieniądze, francuskie wina, szwajcarskie sery, szwarcwaldzkie szynki i rosyjski kawior. Czego jej brakowało?
- Opolski spojrzał spode łba na Troszkiewicza.
- Skłonność do alkoholu? – zapytał tylko.
 - Alusi? Nigdy nie widziałem, żeby piła. Przy jej matce leżała, wie pan... Danuta popiła pigułki jedną ze słodkich wódek Baczewskiego. Po tamtym incydencie moja córka nigdy nie spróbowała nawet domowej nalewki. Wie pan, chciałbym zabrać Alusię do Warszawy. W szpitalu w Tworkach mam znajomości. Zapewnię jej...
 - Nie teraz.
 - Tu próbowała się zabić.
 - I nie zrobiła tego. To nie jest duży szpital, ale mamy w nim naprawdę dobrą opiekę. – Opolski podziękował w duchu za nerwicę Teodory Czernigi. – Najlepszą.
 - Tak pan sądzi? – Troszkiewicz się zamyślił. Znowu przetarł czoło chustką. – No nie wiem... Proszę mnie teraz zaprowadzić do Alusi.
- Opolski podał rękę ministrowi. Dłoń Troszkiewicza była tłusta i śluzowata.
- Dziękuję. Niech pan zakręci kran i prowadzi – zarządził ojciec Alicji.
- Ordynator ruszył przodem.
- Proszę za mną – powiedział. – Musimy zejść piętro niżej.

Troszkiewicz rozejrzył się niepewnie. Ścisnął laskę w dłoni. Z wariatkami nigdy nic nie wiadomo. Jedna siedziała na podłodze i liczyła palce u stóp. „Tysiąc dwieście trzydziesty szósty. Tysiąc dwieście trzydziesty piąty. Tysiąc dwieście trzydziesty czwarty”. Inna stała zupełnie nieruchomo z wysoko zadartą głową, z szeroko rozłożonymi rękoma i z otwartymi ustami.

Opolski odwrócił się.

– Za mną. Śmiało.

– Karoca ze słoików. Jechałeś karocą ze słoików? Karoca. Proca. Kloca w koca – ordynator i minister usłyszeli obok siebie. – Jechałeś. Zdychałeś. Duchąłeś. Nie wierzę w ogórki. Wierzę w zwierzę. Ogórki. Kiszzone ogórki. Ogórki. Ciągnął. Dygnął. Frygnął. Karoca ze słoików. Jechałeś? Jechałeś.

– Kopciuszek? – zapytał Opolski.

Kryśka zwana Kopciuszką wyjrzała na moment z wykusza i znowu przygłębła do ściany. Kiwała się. Do tyłu. Do przodu. Do tyłu. Do przodu. Co trzecie kiwnięcie uderzała potylicą w ścianę.

– Jechałeś?

Troszkiewicz stanął w miejscu. Patrzył to na wariatkę, to na doktora.

– Jechałem – odrzekł Opolski.

– To wiesz. – Kopciuszek znowu walnęła głową w ścianę. – Wiesz, prawda?

– Wiem. – „Zwiększyć dawkę haloperidolu”, pomyślał ordynator.

– Wiesz. Wiesz. Zbiesz. Jedziesz. Karoca ze słoików. Smród. Głód. Brud. Czujesz. Jedziesz. Dokąd? Dokąd jedziesz?

– Na bal – odrzekł doktor.

Troszkiewicz nie mógł uwierzyć. „Wariat leczy wariatów?”

Kopciuszek podeszła do ministra.

– Na bal. Wal bal. Bal dla par. Wal w twarz. Parę masz? – zapytała Troszkiewiczą. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Chodźmy stąd natychmiast... – Minister stuknął laską o podłogę.

Opolski powstrzymał Troszkiewiczą przed kolejnym stuknięciem.

– Proszę jej odpowiedzieć – szepnął.

Minister zawahał się.

– Parę? Mam... parę... Tak sędę – odpowiedział.

– Ty kto? – Kopciuszek zbliżyła twarz do twarzy Troszkiewicza. – Skrzynia? Dynia?

Troszkiewicz zgłupiał. Ministerialne stanowisko, władza, możliwości, kompetencje, wpływy i znajomości, logika oraz argumenty, wszystko to nagle straciło znaczenie.

– Kto ty? – powtórzyła Kopciuszek.

Troszkiewicz spojrział z rozpaczą na doktora.

– Matka chrzestna – odpowiedział Opolski.

– Wróżeczka. Laseczka. Czaróweczka. – Kopciuszek dotknęła laski ministra. – Karoca ze słoików. Mam guza na wątrobie. Jadę do piekła. Na bal bez par.

– Pojedziesz, pojedziesz, ale nie teraz. – Opolski łagodnie odsunął pacjentkę od Troszkiewicza. Znał ją dobrze. Łagodna postać schizofrenii urojeniowej. Leżała na oddziale dla pobudzonych, gdyż u niepobudzonych nie było wolnych miejsc. – Teraz, Krysiu, musisz wybrać mak z popiołu. Mak z popiołu. Rozumiesz?

– Mak z popiołu pospołu. Pospołu do rosółu. Zgubiłam oczy. Mak na wspak. W oczy wskoczy.

– A później groch.

– Jedziesz?

– Jadę. Ale wrócę – obiecał Opolski.

Ustawił na powrót Kopciuszkę w wykuszu w pozycji wyjściowej.

Krysiu znowu poczęła się kiwać i co trzeci raz uderzać głową w ścianę.

– Jezus Maria! – Troszkiewicz nie wytrzymał. – Jezus Maria!

– W pawilonie obok. Doktor Złotoś przyjął go wczoraj do szpitala – zakpił Opolski.

– Słucham? – Troszkiewicz oddychał ciężko.

– Panie ministrze! – Z daleka rozległ się głos kapitana Rabczki. – Pana córka już się obudziła. Prosi do siebie niezbędnie pana...

– Już idę... – Troszkiewicz ruszył w stronę esbeka.

– ...prosi do siebie niezbędnie doktora Opolskiego.

5.

„Obaj Opolscy tacy sami. Myślą tylko o jednym”, stwierdziła Ewa, wbiegając do szkoły. „Ja też nie lepsza. Naprawdę zażądałam od Pawła, by wyprowadził się od własnej babki? Jestem idiotką. Skończoną kretynką”.

Z łazienki wytoczyła się Krowa. Wycierała ręce o szmizjerkę. Wyglądała w niej jak serdel w skarpecie.

– Dyrektorka czeka na ciebie. Już z dziesięć minut będzie. Kuśtyka po gabinecie w tę i z powrotem. Ty, Mazurkówna, lepiej dzisiaj nie denerwuj Maciejewskiej – powiedziała Krowa i ruszyła w stronę pokoju nauczycielskiego. Zadek ruszył za nią.

Chwilę później Ewa, po krótkich przeprosinach, siedziała przed dyrektorką, którą jak zwykle spowijały kłęby papierosowego dymu.

– Podobno przestałaś chodzić na biologię. – Maciejewska raczej stwierdziła, niż zapytała. – Znikasz z lekcji w poniedziałki i w soboty.

Mazurkówna zacisnęła usta. Przecież wszystko zaliczyła. Oba sprawdziany i jedną odpowiedź ustną. Wytłumaczyła się Lamentównie kłopotami rodzinnymi.

– Masz sporo nieobecności.

– Inni mają więcej, pani dyrektor.

– Twoje są z dwóch ostatnich tygodni. Patrz mi w oczy, Mazurkówna, nie w okno. Zaczęłaś wagarować?

– Nie, pani dyrektor.

– Wydarzyło się coś, o czym nie wiem?

– Nie, nic. To znaczy dużo, ale nie w moim życiu.

– Dlaczego przestałaś chodzić na biologię?

– Za każdym razem się zwalniałam.

– Profesor Lament twierdzi co innego.

Ewa ścisnęła w rękach materiał spódnicy. „Mści się. Pewnie już wie, że to ja wtedy ją w tej toalecie podglądałam”.

– Tłumaczyłam profesor Lament, że mój ojciec gorzej się czuje, że muszę o niego zadbać.

– Słyszałaś o Wiesławie Halisiaku?

– Nie. – Mazurkówna zmarszczyła brwi, jakby próbowała przypomnieć sobie, kim jest Wiesław Halisiak. – Mam nadzieję, że jeszcze o nim usłyszę.

– To ojciec jednego z naszych najzdolniejszych absolwentów. Zmarł cztery dni temu. Wieczorem położył się spać, a rano nie wstał. Piękna śmierć, prawda? Pogrzeb odbył się wczoraj. Widziałam twojego ojca na cmentarzu. W znakomitym zdrowiu. Machał łopatą jak dwudziestolatek. Dlaczego kłamiesz?

Ewa zaczerwieniła się ze wstydu.

– Odpowiedz – zażądała dyrektorka.

– Przepraszam.

– Za co? Za to, że kłamiesz, czy za to, że wagarujesz?

– Obiecuję, że...

– Nie przepraszaj i nie obiecuj. Powiedz prawdę. Kto jak kto, ale ty akurat powinnaś wiedzieć, jak ważna jest w życiu człowieka.

Maciejewska zdusiła niedopałek w popielniczce i natychmiast sięgnęła po następnego papierosa.

– Popatrz.

Przesunęła w stronę Ewy pudełko zapalek.

Mazurkówna przeczytała. UPRAWIAJ SPORT. Na bladożółtym tle widniała pływaczka. Z szeroko rozłożonymi rękoma szykowała się do skoku z trampoliny.

– Ćwiczysz coś? – zapytała Maciejewska. Strzepnęła popiół na podłogę. – Uprawiasz jakiś sport?

– Tak. Nie. Nie wiem. To znaczy tyle, co na wychowaniu fizycznym – odpowiedziała Ewa. – Normalnie. Biegi. Przewroty. Trochę siatkówki.

– A wyczynowo?

– Raczej nie.

– Doszło do mnie, że raczej tak. I co ty na to?

Ewa gapiała się na paczkę zapalek. Wzięła ją do ręki. Otworzyła. W środku nie znalazła ani odpowiedzi, ani podpowiedzi.

– Zastanów się. – Dyrektorka zaciągnęła się papierosem.

Mazurkówna zawsze traciła pewność przy Maciejewskiej. Teraz straciła również wiarygodność.

– Dotarło do mnie, że sportowo klęczysz w farze przed tym całym tabernakulum. Z olimpijskim – to dobre słowo – z olimpijskim spokojem zaliczasz godzinę lub półtorej na kolanach przed czerwonym światełkiem. Powiedz mi, co oznacza czerwone światełko?

– Obecność Jezu...

– STOP. Czerwone światełko oznacza STOP. Nic więcej. Gdyby miało oznaczać obecność, świeciłoby się zielone.

„Ona naprawdę nienawidzi Kościoła”, pomyślała Ewa.

– Rozumiesz? – zapytała dyrektorka.

Ewa skinęła głową. Rozumiała. Aż za dobrze. Ktoś ją obserwował, ktoś na nią donosił. Nie od wczoraj, nie od przedwczoraj. „Andrzej!”, jęknęła. „Pewnie babka mu wszystko wyklepała”.

– Na mszy też jesteś codziennie.

– Czasem nawet dwa razy dziennie – odpowiedziała Mazurkówna. „Pora dać świadectwo prawdzie i wybaczyć”, przemknęło jej przez głowę.

Dyrektor Maciejewska zmrużyła oczy.

– Jesteś jedną z najlepszych uczennic w szkole. Przed tobą są tylko Głowacki, Tomczyk i Korzeniewska. Co zamierzasz po maturze?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Egzamin dojrzałości za kilka tygodni, a ty nie wiesz, na jaki kierunek składasz papiery?

– Nie wiem.

– Bo składasz, tak?

Ewa wygładzała fałdy na spódnicy.

– Z twoimi możliwościami – mówiła dalej Maciejewska – możesz skończyć prawo, architekturę, a nawet – podniosła wskazujący palec do góry – a nawet filologię klasyczną.

„*Laudate omnes gentes, laudate Dominum!*”, pomyślała Mazurkówna.

– W Bolegoszczy otwierają w październiku Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Słyszałaś? Może nie będziesz musiała wyjeżdżać z domu, żeby się dalej uczyć.

Ewa pokręciła głową.

– Już jestem spóźniona na czyn społeczny, pani dyrektor. – Zdobyła się wreszcie na odwagę. – Czy mogłabym...?

– Powiedziałaś rodzicom o swoich planach na przyszłość? A raczej o tym, że wciąż ich nie masz?

– Matka nie żyje, a ojciec i siostra...

– Więc ojcu i siostrze.

– Nie. Nie powiedziałam.

– Uważasz, że nie należy im się informacja? Wiesz, Mazurkówna? Mam wrażenie, że gardzisz ludźmi. Co mówi o pogardzie bliźniego twoje czerwone światełko?

– Mówi STOP – wyszeptała Ewa.

Maciejewska uśmiechnęła się pod nosem.

Mazurkówna czuła, że płonie. Ściągnęła czapkę z głowy.

– To nie jest tak, jak pani myśli, naprawdę.

– A jak?

– Postanowiłam, że napiszę do rodziny już z... – Ewa zawiesiła się w połowie zdania.

„Komuś przecież muszę wreszcie powiedzieć. Komuś muszę wyznać, co zamierzam. Ktoś musi wiedzieć, jakby co”, myślała nerwowo Mazurkówna. Ani ojciec, ani Renata nie zapytali nawet, co zamierza zrobić ze swoim życiem. Matka też się nie przyśniła Ewie. Zresztą nigdy jej się nie śniła. „Pewnie przyjdzie do ciebie, jak będziesz umierać”, Renata kiedyś nastraszyła siostrę. „Kiedy ją zobaczysz, to będzie znaczyło, że nie żyjesz”.

– Postanowiłam, że napiszę do rodziny z... klasztoru – wydukała Ewa.

– Z klasztoru?

– Tak.

– Twój ojciec wie o tym, że idziesz do...

– Jakby wiedział, toby mu z wrażenia odrosły brakujące palce.

Dyrektor Maciejewska zamilkła. Sięgnęła po sporta. Schowała go z powrotem do paczki. Sięgnęła po zapałki. Rzuciła je na biurko. Przekuśtykała po gabinecie od drzwi do okna, od okna do drzwi. Usiadła w końcu przed Ewą.

– Idziesz do zakonu? – upewniła się. – Do jakiego zakonu?

– Sióstr ubożanek.

- Co to za towarzystwo?
- Zgromadzenie Sióstr Misjonarek od Świętego Ubóstwa.
- Daleko stąd?
- Dziesięć minut pociągiem podmiejskim od centrum.
- Od centrum Bolegoszczy?
- Białegostoku.

Dyrektorka schowała głowę w dłoniach.

- Ty to sobie przemyślałaś?
- Przemodliłam. Wszystko już mam. Prawie całą wyprawkę. Pracowałam, żeby kupić dwanaście wszystkiego.

– Czyli?

– Dwanaście zmian pościeli, dwanaście zmian bielizny, dwanaście ręczników...

– Nie żal ci?

– Czego?

– Nie wiem. Życia.

Ewa zamyśliła się. Dotarło do niej, że już nigdy nie skosztuje lodów śmietankowych z cukierni Fantazja (złoty dwadzieścia za gałkę), że już nigdy nie usłyszy i nie zobaczy Boli.

– Nie żal mi. Ani trochę – odpowiedziała.

Dyrektor Maciejewska odkryła twarz. Dopiero teraz sięgnęła po papierosa. „Każdy w coś wierzy”, pomyślała. „I każdy wcześniej lub później zaczyna wątpić”. Spojrzała na puste miejsce po wizerunku towarzysza Wiesława.

Za drzwiami zabrzmiał dzwonek na przerwę.

Wyprostowana Ewa wciąż siedziała przed dyrektorką.

– Czekasz na moje błogosławieństwo? – zapytała Maciejewska.

– Na obietnicę. Że nikomu pani nie powie.

Mazurkówna patrzyła na dyrektorkę. Ta zaś wypuściła w jej stronę kłąb papierosowego dymu.

W milczeniu.

Andrzej wskoczył do pierwszego lepszego autobusu. Nie wiedział, czy jedzie w stronę miasta, czy w tę drugą stronę, podmiejską. Bez znaczenia. Wędkarz miał rację. Był cipa, czuł się jak cipa i śmierdział

jak cipa. Miał na rękach śmierć całej rodziny. „Żebyś ty jeszcze był cipa”, powiedział do siebie. „Ale nie jesteś. Ty jesteś morderca”.

Zajął siedzenie pod oknem. Ktoś zaklął na Andrzeja. Ktoś go szturchnął. Ktoś krzyknął, że młodym zawsze mało miejsca. Niewychowane to takie rośliny.

Opolski położył na kolanach plecak Luby Stanisławskiej. Oparł o niego głowę. Zamknął oczy. Pod powiekami natychmiast pojawiły się obrazy: Włodek w szaliku, Luba przy krosnach, Fabian ocierający usta po pierożkach. I woda. Wszędzie woda. Poczucił, że się dusi, nie, że raczej się topi, że nie może złapać tchu, że znika w kipieli.

– Końcowy! Wysiadać! – krzyknął kierowca. Stał nad Andrzejem i gapił się na plecak. – Za bagaż skasowałeś bilet? – zapytał.

– To nie bagaż, to spadek – odpowiedział Andrzej i wybiegł z autobusu. Usłyszał za sobą wiązankę jobów.

Pędził przed siebie.

Zadyszał się.

Zatrzymał się.

Rozejrzał się.

Kuliczki?

Nie. Nie Kuliczki. Kuliczki poznałyby przecież. Na Kuliczkach, po tej stronie Boli, Opolscy dostali kiedyś działkę pracowniczą, którą ojciec odsprzedał wujowi Edziowi Łaniewskiemu. Później kupił kawałek ziemi w Łączkach z resztką fundamentów po przedwojennym domu, ze starym, ogromnym sadem. Matka nie chciała budować nowej chałupy. Zależało jej tylko na ziemi. Wiosną każdego roku zaczynała prace w ogrodzie, które kończyła późną jesienią. Całe lato kisiła i marynowała, dusiła, smażyła i robiła nalewki.

Ojciec do Łączek prawie nie zaglądał. Andrzej, owszem, chętnie, o ile nie musiał kopać lub podlewać. Najchętniej leżał z otwartymi ustami pod rozłożystą mirabelką i łowił spadające śliwki.

„Ale to nie Łączki”. Rozejrzał się wokół. „Łączki w drugą stronę. Kuliczki też nie. Więc co to za miejsce?”

Po lewej i po prawej stronie drogi pola, kilka domów, kilka chlewów, kilka płotów, kilka dymiących kominów. W oddali, za polami, ściana lasu.

„I tutaj dojeżdża autobus miejski?”

– Widocznie dojeżdża – mruknął sam do siebie. – I odjeżdża.

Andrzeja minął niebieski ogórek z numerem sto dwanaście. Szofer zza kierownicy pogroził Opolskiemu pięścią. Andrzej normalnie posłałby mu pozdrowienie prosto z rozporka, ale nie dzisiaj.

Zarzucił plecak na ramię, ruszył przed siebie.

Za zakrętem natknął się na sklep GS. Poczucił skurcz w żołądku, chyba z głodu, i wielką ochotę na piwo.

Wszedł do środka.

W środku to, co wszędzie, i to, co zwykle: na ladzie bańka z mlekiem i chochlą w środku, obok solone masło w wielkim bloku, z nożem wbitym w sam środek maślanego serca (na wagę), twaróg (na wagę), marmolada w kłocu (na wagę), za ladą resztki chleba lubelskiego, w chłodziarce, w metalowej misce, kilka pęt kiełbasy zwyczajnej, kawałek podgardlanki i pasztetowej.

Na półki Andrzej nawet nie spojrział. Nie musiał. Znalazłby na nich musztardę, ocet, śledzie w słoikach i konserwowe odpadki.

Poczucił mdłości.

– Pani kierowniczo, piwo poproszę – zwrócił się do sprzedawczynie.

– Do pierwszej trochę zostało.

„To tylko mój dzień skończył się przed godziną”, pomyślał Andrzej.

– A która jest? – zapytał.

– Dziewięć dwa sześć.

Andrzej gapił się na sklepową.

– Numer na zegarynkę. – Wzruszyła ramionami i poprawiła na nadgarstku ruską czajkę.

– Szefowo, potrzebuję pomocy. – Andrzej nachylił się w stronę sklepowej.

Zastrzygła uszami. Przysunęła się do Opolskiego. Wałeczki na brzuchu, ukryte pod poplamionym fartuchem, przemieściły się do przodu wraz z resztą tułowia.

– O co pan mnie zapyta, to ja nic nie wiem. Nic a nic. Uprzedzam z góry, żeby nie było zdziwienia – sprzedawczynie szeptem wypowiedziała kwestię i odchyliła się od lady.

„Wańka-wstańka”.

– Chodzi tylko o jedno. – Andrzej potarł nos. – Tylko o jedno piwo, za które zapłacę jak za dwa.

– Mam oranżadę.

Opolski poddał się.

– W takim razie butelkę. – Sięgnął do kieszeni po drobniaki.

– Jest tylko w proszku.

– W proszku? Do picia?

– A jaką pan by chciał w sobotę przed południem? Dostawa będzie po szesnastej. Na Zakuliczki nic wcześniej nie dojeżdża. Autobus cztery razy na dzień, a chleb i reszta tylko w parzyste dni. I to nie we wszystkie. Mówią, że na Kuliczkach diabeł mieszka. Do nas, na Zakuliczki, to chyba tylko fajdać przychodzi.

– Mleko. W takim razie chochlę mleka.

– Ale własne naczynie do konsumpcji pan posiada? – Sprzedawczyni ruchem głowy wskazała plecak.

Opolski wyszedł, trzaskając drzwiami. Usiadł na schodach przed wejściem do sklepu. Jeśli jest tak, jak mówiła sklepowa, że autobus jeździ na Zakuliczki cztery razy dziennie, to powrotny powinien złapać dopiero koło drugiej.

– Pan trzyma – usłyszał za sobą.

Odwrócił się. Sprzedawczyni dzierżyła w dłoniach mleko w musztardówce.

Wziął.

Napił się.

– Na zapleczu trzymam ze dwie, trzy puste szklanki. Dla gości. – Sprzedawczyni pociągnęła nosem. – Dla jakich gości... Tu nie ma gości. Za dwa zakręty droga się kończy. I niodokąd dalej. – Poklepała się po ramionach. – Zimno wciąż, co? Zimno. A tu u nas, sam pan widzi, piwa nie ma, wódki nie ma, chleb przedwczorajszy, to i nikt nie zagląda. Kiedyś przychodził codziennie profesor, mówił, że lepszego mleka i jaj nie ma w całej Bolegoszczy, ale po zawale, to tylko co dwa, trzy dni.

– Jaki profesor? – Andrzej otarł usta.

– Sztyler.

– Stiller?

– Mówię przecież, że Sztyler.

- Mieszka tutaj?
- Z dziesięć lat będzie, jak się przeniósł. Rodzice odumarli, to przeprowadził się z Bolegoszczy na ojcowiznę.
- Daleko stąd?
- Kawalek prosto w tamtą stronę, później w lewo na pole i ścieżką w stronę brzeziny. Jeden dom tam stoi, więc pan nie zabłądzi. Pan do tego Sztylera?
- Właśnie miałem pytać o drogę do niego.

Ewa nie widziała drogi. Ani przed sobą, ani za sobą, chociaż ścieżka od drzwi szkoły do bramy wyjściowej była prosta i znajoma. Dwieście pięćdziesiąt metrów wzdłuż muru liceum po lewej stronie i wzdłuż szpaleru kasztanów i wierzb po prawej stronie. Topole rosły od strony boiska.

„Idź już! Jesteś spóźniona!”, ponagliła siebie.

Wciąż jednak stała. Sobotnie przedpołudnie okryła noc ciemna. Noc wątpliwości i strachu. Przeraziła się tego, że wyznała dyrektorce prawdę. Tyle razy słyszała, jak Helena Opolska mówiła o Maciejewskiej „czerwona swołocz”. Ale Helena mówiła tak o wszystkich, którzy trzymali się daleko od Kościoła i blisko partii. „Chryste Panie, co ja zrobiłam?” A jeśli Maciejewska wezwie do siebie ojca Ewy i poinformuje go o planach córki? Franciszek Mazurek nie wtrącał się wprawdzie w życie swoich dzieci, ale przyszłość za murami klasztoru była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął dla Ewy. A jeśli o wyborze Ewy dowie się Renata? Dostanie apopleksji. Wymyśliła przecież, że zaraz po maturze Ewka zacznie szkolenie w szwalni. „Z robotą się nie obrabiam, a ty lataasz Bóg wie gdzie!”

Ewa uświadomiła sobie, że swoje zamierzenia ukryła również przed Heleną Opolską. Komu jak komu, ale jej mogła opowiedzieć o zakonie. Starsza pani nigdy jej nie skrzywdziła i chociaż szorstka w obejściu, nigdy nie powiedziała złego słowa. Czyżby? Ewa zacisnęła pięści. Stara kwoka zdradziła Mazurkównę. Ona, na pewno ona – ktoś by inny – powiedziała, komu trzeba i nie trzeba, jak prowadzają się we dwie po bolegoskich kościołach.

„Jak wybrnąć z tego bigosu?”

Mazurkówna stała na szkolnym dziedzińcu i zastanawiała się, co dalej oraz dokąd dalej.

„Do parku Przyjaźni. Wystarczy mi kłopotów z unikaniem obowiązków. Teraz czyn społeczny. O całej reszcie pomyślę później”.

Ruszyła przed siebie. Torba na ramieniu ciążyła coraz bardziej. Ki czort?

Zeszła ze schodów i stanęła pod jednym z kasztanów. Dostrzegła zawiązki pąków. Za miesiąc, może wcześniej, zakwitną. Podniosła głowę. Po niebie ciągnęły kłęby siwych chmur. Jedna z nich przybrała kształt koślawego palucha ojca. Druga wyglądała jak krzyk matki. Trzecia, ta w czarnym kłębie, wyglądała jak pretensje Renaty...

Ewa posmutniała. Już za miesiąc będzie oglądać przyrodę zza klasztornego muru.

Zrzuciła z ramienia konduktorkę. Co za ulga. Schyliła się, żeby sprawdzić, jakie to ciężary skrywają się w środku. Spakowała do niej przed wyjściem dwie kanapki z salcesonem i z musztardą oraz mały termos z herbatą.

– Czego tak stoisz?

Ewa podskoczyła.

– Nie możesz pozbierać się po głędzeniu Maciory, co? Widziałam, jak wychodzisz. Też u niej byłam. Przed tobą.

Przy Ewie wyrosła Teresa Caban. Piękna Teresa z równoległej klasy. Bolegoska Catherine Deneuve. Główna bohaterka mokrych przygód wszystkich dorastających Synów Pułku.

Każdego dnia, zaraz po zakończeniu lekcji, tuż przed wyjściem ze szkoły malowała brwi, rzęsy i usta, szkolny fartuch zostawiała w szatni, zmieniała bluzki na bluzeczki, kapcie bez obcasów na szpilki, a potem ruszała w miasto. Ten i ów mówił to i owo, ale nikt nie wiedział na pewno, z kim i w jakim celu spotyka się piękna Teresa.

– Czego chciała od ciebie? – Cabanówna zamrugowała rzęsami.

Ewa popatrzyła na koleżankę. Beret zawadiacko zsunięty na lewe ucho. Rozpuszczone włosy luźno spływające na plecy wiosennego płaszczka. Płaszcz w kolorze zabielennej kawy marago. Wąska talia podkreślona paskiem. Nylonowe pończochy. Szpilki w kolorze nadmorskiego piasku (Ewa nigdy nie była nad Bałtykiem). Na nosie okulary przeciwsłoneczne. Kopertówka pod pachą.

„Boże, bądź miłościw jej grzesznej”, pomyślała Mazurkówna.

– Powiesz?

– A od ciebie? – zapytała Ewa. – Od ciebie czego chciała?

– Nieważne. I tak nie podchodzę do matury. Strata czasu. Narzeczony na mnie już czeka.

– Gdzie? – Mazurkówna rozejrzała się wokół.

– W Enerefie – zaśmiała się Teresa. – Powiesz, jak było?

– Normalnie. – Ewa wzruszyła ramionami. – Przecież wiesz.

– Nie o to pytam, idiotko. U Maciory jak było, to każdy wie. – Cabanówna klepnęła Ewę kopertówką w ramię. – O Andrzeja pytam.

– Opolskiego?

– Znasz innego?

– Słodowika, Hebdzyńskiego i Gołuchę. – Ewa zarzuciła torbę na ramię. Przygięła się. „Boże, co ja tam schowałam?” – Śpieszę się.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Cholera jasna, znowu się ukruszył. – Cabanówna spojrzała na jeden z długich paznokci, wyjęła z torebki pilniczek i nie patrząc na Ewę, zajęła się manikiurem.

– Nie rozumiem.

– Ze mną postąpił tak samo.

– Kto?

– Ty naprawdę jesteś idiotką. Nie wiem, co on w tobie zobaczył. Trudno. Skoro tak, to musisz sobie teraz sama ze wszystkim poradzić. Byłoby ci łatwiej, gdybyś kogoś miała do pomocy. Ja przez to przeszłam dwa i pół roku temu. Nikogo nie miałam obok siebie. Nikogo. Musiałam sama sobie radzić. Myślałam, że wiesz, że po wszystkim będziesz potrzebować przyjaciółki albo kogoś w tym rodzaju. Jak tak, to szukaj sobie mądrości w tych swoich książkach. Chyba naprawdę nie masz z kim rozmawiać, że na każdej przerwie siedzisz z nosem w literkach. Żalotne.

Cabanówna wrzuciła pilniczek do kopertówki i stuk-puk ruszyła przed siebie.

Ewa, mimo konduktorki ciężącej na ramieniu, dogoniła Teresę. Zagroziła jej drogę.

– Gadaj – powiedziała. – Wszystko, co wiesz. Ale po kolei, dobra?

Cabanówna wzięta z zaskoczenia nabrała powietrza w płuca.

– Opolski po tym, jak już wybierze sobie dziewczynę, robi z nią to, co chłopak robi z dziewczyną. Raz albo kilka razy. Z tobą ile razy?

Ewa położyła dłoń na ustach. Poczowała skurcz żołądka i jelit.

– Nie udawaj, że nie. – Teresa patrzyła na Mazurkównę z góry. – Wszyscy widzieli, że biega za tobą jak pies za suką w rui. Ile razy albo nie powiem, co dalej.

„Ojczenaszktóryśjestwniebie...”

– Raz – wyszeptała Ewa.

– Gdzie?

– W szatni... Ale to nie tak, jak myślisz, bo on mnie nie...

– W szkolnej? – Uznanie Cabanówny wzrosło natychmiast. – Ja wiedziałam, że ty tylko wyglądasz na cichą wodę! Ha! Nawet cicha woda puszcza się czasem z nurtem. – Parsknęła, ale szybko zamilkła. Spojrzała z powagą na Ewę. – Słuchaj, on zawsze tak. Jak już dostanie to, na czym mu zależy, przestaje zwracać uwagę. My wszystkie widzimy, że on od dwóch tygodni nawet na ciebie nie spojrzął. Ani razu. Zabawił się, rzucił i zapomniał. Co nie?

– Chwileczkę. Jak to „wy wszystkie”? – wydukała Ewa. – To was jest więcej?

– Osiem. Ja byłam pierwsza. Później zaliczył Żarską, Kończakównę, bliźniaczki Lewandowskie...

Przez plecy Ewy przebiegły dreszcze. Żarską i Kończakównę mógł mieć każdy, kto kiwnął na nie palcem i znalazł w kieszeni kilka złotych na lody w słodkim wafli. Ale bliźniaczki Lewandowskie? Nie, tego Ewa nie spodziewała się zupełnie. Od tyłu śliczne i kruche jak baletnice z porcelany. Od przodu blade i aseptyczne jak gaza opatrunkowa. Panny dziedziczki. Panny willowe. Panny rasowe. Panny klasowe. Córki aptekarza i dentystki. One też? To nie może być prawda. Lewandowskie są przecież inne niż Cabanówna. O Teresie bolełoszczanie mówili, że łajdaczy się tak samo jak jej matka z Niemcami w okupację. Ale bliźniaczki?

– ...Jabłońską...

– Wystarczy – przerwała Ewa.

– Poznasz wszystkie dziewczyny. Nie żebyśmy cię lubiły, dziwna jesteś i w ogóle, ale skoro już spotkało cię to, co nas, trudno. Los nie wybiera. Opolski owszem. Bez nas będziesz cierpieć, czekać i łudzić się, że on jeszcze z tobą coś. Zapomnij. Dlatego trzymamy się razem

i pomagamy tym, które wpadną w łapy Andrzejka. Z drugiej strony nie wpaść w jego łapki to wielka strata. Przyjemniutko było, co nie?

– Nie.

– A to się jeszcze przekonasz, że rzadko bywa lepiej. Kwestia doświadczenia. Wszystko przed tobą. Obiecuję.

Pod szkolną bramę podjechał granatowy samochód. Ewa nie rozpoznała marki. Nie znała się na nich. Jedyłą, jaką rozpoznawała z daleka, była stara ukraina ojca. Na dwóch kołach, z zardzewiałą ramą i z ciągle luzującym się łańcuchem.

Cabanówna pomachała w kierunku kierowcy, który wyjrzał przez otwarte okno samochodu. Posłała mu pocałunek. Wsunęła pod pachę torebkę i poszła, nie oglądając się na Ewę.

Stuk-puk.

Stuk-puk.

Stuk-puk.

Pukał i stukał, stukał i pukał, ale nikt nie otwierał drzwi domu stojącego pośrodku pustego pola w pobliżu brzeziny. Domu nieogrodzonego płotem, dawno nieremontowanego i zaniedbanego (eternit odpadał z dachu, tynk łuszczył się, a okna pokrywała warstwa brudu). W jego sąsiedztwie stała duża, porządna szklarnia wielkości dwóch garaży ojca Andrzeja.

Młodszy Opolski zajrzał do cieplarni. Dostrzegł dojrzewające pomidory, ogórki i zieleninę, na której zupełnie się nie znał. Nać pietruszki, koper, lubczyk, wszystko to wyglądało tak samo.

Andrzej zerwał z gałęzi najbardziej czerwony pomidor i ruszył za dom.

Tam też nikogo. Tylko pusta buda. W budzie kłęb zużytej, ugniecionej słomy. Dookoła budy i domu czysto. Pozamiatane. Powygrabiane. Pozbierane.

Opolski usiadł na ławce pod zamkniętymi drzwiami chałupy. Wytarł pomidor o spodnie.

„To ja powinienem utonąć. To ja powinienem mieć zawał. To ja powinienem zniknąć z powierzchni ziemi. Głupszy od brata. Nedorastający ojcu do pięt. Ignorowany przez matkę. Jednych doprowadzam do wściekłości. Innych do śmierci”.

Zajrzał do plecaka Luby Stanisławskiej. Książki. Książki. Książki.

Dostojewski, Puszkina, Tolstoj, Szolochow, a nawet zbiorek wierszy Jesienina.

Zanurzył zęby w pomidorze. Soczysty i słodki.

„Co mogłem zrobić? Przyznać się, że Włodek i Fabian przeze mnie? I co by to dało? Przyniosłoby ulgę Lubie? Zwróciłoby życie tamtych? Sześć lat temu zdarzył się wypadek. Nieszczęśliwy wypadek. Wypadek? Zbrodnia, a nie wypadek”.

I naraz Andrzej poczuł wielkie zmęczenie.

Położył się na ławce, zamknął oczy i zasnął.

Na chwilę zapomniał.

O wszystkim.

– O wszystkim zapominasz, Mazurkówna.

Ewa szorowała obcas i podeszwę buta polskiego albo rosyjskiego żołnierza. Narodowość wojaka i jego kamiennej zelówki nie miała znaczenia. Liczyło się tylko to, że Ewa w końcu dotarła do parku Przyjaźni. Spóźniona wprawdzie o dwie i pół godziny, ale jednak. Gdyby pobiegła do roboty przy pomnikach od razu po rozmowie z Maciejewską i Cabanówną, zdążyłaby.

Nie pobiegła i nie zdążyła.

Wysupłała pieniądze, które zarobiła w marcu u Heleny Opolskiej, stanęła w ogonku do kasy, kupiła bilet i schowała się na seansie w kinie Jutrzenka. Na filmie, którego tytułu nie sprawdziła. Kiedy zgasły światła, Ewa zamknęła oczy. Dotarły do niej najpierw strzępy dźwięków kroniki filmowej, chwilę później francuskie dialogi. Nie rozumiała ani słowa. Wciśnięta w drewniany fotel, na którym tyłek cierpł bardziej niż kolana na posadzce w farze, chlipała. Nie nad tym, co się wydarzyło, lecz nad tym, co się nie wydarzyło. Nad tym, do czego się przyznała, tylko dlatego, żeby nie wyjść przed Cabanówną na... zakonnicę! Wiedziała, że się z niej wszyscy śmieją. Słyszała, jak mówią cnotka-idiotka. Więc powiedziała, że ona i Andrzej w szatni. A teraz wszyscy się dowiedzą, jaka jest prawda, która – gdyby wzięć ją pod włos – okazałaby się pięknym, tłustym, wykarmionym ludzką plotką i słabością Ewy kłamstwem.

Popłakiwała nad swoim losem z zamkniętymi oczami do końca seansu (między szesnastym a dwudziestym siódmym chlipnięciem zjadła kanapki z salcesonem). Film był chyba liryczny,

melodramatyczny, wzruszający, serce kłusający, ponieważ nie tylko Ewa pociągała nosem. W fotelach i przed, i za nią co rusz ktoś posmarkiwał w chusteczkę. Albo w rękaw. Albo na posadzkę.

Kiedy zapaliły się światła, Mazurkówna wyszła razem ze wszystkimi z kina. Zatrzymała się na środku chodnika. Z wciąż zamkniętymi oczami podniosła głowę do góry, w stronę nieba. Kwietniowe słońce przebiło się na chwilę przez chmury. Gorące promienie pogłaskały zapłakaną twarz i spuchnięte oczy dziewczyny. „Światło na oświecenie pogan!” I łgarzy. Przecież święty Piotr aż trzy razy zaparł się Jezusa. I co? I został papieżem. Na to Ewka wprawdzie liczyć nie mogła, ale na Boże miłosierdzie zawsze.

„Stało się”, pomyślała, mrużąc oczy. „Głupio postąpiłam, ale przynajmniej wiem, które panienki trykną Opolski”. Postanowiła, że na wieczornej mszy wypowiada się z kłamstwa i twardo będzie trzymać się swoich planów. Nikt i nic nie stanie Mazurkównie na drodze do nowego imienia. Już za kilka lat na zawsze wykreśli pogańską „Ewę” z życiorysu. Będzie wtedy siostrą Paschalisą, Jukundą, Krescendą, a najlepiej – o to imię Ewa prosiła w codziennych modlitwach – Miriam.

Z torbą lżejszą o zjedzone kanapki ruszyła w stronę parku Przyjaźni.

Na miejscu wtopiła się w tłumek szkolnej młodzieży zajętej albo pracą, albo jej unikaniem. Nikt nie zwrócił uwagi na przyjście Mazurkówny. W szkole byłoby inaczej. Przed łaciną, polskim albo fizyką gromada interesantów czekałaby w kolejce do Ewy. Po pracę domową lub po objaśnienie lekcji. Spisywać Mazurkówna nie dawała. Pomagać, pomagała. Kiedy robiła to, czego od niej oczekiwano, znowu stawała się tłem.

„Jak to możliwe, że Andrzej zwrócił na mnie uwagę?”, pomyślała. „On i jego brat”.

Przebiegła wzrokiem po grupie młodzieży. Nie dostrzegła w niej Andrzeja. Za to jego kumpel, Świerszcz, owszem. Był. Udawał, że coś zbiera z ziemi. To się schylał, to szczyptał w wypięty tyłek dziewczynę zajętą sadzeniem rozchodników.

– Mazurkówna, do ciebie mówię! Słyszysz?

„Tylko nie to!”

Ewa odłożyła szczotkę ryżową, odsunęła wiadro z lodowatą wodą. Chuchnęła na zgrabiące dłonie. Spojrzała w górę.

Nad Mazurkówną stała profesor Jadwiga Lament. W białych kozaczkach z błyszczącego skaju.

– Pytam, czy o wszystkim pamiętałaś.

– Mydlin dodałam, pani profesor. Szczotkę płuczę w wodzie dokładnie po siedemnastu ruchach od prawej do lewej. To znaczy: od wschodu do zachodu – Ewa odpowiedziała z powagą. – Zgodnie z duchem i ruchem przyjaźni polsko-radzieckiej.

– A ja myślę, że zapomniałaś zameldować o spóźnieniu. Dopiero przyszłaś, Mazurkówna, widziałam. – Biolożka zapięła krótki biały kożuszek. – Mów prawdę, bo inaczej...

Ewa zauważyła gęsią skórę na profesorskich udach obleczonych cienkimi nylonami. „Dobrze ci tak”, pomyślała. „Trzeba było rajtuzy włożyć, a nie pończochy”.

– Prawda jest taka, że spóźniłam się tylko chwilę. Nie zauważyła mnie pani profesor. A nie zameldowałam się, ponieważ od razu zaczęłam pracę. Widzi pani, jak ten obcas lśni? – Poklepała sołdata po bucie i chwilę później zawstydzila się własnej bezczelności i kolejnego kłamstwa. „To będzie najdłuższa spowiedź mojego życia”.

– Niemożliwe. – Lamentówna wyduła wargi.

Ewa westchnęła głęboko. Poczula zapach sosu grzybowego i psiej sierści. „Jezu, czy ta baba się myje?”

– Możliwe, gdyż – Mazurkówna rozejrzała się w poszukiwaniu ratunku, w oddali dostrzegła przygarbioną postać starego polonisty i jego głowę schowaną w grubej książce – była pani zajęta dyskusją z profesorem Grabkiem.

„Ciekawe, czy próbowała zaciągnąć nieboraka do szaletu miejskiego”.

Lamentówna spojrzała na Ewę z góry, prychnęła i odeszła.

– To ja. – Ktoś szturchnął Mazurkównę w ramię. – To ja cię kryłem. Powiedziałem tej wariatce, że spóźnisz się pięć minut.

„Jezu, kiedy ten dzień wreszcie się skończy?”

– Dzięki, Bolek – odpowiedziała. – Nie musiałeś.

– Chciałem.

Świerszcz obgryzał paznokcie. Na jego szerokiej i okrągłej jak patelnia twarzy błąkał się uśmiech.

– Słuchaj, w całej szkole gadają, że Opolski puścił cię kantem. Ja tam nie wiem, jak było, on mi się nie zwierza, ale mówią, że no, ten... Nie poszłabyś ze mną do kina? Dobry film podobno grają w Jutrzence. Tytułu zapomniałem. Cabanówna mówiła, że płakała od początku do końca i że, czekaj, zostaw szczotę, dziewczyno, szorujesz, jakbyś dostała na maturze zadanie z szorowania. No nie chlap tak wodą! Nie na mnie. Już wiem. Cabanówna powiedziała, że była wzruszona. To co? Tak na pocieszenie może ze mną do kina. Wybrałabyś się?

– Wybrałeś najśłodszy. Ze środkowego rzędu, prawda?

Przed Andrzejem stał profesor Stiller. W uszatce, w kufajce i w ocieplanych gumiakach. Na szyi ciepły szal. Na rękach rękawice. Obok niego merdający ogonem rudy kundel.

Opolski natychmiast podniósł się z ławki. Ukłonił się. Pogłaskał psa po łbie. „Ryży jak moja matka i jak ten głąb, co go wywalili z uczelni”, Andrzej uśmiechnął się sam do siebie.

– Przepraszam, ale nic nie jadłem od śniadania.

– Jak mnie tutaj znalazłeś? Nikt, oprócz dyrektorki i sekretarki, nie wie, gdzie mieszkam.

– Byłem w szpitalu, na kardiologii, dwa tygodnie temu, tego samego dnia, kiedy wie pan. Kiedy się wygłupiłem. Ale wuj... znaczy doktor Łaniewski powiedział, że nie. Że nie wolno panu przeszkadzać. Że musi pan odpoczywać...

– ...nie przemęczać się, dobrze odżywiać, więcej spacerować i nie denerwować się. Za każdym razem mówi to samo. I jeszcze powtarza, że następnego razu nie będzie. Weiter, zostaw Andrzeja. – Kundel biegał wokół Opolskiego. Od czasu do czasu skakał na niego z wywalonym językiem. – Głupi kundel. Już nie zmądrzeje.

– To suka? – Andrzej z podejrzliwością spojrział na psa.

– Pies. Nie dogadałbym się z suką. – Profesor Stiller wziął Andrzeja pod rękę. – Wejdz, chłopcze, do środka. Napijemy się kawy. Opowiedz, co cię do mnie sprowadza.

– Chciałem tylko przeprosić. Już wtedy, w szpitalu. Za to, co zrobiłem w szkole. Te pinezki, kreda, kretyński napis na tablicy. To było... Przepraszam.

– Dobrze się bawiłeś?

– Całkiem nie o to chodziło.

Profesor Stiller nie spuszczał wzroku z Andrzeja.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto rozrzuciłby pinezki pod czterema literami starego profesora po to, by zyskać sympatię Mazurkówny. Mazurkówna, dla odmiany, nie wygląda na dziewczynę, która byłaby tobą zainteresowana.

– Ale ja... – Andrzej już miał ugryźć pomidora po raz drugi, ale opuścił rękę.

– Zapamiętaj, młody człowieku. – Wiatr poruszył rondlami powieszonymi na płocie. Zabrzmiały jak wojskowe werble. Profesor nasunął czapkę na czoło. – Ludzie robią różne rzeczy. A inni ich oceniają. Zawsze oceniają. Znaczenie i waga czynów nie zmieniają się wraz z upływem czasu, choć wiele, jeśli nie wszystko, można wyjaśnić i usprawiedliwić okolicznościami. Rozumiesz, o co mi chodzi. Tak?

Andrzej skinął głową.

– Bez względu na okoliczności głupota – ciągnął profesor – pozostaje głupotą, podłość podłością, słabość słabością, a przestępstwo przestępstwem.

Andrzej usiadł na ławce. Pomidor wypadł mu z ręki. Pies chwycił go w pysk i połknął niemal bez gryzienia.

– Ten kundel żre wszystko. Kiedyś zeżre własny ogon i poprosi o dokładkę. – Profesor zaśmiał się. Andrzej nigdy nie widział go takiego. W szkole wyglądał jak ofiara. Tu, w Zakuliczkach na podwórzu, przy własnej chałupie nie większej niż kurnik, jak szczęśliwy człowiek. – Weiter, do budy! Przyszedł do mnie cztery lata temu nie wiadomo skąd i tak został.

Opolski podniósł plecak z ziemi.

– Pójdę już. Dobrze – spojrzał Stillerowi w oczy – dobrze, że z panem w porządku. Że pan żyje.

– Życ albo nie żyć. Co to za różnica? Powrotny do miasta masz za czterdzieści pięć minut. Zdążysz. Weiter! Powiedziałem, do budy!

Andrzej ruszył ścieżką w stronę drogi. Odwrócił się jeszcze do nauczyciela.

– Weiter. To imię. Niemieckie, prawda? – zapytał.

– Prawda – odpowiedział profesor. Schylił się i podniósł z ziemi duży kamień.

- Od tego, co później, co dalej, co nastąpi. W przyszłości – zastanawiał się Andrzej. – Takie jest znaczenie słowa *weiter*.
- Masz rację. Ale ja Weitera nazwałem na pamiątkę.
- Na pamiątkę?
- Na pamiątkę. – Profesor gwizdnął, zamachnął się i cisnął kamień w porzeczkę i agrest. Kundel zniknął w krzakach.
- Na czyją pamiątkę?
- Ostatniego komendanta obozu w Dachau.
- Andrzej znowu poczuł bezwład w nogach.
- Żeby nie zapomnieć – dodał Stiller. – Nigdy.

6.

Barbara nigdy się nie spodziewała, że Tadeusz ją zostawi.

Kiwała się w pustym o tej porze autobusie.

Przód – tył.

Tył – przód.

I wyskok w górę.

Chuchnęła na szybę. Narysowała palcem serce. Zawstydzona od razu starła je rękawem płaszcza.

„Za chwilę wszystko naprawię. Świat wróci do równowagi, a Tadeusz do mnie”.

Był przy niej zawsze i – miała wrażenie – od zawsze. Od zawsze, czyli od styczniowej nocy tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, której ona nigdy nie zapomniała, a o której on nigdy nie wspominał.

Barbarę nachodziło czasem przerażające uczucie, że wtedy, dwadzieścia trzy lata wcześniej, Tadek, który zjawił się w ruinach chwilę po drewnianej ręce, nie tyle przeraził się widokiem upokorzonej Baśki, ile się po prostu wściekł. Barbarze zdawało się, choć nie była tego pewna, że okrutnie kłął. Opolską wiele razy zastanawiał ten gniew. Na kogo? Na co? Na nią? Z jakiego powodu? Jeszcze żeby paradowała w sukience z odciętym stanem i z odkrytymi do kolan łydkami. Ale nie. Okutana w kozuch ojca wyglądała i pachniała jak spleśniała pajda chleba posmarowana śmierdzącym smalcem. „Przez przypadek zdarzył się wypadek”, tłumaczyła sobie, kiedy trawiło ją poczucie winy, że może „znalazłam się w złym miejscu o złej porze”. Raz, może dwa razy wpadła na pomysł, żeby zapytać Tadka o to, co mówi psychiatria o kondycji kobiet po gwałcie. Zrezygnowała. Psychiatria mówiła na ten temat tyle, co zgwałcone kobiety. Nic.

– Odchodzę – oznajmiła Tadekowi w progu domu na Mickiewicza, kiedy dowiedziała się, że drewniana ręka zmajstrowała jej dziecko. W połowie marca czterdziestego piątego roku czekała na powrót

Tadka z porannej zmiany w urzędzie pocztowym. Przywitała go z płóciennym tobołkiem w dłoniach, w który spakowała lichej dobytek: kilka par majtek i wełnianych pończoch, szczotkę do włosów, czarną pastę do butów i pierścionek ze szmaragdem. I trochę prowiantu: dwa jabłka, pół kilograma chleba i kawałek słoniny. – Nie będę psuła ci reputacji. Nieślubne dziecko gorsze niż martwe.

– Naprawdę? – zapytał Tadek.

Minął Baškę i zniknął w kuchni. Rozległ się dźwięk otwieranych szafek, przestawianych garnków, wody płynącej z kranu.

– Pozwól tu na chwilę! – zawołał.

Baška posłuchała.

Oparta o framugę kuchennych drzwi patrzyła, jak Tadeusz krząta się przy piecu.

– To nie jest nieślubne dziecko – powiedział Opolski, zalewając wrzątkiem kawę zbożową. – Chcesz trochę?

– Mdli mnie od samego zapachu. – Baška zrobiła dwa kroki do tyłu. – Dziękuję za kwatere. Za ratunek. Za wszystko. Tylko narobiłam kłopotów. Starszej pani serce ozdrowieje, kiedy zniknę. I oko też. Mówiła, że jej to zdrowe bielmem zachodzi, gdy włożę jej w drogę.

– Więc od początku. To nie jest nieślubne dziecko. To przedślubne dziecko. – Tadeusz podszedł do Barbary z parującym kubkiem w lewej dłoni. Prawą pogłaskał dziewczynę po twarzy.

Gnatowskiej zakręciło się w głowie.

– Że jakie dziecko? – Baška zsunęła wełnianą chustę z głowy.

– Przecież powiedziałem matce – Tadeusz upił kawy – że jesteś moją narzeczoną. Narzeczoną z pierścionkiem zaręczynowym. Dlaczego go zdjęłaś?

Baška wygrzebała z tobołka woreczek z białego płótna ściągnięty zieloną taśmą. Z jego środka wyjęła szmaragd w bladym złocie.

– Założ – poprosił Tadek.

„A cóż to za zrękowiny?“, pomyślała Gnatowska. „Żeby panna sama sobie pierścionek wkładała?“

– Tak lepiej. – Opolski patrzył na dłoń Baški. – Teraz mogę się z tobą ożenić. Chcesz?

Nie chciała. Musiała.

Nigdy też nie pojęła, dlaczego on chciał. Przecież nie z miłości. Żadne z nich nie mówiło wówczas o uczuciach.

Barbara dopiero teraz, po wyprowadzce męża z domu, przypomniała sobie, że Tadek wyznał jej miłość tylko kilka razy, zawsze na mocnym rauszu po spotkaniach z Benkiem Karpiem. Po jednym z takich wyznań począł się Andrzej. Za obopólną zgodą, w czystej pościeli, przy włączonym świetle, z papierosem po wszystkim.

Ale to t a m t a noc wciąż wracała do Barbary. I męczyła melancholią, bezsennością oraz strachem przed ciemnymi pomieszczeniami.

Z biegiem lat Opolska straciła pewność, co wydarzyło się w styczniu czterdziestego piątego w półprzytomnym śnie, a co na półprzytomnej jawie. Próbowała ustalić, jakie słowa padły z ust Tadeusza („zabiję gównojada”), a jakich nie wypowiedział („nigdy cię nie zostawię”).

Tadeusz.

Prywatny kaftan bezpieczeństwa Barbary. Niewyczerpane źródło pigułek na uspokojenie.

Parasol chroniący ją przed światem. I przed Heleną, która wobec Baśki pozostała nieufna. Z upływem lat coraz mniej. Może dlatego, że uwielbiała agrestówkę, smorodinówkę, wiśniówkę i śliwowicę, które Baśka robiła każdego lata i na Boże Narodzenie przynosiła Helenie w prezencie?

Barbara wiedziała, że stara Opolska toleruje ją tylko z powodu Pawła. Dzieciak pojawił się wtedy, kiedy zaginął, a raczej zginął Jerzy. Wypełnił Helenie pustkę po synu, którego ciała nigdy nie odnaleziono. Helena traktowała Pawła jak własnego pierworodnego. Andrzeja lubiła, może nawet kochała, ale jej pierwszą i jedyną miłością pozostał Paweł.

„A gdyby знаła prawdę? Gdyby wiedziała, że mój syn jest synem drewnianej łapy, to co?”

To nic.

Sędzina Opolska nie znała prawdy i nigdy jej nie poznała. Baśka wiedziała, o czym trzeba mówić, a o czym lepiej milczeć.

Drzwi autobusu otworzyły się i natychmiast zamknęły. Nikt nie wysiadł, nikt nie wsiadł. Zgrabne łydki Barbary polizał kwietniowy

chłód.

Opolska spojrzała na zegarek. Powinna zjawić się na miejscu punktualnie. Po porannej rozmowie z Tadeuszem zamierzała odwołać popołudniowe spotkanie, jednak zmieniła zdanie. „Pora na wiosenne porządki. Na gruntowne sprzątanie”.

Zajrzała do torebki. Przerzuciła bałagan. Znalazła klucze (nie, nie od domu). Odetchnęła z ulgą. Za chwilę – wierzyła – świat wróci do równowagi sprzed dwóch lat, a Tadeusz do Barbary.

Wyrzała przez okno autobusu, który właśnie przejeżdżał obok parku Przyjaźni. Młodzież sprzątała przy pomnikach dwóch żołnierzy. Barbara zmrużyła oczy. Nie dostrzegła czarnej skórzanej kurtki Andrzeja, który chyba powinien kręcić się w okolicy. Wspominał przecież przed wyjściem z domu o czynie społecznym w parku. „A może coś pomyliłam?”, westchnęła.

Autobus zatrzymał się na przystanku.

Wzrok Barbary zatrzymał się na pomniku Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Kościuszkowiec klęczał na jednym kolanie z bronią luźno ułożoną na ramieniu i patrzył (ofiarnie?) na czerwonoarmistę. Wyprostowany czerwonoarmista stał z twarzą zwróconą w kierunku Berlina i mierzył z kałasznikowa w przestrzeń. Pomiędzy żołnierzami znajdowała się armatka i kilka kul gotowych do załadunku. Armatka i kule – ukochane obiekty parkowych psów. Kamienne zelówki wojaków – ukochany obiekt parkowych pijaków. Kościuszkowiec ze wzrokiem utkwionym w czerwonoarmiście – obiekt miłości parkowych homoseksualistów.

„A to co?”, pomyślała Barbara.

Kobieta w białym krótkim kożuszku i w białych kozaczkach kiwała się nad dziewczyną w wełnianej czapce.

„Wstań mała”, pomyślała Barbara. „Jeśli tego nie zrobisz, zawsze będziesz klęczeć przed innymi. Teraz. No już. Wstań”.

Dziewczyna nie wstała.

– Nie może pani jeszcze wstać.

Mielnicka uniosła głowę.

– Za wcześnie. – Opolski powstrzymał kobietę zdecydowanym ruchem.

Prokuratorowa bezwładnie opadła na twarde łóżko.

– Im dłużej pani leży, tym lepiej – wyjaśnił doktor. – Proszę się nie śpieszyć. Nie warto. Nie ma też dokąd. Mamy czas.

Czas.

Czas w izolatce nie płynął. Czas w izolatce się ciągnął. Wskazówki omegi doktora to zatrzymywały się, to ruszały każda w przeciwnym kierunku, to zderzały się ze sobą. Kiedy wreszcie dochodziły do porozumienia, lały po tarczy zegarka jak pomrów czarniawy po gnijącym koźlaku.

Tadeusz od godziny siedział przy Alicji. Od godziny. Może od półtorej.

Mielnicka wciąż milczała.

Rozległo się pukanie do drzwi.

W okienku łączącym psychiatryczny karcer z resztą świata pojawiła się ociekająca potem twarz Troszkiewicza. „Jak kukułka w zegarze”, pomyślał Opolski. Zdjął biały fartuch. Poprawił muszkę na szyi. „Gorzej niż kukułka”. Drewniany ptaszek wyskakiwał z budki co pół godziny. Troszkiewicz pokazywał się w okienku równo co dziesięć minut.

„Minister ze sprężyną w tyłku”, pomyślał ordynator.

Po raz kolejny dał ręką znak Troszkiewiczowi: niech zostawi córkę w spokoju, niech zajrzy później, niech pójdzie na kawę do Lucji Koszury, niech przespaceruje się po szpitalnym parku, niech poczyta „Trybunę Ludu”. Tyle dzieje się na świecie. Wojny, zamachy, morderstwa, rewolucje i rezolucje. Stan zdrowia jednej wariatki (wariatki?) nie zmieni biegu innych wydarzeń.

Troszkiewicz odsunął się od okienka. W szerszym kadrze Opolski ujrzał gotowego do działania sanitariusza Władka Siodełkę oraz kapitana Rabczkę. Na krok nie odstępował ministra.

Drugiego esbeka, tego, który szperał w dokumentacji medycznej, doktor jeszcze nie poznał. Liczył na to, że Koszura skieruje go pod byle pretekstem na oddział dla mężczyzn pobudzonych. „Chłopcy zrobią pożytek ze swoich odchodów. Ile można smarować kałem po ścianach?”

Ordynator spojrzał na Alicję.

Zastanawiał się, dlaczego obudziła się tak szybko po podwójnej dawce surmontilu. Powinna spać co najmniej kilka godzin. To prawda, Mielnicka słabo reagowała na większość leków, ale żeby aż tak?

Doktor dotknął dłoni Alicji.

Zacisnęła pięść.

– Proszę mi powiedzieć, jaką mamy porę roku?

Pacjentka przymknęła oczy.

– Na krzakach forsycji pojawiły się już żółte kwiaty – powiedziała słabym głosem. – Na tych wzdłuż ścieżki w stronę cmentarza. Za miesiąc zakwitną magnolie.

„Tyrada!”, przemknęło przez głowę Opolskiego. Zrobił kilka kroków do tyłu i oparł się o ścianę.

– Jaki jest dzisiaj dzień?

– Czternasty, nie, piętnasty od mojego przyjęcia do zakładu. Ma pan inne pytania? – zapytała.

Ordynator przesuwiał palcem po brodzie i szyi. Podrapał się za uchem.

– Mam.

Mielnicka lekko uniosła ręce i rozłożyła dłonie w geście oczekiwania.

– Dlaczego chciała się pani zabić?

„Dlaczego chciałaś się zabić?” Barbara zamknęła drzwi garsoniery. Zawsze pragnęła, aby Tadeusz zadał jej to pytanie: „Dlaczego chciałaś się zabić?” Nigdy tego nie zrobił.

W kawalerce nie było nikogo oprócz Opolskiej. Barbara pomyślała, że chciałaby się w niej spotkać z Tadeuszem. Chciałaby dla niego rozpuścić włosy, rozpiąć bluzkę, obmyć ciało gorącą wodą ogrzewaną junkersem, po wyjściu z łazienki zapalić marlboro i czekać, aż dotknie jej mokrego ciała okrytego miętowym szlafrokiem.

„Tylko po co?”

Tadek przecież nie widział. Nie zauważył na przykład, że to dla niego upolowała kaszmirowy płaszcz w Modzie Polskiej, podkupując wcześniej papierosami od Benka Karpia kierowniczkę i jej dwie sprzedawczynie; że to dla niego kilka razy zostawiła rozpiętą nad biustem lawendową bluzkę; że to dla niego wkładała wąską wełnianą spódnicę (przed kolana) i szmizjerkę w grochy (krótszą niż przed kolana), na której widok babka Helena wznosiła w górę zdrowe oko.

Miała żal, że nie zadał jej najważniejszego pytania: „Dlaczego próbowałaś się zabić?”.

– Bo chciałam – odpowiedziała Barbara, spoglądając w lustro.

Zamiast czterdziestolatki w morelowej garsonce zobaczyła młodą Baškę Opolską. Dziewczynę z podkrążonymi oczami, z wciąż dużym brzuchem po niedawnej ciąży i porodzie, z opuchniętymi w kostkach nogami.

– Naprawdę chciałam.

Naprawdę?

– Naprawdę chciałabym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał. – Alicja po raz pierwszy spojrzała doktorowi Opolskiemu w oczy. – Nie lubię opowiadać tej historii.

Tadeusz odruchowo sięgnął do kieszeni fartucha wiszącego na ramie łóżka. Nie znalazł w nich ani papieru, ani ołówka.

– Całe szczęście. – Mielnicka uśmiechnęła się blado. – I tak zostawiamy za dużo śladów.

Opolski wsunął ręce za pasek spodni.

– Myślał pan kiedyś o swojej śmierci? – Alicja znowu spojrzała w sufit.

– Wolę zajmować się życiem. – Tadeusz przysiadł na łóżku pacjentki.

Wbrew szpitalnemu regulaminowi. Wbrew ministrowi, którego głowa znowu pojawiła się w okienku i żądała natychmiastowych wyjaśnień. Wbrew prokuratorowi Mielnickiemu (a ten tu skąd?), który wskoczył w kadr chwilę po swoim teściu i zaczął walić pięścią w szybę.

Opolski przyłożył palec do ust.

To jeszcze bardziej rozjuszyło męża Alicji. Szarpnął klamką raz i drugi.

Po trzecim Władek Siodełko zdecydowanie odsunął Mielnickiego od drzwi. Tadeusz wiedział, że Ryszard prawdopodobnie grozi w tym momencie sanitariuszowi. Że używa argumentów, które podziałałyby na każdego, ale nie na Władka Siodełkę. Władek Siodełko słuchał poleceń wyłącznie: doktora Opolskiego, siostry Koszury, a pod ich nieobecność – lekarza dyżurnego. Resztę miał w siodełku.

Ordynator odwrócił się tyłem do drzwi.

Dopiero teraz poczuł zgrubienie w tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął z niej list. „G. White. A więc tutaj się ukrył”. Podarł kopertę wraz z zawartością. Śmieci wsunął z powrotem do kieszeni.

– Moje życie powinno było skończyć się przed wojną. – Alicja skrobała paznokciami ceratę materaca. – Ojciec, jeśli przyjechał, z pewnością panu powiedział, że...

– To może poczekać.

– ...że moja matka otruła się sama, zanim jej bliższą i dalszą rodzinę otruła historia.

– Przykro mi – odrzekł Tadeusz.

– Ale o tym, że próbowałam zabić się resztką tabletek, których matka nie zużyła, i wódką, której nie wypła, już pewnie panu nie wspomniał.

Tadeusz nie potwierdził i nie zaprzeczył.

– Wtedy, w trzydziestym ósmym, po zażyciu garści proszków uodporniałam się na wszystkie tabletki.

– To niemożliwe.

Mielnicka złożyła ręce na brzuchu.

– Obawiam się, że nie tylko na to nabrałam odporności.

– Na co jeszcze?

– Na śmierć.

Śmierć Baśki miała nastąpić szybko i bezboleśnie.

W listopadzie, nie, nie, raczej w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. W grudniu? (Barbarze wszystko już się mieszało). Ależ skąd, w styczniu, tak, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego Baśka, już Opolska, udręczona intensywną obecnością niemowlaka o zapachu drewnianej ręki, postanowiła odebrać sobie życie.

Zbyt wielu spraw nie rozumiała, nie potrafiła ich nazwać, nie umiała o nich mówić. Zbyt wielu słów nie pojmowała, chociaż nowe pojawiły się w jej słowniku jeszcze przed urodzeniem Pawła. Tadeusz nauczył ją, co to są: konsjerżka, miłość, hipnoza, macierzyństwo, Freud, poród, prywatne przedmioty codziennego użytku, połóg, arras, obowiązek małżeński, elektrowstrząsy, popęd seksualny, Titanic, ciepłowość, ginekolog, marzenie senne, konwersacja, nieświadomość, Morskie Oko, proscenium, przyjemność, baryton,

kompleks Edypa oraz farsa. Od Heleny dowiedziała się, czym są: kreatura, blaga, próchnica, szwarczarakter, grzech śmiertelny, uwiedzenie, powstanie warszawskie, oszustwo matrymonialne, mezalians, unieważnienie małżeństwa, paragraf, dom publiczny, pałuba, szacherka, kodeks prawa cywilnego, Bolesław Prus, konsekwencja, porcelana ćmielowska, heretyk, pasztet z zająca, grzech fałszywego świadectwa, gałka muszkatołowa, błędy w mowie i w piśmie, dyftek turecki, wszeteczeństwo, sztokfisz z serem, a także widelce do sztokfisz z serem.

Za dużo.

Wtedy, tak jak dzisiaj, nie mogła zrozumieć, dlaczego Tadeusz wygryzł jej ciało z ruin. Przecież zgwałconych dziewcząt nikt nie podnosił z ziemi, nie podawał im ręki, a już na pewno nie wybierał na żonę. Baśka dobrze pamiętała najpierw sponiewieraną, a później ciężarną Oleńkę z sąsiedniej wsi. Nie miała życia ani ona, ani jej córka, która urodziła się w połowie niemiecka, w połowie sowiecka, zależy, kto i z której strony patrzył na dziewczynkę. Baby, chłopcy, gówniarskie podrostki, a nawet co odważniejsze dzieciaki, wszyscy pluli na widok Oleńki i jej córki, czasem nawet prosto w twarz.

Osaczona Baśka Opolska, która dała się nabrać na banialuki o narzeczeństwie i małżeństwie, postanowiła, że wyjdzie za mąż, urodzi drewniane łapiątka, a później zniknie.

(Z garsoniery też chciała zniknąć. Siedziała w niej już ponad godzinę. Bardziej z nudów niż z potrzeby sięgnęła po papierosy i po zapałki z wróżbą. Na ciemnym tle milicyjne koło ratunkowe oraz ostrzeżenie: WODA JEST GROŻNA – BĄDŹ ROZSĄDNY).

Zniknie z rozsądku.

Udręczona obcymi słowami i jeszcze bardziej obcymi uczuciami, podjęła decyzję o spokoju. O wiecznym spokoju. Niczego więcej nie chciała.

(Naprawdę?)

Chciała.

(Zaciągnęła się).

Chciała na przykład powiedzieć o wszystkim Tadeuszowi, wyznać mu swoją nędzę, strach i przerażenie. Chciała go przeprosić za to, że mimo starań, wysiłków oraz uwagi, jakimi Baśkę obdarzył, nigdy nie stanie się taka jak on – Opolski. Chciała go też uprzedzić,

że dziecko, które przez ślub kościelny uznał za swoje, może nigdy nie być takie jak inni. Może stać się pacjentem, no, Baśce nie przechodziło to przez gardło: że może stać się pacjentem Niedorośli. Baśka drżała ze strachu, że ręka w koźlęcej rękawicy zmajstrowała w jej brzuchu bachora na obraz i podobieństwo durnej Peli. Na wsi plotkowali, że od pokoleń po stronie matki Baśki co jakiś czas rodził się rudzielec, który łąził półnagi po podgródeckich wsiach i klaskał w stopy.

(Wyjrzała przez okno. Z daleka poznała „spadochroniarę” – babę, która na plecach dźwigała po domach w worku z prześcieradła porcjowane wieprzowe tusze. Może powinna kupić od niej kawałek śmierdzącego octem schabu z kością? Z mięsa zrobiłaby kotlety, na kości ugotowałaby zupę. Bez sensu. Nikt w domu nie jadł tego, co upichciła Barbara, każdy zaglądał do garów w poszukiwaniu tego, co przyrządziła pani Janeczka).

Baśka wiedziała, że kolejnego nienormalnego klaskacza nie upilnuje i nie wychowa. Urodzi. Ostatecznie urodzi. To wszystko, co może dla niego zrobić.

Urodziła.

Helena Opolska natychmiast wzięła wnuka pod swoje skrzydła. Ochrciła nie wiadomo kiedy dwójgiem imion: Paweł Jerzy. Wykarmiła mlekiem prosto z Zakuliczek. Mlekiem prosto od chłopca, którego syn, ludzie mówili, był świnia w obozie koncentracyjnym i że jak wróci, to żyć mu nie dadzą, więc lepiej, żeby nie wracał. Syn synem, ale chłop od obozowej świni miał aż trzy krowy, w dodatku zdrowe, więc Helena nie słuchała tego, co gadają ludzie, tylko brała, co najlepsze dla dziecka.

Tymczasem Baśka nie bardzo wiedziała, jak zabrać się do samobójstwa. Słyszała, że w czasie wojny niektórzy rozgryzali tabletki ze śmiertelnym proszkiem. Proszki. Jakies powinny być w domu. Poszukała. Znalazła. W apteczce Heleny trafiła na kilka podejrzanych pigułek. Rozgryzła seledynowe drażetki (gorzkie!) i popiła podkradzionym prukwie koniakiem (palił). Legła na szezlongu w bawialni, ręce ułożyła na brzuchu, oczy wywróciła do góry i czekała na śmierć. Po godzinie dostała skrętu jelit, a po dwóch sraczkach stulecia. Tak wielką biegunkę przeżyła tylko raz w rodzinnej wsi na

przednówku tysiąc dziewięćset czterdziestego. Po zjedzeniu surowej brukwi i trzech surowych ziemniaków.

Kiedy obsrała cztery strony świata (Tadeusz szpikował ją węglem, a prukwa nawet poła wodą, dobrze, że nie mlekiem z piersi Baški), przypomniała sobie, że niektórzy samobójcy podcinają sobie żyły. Brzytwy nie znalazła, Tadek golił się na mieście u balwierza. Spróbowała więc nożem. Tym, którym sędzina sprawiała drób. Długim i ostrym. Zanim zdążyła naciąć nadgarstki, rozcięła dłoń, wystraszyła się krwi, zemdląca ze strachu.

Później próbowała powiesić się w piwnicy, ale zanim zdążyła ukręcić pętlę i zawisnąć na stryczku, z miejsca samounicestwienia wykurzyły ją szczury i wizja ciała dyndającego pod powalą: z opuszczoną głową, z wywalonym językiem, z obsikany dołem. Tak właśnie wyglądał stary Zrajkowski, ten z końca wsi, ten ze skórzaną nogą, którego ludzie znaleźli na belce w stodole. Prawdziwą nogę obrobiły mu szczury, a skórzaną zżarło nie wiadomo co. Sąsiedzi mówili, że Gudun. No nie. Nawet Baška wiedziała, że są śmierci lepsze i gorsze.

„Całkiem jak ludzie”, pomyślała Barbara.

Odwróciła głowę od lustra i naląa sobie kieliszek koniaku.

– Koniak na zmianę z białą wódką. Nie wiem, co to była za wódka. Nie znam się na wódkach. Kazał mi pić. Powiedział, że albo sama to zrobię, albo będzie wlewał we mnie siłą. I wezwie pogotowie. Zrobi się wstyd na całą dzielnicę, a może nawet na całe miasto. – Alicja oblizwała spierzchnięte usta.

Opolski przyglądał się Mielnickiej. Wypowiedziała w jednym zdaniu więcej słów niż podczas dwóch ostatnich tygodni. Niż podczas kilku nieudanych prób indywidualnej terapii.

– Dlatego przywiózł mnie tutaj pijaną – dodała.

– Cały Rysiek... – Tadeusz odwrócił się i spojrzał przez okienko w drzwiach.

Zauważył, że Władek Siodelko po raz kolejny odsuwa Mielnickiego od izolátky. Koszura, Tadeusz nie widział zbyt dobrze, więc wychylił się nieco w lewo, o, teraz lepiej, Koszura podaje ministrowi Troszkiewiczowi wodę w szklance. A Mielnicki kieruje się w stronę Troszkewicza, zatrzymuje się obok teścia i zaczyna

wymachiwać rękoma, jakby znowu czegoś żądał, komuś rozkazywał. I? Ależ tak. Obok kapitana Rabczki wyrasta dobry znajomy ordynatora, a jeszcze lepszy prokuratora – kapitan Zygmunt Żurło. „Więc to on grzebał w dokumentacji”.

– To wy się z Ryśkiem znacie? – zapytała Alicja.

– Wszyscy w Bolegoszczy znają prokuratora Mielnickiego...

Alicja tylko wzruszyła chudymi ramionami. Jej policzki po raz pierwszy od dwóch tygodni się zaróżowiły.

– Dlaczego pani tak długo milczała?

– Zastanawiałam się, co dalej.

– I wymyśliła pani samobójstwo?

– Szlafrok z paskiem znalazłam dziś rano pod poduszką. Złożony w kostkę, nowy, pachnący, gotowy do użycia.

– Skąd jednak zamiar, żeby...

– ...użyć go w niewłaściwy sposób? – Mielnicka się uśmiechnęła. – Ludzie, którzy nie rozmawiają, porozumiewają się za pomocą znaków. Szlafrok pod poduszką był jednym z bardziej czytelnych.

– I dlatego zarzuciła sobie pani pasek na szyję?

– Skąd pan wie, że ja sama?

– To sprawa dla...

– ...prokuratora? Naprawdę? – Alicja przymknęła oczy.

Tadeusz zacisnął usta.

– Chciałabym stąd wyjść – powiedziała Mielnicka.

– Za kilka tygodni.

– Nie, nie ze szpitala. Chcę w nim zostać jak najdłużej. Zresztą obiecał mi pan, że mnie stąd nie wypuści. Chciałabym wyjść z izolatki. To możliwe?

Tadeusz zastanawiał się.

– Dokąd?

– Na powietrze.

Opolski zastukał w drzwi. Natychmiast pojawiła się w nich głowa Władka Siodełki.

– Poproś siostrę Łucję, żeby jak najszybciej przygotowała pacjentkę na spacer. Przyrowadź wózek inwalidzki, a później – Waldek nadstawił uszu – posprzątaj razem z Koszurą na oddziale. –

Doktor machnął głową w stronę ministra i prokuratora. – Wiesz, o co chodzi.

Władek Siodełko potwierdził, że rozumie, i wykonał wszystkie polecenia oprócz ostatniego. Na Mielnickiego nie było mocnych.

Pojawił się przy drzwiach izolatki, kiedy Opolski i Koszura wyprowadzali Alicję na korytarz. Gestem ręki powstrzymał ministra Troszkiewicza. Kazał mu zostać na krześle pod ścianą.

– Zbadam sprawę osobiście – podniósł głos na Opolskiego. Na żonę nie zwrócił uwagi. – Dowiodę karygodnego zaniedbania z paragrafu...

– Zamknij się – szepnął Opolski w ucho Mielnickiego. Ucho było czerwone, kosmate i – co ordynator dopiero zauważył – małe. Jak u sześciolatka.

– Są świadkowie próby samobójczej mojej żony – odszepnął Ryszard.

– To wariaci. – Opolski zakreślił palcem kółko na czole. – Kto im uwierzy? Jaka władza? Jaki sąd? A może ty?

– Nie zostawię tak tej sprawy! – krzyknął prokurator. – Żądam przeniesienia mojej żony do innego zakładu. Pod opiekę kompetentnego zespołu.

– Mówiłem od początku o Tworkach albo o Choroszczy. Zanim przyjąłem twoją żonę do siebie na oddział. – Opolski zbliżył twarz do twarzy Mielnickiego. – Nie słuchałeś. Teraz jest już za późno. Teraz Alicja jest pod moją wyłączną opieką. Stan jej zdrowia nie pozwala na wypis z zakładu przez najbliższych – Władek Siodełko przyprowadził wózek, Tadeusz usadził w nim Mielnicką – sześć do ośmiu miesięcy – dokończył.

Alicja podniosła oczy na Opolskiego.

Nie był pewien, co w nich dostrzegł. Ulgę? Wdzięczność? Że nie zrobi z niej warzywa ani całego pęczka włoszczyzny?

Z sal poczęły wyglądać pacjentki.

Czerniga zacierała popękane, suche, pełne strupów dłonie.

Garbińska trzymała przy uchu słuchawkę prysznic. „Tu Grab. Tu Grab. Będą strzelać do wszystkich. Czapki z głów. Czapki z głów. Bez odbioru”.

– W takim razie żądam zmiany lekarza! – krzyknął Mielnicki.

– Nie zgadzam się! – minister Troszkiewicz huknął spod ściany. – Nie spotkałem lepszego doktora niż ten tutaj. Jak dogadał się z Kopciuszkiem, to i z Alusią się dogada.

– Z Kopciuszkiem? – Mielnicki spojrzał na teścia. – Ojciec – głos Mielnickiego zabrzmiał pobłażliwie – to ja decyduję...

– Mylisz się. – Troszkiewicz wstał przy pomocy kapitana Rabczki. – Decyduje doktor Opolski oraz Alicja. Nie jest ubezwłasnowolniona – podkreślił. – Alusiu, jak się czujesz? – Poglaskał córkę po policzku.

Milczała.

– Doktorze, co z nią? – minister zwrócił się do Opolskiego. – Co z nią tak naprawdę? Może pan już powiedzieć?

– Niestrawność psychiczna.

– To się leczy?

– Z powodzeniem. Będzie dobrze. Obiecuję. – Opolski odwrócił się w stronę Mielnickiego, który wydawał rozkazy kapitanowi Żurle. – Panie prokuratorze! Świeżych warzyw w tym roku nie będzie – krzyknął.

Prokurator zastygł w pół gestu.

Minister zakręcił palcem w uchu.

Kapitan Rabczko wyciągnął papierosy z kieszeni.

Kapitan Żurło podał mu zapałki.

Siostra Łucja próbowała odebrać Garbińskiej słuchawkę od prysznicza.

Sanitariusz Siodełko założył ręce na piersi. Czekał na rozwój wypadków.

Doktor Opolski okrył szyję Alicji szalem.

Po chwili zatrasnęły się za nim i za Mielnicką drzwi.

Z hukiem.

Ciężarówka z hukiem wjechała na latarnię.

– Jak leziesz, kretynko! – Z szoferki wyskoczył kierowca. Twarz miał czerwoną, pod szyją błękitny krawat, zieloną koszulę i czarne zęby (te, które mu zostały, nie trafiały jeden na drugi, zimno!).

„Jaki kolorowy człowiek”, pomyślała Baśka, zdziwiona, że zawiódł ostatni, najpewniejszy sposób na szybką śmierć. Wcześniej, raz, może dwa, przebiegło jej przez myśl, żeby wskoczyć do Boli albo

rzucić się pod pociąg. Jak przebiegło, tak odbiegło. Baśka panicznie bała się wody. A pociąg? Ciało po zderzeniu z pociągiem nie wyglądało najlepiej. O ile w ogóle wyglądało. Istniało prawdopodobieństwo, że służby nie odnajdą Basinej ręki, nogi albo, nie daj Boże, głowy. Nie chciała leżeć w trumnie rozkompletowana.

(Barbara z tłącym się papierosem usiadła w fotelu stojącym obok wielkiego łoża. Popiół strzepnęła na zniszczony parkiet. Założyła nogę na nogę. Po chwili obie nogi zarzuciła na parapet. Znowu odwróciła głowę w stronę lustra. Uśmiechnęła się do swojego odbicia sprzed lat. „Głupia kuro”, powiedziała na głos. „Ty naprawdę chciałaś się zabić?”)

– Nigdzie nie pójdziesz! – rozkrzyczał się kierowca. Podskoczył do Baśki i potrząsał nią ze złością. – Milicję trzeba wezwać! Szkodę zgłosić.

– Czy milicja bije? – zapytała Baśka.

– Jak trzeba.

– Na śmierć?

Baśka patrzyła poważnie na kierowcę.

– Pan odpowie. Bo jak bije na śmierć, to pan wzywa. Byle szybko.

Kierowca przyglądał się podejrzliwie Baśce. Niby zwyczajna. Niby normalna. Zajrzał dziewczynie w oczy. W lewym ujrzał gorączkę, w drugim rezygnację. Znał to spojrzenie. Na jego bloku w Oświęcimiu tak patrzyli ci, którzy stracili nadzieję i po których przychodziła śmierć. „Kto wie, po jakim ona obozie?”, pomyślał. „Swojaczki przecież nie będę kapować”.

Obok kierowcy i Baśki poczęli zbierać się gapie. Nie wiadomo skąd pojawił się również milicjant.

– Co zaszło? – zasalutował i położył rękę na pałce.

– Nic – odpowiedział kierowca. – Wszystko przez kota. Żeby nie rozjechać, wpakowałem się na latarnię. Tu ślady po hamowaniu – pokazał – a tu ślady po kocie. Towarzysz sierżant widzi.

Widział, ale i tak poprosił o dokumenty.

– Pan coś włoży na siebie – Baśka szepnęła do szofera. Styczeń tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego był śnieżny i mroźny. – Bo inaczej całkiem pan zamarznie. Nawet pan nie poczuje kiedy.

„Zamarznie? Zamarznie!”, zawołała w duchu.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc! – Pocałowała kierowcę w policzek i zniknęła.

Tego samego wieczoru, w rocznicę spotkania z drewnianą ręką w koźlęcej skórze, Baśka włożyła kożuch po ojcu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Pożegnał ją płacz syna, śpiew teściowej i nieobecność męża.

Ruszyła w stronę budy Tolka Siemaszki i w stronę znajomych ruin.

Postanowiła, że zamarznie w miejscu pokalania. „Że też wcześniej na to nie wpadłam. Że też wcześniej o tym nie pomyślałam”. O miłej, spokojnej, cichej śmierci. O łagodnym przejściu ze snu w Sen.

Tylko gdzie są ruiny?

Szukała i szukała. Nie znalazła. Barak Tolka zniknął, pamiętne gruzy ktoś posprzątał. Od przechodnia dowiedziała się, że niedługo zacznie się tutaj budowa gmachu partii.

Baśka położyła dookoła, pokręciła się, zmarzła, lecz nie zamarzła. Zrozumiała, że zmęczenie życiem nie zawsze prowadzi do śmierci.

I wróciła na noc do domu.

*

– Nie mam po co wracać do domu. – Alicja schowała drobne dłonie w rękawy płaszcza. – Zresztą od trzydziestego ósmego nie mam domu. Widzi pan? Forsycje kwitną. Mówiłam.

Jechali alejką w stronę cmentarza leżącego na terenie szpitala. Grzebano na nim pacjentów zakładu, mieszkańców Niedorośli oraz wszystkich, którzy pragnęli wiecznego odpoczynku w cieniu wysokich sosen.

– Jakiś pogrzeb chyba, widzi pan? – Mielnicka zmrużyła oczy. – Chodźmy. Pogrzeby są lepsze niż wesela. Nie rozumiem, dlaczego ludzie na nich płaczą. Po śmierci człowieka nie może już nic złego spotkać. To dobra perspektywa. Mogę sama?

Tadeusz zatrzymał wózek.

Alicja z trudem się podniosła.

Podał jej ramię.

Ona wsunęła szczupłą rękę pod rękę doktora.

– Chce pan wiedzieć, czego tak naprawdę chce Ryszard?

– Nie jest moim pacjentem, więc nie bardzo – odrzekł ordynator. – Interesuje mnie to, czego pani chce i potrzebuje.

Alicja spojrzała z wdzięcznością na Tadeusza.

– Słyszał pan o Dawidzie Fiszu?

Zaskoczony Opolski zaprzeczył.

– Dawid Fisz. Łódzki Żyd. Mój dziad. Przed wojną był właścicielem dwóch fabryk włókienniczych, jednej obuwniczej, kilku zakładów odzieżowych. Miał pieniądze i talent do unikania kłopotów. W trzydziestym trzecim wyczuł pismo nosem, trzeba było być durniem, żeby go nie wyczuć, prawda? – Na twarzy Alicji pojawiły się rumieńce. – Sprzedał więc wszystkie dobra i postanowił wyjechać do Ameryki. Pieniądze złożył w jednym ze szwajcarskich banków. Wyjazd do Nowego Jorku opóźniła śmierć Sary Fiszowej, mojej babki. Kilka miesięcy po pogrzebie żony przezorny Dawid Fisz uczynił Danutę, swoją jedyną córkę, a moją matkę, spadkobierczynią fortuny.

– Więc Dawid Fisz...

– W trzydziestym piątym wpadł pod koła samochodu. Dzień po spisaniu testamentu. Nie wiadomo, czy to był wypadek, czy sam pan wie co. Matka stała się dziedziczką majątku, który zapisała mi przed swoją śmiercią.

Opolski słuchał coraz bardziej zainteresowany.

– W testamencie mojej matki pojawił się jednak istotny warunek. Warunek, jakby to powiedzieć, bezpieczeństwa. Po pierwsze: pieniędzmi nie miał prawa w żaden sposób zarządzać w moim imieniu jej były mąż – Troszkiewicz, mój ojciec. I po drugie: jeśli popełnię samobójstwo lub umrę w sposób naturalny przed upływem trzydziestu lat od jej śmierci, pieniądze trafią na konta jej amerykańskich kuzynów.

– Chciała panią zmusić do życia?

– Możliwe.

– A po upływie tego czasu?

Alicja i Tadeusz zbliżali się do cmentarza. Dobiegł ich śpiew księdza i żałobników, którzy przybyli pożegnać zmarłego.

– Czas już upłynął. – Prokuratorowa zatrzymała się, aby zaczerpnąć tchu. – Dwa miesiące temu stałam się jedyną właścicielką majątku. Mielnicki próbował wymóc na mnie darowiznę, współwłasność lub odpowiedni zapis w testamencie.

– Chciał, żeby pani napisała testament?

– U znajomego notariusza. I podpisała w obecności świadków.

– Zrobiła to pani?

– Nie. Dlatego zamknął mnie tutaj. Ubezwoławienie to jedyna droga, by dostać się do pieniędzy Fiska.

Opolski i Mielnicka przekroczyli bramę cmentarza.

– Niech pan popatrzy, jaka młoda wdowa.

Opolski przyjrzał się kobiecie. Odniósł wrażenie, że już ją widział, że z nią rozmawiał, że widział nawet zarys jej piersi.

– Wie pan, jaki jest Ryszard. Jeśli się uprze, osiągnie każdy cel. I kiedy przyjdzie pora, zemści się.

Tadeusz naraz przypomniał sobie. To Anna Łoś-Niechciał. Pielęgniarka ze szpitala miejskiego. Ta ze świeżą obrączką na serdecznym palcu prawej dłoni. Ta sama, która widziała Opolskiego w kompromitującym stroju Edzia Łaniewskiego.

– A szlafrok? Skąd miała pani szlafrok z paskiem? – Tadeusz gapił się na pielęgniarkę.

– Od Kopciuszka. Dostała prezent ślubny od księcia. Zna ją pan?

– Wraz z długoletnią historią choroby.

– Pytam o kobietę w czerni.

Całą w czerni. Czarny płaszcz, beret, pończochy, pantofle, rękawice, chusteczka, torebka na ramieniu, ciemne okulary. W żałobnej czerni wyglądała bardziej pociągająco niż w szpitalnej bieli. Ordynator znowu poczuł, że brakuje mu miejsca w luźnych spodniach.

– Pisarz lepiej by tego nie wymyślił. – Alicja dotknęła ramienia Opolskiego zapatrzonego w Annę Łoś-Niechciał. – Proszę spojrzeć.

Spojrzał, ale na Mielnicką. Uśmiechała się.

– Już teraz pan rozumie, dlaczego uwielbiam pogrzeby? – Alicja wskazała na świeżo usypany kopiec ziemi.

Tadeusz wyłowił w powodzi wieńców maszt krzyża. Na tabliczce przeczytał:

†
BOGUMIŁ NIECHCIAŁ
ur. 16 XI 1940
zginął śmiercią tragiczną
3 IV 1968
BÓG TAK CHCIAŁ

– A pani, Alicjo, dlaczego pani wyszła za Mielnickiego?

Dookoła powstał rejwach. W kolejce do wdowy ustawił się tłumek pocieszycieli. Głównie mężczyzn. Zaszumiały kondolencje. Zaszleściły ostatnie modlitwy.

– Zakochałam się. Tak po prostu.

Gdyby Tadeusz zapytał tak po prostu: „Dlaczego chciałaś się zabić?”, Baśka opowiedziałaby. O drewnianej dłoni, o strachu przed zapachem świeżo wyprawionej skóry, o lęku przed obłąkanym dzieckiem. Ale młody mąż, który właśnie został studentem medycyny, wiecznie zajęty, wiecznie z nosem w książkach, nie zapytał. Nigdy nie zapytał. Prawdopodobnie nigdy nie zauważył. Sraczka, rozcięta ręka, pozostawiony w piwnicy szalik były tylko sraczką, rozciętą ręką i pozostawionym w piwnicy szalikiem, a nie dowodami na melancholię i na zmęczenie życiem.

Barbara wstała z fotela. Zarzuciła na lustro swój płaszcz. Wystarczy tego patrzenia w przeszłość. Otworzyła okno. Pomyślała, że po niedzieli powinna kupić boczek, wątróbkę i łatę wołową na pasztet, tuzin jaj do kraszenia, mąkę żytnią na żur, mąkę pszenną na ciasta i drożdże. Wielkanoc za pasem. Nawet jeśli nikt nie będzie jadł, ona przygotuje wszystko na świąteczny stół. Przecież potrafi.

„Szmaaaty-butelki-kupuję-szmaaaty!”, usłyszała za oknem.

Ulicą, przez środek miasta, przejeżdżała furmanka. Koń człapał noga za nogą, na koźle siedział chłop i wydierał się.

Zatrzymał wóz, rozejrzał się i czekał.

Opolska odwróciła się w stronę drzwi. Posłyszała i natychmiast rozpoznała kroki na klatce schodowej. Ktoś zapukał w umówiony sposób do drzwi (nie ruszyła się, żeby otworzyć). Ktoś przekręcił klucz w zamku.

Dwie i pół godziny spóźnienia. Zaraz powie, że...

– Ty wiesz? Ty wiesz, co dzisiaj usłyszałem? Że w tym roku nie będzie świeżych warzyw!

Na środku pokoju pojawił się prokurator Mielnicki. Nie zdjął ani płaszcza, ani kapelusza, tylko buty. Buty zawsze ściągał i zostawiał w korytarzu.

„Prawdziwy syn szewca”, nie mogła się powstrzymać Opolska. Tak kiedyś o Mielnickim wyraził się Tadeusz, kiedy minęli się bez słowa w parku Przyjaźni przy okazji świątecznej przechadzki. „Syn szewca. Nikt więcej”.

– Żadnych warzyw! – powtórzył prokurator.

Po raz pierwszy widziała go tak zirytowanego. „Nie ma lepszych powodów do nerwów niż jarzyny?”

Ale to właśnie jarzyny połączyły ich dwa lata wcześniej. Spotkali się na Rynku Siennym, na którym można było kupić wszystko. On szukał skorzonery. Ona kupowała dorsza na obiad. On ukłonił się i powiedział, że kojarzy jej twarz. Ona podziękowała i zapłaciła za rybę. On powiedział, że jedzie w stronę osiedla Gromada i że chętnie podwiezie Barbarę. Ona nie zapytała, skąd zna jej adres. Na nieszczęście rozpadał się deszcz. Buty Barbary zaczęły przemakać. Skorzystała z propozycji. Kiedy wysiadła z samochodu Mielnickiego, ten zaprosił ją do Romantycznej na obiad. Ona odmówiła. On spotkał ją znowu na Rynku Siennym i zaprosił do Fraszki. Ona tym razem nie odmówiła. Miała słabość do pączków. Spotykali się od czasu do czasu. Z tym, czego chciał Ryszard, zwlekała pół roku. Wtedy on kupił, a może wynajął, nigdy o to nie zapytała, garsonierę pustą jak Barbara. Bez telefonu (nikomu nie jest potrzebny), bez mebli (nikt przecież tu nie mieszka), z gołymi ścianami (żeby było widać wszystkie pluskwy i karaluchy, z insektami kłopot większy niż z ludźmi – trudno je wytłuc). Najważniejsze było łóżko.

– Nie będzie świeżych warzyw? Skąd takie rewelacje? – zapytała Barbara, marszcząc nos ze zdumienia. Dobrze wiedziała, że warzywa będą. Znała się na nich lepiej niż chłopci z...

– Z targowiska. – Mielnicki zdjął płaszcz, kapelusz i marynarkę. – Wiem to z targowiska.

– Spóźniłeś się.

– Przez pracę.

– Znowu trup? – Barbara włożyła buty.

- Niedoszły.
- Znaczy: półtrup. – Schyliła się. Zapięła zamki w cholewkach kozaków. – Jak my wszyscy.
- Co masz na myśli?
- I mnie, i tobie zdaje się, żeśmy żywi. – Zamknęła wypaczone okno. Między okiennicami pozostała szeroka szczelina. – Błąd. Jesteśmy tylko nieumarli. Tylko nieumarli. Żyjące półtrupy.
- Wychodzisz?
- Mielnicki przywarł do Barbary. Kant parapetu wbił się w jej kręgosłup.
- Zostało pół godziny.
- Nie dzisiaj. I nie jutro. Ani za tydzień. – Opolska uwolniła się z uścisku. – Niedawno straciłam twoje dziecko.
- Moje dziecko? – Mielnicki odsunął się od kobiety.
- Straciłam. Więc wszystko dobrze się skończyło.
- Narzuciła płaszcz na plecy i bez pożegnania wyszła z garsoniery.
- Nie zobaczyła ani wściekłej miny Mielnickiego, ani jego pięści lądującej w materacu łóżka.
- Starocie! Tektury! Makulatury! Ktomaniechda! – rozdarł się znowu chłop na furmance. Strzelił biczem. Koń ruszył. – Skupię! Odkupię! Zbiorę! Zbiorę!
- Barbara podbiegła do wozu.
- Szmaaaty-butelki-kupuję-szmaaaty!
- Wskoczyła na furę z wprawą dziewczuchy ze wsi.
- Szmaaaty!

7.

– Szmaaaty-butelki-kupuję-szmaaaty!

Paweł zatrzymał się na środku chodnika. Drogą przejechał wóz z gałganami i rupieciami.

Opolski przypomniał sobie, jak nie raz, nie dwa, nie trzy, wspólnie z kolegami wskakiwał na furmankę szmacciarza Fafuły. Razem z chłopakami rzucał się w szmaty, nurkował w makulaturze, dopóki nie poczuł na plecach (on i jego druhowie) smagnięć biczyka. Wtedy zeskakiwał razem z resztą chłopaków i czekał na następną okazję.

„Szmaaaty-butelki-kupuję-szmaaaty”.

Znowu poczuł ochotę, żeby to zrobić, żeby skoczyć na furę szmacciarza i ruszyć przed siebie. Znowu chciał mieć dziesięć lat, dziury w spodniach i w skarpetach, chleb z dżemem w dłoni, smarki pod nosem i tylko jeden kłopot: jak przejechać furmanką Fafuły na drugi koniec miasta, jak później dostać się do ogrodu Walendziaka, by garściami kraść i pakować do gęby owoce czarnej morwy.

Teraz usta miał pełne przekleństw.

W południe wyruszył do centrum, żeby wreszcie rozejrzeć się za robotą. Nie chciał dłużej siedzieć na karku ani babce, ani zawracać głowy starym brakiem pieniędzy. Nie chciał słuchać pytań Andrzeja, czy już poprosił ojca o kieszonkowe. Postanowił, że zacznie działać.

Zaczęło się już rano.

Najpierw sprawa z Ewą. Zupełnie nie rozumiał, o co poszło stukniętej sikorce. Że powiedział do niej kilka razy „Ewuniu”? Taki miał zwyczaj. Do Hanki zwracał się „Haniu”. Do matki mówił „mamusiu”. Do kioskarki na Dzierżyńskiego „pani Marianko”. A do dwóch harpii z dziekanatu „pani Jadwiżko” oraz „pani Halszko”.

Tymczasem Mazurkówna rzuciła się na Pawła z pretensjami i żalami. O co? Nie do końca rozumiał. Po tym, jak zirytowana wybiegła z domu na Mickiewicza, Paweł wypił z babką Heleną kapkę

koniaku, zrobił z nią zakupy na targu i przy późnoporannej kawie przejrzał ogłoszenia w gazecie. Zakreślił kilka i wyszedł z domu.

Potrzebował pracy.

Najpierw odwiedził przybytek Temidy. Zamierzał złożyć podanie o jakąkolwiek posadę w jakimkolwiek sekretariacie jakiegokolwiek wydziału Sądu Okręgowego w Bolegoszczy.

– A może chciałby pan jako protokolant lub do pomocy w archiwum? – zapytała Opolskiego kierowniczką sekretariatu II Wydziału Cywilnego. Wyglądała jak Krystyna Loska za trzydzieści lat. Zmarszczona i zmęczona, kiedyś może nawet ładna, dziś zużyta i wymięta.

– Najchętniej. – Paweł poczuł, że los uśmiecha się do niego pełną gębą. O tak! Między papierami czuł się bezpieczniej niż między ludźmi.

– Nie tylko pan by chciał – fuknęła kierowniczką z satysfakcją. – U nas nic nie ma i długo nie będzie.

Na pożegnanie oddała Pawłowi podanie. Niech zabierze. Niech złoży gdzie indziej. Niech się nim najlepiej podetrze.

Opolski spojrział na pismo, które wystukał z trudem dwoma palcami na maszynie. Kawalek papieru. Kawalek życiorysu. Kawalek siebie. Może nie najciekawszy, ale na pewno nie do dupy. I na powrót położył papier na biurku Krystyny Loski za trzydzieści lat.

– Proszę to przechować. Nie wiadomo, kiedy się przyda – poprosił. – Tyle może pani dla mnie zrobić. Pani... Pani... Jak pani ma na imię? – zapytał kierowniczkę.

– Sławomira – burknęła.

– Pani Sławeczko – dokończył Paweł.

Po wyjściu z sądu odwiedził – zgodnie z planem – dyrektorów bolegoskich szkół. Tłumaczył, że mógłby uczyć historii lub polskiego, wyjaśniał, że jest absolwentem, to znaczy wkrótce będzie, Wydziału Prawa.

Szkolne władze patrzyły na Pawła podejrzliwie. Z daleka wyczuwały w nim marcowego chłopca i odsyłały do czorta na Kuliczki. A jeszcze lepiej na Zakuliczki. Stamtąd do Bolegoszczy autobus jeździ tylko cztery razy dziennie, a to w sam raz, żeby trzymać się z daleka od (każdej) historii.

Późnym popołudniem – choć nie miał na to najmniejszej ochoty – spotkał się z Maciejewską. Wierzył, że znajdzie kilka lekcji w podłej czwórce lub w jeszcze podlejszej odzieżówce. Nie znalazł.

Próg Synów Pułku przekroczył na miękkich nogach. Gabinet dyrektorki na miękkich i drżących. Znów poczuł się jak uczeń, którego Maciora przyłapała w dziewiątej klasie na paleniu w kiblu. Zapamiętał sobie przemowę dyrektorki: o obowiązkach uczniów wobec socjalistycznej ojczyzny, o miłości socjalistycznej ojczyzny do uczniów i o tym, że każdy recydywista zaczyna karierę od łamania szkolnego regulaminu.

Paweł omiótł wzrokiem gabinet Maciejewskiej. Na drewnianych półkach przybito kronik szkolnych. Ze ściany ubity: portret towarzysza Wiesława i paprotka.

– Więc szuka pan pracy? – Do wszystkich swoich absolwentów już dzień po maturze dyrektorka zwracała się, stosując oficjalne zwroty grzecznościowe.

Pięć lat po maturze Paweł odczuł naraz tęsknotę za licealną beztroską, czułość dla wszystkiego, co przeżył i czego nauczył się u Synów Pułku.

Dyrektorka przyglądała się Pawłowi zza kłębow dymu. Zapytała, czy Andrzej wspominał w domu o przygodzie profesora Stillera.

Nie wspominał.

Czekał na pytanie Maciejewskiej o przyczynę powrotu do Bolegoszczy. Nie doczekał się. Oczywiście. Maciora znała odpowiedź na każde, nawet niezadane, pytanie.

Po chwili poinformowała Pawła, że historyk, profesor Stiller, po krótkiej niedyspozycji wraca do pracy w najbliższy poniedziałek. „Kto wie?”, powiedziała Maciejewska. „Może gdyby pana brat uczył się w naszej szkole dłużej, etat po Stillerze zwolniłby się już dwa tygodnie temu. Na stałe”.

Paweł zapytał, co przeszkobił jego młodszy brat.

Maciejewska nie puściła pary z ust. Tylko dym.

„Proszę zajrzeć do mnie we wrześniu”, powiedziała na pożegnanie.

We wrześniu?

Pożegnał się z Maciorą, ukłonił się wypiętemu zadkowi Krowy i wyszedł ze szkoły. Zatrzymał się pod jednym z kasztanów.

Spojrzał do gazety, do działu ogłoszeń. Zakład Niteczka proponował posadę szwaczkom po szkole odzieżowej albo po kursach zawodowych. Zakład szklarski szukał szklarza. Przedsiębiorstwo budowlane – operatora dźwigu i kierowcy z prawem jazdy kategorii C. Urząd Pocztowy 5, ul. Smętna 16/18 – listonosza. Listonosza? Tak, właśnie to ogłoszenie Paweł zakreślił przed wyjściem z domu.

Popatrzył na swoje ręce.

„Pracą się nie skalają”.

W rzeczy samej. Opolski miał małe pojęcie o tym, jak wygląda maszyna do szycia, diament do cięcia szkła, dźwig widział tylko z daleka (operatora dźwigu nigdy), a samochodem od zakończenia kursu na prawo jazdy jeździł raptem kilka razy.

„Ręce mam nieskalane pracą”, powtórzył. „Cała nadzieja w nogach”.

Nogi miał silne i długie. W sam raz do pracy listonosza.

Narzucił kaptur budrysówki na głowę i ruszył w kierunku Smętnej.

Andrzej wyskoczył z autobusu w tym samym miejscu, w którym wsiadł do niego kilka godzin wcześniej. Na przystanku za mostem Wschodnim. Za długim na ponad sześćdziesiąt, a szerokim na prawie dwadzieścia metrów mostem łukowym.

Cofnął się od przystanku na środek kamiennej przeprawy. Zatrzymał się przy sierpie i młocie wyskrobanym na balustradzie z piaskowca. Stał przy wyrytym nożem, kawałkiem szkła lub gwoździem napisie: KOMUNISCI WON DO KRAJU ZDRAD. Mocno wychylił się i wbił wzrok w spieniony nurt rzeki. Miał nadzieję, że dostrzeże ciało Luby Stanisławskiej.

Zaklinał rzekę trzy kwadransy.

Czekał.

Doczekał się.

W oddali, tuż pod powierzchnią wody dojrzał długi, ciężki kształt pływający środkiem w stronę mostu. „To Luba! To musi być ona”. Andrzej nie wiedział, w jaki sposób wyłowić ciało. Miał nadzieję, że zatrzyma się na filarze między drugim a trzecim przęsłem mostu. Nic z tego.

Trup Stanisławskiej skręcił w stronę lewego brzegu. Podpłynął do leżącego w wodzie zwalonego zmurszałego drzewa z korzeniem na wierzchu. Zanurkował pod nim i wypłynął po drugiej stronie. Po chwili wylazł na brzeg. Podniósł głowę. Stał na tylnych łapach.

„To bóbr”, stwierdził Andrzej. „W dodatku walnięty. Przecież bobry wyłazą z nor dopiero w nocy”.

Przez chwilę miał ochotę utopić w Boli plecak z rosyjską literaturą. „Żeby Luba miała co czytać na dnie razem z walniętymi bobrami”. Rozmyślił się. „To jedyna pamiątka po niej”. Zarzucił ruzsak na ramię i wszedł na balustradę mostu.

Balansował między ziemią-wodą a niebem.

Między winą-karą a usprawiedliwieniem.

Krok do przodu za Włodka.

Dwa kroki do tyłu za Fabiana.

Krok w prawy bok za Lubę.

Krok w lewy bok za Stillera.

Z każdym kolejnym krokiem tracił kontrolę nad oddechem. Czuł coraz mocniejszy ucisk w piersi. Wdech sprawiał ból. Wydech nie przynosił ulgi.

Usłyszał za sobą upiorny dźwięk klaksonu.

Zachwiał się. Lewa noga omsknęła się na wilgotnym kamieniu. Prawa straciła siłę oraz moc. Przysiadł na balustradzie.

Na moście z piskiem opon zahamował samochód.

– Złaż, gówniarzu? Życie ci niemiłe? – Z okna wartburga wychylił się brodaty mężczyzna. – Chcesz skończyć pod wodą? Chcesz, żeby ojciec płakał, a matka do śmierci nosiła po tobie żałobę?

Andrzej nie zareagował. Patrzył na swoją lewą nogę, która wisiała za krawędzią mostu. Tak niewiele trzeba, żeby skończyć po drugiej stronie. „Luba na pewno poślizgnęła się. Nie mogła tego zrobić naumyślnie. Nie mogła. Tego nie można zrobić z własnej i nieprzymuszonej. Nie można. Ja bym nigdy. Nigdy”.

– Złaż, ale już! – Brodacz wyszedł z samochodu i ściągnął Andrzeja z mostu. Chłopak nie stawiał oporu. – Gdzie mieszkasz? – zapytał właściciel wartburga.

– Chuj ci do tego.

– Mnie do tego ani chuj, ani niechuj. – Brodacz podał rękę Opolskiemu, który siedział na krawężniku. – Wstawaj. Zawiozę cię do domu.

– Skąd pan wie, że ja mam dom? – szepnął Andrzej. Oddychał ciężko. – A może właśnie się wyprowadziłem? – Wskazał głową na plecak.

– Do śródmieścia czy z powrotem na Kuliczki?

– Pan kto? – Opolski pociągnął nosem. – Funkcjonariusz milicji na urlopie?

Andrzej czuł pulsowanie w lewej łydce i chyba krew spływającą w stronę skarpety.

– Do samochodu.

– Spierdalaj pan.

Brodacz chwycił chłopaka za skórzaną kurtkę i wepchnął na tylne siedzenie wartburga. Na jego kolana rzucił nieszczęsny plecak.

– Myślałeś, kretynie, że z obciążeniem łatwiej? – Trzasnął drzwiami samochodu.

Opolski nie miał siły krzyżeć, bronić się, walczyć.

Oparł głowę o szybę.

Zamknął oczy.

Dopiero teraz zrobił to, przed czym bronił się od samego rana.

Od chwili, kiedy Stanisławska zniknęła pod wodą.

Rozplakał się.

Ewa nie uwierzyła Cabanównie. Obawiała się jednak, że Cabanówna uwierzyła jej. Kłamstwo, którym nakarmiła Teresę, było gorsze niż prawda, którą wyznała dyrektor Maciejewskiej.

„Cierp z duszą, ciało, skoroś na wieczne potępienie nazmyślało”.

Zaraz po czynie społecznym Mazurkówna poczęła rozglądać się za bliźniaczkami Lewandowskimi. Zamierzała zestawić plotki zepsutej od pokoleń dziewczuchy z wersją wydarzeń wychuchanych klonów. Cabanówna tak naprawdę się nie liczyła. Jej babka podobno zmarła na syfilis, jej matka jeszcze trzy lata po wojnie chodziła z ogoloną głową, a sama Cabanówna puszczała się jak płyta gramofonowa na wysokich obrotach. Lewandowskie były inne. Ewa nie wierzyła, że w ogóle trzymają z kimś takim jak Teresa. „Sama zapytam. Lecz jeśli potwierdzą, że Andrzej z nimi, to... To nie wiem”.

Rozejrzała się uważnie. „Gdzie one się podziały? Czyżby zwiały – tak jak Opolski – z przemysłowych robót? Może tam”.

Poszła na koniec alejki, na przystanek autobusowy.

– Świerszcz, widziałeś Lewandowskie? – Ewa zapytała Bolka, który stał pod wiatą na przystanku.

– Ani trochę. – Chłopak wycierał wilgotne ręce o spodnie.

„Co on tymi łapami robił? O matko...”

– A może wiesz, gdzie one mieszkają?

– Może wiem, a może nie wiem – odpowiedział.

– Wiesz. Łaziłeś za nimi razem z Opolskim.

– Gówno prawda. To one łaziły za nami.

Ewa zmarszczyła czoło.

– Cabanówna też za wami łaziła? – zapytała podejrzliwie Ewa.

– Nie.

– W każdym razie znasz bliźniaczki.

– Znam. Ryta i Zyta się nazywają – odpowiedział.

„Co za imiona!”, pomyślała Ewa. Zawsze tak myślała, kiedy spotykała się twarzą w twarz z trzymającymi się pod rękę siostrami. Podobno czymś się różniły. Podobno subtelnymi szczegółami. Ale jakimi?

– Powiedz, gdzie mogę je znaleźć?

Bolek splunął. Rozejrzał się. Profesor Lament zniknęła pół godziny wcześniej razem z profesorem Grabkiem. Trzymała go pod rękę. Młodzież w niewielkich grupach rozchodziła się do domów. Dopiero teraz sięgnął do kieszeni po papierosy i zapałki.

– Do kina ze mną nie chciałaś. – Świerszcz trzymał giewonta między palcem środkowym a serdecznym.

„Żeby ci ich tylko nikt nie uciał”, pomyślała Ewa. „Inaczej kłopot”.

– Pogardziłaś filmem, który wzruszył Cabanównę.

– Bo go dzisiaj oglądałam. Jezu, Bolek. Przestań się wygłupiać.

– A teraz interes chcesz załatwić. – Bolek przyglądał się zapałkom. – Wiedziłaś? – Pokazał Ewie obrazek na pudełku.

– KONCENTRATY SPOŻYWCZE OSZCZĘDZAJĄ CZAS – przeczytała Mazurkówna. – Nie wiedziałam.

– To co? Pójdiesz ze mną do kina? *Ja, twój syn.*

– Ty mój syn?

– Film taki grają. Węgierski. Inny niż ten, co ty dzisiaj.

Bolek położył rękę na ramieniu Mazurkówny.

Ewa poczuła się tak, jakby właśnie zjadła rozgotowany kwiat kalafiora z zasmażką z bułki tartej i margaryny. Jakby kalafiorowa obrzydliwość pęczniała jej w ustach.

– Pójdę z tobą do kina. Za tydzień w sobotę – obiecała Ewa. – Naprawdę pójdę.

„Ale do spowiedzi. I to jeszcze dzisiaj. Z kolejnym kłamstwem na sumieniu”.

– Na Rybakach. Gdzieś za kościołem Świętego Wawrzyńca. – Bolek przydeptał niedopałek. – Tam Ryta i Zyta mieszkają. Słyszałem, jak mówiły, że przed ich domem rośnie dąb. Nie wiem, nigdy nie byłem. Jak chcesz, pomogę ci szukać.

– Nie trzeba.

Bolek zwiesił głowę.

– Chociaż... – Mazurkówna pożałowała Świerszcza. Dmuchnęła, a wystająca spod czapki grzywka podskoczyła zalotnie w górę.

„Świerszcz też człowiek”, pomyślała.

Uświadomiła sobie, że w zeszłym roku przez czterdzieści dni Wielkiego Postu nie dotknęła salcesonu, kiełbasy i wątróbki. Żywiła się modlitwą, czynami pokutnymi, gestami miłosierdzia, których ojciec nie zauważył, a Renata wykorzystwała (zabieraj się do fastrygowania wykrojów!).

Tegoroczny Wielki Post okazał się całkiem inny. Jeśli nawet Ewa poczyniła w Wielką Środę zobowiązania, o wszystkich zapomniała zaraz po spotkaniu z Pawłem. Teraz, kilka dni przed Triduum Paschalnym, postanowiła nadrobić duchowe zaniedbania i okazać Bolkowi chrześcijańską wielkoduszność i miłosierdzie.

– Właściwie możesz coś dla mnie zrobić? – Ewa położyła rękę na ramieniu Świerszcza.

– Co tylko zechcesz.

– Upoluj kilka koncentratów spożywczych.

– Po kiego? – Bolek nie pojął.

– Żeby oszczędzić trochę czasu. Na przyszłą sobotę. Na kino.

– Trochę czasu? W dodatku w sobotę przed końcem roboty? Panie, ja nie mam nawet trochę czasu na to, żeby słuchać pana

historii. Że pan jesteś prawnik? A co mnie to? – Rajmund Byk, naczelnik Urzędu Pocztowego nr 5 przy ulicy Smętnej 16/18, parzył ziółka śmierdzące jak wyciąg z żołnierskich onuc. Zalewał susz wrzątkiem.

Paweł rozglądał się.

Na ścianie, w lewej gablocie, wisały podobizny przodowników poczty (czterech mężczyzn, dwie kobiety), w prawej gablocie pyszniła się wystawa znaczków pocztowych.

– Ja tu potrzebuję wysoko wykwalifikowanego doręczyciela. – Rajmund Byk postawił parujące paskudztwo na swoim biurku.

– Niech pan spojrzy, panie naczelniku. Jestem wysokim doręczycielem – odpowiedział Paweł.

– Referencje gdzie? – Naczelnik wyjął łyżeczkę ze szklanki.

– Wzrost nie wystarczy? Metr dziewięćdziesiąt dwa. Wysoko wykwalifikowany wzrost.

– Panie, wynoś się pan i nie zawracaj gitary.

– Jak nie referencje, to może znajomości? – Paweł stał przed biurkiem naczelnika jak przed komisją poborową. Tak mu się przynajmniej wydawało. Żaden pobór go jeszcze nie chwycił i miał nadzieję, że nie chwyci. Wojska obawiał się bardziej niż piekła babki Heleny.

– A kogo pan znasz, że ja go też znam, a na dodatek szanuję, co? – Naczelnik upił gorących ziółek. Skrzywił się. Wypluł na podłogę trociny z naparu. – Zabije mnie ta moja stara. Zabije. Ona i to suszone łajno na serce.

– Na przykład znam swojego ojca – powiedział Paweł po namyśle.

– To masz pan szczęście.

– Chciałem powiedzieć – starszy Opolski wydobył z pamięci opowieści babki o tym, jak za okupacji czyściła mundur Tadzia codziennie przed jego wyjściem do pracy – że mój ojciec był listonoszem.

– Kiedy?

– W... – Paweł zmarszczył czoło. – Od czterdziestego drugiego do połowy czterdziestego piątego.

– W Bolegoszczy?

– Tak – odpowiedział Paweł z nadzieją. – Gdzieś w tym rejonie.

– Od czterdziestego drugiego do czterdziestego piątego to ja, panie, w Breslau na kolei robiłem. Nie znam listonosza Opolskiego. Zostaw mnie pan już w świętym spokoju.

– Ale...

– Słuchaj pan, panie z wysoko wykwalifikowanym wzrostem, idź pan już i pozwól mi ziółka bez nerw wypić.

– Wypić? – Andrzej podniósł głowę na brodacza. – Mam to wypić?

– To gorąca herbata. Dwie łyżeczki cukru. Mocna i dobra. Najlepsza na skołatanie nerwy. Wypij, nawet jeśli nie słodzisz.

Andrzej siorbnął. „Paskudny ulepek”. W dodatku w metalowym kubku. Parzył nie tylko usta, dłonie również.

– To jak mam się w końcu zwracać? Bo nie wiem.

– Normalnie. Jak wszyscy.

– Normalnie, czyli jak? – Andrzej znowu zanurzył usta w za słodkim czaju. Uświadomił sobie, że oprócz kilku kęsów kanapki z baleronom na śniadanie i pomidora, którego w końcu zżarł Weiter, nic nie jadł. Kiszki młodszego Opolskiego zagrały, może nie marsza, ale na pewno cichą poleczkę.

– Głodny jesteś?

– Najpierw formalności.

– Wystarczy Wojtek. Bez „ksiądz”.

„Ksiądz, kurwa, Wojtek”, zaklął Andrzej. Brodacz z wartburga to „ksiądz, kurwa, Wojtek”. Powinien był na to wpaść zaraz po tym, jak zobaczył parterowy dom w pobliżu kościoła.

– Ksiądz z brodą?

– Nie bywam na salonach u biskupa, więc noszę się, jak lubię.

– A ten bałagan, to może plebania jest?

– Kuchnia na plebanii. Wolisz przejść do kancelarii? Żeby było bardziej formalnie? Drzwi po prawej zaraz przy wejściu.

Andrzej rozejrzał się.

Kuchnia jak kuchnia. Tylko na ścianie półmetrowy drewniany krzyż oraz podobizna Pawła VI. Żadnych ozdób. Żadnych roślin. Żadnych zasłon w oknach. Dębowy stół, trzy krzesła, jeden taboret.

– Tu jest dobrze. – Opolski dopiero teraz zdjął kurtkę. Poczł kolejną falę zmęczenia oraz pulsowanie w skroniach.

– Nie mam gospodyni. Nie mam wikarego. Organista zwolnił się przed miesiącem. – Ksiądz podszedł do kuchenki. Włączył gaz. Postawił patelnię. Wrzucił na rozgrzaną blachę trochę masła. Osiem jaj. Sól. Pieprz. – Ministrantów dwóch w trzech rzędach. Wierni w tej bogatej dzielnicy tak skąpi, że nie mam pieniędzy, żeby zimą zapłacić za ogrzewanie w kościele, a latem za remont dachu. Przecieka. Więc nie grzeję, a w dodatku wiernym się leje na łeb. Przychodzi coraz mniej ludzi.

– Może księdza... znaczy twój wartburg kłuje ich w oczy?

– Prosiłem ojca, żeby mi nie kupował. Uparł się.

– Fajny stary.

– Pan Bóg sześciu szklarni z goździkami, sześciu z różami i czterech z pomidorami.

Andrzej głęboko wciągał unoszący się w kuchni zapach.

– A ta parafia to jaka?

– Świętego Wawrzyńca.

– Co to za jeden? – Przed Andrzejem wyrósł talerz z pachnącą jajecznicą. I z czarnym chlebem na desce do krojenia. Ksiądz Wojtek rzucił w stronę Opolskiego aluminiową łyżkę. Andrzej przygryzł wargi. Łyżką w domu jadał tylko zupy.

– Patron ubogich. Zasuważ, bo wystygnie. – Klecha przysunął do siebie swój talerz. – Co się zastanawiasz? No, wcinaj. Sraczki nie dostaniesz. Przysięgam. To z nieświęconych jajek. Święcić będę dopiero za tydzień.

Andrzejowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skończył jeść, zanim brodacz zaczął.

– Na samobójcę nie wyglądasz – powiedział pleban.

– Bo nie zamierzałem. – Andrzej wytarł usta. Popił jajecznicę ulepkim. – Mógłbym dostać trochę wody?

– Woda w kranie żółtozielona i śmierdząca. Mam tylko piwo. Chcesz?

Chciał.

– Skończyło się. – Ksiądz trzasnął drzwiczkami miniaturowej lodówki. – Mleko może być?

– Tak – odpowiedział.

– Mój brat. Romek. Dziesięć lat temu w lipcu... W lipcu? Tak, w lipcu będzie rocznica, nakładłem pacanowi niecenzuralnie do łba – zaczął ksiądz, podając Andrzejowi mleko w kubku, którego nie wypłukał po wylanej do zlewu herbacie.

Opolski milczał.

– Już taki jestem, że co w sercu, to na ozorze, a ozór niewyparzony. Nie stępiły go ani pielgrzymka do Częstochowy, ani woda z cudownego źródła pod Białymstokiem.

– Co z nim?

– Jeszcze go nie uciąłem.

– Z bratem, nie z językiem.

– Romek. Uczyć się nie chciał. Wymyślił, że zamiast zdawać maturę, ucieknie na Zachód. Tłumaczył, że z ojcem nie będzie pracować. Wszystko, tylko nie to. Żadnej roli. Żadnych szklarni. Powiedziałem mu, co myślę. Wyszedł z domu. Nie wrócił. Szukaliśmy go do końca sierpnia. Do końca października mieliśmy nadzieję. W listopadzie matka zaczęła płakać jak po zmarłym. Wędkarz trafił na jego ciało pół roku później. Złowił głowę brata denata na mormyszkę.

– Pewnie wypadek.

– A we mnie poczucie winy jak po jego spowodowaniu. Poczucie winy, które nigdy nie mija. Nigdy. Trzeba z nim żyć. Patrzyć na własną gębę po przebudzeniu i przed snem. Nie myśleć na modlitwie. Nie czekać na cud. – Ksiądz Wojtek grzebał łyżką w jajecznicy. – Wiesz, co jest najgorsze?

Andrzej nie wiedział.

– Że rozgrzeszam innych, a siebie nie mogę. Nie istnieje wystarczająca kara ani zadośćuczynienie za to, co zrobiłem. Przeżyłeś kiedyś coś podobnego?

Opolski sięgnął po plecak. Położył go sobie na kolanach, jakby za chwilę znowu miał wyruszyć w drogę.

– Nie.

– I dziękuj Bogu. Bo ja drugi raz też bym nie przeżył. Gdybyś skoczył do Boli tuż przed moim nosem, musiałbym walnąć się za tobą.

Andrzej przypomniał sobie kilka pojęć z katechezy (Bóg, miłosierdzie, nadzieja, niebo), na którą chodził tylko do pierwszej

komunii na wyraźne życzenie babki. Przestał zaraz po. Na wyraźne życzenie matki.

– A ten ksiądz...

– Twój.

– ...ten twój Bóg? On ci nie daje nadziei? – zapytał z zażenowaniem. Nigdy nie używał tak wielkich słów.

– Na co?

– Na wybaczenie – powiedział Andrzej.

– Modlisz się czasem?

– Nie.

– Bóg to mistrz milczenia, nie wybaczenia. Ugnij tylko kolana i złóż ręce do pacierza. Przekonasz się, że modlitwa to droga z dołu do góry. – Ksiądz Wojtek wstał od stołu. Zebrał talerze. Andrzeja pusty, swój pełny. – W drugą stronę nigdy. Góra, widzisz, od dwóch tysięcy lat ani razu nie zeszła na dół, do ludzi. Bluźnię. Wiem. Spadaj już. Ale prosto do domu. Żadnych wycieczek nad rzekę. Jasne? Tu masz – sięgnął do kieszeni, wyjął banknot, zawahał się, wyjął jeszcze jeden – na taksówkę. Odwiózłbym cię, ale za pół godziny zaczynam wieczorną mszę.

– To po śmierci brata poczuł ksiądz...

– Wojtek.

– ...poczułeś? No wiesz. Powołanie? – zapytał Andrzej.

– Powołanie? Powołanie nie istnieje. – Klecha wstawił talerze do zlewu. Odkręcił mocno wodę. Prysnęła na ściany i na podłogę. – Tylko decyzja.

– Jaka decyzja?

– O służbie. Teraz chciałbym zostać sam.

– Sama? Przyszłaś sama? – zapytały niemal jednocześnie Ryta i Zyta. Nie otworzyły furtki. Nie zaprosiły Ewy do środka. Zatrzymały dziewczynę na chodniku, przed wejściem do starego ogrodu i do równie starego domu przy Kiepskiej 17, przed którym – tak jak mówił Bolek – rósł rozłożysty dąb. – To z kim ty będziesz tańczyć?

Mazurkówna nigdy wcześniej nie wyprawiała się w te rejony miasta. Na Rybakach nie mieszkaly córki martwych matek i grabarzy z obcięzonymi palcami. Nazwy rybackich ulic pasowały jednak bardziej do bolegoskiej biedoty niż prominenckiej śmietanki: Smętna, Licha,

Krzywa, Mizerna, Kulawa, Marna, Chwiejna, Zmienna, Tandetna, Nietęga, Bezbarwna, Szara, Powszednia i Mdła.

Do Świętego Wawrzyńca Ewa też nie chodziła. Po pierwsze, nigdy nie było jej po drodze. Po wtóre, Helena Opolska odmawiała wizyt w tym kościele. Nawet w czasie odpustu. Kiedy Ewa zapytała dlaczego, wymruczała tylko: „Od tego wszystko się zaczęło”. Nic więcej.

– Sama przyszedłam – odpowiedziała Mazurkówna.

Pięknie! Tylko ona mogła przybłąkać się bez towarzystwa na prywatkę, na którą nie została zaproszona. Pożałowała, że nie wzięła ze sobą Bolka.

Z piętra domu dobiegały dźwięki głośniejszej muzyki. Ewa nie mogła rozpoznać, czy to polski, czy niepolski przebój.

– Nie zaprosił cię? – powiedziała chyba Ryta.

Ewa zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przegrałam zakład – zachichotała chyba Zyta.

Mazurkówna gapiała się na siostry Lewandowskie. „Podwójne jak po koniaku Heleny Opolskiej”. Bliźniaczki wyglądały tak samo, mówiły to samo. Jedna zaczynała, druga kończyła w pół słowa, w pół zdania, w pół myśli. Jedna była nieznacznie wyższa od drugiej. Ale czy Ryta od Zyty, czy Zyta od Ryty, tego już Mazurkówna nie potrafiła stwierdzić.

W powietrzu unosił się zapach ziemi. Ewa zerknęła za ogrodzenie. Świeżo skopane rabaty.

Chłopak, którego Ewa nie знаła, wychylił się z okna.

– Zyta, Ryta, wino się skończyło! – krzyknął. – Gdzie znajde?

– Nie spotkałaś Opolskiego? – zapytała chyba Ryta.

– Nie. – Ewa poczuła, że torba, o której zapomniała po rozmowie z Cabanówną, znowu zaczęła ciążyć. Włożyła rękę do listonoszki. Pogrzebała. Pogmeręła. Na coś trafiła. Czegóż dotknęła. Zbladła.

– Od dwóch godzin czekamy na niego – poinformowała chyba Zyta.

– Myślałyśmy, że przyjdzie z tobą.

– Nie wiem. – Ewa wyjęła rękę z torby. Natychmiast musiała się wypowiadać. Wyrzucić z siebie wszystkie kłamstwa i niegodziwości. Własne i cudze. Inaczej umrze bez pojednania z Bogiem. – Nie mam pojęcia, gdzie Andrzej...

– A wino? – rozdarł się znowu ten z okna.
– W piwnicy! – Chyba Zyta krzyknęła w stronę okna. – Bierz butelki tylko z dolnej półki! Z górnej ani się waż, inaczej ojciec uszy nam poobrywa!
– A szczurów nie ma? – Chłopak beknął głośno i zaśmiał się jeszcze głośniej.
– Żadnych! – krzyknęła chyba Zyta. – Oprócz ciebie, kretynie – dodała normalnym głosem. – Syn kierowniczkii przychodni. Matka kazała zaprosić.
– Na prywatkę – powiedziała chyba Ryta.
– urodzinową – dodała chyba Zyta.
– Sądziłyśmy –
– że Andrzej –
– przyhalsuje z tobą.
– Że mu wybaczysz.
– Co mu wybaczę? – Ewa zgubiła się w opowieści sióstr.
– Że zaczął kręcić z Jaśką Pękałą.
– Założyłyśmy się nawet, czy wybaczysz, czy nie wybaczysz.
– Ja przegrałam.
– Ja wygrałam.
– Mnie z nim nic... – próbowała zaprotestować Ewa.
– Już wszyscy wiedzą, że ty z nim na całość.
– Chociaż wcześniej myśleli –
– że z ciebie wieczna cnotka –
– idiotka.
– Opowiedz, jak było, a wpuszczymy cię na górę.
– Mów. – Siostry zbliżyły się do ogrodzenia. Nastawiły uszu. Ewie zakręciło się w głowie. Torba spadła na szczerbaty chodnik.
– Uważaj, złotko –
– bo błotko.
Bliźniaczki zachichotały.
Ewa oparła się o ogrodzenie. Próbowała utrzymać równowagę.
– Wszyscy też wiedzą, pewnie od Cabanówny, no bo skąd, tylko ona orientuje się w takich sprawach – z trudem podniosła głowę – że Opolski z wami też się bawił.
Ryta i Zyta zamilkły.

- Że grał z wami, tam, na górze, w waszym pokoju, w grę.
- W jaką grę? – siostry zapytały jednocześnie.
- Znajdź dziesięć różnic między nagimi bliźniaczkami i zaznacz ołówkiem kopiowym. To prawda?

Mało brakowało, żeby bracia spotkali się twarzą w twarz.

Paweł po wyjściu z Urzędu Pocztowego nr 5 nie miał ochoty wracać do domu babki. Mierzył go kolejny wieczór z nadopiekuńczą staruszką. Skręcił więc w prawo, w dół ulicy Smętnej i ruszył w stronę kościoła Świętego Wawrzyńca. Był w nim tylko raz, w piątej lub w szóstej klasie podstawówki, na pogrzebie ojca Fredka Trzeciaka. Sam Fredek Trzeciak mieszkał gdzieś przy kościele. Paweł miał nadzieję, że przypomni sobie adres starego kumpla i zajrzy do niego pod pretekstem przypadkowej przechadzki po okolicy. Podobno Fredek pracował w Urzędzie Miasta w Referacie Zagospodarowania Przestrzennego. Paweł postanowił, że najpierw poklei durnia, a następnie zapyta o robotę w biurze.

Zatrzymał się przy kościele, przy tablicy ogłoszeń. Jedno z nich przykuło jego uwagę. Po chwili ruszył za kościół, wzdłuż muru, w stronę plebanii. Zatrzymał się przed drzwiami. Zadzwoił. Kiedy pojawił się proboszcz, zadał mu kilka pytań.

Ksiądz udzielił kilku odpowiedzi. Zdjął z haka pęk kluczy i razem z Pawłem poszedł w stronę kościoła.

Andrzej po wyjściu z plebanii wybrał drogę wzdłuż przeciwległego muru. Zamierzał od razu wrócić do domu i wleźć do wanny pełnej gorącej wody. W wannie planował spuścić z łańcucha napięcie całego dnia. Po kąpeli postanowił włączyć na cały regulator pierwszą lepszą płytę i nie przejmować się zrzędzeniem matki. Zamierzał zażyć jedną z jej pastylek, które ojciec przynosił ze szpitala za każdym razem, kiedy rozpoczynała wycieczki dookoła kuchennego stołu między północą a szóstą rano w poszukiwaniu snu. Zanim zrobił to, co postanowił, zajrzał do kościoła i wrzucił do skarbony przy wejściu-wyjściu dwa banknoty, które dostał od księdza.

Bracia minęli się.

Kiedy Paweł wychodził z plebanii ksiądz Wojtka, Andrzej zawiązywał sznurówkę pod parafialną tablicą.

Kiedy Andrzej szedł w stronę przystanku na ulicy Lichej, Paweł razem z proboszczem wchodził do kościoła od strony zakrystii.

Kiedy Paweł wchodził na kościelny chór, Ewa biegła od strony ulicy Kiepskiej do Świętego Wawrzyńca.

– Pomogę ci! – krzyknął Andrzej w stronę Mazurkówny.

Dziewczyna zatrzymała się. Odwróciła się na pięcie i podeszła do młodszego Opolskiego.

– Lewandowskie czekają na ciebie – powiedziała.

– Te wariatki?

Od dwóch lat bliźniaczki razem z Kończakówną i Żarską dawały Bolkowi zachodnie papierosy. W zamian oczekiwały, że Świerszcz będzie aranżował ich przypadkowe spotkania z Andrzejem. Przy fontannie w rynku. W piwiarni Akwarium przy kapitanacie. W młodzieżowym klubie Śluza.

– Czekają – powtórzyła Ewa. – Z ołówkami kopiowymi w tyłkach. Idź. No idź. Znajdź dziesięć różnic między siostrami. Później zerznij obie jednocześnie. Najlepiej w piwnicy. Pod półką z winem. Szczurów nie ma.

Andrzej podniósł kołnierz kurtki.

– Lewandowskie są stuknięte – odpowiedział.

– Obcasami Cabanówny. – Mazurkówna drżała. Ciężar torby znowu dawał znać o sobie.

Cabanówna chciała Andrzejowi w zeszłym roku na wycieczce do Krakowa zrobić dobrze. „Nie dobrze. Najlepiej”, obiecała. Wtedy po raz pierwszy i ostatni uderzył kobietę w twarz.

– Dobrze się czujesz? – Andrzej położył dłoń na ramieniu Ewy.

– Jak nigdy w życiu. – Mazurkówna zrobiła dwa kroki do tyłu. Tym razem żadnych gestów miłosierdzia, jak wobec Bolka. Żadnej cierpliwości. Nie będzie zakładniczką wielkopostnych postanowień z zeszłego roku. Straciły datę ważności.

Andrzej dojrzał w szarości nadchodzącego zmierzchu spuchnięte oczy dziewczyny, spierzchnięte usta i potargane włosy. Zazwyczaj nosiła czapkę. „Ktoś ją skrzywdził?”

– Już dawno chciałem cię przeprosić. – Dotknął twarzy Mazurkówny. Dziewczyna zrobiła dwa kolejne kroki do tyłu. – Za to, co powiedziałem w szatni.

– Cudowne nawrócenie. Alleluja! – krzyknęła Mazurkówna. Niewypowiedziane przekleństwa układały się w jej ustach w dorodne bukiety, w ciężkie wiązanki, w rozłożyste naręcza. – A teraz wstąp do nieba jak Jezus i już nigdy z niego nie zstępuj. Chyba że do piekła.

– Ewa...

– Gardzę tobą. Ty...

– Przepraszam.

– Ty... Plotkarzu. Zboczeńcu. Morderco.

Andrzej skurczył się. Za plecami ciężko oddychającej Ewy zobaczył Włodka, Fabiana i Lubę.

Zamknął oczy.

– Których lepiej, żebyś nie otwierał – syknęła Mazurkówna. – Nie chcę, żebyś na mnie patrzył. Nigdy.

*

Nigdy nie słyszała, aby ktoś piękniej grał na organach.

Nigdy.

Siedziała zasłuchana w ławce w kościele Świętego Wawrzyńca i nie mogła skupić się na pokucie. Ani na części bolesnej różańca, ani na litanii loretańskiej, ani na sumieniu wysprzątanym ze wszystkich śmieci jak komórka przed świętami.

Młody ksiądz, który przed trzema kwadransami posprzątał w jej sumieniu, zakończył Eucharystię podniosłym: „Idźcie, ofiara spełniona”.

Niektóre ofiary od razu wyszły z kościoła.

Ewa czekała, aż pieśń na wyjście wybrzmi do końca.

Wybrzmiała.

Lecz zaraz po niej rozległa się melodia, której Mazurkówna nie знаła.

Ewa poczuła, jak muzyka łagodzi ból i cierpienia ostatnich dni. Jak zabiera cielesne pragnienia. Jak przynosi pocieszenie duszy i wznosi ducha na niebiańskie wyżyny. Jak rozjaśnia noc ciemną. Jak wskazuje drogę do celu.

Ewa pragnęła, aby błogostan trwał jak najdłużej.

Pragnęła, aby organista nie przestawał grać. Postanowiła poprosić go o to osobiście. Wysunęła się z ławki. W kruchcie znalazła

wejście na chór. Po skrzypiących schodach weszła na górę.

Uchyliła drzwi.

Przy klawiszach organów spostrzegła Pawła Opolskiego.

Stała za nim i dotknęła jego pleców.

On odchylił głowę. Znalazł jej usta złożone w dziewiczy dzióbek.

Ona położyła dłonie na jego wąskich biodrach.

On nie porzucił utworu w połowie. W końcu nie grał na wieży mariackiej.

Ona po kwadransie od rozgrzeszenia przerwała stan łaski uświęcającej. W końcu nie była wieżą z kości słoniowej.

On sięgnął jedną ręką pod jej spódnicę. Drugą wciąż zmagął się z preludium i fugą Bacha (a-moll BWV 543).

Ona obiema szarpała zepsuty zamek w rozporku.

On zdziwił się, lecz nie zaprotestował.

Ona nie mniej zdziwiona szarpnęła po raz ostatni i –

Ksiądz Wojtek, który zdejmował w zakrystii albę, zdumiał się, że nagle z chóru zabrzmiało długie, bardzo długie wysokie ce. A może a. A może de.

I nagle urwało się.

Zamknął szafę. Sięgnął po papierosa. W Wielkim Poście palił jednego dziennie. W niedzielę dwa.

„Urwało się jak hejnał”, pomyślał, zerkając w stronę chóru.

I zaciągnął się z przyjemnością.

Kwadrans później zaciągnął na drzwi kościoła żelazną sztabę.

Dostrzegł siedzącą na schodach dziewczynę. Czy to ta sama, którą spowiadał przed rozpoczęciem mszy? Nie, chyba całkiem inna. Wszystkie one podobne do siebie. Ich grzechy również – jak powielane na kalce.

Panna nie zwróciła uwagi na księdza.

Powoli obierała pomarańczę.

Patrzyła w przestrzeń przed siebie.

– Hiszpańska. Całkiem o niej zapomniałam – odezwała się. – Całkiem. Dwa tygodnie przeleżała w konduktorze. Ksiądz sobie wyobraża? To od niej torba była taka ciężka.

Ksiądz nie odpowiedział. Nie był pewien, czy dziewczyna mówi do niego czy do siebie.

– Mała, a waży tyle, co worek grzechów powszednich i pół worka śmiertelnych.

„Ciekawe, kto tłumaczył smarkuli katolicką hamartologię?”, zadumał się.

– Podzieliłabym się z księdzem, ale nie mogę.

– Dlaczego? – zapytał, przekręcając klucz w kłódce.

– Bo to pokutna pomarańcza. Z klasztoru Montserrat. Trzeba ją zjeść tuż przed śmiercią. Później umrzeć. Rozumie ksiądz? Za karę. Umrzeć. Powrotu nie ma.

TRZECI
14–15 lipca 1968
(niedziela–poniedziałek)

1.

– Ojciec może wrócić? – Barbara zapytała Pawła tuż przed jego wyjściem do pracy.

„Pewnie zapach z młynka ją obudził”, Paweł poczuł się winny, wsypując świeżo zmieloną kawę do szklanki. Matka od kilku nocy prawie nie spała. Od zmierzchu do świtu stukiała domowymi pantoflami, a od świtu do zmierzchu siedziała w oknie i czekała.

– Nie wrócił na niedzielne śniadanie? – powtórzyła z nadzieją.

– Nie, mamó. Nie wrócił – odpowiedział Paweł. „Dlaczego nie rozumie, że ojciec zaczął nowe życie?”, pomyślał. – Na obiad też nie przyjdzie.

Nie stołował się w domu od sześciu tygodni.

Barbara w tym czasie odprawiła panią Janeczkę. Miała nadzieję, że sprzątanie, gotowanie, pranie i smażenie wypełni pustkę po Tadeuszu. Wypastowała wszystkie parkiety. Wymalowała w przedpokoju ściany beżową farbą. Wyprała wszystkie firanki. Umyła okna i drzwi. Wyszorowała lamperie w kuchni i w łazience. Wykurzyła mole z szaf. Wyprasowała górę prania, włącznie ze slipami Andrzeja.

Codziennie maszerowała na Rynek Sienny. Nie, nie szukała kolejnego kochanka. Ten jeden, z którym definitywnie rozstała się w kwietniu, okazał się pomyłką, za którą zapłaciła nadspodziewanie wysoką cenę.

Na targu – oprócz sprawunków – załatwiała potrzeby towarzyskie. Dyskutowała z przekupkami. Głaskała i klepała po pyskach stare konie. Kilka razy kupiła żywe kury, które puściła wolno na działce w Łączkach. Do Łączek jeździła co drugi lub co trzeci dzień. Zaraz po przyjeździe zmieniała sukienki na robocze drelichy i zabierała się do roboty: kosiła stare pędy truskawek po czerwcowych zbiorach, zbierała pierwsze plony: ogórki, fasolkę szparagową. Rwała i suszyła liście lipy (wykrztuśne i na odporność), a także brzozy (napotne i moczopędne). Z agrestu, malin i porzeczek warzyła soki, galaretki i dżemy. Najwięcej uwagi poświęcała zielonym jeszcze pomidorom. Przypominała sobie, jak opiekował się nimi Tadeusz. Najmniejszych owoców dotykała, głaskała je, szeptała do nich.

W ogrodzie rozmawiała z kwiatami, a w sadzie z drzewami.

Czasem przysiadła na omszałych fundamentach i zastanawiała się, kto mieszkał przed wojną w nieistniejącym już domu.

Ziemia koła nerwy Barbary.

Kiedy przesypywała w rękach suche grudy gruntu, czuła obecność matki. Kiedy wbijała motykę w grządki, w jej pamięci pojawiał się ojciec. W rabatach aksamitek, nagietków, maciejek i niezapominajek myślała o stukniętej Peli. Od ponad dwudziestu lat nie napisała do rodziny, nie odwiedziła jej, nie wysłała depeszy, nie poinformowała, że dzięki zgrabnym nogom, rudym włosom i jędrnym pośladkom stała się żoną lekarza oraz matką dwóch synów. Nie miała pojęcia, czy ojciec i Pella żyją, czy też dołączyli do matki w niebie. Tak, Barbara wierzyła w niebo po śmierci. I ani trochę w piekło. Wystarczyło to, które ludzie robili sobie na ziemi.

– Powiadasz więc, że ojciec na obiad też nie przyjdzie – Barbara powtórzyła za Pawłem.

– Kolacji nigdy nie jadł, nawet kiedy z nami... – Starszy syn patrzył z troską na matkę. Od dwóch tygodni mieszkał na Rewolucji Październikowej. Nie żeby chciał. Wolał kawałek własnego kąta. Ani u Barbary, ani u Heleny. Obserwował matkę na prośbę ojca i na życzenie babki. Pomagać jej nie musiał. Ze wszystkim radziła sobie sama. „Po raz pierwszy w życiu”.

– Zostanę jeszcze dzień, może dwa – powiedział Paweł. – Później Andrzej wróci z egzaminów.

– Wróci i zaraz pojedzie z powrotem. – Barbara wsunęła w usta liść sałaty z wczorajszej kolacji. – Bo dostanie się na medycynę, prawda?

„Kto, jeśli nie głab?”, Paweł nie miał wątpliwości.

Kiedy ojciec wyprowadził się w połowie kwietnia, Paweł zaczął bywać na Rewolucji Październikowej niemal codziennie. Andrzej tolerował obecność starszego brata w domu i nie wtrącał się w jego mediacje między rodzicami. Palił dwie paczki papierosów dziennie. Wychodził na taras albo na korytarz – przy matce nie chciał kurzyć. Tę bowiem nieoczekiwanie zaczął męczyć dym z papierosów. „Stary się wyniósł, nie ma kogo denerwować paleniem, to i rzuciła”, mruknął któregoś popołudnia, zamykając za sobą drzwi na klatkę schodową.

Paweł obawiał się, że Andrzej zbyt mocno przeżywa rozstanie rodziców. Zauważył, że się nie uczy do matury. Zamiast wkuwać, przesiadywał z Bolkiem w Akwarium. Chciał z nim o tym porozmawiać, ale dobrze pamiętał pięść Andrzeja w swoim splocie słonecznym. Wolał nie drażnić młodszego brata.

Zdziwił się, kiedy tuż przed końcem kwietnia, na kilka dni przed pierwszym egzaminem, Andrzej zabrał się do wariackiej nauki.

– Pod Lenino zaczęli budowę pomnika. W kształcie hełmu – odezwała się matka zupełnie bez sensu. – Będzie w nim polskoradzieckie muzeum broni. Tutaj piszą. – Podsunęła Pawłowi pod nos „Przyjaciółkę”. – Czytałeś?

Nie czytał.

I nie wiedział.

Dlaczego od prawie czterech miesięcy w skrzynce pocztowej nie ma wiadomości od Hanki? Obiecała wysłać pocztówkę.

Z Ewką też kłopot. Zniknęła bez śladu po pamiętnym kwadransie na chórze u Świętego Wawrzyńca. Od tamtego zdarzenia nie spotkał jej ani razu. Ani u babki, ani u benedyktynów, ani na Tajtarach, na których mieszkała z rodziną. Szukał dziewczyny. Szukał całe dwa tygodnie. Pragnął Mazurkównę przeprosić, powiedzieć, co czuje, a raczej czego (do niej) nie czuje, ale zapadła się pod ziemię.

Babkę zapytał o Ewę tylko raz. Prychnęła: „Z matury zrezygnowała! Idiotka. Dwanaście klepek we łbie jej odpadło”.

Zmilczał.

– Tutaj. – Matka kiwała się nad kuchennym stołem. Stuknęła palcem w drobny tekst. – Popatrz.

Paweł rzucił okiem na notatkę prasową.

– „Rząd radziecki jest gotów do wymiany poglądów z rządem NRF z sprawie proponowanych przez Bonn oświadczeń o niestosowaniu przemocy. Jednak wymiana takich oświadczeń może nastąpić na gruncie jasnego i wyraźnego uznania istniejącej w Europie sytuacji, a więc uznania faktu istnienia NRD” – przeczytał Paweł na głos. – I o tym piszą w gazetach o zdrowiu, modzie i urodzie? Kogo obchodzą pomniki w kształcie hełmu? I Układ Warszawski. – Wstał i podszedł do lodówki. – Lepiej przygotuję śniadanie.

– Dla mnie tylko pół szklanki kawy – poprosiła Barbara i wyszła z kuchni.

Wróciła po dłuższej chwili.

Paweł patrzył na matkę z uznaniem. Włożyła lekką szmizjerkę w biało-pomarańczowe paski. Z krótkim rękawem. Na szyi zawiesiła zegarek na łańcuszku od Tadeusza. Włosy uczesała gładko. Założyła ciemne okulary. W podręcznym kuferku z licowej świńskiej skóry starszy Opolski dostrzegł złożony w kostkę biały lekki sweterek i jedwabną morelową chustkę. A poza tym sam bałagan, który miała w każdej ze swoich toreb i torebek.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

– Do Łączek.

– W stroju jak do kościoła?

– Skąd wiesz, że tym razem nie przyjdę posłuchać, jak grasz u Świętego Wawrzyńca? – Uśmiechnęła się blado i umknęła spojrzeniem w przestrzeń za szeroko otwartym oknem.

– Wiem. Przychodzisz do kościoła wtedy, kiedy cię babcia zmusi.

Barbara uśmiechnęła się blado.

Wstawał kolejny gorący dzień. W oddali szumiały lipy. W lipach brzęczały roje pszczół. Między gałęziami pobliskich wierzb wariowały sikory, mazurki i wróble. Płochliwa modraszka usiadła na zewnętrznym parapecie. Zajrzała do kuchni i natychmiast odleciała.

– Mamo?

Nie zareagowała.

– Mamusiu.

– Ile masz tych koncertów? – zapytała Barbara.
– W niedzielę cztery. W dzień powszedni dwa. Rano i wieczorem.

– Wracasz na studia?

– Jeszcze nie wiem.

– Z jakiego właściwie powodu wzięłeś urlop dziekański?

– Z powodu serca.

„Tak mało wiem o moich synach”, pomyślała Barbara. „Za mało”.

– U wuja Łaniewskiego się badałeś?

Starszy syn potaknął. Chwycił ostatni kęs bułki z serem. Wypił ostatni łyk kawy.

„Całkiem jak Tadeusz. Tak samo pochyla głowę. Tak samo marszczy czoło. Tak samo głośno przeżuwa. Jak to możliwe?”

– Dziś wrócę późno – powiedział Paweł. – Idę...

– Wiesz dokąd?

– Do Akwarium. Z Miszą i Kociem Fli...

– Wiesz, dokąd wyprowadził się ojciec?

Paweł potarł dłonią twarz. Poczul, że pot spływa po jego karku, a pod pachami, na świeżej koszuli, tworzą się mokre plamy.

– Powiedz – poprosiła matka.

– Zajął wolną służbówkę w Niedorośli.

– Kłamiesz. Nie zastałam go tam ani razu. A ta jego osobista krowa...

– Koszura...

– ...Koszura, nie dała mi żadnej wskazówki, gdzie go szukać.

– Może ojciec bywa... w innych miejscach.

– Podaj adres.

– Jestem spóźniony. Przepraszam.

*

Barbara obawiała się, że również jest spóźniona. Od chwili, kiedy Tadeusz wyprowadził się z domu, czuła, że każdy dzień coraz bardziej oddala ją od męża. Już dawno powinna była podjąć kroki: odnaleźć Tadeusza, wyznać mu prawdę, okazać skruchę, obiecać poprawę. Najskuteczniejsze są najprostsze rozwiązania. Jak mogła o tym zapomnieć?

Mogła, ponieważ czasem najtrudniej wykonać to, co najprostsze. Rozważała: jeśli w końcu spotka się z Tadeuszem, co mu powie? Poczwała, że od nadmiaru kwaśnej prawdy żołądek podchodzi jej do gardła, a liść wczorajszej sałaty wędruje w kierunku górnej części przełyku.

Zatrzymała się na środku chodnika. Wyjęła z kieszeni szmizjerki adres. Powąchała wyrwany z gazety karteluszek, na którym Paweł nabazgrał nazwę ulicy. Nasturcjowa? Nastrojowa? Nastawowa? Dwanaście przez osiem. Pierwszy lepszy taksówkarz rozwiąże tę zagadkę. Wystarczy złapać taryfę i... Taryfę? W niedzielę rano? Żart. Nie mieszkała przecież przy dworcu, przy największym postoju taksówek. A gdyby nawet, nie miała czasu na podróż w kierunku, który pasował taksjarsowi, lecz niekoniecznie pasażerowi. Złotowa czekał zazwyczaj, aż zbierze komplet na Kuliczki, na Rybaki, na Tajtary albo na Jazłowice. W przeciwnym razie odwoływał kurs. Dla jednej czy dwóch osób nie ruszał samochodu z postoju.

„Zostaje autobus”.

Nadjechał po dwudziestu minutach.

Barbara wsiadła, skasowała bilet. Usadowiła się na samym końcu, na siedzeniu pokrytym ceratą. Oparła głowę o rozgrzaną szybę. Wszystkie okna były zamknięte.

„Jak z Tadeuszem rozmawiać? Jak?”

I o czym?

Powinna wyznać mu to, co ukrywała (za słabo?) od pierwszego z nim spotkania: nieadekwatność. Nie była wymarzoną przez Helenę narzeczoną (stara nigdy nie uwierzyła, że Tadek poznał Baškę na tańcach). Nie była dobrą żoną (unikwała prac domowych, przed wizytami Tadeusza w jej łóżku cierpiała na bóle głowy, a czternastodniową menstruacją wymawiała się dokładnie co dwa tygodnie). Matką również okazała się marną. Paweł częściej bywał na Mickiewicza niż na Rewolucji Październikowej. Pomieszkiwał to z rodzicami, to z babką. Częściej z babką. Nie sprawiał kłopotów (tak słyszała). Uczył się pilnie (podobno). Unikał konfrontacji z bratem (nie zawsze). Kiedy pojawiał się w rodzinnym domu, ze wspólnego pokoju chłopców dobiegały Barbarę głosy: stłumiony Pawła i podniesiony Andrzeja. Matka wiedziała, że starszy syn ćwiczy gamy na nerwach młodszego. I że młodszy wpada w złość tak szybko, jak kiedyś Pela

w gówno – wystarczyło, żeby pojawiło się jakieś w obejściu, końskie, krowie, psie, kocie, kurze, a Pela natychmiast włączyła w nie bosymi stopami, siadała na ziemi i obijała jedną podszewę o drugą. „Gówniana wariatka”, mówił ojciec, spluwał i znikał w domu, żeby przy bimbry zapomniać o gównianym życiu.

Nie wiedziała, jaki naprawdę jest Paweł.

Po raz pierwszy przyjrzała się dokładnie starszemu synowi, kiedy po maturze oznajmił, że wyjeżdża studiować prawo. „Naprawdę?”, zapytała. Nie dlatego, że zdziwił ją wybór Pawła. Dlatego, że stał przed nią przystojny młody człowiek. Już nie chłopiec, lecz mężczyzna. Podobny do Tadeusza, lecz delikatniejszy. Może trochę za chudy. Może zbyt tyczkowaty. Dla matki zawsze miły. Uczynny. Grzeczny. Przy każdym powitaniu i pożegnaniu całował Barbarę w dłoń. „To naprawdę mój syn?”, myślała. „Dobrze go babka wychowała”.

Z Andrzejem była mocno związana do dnia jego narodzin. Ich bliska relacja zakończyła się w chwili, w której położona przecięła pępowinę. Owszem, karmiła młodszego syna co trzy godziny. Reagowała na alert w pieluchach. Wystawiała w wózku na balkon. Kiedy podrósł, odprowadzała z samego rana do przedszkola. Odbierała tuż przed zamknięciem. Zaraz po tym, jak zaczął naukę w szkole, wszystkie sprawy związane z Andrzejem przekazała Tadeuszowi. „Przecież wiesz, że jestem kiepska w nauce. W odrabianiu lekcji. W tabliczce mnożenia i dzielenia”.

Oraz w całej reszcie.

O sylwestrach w gronie pracowników szpitala wołała nie wspominać. Męczyła się. Przy zbyt głośnej muzyce. Przy zawsze za trudnych tańcach. Przy gorzkiej wódce. Przy życzeniach, z których nie spełniło się ani jedno. Przy śliskich pocałunkach. Przy spoconych dłoniach. „Można prosić do walca, tanga, fokstrota?”, padało ze strony doktorów Złotosia, Jarzęby, Gromadzkiego, a także pielęgniarzy Jarodzkiego i tego... jak mu tam? Siodełko. Miedzianowłosa żona ordynatora budziła zainteresowanie. „Nie można prosić”, odpowiadała i zaraz po północy umykała do domu jak Kopciuszek, nie patrząc w stronę żon doktorów Złotosia, Jarzęby i Gromadzkiego, które nigdy ordynatorowej nie zaprosiły do wspólnego stolika.

Rzadko odwiedzała Łaniewskich. W ich mieszkaniu pełnym ruskich kryształów, niemieckich sprzętów AGD (opiekacz, sokowirówka, lokówka, pralka i suszarka – na myśl o suszarce Barbarę bolało serce, przecież prosiła Tadeusza, żeby jej przywiózł z konferencji w NRD taką samą albo podobną, a on zamiast tego przywłókł do domu, a raczej do szpitala, krzesło) i zdjęć z wakacji w Bułgarii czuła się jak w kościele (niczego nie wolno dotykać) albo na wystawie (patrzeć i podziwiać). Odwiedzała Edzia tylko w szpitalu, kiedy nasilały się migreny, zaparcia, kaszel albo zgaga.

Czasem godziła się na kawę po turecku z Elą Łaniewską. I zaraz później żałowała. Ela mówiła wyłącznie o swoich sprawach. Nigdy nie zapytała, co się dzieje w życiu Barbary. Pracowała w szpitalnej administracji. Miała na głowie wydatki, podatki, zadatki.

Opolska miała na głowie znacznie mniej. Do niedawna pani Janeczka dbała o dom, Tadeusz o finanse, o dzieci dbała babka Helena. Barbara dbała o samą siebie, chociaż tego też nie lubiła. Fryzjer zawsze przycinał włosy o dwadzieścia centymetrów, a nie o dwa. Kosmetyczki piłowały paznokcie tępyimi pilnikami, a cerę oczyszczały jak ojciec Baški stodołę – powierzchownie.

Nie spotykała się więc z nikim, choć czasem potrzebowała spotkań i towarzystwa. Jeździła wtedy do biblioteki miejskiej, do śródmieścia, żeby porozmawiać z panią Aldoną o książkach. Dzięki pani Aldonie przeczytała cztery tomy *Nocy i dni* (po lekturze drugiego zaczęła romans z Mielnickim), zachwyciła się *Rodziewiczówną* (romans z Mielnickim kwitł), a kiedy pani Aldona spostrzegła, że ma przed sobą zaufaną czytelniczkę, po znajomości wsunęła do torby Barbary *Trędowatą* (po ostatnim rozdziale Opolska zakończyła romans z prokuratorem). Od wyprowadzki męża nie przeczytała nic oprócz wstępu do *Zarysu psychiatrii*. Tadeusz zapomniał zabrać ze sobą ten podręcznik.

W życiu Barbary ważna też była pani Lucyna.

Pani Lucyna nie parzyła kawy po turecku, nie czytała książek, najczęściej milczała. Zajmowała metr kwadratowy na metr kwadratowy w domu towarowym Cezar i naprawiała pończochy. W mocnych okularach, przy ostrym świetle z lampki biurowej, ratowała pończochy przed zagładą. Dawła im szansę. Drugie życie.

Barbara siadała na krześle obok i patrzyła.

Igła w górę, igła w dół.

Po dwóch godzinach seansu repasacyjnego czuła się jak nowo narodzona.

Poza drobnymi przyjemnościami życie Barbary było nudne jak czeski film. Bez napisów końcowych. Z fatalnie obsadzoną kobiecą rolą główną. Bez napięcia, bez celu, bez związku. Od sceny do sceny. Z głupio wymyślonymi wątkami pobocznymi. Przecież romans z Mielnickim mógł, lecz wcale nie musiał się zdarzyć.

„Jak więc przekonać Tadeusza?”

Jechała prawie pustym o tej porze autobusem. Miasto pogrążone w lipcowym upale jeszcze się nie obudziło. Ani mleczarza, ani szmaciarza, ani gazeciarza. Kilku pasażerów, kilku wiernych zmierzających na mszę do fary.

Barbara oparła głowę o szybę.

Zastanawiała się. Może wystarczy zwykłe „przepraszam”?

Nie wystarczy.

Może więc wykorzysta wciąż atrakcyjne ciało.

I co? Pokaże Tadeuszowi jasną pierś? Płaski brzuch? Gładkie kolano? Pełne udo? Przecież Tadeusz jest teraz z kobietą piętnaście lat młodszą od Barbary.

– Nie wiem, co dalej – powiedziała i spojrzała na dyndający nad pępkiem zegarek. Pokazywał dokładnie siódmą pięćdziesiąt siedem.

Dwadzieścia minut później wysiadła na ulicy Nowotki. Zawiązała na głowie morelową chustkę. Założyła ciemne okulary. Dopiero teraz poczuła się bezpiecznie.

„Co ten Paweł tu naskrobał? Chyba specjalnie tak niewyraźnie, żebym nie rozczytała i nie trafiła do Tadeusza”.

Trzymała adres w drżącej dłoni.

Rozejrzała się.

Widok znajomy. W tym właśnie miejscu stała kiedyś buda Tolka Siemaszki. Dziś – budynek partii, piękny jak transparent wiszący nad jego wejściem: NARÓD Z PARTIĄ – PARTIA Z NARODEM. Obok nowy oddział PKO i dom mody Telimena. Nad Telimeną kawiarnia Fraszka z tarasem wychodzącym na ulicę Nowotki.

Barbarę minęła wataha małałatów. Chłopcy z krótkimi fryzurami, w krótkich spodniach. Wyhamowali na ścianie odrapanych kamienic ciągnących się wzdłuż Nowotki aż do Żeromskiego. Mieszkania były

w nich duże, wysokie i zatłoczone. Niedawno w „Głosie Bolegoszczy” czytała o nich reportaż. O tym, jak wspaniale żyje się mieszkańcom w wielorodzinnych kwaterach. Lud pracujący czerpie z doświadczeń i wiedzy inteligencji pracującej. Inteligencja pracująca korzysta z dorobku ludu pracującego. Nikt się nie skarży. „Chociaż czasem, wyznał jeden z bohaterów artykułu Zenon Hajduk (47), niektórym puszczają nerwy i zwieracze pod toaletą”.

Barbara podeszła do dzieciaków.

– Pałka, zapalka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje – wyliczał najwyższy z chłopców. Sińce na kolanach, podrapany nos, spojrzenie łobuza.

– Nie wiecie, gdzie jest ulica Nasturcjowa? – zapytała Barbara. Zdjęła z głowy chustkę.

– Nie – odpowiedział najwyższy z uśmiechem. Brakowało mu górnych jedynek.

– A Nastrojowa?

– Nie. – Najwyższy głośno zachichotał. Reszta chłopaków gapiła się na Opolską. Jeden z nich zaczął kręcić kółka na czole.

– W takim razie – Barbara spojrzała na kartkę, tracąc pewność siebie – może Nastawowa?

– Elegancka jak warszawianka – powiedział najwyższy – a głupia jak krowa z Zakuliczek. Na ulicach się nie zna.

Gwizdnął na kompanów. Rozpierzchli się we wszystkie strony.

Został tylko jeden. Piegowaty rudzielec. Pociągał nosem.

– Pani naprawdę przyjechała z Warszawy?

– Z osiedla Gromada.

– To bliżej Boli pani mieszka. – Znowu pociągnął nosem. – Śmieli się kiedyś z pani?

„Zaczną, jeśli nie łyknę proszku przeciwbólowego”. Nadciągała migrena. Od upału, nerwów, braku snu i nadmiaru myśli.

– Tak. Nie. Czego ode mnie chcesz? – Zirytowana zdjęła okulary.

Dopiero teraz wyraźnie zobaczyła, że chłopiec ma włosy i piegi w kolorze dojrzałej pomarańczy.

– Że pani jest ryżą, się śmieli?

– Nie ryżą, tylko ruda.

– To jakaś różnica? – zapytał.

- Żadna, ale lepiej brzmi.
- Chłopiec zmarszczył brwi.
- Barbara sięgnęła do torby po tabletkę z krzyżykiem.
- J-23... – powiedziała, połykając proszek bez popijania.
- Hans Kloss? – Oczy małego zaświeciły się.
- Właśnie... Hans Kloss też jest rudy.
- W telewizorze nie widać. – Chłopiec nie uwierzył.
- Bo masz pewnie czarno-biały. – Barbara zmierzwiła włosy chłopca.
- Sąsiad spod siódemki ma. Pani idzie tam.
- Do sąsiada?
- Nie. Za partię. – Wskazał ręką na budynek komitetu. – Kawalek prosto, a później w lewo. Tam jest ulica, co jej pani szuka.
- Czyli?
- Narcyzowa.

Barbara stanęła pod spisem lokatorów.

Przejechała palcem w dół. Pod numerem ósmym mieszkał...
Mężczyzna! Czyżby Tadeusz...?

Wbiegła na drugie piętro. Nacisnęła dzwonek. Próbowwała uspokoić oddech i myśli. Zgięła się wpół. Czowała strach i klucie w okolicach wątroby. Trzustki? Śledziony? „Jezus Maria, co człowiek ma w brzuchu po prawej stronie?”

Ktoś otworzył drzwi.

„Jednak kobieta”.

Barbara, zanim podniosła głowę, ujrzała zgrabne stopy z pomalowanymi na wiśniowo paznokciami, lekkie halluksy, wąskie kostki i gładko ogolone łydki. „A co to za wynalazek?”, pomyślała. Opolskiej nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby pozbyć się rudego meszku na nogach. „Brzytwą po goleniach? U golibrody?”

– Pani do kogo? – zapytała tamta.

– Szukam męża – odpowiedziała Opolska.

Stała przed kobietą odzianą w przezroczysty peniuar. Pod peniurem – żadnej bielizny. Na twarzy – żadnych zmarszczek, żadnego wstydu.

– Nie żyje – odpowiedziała kobieta.

– Umarł? Jak to się...? Co to zna...? – Barbara poczuła, że jej słabo. Poprosiłaby o szklankę wody, gdyby mogła wydobyć z siebie głos.

Nie mogła.

– W wypadku samochodowym – wyjaśniła ta druga. – W drodze do Niedorośli. Między Chodynem a Iwanówką. Pani go znała?

2.

– Pan zna każdą z was. O każdej wie wszystko. Nie ukryjcie się przed Nim. Jeżeli skalaliście swoje myśli, serca i dłonie, to właśnie teraz nadszedł czas, żeby oczyścić się z brudu – oznajmiła siostra Prakседа, mistrzyni postulatu i nowicjatu w klasztorze Sióstr Ubożanek.

Stała pod wielkim krzyżem w sali postulantek. Czekwała, aż kandydatki na nowicjuszek ustawią się w szeregu, a później uklękną, żeby publicznie szorować sumienie, które – tego mistrzyni była pewna – każda z ośmiu stojących przed nią dziewcząt utyliła między wieczorną kompletą a poranną mszą świętą. O, trudno było oszukać siostrę Prakседę. Wiedziała, że żądze zaczynają harcować po zachodzie słońca. Jak szczury. Jak nietoperze. Jak sowy. Jak pluskwy. Nad ranem pokusy zawsze zamieniały się w grzechy, które należało wyznać wspólnocie. „Niech się panny cieszą, że nie muszą leżeć przed przełożoną, tak jak ja, kiedy byłam w postulacie”.

– Klęczyć równo. Jedna obok drugiej.

Siostra mistrzyni od piętnastu lat każdego ranka badała zdolność postulantek do służby na chwałę Bogu i na pożytek ludziom. Słyszała, że w innych klasztorach żeńskich niedziela jest dniem wolnym od aktów pokutnych, ale nie tutaj, nie u sióstr ubożanek.

Przechadzała się wzdłuż szeregu dziewcząt z rękoma złożonymi jak do modlitwy. „Wszystkie one takie same”. Gładko związane włosy, białe bluzki z kołnierzykiem, granatowe spódnice do pół łydki. „Jak spod szablonu”, pomyślała mistrzyni. „Sumienia też podobne. Od lat popełniają te same przewinienia. Od lat oskarżają się o te same słabości. Przewidywalne jak stacje drogi krzyżowej. Boże!”

Siostra Prakседа uświadomiła sobie, że po porannych modlitwach w kaplicy po raz kolejny nie ucałowała wyslizganych ustami współsióstr jesionowych stóp Ukrzyżowanego. Tylko musnęła. W dodatku z pretensją. Z wielką pretensją. „Nie myśl, że Ci wybaczę”, szepnęła, zerkając na Jezusa. „Że stworzyłeś mnie kobietą”. Zawsze pragnęła zostać spowiednikiem. Zamknąć się

w kokonie konfesjonału i słuchać innych, ważyć grzechy, szafować łaską, zarządzać strachem, poskramiać żądze, okazywać gniew, budzić trwogę. Zamiast tego przypadła jej poślednia rola duchowej sanitariuszki.

– Ty pierwsza. – Mistrzynie wskazała na pierwszą z lewej siostrzyczkę. Klęczała przy wysokim oknie. Zamkniętym. „Niech się wszystkie męczą w ukropie”, pomyślała siostra Prakseda. „Niech sposobią do upału piekielnego”. Z drugiej strony szkoda. „Nie słychać brzęczenia pszczoł”. Dwanaście uli czuwało nad słodkim dobrostanem klasztoru.

– W czasie kontemplacji myślałam ciągle o tym, kto pomoże ojcu przy żniwach – odpowiedziała przygarbiona panna o spojrzeniu spłoszonego ptaka. – Z ojcem zostały dwie sio...

– Myślenie zostaw Panu Bogu i matce przełożonej. Nadmiar refleksji przeszkadza w praktyce duchowej. Tak samo jak sianokosy.

– Sianokosy – odrzekła pierwsza – to nie to samo co żniwa.

Skończyła i od razu opuściła głowę. Pożałowała własnej bezczelności.

– Milcz, jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia. Zaraz po aktach zgłosisz się do siostry Joanity. Wskaże ci, jaką świętą lekturę do końca tygodnia będziesz czytać współsiostrom przy śniadaniach, których jeść ci nie wolno.

Mistrzynie spojrzała na kolejną postulantkę.

– Ty też myślałaś?

– Nie myślałam, proszę siostry mistrzyni. Zasnęłam na porannej medytacji – wyznała druga, śliczna i przerażona jak Matka Boska podczas Zwiastowania.

Siostra Prakseda skrzywiła się.

– Dziękuj Bogu, że dzisiaj dzień święty – mruknęła. – Bo inaczej... – „Paznokciami zdzierałabyś brud z podłogi w kuchni”, chciała dokończyć, ale się powstrzymała. W niedzielę czasem okazywała łaskę i miłosierdzie. Po niedzieli następował jednak poniedziałek. „Co się odwlecze, i tak dopiecze”. – A ty?

– Cztery razy wychodziłam do ubikacji – przyznała się trzecia.

– Pięć – uzupełniła siódma, współlokatorka trzeciej.

– Podczas kontemplacji? – Zakonnica spojrzała na siódmą.

– W nocy. Sama widziałam. Trzaskała drzwiami tak, że umarłego by obudziła. – Siódma była z siebie dumna. Jeśli mistrzyni doceni jej posłuszeństwo oraz zaangażowanie, jutro znajdzie się w raju: w nagrodę dostanie dyżur w kuchni przy zażywej i wesołej siostrze Felicji, przymykającej oko na postulantki wyjadające resztki z kuchennego stołu. – Dokładnie pięć razy. Policzyłam.

– Bez pozwolenia? – Zakonnica podeszła do trzeciej. Dotknęła podbródka winowajczyni. Uniosła jej głowę.

– Kogo miałam zapytać? Matka przełożona spała, a Matka Boska milczała – odpowiedziała trzecia.

Mistrzynie zamachnęła się i huknęła pyską dziewczuchę w lewy policzek.

Prawy policzek zastygł w oczekiwaniu.

– W jakim celu wychodziłaś z pokoju w nocy? – Mistrzynie podejrzliwie przyglądała się kandydatce na ubożankę. „Czekaj ty. Niedługo własnoręcznie ostrzygę cię na rekruta. Utnę ci ten konopny warkocz. Wtedy spokojniejsz”, pomyślała. A także o tym, że pod własnym welonem od lat ukrywa łysinę. – Pytam. W jakim celu?

– W wiadomym – odpowiedziała dziewczyna i dostała w prawy policzek. Poczowała (oprócz bólu) woń potu zakonserwowanego pod pachami niedzielного habitu mistrzyni. Codzienny strój siostry Praksey śmierdział nie tylko potem – każdą fałdę, każde włókno, każdy szew zakonnego ubioru mistrzyni przenikała mieszanka gniewu, złości, sprawiedliwości. A także gorzycy, piołunu i majeranku. A także gorzkiej herbaty, perfum Być Może i ostatnich w życiu zakonnicy menstruacji.

Trzecia opuściła głowę. Albo w akcie skruchy i żalu za pięciokrotnie popełniony grzech, albo w desperackim akcie tęsknoty za utraconą wolnością.

– Wczoraj po komplecie wyszłaś z pokoju trzy razy. – Siostra mistrzyni zwróciła się do trzeciej, obiecując sobie jednocześnie, że następnego dnia ukarze siódmą za donosicielstwo. „Wszystko ma swoje granice. Nawet kapowanie innych”. – Przedwczoraj cztery. Podbierasz z kuchni jedzenie przed jutrznią. W ciągu dnia wymykasz się do ogrodu i kradniesz owoce. Na śniadanie zjadasz dwie kromki razowca zamiast jednej. Na adoracji kontemplujesz wzory na witrażach, a nie słowo Boże. Na rekreacjach siedzisz z boku i nie

rozmawiasz ze współsiostrami. W twoim pokoju znalazłam ogryzki i okruchy po sucharach. Pracujesz wolno i niedokładnie. Zastanawiam się, czy...

– ...nadaję się, proszę siostry mistrzyni. Błagam o ostatnią szansę – poprosiła dziewczyna.

Jednocześnie poczuła unoszący się od strony korytarza zapach smażonego boczku. Wiedziała, że mięso nie trafi na stół postulantek i nowicjuszek nawet przy niedzieli. Wiedziała, że wjedzie na stół przełożonych. Kandydatki na ubožanki jak zwykle dostaną uboższą wersję śniadania – kaszę ze smalcem.

– Jak ty się właściwie nazywasz? – Mistrzynie postanowiła sprawdzić dokumentację postulantki. Dokładnie przejrzeć wszystkie papiery, jakie każda kandydatka obowiązkowo musiała przedłożyć zakonowi przed wejściem do wspólnoty. Niewykluczone, że ten tutaj cukiereczek dostarczył fałszywe świadectwo lekarskie. To się czasem zdarzało. Niektóre kandydatki ukrywały gruźlicę, wady wzroku, choroby stawów, kręgosłupa, macic, a nawet głowy. Ubożanki nie potrzebują do pracy wybrakowanych rąk, nóg i pęcherzy moczowych. – Przypomnij mi, jak się nazywasz.

Trzecia podniosła głowę.

– Ewa. Ewa Mazurkówna.

– Mazurkówna do dzisiaj nie dała znaku życia! Wyobrażasz sobie? – dyrektorka Maciejewska pogłaskała po łbie starą burą sukę Łajzę. Pomyślała o Ewie, gdyż z daleka dobiegły ją kościelne dzwony. Przy niedzieli rozbrzmiewały cztery razy.

Kundlica przekrzywiła głowę, spojrzała swojej pani prosto w oczy i popuściła.

– Z twoim pęcherzem coraz gorzej. – Maciejewska odłożyła „Trybunę Ludu”. Przerwała lekturę tekstu o narodotwórczej roli partii. W radiu brzęczała prosta melodia. – Z moją nogą też nie lepiej.

W wakacje stan zdrowia Maciejewskiej zawsze się pogarszał. Każdego roku w pierwszej połowie lipca z trudem podnosiła się z łóżka. Zaczynał się dla niej pusty czas: po domknięciu starego roku szkolnego, a przed otwarciem nowego, o którym zaczynała myśleć dopiero w pierwszym lub w drugim tygodniu sierpnia, nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Pojechałaby jak większość starszych pań

do sanatorium – do Ciechocinka, do Polanicy, gdziekolwiek, żeby powdychać jod i sole, żeby posiedzieć w błocie, żeby zadbać o starzejące się kości, a przede wszystkim o chorą nogę. Pojechałyby, gdyby nie Łajza.

Znalazła ją pięć lat temu podczas marcowego spaceru nad Bolą. W niedzielę znacznie chłodniejszą niż ta lipcowa włożyła kalosze i ruszyła wygonem przez pole nad rzekę.

Maciejewska mieszkała na końcu Wiatrakowej, zaraz za szkołą, na Osiedlu Młodych, które zestarzało się, zanim zakończono jego budowę. Nigdy nie zrealizowano planu zagospodarowania łąk i pól ciągnących się od końca błotnistej Wiatrakowej aż do Boli i do drogi na Warszawę. Na Osiedlu Młodych powstały tylko dwa czteropiętrowe bloki z widokiem na podmokłe pastwiska, na stada krów i na wielokilometrowy, wąski wygon prowadzący z centrum miasta nad rzekę. Nikt tędy nie chodził. Nikt się tutaj nie zapuszczał.

Maciejewska dochodziła do brzegu Boli, kiedy usłyszała skowyt psa i krzyki dzieciaków. Kiedy wdrapała się na wał, dostrzegła kudłate, brudne zwierzę przywiązane do jednej z olch. Kilkoro dzieci drażniło się z kundlicą – rzucało w nią kamieniami, szyszkami, dźgało gałęziami w bok, okładało po grzbiecie. Maciejewska przegoniła hałastrę. Podeszła do psa. Nie bronił się, kiedy sprawdzała, dlaczego jedna z łap krwawi. Nie protestował, kiedy rozwiązywała sznur.

„Ty jesteś panienka”, powiedziała do psa. „Łajza z ciebie, nie panienka”.

Przytargała sukę na rękach do domu.

Zwierzak ledwie tknął miskę pełną makaronu z odrobiną mielonego mięsa. Nie szczeknął, kiedy Maciejewska władowała go do wanny, żeby wyszorować szczotą i szarym mydłem błoto z kudłów i brudy spod ogona. Nie zaprotestował, kiedy kobieta rozczesywała sierść zbitą w kołtuny. Jęknął dopiero wtedy, kiedy dyrektorka oblewała otwartą ranę spirytusem i robiła opatrunek.

„Kuriozum! Kuriozum z nadwagą”, pomyślała dyrektorka, patrząc na psa wyrzutowanego jak na wystawę dla pokrak. „Do rana”, zapowiedziała zapchlonej mimo kąpieli kundlicy. „Zostaniesz do rana, a później zobaczymy”.

O świcie Maciejewską obudziły liźnięcia mokrego jęzora. Suka zdawała się przytomniejsza, energiczniejsza, żywsza. Kiedy kobieta

usiadła na skraju łóżka, zobaczyła, że pies napaskudził. Łajza przywlokła z kuchni do pokoju krew, śluz i resztki kału. „Prawdziwa z ciebie łajza. Naprawdę nie mogłaś wytrzymać?”

Nie mogła.

„Trudno. Każdemu się zdarza. W takim razie najpierw papieros, później kawa, na koniec spacer nad Bolę. Wrócisz tam, skąd przyszłaś. A raczej skąd cię przyniosłam. No nie patrz tak na mnie. Poradzisz sobie”.

Maciejewska pogłaskała psa po łbie. Uświadomiła sobie, że od czasów ukraińskiego żołdaka nigdy nikogo czule nie dotykała.

Ruszyła do kuchni, żeby zaparzyć kawę. Tam, na posłaniu ze starego koca, znalazła dwa martwe szczenięta z odgryzioną pępowiną i dwa łożyska. Zdrętwiała. Dzień wcześniej podejrzewała, że suka jest po prostu gruba. Ale że ciężarna? „Ślepa. Na te sprawy zawsze byłam ślepa”.

Prawie dwadzieścia pięć lat temu ukraiński krasnoarmista zostawił Maciejewską z brzuchem, który trzy miesiące po jego śmierci zaczął wyglądać jak wzdęty. Porządek z podejrzaną bębnicą zrobił najpierw głód (gdyby Wanda wiedziała, że jest przy nadziei, zdobyłaby trochę kaszy, smalcu, mąki, żeby ocalić pamiątkę po Hryńce), a głodowi trzy tygodnie później pomogła baba spod Lwowa (dziecko i tak było martwe).

Dyrektorka nigdy później nie związała się z żadnym mężczyzną.

Po niefortunnym porodzie pozwoliła Łajzie zostać kilka dni u siebie. Suka zadomowiła się na Wiatrakowej. Okazała się mądrzejsza niż niejeden uczeń z Synów Pułku: karna, cicha i posłuszna. Wykonywała bez protestu takie polecenia jak: „podaj łapę”, „siad”, „zostaw”. I „przynieś gazetę”. Z pokoju do kuchni albo z kuchni do pokoju. Kiedy Maciejewska zobaczyła, że Łajza nie żre książek i nie gryzie butów, została na dobre.

Jedyną wadą Łajzy był słaby pęcherz moczowy.

Lamentowna układała więc plan lekcji w taki sposób, żeby dyrektorka co dwie–trzy godziny mogła wyprowadzić sukę na spacer.

– Na co się tak gapisz? Na mnie? – Maciejewska zapytała psa.

Leżała na wersalce w halce i w staniku. Ani piękna, ani ponętna. „Stara i nieużywana”, pomyślała. „Na co człowiekowi ciało? Na co mu włóczęgi po wspomnieniach? Na nic”.

– Przeszłość, miłość. Dawne dzieje – szepnęła do suki, sięgając znowu po „Trybunę Ludu”. Zerknęła na artykuł, w którym stało, że

z miast i osiedli wiejskich, z fabryk i instytutów naukowych płyną zobowiązania na cześć V Zjazdu PZPR. Są konkretne, rzetelne i po gospodarsku przemyślane, jak czyny, których realizacja przebiega według założonego planu.

Maciejewska zdjęła okulary. Po chwili znowu je założyła.

Wszyscy wiedzą, że pojęcie Partia, jej znaczenie, jej kierująca rola, stało się nieodłączne od pojęcia Polska Ludowa. Wszystko bowiem, co stworzyło kształt nowego kraju, współczesne oblicze narodu jest sprawą Partii. Tak bowiem, jak socjalizm jest synonimem niepodległości, tak Partia uosabia niepodzielną jedność interesów całego społeczeństwa. Jest bowiem Partią Narodu!

„Wszystko kiedyś wydawało się proste jak koniugacja oowna bierna”, pomyślała Maciejewska. „Wyrażało podstawową konieczność: ojczyznę, partię i socjalizm trzeba kochać. Dlaczego minęło?”

Dyrektorka otarła czoło. Z potu, z roli partii w jej życiu i z końcowego wykrzyknika w artykule, który utkwiał w jej oku jak drzazga. Nie wiadomo, kiedy posągowe oblicze Maciejewskiej, służącej nowej Polsce, postarzało się. „Partia też zwiędnie i zmarszczy się. Wszyscy odwrócą się od niej. Jak Franciszek Mazurek ode mnie”.

Rzuciła gazetę na podłogę.

Łajza spojrzała na zirytowaną panią. Wlazła na „Trybunę Ludu” i zsikała się na informację o obradach XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Miała głęboko w pęcherzu moczowym partyjne, a także osobiste wątpliwości Maciejewskiej, z Franciszkiem Mazurkiem włącznie.

Ojciec Ewy pojawił się w gabinecie Maciejewskiej drugiego dnia lipca. Wszedł bez powitania, bez zaproszenia, bez wezwania, niezatrzymywany przez Krowę, która o tej porze roku pasła zadek na tatrzańskich halach.

– Pani wie, gdzie ona jest? Moja córka. Ewa. Zostawiła tylko list. Milicja mówi, że nie będzie szukać kogoś, kto po prostu wyjechał. Pełnoletniej przecież sprowadzać na siłę nie będą. Właśnie. List. – Mazurek usiadł przed zaskoczoną dyrektorką porządkującą dokumentację. Wyjął zmięty kawałek papieru z kieszeni spodni. – O.

Tutaj pisze, żebym na nią nie czekał, bo ona nie wróci. Nie wróci! Rozumie pani? Nigdy. Wybrała, niech pani spojrzy, tu pisze: „Wybrałam Miłość mojego życia”. Pani coś z tego rozumie?

Maciejewska patrzyła na trochę starszego od siebie Franciszka i zastanawiała się, jak to możliwe, żeby ten obcy mężczyzna, którego widzi po raz pierwszy z bliska, był tak podobny do Hryńki. Takie same siwe oczy. Taki sam lęk wymalowany na twarzy. Lęk, który pojawia się tylko w chwili śmierci.

– Nie. Nie rozumiem – odpowiedziała.

– Miałem nadzieję, że Ewa pani coś wyznała. Ona o pani zawsze jak o tej swojej Matce Boskiej. Z nabożnym szacunkiem. – Mazurek patrzył z nadzieją na dyrektor Maciejewską.

– Z nabożnym? Szacunkiem? O mnie? – Wanda poczuła, że „nabożny szacunek” brzmi jak skrobanie kredy po suchej tablicy.

– Jeśli Ewa coś pani powiedziała, proszę mi to powtórzyć. Obiecuję, że nie zabiję łajzy za ucieczkę.

Dyrektorka uśmiechnęła się blado.

– Panie Mazurek. Możemy rozmawiać wyłącznie o faktach. – „I ta bruzda na czole. Znak wewnętrznego pęknięcia. Hryńko, gdyby żył, miałby jeszcze głębszą. Jak on się wstydził matki Rosjanki i ojca Ukraińca, co z tego, że ze Lwowa, ale pierwszego złodzieja na Wałach Hetmańskich, w dodatku pół-Żyda”. – Fakty są takie: Ewa ma prawo do samodzielnych wyborów. Jest dorosła.

– Tylko pełnoletnia. Poza tym nie zdała matury.

– Polski napisała na piątkę.

– I tylko polski. Z matematyki wyszła w połowie.

– To prawda – potwierdziła Maciejewska.

– Na ustnych nie pojawiła się w ogóle.

– Przykro mi.

– Niech pani nie udaje.

Maciejewska ściągnęła brwi.

– Twierdzi pan, że wyjechała. Twierdzi pan, że nie wie dokąd. Podejrzewa pan, że orientuję się w sprawach Ewy. Ale tak się składa, panie Mazurek, i to jest może najważniejszy fakt, że to pan jest najbliższą dla Ewy osobą, nie ja. To pan powinien wiedzieć, z kim, gdzie i w jakim celu spotyka się pana córka. I dokąd wyjeżdża. Z tą swoją całą „miłością życia”.

– Gdzie ona teraz jest? – Mazurek szepnął sam do siebie. Nie patrzył na Maciejewską. – Co teraz robi?

„Popełnia samobójstwo”, chciała odpowiedzieć dyrektorka. „W klasztorze, którego adres obiecała, że ci, człowieku, zostawi”. Milczała. Obiecała dyskrecję.

– Nie wiem – odrzekła po chwili.

Gdyby spojrzała w oczy Franciszkowi, zauważyłaby, że się zaszklily. Wzrok dyrektorki zatrzymał się jednak na...

„...braku palców. Co mógłby mi powiedzieć o braku palców? To ciekawsze niż historia jego córki dewotki. Czy to cmentarne psy odgryzły mu kawałek dłoni, czy też wieko dębowej trumny uczyniło ten nienaturalny wyłom?”

– Bóg zabrał mi jedną i drugą – powiedział Mazurek. – Najpierw żonę, teraz córkę.

– Zaraz tam Bóg. To nie Bóg. Boga nie ma – odrzekła dyrektorka.

– Boga nie ma – potwierdził ojciec Ewy. – Tylko czasem bywa. Pojawia się i żąda ofiar. – Przeczesał włosy grzebieniem trójpalczastej dłoni. – Jak mam wytłumaczyć śmierć żony tuż po narodzinach Ewy i zniknięcie Ewy gotowej do roli żony? Może pani mi to wyjaśnić? Pani przeczytała więcej niż ja mądrych książek o życiu, o ludziach, o świecie.

„Niczego się z nich nie nauczyłam”.

– Proszę poczekać na kolejny list – poradziła dyrektorka. „To nie jest zwykły grabarz”, pomyślała. – Ewa na pewno napisze. Jeśli tylko będzie mogła. Zapali pan?

– Nie palę.

– Rzucił pan?

– Po prostu nie palę.

I wyszedł bez pożegnania, tak jak wszedł bez powitania.

Wanda Maciejewska została sama w pustym gabinecie. Straciła ochotę na papierosa. Spojrzała z niechęcią na stertę papierów leżących przed nią na biurku. Wyjęła papierosa z ust. Straciła na podłogę pudełko zapalek. Z daleka dostrzegła znajome hasło na czerwonej tekturze: **ŻĄDAJCIE DOSTAW ZIEMNIAKA JUŻ JESIENIĄ!** „I czego jeszcze?” Rozpuściła długie siwe włosy, zebrała je na powrót w dłonie, ukreśliła ciasny kok, w który wpięła długie

szpilki. Na karku oprócz ciężkiej fryzury poczuła ciężar pięćdziesięciu lat. „Kto mi zabrał ostatnie trzy dekady życia?”

O spotkaniu z Mazurkiem opowiedziała tylko Łajzie, chociaż mogła zadzwonić albo do Lucyny, albo do Walerii, albo do Anieli. Mogła też o dziwnej wizycie Mazurka opowiedzieć wszystkim przyjaciółkom jednocześnie przy ostatniej przed wakacjami partii brydża.

Nie zadzwoniła.

Nie opowiedziała.

Teraz przed oczami miała kolejną kałużę zrobioną przez Łajzę i perspektywę trzeciego już dzisiaj spaceru z kundlicą.

– Prawdziwa z ciebie łajza – powiedziała do psa.

Sprzątnęła po suce i znowu klapnęła na wersalkę.

Przymknęła powieki.

Zasnęła.

*

– Śpi siostra? Siostró Agnieszko. – Ewa odstawiała tacę z owsianą papką na talerzu. Dotknęła ramienia starej zakonnicy, która leżała w białej wykrochmalonej pościeli. I w czarnej koszuli nocnej.

„Jak mucha na wielkanocnym obrusie”, pomyślała Ewa.

Mazurkówna położyła dłoń na czole zakonnicy. Dziś nie gorączkowała. Wręcz przeciwnie – była całkiem zimna. „Oddycha jeszcze?” Mazurkówna przystawiła policzek do ust siostry Agnieszki. „Słabo”.

Ewa odwróciła się od łóżka i wyjrzała przez okno. Wychodziło na ogród i na pasiekę. Pszczoły uwijały się między gruszami, jabłoniami i śliwami, a także między wysokimi lipami rosnącymi wokół klasztorного ogrodzenia.

Szum, hałas i robota.

„Robotnice-bezbożnice”, pomyślała Ewa i zwróciła bladą twarz w stronę słońca. W Bolegoszczy opalałaby teraz się nad Bolą. W mało uczęszczanym zakątku, w którym prawie nikt nie bywał. Za trzecim zakolem. Rozłożyłaby ręcznik na trawie. Wystawiłaby ciało na słońce.

Kwadrans wcześniej, zaraz po aktach, mistrzyni odesłała Ewę z refektarza z zakazem spożywania posiłków aż do kolacji. Całą niedzielę miała zajmować się umierającą od dwóch lat siostrą Agnieszką. Nakarmić, umyć, poczytać, odmówić różaniec, litanie do Wszystkich Świętych, odprawić popołudniową liturgię godzin, przeczytać drugi rozdział Dziejów Apostolskich, przeżyć, przemyśleć, przemodlić.

Ewę nie po raz pierwszy posłano na służbę do siostry Agnieszki. Po raz pierwszy jednak poczuła tak silne obrzydzenie przed dotykiem starego, brudnego ciała, które od dawna powinno spoczywać w grobie.

Dziewczyna westchnęła do Matki Boskiej o siłę i cierpliwość.

Pojawiły się złość, zmęczenie i bolesny skurcz pustego żołądka.

Ubożanka powinna w pokorze i w całkowitym posłuszeństwie służyć pomocą biednym, chorym i cierpiącym bliźnim. Wszystko to czynić powinna z radością, uległością, w milczeniu i bez zwłoki, widząc w każdym ubogim człowieku Chrystusa Ukrzyżowanego.

Ewa przypomniała sobie jeden z punktów konstytucji ubożanek.

Przysiadła na łóżku chorej. Stół, krzesło i klęcznik zniknęły z celi siostry Agnieszki na polecenie matki przełożonej, kiedy okazało się, że po latach cichej służby stara zakonnica stała się bezużyteczna nie tylko w sprawach domowych, ale też duchowych. Od dawna nie mogła modlić się i polecać spraw bliźnich Wszystkim Świętym.

Ewa patrzyła na oblicze siostry Agnieszki.

Z boku i z góry.

Mimo wysiłków Mazurkówny oblicze siostry Agnieszki pozostało obliczem siostry Agnieszki, ozdobionym strużką śliny biegnącej od ust w stronę ucha, a nie wizerunkiem Chrystusa Ukrzyżowanego.

Każda ubożanka powinna w duchu miłości i posłuszeństwa wykonywać polecenia przełożonych, widząc i rozumiejąc w nich Boską Opatrzność.

Boska Opatrzność w osobie siostry mistrzyni udała się na przechadzkę po parku okalającym klasztor. Ewa spojrzała na talerz zimnej owsianki. Powąchała breję. Włożyła w nią palec. Oblizwała. Przeżegnała się. Trzy razy uderzyła się w pierś.

Sprawami świata i ciała ubożanka powinna gardzić, wybierając post i wstrzemięźliwość. Duszę powinna ćwiczyć w doskonałości, wystawiając ją na

nieustanne pohańbienie. Najuboższa pośród ubogich – oto cel i sens życia każdej ubożanki.

Czyżby siostry od świętej Biedy były uboższe niż Jezus?

Ewa nie miała pewności.

Zastanawiała się też, czy i kiedy powinna wyznać mistrzyni, że wrzuciła kurze gówno do łóżka donosicielki – postulantki Elizy (Chryste! imię jak mokre liźnięcie psa). Ewa miała bezpośredni dostęp do kurzego gówna, ponieważ mistrzyni z upodobaniem kierowała ją do sprzątania kurnika.

„Ukorzyć się przed mistrzynią?”, zapytała siebie w duchu Ewa.

Chyba tak. Powinna zadbać o swoją przyszłość w wymarzonej klasztorze.

O przyszłość, na którą zdecydowała się świadomie i dobrowolnie, wierząc, że w zakonie odpokutuje najpierw śmierć matki, a następnie wyblaga łaskę nawrócenia ojca i dobrego męża dla Renaty. Najbardziej bała się o ojca. Lękała się, że Boska Opatrzność w trzech osobach wymierzy Franciszkowi okrutną sprawiedliwość. Po śmierci.

Słońce.

Szum drzew.

Dwanaście uli pulsujących życiem i pracą.

Mazurkówna usłyszała dochodzący z refektarza śpiew sióstr. Zawtórowało im brzęczenie pszczoły krążącej nad czołem siostry Agnieszki i burczenie w brzuchu Ewy.

Dziewczyna rozluźniła uścisk kołnierzyka, rozpięła zamek spódnicy, której pasek wrzynał się w talię. Sięgnęła po zimny już talerz owsianki przeznaczonej dla siostry Agnieszki i zjadła od razu połowę, wpychając do ust pełne łyżki zimnej, gęstej zupy. Poczowała, jak breja pęcznieje w jej żołądku, jak podchodzi do gardła, jak po chwili rozlega się w południowej ciszy niczym dzwon na Anioł Pański potężne beknięcie. Z samego środka Ewinego żywota.

W tym samym momencie siostra Agnieszka uniosła głowę. Ostatkiem sił podniosła rękę i przegnała pszczołę wędrującą po jej czole. Spojrzała mętnym wzrokiem na Ewę.

– Rejteruj w bonie dydy, rejteruj stąd – wyszeptała. Opadła na poduszkę i umarła.

Ewa ze zdumienia otworzyła usta.
Wściekła pszczoła wleciała do otwartych ust Ewy.
Ewa zakrztusiła się.
Pszczola nie wyleciała z ust Ewy.
Ewa złapała się za gardło.
Upadła na podłogę.
Usłyszała, że za drzwiami celi siostry Agnieszki rozlega się
wrzask znowu szpiegującej ją Elizy.
„Ratunku!”

– Ciszej, Łajza – mruknęła Maciejewska, przecierając oczy. –
Przestań już.

Suka stała przed swoją panią i popiskiwała. Trzymała w pysku
smycz i merdała ogonem.

Dyrektorka wiedziała, że tym razem spacer jej nie ominie,
choć upał przybrał podczas jej drzemki na sile.

Rozdzwonił się telefon.

– Może byś odebrała? – Maciejewska poprosiła sukę.

Łajza poczłapała w kierunku drzwi wyjściowych. I wróciła.
I znowu ruszyła w stronę wyjścia. I zaszczekała. I wróciła do pokoju.
Po drodze popuściła.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Maciejewska zatrzymała się na chwilę przy radiu. Znowu
nadawało powtórkę przebojów z opolskiego festiwalu. Pieśniarz,
którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć, śpiewał, że za
trzydzieści parę lat

...jak dobrze pójdzie
w kiosku Ruchu kupię „Świat”
„Forum” nie będzie,
podgrzeję ziółka, zapalę sporta
i do snu wnukom powiem baśń
o cudownych pięknych dniach
lat sześćdziesiątych.

„Cudowne, cudowne”. Dyrektorka wyłączyła radioodbiornik.
„Cudowne lata sześćdziesiąte. Za trzydzieści parę lat po opolskim
festiwalu zostanie tylko amfiteatr. Po sportach nic nie zostanie”.
Maciejewska przypomniała sobie smak marlboro. „Za trzydzieści parę

lat. Bezczelność i arogancja. Smarkacz zaśpiewałby lepiej, jak przeżyć w tym upale do wieczora”.

Dyrektorka dokuśtykała wreszcie do telefonu.

– Halo. Słucham? Na wieki wieków? Co to za pomysł. Wystarczy *hic et nunc*... To ja... Tak... Nie... Może wykonać tylko jedno połączenie? Dlaczego tylko jedno? Siedzi w areszcie?... To akurat żadna różnica... Dość tego gadania. Ewę. Poproszę do telefonu Ewę. – Wzrok Maciejewskiej zatrzymał się na półce z książkami, na której ustawiła *Naturalis historiae* Pliniusza Starszego. Tomy od dwunastego do dwudziestego czwartego. Między nimi ujrzała książeczkę. „Tuś mi się zapodziała”. Wrzuciła ją do torebki. – ...Czy potwierdzam, że jestem dla Ewy...? Że kim jestem dla niej?! Ach, Ewa tak mówi... Więc tak. Potwierdzam.

*

Dokładnie dwa miesiące wcześniej Ewa potwierdziła pisemnie odbiór pieniędzy. Dokładnie dwa miesiące wcześniej! Tyle czasu minęło. W połowie maja, tuż przed wyjazdem z Bolegoszczy do Starej Wsi Kościelnej. Wykaligrafowała też w specjalnym brulionie dokładny adres klasztoru, w którym zamierzała przygotowywać się do służby Bogu i ludziom.

– Pisz, bo inaczej nie dochowam tajemnicy i wszystko powiem twojemu ojcu – zagroziła Helena.

Siedziały na werandzie. Mżył wiosenny deszcz. Przed Ewą leżał na talerzyku nietknięty placek drożdżowy z kruszonką. Obok talerzyka koperta z trzymiesięcznym uposażeniem: zaległa kwota za kwiecień, ale też pieniądze za maj i czerwiec.

– Nie mogę tego przyjąć – powiedziała Ewa.

– Czego jak czego – stara Opolska przełknęła kawałek ciasta – ale pieniędzy mi nie brakuje.

Co miesiąc odbierała w Orbisie gotówkę i nie wiedziała, co z nią zrobić. Wydać? Z wiekiem miała coraz mniej wymagań. Rozdać? Nikomu nie skąpiła pomocy. Ale nawet kiedy wydawała i rozdawała, w jej portfelu wciąż zostawało tyle, że mogłaby utrzymać nie tylko dzieci, wnuki i kierownika duchowego, ale również wszystkie

pólsieroty z parafii. Oraz Ewę. Gdyby tylko porzuciła myśl o klasztorze.

– Nie aż tyle. – Mazurkówna odsunęła od siebie kopertę. – To za dużo.

– Część zarobiłaś, część przyjmij w prezencie. Na nową drogę... życia. – Helena westchnęła. Ważyła słowa. – Ty mi powiedz, co to za życie? Ewa, zastanów się jeszcze.

– Wszystko przemyślałam.

– Co na to twój ojciec?

– Nie ma dwóch palców.

– Przestań pleść bzdury.

– Straty trzeciego nawet nie poczuje. – Mazurkówna wsunęła pieniądze do kieszeni spódnicy. – Potrzebował mnie do sprzątania i do gotowania. Renata...

– Twoja siostra?

– ...do obwiniania o to, że nie jest artystką operową. Potrafi zaprojektować, skroić i uszyć wszystko oprócz własnego życia.

– Nie pojmuję, dlaczego to robisz. W dodatku w trakcie egzaminów – powiedziała Opolska. – I to jest chyba najgorsze.

– Pani akurat powinna mnie rozumieć. – Ewa skubnęła kawałek ciasta. – Pani wciąż chodzi do kościoła.

– A co mam robić? Gdybym widziała na dwoje oczu, tobym haftowała.

– Ornaty i obrusy na ołtarze?

– Jeszcze słowo i pożalujesz.

Mazurkówna sięgnęła po zimną już herbatę.

– Paweł zaczął grać u Świętego Wawrzyńca. – Opolska posunęła w stronę dziewczyny cukiernicę. – Pójdziemy wieczorem posłuchać.

Ewa zatrzymała filiżankę w pół drogi do ust. Spojrzała na kwitnący pod płotem krzak bzu. Pachniał z daleka.

– Nie mogę. Dzisiaj wyjeżdżam.

Wstała.

– Napiszę – obiecała. – Jak tylko będę mogła. – Odwróciła się od Heleny Opolskiej i wyszła z werandy. – Za wszystko dziękuję.

Teraz, w lipcowe niedzielne przedpołudnie sędzina siedziała na tej samej werandzie, co dwa miesiące wcześniej, co dwa lata wcześniej, co dwadzieścia dwa lata wcześniej.

Sięgnęła po garść czereśni, pierwszych w tym sezonie.

– Czas płynie za szybko – powiedziała do ocierającego się o jej nogi Pirata. Kocur miał oberwane ucho, świeżą krew na pysku i dar dla sędziny: martwego mazurka, którego położył tuż przy schodach na werandę. Rozbójnik pojawił się nie wiadomo skąd, za chwilę umknie nie wiadomo dokąd i nie wiadomo na jak długo. – A ludzie znikają na zawsze. Jeszcze żeby chociaż odpisała na list.

Ale nie.

Ewa nie odpisała na żadną z czterech wiadomości Heleny.

Nie dawała znaku życia.

Stara Opolska podniosła się z wiklinowego fotela. Zebrała pestki po czereśniach.

W kuchni łyknęła kapkę koniaczku.

– Za dużo trosk – powiedziała do Pirata, który ruszył za sędziną do domu. Skoczył na stół i zaczął zlizywać resztkę masła z ceraty. – Za dużo kłopotów.

Tadzio opuścił Baškę. Nie wrócił do niej, choć Helena trzykrotnie upomniała syna. Za pierwszym razem grożąc wydziedziczeniem, za drugim – własną śmiercią, za trzecim – ogniem piekielnym. Przy każdej groźbie powoływała się na świętość związku małżeńskiego. Tadzio zlekceważył matczyne szantaże.

Paweł też oszalał. Od miesięcy zamiast Rachmaninowa, Czajkowskiego, Chopina ćwiczył pieśni kościelne. Nawet Helena miała dość jego koncertów. Tęskniła za szlachetnymi dźwiękami, za wytwornymi melodiami, za emocjami ukrytymi w utworach klasyków. Tymczasem słuchała kawałków jak z festiwalu dla dewotek. Owszem, ona też była dewotką, ale w przeciwieństwie do innych świętoszek znała się na muzyce.

Andrzej – tak dla odmiany – zniknął. Przed wyjazdem do Warszawy na egzaminy wpadł po pieniądze do babki. I wypadł. Do nikogo nie odezwał się od dwóch tygodni.

„Jest się o co modlić”, pomyślała. „No, pora na sumę”.

Włożyła czarną lekką sukienkę, ujęła w dłoń czarny parasol (dla ochrony przed słońcem), na oko założyła niedzielną opaskę, na

głowę kapelusz.

Otworzyła z werwą drzwi.

Przestraszona cofnęła się w głąb holu.

W progu stała wysoka siwa kobieta o lasce i z kundlem na smyczy.

Pies zaszczekał i zsikał się na wycieraczkę.

– Obawiałam się, że przez telefon nie zechce mnie pani wysłuchać – powiedziała kobieta. – Czeka nas podróż. Teraz.

3.

– Teraz. Teraz chcę zobaczyć się z moim mężem. Nie za pięć, nie za dziesięć i nie za piętnaście minut. – Barbara stała przed Łucją Koszurą. – Gdzie on jest? Portier posłał mnie do pani po dokładne informacje.

Doktorowa oddychała z trudem. Po pierwsze, drogę od bramy wjazdowej do pawilonu A pokonała biegiem. Po drugie, upał coraz mocniej dawał się we znaki. Po trzecie, po raz pierwszy w życiu naprawdę chciała zobaczyć Tadeusza.

Godzinę, może dwie wcześniej kobieta w przezroczystym peniuarze wyjaśniła prawie omdlałej Barbarze, że w wypadku zginął nie kto inny, lecz jej mąż Bogumił. Bogumił Niechciał. Bardzo, bardzo chciała wiedzieć, kim Barbara była dla Bogumiła. „Nikim”, warknęła Opolska zaraz po tym, jak w kuchni wdowy po świętej pamięci Bogumile pokrzepiła się szklanką zimnej oranżady. „Zupełnie nikim” i wyszła, trzaskając drzwiami, z mieszkania roznegliżowanej.

Pod budynkiem partii Opolska cudem złapała taksówkę, którą prowadził brodaty szofer. Zamówiła kurs do szpitala.

Z karku taksówkarza spływał pot, a z jego ust słowa. Postanowił dowiedzieć się, do kogo w odwiedziny jedzie pani szanowna, dla jakiej to przyczyny pakuje się przy niedzieli w sam środek obłędu, nie lepiej w Boli zgrabne nóżki pomoczyć, słodką pierś zanurzyć, usteczka zwilżyć kwasem chlebowym? Jednak on, Władek Tworkowski, rozumie: trzeba, to trzeba jechać do szpitala w odwiedziny, wariat też człowiek, a rodzina rzecz święta, chociaż czasem przekłeta, lecz gdyby jednak szanowna pani chciała obłędnie z kimś porozmawiać, to on, Władek Tworkowski, poleca się, do usług, poda nawet numer telefonu, co mu go założyli sześć miesięcy wcześniej, po szesnastu latach oczekiwania.

Opolska przerwała monolog kierowcy krótkim „Przymknij się pan wreszcie”.

Szofer przymknął się. Zaraz za Bolegoszczą, w szczerym polu, zatrzymał moskwicza, wysiadł i zamknął szczelnie wszystkie okna.

„Jak tylko spróbuje otworzyć”, ostrzegł Opolską, „wyrzucę z taryfy i do psychuszki podrałujesz pani na pieczętę. Stąd to z dziesięć kilometrów będzie”.

Pod bramą szpitala Władek Tworkowski policzył za kurs potrójnie i nie wydał reszty.

Nie miało to jednak dla Barbary większego znaczenia.

– Powie mi pani? – Chwyciła Łucję Koszurę za rękę. – Gdzie jest mój mąż?

– I co, siostró Łucjo? Już pani wie, jak powiedzieć po angielsku... – W pokoju pielęgniarek pojawiła się drobna, krótko ostrzyżona kobieta w sukience w truskawki.

– Nie powiem.

Krótkowłosa zatrzymała się.

– Dlaczego?

Koszura patrzyła z góry na Opolską.

– Niech będzie. Powiem. *I have a dog, a cat and two snakes*. Na dzisiaj wystarczy lekcji. Niech pani wraca do siebie – zwróciła się do truskawkowej sukienki. – Wieczorem wyślę salową, żeby sprzątnęła u pani w pokoju.

Truskawkowa wyjęła papierosa z paczki leżącej na biurku Koszury obok książki, słownika i brulionu z notatkami. Zapaliła go srebrną zapalniczką. Nienawidziła zapalek w opakowaniach z groźbami. Ogarniał ją paniczny lęk, że zapalaki w jej rękach to pożar; że utopi się nieubezpieczona w PZU; że na starość znajdzie się w Domu Opieki Społecznej im. Matysiaków; że zachoruje na gruźlicę bydła; że oszczędza za mało wody, bo myje się po pracy, a często przed pracą; że chociaż przemysł potrzebuje surowca, ona nie zbiera makulatury, szmat i złomu. Ech.

Pielęgniarka tymczasem podeszła do Opolskiej.

– Pani naprawdę jest żoną dyrektora? – Koszura wątpiła. Na jedynej zabawie sylwestrowej, w jakiej wzięła udział (w nocy z sześćdziesiątego drugiego na sześćdziesiąty trzeci), nie spotkała żony ordynatora. Gdyby spotkała, zapamiętałaby jej chłodne spojrzenie, rude włosy i piegowate ramiona.

Barbara sięgnęła po leżącą na krześle „Przyjaciółkę”. Zaczęła wachlować się gazetą. Przed oczami migwały jej blade kolana panny z okładki. Zmęczona przysiadła na wersalce okrytej kocem w kratę. Traciła rozum od upału. Na korytarzu zaskowyczała pacjentka. Inna się rozkrzyczała. „Nie pytaj, komu wrzeszczą wariatki”, pomyślała.

– Naprawdę? – Koszura powtórzyła pytanie.

Barbara mogłaby opowiedzieć Koszurze o tak wielu „naprawdę”.

Naprawdę nie planowała wychodzić za męża za Tadeusza. Ani za nikogo innego. Naprawdę nie wyznała mu nigdy miłości. Naprawdę nie tęskniła za mężem, kiedy wyjeżdżał na konferencje, sympozja, kongresy zjazdy lub sesje. Naprawdę irytował ją, gdy z pedantyczną dokładnością sprawdzał, czy na żadnym kubku nie został osad po kawie albo herbacie. A tłuszcz na talerzach. Naprawdę nie mogła spać z nim w jednym łóżku (chrapał, chrumkał, chrząkał i... aż wstyd o tym mówić). Naprawdę znalazła się po raz pierwszy w miejscu pracy męża (nie licząc dwóch sylwestrów, ale one odbyły się w Romantycznej). Ani razu wcześniej nie wpadła na pomysł, żeby go odwiedzić w Niedorośli. Naprawdę nigdy nie zapytała Tadeusza o jego pacjentów. Ani o jego sprawy z nimi. Naprawdę liczyło się tylko to, żeby w kopercie na telewizorze do piątego dnia każdego miesiąca zostawił pieniądze na dom i na życie (wraz z listkiem pigułek na bezsenność).

– Naprawdę – odrzekła Barbara. – Naprawdę jestem żoną ordynatora Opolskiego.

Krótkowłosa przyglądała się doktorowej uważnie. Zmrużyła oczy. Ściągnęła usta.

– Niech się pani nauczy do jutra kolejnego zdania – poleciła siostrze Łucji. – *My life is terribly complicated.*

Koszura zrobiła minę jak Kopciuszek z drugiego piętra, której sprzed nosa zwiła karoca ze słoików, komplikując spotkanie z księciem.

– A ty – kobieta zgasiła papierosa, zapalniczkę wrzuciła do kieszeni sukienki, zgarnęła książkę, słownik i brulion, dotknęła ramienia Barbary – ty pójdziesz ze mną.

Prokurator Ryszard Mielnicki z niecierpliwością czekał na hiszpańską muchę, którą zamówił u doktora Opolskiego na początku kwietnia.

Otrzymał ją zaraz po powrocie Benka Karpią do Polski. Kapitan Zygmunt Żurło poinformował Mielnickiego trzy dni wcześniej, że marynarz zmustruje w Gdyni piątego lipca. W domu pojawi się dzień później. Miał już wykupione w Orbisie – Żurło sprawdził tę informację osobiście – miejsce w kuzetce do Bolegoszczy.

Szóstego lipca Ryszard zatelefonował do Tadeusza. Przypomniał mu o zamówieniu.

Siódmego lipca Tadeusz został dłużej w pracy. Musiał załatwić kilka spraw w przyszpitalnym laboratorium.

Ósmego lipca kapitan Żurło osobiście dostarczył prokuratorowi hiszpańską muchę.

Mielnicki zdziwił się, że *Spanish Fly* wygląda inaczej niż na zdjęciu w „Playboyu”. Liczył się z innym opakowaniem, z inną etykietą, z inną zakrętką. Głupi nie był (choć domyślał się, że na takiego wygląda). Ale nie liczył się z tym, że otrzyma boski popędopęd w trzydziestomililitrowej przedwojennej butelce z ciemnego szkła z napisem Prenzlau Apotheke. Nie sądził, że krople będą miały kolor absyntu i że będą śmierdzieć...

– ...wyciągiem z gówna kangura i rozcieńczoną wodą kolońską!

– Prastara? – Opolski zapytał z głupia frant. Co on mógł wiedzieć o zapachu hiszpańskiej muchy.

– Co ty mi tu wciskasz, facet?

Tym razem Ryszard pofatygował się do Tadeusza osobiście. Dorwał go przed szpitalną bramą, kiedy Opolski pakował do bagażnika syrenki aktówkę pełną papierów. Sam nie wysiadł ze swojego kabrioletu.

– Benek przelał – odpowiedział Tadeusz.

– Raczej przesadził.

– Przelał z oryginalnej butelki do nieoryginalnej.

– Po kiego diabła?

– Pomyśl. – Doktor trzasnął klapą bagażnika.

Ryszard nienawidził, kiedy Tadeusz odzywał się do niego w ten sposób. Od chwili, kiedy wiele lat temu, tak dawno, że nikt nie pamięta (oprócz Ryszarda), zapytał: „Dlaczego, Tadziku, twój ojciec nie pierze matki po robocie?”, i w odpowiedzi usłyszał: „Pomyśl”.

Pomyślał, ale źle. Wykombinował, że sędzia Jan Opolski nie pierze Heleny po robocie, ponieważ Helena nie ma roboty. „Durny jesteś strasznie”, Tadzik wyśmiał teorię Ryśka. I poradził mu: „Już ty lepiej nie myśl”.

Mielnicki nigdy nie zapomniał Opolskiemu dawnej urazy. Żeby udowodnić półhrabkowi, że się myli, został specjalistą od łączenia zamysłów z domysłami, przyczyn ze skutkami, zbrodni z ich autorami.

– Nie nadwyreżaj płatu czołowego. – Opolski podszedł do samochodu Mielnickiego. – Uważasz, że Benek mógłby przemycić przez granicę tę twoją muchę w opakowaniu z etykietą *Spanish Fly*?

Tego akurat Mielnicki nie wziął pod uwagę. W każdym razie nie od razu. Z pewnością już za chwilę wpadłby na to przekonujące rozwiązanie. Wszystko przez upał. Zwariowany jak Alicja, z którą nie widział się od czasu kwietniowej awantury.

- Chcę wypisać moją żonę ze szpitala.
- Żeby zamknąć ją w innym? – zapytał Opolski.
- Nie twoja sprawa.
- Moja, bo to ja robię wypisy.
- Więc zrób. Natychmiast.
- Zrobiłem. Pod koniec maja.
- Dlaczego nic o tym nie wiem?
- Nie wiem – odpowiedział Opolski.

Zabrzmiał jak echo Mielnickiego. Tego prokurator nie znosił tak samo, jak myślenia pod presją czasu.

- Nie wróciła do domu – oznajmił doktorowi.
- Może cierpi na entomofobię.
- Co to za gówno? – zapytał Mielnicki. – Leczy się chociaż?
- Strach przed owadami. – Opolski oparł się o syrenkę. – Do których zaliczają się również hiszpańskie muchy.

Mielnicki sięgnął po kopertę leżącą na siedzeniu pasażera. Podał ją doktorowi.

- To zapłata za twoją przysługę. Trzymaj.

Dokładnie sześć dni później, czternastego lipca, w niedzielę, w samo południe, w wygodnym gabinecie w jednym z mieszkań dużego czterorodzinnego domu na Rybakach Ryszard przeglądał

raport z oględzin denatki, której tożsamość właśnie ustalono. Lubow Stanisławska. Odnaleziona dwudziestego szóstego czerwca. Jej zaginięcie zgłosili sąsiedzi dwudziestego czwartego marca. Zauważyli otwarte drzwi do mieszkania, a za drzwiami pobojowisko.

Mielnicki zdjął ręcznik z ramy krzesła. Przetarł nim twarz oraz plecy. Podeszedł do komody i włączył wiatrak. Podniósł ręce i chłodził nagi tors. Poklepał się po brzuchu. Wyrwał dwa włosy wyrastające tuż przy prawym sutku. Znowu poczuł senność.

Ostatnio odczuwał ją niemal bez przerwy. „Wcisnął mi jakieś gówno, nie afrodyzjak!” Wiedział z opisu, że trzydzieści minut po zażyciu *Spanish Fly* przez sześć do ośmiu godzin powinien być gotów do działania. Zamiast działać, padał bez czucia na brzuchach, piersiach i udach coraz to młodszych dziwek z Wroniej. Zasypiał, zanim zdążył rozpiąć rozporek i wyjąć Prokuratora Generalnego.

Chwycił za telefon.

– Żurło? Ty mi sprawdź tego Karpia. Dzisiaj. Teraz. Od razu. Przyciśnij gnoja. Już ty dobrze wiesz, z jakiego powodu. Czy co możesz? A możesz. Po gębie i po tyłku.

Ruszył do kuchni. Sięgnął na półkę po ciężkie, mosiężne, płytkie naczynie. Nalał do niego wody. Ostrożnie ustawił na zewnętrznym parapecie kuchennego okna. Cofnął się i czekał. Chwilę później przy wodopoju pojawiła się spragniona sierpówka. Mielnicki pogłaskał ją czule wzrokiem. Piękna, siwa, z czarną półobręczą wokół szyi. „Idealna”. Zauważyła człowieka. Spłoszyła się. Odleciała. Prokurator wiedział, że za chwilę wróci. W przeciwieństwie do Alicji. Tego ptaszka stracił. Na jakiś czas. Tylko na jakiś czas. „Zapomniała, do kogo należy”. Przypomni sobie, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

Wrócił do gabinetu ze szklanką zimnej wody w rękę.

Spojrzał na zdjęcia denatki. Spuchła jak jarmarczny urodzinowy balon.

– Klasyka przypadku – zamruczał, wkładając zdjęcia do koperty.

Kobieta w średnim wieku, wdowa po mężu, siertwota po synu (Mielnicki poczuł dumę, nawet Opolski nie wymyśliłby tak udatnego określenia, a Mielnicki na poczekaniu złożył „sierotę” i „martwotę”, tu doszył kawałek słowa, tam podciął i znalazł określenie na rodziców, którzy stracili dziecko), wskoczyła do Boli, utonęła tak jak jej bliscy. Spodziewał się, że jeszcze tego samego dnia przez otwarte drzwi do

mieszkania Stanisławskiej weszli uczynni sąsiedzi i przetrzepali schedę denatki. Nikomu niczego teraz nie udowodni.

„Sprawa do zamknięcia”.

Naraz Mielnicki przypomniał sobie fragment zeznań niejakiej Wypych Iwony, sąsiadki zmarłej. Odnalazł w aktach właściwy ustęp. Świadek Wypych Iwona zeznała, że dwudziestego drugiego marca widziała Stanisławską wychodzącą z domu z ciężkim plecakiem. „Uginała się pod nim”, miała powiedzieć świadek Wypych Iwona.

Mielnicki czytał:

Aktóalnie gotowałam zupe ogórkowo na wołowej kości i musiałam natychmiastowo otwożyć okno. Małżonek mój Lódwik nie wykazuje się tolerancją na zapach wywaru mięsnego gdyż jak go czuje to grozi spotkaniem mej głowy z asfaltem oraz wyzywa w brzydkich słowach.

Jak już podeszłam do okna celem jego otwózenia spojrzalam na zewnętrzną strone szyby. Pani Luba szła, dopóki sie nie zatrzymała. Zatrzymana była tak z około pięciu minut. Stała jakby nie wiedziała co dalej. Pomyślałam że pewnie na święta wyjeżdża na Syberię czy gdzieś tam w swoje strony ale nie dane mi było spokojnie dokończyć mej myśli gdyż małżonek Lúódwik nazwał mnie ~~łóczkiem~~ tłókiem i kazał natychmiastowo otworzyć okno bo jak nie to popamiętam tak mu ten wywar śmierdział. Okno się nie otworzyło na skutek zimowego zamarznienia ramy. Kit zaczął się sypać szyba prawie została mi w rence to zostawiłam w spokoju. Później kartofle wykipsiały na skutek czego gaz zgasa a małżonek Ludwik zdziałł mnie przez plecy sama nie wiem czym ale popamiętałam i musiałam z powrotem na kuchnię. Boże co za nieszczęście. Piękna z niej kobieta była postawna rżęs silny twarz szczerza przystojna a co z niej zostało. Dentka.

Pod zeznaniami podpisali się świadek Wypych Iwona oraz sierżant Waniorek Waclaw, który spisał zeznania.

„Kretynka i analfabeta”.

Dla porządku Mielnicki ponownie wyjął wszystkie zdjęcia z koperty i uważnie przejrzał. Na żadnym z nich nie znalazł plecaka. Raport też o nim nie wspominał. „Pewnie został na dnie”.

Spakował dokumentację związaną ze sprawą Stanisławskiej.

Wypił wodę.

Pokiwał się na krześle.

Znudzony sięgnął do teczki, którą Żurło dzień wcześniej podrzucił mu do prokuratury.

Z kuchni dobiegło pohukiwanie wdzięcznej za wodę sierpówki. Wróciła. Ryszard uwielbiał ten odgłos. Żadne tam trele-morele, fiutki-

dudki, pirli-tirli czy muniu-funiu, nie daj Boże krr-wrr-brr, lecz solidne, mocne, głucho pohukiwanie.

Od razu poczuł się lepiej.

Otworzył szarą teczkę od Zygmunta.

Poślinił palec. Znudzony przerzucał papiery. Jeden, drugi, trzeci, piąty, dwunasty.

Czternasty przykuł uwagę Mielnickiego. Przeczytał go dokładnie. Uśmiechnął się szeroko, sympatycznie, jak do dawno niewidzianego przyjaciela (którego zresztą nigdy nie miał).

– Mam cię w garści, skurwysynu – powiedział i znowu przetarł twarz i plecy rękami.

Barbara nie miała pojęcia, że plecy Tadeusza są tak szerokie. „Zmężniał po wyprowadzce? W ciągu kilku tygodni? Zawsze zdawał się taki wąty i szczupły”.

Siedziała na chyboczącym się taborecie dla pacjentów. Truskawkowa sukienka ostrzegła Barbarę, żeby nie wykonywała na nim gwałtownych ruchów. „Nawet się nie zorientujesz, kiedy zwalisz się na podłogę. Wtedy każdy wygląda jak psychiczny”, dodała, otwierając bez pukania drzwi do pokoju doktora Opolskiego. „Poczekam”, powiedziała i wepchnęła Barbarę do środka.

Tadeusz na widok żony najpierw wstał, później usiadł, na koniec podszedł do półki z podręcznikami. Wyjął jeden z nich, otworzył na przypadkowej stronie i czytał, nie zwracając uwagi na żonę.

– Andrzej może dzwonił do ciebie? – zapytała.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Rozejrzała się po szpitalnym gabinecie męża. Rozpoznała stary fotel, uszak. Kiedyś stał w jednym z pokoi na piętrze w domu Heleny. Przy biurku zauważyła rude siedzisko. To samo, które Tadek przywiózł z NRD zamiast suszarki. Zrobiła mu o to awanturę. Na leżance dostrzegła sfilcowany wełniany koc. Kilka lat temu kupiła go Tadekowi na urodziny. Wyblakły obraz: kobieta z nogami grubymi jak słupy telegraficzne wyciągała sobie z głowy przewody. Z uśmiechem na ustach. „Patronka wszystkich wariatek”, pomyślała Opolska.

– Odezwij się – poprosiła Barbara. – Nie traktuj mnie jak psiej kupy, w którą wlałeś przez przypadek, a która przez to nie śmierdzi ani trochę mniej.

– Czego chcesz? – Tadeusz odwrócił się do żony. Spojrzał na nią z góry.

„Niczego, tylko wróc do mnie”.

– Jest połowa lipca – przypomniała mężowi. – Świadczenia wciąż nieopłacone. Rachunki. Czynnysz. Telefon.

Tadeusz wyciągnął z teczki kopertę.

Barbara zajrzała do niej. Przeliczyła pieniądze.

– Wystarczy tylko na opłaty.

– O resztę musisz zadbać sama – odpowiedział Tadeusz. Usiadł naprzeciwko Barbary. Położył przed sobą książkę. Tępo gapił się w tekst.

– Sama? Jak to sama? – Do Barbary dopiero teraz dotarł sens tego, co oznajmił Tadeusz.

– Praca. Tyle razy powtarzałem ci, że musisz znaleźć sobie pracę.

– Twoja matka nigdy nie musiała pracować – odparowała Opolska. – I to ona, pozwól, że ci przypomnę, mówiła, że obowiązkiem męża jest utrzymać żonę.

– Wspominała też coś o obowiązkach żony, którą utrzymuje mąż. Przypomnij, jeśli pamiętasz.

Barbara patrzyła na czubki letnich pantofli. „Całkiem zakurzone!” Pochyliła się i przetarła buty dłonią.

– Mieszkasz u niej? U tej młodej wdowy?

– Bywam. Od czasu do czasu.

– Jak się nazywa?

– Anna Łoś-Niechciał.

– Jakiś łoś jednak chciał.

– Z rozłożystym porożem. – Tadeusz uderzył dłonią w stół. – Tobie tłumaczyć tego nie będę. O rogach wiesz więcej ode mnie.

– Co mówi medycyna o seksie – to słowo Barbara wypowiedziała cicho i niepewnie – w łóżku, w którym miejsce po nieboszczyku jeszcze nie wystygło? Jest jakaś nazwa na tę przypadłość? Tutaj nie znalazłam.

Wyjęła z kuferka *Zarys psychiatrii* i rzuciła mężowi pod nos. „I już po pokojowej wymianie oświadczeń”, pomyślała.

Tadeusz sięgnął po podręcznik. Przejrzał, co w środku. Nic nie znalazł. Oprócz zasuszonej czterolistnej koniczyny i biletu do Lublina.

– Zostawił cię?

– Kto? – Barbara przecież nikomu nie wspominała, że miała przygodę z...

– Prokuratorem już się znudziłaś? Wymieniłaś go na adwokata, ginekologa, a może na komendanta milicji? Całkiem niedawno był do wzięcia. Z kim się teraz łajdaczysz? Kto zostawia ci pieniądze w kopercie na płaszcze, torby i szpilki?

Barbara zacisnęła usta.

– Ja... nigdy... Jak możesz...?

– Mogę. Tak jak ty mogłaś z synem szewca. Wykorzystał cię jak parę bułgarskich sandałów z pośledniego materiału i wyrzucił.

– Widziałam go tylko kilka razy.

– On widział cię częściej niż ja. Od strony, od której ja nigdy.

Tadeusz pochylił się do najniższej szuflady biurka i wyjął fotografię. Bardzo wyraźną fotografię. W oknie garsoniery stała ona, Barbara, którą Ryszard brał od tyłu. Z zamkniętymi oczami. Ona podpierała głowę rękoma i obserwowała życie ulicy. Ze zmrużonymi oczami. Z palcem w ustach. Znudzona.

„To dlatego nigdy nie pozwalał zasłaniać okien”, pomyślała.

– Właśnie dostałem to na pamiątkę od Ryszarda. Mogłaś się puścić z kimkolwiek. Ale nie z nim – powiedział Tadeusz. – Mogłaś zejść w ciążę z bezdomnym, z psychicznym, z kolejarzem, ze szmaciarzem albo z taboretym. Ale nie z nim. Rozumiesz?

Barbara pociągnęła nosem.

– Złożyłem pozew o rozwód. Czekaj na korespondencję z sądu. Przybędzie niebawem.

– Niedawno minęły trzy miesiące jak tu jestem – powiedziała do Barbary kobieta w truskawkowej sukience.

Wyprowadziła bladą doktorową na zewnątrz. Powiodła kawałek aleją w stronę cmentarza. W połowie drogi usadziła słabą Opolską na ławce, sama rzuciła na trawę szary brulion i usadowiła się na nim.

Spoglądała na snujących się między drzewami i rabatami pensjonariuszy zakładu. Cienie bez cienia. Ani żywi, ani martwi.

Zamknięci w światach, których granice przekraczał tylko Bóg, szatan i haloperidol.

Przed milczącymi kobietami przeszła grupa pacjentek pod opieką kilku pielęgniarek i sanitariusza. Nieoczekiwanie jedna z chorych zatrzymała się, padła na ziemię i poczęła wciskać w usta garście żwiru.

Sanitariusz podniósł wariatkę z ziemi i zaprowadził z powrotem do szpitala.

– Po kolejnych trzech miesiącach wyglądałabym tak samo – powiedziała truskawkowa. – Żarłabym tynk ze ścian. Lizałabym podłogi. Modliłabym się o śmierć. – Urwała źdźbło trawy. Włożyła do ust. – Ciebie też. Wcześniej, później, ale ciebie też doprowadziłby do obłądu.

– Kto?

– Mielnicki. Ryszard Mielnicki. Załatwiłby cię.

– Mnie? – zapytała Opolska. – Cię? Pani mnie...

– Obraża? – Truskawkowa przesypywała piach w dłoniach. – Proszę, nie bawmy się w formy. – Rzuciła garść ziemi za siebie. – Wspólnota łoża zwalnia z kindersztuby. Byłaś kochanką mojego męża.

– Ja?

– Nie tylko ty.

Barbara czuła, że rozpada się na tysiąc drobnych kawałków, które wbijają się w szpitalną glebę. Wkrótce zapuszczą korzenie, a wraz z nadejściem kolejnej wiosny zazielenią się i zakwitną. Szklę i żyletkami.

– Tadeusz mnie uratował – mówiła dalej truskawkowa. – Załatwił pokój w hotelu zakładowym. Dał pracę na pół etatu. Uczę angielskiego. Cały personel i kilku pacjentów z detoksu alkoholowego. Jestem Alicja. Alicja Mielnicka.

Barbara oparła się o ławkę. Pozwoliła głowie opaść do tyłu. Otworzyła szeroko oczy. Patrzyła na świat do góry nogami.

– Czego pani... ty ode mnie...? Jeśli oczekujesz przeprosin, to...

– Niczego nie oczekuję. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że on nie przestanie. Nie wiem, dlaczego się uwziął. Jakby miał obsesję na punkcie...

– Na moim punkcie?

– Pochlebiasz sobie. – Alicja poprawiła sukienkę na kolanach.

– A na czym? – Barbara oddychała coraz spokojniej. Wydarzyło się to, czego obawiała się najbardziej. Wydarzyło się. Tadeusz nie wróci do domu. Odszedł. Usłyszała to wyraźnie. Czekał ją rozwód, ale to ani jutro, ani pojutrze, ani nawet za tydzień, więc strach o przyszłość jest teraz bez sensu. Tadeusz wiedział też o Ryszardzie. To również przyniosło Barbarze ulgę. Nie musiała już kłamać.

– Rysiek ma obsesję na punkcie Tadeusza – wyjaśniła Alicja. – Zawsze, kiedy wypił za dużo wódki, powtarzał, że zabierze mu wszystko.

Alicja wstała. Podniosła z ziemi brulion, wsunęła go pod pachę.

– Co to znaczy „wszystko”?

– Wszystko to wszystko. Należałaś do Tadeusza. Byłaś jedną z rzeczy do wzięcia.

– Byłam jedną z rzeczy... – powtórzyła Barbara. Poczowała adekwatność określenia. I wielkie zmęczenie. – ...do wzięcia?

– Mówił, że – wybaczone, nigdy nie używam takich słów – że w swoim czasie upierdolił Opolskiego jak Żyda na strychu. – Ostatnią kwestię Mielnicka wypowiedziała z wyraźnym obrzydzeniem. – Nie wiem, co to za porównanie. Nie rozumiem go.

– Muszę wracać do domu. – Opolska wyjęła z torby okulary przeciwsłoneczne. – Dzień już się skończył.

Dochodziła druga po południu.

– Powiedz mi jeszcze – Alicja zatrzymała Barbarę – chociaż nie musisz. Zrozumiem, jeśli odmówisz. To dla mnie i tak bez znaczenia. Nic mnie z Mielnickim nie łączy oprócz nazwiska. Tak z ciekawości. Z klinicznej ciekawości. Powiedz. Ten romans z Mielnickim. Zakochałaś się w Ryśku?

– Nie – odpowiedziała Barbara.

– Więc co cię z nim połączyło?

– Pieniądze. Za każde spotkanie mi płacił. I to dobrze.

4.

Andrzej bardzo dobrze wiedział, że nie uniknie konsekwencji.

Kilka miesięcy wcześniej prawie doprowadził do śmierci profesora Stillera. Otrzymał za to karę: dyrektor Maciejewska nie dopuściła go do egzaminów maturalnych. Nabroił, prawda. Liczył się z tym, że do matury przystąpi za rok. I do egzaminów na akademię medyczną.

Fortuna jednak kołem się toczy.

Dwudziestego trzeciego kwietnia, w dzień świętego Jerzego (Andrzej świetnie zapamiętał datę, gdyż tego dnia o świcie cała rodzina z nakazu babki Heleny zgromadziła się u benedyktynów na mszy w intencji duszy jej starszego syna), polonista klasy jedenastej b, profesor Grabek, który był tak stary, że Mickiewicza i Słowackiego znał chyba osobiście, na jednej z ostatnich lekcji przed zakończeniem roku dla maturzystów stracił przytomność.

Dziewczyny zaczęły pisać, chłopcy klaskać, a Andrzej rzucił się pod tablicę, pod którą leżał polonista. Zbadał tętno nauczyciela, sprawdził, czy Grabek oddycha. Zaklął pod nosem. Kazał Dance Grodzkiej ściągnąć długi sweter, ułożył na nim profesora i rozpoczął reanimację. Trzydzieści razy ucisk klatki piersiowej, dwa oddechy usta-usta, trzydzieści razy ucisk klatki piersiowej, dwa oddechy usta-usta. Dziewczyny zamilkły, chłopcy wycofali się, Andrzej zaś między uciskami a oddechami wydał polecenie: „Bolek, dzwoń po pogotowie”. Kątem oka zerknął na Mazurkównę. Mamrotała coś pod nosem. Po ostatniej awanturze przy kościele Świętego Wawrzyńca miłość Andrzeja do Ewy skończyła się tak niespodziewanie, jak się zaczęła.

Kiedy w klasie pojawili się w końcu doktor i dwaj sanitariusze z noszami, profesor Grabek leżał w pozycji bocznej ustalonej, z przymkniętymi oczami. Oddychał płytko, lecz samodzielnie. Andrzej wciąż mówił do profesora. Nikt nie słyszał, co dokładnie szepcze do włochatego ucha. Całe szczęście, gdyż młodszy Opolski spaliłby się ze wstydu. Recytował fragmenty *Wielkiej improwizacji*. „Nazywam się

Milijon, bo za miliony kocham i cierpię katusze”. Gdyby chłopaki usłyszeli, tak by go wyśmiali, że do końca życia czułby się jak pięćdziesiąt groszy, a nie jak milion.

Dyrektor Maciejewska, która wkuśtykała z parteru na drugie piętro przy pomocy laski, Bolka Świerszcza i w towarzystwie Krowy, odebrała podziękowania od lekarza. „Byłby z niego medyk jak się patrzy”, powiedział jeden z sanitariuszy. „Gdzieś ty się, chłopie, nauczył pierwszej pomocy?”, zapytał drugi.

Opolski podrapał się w głowę.

Nie odpowiedział.

Dwa dni później do Liceum im. Synów Pułku przyszedł list z kuratorium. Socjalistyczna ojczyzna potrzebuje młodzieży takiej jak uczeń Andrzej Opolski. Młodzieży uważnej na sprawy obywateli, służącej z oddaniem społeczeństwu.

Wanda Maciejewska nie miała wyboru. Dopuściła Opolskiego do matury. Przecież nie mogła przeszkodzić socjalistycznej ojczyźnie w gromadzeniu zasobów kadrowych na przyszłość.

Andrzej odebrał dyplom okolicznościowy na specjalnie zwołanym apelu, ukłonił się i podziękował Maciorze, choć tak naprawdę powinien podziękować ojcu. To on wytrenował i jego, i Pawła w pierwszej pomocy. Twierdził, że najwięcej wypadków śmiertelnych zdarza się w domu, w ogrodzie i na ulicy, a oni, chłopcy, mają być zawsze gotowi do udzielenia ratunku matce, ojcu, babce i każdemu, kto znajdzie się w potrzebie.

Andrzej próbował unikać comiesięcznych szkoleń.

– Ćwicz. – Tadeusz nie odpuszczał. – To ci się przyda w życiu i na egzaminach wstępnych.

Po śpiewająco zdanej maturze Andrzej złożył papiery na akademię medyczną. Wybierał się z kompletem dokumentów do Warszawy. „Na moją Alma Mater”, Tadeusz Opolski nie ukrywał dumy. Dumy może nie ukrywał, za to ukrywał kochankę i nowe miejsce zamieszkania. Ale o te sprawy Andrzej nie pytał. Ledwie poradził sobie z tym, że jego matka uprawia seks z ojcem, zachodzi w ciążę i roni. A kiedy sobie z tym poradził, ojciec wymienił matkę na dużo młodszą od siebie pielęgniarkę.

Między ustnymi maturami z geografii i rosyjskiego postanowił porozmawiać o tym z Pawłem.

Wybrał się z wizytą do babki. Nie lubił tych spotkań, ponieważ stara całowała go w czoło i o wszystko wypytywała. Wypił z Heleną lurowatą kawę, dostał trochę pieniędzy, na koniec dorwał Pawła, z którym chciał pogadać o sytuacji w domu. Brat zbył go krótkim: „Daj spokój. To ani mój, ani twój interes. Niech starzy robią, co chcą”.

Andrzej przyznał Pawłowi rację. Niechętnie, ale jednak. Uznał również, że skoro życie rodziców nie jest jego sprawą, to jego życie nie powinno być sprawą rodziców. Przecież formalnie został uznany za dorosłego. Otrzymał dowód osobisty w pachnącej zielonej okładce, a do teczki z napisem WAŻNE włożył świadectwo dojrzałości.

Z tym właśnie świadectwem ruszył na początku czerwca do Warszawy, pełen dobrej woli oraz nadziei, że najpierw dostanie się, a następnie pomyślnie ukończy ojcowską Alma Mater.

W stolicy spędził dokładnie pół godziny. Ledwie przyjechał, zaraz wyjechał. Z kompletem papierów, które owszem, złożył na akademię medyczną, ale dwieście kilometrów dalej. W Białymstoku. I to w ostatnim momencie. Nie do końca wiedział, dlaczego podjął taką decyzję. Może dlatego, że Wisła zdała mu się za szeroka (widział ją z okien pociągu). Może dlatego, że na ulicach kręciło się zbyt wielu ludzi (wyszedł przed dworzec popatrzeć na Aleje Jerozolimskie). Lecz tak naprawdę wystraszył się chyba porównań z ojcem oraz tego, że nie podoła. Miał nadzieję, że taki prowincjusz jak on lepiej poradzi sobie w Białymstoku.

O zmianie planów nikogo nie poinformował. Zwłaszcza ojca, któremu zależało na studiach syna w Warszawie. Wierzył, że młodemu człowiekowi tylko stolica stwarza możliwości. Miał nadzieję, że Andrzej wykwalfikuje się na najlepszego chirurga. Na ginekologa. Na kardiologa. Byle nie na dermatologa. Tadeusz uważał dermatologię za specjalizację dla mięczaków. „Zajmuje się zdrowymi ludźmi, którzy tylko trochę są chorzy. Żadnych wyzwień, synu. Żadnych”. Psychiatrię wybił Andrzejowi z głowy. „Jeśli ją wybierzesz, osobiście zrobię ci widelcem lobotomię”, zagroził ze śmiechem przy jednym ze wspólnych posiłków. Andrzej rozpoznał, co w ostrzeżeniu ojca było żartem, a co przestrogą, że dwa słońca na jednym niebie to o jedno za dużo.

I co?

– I gówno – powiedział Świerszcz. Pojechał z Andrzejem do pałacu Branickich, żeby sprawdzić wyniki. – Gówno, gówno, gówno. Nie ma cię na liście. Nawet na rezerwowej cię nie ma.

Bolek, który wbrew proroctwu Maciejewskiej zdał maturę (ledwie, ledwie), zrobił sobie wakacje. Ojciec dał mu w nagrodę parę dni urlopu. Zwolnił z pracy w warsztacie, wyposażył w gotówkę i ostrzegł, że najpóźniej czternastego lipca koniec laby. Piętnastego, w poniedziałek Bolek miał stawić się w warsztacie gotów do roboty i pracować do końca września. W październiku szedł do wojska.

– Nie będziesz mieszkać w tym, jak mu tam, domu studenckim. Tam tylko porubstwo. Ani nauki, ani snu – powiedziała zaraz po maturze Felicja Świerszcz, matka Bolka.

Karmiła oraz doglądała Andrzeja i Bolka, kiedy uczyli się do egzaminów maturalnych. W ciągu kilku tygodni polubiła Opolskiego jak własnego syna. Podsuwała mu grubo krojony czarny chleb z kminkiem, smarowany smalcem albo pasztetową, obłożony kiszonym ogórkiem. Albo twaróg ze świeżą śmietaną, ze szczypiorem i z gorzką rzodkiewką. Albo ciasto z jabłkami i rabarbarem. Albo schabowe z kaszą gryczaną i z mizerią. Felicja ze wstydem przyznawała czasem, że lubi Andrzeja bardziej niż Bolka. „Taki ładny i taki zdolny. I jeszcze dodatkowo kulturalny. Nie to co ten mój pasikonik-wałkonik”, myślała.

– Moja siostra Adela ma kawałek domu w Supraślu – wyjaśniła. – Wynajmuje pokoje letnikom, ale ten na stryszku jest zawsze wolny. Będzie dla ciebie.

– Dla nas – wtrącił Bolek.

– Ty do chałupy będziesz wracać tylko na obiad. – Świerszczowa zdzieliła Bolka po plecach mokrą ścierką i podsunęła chłopcom pod nos talerze z chłodnikiem. – Już ja cię znam, matole. Nikt cię nie zagoni znad rzeki do domu...

– A nocą nie wygoni z ogrodu – rozmarzył się Bolek.

Tak też się stało.

Bolek pasikonił się za dnia nad Supraślą, a w nocy wałkonił się pod gwiazdami.

Andrzej kuł. Chemię. Biologię. Fizykę. Matematykę. Rosyjski.

I oblał.

– Wracaj do domu – powiedział Opolski do Świerszcza. Niedzielne popołudnie płynęło wolno jak woda w rzece. Słońce smażyło niemilosierdzie. Chłopcy siedzieli nad brzegiem Supraśli i opalali się po kąpieli. – Wracaj, bo ojciec dupę ci złoł jak pięciolatki. Na wieczór dojedziesz do Bolegoszczy.

Bołkowi nie podobała się taka dorosłość. Wiedział jednak, że Andrzej ma rację. Nie raz i nie dwa dostał od ojca po pysku.

– A ty? – zapytał.

– Ja? – Andrzej wzruszył ramionami. Sięgnął po sporta. Od kobiety z sąsiedniego koca, wyglądającej jak przypalony kawałek boczku, pożyczył zapałki. Zachęcały do zakupu przenośnego tranzystora Czar. RADIO W KAŻDYM DOMU, głosił slogan. „Najpierw trzeba mieć dom”, pomyślał Andrzej. Przypalony boczek podbił biust rękoma i puścił oko do Opolskiego.

– Ja tu zostanę jeszcze kilka dni – powiedział. – Napiszę odwołanie. Przyjmą mnie. Na razie nikomu nic nie mów.

– Odwołanie? Od czego? Przecież nie zdałeś. – Bolek moczył nogi w Supraśli. Gapił się na dziewczynę w skąpym bikini, która szkicowała drugi brzeg rzeki. Właśnie kucnęła, wypięła tyłek i sterując celownikiem z ołówka, próbowała uchwycić perspektywę pałek wodnych. „Plastyczka”, szepnął do siebie. „Już ja bym ci pokazał swoją pałkę z takiej perspektywy, że...”

– Co ty tam mówisz?

– A nic. – Świerszcz się zawstydził.

Opolski przyciągnął kolana do tułowia. Oparł na nich głowę. Palił papierosa. Popiół strzepywał do dłoni. Żar tlił się chwilę, przypalał skórę, sprawiał ból. Tak jak widok dzieciaków kąpiących się w wodzie.

Supraśl przypominała mu Bołę. Była trochę węższa. Trochę dziksza. Trochę bardziej zarośnięta. Andrzej chciał wierzyć w to, że nie wie, nie pamięta, nie pojmuję, kiedy skończyło się jego bez troskie dzieciństwo. Wiedział. „Poszło na dno razem z Włodkiem”.

– Zdałem, nie zdałem, co za różnica. – Zdusił niedopałek w piachu. – Wiesz, co się tak naprawdę liczy?

Bolek zaprzeczył.

Plastyczka zgarnęła swój majdan i ruszyła ścieżką w stronę miasta.

Świerszcz nie spuszczał wzroku z jej tyłka. Obawiał się, że za chwilę wszyscy zobaczą kompromitującą wypukłość w jego kąpielówkach.

– Znajomości – powiedział Andrzej. – Liczą się kontakty. Ojciec ma ich tu kupę.

– To on tutaj kończył te swoje studia? – Bolek wskoczył do rzeki. Zanurzył się, wynurzył i otrzepał jak kundel. Stał teraz w wodzie po pas i gasił resztki pożaru w kąpielówkach.

– Tutaj, nie tutaj, co za różnica. Kumple są wszędzie.

Wczesnym popołudniem czternastego lipca Andrzej wsadził Bolka do pekaesu tuż przy pałacu Buchholtza, w którym mieściło się Liceum Technik Plastycznych.

Kiedy autobus zniknął za zakrętem przy kościele Świętej Trójcy, Opolski puścił się pędem w kierunku Nowego Świata, do domu z pokojem na stryszku.

Adela Podyasek, siostra matki Bolka, czekała już na Andrzeja z otwartymi...

...rękami i ze smętnym „Idźcie, ofiara spełniona” ksiądz Wojciech Ziolo, proboszcz parafii Świętego Wawrzyńca, zakończył wieczorną mszę świętą.

Mielnicki nic o nim nie wiedział. Widocznie należał do tych klechów, którzy trzymają się z daleka od polityki i opowiadają wiernym bzdury o piekle i o niebie. Do piekła i do nieba władza SB jeszcze nie sięgała. „Warto zwrócić uwagę na tego katabasa”, pomyślał prokurator. „Nie wiadomo, co przemyca między okrągłymi zdaniem”.

Mimo otwartych na oścież drzwi do kościoła i do zakrystii, mimo odświeżającego przeciągu w kościele z Mielnickiego lał się pot. Przetarł łysinę wykrochmaloną chustką tak twardą, że – był tego pewien – zarysował karoserię czaszki.

Ostatni raz w kościelnej ławce siedział podczas mszy żałobnej, obok trumny matki. Na cmentarzu jej nie odwiedzał. Kwiatów nie przynosił. Zniczy nie zapalał. Grobu nie pielęgnował. Był przekonany, że pośmiertne życie jego matki po śmierci wygląda tak jak przed śmiercią. „Jeśli wierzyć katolikom, siedzi pewnie teraz

w najciemniejszym kącie czyściła i czeka, aż ktoś ją zauważy”, poświęcił starej Mielnickiej pierwszą od lat myśl.

Obserwował wychodzących ze świątyni wiernych. Jeszcze nie wybrzmiały słowa błogosławieństwa, jeszcze nie dobrzmiała ostatnia pieśń, a część z nich myk, na zewnątrz. „W taką spiekotę?”, zdziwił się Mielnicki. A może właśnie dlatego? Przyjemniejszy jest przecież lipcowy upał, który w nocy odpuści, niż wieczny żar, który nigdy się nie kończy.

Prokurator włożył palec do ucha i chwilę w nim grzebał.

Spojrzał na zegarek. Ze zdziwieniem stwierdził, że wytrzymał w otoczeniu świętochutliwych całe trzy kwadransy. Siedział w przedostatniej ławce między dwiema kobietami. Ta starsza drapała się ciągle po obwisłych przedramionach i poruszała palcami u stóp z wystającymi z sandałów skorupami pożółkłych paznokci. Ta młodsza kusiła gładkimi kolanami i odsłoniętymi udami.

Żeby nie zerkać ciągle w bok, patrzył przed siebie, lecz przed sobą miał dorodną trzydziestopięciolatkę z wąską kibicią. Podczas pierwszego czytania zaczął sobie wyobrażać, jak zdejmuje z niej lekką błękitną sukienkę. Podczas drugiego – jak zrywa majtki. Przed Ewangelią zawstydził się. Ale dlaczego? Ze wstydem miał tyle do czynienia, co z wiernością. Uciekł wzrokiem w górę i trafił na figurę Matki Boskiej. Niestety, ona również była kobietą. W dodatku odzianą w niebieską szatę i z tak wąską kibicią, że... Mielnicki uczynił znak krzyża. Nie spodziewał się tylu pokus w kościele.

Wsluchiwał się w melodię i w słowa pieśni.

Kto się w opiekę odda Panu swemu,
a całym sercem szczerze ufa Jemu,
śmiało rzec może...

Prokurator przymknął oczy.

Kobiecy głos, sopran koloraturowy, powierzał wiernych opiece Boga.

Kiedy kościół opustoszał, Mielnicki znalazł wejście na chór i wspinał się stromymi schodami na górę.

– Paweł Opolski? – zapytał, próbując opanować sapanie.

Młody mężczyzna zamknął klapę organów. Złożył nuty. Spojrzał na prokuratora.

„Rudy po matce. Nawet włosy na rękach ma ryże. Nos, oczy i reszta mało oczywiste. Może po tym szmaciarzu, Tadeuszu”, pomyślał Ryszard.

– Tak, to ja. A pan kto?

Mielnicki rozejrzył się.

Na chórze oprócz Pawła znajdowała się jeszcze kobieta. Ni to ładna, ni to brzydka. Ni to zgrabna, ni to niezgrabna. Bez właściwości. „Pewnie też bez chłopca”, uśmiechnął się w duchu. Niewiasta gapiała się z góry na ołtarz, przy którym krzątał się ksiądz Wojtek. „Bez właściwego chłopca”, dodał.

Więcej informacji nie potrzebował.

„I to może być słaby punkt proboszcza. Zadurzona w nim baba. Zapamiętać. Na wszelki wypadek”.

– Mam pewną propozycję – powiedział prokurator. – Wolałbym na osobności.

– Renata – Paweł zwrócił się do kobiety. – Renata!

Odwróciła się. Spojrzała na organistę nieprzytomnym wzrokiem. Prokuratora w ogóle nie zauważyła. Policzki w rumieńcach. Usta w przygryzie. Dekolt w płomieniu.

– Próba we wtorek o szesnastej – przypomniał Paweł.

– Będę – szepnęła. I uciekła na dół.

Mielnicki wychylił się. Ksiądz zniknął z prezbiterium. „Razem z ptaszkiem w klatce z sutanny”.

– Myślałem, że organista to też solista – zauważył, dumny z przypadkowego rymu.

– Nie każdy – odpowiedział Opolski.

– Ładnie śpiewa.

– Kto? A tak. Mazurkówna. Ładnie – potwierdził Paweł. – Czego pan chce?

– Wspomniałem. Mam propozycję.

– Nie sądzę, żebym...

– ...żebyś złożył trzy miesiące temu podanie o pracę w sądzie?

Paweł przeczesał włosy dłonią.

– Nie sądzę – powtórzył Opolski – żebyśmy kiedykolwiek przechodzili na „ty”.

– Konwenanse. Maniery. Bez przesady. – Mielnicki zauważył na twarzy Pawła charakterystyczny grymas Tadeusza. – Jestem starym przyjacielem twojego ojca.

– Do starych przyjaciół mojego ojca mówię per wuju.

„Złośliwy po tatusiu”, pomyślał Ryszard.

– Może wyjdziemy stąd? – zaproponował. – Tu na górze duszno.

– Obawia się pan świadków? – Paweł wskazał ręką na święte obrazy oraz figury. – Proszę mówić.

– Potrzebujemy w sądzie i prokuraturze świeżej krwi. Młodych, energicznych, wykształconych ludzi.

– Tak nagle? – zapytał Opolski.

– Tak wyszło – odrzekł Mielnicki.

– Nie szukam pracy.

– Praca znalazła ciebie.

– Za późno. – Paweł sięgnął po teczkę. Stał przed prokuratorem. Patrzył mu prosto w twarz. – Dlaczego nachodzi mnie pan tutaj? W niedzielę?

– Bo niczym nie różni się od soboty lub od poniedziałku. Słuchaj, synku. Naśmiecilesz w marcu. Bardzo naśmiecilesz. Zasmarkalesz sobie życiorys. Nafajdalesz na swoją przyszłość. Ty to wiesz i ja to wiem. Pomogę ci posprzątać.

Paweł zagryzł usta.

– Potrzebuję w prokuraturze sprytnych, inteligentnych i... – Mielnicki spojrzał na Opolskiego – ...wyszczekanych.

– Nie skończyłem studiów.

– Załatwię to.

– Nie nadaję się do pracy w prokuraturze.

– Bardziej niż reszta kandydatów.

– Złożyłem podanie do pracy w archiwum.

– Przyjdź do mnie jutro o dziesiątej. Omówimy szczegóły. Masz coś do pisania, żeby...?

– Nie.

– Może ja mam. – Mielnicki zajrzał do teczki.

– Nie przyjdę.

Mielnicki westchnął. Matkę Pawła też zdobywał z trudem. Przekonały ją konkretne argumenty. „Widocznie tylko takie działają na

Opolskich”.

– Wiesz, co cię czeka?

– Jesienny pobór.

– Wolisz do wojska?

– Tak.

– Nie wierzę.

Paweł wskazał Mielnickiemu drogę na dół.

– Śpieszę się – powiedział.

– Gardzisz moją propozycją?

Paweł popatrzył na Mielnickiego.

– Tak, wuju.

Prokurator ciężkim krokiem zszedł na dół.

Słyszał, jak Paweł zamyka drzwi na chór.

Wsiadł do zaparkowanego przed kościołem samochodu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Odprowadził wzrokiem przygarbionego Pawła.

– Każdy ma swoje słabe strony. Bez wyjątku.

5.

– Żadnych wyjątków – oznajmiła siostra furtianka. – Psów nie wolno wprowadzać na teren klasztoru.

– To nie pies – wyjaśniła Maciejewska. – To suka. – „A to klasztor żeński, więc pasuje”, chciała dodać, ale się powstrzymała.

– Każda suka to pies. – Furtianka schowała skrzyżowane ręce pod szkaplerz.

– Ale nie każdy pies to suka. – Maciejewska nawet uczniom nie musiała tłumaczyć podobnych oczywistości.

– Skąd pani wie? – zapytała furtianka.

– Dziwię się, że siostra nie wie. To łatwe do ustalenia.

„Kiedyś musiała być ładna”, myślała, patrząc na zakonnice. Perkaty nos, pełne usta, głęboko osadzone oczy. Twarz jednak spięta, ściągnięta, zacięta. Na czubku nosa brodawka. Żółta. „Widocznie smarowała ją jaskółczym zielem”.

– Proszę siostry, myślę, że możemy jeszcze... – Dyrektorka odgarnęła z czoła siwy kosmyk.

– Nie możemy – wtrąciła się Helena Opolska. – Sukapies należy do mnie. A ja mam specjalne prawa.

Maciejewska odwróciła się do stojącej z tyłu babki Pawła i Andrzeja, której ciemna sylwetka rysowała się na jasnej ścianie brzoźowych pni. Stara sędzina w pociągu z Bolegoszczy do Białegostoku odezwała się do Maciejewskiej tylko raz: zapytała, w jak wielkich tarapatach znalazła się Ewa. Tego Maciejewska dokładnie nie wiedziała.

Kiedy na dworcu w Białymstoku Maciejewska płaciła karę za to, że Łajza zanieczyściła (wielokrotnie) korytarz w pociągu, sędzina zdążyła dotrzeć na postój taksówek i oznajmić ludziom stojącym w ogonku ciągnącym się aż do poczty głównej, że jest weteranką wojenną i że czekać na transport nie będzie. Odepchnęła matkę z dzieckiem pakującą się do jedynej na postoju taksówki, nastraszyła chłopca w mocnych okularach dziurą w oczodole, machnęła ręką na

kuśtykbiegnącą od strony dworca Maciejewską z Łajzą na rękach i z laską pod pachą, trzasnęła drzwiami warszawy i klepnęła parasolką taksjarza w ramię (ruszaj pan, bo nam się tutaj ktoś dosiadzie).

Taksówkarz zaklął, że cholera, takiej czarownicy w środku lata to on jeszcze nie spotkał i że na Starą Wieś Kościelną w niedzielę to on zapierdalać nie będzie. Dupska z miejsca nie ruszy, chyba że w okolice Kawaleryjskiej. Dwóch pasażerów w tamtą stronę może zabrać, tylko niech najpierw dwie wiedźmy wysiądą, więc won z samochodu jedna i druga. Mała czarna i duża biała. Znaczą: siwa. Helena uderzyła taksówkarza parasolką w drugie ramię, kazała mu się zamknąć i uruchomić wreszcie samochód. Obiecała też napiwek (takiego w życiu pan nie widział).

Co prawda, to prawda. Nie widział. Kiedy dojechał na miejsce, dwadzieścia kilometrów za Białystok i dwa za Starą Wieś Kościelną, do klasztoru położonego między polem a lasem, między miedzą a grzędą, między stodołą a kurnikiem, między sadem a warzywniakiem, dostał. Zieloną jednodolarówkę. Na jej widok prawie się rozplakał. Czternasty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku okazał się jego najszczęśliwszym dniem. Pierwszym od dnia rozwodu. Błogosławił wrózkę Helenę i pytał, czy może poczekać na nią, tutaj, niedaleko. Odwiezie ją i tę drugą dostojną panią z powrotem do Białegostoku.

Leżał teraz w trawie obok samochodu, wdychał zapach mchu, kory brzozy i sosny, słuchał brzęczenia pszczoły i dumał, jak to sobie życie ułoży. Za dolara, którego dostał za podróż do Starej Wsi Kościelnej. I za dolara, którego spodziewał się otrzymać za podróż ze Starej Wsi Kościelnej.

– Nieważne, do której sukopies należy – powiedziała zakonnica. – Czy do pani młodszej, czy do pani starszej. I tak wejście zakazane.

– Niezakazane – odpowiedziała Helena.

– Zakazane.

Stara Opolska wzięła od Maciejewskiej smycz. Pogłaskała psa.

– To jest pies przewodnik. – Wskazała na czarną opaskę. – Mój pies przewodnik.

Łajza popuściła z radości.

Maciejewska też prawie popuściła. Ze zdumienia. Nie spodziewała się, że ta sztywna jak dziesięć przykazań kobieta, która przez połowę drogi odmawiała różaniec, a przez drugą litanie do Wszystkich Skarań Boskich, kobieta surowa i zacięta, jest zdolna do kłamstwa.

– I tak nie może wejść. – Furtianka nie zmieniła zdania.

– Kto jest przewodnikiem siostry? – zapytała Helena.

– Jezus.

– To niech Go siostra zawoła i poprosi, żeby nam tutaj, przed furtą, albo psa przypilnował, albo mi oko uzdrowił.

Po takim bluźnierstwie furtianka najpierw się przeżegnała, a później fuknęła coś o Boskiej karze i Sądzie Ostatecznym.

– No. – Opolska pacnęła komara, który wkłuł się w jej szyję. – To teraz może nas siostra zaprowadzić, gdzie trzeba.

– Dzisiaj wizyt nie ma. – Zakonnica podrapała się po nosie. – Tylko w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Od dwunastej trzydzieści do czternastej trzydzieści.

– My nie w odwiedziny – odrzekła Maciejewska. – My po Ewę Mazurkównę.

– Nie można było tak od razu? – Furtianka otworzyła szerzej drzwi. – Panie są ze sobą spokrewnione?

Maciejewska spojrzała na Opolską.

Opolska popatrzyła na Maciejewską.

– Bardzo blisko – odpowiedziała Helena.

– Wariatka, znaczy siostra Ewa – furtianka zarumieniła się – od blisko trzech godzin leży krzyżem w kaplicy.

– Idziemy – zdecydowała Opolska. Zatrzymała się przed zakonnica. Czarną chusteczką wytarła z jej nosa plamę po jaskółczym zielu. – Z psem.

Pies z kulawą nogą nie zwrócił uwagi na Hankę Górską, która czternastego lipca późnym popołudniem wysiadła na stacji Bolegoszcz z jedną walizką w ręku i z torbą przewieszoną przez ramię. Nie знаła miasta, nie wiedziała, w którą stronę pójść, pojechać lub pobiec, nie, pobiec nie, to wykluczone, już byłoby za ciężko, więc jednak pójść, żeby dotrzeć do celu.

Cel.

Spojrzała na kartkę, którą kilkanaście tygodni wcześniej Paweł Opolski włożył jej do kieszeni, do ręki, do torby, nie pamiętała, pamięć Hance też ostatnio szwankowała, gorzej nawet niż nogi.

Rewolucji Październikowej 26.

Rozejrzała się.

Tkwiała bez ruchu na chodniku. Zatrąbił samochód. Przejechał autobus. Matka krzyknęła na dziecko, żeby natychmiast zeszło z trawnika. Z trawnika? Z jakiego trawnika? Ze spękanej słońcem ziemi wylażyły kępki żółtopomarańczowego suszu. Pomiedzy nimi rosły spękane grzyby psich kup. Pomiedzy spękanymi grzybami psich kup siedział dzieciak. Zbierał dary z miejskiego trawnika do kosza z naciągniętej koszulki. Matka chwyciła syna? córkę? (słońce wciąż stało wysoko, odbierało Hance ostrość widzenia) i siłą ściągnęła na chodnik. Bachor rozwrzeszczał się. Wycelował w matkę pociskiem z kupy. Trafił. W sam środek serca. Po chwili dostał. W sam środek dupy.

„Macierzyństwo”, pomyślała Hanka. Poczowała suchość w ustach.

Zmrużyła oczy. Popatrzyła na stację Bolegoszcz. Budynek z połowy, może z końca dziewiętnastego wieku, przypominał Hance dworzec w Lublinie. Albo w Białymstoku. Zaraz, zaraz. Ale z jakiej okazji Górską jeździła do Lublina, do Białegostoku? „Matko, a jeśli nigdy nie byłam w tamtych miastach?” Obrazy nakładały się jeden na drugi, drugi na trzeci. Hanka nie wiedziała, które z jej wspomnień jest własne, a które odziedziczone.

Mocno uszczypnęła się w policzek. Ból przywracał umysłowi przytomność, a wzrokowi ostrość.

„Pić”.

Przysiadła na klombie obsadzonym petami. Poczowała smród niedopałków, kocich szczyn.

Wyciągnęła z torby plan miasta. Zaczęła się nim wachlować. Krótkotrwała ulga. Ulotna przyjemność.

Rozłożyła mapę. Wynikało z niej, że znajduje się na ulicy, jaka to ulica?, nie, to nie ulica, to plac Kolejarza, z mapy wynikało więc, że Hanka znajduje się na placu Kolejarza. Powinna teraz ruszyć ulicą Dworcową w prawo i dotrzeć do ulicy Warszawskiej. Na Warszawskiej, tak mówił jeden ze współpasażerów, powinna wsiąść albo do dwójki, albo do jedenastki i jechać na przystanek końcowy,

na osiedle Gromada. Później niech popyta ludzi. Powiedzą jej, jak trafić na Rewolucji Październikowej.

Hanka złożyła mapę.

„Pić”.

Zdało jej się, że w oddali widzi saturator. Zamiast ruszyć ulicą Dworcową w prawo, poszła ulicą Dworcową w lewo.

„Szkłanka wody gazowanej bez soku. Tylko tego teraz potrzebuję”.

Ulica Dworcowa w stronę ulicy Bóg Wie Jakiej wyglądała jak praska Ząbkowska z popsutymi jak zęby kamienicami. W pierzei nadających się tylko do rozbiórki budynków co rusz pojawiały się wyłomy zagospodarowane ciągami komórek skleconych z kradzionych desek, cegieł, papy oraz dykty; tu i ówdzie sławojkami; trzepakami; gęstą siecią sznurów do suszenia prania.

Na ławkach, na podwórkach, w cieniu domów kotłowali się ludzie. Lokalni eleganci w slipach, podkoszulkach, skarpetach i półbutach rozgrywali partyjki szachów, warcabów lub domina, popijali piwo, zapalali kolejne papierosy. Ich kobiety, w kolorowych podomkach bez rękawów, w halkach i w samych stanikach, z brzuchami na wierzchu, plotkowały, obmawiały, szturchały dzieci. A dzieci bawiły się w piachu, siedziały w baliach, grały w piłkę, w kapsle, zwiślały z trzepaków.

Miejscowi, przyzwyczajeni do widoku podróżnych z walizami i torbami, nie zwrócili uwagi na Hankę. W okolicy stacji zawsze kręciło się mnóstwo podróżnych. Żaden z nich nigdy nie odmienił losu mieszkańców ulicy Dworcowej. Co będą głowę znad gier planszowych podnosić i plotki przerywać?

„Jeszcze tylko parę kroków”.

Hanka maszerowała w stronę saturatora, który okazał się... pomalowaną na biało kuchenną komódką.

– Chce pani kupić? Dobre drewno, świeżo malowane. O, tu nawet jeszcze się klei. Sprzedam po taniaści. – Z pobliskiej bramy wyskoczyła właścicielka mebla. Owczy skręt na głowie, doklejone rzęsy, czerwona sukienka na wąskich ramiączkach. – Pani patrzy, blat prawie jak nowy, a szuflady...

Hanka oparła się o kredens. Zachwiała się.

– Zostaw, Luśka, panią przyjezdną. – Z tej samej bramy wyłonił się mężczyzna w szortach z lampasami i w przepoconym podkoszulku. – Dopiero co dostałaś mebel, a już sprzedajesz? Bierzem i niesiem na melinę. Pani przyjezdną przesunie się trochę, bo nie hycnę przez panią, co nie?

Hanka posłusznie zrobiła dwa kroki w bok. Znowu poczuła mdłości. Usiadła na walizce. Schowała kolana pod sukienką. Na odkrytym dekolcie dziewczyny zabłysła broszka ze złotozielonej muchy. Górska poczuła, że nie ma siły. Ani na to, żeby przegonić gównojadkę, ani żeby wykonać kolejny krok. Do przodu, do tyłu, donikąd.

Ukryła głowę w rękach i rozplakała się.

Matka przełożona spoglądała z wysokości dębowego fotela na Wandę Maciejewską i na Helenę Opolską, która trzymała w dłoni smycz z Łajzą.

– Z tego kundla – powiedziała, wychylając się lekko za pulpit – taki pies przewodnik jak...

– ...z sióstr ubogie służebnice Kościoła – dokończyła sędzina.

Położyła parasol na dębowym biurku zakonnicy, tuż obok srebrnej tacy, na której stały miśnieński imbryk z parującą herbatą, cukiernica, filiżanka, spodek z miodem, talerz, a na nim okrągła pachnąca drożdżówka posypana cynamonem.

Matka przełożona zacisnęła usta. Przyjęła do wiadomości, że kundlica o wielkości szczura wodnego jest psem opiekunem. Nie takie rzeczy w życiu widziała. O tym, czego nie widziała, nie myślała za dużo. Na przykład o Bogu, który podobnego psa zabrał matce przełożonej w czasach, gdy była wychowanką sierocińca prowadzonego przez siostry ubożanki w domu na Mazowszu.

Dziesięcioletnia Lilianka ukryła szczeniaka w piwnicy i karmiła resztkami z własnego talerza. Ale siostra dyrektorka znalazła zwierzaka i kazała go Liliance zlikwidować. Własnymi rękami. Dziewczynka w obecności sióstr nauczycielek i reszty wychowanek utopiła psa w balii, a później pogrzebała pod krzakiem jałowca. Siostra dyrektorka oznajmiła, że to ku przestrodze i ku naprawie. Lilianka obiecała sobie wówczas, że wszystko, co pokocha, najpierw udusi, a później utopi.

– Siostra furtianka przekazała mi, że panie są od siostry Ewy – powiedziała zakonnica. – Pani to – matka przełożona zwróciła się do wspartej na lasce Maciejewskiej – ciotka Ewy. Tak?

Dyrektorka uniosła głowę. Mocniej ścisnęła rączkę laski.

– Rodzona siostra zmarłej matki Ewy.

– A pani? – Zakonnica spojrzała na Helenę Opolską, która (bez zaproszenia!) sadowiła się na krześle stojącym naprzeciw biurka. – Kim jest pani?

Sędzina zrozumiała, że powinna natychmiast znaleźć dla siebie rolę w spektaklu, który trwał od chwili, gdy czerwona swołocz zapukała do drzwi klasztornej furty. „Czerwona swołocz, czerwona swołocz, dajże, Helcia, już spokój z tą czerwienią i ze swołoczą”, zganiała siebie w duchu. Nie sądziła bowiem, że czerwień w ciągu kilku godzin może zmienić się w bardzo blady róż. Dyrektorka Maciejewska, o której tyle słyszała od wnuków, okazała się cicha, kulturalna i wykształcona. W drodze z Bolegoszczy do Białegostoku czytała książkę. I to nie bzdurny romans Fleszarowej-Muskat, której grafomańskie produkcje pochłaniała Barbara, lecz *Metamorfozy Apulejusza*. W oryginale. O ile Opolska dobrze odczytała połowę wzroku tytuł oraz autora.

W pewnym momencie podróży swołocz przerwała lekturę, popatrzyła za okno, na ścianę sosnowego lasu, na polanę pomiędzy drzewami i na dwie sarny, na kwitnące łąny zbóż, na żółtą ognicę rozłazącą się po nieużytkach, na łąki nakrapiane chabrami. W milczeniu połknęła od razu dwa środki przeciwbólowe, dyskretnie pomasowała najpierw biodro, później kolano, na koniec przymknęła oczy.

„Nie wierz czerwonym!”, Opolska po raz kolejny upomniała samą siebie. Patrzyła łakomie na drożdżowy placek, który pachniał jak prosto z cukierni. „Przez nich jesteś półślepa”. Była młodą żoną sędziego Jana Opolskiego i matką dziesięciomiesięcznego Jerzyka, kiedy w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym straciła oko przez sowieckiego oficera z armii Aleksandra Jegorowa. Strzelał do ptaków. Pomylił Helenę z kaczką. W samym środku Bolegoszczy. „Czerwień czerwieni nierówna”, pomyślała i popatrzyła na Maciejewską stojącą przed zakonnica.

– Jestem babką Ewy – powiedziała Opolska. – Matką jej zmarłej matki.

– I pani matką również? – zakonnica zapytała Maciejewską.

– To chyba oczywiste – odpowiedziała pośpiesznie Opolska.

Przysunęła do siebie talerz z bułą, ułamała wielki kawałek drożdżówki i rzuciła łajzie na ręcznie tkany dywan. Kilka okruchów włożyła sobie do ust. Młasnęła. Resztę bułki spakowała w czystą chustkę i schowała do torebki. Odsunęła pusty talerz w stronę matki przełożonej.

– Głodnych nakarmić – wyjaśniła krótko.

Maciejewska patrzyła na babkę Pawła i Andrzeja. Zrozumiała, po kim jeden odziedziczył inteligencję, drugi spryt, a obaj bezczelność. Zrozumiała również, dlaczego Ewa zażądała przyjazdu Heleny Opolskiej do klasztoru. „Nawet diabła przekabaci”, pomyślała i sięgnęła do torebki po papierosy i zapalki. Na etykiecie zapalek widniało ewangeliczne hasło: W CZASY ZDOBYCZĄ ŚWIATA PRACY.

Dyrektorka włożyła papierosa do ust, wyjęła, po chwili znowu włożyła i po raz kolejny zrezygnowała. Nie będzie dymić jak ksiądz kadzidłem podczas rezurekcji.

– Zatem najbliższa rodzina – podsumowała zakonnica, wściekła, że jednooka jędza sprzątnęła jej sprzed nosa podwieczorek. „Głodnych nakarmić”, powtórzyła słowa czarownicy. „Obcych odprawić”, dodała. Powinna jak najszybciej zająć się pogrzebem siostry Agnieszki. Jej rozkładające się ciało nie będzie pachniało fiołkami. Aż taka święta nigdy nie była. O nie. – Powiem szczerze i wprost. Wydarzyły się rzeczy, których jako przedstawicielka władz zakonnych nie mogę tolerować.

– Konkrety i fakty. – Maciejewska nie spuszczała wzroku z zakonnicy. – Najlepiej szybko. Musimy zdążyć na powrotny pociąg do domu. O dwudziestej dwadzieścia osiem.

– Dziś w południe siostra Ewa połknęła pszczołę. Gdyby nie siostra Eliza, która akurat przechodziła obok i usłyszała wołanie siostry Ewy, to... – Matka przełożona podniosła się. Szeroka na dwa ule, wysoka na jeden. Z przodu płaska jak dennica.

– Ewa połknęła pszczołę? – Dyrektorka poczuła irytację. Zmęczenie. Narastający ból biodra. – Od tego się nie umiera.

– I nie leży krzyżem w kaplicy przez trzy godziny z okładem – dodała Opolska.

– A także nie zachodzi się w ciążę – skwitowała zakonnica.

Maciejewska poczuła chłód.

Opolską zalała fala gorąca.

– Historia Kościoła zna podobne przypadki. – Dyrektorka gwizdnęła na Łajzę. Sukapies zlała się właśnie na dywan. – Sam Kościół wielbi ciężarne dziewice, których potomstwo zmienia bieg wydarzeń.

– To żart czy cud? – zapytała Opolska ze ściśniętą szczęką.

– To powód do wydalenia. Po tym, jak Ewa połknęła pszczołę, wezwaliśmy doktora Woźniaka. Letnika. Na lipiec i sierpień zawsze przyjeżdża do sąsiedniej wsi. To on stwierdził, że pani siostrzenica, a pani wnuczka spodziewa się dziecka.

– Ginekolog? – Opolska szarpnęła smyczą. Łajza wyraźnie domagała się spaceru.

– Stomatolog. – Matka przełożona otworzyła szeroko drzwi na klasztorny korytarz. – Kłopot w tym, że Ewa po badaniu poprosiła o modlitwę w kaplicy. Leży w niej teraz krzyżem jak przybita do podłogi. Cztery siostry próbowały ją podnieść. I nic.

Hanka nic nie pamiętała. Że zasnęła, to tak. Ale w jaki sposób znalazła się w miejscu cuchnącym potem, spermą i skórą kreta?

Spod półprzymkniętych powiek dostrzegła nad sobą mężczyznę w szortach z lampasami. Spryskiwał jej twarz dłonią umoczoną w wodzie. Od czasu do czasu delikatnie klepał w policzki.

Górska poczuła, że w jej lędźwie wbijają się sprężyny wąskiej leżanki. Podniosła rękę. Położyła dłoń na ścianie. Zjechała nią w dół. Na wystrzępioną słomiankę. „Taka sama jak w domu. Może zły sen się skończył?”, pomyślała. „Może za chwilę obudzę się i usłyszę głos matki, mówiącej...”

– Luśka, wyłaż ze sracza! Lalka się nareszcie ocknęła.

– To zastukaj, Wacek, do kapitana, żeby kończył. Zaraz wychodzę z kibla.

Hanka dopiero teraz szeroko otworzyła oczy.

Wacek wciąż nad nią stał. Z jego szortów wysuwało się owłosione jądro.

– Przytargałem cię, lalka, tutaj zamiast mebla Luśki, który ciągle stoi na ulicy. Luśka się wkurwi, jak ktoś jej ukradnie dół kredensika po babce. Ciężka jesteś...

Wacek z miną znawcy taksował duże piersi Hanki. „Cyce jak caryce”, pomyślał.

– Dziękuję – odpowiedziała Hanka, zmuszając się do uśmiechu.

Wacek zmiękł. Takiego uśmiechu nie widział od wyjazdu swojej starszej siostry do Australii. Pięknej Julci. „Pojechała puszczać się z kangurami”, westchnął w myśli mężczyzna. Z drugiej strony sam uciekłby na bezludzką wyspę. Znaczący: żadnych ludzi i ich odchodów. Tylko on, Wacek, i tylko jego gówno do posprzątania, a nie cudze.

– Gdzie są moje okulary? – zapytała Hanka.

Wacek wyciągnął je z kieszeni spodenek.

– A torebka? – Hanka rozejrzała się z niepokojem po pokoju. Brudne ściany i okna, porozwalane po całym wnętrzu ubrania, z otwartej szafy razem z bielizną wypadały gazety, na manekinie wisiała pelisa na krecich skórkach, na ścianie obraz z jeleniem na tle zachodzącego słońca.

– W kuchni. Razem z walizką. – Wacek podciągnął gacie.

Hanka z trudem się podniosła. Wstała bez pomocy Wacka. Udała, że nie widzi jego wyciągniętej ręki z wytatuowanymi literami na zewnętrznej stronie dłoni. Nad każdym palcem oprócz kciuka.

L O V E

– A gdzie kuchnia? – zapytała.

– Za pokojem kapitana.

„A który to pokój kapitana? Wszystko jedno. Najważniejsze to jak najszybciej wydostać się z tej spelunki”, pomyślała.

Ruszyła w stronę korytarza. Pod jej nogami zaszeleścił dywan z gazet. „Trybuna Ludu”, „Przyjaciółka”, „Żołnierz Polski”, a nawet „Stolica”. W przedpokoju wlaźła na stos butelek po piwie, oranżadzie i mleku. Przedarła się przez szmaty-graty i bez pukania otworzyła pierwsze lepsze drzwi.

Na nierozłożonej wersalce umięśniony nagi mężczyzna... posuwał dużo młodszego i dużo bardziej umięśnionego mężczyznę w żółtych skarpetach. Ten na górze trzymał dłonie na biodrach kochanka i wbijał się w jego odbył. Ten na dole stękał z rozkoszy. Ten

na górze zauważył Hankę i klepnął po pośladkach tego na dole. Ten na dole, który również dostrzegł Hankę, wywalił język.

Dziewczyna trzasnęła drzwiami. Oparła się o ścianę przedpokoju i zwymiotowała. W żadnej z książek nigdy, przenigdy, nie było sceny, jaką właśnie zobaczyła. Wiedziała, że mężczyźni robią takie rzeczy. Oczywiście, że wiedziała. Słyszała o kilku homoseksualistach z otoczenia. Na przykład o Antku i Karolu, o Romku i Gieniutku. Nigdy jednak nie musiała podawać im ręki.

Przez jęki i stęki dochodzące zza zamkniętych drzwi przedarł się odgłos spuszczonej wody.

Obok Hanki wyrosła Luśka.

– Porzygałaś się? – zapytała Górską.

– Przepraszam. Zaraz to sprzątnę.

– To przecież już chyba połowa, a ciebie wciąż mdli?

Luśka położyła rękę na brzuchu Hanki.

Ta odruchowo ją strąciła.

– Ej, no czekaj. – Luśka odgarnęła włosy z twarzy Górskiej. – Nic ci nie zrobię.

– Co oni tam...? – Hanka wskazała głową na sąsiednie drzwi.

– A nic. Kapitan, jak wraca z zagranicy, to sobie chłopców przyprowadza.

– Kapitan?

– Żeglugi jakiejś tam. Kto go tam sprawdzał. Dobrze płaci. – Luśka popchnęła Hankę w stronę kuchni. Hanka ani drgnęła. – Na dworcu, w kiblu u Wacka, nie mógł już dłużej pudrować chłopaków. A, bo ty nie wiesz. Wacek robi w męskim sraczu na stacji.

– A co robi?

– Pracuje. Sprząta znaczy. Milicja deptała kapitanowi po kutasie, więc Wacek poszedł mu na rękę. Na rękę? – Zmarszczyła brwi. – No nieważne. I od tej pory kapitan melduje się tutaj z kochasiami. Raz na jakiś czas.

– To... burdel jest?

Luśka machnęła spódnicą ze złości.

Hanka zobaczyła nad jej kolanem długą bliznę.

– Zaraz tam burdel! Po prostu pokój na godziny. Co się tak patrzysz? – Luśka zakryła kolano. – Po wojnie mi tak zostało.

Postrzał. Na polu walki. – Westchnęła. – Zazdroścę ci. – Luśka znowu położyła dłoń na brzuchu Hanki. – Ja też mam dzieci. Wszystkie opieka zabrała. – Pociągnęła nosem. – Całą czwórkę. – Poprawiła opadające ramiączko sukienki. – Palisz? – Podała Hance papierosy.

– Nie.

– Tędy chodź. No chodź. Coś taka wystraszona. Cieplaków nigdy nie widziałaś? Weź przestań. Samo życie. – Zaprowadziła Hankę do kuchni. Panował w niej taki sam bałagan jak w reszcie mieszkania. – Głodna jesteś? Głowiznę gotowałam.

– Wystarczy coś do picia. – Górską chciała pozbyć się z ust resztek wymiocin. Z oczu resztek obrazów. Z uszu resztek dźwięków.

– Wacek! Rzygi trzeba sprzątnąć! – krzyknęła Luśka, podając jednocześnie Hance gazowaną z syfonu.

– Odpierdol się. Po robocie jestem!

– Wacek zna się na sprzątaniu po ludziach. Tyle, co on widział, kochana... – wyjaśniła Luśka. – Wacuś! – krzyknęła w stronę pokoju. – Jak ciężarnej nie zrobisz przysługi, to ci myszy fifola odgryzą!

Wacek zaklął, szurnął nogami, walnął pięścią w ścianę i zajął się zbieraniem zanieczyszczonych gazet z podłogi.

Jesteśmy na wczasach,
w tych góralskich lasach...

– zaryczał.

– Tam są twoje rzeczy. – Luśka zaciągnęła się głęboko.

Hanka przysiadła na oblepionym (wolała nie wiedzieć czym) taborecie.

– Nic nie zginęło. Nie bój się. Tylko powiedz, dlaczego nie pojechałaś do Wiednia?

– Zaglądałaś do portfela? – Hanka zdjęła okulary. Przetarła szkła rąbkiem sukienki. Nie miała siły się ruszyć i skontrolować, czy Luśka czegoś nie zwędziła. Wszystko jedno.

– No pewnie. Żeby sprawdzić, czy cię nie przysłali z milicji. Twój brzuch też pomacałam, czy prawdziwy. Nie myśl sobie. Jestem kurwa, ale uczciwa. I o złotym sercu. Kiedyś będą o mnie książki pisać i filmy kręcić – powiedziała Luśka. – Trzy tygodnie temu miałaś,

dziewczyno, znaleźć się w lepszym świecie. W Austrii! A ty na zadupie przyjeżdżasz?

– Znalazłabym się, gdyby moja matka nie znalazła się w jeszcze lepszym świecie.

Hanka przed oczami wciąż miała mężczyzn z pokoju obok. Woda podeszła jej do gardła. Lewe ucho zatkało się. Beknęła. Poczła pieczenie w górnej części żołądka. „Parszywa zgaga”.

– Twoja stara umarła? – Luśka wypuściła kłęb dymu. – Szkoda, że nie moja. – Wrzuciła niedopałek do zlewu pełnego brudnych naczyń.

– Dzień przed odbiorem... paszportów. Jeszcze w Warszawie. – Hanka położyła rękę na brzuchu. Dziecko znowu zaczęło fikać. Cudownie niewyskrobane. Cudownie ocalone. Przez matkę Hanki. „Ty też nigdy nie poznałaś ojca. To żaden powód, żeby usuwać”, powiedziała Krystyna zaraz po tym, jak córka dowiedziała się, że jest w ciąży.

– Opowiedz – poprosiła Luśka.

Opowiedz? Ale o czym? Że tak naprawdę bilet do Wiednia to bujda? Że nie należy do niej, tylko do Dudusia Jarosza, kolegi z roku, który poprosił o jego przechowanie, a dwie godziny później się powiesił? Że nigdy nie otrzymała paszportu? Ani nawet jednorazowego certyfikatu przejazdu tak jak Czesia, Janek, Romek i Joasia? Że matka wycofała się ze starań o wyjazd za granicę i zamiast tego postanowiła zamieszkać w Bolegoszczy? Co to za wybór – Wiedeń albo Bolegoszcz? O tym miała opowiedzieć? A może o tym, jak matka Hanki w gorący czerwcowy wieczór dostała udaru? I może o jej krótkim pobycie w szpitalu? I o braku nadziei? I o jeszcze większym braku nadziei? A może o momencie, w którym Krystyna odzyskała świadomość i wyjawiała Hance, co znajduje się w różowym etui z bawełny schowanym w jednej z walizek?

– Nie ma o czym opowiadać. – Hanka oddała Luście pustą szklankę. – Pogrzebałam matkę dwa tygodnie temu. Zdałam... paszport na komendzie. Straciłam prawo do kwaterunku, do meldunku i do... Nieważne. Więc przyjechałam tutaj. Ten cały kapitan... On jest...?

– Dobrze słyszałem, że bilet do Wiednia przepadł? – Głowa Wacka pojawiła się w drzwiach kuchni.

Luśka pokiwała głową.

Hanka nadstawiła ucha. Zdawało jej się, że ktoś puka do drzwi wejściowych.

– Do Wiednia? Nie pojechałaś, lalka, do Wiednia? Kurwa. To jak nasrać w talerz niedzielnego rosółu – podsumował Wacek i wyrzucił do kubła brudne gazety. – Dobra. Posprzątane, gdzie trzeba. Gdzie nie trzeba, sprzątać nie będę.

– Ktoś chyba puka do drzwi – powiedziała Hanka.

– Wacek. Klient na szklankę.

Wacek schylił się do jednej z kuchennych szafek, wyjął antałek z bimbrem.

– To pewnie Ambroziak. Pewnie będzie chciał w butelce, a nie do szklanki. Co mam zrobić? – zapytał.

– Nalej do butelki. Walają się wszędzie. – Luśka kopnęła jedną z nich.

– Lejek zgubiłem.

– Sam jesteś lejek. – Luśka podała Wackowi słoik z pleśnią na ściankach.

Wacek przelał dwie szklanki bimbrowa do brudnego słoika i zniknął.

Po chwili wrócił do kuchni.

– Ambroziak. Nawet nie zauważył, że z grzybem mu sprzedałem. Hanka wstała. Zgarnęła bagaże.

– Pójdę już.

– A dokąd? – Do kuchni wszedł kapitan. Nagi tors. Obciste slipy. Wytatuowana kotwica na prawym bicepsie. – Piwo jakieś się znajdzie? – zapytał.

Luśka podała mu jasne pełne i ciepłe.

Kapitan skrzywił się. Młasnął „kurwą” pod nosem.

Podszedł do Hanki. Wyciągnął do dziewczyny szeroką opaloną dłoń. Na nadgarstku błysnęła złota bransoleta.

– Karp. Benek Karp jestem.

– Jesteś w ciąży i żadna modlitwa nie sprawi, że będziesz w ciąży trochę mniej – powiedziała Wanda Maciejewska. Klęczała w klasztornej kaplicy obok Ewy Mazurkówny. – Wracajmy do domu. W Bolegoszczy uradzimy, co dalej.

Kolejny raz spróbowała podnieść Ewę. Nic z tego. Matka przełożona miała rację. Dziewczyna leżała na podłodze z rozłożonymi rękoma jak przybita do wypastowanych klepek.

Dyrektorka wstała, wspierając się na lasce, i również rozłożyła ręce. W geście bezradności. Użyła wszystkich racjonalnych argumentów, jakie tylko przyszły jej do głowy. Odpowiedzialność. Moralność. Roztropność. Porządek. Pojawiły się w jej retoryce rzeczowniki, których znaczenie było jej obce: macierzyństwo, miłość, małżeństwo. O innych rozwiązaniach nie wypadało mówić, przynajmniej nie teraz. Przy tabernakulum pełgało czerwone światło i wyraźnie mówiło STOP!

Ewa milczała.

– W porządku. Nie chcesz, nie odzywaj się. – Maciejewska stuknęła laską o podłogę. – Wyjaśnij mi tylko jedno: dlaczego kazałaś sprowadzić tutaj... – dyrektorka usłyszała szmer za zamkniętymi drzwiami kaplicy – ...swoją ciotkę i babkę, skoro nie chcesz z nimi rozmawiać?

Ewa uniosła głowę.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Helena Opolska siedziała w ławce oparta o parasol. Wyglądała tak, jakby się modliła. I owszem. Prosiła Boga. O burzę. O prawdziwą burzę. O ciepły deszcz, który pozwoliłby ludziom, zwierzętom i roślinom odetchnąć po upalnym dniu. O innych intencjach zapomniała. O Barbarze i o Tadeuszu. O Pawle i o Andrzeju. O duszach Jana i Jerzego. Kto pamiętałby o sprawach bliźnich, kiedy tchu brakuje?

Z daleka rozległ się jazgot Łajzy. Matka przełożona wysłała furtiankę na spacer z psem. Suka zawodziła. A może furtianka? Trudno poznać po głosie.

– Dostyc tego wylegiwania się – zarządziła sędzina.

– W końcu to nie fundusz wczasów pracowniczych – mruknęła dyrektorka.

– Twoja... ciotka ma rację. Jedziemy z powrotem do Bolegoszczy. Musisz odpocząć.

– Nie jestem zmęczona. I nic mi nie dolega. Ja tylko połknęłam pszczołę – odezwała się Ewa.

– Tak. Bo to się teraz tak nazywa – Opolska szepnęła pod nosem.

– To przecież zwykła rzecz. – Ewa uniosła ramiona. – Siostra Juliana, pszczelarka, opiekuje się ulami i wciąż połyka pszczoły. Nikt jej przez to nie wyrzucił z klasztoru.

– Na siostrę Julianę też przyjdzie pora. – Opolska rozpięła guzik pod szyją. – Śmierć ją bzyknie we właściwym momencie. Ciebie bzyknęło życie. Zbieraj się.

Ewa najpierw usiadła na podłodze, a później wstała. Zmierzwione włosy. Krople potu na czole. Szklany wzrok. Biała bluzka z plamą krwi na kołnierzu.

– Ja wszystko wytłumaczę. Opowiem od początku. Do mojego brzucha wleciała pszczoła. – Położyła obie dłonie na pępku. – To nic takiego. Jak wleciała, tak wyleci. A ciąża? Przejdzie mi do jutra. Niech pani dyrektor wraca do domu. I nic nie mów mojemu ojcu. Umarłby ze zgryzoty. I pani, pani Heleno też. Ja tu sobie jeszcze trochę poleżę.

Maciejewska podeszła do Ewy. Dotknęła jej czoła.

– Gorączkuje – zwróciła się do Opolskiej. – I to mocno. Dość tego uświęcania się między ulami. – Otoczyła Mazurkównę ramieniem. – Pora do domu.

– Tu jest mój dom. – Ewa się zachwiała. – A siostry to moja rodzina.

– W kwestii rodziny. Kto jest ojcem dziecka? – zapytała Helena.

Maciejewska położyła palec na ustach.

– To później – szepnęła.

– Ewa, kto jest ojcem? – Opolska nalegała.

Córka Franciszka spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na babkę Pawła i Andrzeja.

– Bóg. Bóg jest Ojcem. Bóg jest Ojcem wszystkich ludzi i wszystkiego stworzenia.

– Bredzi – stwierdziła dyrektorka. – Niech ją pani przytrzyma z drugiej strony. Gdzieś pod klasztorem powinien być ten taksówkarz. Może jeszcze zdążymy na pociąg.

Helena chwyciła Ewę pod rękę.

Trzy kobiety zbliżały się już do wyjścia z kaplicy, kiedy Mazurkówna nagle gwałtownie się zatrzymała. Spojrzała w stronę

ołtarza.

– Bóg mi powiedział – wyszeptła – że mój syn będzie miał na imię Paweł.

Opolska złapała się za serce.

– Chryste Panie!

6.

– Jesteśmy na miejscu. – Benek Karp szeroko otworzył drzwi na klatkę schodową. – Pani przodem.

Hanka poszła.

Przywiózł ją na Rewolucji Październikowej motocyklem. „BMW R69”, wyjaśnił z dumą, wyciągając pojazd z komórki, w której Luśka i Wacek ukrywali sprzęt do produkcji bimbrow. Później dodał: „Wie pani o mnie więcej niż SB”.

Poklepał maszynę po baku. Wskoczył na siodło, Hance kazał usiąść za sobą i trzymać się mocno.

Trzymała się.

Trzymałaby się mocniej, gdyby nie przeszkadzały jej: brzuch, gazeta, którą Benek włożył do tylnej kieszeni spodni, oraz to, że wiedziała o Karpiu więcej niż SB.

– Śmiało. – Benek włączył światło na klatce. – Niech pani...

– Może bez „pani”. Hanka. Po prostu Hanka.

Zmrużyła oczy (zdało jej się, że znowu widzi gorzej, chociaż od marca czytała znacznie mniej). Na spisie lokatorów odnalazła właściwe nazwisko. „Barbara i Tadeusz Opolscy”. Barbara i Tadeusz. Dziwne. Paweł nie wspominał, jakie imiona noszą jego rodzice. Ona też nigdy o to nie zapytała. „Czego jeszcze nie wiem?”

– Hanka – powtórzył Karp. – Straciłem nadzieję, że poznam imię. Wyciągnął klucze.

– Naprawdę jesteś kapitanem? – zapytała.

– Zwykłym bosmanem – powiedział Benek. – Ale to bez znaczenia. Tutejsi i tak wiedzą swoje. Pierdolę ich – odpowiedział.

– Od tyłu? – Dziewczyna wydeła usta.

Benek gwizdnął. „Bystra mała”. Z kochasiami rzadko rozmawiał. Kochasiów rznął. Z kobietami nie rozmawiał prawie nigdy. Chociaż ich nie rznął. Zapomniał, że wśród bab zdarzają się wyszczekane intelektualistki.

Uśmiechnął się. Błysnęły białe zęby. W mroku klatki schodowej zaświeciły błękitne oczy. Hanka patrzyła na ogorzałą twarz mężczyzny, na jego krótko przystrzyżone włosy, na szeroką szczękę. „Stuprocentowy... pedał?” Wciąż nie mogła uwierzyć. Taki pociągający. Taki męski. Można by go czytać jak powieść podróżniczą albo awanturniczą, ale nie jak homoseksualny romans.

– Co to jest? – Wskazała na czaszkę wiszącą nad drzwiami.

– Kobieta, która zadawała za dużo pytań.

Hanka zrobiła krok do tyłu. Nie przekroczy progu mieszkania Karpia. Nigdy.

– Boję się, że ta cała Luśka i jej Wacek obrobią mi walizkę – powiedziała.

– A schowałaś w niej pieniądze, wódkę albo fajki?

– Nie.

– To śpij spokojnie.

„Tylko gdzie?”, pomyślała Hanka.

– To ja już pójdę na górę. – Spojrzała na schody prowadzące na piętro. Za chwilę go zobaczy. Za chwilę powie Pawłowi, że zostanie ojcem. Wiedziała, że jej wybaczy, że zrozumie, że wciąż kocha.

– Idź, idź. Ale gdybyś potrzebowała...

– Już mi bardzo pomogłeś. Wystarczy.

– Ty właściwie do kogo? – Karp uchylił drzwi do swojego mieszkania.

Dziewczyna wruszyła tylko ramionami.

– Kto ci to zrobił? – Wskazał na jej brzuch.

– Nikt.

– To załóż kościół – zaśmiał się. – Zawsze znajdzie się paru wyznawców.

– Nie lubię kościołów.

– A ja ludzi – powiedział Benek. Podeszedł do Hanki. Lekko uniósł jej brodę. – Ciebie chyba jednak trochę tak.

– Dlaczego? – zapytała Górka.

Benek pacnął ją paluchem po nosie.

– Bo jesteś brzydka.

Wszedł na półpiętro. Wyjął z kieszeni spodni wczorajsze wydanie „Głosu Bolegoszczy” i rzucił gazetę na parapet.

– *Who wants yesterday's papers?* – zapytał tekstem z Rolling Stonesów.

– *Who wants yesterday's girl?* – Hanka odpowiedziała kolejnym wersem tej samej piosenki.

Śpiewali to. Stonesi śpiewali to w zeszłym roku na koncercie w Pałacu Kultury. Bilet dostała od Pawła. Kawałek tektury trzymała w wedlowskim pudełku z najcenniejszymi pamiątkami. Pudełko w walizce. Walizkę u Luśki i Wacka. „Matko, co ja tutaj robię?”

Za Benkiem zamknęły się drzwi.

– *Who wants yesterday's girl? Nobody in the world* – mruknęła Hanka do siebie.

– Nie mów do siebie. – Anna Łoś-Niechciał od dłuższej chwili przeciągała się na miękkim dywanie jak końcówka czeskiego filmu, który wciąż trwał, choć publiczność od dawna czekała na finał.

– Nic nie mówiłem. – Tadeusz stał przy oknie. Czekał na deszcz pierwszych Perseidów. Przed wojną całe noce leżał na grubym kocu razem z Jerzym i gapili się w niebo. Jedna spadająca gwiazda, jedno marzenie. Uzbierało się ich z tysiąc, może więcej. Spełniło się jedno. Medycyna.

Teraz prosił gwiazdy o to, aby pomogły mu zrozumieć i opisać właściwymi słowami konstelację, w jakiej się znalazł. Kochanka, żona, kochanek żony, żona kochanka żony, martwy mąż kochanki. Ten ostatni był jedynym pewnym punktem na mapie nieba.

W tle brzęczało radio.

– Kłamiesz.

– Powiedziałem, że brzydka sprawa. – Tadeusz Opolski zamierzał bokiem wyminąć Annę, lecz podstawiała mu nogę. Stracił równowagę. Zachwiał się. Kochanka skorzystała z okazji i przyciągnęła go mocno do siebie. – Naprawdę bardzo brzydka sprawa – powtórzył.

– Zaraz tam brzydka. – Anna rozpięła kilka guzików zwiewnej podomki. – Wcale nie taka brzydka.

– Mylisz się. – Tadeusz pogłaskał kobietę po idealnie czarnych włosach.

– Nigdy się nie mylę. – Anna dostrzegła na ramieniu Tadeusza dorodny pryszcz. Wyciśnie go później. Do samej krwi. – Widziałam ją

dzisiaj rano.

– Kogo?

– Twoją żonę. Przyszła tutaj. Moim zdaniem wciąż jest atrakcyjna. – Anna włożyła palec do ust. Oblizła go. Tym samym palcem podrapała Opolskiego za uchem. – Powiedz, mnie też zostawisz, jak skończę czterdzieści lat?

– A dajże spokój. Ja nie o Barbarze. – Doktor postanowił na razie nie myśleć o Bałce. – Ja o Czechosłowacji. Czeka. Zaraz znowu będą wiadomości. – Doktor wyzwolił się z uścisku Anny.

Podszedł do radioodbiornika stojącego na stoliku obok ciężkiego bufetu wykończonego orzechową okleiną i przyłożył ucho do głośnika. W mieszkaniu Anny Wolna Europa odbierała gorzej niż na Gromadzie czy w szpitalu. Wciąż coś szumiało, coś przerywało.

– Słyszysz?

– Nie.

– Zrobię głośniej.

– Zostaw. Ktoś mógłby...

– Boisz się?

– Polityka obchodzi mnie tyle, co gwiazdy świnię. – Anna uniosła się na łokciu. – Chodźmy do łóżka.

Tadeusz pochylił się przy grającym pudle. Słuchał wiadomości:

...stko ...skazuje na to, że po ...wietniowej koncen...acji wojsk ...dzieckich na południowej granicy ...olski ...tąpią kolejne ruchy. Już teraz wiado..., że na terenie Czechosłowacji w czerwcu i w lipcu miały ...sce ćwiczenia wojsk Związku ...dzieckiego, ...ski Ludowej, Węgier oraz ...garii.

Państwa Układu War...skiego nigdy nie dopuszczą do przeniesienia na swoje te...oria czeskich reform politycz..., dzięki którym pod rządami Dubczeka niemal zupełnie przestała istnieć ...zura, a ...wona twarz socjalizmu stała się bładoróżo...

Utrzymanie politycznego status quo przez Układ ...ski może jednak kosztować... działania wojenne...

Szumy nasiliły się.

– Cholera – Tadeusz zaklął i pokręcił gałką radia.

...azem z innymi: „Polska czeka na swego Dubczeka”.

Anna wstała z podłogi i zamknęła gębę Wolnej Europie.

– To nie zlikwiduje problemu – powiedział Tadeusz. – Nawet gdybyś wyrzuciła radio za okno.

– Jakiego problemu? Nie ma problemu.

– Jeśli Paweł nie wróci na prawo, a Andrzej nie dostanie się na medycynę, obaj pójdą do wojska. Tylko studia ich ratują, rozumiesz? Tylko studia.

Anna stanęła przed Tadeuszem. Wtuliła się w niego.

On położył ręce na jej talii.

– Każdy mężczyzna powinien trafić do wojska – powiedziała, wdychając zapach spoconego ciała Tadeusza. Wokół jego sutków wyrastały siwe włosy. – Każdy. Inaczej nigdy nie stanie się prawdziwym facetem.

– Tylko kim? – zainteresował się Opolski.

– Onucami albo kalesonami prawdziwego faceta. A ty? Ty gdzie służyłeś?

Tadeusz odsunął Annę od siebie. Usiadł w fotelu Chierowskiego. Tapicerka w drobną kratę. Bukowa stolarka. „Piękna robota”, pomyślał. „Skąd ona ma na to pieniądze?”

– Nigdzie nie służyłem – odpowiedział.

– Za to masz armię.

Opolski spojrzał na swoją armię. Wyglądała jak samotny generał w niewoli.

– Może Polska czeka na Dubczeka. – Anna podeszła do Tadeusza, ukłękła przy nim. – Ale ja czekam na swojego dupczeka.

Oblizła usta i bez słów zabrała się do tego, czego Barbara nigdy nie zrobiła Tadeuszowi. Nawet ręką.

– Lubię, kiedy chodzisz nagi po domu – powiedziała Anna, unosząc głowę. Wypluła drobny włos. – Zupełnie nagi.

Znowu pochylila się nad Opolskim.

Jej głowa rytmicznie pracowała.

Góra.

Dół.

Góra.

Dół.

Tadeusz powstrzymał jęk rozkoszy. Chwycił ją za włosy.

W blasku czterdziestowatowej żarówki włosy kochanki zaśniły głębokim rudym kolorem.

Kobieta stojąca przed Hanką odgarnęła z twarzy rude włosy.

„Paweł ma taki sam odcień”, pomyślała Hanka. „Identyczny. To chyba jego matka”.

To-chyba-jego-matka patrzyła z góry na dziewczynę, nie tylko dlatego, że była od niej o pół głowy wyższa.

– Mój syn – potwierdziła domysły Górskiej – nie mieszka tutaj.

– Paweł podał mi ten adres. Powiedział, że jeśli...

– Wyprowadził się – Barbara poinformowała Hankę. Popatrzyła najpierw na brzuch dziewczyny, a później na zegarek. Zbliżyła się dwudziesta trzecia. – O tej porze z wizytą do mężczyzny?

– Przepraszam. Dopiero przyjechałam. Innego połączenia z Warszawy nie było.

– Niech więc pani zadba o powrót. Przed północą odjeżdża ostatni pociąg. – Opolska trzasnęła drzwiami.

Hanka usłyszała:

klucz przekręcany w zamku;

stukanie domowych pantofli na wysokim obcasie;

bzyczenie komara;

zawodzenie kota;

placz dziecka.

Placz, który dobywał się z brzucha Hanki.

Zeszła piętro niżej.

Bez zastanowienia, bez planu, bez wyboru i bez pukania wtarabaniła się do lokalu Benka Karpia. Zdziwiła się, że drzwi są otwarte.

– Ja tylko chciałam zapytać, czy mogę...

Stała na progu niemal zupełnie pustego pokoju. Białe ściany, etażerka z mahoniowego drewna, sekretarzyk, sofa (zdziwiła się, bo rozkładanych nigdy nie widziała), szeszlony i marmurowa rzeźba fallusa we wzwodzie.

– Przecież mówiłem, że zaraz przyjdzie. To moja narzeczona – powiedział Benek, tamując dłonią krew z nosa. – Hanula, podaj mi chusteczkę.

Hanka sztywna ze strachu wygrzebała z torebki zasmarkany skrawek materiału.

– No – Benek dotknął skroni, z której również leciała krew – a teraz, panowie, wypierdalać...

...nie zamierzał. Przynajmniej nie w najbliższych dniach, a może nawet nie w najbliższych tygodniach.

Kiedy Bolek wyjechał z Supraśla do Bolegoszczy, tego samego wieczoru Andrzej przeniósł się z dusznego strychu do pokoju i pościeli Adeli Podyasek, ciotki Świerszcza. Znalazł między jej udami kwaterę wytapetowaną miękką skórą, zawsze gotową do przyjęcia spragnionego gościa, z oknem na świat, którego Andrzej nigdy dotąd nie otwierał.

– Słuchaj, a ty wcześniej byłeś z kobietą? – zapytała Adela w nocy z czternastego na piętnastego lipca. Podczas ich ostatniej wspólnej nocy. Rano Andrzej miał wyjechać do Bolegoszczy.

Leżała obok Opolskiego i drażniła jego sutki. Wiedziała, że bardzo to lubi. Szybko nauczyła się mapy ciała młodego kochanka: kompas albo reagował, albo nie reagował na wybór drogi do celu.

Po raz pierwszy przyszła do niego na stryszek kilka dni po przyjeździe chłopców do Supraśla. W nocy. Prawie nad ranem. Chyba już świtało. Kosy dały się między gałęziami jabłoni. Andrzej kuł do egzaminu z chemii. Powtarzał organiczną. Adela przyniosła mu szklankę wody ze świeżą miętą. Rozebrała się. Przyciągnęła do siebie.

Dotyk Adeli sprawił, że Andrzej natychmiast poczuł się jak cukier prosty. I się rozpuścił.

A przecież wyglądała tak zwyczajnie, kiedy krzątała się po kuchni, żartowała z letnikami, wieszała pranie w ogrodzie. Kształtna, okrągła, rumiana. Pukle ciemnych nieujarzmionych włosów. Kobięca. Niczego za dużo. Niczego za mało. Wszystkiego w sam raz. Porcja pięknego ciała dla wytrawnego kochanka. „Ale nie dla mnie”, pomyślał Andrzej, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Mogła mieć trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Mogła być kiedyś mężatką, teraz rozwódką albo wdową. Mogła mieć amantów bieglejszych w sztuce miłości niż Andrzej.

Świerszcz niczego się nie domyślił. Każdej nocy brandzlował się pod jabłonią, marząc o plastyczce znad Supraśli.

– Powiedz, byłeś z kobietą? – Adela powtórzyła pytanie.

Powiedz, powiedz, ale co? Prawdę?

Że szwendały się za nim Cabanówna z bliźniaczkami, czyniąc propozycje banalne jak bluesowe rytmy? Że wolał spędzać czas z Bolkiem, z którym palił fajki, pił tanie wino, a ostatnio słuchał na okrągło płyty *Kind of Blue*? (Kupił ją od Karpia za pieniądze ukręcone babce). Że wielbił Milesa Davisa bardziej niż wdzięki panienek? Że za każdą jego nową płytę oddałby wszystko: nerkę, płuco albo rozum?

A może miał wyznać, że raz zapomniał o Davisie, stracił głowę i przez pół roku łaził za stukniętą Ewką Mazurkówną, uprawiając przez nią rano i wieczorem żalosny selfmajting? „W końcu to też jakiś rodzaj seksu”, pomyślał.

I powiedział:

– Byłem.

Przyciągnął do siebie Adelę.

– Ale od teraz będę tylko z tobą. Nigdzie jutro nie wracam. Zostaję.

„Zostanę mordercą. Zabiję skurwysyna. To jedyne wyjście. Najpierw mnie zamkną. Później powieszają. Tylko wtedy nikt się nie dowie. Tylko wtedy. Nikt a nikt. Chyba że skurwysyn już puścił farbę i esbecy wszystko wiedzą. I ten cały Mielnicki. Pan cholerna golonka. Tłusty przyjaciel tatusia. Bez haka na mnie nie przyłaziłby na chór. Pewnie ma”.

Paweł Opolski wyjął resztkę koniaku z kuchennej szafki na Mickiewicza. Całe popołudnie i wieczór spędził u babki. W pustym domu. Przy zamkniętym pianinie. Przy wyłączonym radiu. Nie wrócił do matki. „Niech sama sobie radzi”. Nie zmartwił się tym, że babka zniknęła przed południem i wciąż nie wróciła. „Złego licha nie weźmie”.

Wlał alkohol do szklanki. Do zwykłej, chamskiej szklanki, w dodatku lekko pękniętej. Wypił duszkiem bursztynowy płyn. W butelce pokazało się dno.

„Skończyło się lekarstwo na niepamięć”.

I tak słabo działało. Mógłby wypić duszkiem pół litra żytniej, a i tak nie pozbyłby się wspomnienia.

Jednego jedyne wspomnienia.

Dokładnie sześć lat oraz sześć i pół tygodnia temu, dokładnie trzynastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, dokładnie trzynaście dni przed egzekucją Adolfa Eichmanna i trzy dni po największej w Bolegoszczy od tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku powodzi, w niedzielny wieczór, już po dzienniku, Barbara Opolska zorientowała się, że skończyły się jej papierosy.

– Do Benka? – zapytał Tadeusz, nie podnosząc głowy znad rosyjskiej publikacji o zdrowiu psychicznym człowieka, grubszej niż wszystkie modlitewniki jego matki. – Jak ci tak pilno, to sama idź do Benka. Nie mam czasu. Przecież widzisz, że pracuję.

– Mamo, nie teraz. Bo teraz się okaże, czy chłopacy wygrają, czy nie wygrają – odpowiedział Andrzej na prośbę matki. – Przecież widzisz, że czytam. *Do przerwy 0:1*. Nie pytaj o czym. Do Benka nie. Jak już, to później. Kiedy skończę. Może pojutrze.

– Dobrze. – Paweł westchnął z rezygnacją i podniósł się znad wykresów sinusoid. – Przyniosę ci papierosy.

Ścisnął w garści dwa banknoty, które dał mu ojciec, i zszedł na dół.

Schodek.

Po schodku.

Zapukał do Karpia. Cisza. I bardzo dobrze. Znakomicie. Nie skłamię. Kłamstwa nie lubił tak jak smaku czerniny i zapachu spleśniałego chleba. Powie matce zgodnie z prawdą, że nikogo nie zastał. Poradzi jej, żeby zapaliła skręta z suszonego podbiału. Podbiał działa przeciwkaszlowo. Może przestanie charczeć.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w górę.

Po schodku.

Schodek.

Dotarł na półpiętro, kiedy usłyszał półgłos:

– Stara w potrzebie? Złaz. Mam coś dla niej.

Zlazł.

Benek zatrzasnął drzwi. Zamknął na klucz. Zawiesił łańcuch. Zatrzymał Pawła w przedpokoju. Przycisnął do ściany.

– Ty też palisz?

Opolski zaprzeczył.

– A chciałbyś?

Zaprzeczył po raz drugi.

– Ile ty masz właściwie lat?

– Prawie siedemnaście. – Głos zabrzmiał jak w początkowej fazie mutacji.

– I nie próbowałaś? Stary chłop jesteś. Ja w twoim wieku już szorowałem pokłady. Każdy facet powinien choć raz w życiu zapalić.

Sięgnął do szuflady w szafce pod lustrem. Wyjął pall malle. Rzucił w stronę Pawła.

Wylądowały u stóp Opolskiego. Ten schylił się po papierosy. I nie podniósł się przez kolejne trzy minuty.

Benek powalił go na parkiet i mocno trzymał.

Paweł poczuł na plecach spocone ręce Karpia, po chwili zjeżdżające w dół luźne domowe spodnie na sparciałej gumie. Wciskając się między pośladki pałę Karpia. Puszczające z trudem zwieracze. I własne podniecenie, którego wstydy się po dziś dzień.

Wzdrygnął się.

W kuchni babki Heleny panowała ciemność.

Paweł walnął o podłogę pustą butelką po koniaku.

„Każdy facet powinien chociaż raz w życiu zabić”.

Znalazł w kuchni tłuczek do mięsa.

„Na Karpia też będzie dobry. To tylko wstrętne oślizgła ryba”.

Chwiejnym krokiem wyszedł z domu.

– Ty dokąd o tej porze? – zatrzymał go głos babki.

Paweł potrząsnął głową. Babka zdawała się potrójna.

Zmrużył oczy.

Helena podeszła do wnuka.

Za nią stały Wanda Maciejewska i Ewa Mazurkówna.

– Ona jest prawdziwa? – zapytał bełkotliwie, wskazując na dziewczynę.

Do Pawła podbiegł pies. Polizał go po dłoni. Obwąchał tłuczek.

– Będiesz ojcem – oznajmiła Helena. – I ani mi się waży zaprzeczać.

Paweł beknął.

– Do wesela wytrzeźwiejesz. A teraz do domu.

– Przecież tłumaczę, że przyjechałam do domu. – Hanka spostrzegła, że wstaje chłodny szary dzień. Upalna niedziela wreszcie minęła. Poniedziałek płucał zmęczoną słońcem głowę pod prysznicem ciepłego deszczu. Przez otwarte okno Górska poczuła zapach wilgotnej ziemi. – Tutaj jest mój dom. Mój nowy dom. U narzeczonego.

Zadźwięczały puste butelki na wózku mleczarza.

Ktoś zbiegał z góry szybkim krokiem.

Pod klatką schodową rozległo się szuranie miotły.

– Nie masz meldunku – odezwał się esbek, który wciąż palił.

Ten drugi, wyższy i silniejszy, stał oparty o ścianę. Ani nie palił, ani nie myślał. Wykonywał rozkazy. Za „No a teraz wypierdalać” przyładował Benkowi pięścią w żołądek i kolanem w jądra.

– Nie mam meldunku, bo dopiero przyjechałam. – Hanka wzruszyła ramionami.

Nie po raz pierwszy tej nocy. Niewiele zrozumiała z tego, o co esbek wcześniej pytał Benka. O jakąś muchę. O jakieś krople. O senność po nich. Zarzucał Karpowi oszustwo. Karp przysięgał, że nic nie wie. Że ma w dupie muchy, komary, świerszcze, cykady i całą resztę fruującego tałatajstwa. Niczym nie handluje. Dziesięć paczek marlboro w sypialni? Na własny użytek. Obca waluta? Dodatek dewizowy. Legalny. Przysługuje każdemu marynarzowi.

– Ale już jutro będę miała nowy adres w dowodzie. Benio i ja – Hanka przysunęła się do Karpiu – planowaliśmy w poniedziałek przed południem wizytę w urzędzie meldunkowym. I w urzędzie stanu cywilnego. Prawda?

Benek potwierdził potłuczoną głową.

– Bierzesz se za męża parowę? – zapytał ten, który palił. Z pogardą spojrział na rzeźbę fallusa. – Chyba tym będzie ci robił dobrze, bo swojego knota moczy tylko w dupskach młodych chłopaczków.

– Mówiłem, że nie jestem... – wydusił Karp przez zaciśnięte zęby.

Hanka położyła dłoń na ramieniu Benka.

– Oczywiście, że nie jesteś – powiedziała i pogłaskała wymownie brzuch. – Spodziewamy się z Beniem – spojrziała na esbeka –

dziecka, którego nie zrobił mi tym... dziełem sztuki. A teraz proszę zostawić nas w spokoju. Bo inaczej przedwcześnie urodzę.

CZWARTY
8 października 1968
(wtorek)

1.

- Urodzisz, urodzisz!
- Nie urodzę!
- Trzeba było myśleć, jak dawałaś sobie włożyć! Przyj. Teraz!
Mam główkę! Jeszcze, kobieto! Przyj!

Andrzej Opolski zabrał się do wyżymania ścierki. Ciemna maź spłynęła do wiadra. Rzucił wilgotną szmatę na podłogę i zawinął wokół szczotki. Wybrał spomiędzy palców brud i lepkie włosy. Ze wstrętem wrzucił do kubła. Otarł dłonie o spodnie i zaczął zmywać posadzkę. Po raz pierwszy robił to po porannym obchodzie, po raz drugi teraz – po obiedzie. Po raz trzeci przed końcem zmiany.

Ruszył ze szczotą i szmatą w stronę oddziału dla noworodków septycznych. Długim, ciemnym i śliskim korytarzem, podobno po remoncie. „Jak w kanale rodnym”, pomyślał młodszy Opolski. Z płaskiej powierzchni ścian tu i ówdzie wyrastały zburchlone pęcherze farby. „Jak guzy i torbiele”. Nad głową Andrzeja łuszczył się sufit. „Jak endometrium”. Na całym piętrze zajeżdżało rosołem ze świeżej krwi, kotletami z mielonego łożyska i surówką z drobno siekanych pępowin.

„Czy ojciec naprawdę sądził, że to będzie dla mnie najlepsze?”

Tak.

Tak właśnie sądził ojciec.

Pod koniec lipca Barbara zadzwoniła do Niedorośli i poinformowała Tadeusza, że Andrzej wciąż nie wrócił do

Bolegoszczy.

– Za tydzień ślub Pawła – powiedziała. – A Andrzeja nie ma. Czy to możliwe, żeby egzaminy na medycynę trwały prawie pięć tygodni? – zapytała.

Nie.

To niemożliwe.

Tadeusz natychmiast poprosił o międzymiastową z warszawską akademią. Po dwóch godzinach doczekał się. Okazało się, że Andrzej Opolski nie dostał się na medycynę w stolicy (tego Tadeusz się obawiał), ponieważ nie złożył na nią dokumentów (na to nie wpadłby nawet po najmocniejszym koniaczku Heleny). Rozjuszony przeprowadził krótkie śledztwo.

Trop prowadził do Bolka, który nawet nie próbował kłamać. Zaaferowany przyspieszonym poborem do wojska, który przywitał go po powrocie z Supraśla, w obecności chlipiącej matki i zafrasowanego ojca podał doktorowi adres ciotki.

Dzień później, dokładnie dwudziestego dziewiątego lipca, Tadeusz wyciągnął Andrzeja z rozgrzanego łóżka Adeli Podyasek.

Młodszy Opolski najpierw dostał w pysk za kłamstwo, a później za samowolkę.

– To może chociaż cię w Białymstoku na studia przyjęli? – zapytał Tadeusz, licząc po cichu na cud.

Nie przyjęli. Andrzej nie przyznał się do tego, że na egzamin z chemii zwyczajnie nie dojechał, gdyż zasnął po gorącej nocy z kochanką. Ojciec nie zrozumiałby, że ważniejszy był debiut w małej dziurce Adeli niż pisemny z organicznej, nieorganicznej czy fizycznej.

Tadeusz przez całą drogę powrotną milczał. Dopiero przed Bolegoszczą począł wypowiadać nieprzyjemne słowa: „przykre konsekwencje”, „skuteczna kara”, „zasadnicza służba wojskowa”, „przymusowy ślub Pawła”, „państwa Układu Warszawskiego”, „dekret Breżniewa”, „ciąża narzeczonej Pawła”, „ruchy wojsk radzieckich na południowej granicy Polski” i „prawdziwy mężczyzna powinien sprawdzić się w wojsku”.

– Narzeczona Pawła w ciąży? – Andrzej roześmiał się. – Jaka narzeczona?

Tadeusz zatrzymał samochód pod blokiem na Rewolucji Październikowej 26 i kazał młodszemu synowi zbierać się na górę.

– Tato – Andrzej wyjmował z samochodu plecak na stelażu – ale jaka narzeczona, no powiedz.

Tadeusz grzmotnął klapą od bagażnika i odjechał.

To matka zdradziła Andrzejowi tożsamość narzeczonej.

– Ewce? Paweł zrobił bachora świętej Mazurkównie? Kiedy? – parsknął młodszy Opolski. – Ten głąb wie, do czego służy...

– Widocznie wie. Ale ty wiesz o wiele lepiej. Prawda? – Barbara rzuciła zapałkami o stół. Huknęło ostrzeżenie: JEZDNIA NIE JEST PLACEM ZABAW. – Zapamiętaj sobie. Życie nie jest placem zabaw. Jadę do Łączek – powiedziała Barbara. – A ty się tu prowadź jak należy.

I pojechała.

Młodszy Opolski przesiadywał albo w kuchni, albo na balkonie i palił papierosa za papierosem. Słuchał na okrągło Milesa Davisa. Tym razem w obrotowy ruch gramofonu dostała się płyta *Sketches of Spain*. Tęsknił za Adelą jak za nieuchwytnym, ulotnym brzmieniem trąbki. Przy dojrzałym ciele kochanki, przy jej gotowości na wszystko stracił resztki zainteresowania dla młodego ciała Ewki. Nie tylko zresztą Ewki.

Kiedy wychodził po masło (coraz trudniej było je upolować w sklepie na rogu) i po bułki paryskie (czasem miał wrażenie, że w piekarni mieszają mąkę z cementem), oglądał się tylko za kobietami po trzydziestce, czasem nawet po czterdziestce.

Nie myślał o przyszłości, przekonany, że państwo zadba o nią w najlepszy z możliwych sposobów. Tak jak Bolek szykował się w kamazie. Czekał na oficjalne wezwanie na komisję wojskową.

Któregoś razu, pomiędzy fajkami a jazzowymi sesjami, spotkał się z Pawłem. Na chwilę. W Akwarium, obskurnej piwiarni leżącej tuż nad Bolą.

Bracia moczyli pyski w kufiach ciepłego piwa.

– Gdzie będziecie mieszkać? – zapytał Andrzej. Stracił ochotę na szydercze przepychanki z bratem, na słowne kuksańce, na kpiny i drwiny. Paweł bez tego wyglądał tak, jakby właśnie wjechał windą na szafot.

– Babka odda nam górkę – powiedział starszy brat.

– Jak się czuje Ewka? – „Naprawdę? Naprawdę jeszcze pół roku temu latałem za nią jak durny?”

– Rzyga. Podobno to normalne w czwartym miesiącu.

– Gdzieś ty ją dorwał?

– Niedaleko stąd. W krzakach, głąbie. Wylazła z wody jak Bolezianka.

Andrzej otarł pianę z ust. W zazwyczaj obraźliwym „głąbie” Andrzej usłyszał „ratunku!”

– A babka? – zapytał.

– Najpierw łąziła po domu wściekła – Paweł rozciągał palce lewej dłoni, strzykały – później przez tydzień tłumaczyła Ewce, że w ciążę nie zachodzi się z pszczołą. Rozumiesz? Z pszczołą. Nic nie kapuję. Może to jakieś babskie grypsy?

Andrzej wzruszył ramionami. Podejrzewał, że Mazurkówna jest stuknięta, ale żeby aż tak?

– Później do Heleny zaczął przychodzić stary Mazurek. – Paweł znowu pociągnął z kufła. – Odgrażał się, że jak mnie dorwie, to żywcem w mogile zakopie.

– Obok dziadka Jana?

– Raczej w zbiorowej, obok naszej matki, która prawie umarła, kiedy dowiedziała się, że zrobiłem dziecko sprzątacze babki.

– Ewa sprzątała u babki?

– I gotowała. Nie wiedziałeś?

Skąd miał wiedzieć? Chyba po raz pierwszy w życiu rozmawiał z bratem jak z bratem.

– Na koniec ojciec wszystkim przepisał coś na uspokojenie. – Paweł gapił się na ścianę wierzb rosnących nad brzegiem rzeki. – Ewce też. Helena podawała jej prochy w pasztecie.

– Całkiem jak psu.

– Po tygodniu Ewka zaczęła mówić do rzeczy. – Paweł wypił jednym haustem resztę. Skrzywił się. Powstrzymał beknięcie. – Chociaż wiesz, mi się wydaje, że Ewka nie do końca wierzy, że to ja jestem ojcem.

– A kto?

Paweł zrezygnowany opuścił głowę.

– Słuchaj, jesteś pewien, że to ja powinienem być świadkiem na twoim ślubie? – zapytał Andrzej.

– Nie mam innego brata. A wolałbym w rodzinnym gronie – odpowiedział Paweł. – Zrozumiem, jeśli odmówisz.

Andrzej nie odmówił.

Trzy dni później świadczył w urzędzie stanu cywilnego, a cztery dni później w kościele Świętego Wawrzyńca. Razem z nim świadczyła siostra Ewki, Renata.

Andrzej nie poświęcił uwagi Ewie. Zaokrągliła się. Przytyła. Posmutniała.

Zainteresował się Renatą. „Dojrzała trzydziestka. Różnym jak świeży boczek”, myślał, gdy młodzi przed ołtarzem opowiadali banialuki o miłości, wierności aż po grobową dechę.

Zauważył, że Renata klęczy wpatrzona w księdza jak w figurę świętego Antoniego. „I po rżnięciu. Jak najdalej, brachu, od praktykujących katoliczek. Jak najdalej”, pouczył siebie w duchu.

Szóstego sierpnia pożegnał na dworcu Bolka Świerszcza. Pociąg do Krakowa pękał w szwach. Ludzie tłoczyli się w przedziałach i na korytarzach. Niektórzy pchali się do środka przez okna. Środek wakacji. Z Krakowa część podróżnych waliła do Zakopanego. Andrzej przypomniał sobie dwie wyprawy w Tatry. Z ojcem i z Pawłem. Bez matki. Przeszli Orlą Perć, zdobyli Krzyżne, Świnicę, Zawrat i Wołowiec.

Bolek słabo ukrywał przerażenie. Był przekonany, że szykuje się kolejna wojna.

– Daj spokój – pocieszał go Andrzej. – Trzeciej światowej już nie będzie.

Nie był tego aż taki pewien.

– Myślisz, że braliby mnie w sierpniu, jakby nie wojna? – Bolek zatkał jedną dziurkę w nosie i smarknął na peron.

– Nie będzie wojny, obiecuję.

– A jak będzie?

– Nie będzie. A jeśli nawet, trafisz do mechaników. Ktoś musi grzebać w silnikach czołgów. Trzymaj się, stary. – Podał dłoń kumpłowi.

Lokomotywa zagwizdała.

Bolek wskoczył na schodek. Chwycił się poręczy. Pociąg ruszał powoli. Oddalał się od Andrzeja.

– A z ciotką Adelą dobrze ci było?! – krzyknął jeszcze.

Tak-to-to.

Tak-to-to.

Tak-to-to.

– Mnie przegwizdała na wszystkie strony w poprzednie wakacje!
Andrzej zdębiał.

„Ślizgałem się w tej samej babie co Bolek?”

Poczuł się jak krety. Nie dość, że dziobał tę samą kobietę co Świerszcz, to jeszcze uwierzył w słowa kochanki: „jedyne”, „wyjątkowe”, „najlepsze”.

Machnął ręką Bolkowi na pożegnanie. Machnął też ręką na kłamstwa Adeli.

„Przynajmniej czegoś się od niej nauczyłem”.

W połowie sierpnia na Rewolucji Październikowej 26 przyszło wezwanie z Wojskowej Komisji Uzupelnień. Andrzej spodziewał się go, ale nie strachu, jaki się wraz z nim pojawił.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał głupio matkę.

Barbara wzruszyła ramionami.

– Zapytaj ojca – odpowiedziała.

Tadeusz, którego Andrzej złapał w Niedorośli, skwitował krótko:

– Albo pójdziesz do wojska, tak jak Świerszcz, albo...

„...wylądujesz na służbie zastępczej, czyszcząc kible i podłogi raz na ginekologii, raz na położnictwie”.

W szpitalu miejskim.

Andrzej nie zapytał, w jaki sposób ojciec załatwił odroczenie ani ile za to zapłacił.

Na początku września zgłosił się do wuja Edwarda na kardiologię, ale okazało się, że są jakieś komplikacje. Wuj Edward pogadał z doktorem Czubkiem i tak oto Andrzej znalazł się w tym samym miejscu, w którym pół roku wcześniej dowiedział się, że jego matka i ojciec uprawiają seks.

Jeździł na szmacie po korytarzu i po salach już od ponad miesiąca. Wynosił śmieci. Zwoził brudne rzeczy do pralni, a odbierał czyste. Pomagał przy rozdawaniu posiłków i w sprzątanu po nich.

Kichnął.

„To już chyba lepiej byłoby na poligonie”.

Kichnął raz jeszcze. Pociągnął nosem.

Obok niego, na długim ciemnym korytarzu pojawiła się kobieta. Ta sama, która przed dłuższą, a może krótszą chwilą krzyczała „Przyj!”

Andrzej przysiągłby, że słyszał: „Pchaj!”. A pchnąłby, pchnąłby, najchętniej na fotelu ginekologicznym. Rozłożone nogi związałyby tak, że...

– Trzeba pozmywać na porodówce. Tam. – Kobieta wskazała ręką wejście do sali. – Ale najpierw pozbieraj resztki, wiesz które, i wywieź do spalarni.

Młodszy Opolski rozbierał kobietę wzrokiem. Pieścił. Dotykał. Zauważyła jego spojrzenie.

– Kończę o dziewiętnastej – szepnęła Andrzejowi prosto do ucha i skierowała się w stronę windy.

Opolski zdjął szmatę ze szczotki.

Zamoczył ją i mocno wycisnął.

Patrzył, jak do wiadra ścieka brudna ciecz.

Kropla.

Po.

Kropli.

– Przestań wreszcie beczeć. Ile można? Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Urodzisz i wszystko się ułoży. Teraz śpij na zapas. Pamiętam, że ty wyłaś przez pierwsze dwa lata. Noc w noc. – Renata Mazurkówna próbowała pocieszyć Ewę. Do domu na ulicy Mickiewicza zachodziła niemal codziennie. Albo przed pracą na drugą zmianę, albo po pracy na pierwszą zmianę. Siedziała teraz w kuchni Heleny i rozprawiała się z wątpliwościami siostry. – Nie możesz spać? To siedź, chodź, czytaj, oglądaj kapitana Klossa, *Kobrę*, zembrę czy co tam nadają. Czytaj. Mało tutaj książek? Na górze cały pokój. Do stycznia daleko. Zdażysz się przyzwyczaić.

„Ale do czego?”, chciała zapytać Ewa Mazurkówna-Opolska. „Do gry z Panem Bogiem w ja-albo-dziecko?”

Gra była prosta. Jak w parzyste-nieparzyste.

„Urodzi się, nie urodzi się. Urodzi się, nie urodzi się”.

Albo:

„Żywe, martwe. Żywe, martwe”.

Albo:

„Zostać, uciekać. Zostać, uciekać”.

Zaczęła grać w tę grę zaraz po przyjeździe z klasztoru.

Najpierw otwierała na oścież okno i drzwi, ponieważ najlepiej czuła się w przeciągu. Rozkładała szeroko ręce i maszerowała od ściany do ściany w pokoju na górze u Heleny Opolskiej, trzy razy okrążając stół okolicznościowy. Liczyła kroki. Wynik nieparzysty ostrzegał, że powije żywe dziecko i zostanie z Pawłem. Wynik parzysty uspokajał, że nie urodzi, a jeśli nawet, dziecko i tak umrze. Wtedy Ewa odleci jak pszczoła. Daleko. Od wszystkich. Od siebie. Do zakonnego ula.

Gra gra. Ewa Ewą.

Szybko nauczyła się oszukiwać. Wystarczyło, że robiła dłuższe kroki albo przypadkiem myliła się w liczeniu. Wtedy niemal zawsze wypadała pocieszająca parzystość.

„Parzystokopytna idiotko”, fukała pod nosem. „Kogo chcesz oszukać?”

Siebie.

Przecież nie Boga.

I nie Helenę Opolską, która po pierwsze, nie pozwoliła wrócić Ewie do rodzinnego domu i do szalejącego ze złości Franciszka, a po drugie, zajęła się przygotowaniami do jak najszybszego uznania nieślubnego wstydu za ślubny i szczęśliwy obowiązek.

Zorganizowała zaręczyny.

Paweł wsunął na palec Ewy rodzinną pamiątkę, pierścionek ze szmaragdem. Podobno ten sam, który matka Pawła otrzymała od jego ojca.

Następnie Helena załatwiła szybki ślub w urzędzie stanu cywilnego (z pomocą Wandy Maciejewskiej) i w kościele Świętego Wawrzyńca (z pomocą Matki Boskiej i przy wsparciu księdza Wojtka, który nie robił problemów – w końcu Paweł pracował u niego).

Helena nie zapytała, czy Ewa chce i czy Paweł chce. Nawet gdyby usłyszała, że żadne z nich nie chce, zaprowadziłaby katolicki porządek.

Po wielkim sprzątnięciu babki Opolskiej Ewa utknęła w pokoju na górze. Schodziła na dół, kiedy wszyscy wychodzili z domu. W kuchni skubała chleb i cebulę, które popijała wodą, rzadko herbatą.

Popularna śmierzdziała trocinami, a Madras przygodą, której nigdy nie przeżyje.

Często siedziała na werandzie. Właśnie tutaj jesienią i zimą Helena Opolska przechowywała w wiklinowych koszach warzywa i owoce. Ewa z ochotą przebierała dary ziemi. Zgniłe. Niezgniłe. Martwe. Zgniłe. Niezgniłe. Martwe.

Czasem myła okna, podłogi i schody. Szorowała gary. Gotowała, jeśli tylko znalazła w lodówce lub w koszach na werandzie coś, z czego mogła upichcić zupę albo gulasz.

Kilka razy zajrzała do podręczników. Obiecała dyrektor Maciejewskiej, że w przyszłym roku zrobi maturę w liceum dla dorosłych. I co z tego, że obiecała. „Potrzebna mi ta matura? Do czego?”, myślała. „Do oporządzenia niemowlaka?” I odłożyła *Liryki lozańskie*. Młodość durną i chmurną. Oraz biologię. Dział o rozmnażaniu owadów.

Na zawsze.

Sięgnęła za to po książkę, którą przyniósł jej Paweł. *Małe dziecko*. Poradnik w burej okładce, z konturem dziecięcego wózka na wielkich kołach.

Z braku lepszego zajęcia w pewien późnowrześniowy wieczór przejrzała vademecum obsługi potomstwa. Przerzuciła bez zainteresowania kartki. Na stronie dwieście pięćdziesiątej piątej przeczytała:

Dziecko trzyletnie potrafi zupełnie dobrze pomagać w opiekowaniu się zwierzęciem i czyni to z wielkim zapałem i radością, jak zresztą na ogół wszystko, czego dotkną jego chętne rączki.

„To może będzie wyprowadzać mnie na spacer!” Ewa zamknęła książkę. „Co za bzdury!”

Nawet do kościoła przestała chodzić. Czuła się jak najpodlejsza ofiara grzechu pierwotnego, ukarana jego coraz bardziej ruchliwym, żywotnym skutkiem.

Coraz częściej myślała o lokatorze swojego brzucha. Kiedy okazało się, że lokator nie zamierza wyprowadzić się przed upływem umowy najmu, postanowiła poczekać na naturalne rozwiązanie sprawy, nie tracąc nadziei na śmierć dziecka lub własną.

Najszczęśliwsza z obrotu spraw wydawała się Renata Mazurkówna. Robiła to, co uwielbiała. Żyła cudzymi wyborami, cudzymi emocjami, cudzymi uczuciami. Zaczęła traktować siostrę jak kobietę. Jak żonę. Jak matkę. Jak dorosłą. Jak pokarm. Żywiła się jej małżeństwem, ciążą i macierzyństwem.

W październikowe przedpołudnie znowu wpadła na Mickiewicza 68.

Obiecywała Ewce, że kiedy urodzi, na pewno pokocha swoje dziecko. Wystarczy, że spojrzy na maleństwo, przytuli, pogłaszcze po delikatnej główce, przystawi do piersi.

– Do czego? – zdziwiła się Ewa.

– Do piersi.

– Do jakiej piersi?

– No do piersi. – Renata patrzyła na Ewkę jak na głupią.

– A. Do piersi. Może nie zdążę.

Ewka popijała zimną herbatę z suszonej mięty. Na zgagę i na bóle brzucha. Szkoda, że babka Opolska nie miała ziół na poprawę nastroju i na zmianę sytuacji. Pozostawał koniak (Ewa nie mogła, bo parzył przełyk) i modlitwa (Ewa nawet nie próbowała – zawiodła Boga).

– Nie opowiadaj głupot – obruszyła się Renata. – Jak to nie zdążysz?

– Może umrę przy porodzie. Jak nasza matka. Może dziecko mnie zabije, jak ja naszą...

– Przestań. – Renata wstała gwałtownie z taboretu. Zachybotał się i upadł. – Lepiej coś zjedz. Zamiast przybierać na wadze, chudniesz. Tylko brzuch ci wystaje. – Grubo ukroiła chleb, jeszcze grubiej salceson. Wędlinę posmarowała musztardą. W kuchni Heleny czuła się lepiej niż we własnej. – A może wolisz z majonezem?

Ewa nie wołała.

– Niczego ci tutaj nie brakuje. – Renata wyjęła talerz z szafki. – Wszystkiego masz pod dostatkiem. Nie wychodzisz z domu, to nie wiesz, że do spożywczałów kilometrowe kolejki. Ludzie wykupują mąkę, cukier, sól. Jak przed wojną. Ostatnio po zakupy jeździłam na Zakuliczki. Mały wiejski sklep, a wszystko, co trzeba, dostałam. Nawet podgardlanekę. Trzymaj talerz. Nie wyjdę, dopóki nie zjesz.

– Co u ojca? – Ewa zmieniła temat. Zlizwała musztardę z salcesonu. Reszty nie tknęła.

– Spotyka się. Od niedawna w każdej wolnej chwili. – Renata pociągnęła nosem. Zaczynał się sezon na jesienne przeziębienia. Może nie zachoruje? W połowie września przestała śpiewać na chórze. I całe szczęście. Już wczesną jesienią u Świętego Wawrzyńca robiło się zimno jak na dnie Boli. Ale nie powiedziała o tym Ewie. Nie wspomniała też, że od ponad dwóch tygodni na organach gra przygłuchy pan Makulec. Że Paweł zniknął.

– Ojciec spotyka się? – zdziwiła się Ewa. – Wciąż z...

– Tak, z Maciejewską. I z jej psem. Chodzą nad rzekę przez łąki za szkołą.

– Myślisz, że lubi dyrektorkę? – zapytała Ewa.

– Przecież jest grabarzem – parsknęła Renata. – A ona wygląda jak trup.

Po raz pierwszy od dawna Ewa się uśmiechnęła.

W drzwiach kuchni pojawiła się Helena. Jeszcze w filcowym kapeluszu, jeszcze z czarną apaszką na szyi i w wysokich sznurowanych botkach.

Renata stała, Ewa wstała.

– Siedź, dziecko. Popatrz, co kupiłam u Kawczyńskiej. Spod lady. Nie uchowają się do Bożego Narodzenia nawet na werandzie, więc teraz jedz. Witaminy. Samo zdrowie.

Helena położyła na stół siatkę, z której wysypały się blade pomarańcze.

– Dojdą w słońcu na parapecie.

Ewa położyła dłoń na ustach i wybiegła z kuchni.

Sędzina zaniepokojona pokręciła głową.

– To trwa od jej wyjścia z klasztoru. – Podniosła przewrócony taboret i usiadła na nim. – Jakby chciała dziecko zwymiotować. – Helena zzuła buty, rozwiązała apaszkę i zdjęła kapelusz.

Starsza Mazurkówna sięgnęła po pomarańczę. Powąchała owoc.

– Skąd pani wie, że tylko dziecko?

– Nie wiem. Nic już nie wiem.

2.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, dlaczego mój mąż powiedział panu, że wraca dzisiaj. Będzie w domu najwcześniej za tydzień. – Hanka Górską-Karp stała w drzwiach i przyglądała się gościowi. „Czego chce od Benka? Jakie ma z nim sprawy?”

Wysoki. Przed pięćdziesiątką. Ubrany w ciemnoszarą jesionkę. Pod nią stalowa marynarka i szara koszula. Pod szyją siwoniebieska mucha w drobne prążki. W dłoni wypchana skórzana aktówka. Obok prawej nogi pękata walizka.

Hanka widziała tego mężczyznę kilka razy. Przez okno w kuchni. „Pan Przecinek”, pomyślała, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy w połowie sierpnia. Już po ślubie z Benkiem, a jeszcze przed podróżą poślubną do Sopotu.

„Doktor Opolski”, powiedział Benek, który zauważył wzrok Hanki wbijający się w długą przygarbioną sylwetkę na końcu chodnika.

„Uratował mi kiedyś dupę”, dodał Karp.

Gdyby zapytała, w jaki sposób, dowiedziałyby się, że ojciec Benka zamknął go w Niedorośli. Na wyraźne żądanie magistra Cieślaka, który nakrył swojego syna Dyzia w łóżku z Benkiem. „Zboczeńca trzeba wyleczyć. Pedalską zarazę wytrzebić”, powiedział Karp, trzaskając drzwiami oddziału dla mężczyzn niebudzonych, na którym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, zaraz po ukończeniu studiów, doktor Opolski rozpoczął pracę.

Gdyby zapytała, Benek powiedziałby, że po czterech tygodniach rozmów indywidualnych i farmakoterapii Tadeusz wbrew temu, co zalecały podręczniki do psychiatrii, opinia publiczna, Kościół i sąsiedzi, przestał szpikować siedemnastoletniego chłopca prochami. Po tym, jak chłopiec zapytał doktora: „Własnych synów też by pan zamknął w wariatkowie, jakby byli pedałami? Ma pan ich dwóch, co nie? Więc zawsze może się trafić. Wmówiłby im pan, że są nienormalni, jakby byli normalni, tylko lubili robić to inaczej? No, doktorze?”.

Opolski przez kolejne cztery tygodnie myślał. Samodzielnie. Bez pomocy fachowej literatury i bez wsparcia kolegów z doświadczeniem. „Jak mnie doktor stąd wypuści, do końca życia będę wdzięczny”, obiecał Benek.

Gdyby zapytała, dowiedziałyby się również, że po trzech miesiącach Opolski wypuścił Karpia z zakładu z wypisem: „Całkowicie wyleczony”, Karp zaś rok później z czystymi papierami zrobił maturę i rozpoczął naukę w szkole morskiej od szorowania pokładów na „Darze Pomorza”.

Hanka jednak o nic nie zapytała, tylko zza firanki śledziła rzadkie marszruty doktora Opolskiego przez podwórko. Mijał śmietnik i trzepak. Szedł wzdłuż placu zabaw. Kiedyś w jego centrum znajdowała się piaskownica, dziś łacha piachu, w której załatwiały się wszystkie koty z osiedla Gromada.

Czasem zamieniał parę słów z dozorcą Drewienką, ścisnął jego dłoń, klepał po ramieniu, po chwili zmykał na klatkę schodową i szybkim, energicznym krokiem wchodził na piętro.

Zdarzało się, że doktor rozmawiał pod starą akacją z wariatką od szciekającego wciąż psa. Wariatkę częstował dropsami, a psa głaskał po łbie (według Hanki powinien robić odwrotnie).

Innym razem zatrzymywał się przed blokiem, tuż pod oknami Hanki, patrzył w okna swojego mieszkania, a później zamykał oczy.

Ostatnio prawie w ogóle nie pokazywał się na Rewolucji Październikowej.

Ale teraz stał przed Hanką.

– „Mój mąż”? To znaczy pani mąż? Benek? – Mężczyzna nawet nie próbował ukryć zdziwienia.

Zaskoczenia? Współczucia? Niedowierzania?

„Co za różnica czego?”, pomyślała Hanka, która po marcowych wydarzeniach straciła ochotę na zabawę w rozpoznawanie ludzkich uczuć, emocji oraz intencji. Może to kwestia ciąży (teraz: siódmy miesiąc), może doboru lektur (teraz: *Pogańskie życie* Jacques'a Perry'ego), może przedślubnego kontraktu z Benkiem (żadnej polityki pod tym dachem, Haniuta, żadnej polityki). A może zmienił ją wyjazd z Warszawy. I to, że Hance przestało zależeć. Na Polsce. W najbliższym czasie nie spodziewała się zmian innych niż te we

własnym ciele. Polsce wara od Górskiej. Nie. Już od pani Karp. Od marynarzowej Hanny Górskiej-Karp.

Ucięła kontakt ze wszystkimi, którzy mogli ją znać ze stołecznych czasów i coś o niej wiedzieć. Nawet z tymi, którzy jej pomogli. Po dwóch dobach na dołku, po kilku przesłuchaniach przyznała się, że tylko nosiła transparenty, tak jak wszyscy, i krzyczała to, co wszyscy. Wypuszczono ją. Ustalono, że była pionkiem w bezprawnych strukturach. Wyrzucono jednak z uczelni. Zmuszono do wyprowadzki z komunalnego mieszkania. Przez dwa miesiące, do śmierci matki, tułała się po mieszkaniach warszawskich znajomych. Do tych znajomych również się nie odzywała.

Teraz, po raz pierwszy od długiego czasu, w życiu Hanka zapanowały bezpieczeństwo i porządek. Cisza i ciepło. Stała temperatura. Stały dostęp do światła. Stały filtr tlenu. Jak w akwarium, którym troskliwie opiekował się Benek.

– Mój mąż. Przecież nie pana – potwierdziła. – Chyba że czegoś nie wiem.

– Tadeusz Opolski. – Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę Hanka. – Sąsiad Karpi.

Hanka otworzyła szeroko drzwi. Dziecko w jej brzuchu poruszyło się jak święty Jan Chrzciciel podczas nawiedzenia świętej Elżbiety.

– Więc Benek ma żonę? – Tadeusz patrzył na kobietę. Okrągła, dziecięca twarz bez śladu makijażu. Mocne okulary.

– Od dwóch miesięcy. – Zaprosiła mężczyznę gestem ręki do środka. – Dwa miesiące temu pobraliśmy się z Benkiem. Proszę wejść.

Tadeusz Opolski zawahał się. W głębi mieszkania szumiała woda w łazience.

– Nie chcę przeszkadzać – odpowiedział.

– Nie chcę namawiać. – Na twarzy Hanka pojawił się grymas bólu. Straciła równowagę. Oparła się o ścianę. Chwyciła brzuch od dołu.

Opolski podtrzymał kobietę.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nie jestem specjalistą od nagłych porodów. Od żadnych, właściwie, porodów nie jestem specjalistą.

– To czasem się zdarza. Proszę mi pomóc. Chcę tam, do pokoju.

Tadeusz zrobił to, o co poprosiła. Posadził kobietę na krześle przy stole. Nie chciała się położyć ani na szeszlony, ani na sofie. Ujął rękę żony Benka. Wyszukał tętnicę.

– Puls przyśpieszony – powiedział.

Kobieta oddychała głęboko z rękoma równo ułożonymi na stole.

Obok kryształowego wazonu, pod bukietem osypujących się astrów, leżało różowe otwarte etui. Doktor dostrzegł w nim plik dokumentów.

– Już mi lepiej. Proszę, niech pan usiądzie. – Żona Karpią wskazała miejsce naprzeciwko.

– Ja tylko na chwilę. W sprawie... Proszę powtórzyć Benkowi... – Tadeusz stał na środku pokoju. – Proszę powtórzyć mężowi, że...

– Niech pan zdejmie płaszcz. I usiądzie.

Opolski dopiero teraz rozejrzał się po pokoju. Ostatni raz był tutaj w lutym, po powrocie Benka z rejsu na Kubę. Zauważył, że zmieniło się obicie mebli – z brudnoszarego na jasnobłękitne. Zniknął też fallus z drewna. Doktor zazwyczaj wieszał na nim płaszcz, marynarkę lub szpitalny fartuch. Zależy, w czym zjawił się u Benka. Teraz nie wiedział, co zrobić z jesionką.

– Pana walizka została przed drzwiami – Hanka przypomniała doktorowi. – Może pan wniesie? Nigdy nic nie wiadomo. Ja po przyjeździe do Bolegoszczy swojej szukałam przez dwa tygodnie.

– Nie była tu pani wcześniej?

– Ani razu.

– To ładne miasto – powiedział Tadeusz.

– Tylko w nocy i na pocztówkach – mruknęła Hanka. – Zakręcę wodę w łazience i zrobię herbaty.

Zanim Tadeusz zdążył powiedzieć, że dziękuje, że się śpieszy, że innym razem, że walizka poczeka na korytarzu, i tak nie ma w niej nic cennego, tylko kilka książek, dwa garnitury, eleganckie buty, krawat, cztery świeże koszule, dwie muchy, bielizna, pidżama, grzebień, krem do golenia, pędzel, brzytwa, pasta i szczotka do zębów, pumeks do pięt, nożyczki do paznokci, kamizelka z kożucha (ta od starej Mielnickiej), ciepłe kapcie, żona Benka podniosła się i ruszyła w głąb mieszkania.

Słyszał, jak krząta się w kuchni. Jak nalewa wodę do czajnika. Jak zapala gaz. Jak rozrywa opakowania może krakersów, może wafelków, może biszkoptów. U Benka nigdy nie brakowało słodko-słonych przekąsek i herbaty pachnącej hinduskim słońcem.

Opolski zerknął na zegarek. Powinien zdążyć na pociąg do Warszawy. Na ten o dwunastej czterdzieści osiem. Konferencja lekarzy psychiatrów zaczynała się wprawdzie jutro w południe, on jednak – jak zwykle – wolał zjawić się na miejscu wcześniej. Nie tolerował spóźnień tak jak zdrady małżeńskiej.

„Wypiję herbatę”, pomyślał, „i dojadę na dworzec jedenastką”.

Zdjął płaszcz.

Znowu spojrzał na różowe etui. Odruchowo sięgnął po wystający z niego dokument. Kennkarta. Wystawiona na Krystynę Lipińską zamieszkałą przy Różanej 12.

Dopiero teraz usiadł. Z wrażenia.

– Słodzi pan? Czym?

Hanka podała na tacy herbatę, miód, cukier, cytrynę i pokrojony na drobne prostokąty czekoladowy wafel.

– Krystyna Lip... Kto to taki? – Opolski zapytał drżącym głosem.

Górska-Karp rozstawiła filiżanki.

– Lubi pan szperać w cudzych rzeczach? Moja matka. I nie moja matka. – Usiadła naprzeciw doktora. Sięgnęła po wafelek. Gryzła go szybko, łapczywie. Popiła gorącą herbatą.

– Nie rozumiem – odpowiedział doktor.

– Ja też. Niech pan spojrzy tutaj. – Hanka wyjęła z etui kolejny papier.

Opolski w milczeniu analizował dokument. Notarialny akt darowizny. Krystyna Berger, niezamężna, córka Arona i Sary Berger z Rulenbaumów, urodzona piętnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, na mocy dokumentu z dnia dwudziestego ósmego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku stała się właścicielką kamienicy przy ulicy Kapelańskiej 43 w Bolegoszczy.

– W tym budynku jest teraz... – Opolski drapał się po czole.

– Tego budynku już nie ma. Nie istnieje. A przedwojenna Kapelańska...

– ...to dzisiejsza Lenina – przypomniał sobie doktor.

– Właśnie. Krystyna Lipińska czy Krystyna Berger? To jeszcze nie wszystko. Co pan na to? – Hanka wyjęła z różowego etui sfatygowany dowód osobisty. Podała Opolskiemu. – To też jest moja matka.

Tadeusz niepewnie obracał dokument w dłoni. Nie wiedział, czy może go przejrzeć.

Kobieta skinęła głową.

Opolski przeczytał:

Nazwisko: Górska

Imię: Krystyna

Nazwisko panieńskie: Majewicz

Wzrost: średni

Kolor oczu: zielone

Znaki szczególne: brak

Imię ojca: Andrzej

Imię matki: Stefania z d. Dębska

Data urodzenia: 10 kwietnia 1916

Miejsce urodzenia: Bolegoszcz

Stan cywilny: wdowa

Zawód: bibliotekarka

Organ wydający dowód: KDz MO Warszawa Śródmieście

Data wydania: 4 listopada 1955

– Nigdy mi o tym nie powiedziała. Trzy dokumenty. Trzy nazwiska. Trzy rodowody. – Hanka wypła herbatę. – Mało mówiła o sobie. O ojcu wcale. Po nim nie zostały żadne papiery.

Opolski pocierał dłonią brodę.

– Dlaczego mi to pani pokazuje?

– Benek wspominał, że pan potrafi znaleźć rozwiązanie w każdej trudnej sytuacji.

– To zaszczyt dla mnie, ale... – Opolski poprawił muszkę, wyprostował przygarbione plecy. – Ale...

– Chciałam ustalić kilka faktów.

– Z całym szacunkiem, nie mam pojęcia o interesujących panią faktach.

Hanka podsunęła w stronę doktora talerz z wafłami.

– Jaką historię powinnam wymyślić dla swojego dziecka? Co opowiedzieć mu o jego dziadkach, których nigdy nie pozna?

Hanka patrzyła prosto w oczy Tadeuszowi. Ten poczuł dreszcze na karku.

– Nic o nich nie wiem – dodała.

– Ale naprawdę...

– Jakie imię nosił mój ojciec? Abraham, Izaak, Jakub? Na pewno nie Karol. A nazwisko? Bo przecież ani Lipiński, ani Górski. Jak zginął? W okopach, w komorze gazowej, w schronie przeciwlotniczym? A może żyje? Może ocalał i jest producentem cygar w Ameryce Południowej? Może wypasa krowy w Teksasie? Może buduje kibuce w Izraelu? Gdzie szukać prawdy o nim? O mojej matce? Lipińskiej, Berger, Górskiej? A ja? Kim jestem ja?

– Nie wiem – odpowiedział Tadeusz. – To trudna sytuacja. Najważniejsze – zawahał się – że pani dziecko będzie znało swojego ojca.

– Czystej krwi goj – zakpiła Hanka.

– Proszę mnie posłuchać. Przeszłość jest bez znaczenia. – Opolski podniósł się. – Niech pani o niej nie myśli. Co było, minęło. Nie wróci. Rany się zabiły. Blizny zbladły. Nie warto.

Poczuł parcie na pęcherz. I ból w okolicy prostaty. Jak zwykle w chwilach napięcia.

– Mógłbym skorzystać z toalety? – zapytał.

– Nie. Awaria spłuczki. – Hanka muskała dłonią usta. – Moja matka, zanim umarła, powiedziała, że muszę znaleźć człowieka, który jej pomógł. Który ocalił jej życie. I moje. Odebrał poród. W kawiarni. Gdzieś w centrum Bolegoszczy. W marcu czterdziestego czwartego. Podobno powiedział: „Masz córkę. To piękna Hanna”. Chcę znaleźć tego, który dał mi imię.

– Po co?

– On będzie wiedział, co stało się z moim ojcem.

– Obawiam się – Tadeusz zapiął płaszcz – że to niemożliwe.

*

To niemożliwe, żeby przeszłość wracała i uderzała w teraźniejszość, tak jak Rysiek Mielnicki w Żyda na strychu. Boleśnie. Cios za ciosem. „Ile minęło od tamtego wydarzenia? Dwadzieścia cztery lata? Dwadzieścia pięć?”

Ordynator Niedorośli wyszedł pośpiesznie z bloku. Chciał co prędzej zaczerpnąć świeżego powietrza, a później jedenastką dojechać na dworzec. Wsiadł jednak w siódmkę. Przycupnął na wolnym miejscu, tuż przy drzwiach.

Oparł głowę o szybę, za którą przesuwwały się: ulice, chodniki, sklepy, witryny, dorośli, dzieci, samochody, wozy, wózki, rowery, szkoły, kościoły, domy, drzewa, psy, trawniki, śmietniki.

„Dokładnie dwadzieścia cztery lata i osiem miesięcy temu”.

Opolski detal po detalu odtwarzał scenę śmierci Karola Lipińskiego. O tym, że odebrał poród jego żony; że nadał imię nowo narodzonej dziewczynce; że zostawił jej matkę na zapleczu kawiarni pod opieką żony właściciela, zapomniał. Zapomniał, gdyż był przekonany, że żydowska kobieta z noworodkiem nie doczeka kolejnego dnia.

– Słucham? – zapytał.

– To nie do pana.

Dwie dzierlatki, siedzące przed doktorem, rozprawiły głośno o Tadziku. Ta w motocyklowej wiatrówce z nylonu opowiadała, że Tadzik wysłał jej bukiet kwiatów z bilecikiem napisanym na maszynie. „To ja mu na to odpisałam, że cham z niego, prostak i wieś mu się nosem ulewa. Czy on, Henia, nie wie, że takie rzeczy to się ręcznie pisze? Czytałam o tym, wiem. A kwiaty kobiecie trzeba posyłać pocztą, a nie przez gówniarza za pięć złotych. Dobrze mu napisałam, Henia, prawda, że dobrze?” Henia w jasnym trenczu ze stójką sięgnęła po chusteczkę, wydmuchała nos i skwitowała: „Cięża jesteś”.

– Jak cmentarne chryzantemy – mruknął doktor.

Na skrzyżowaniu ulicy Lenina (dawniej Kapelańskiej) z ulicą Kościelną (dawniej też Kościelną) do autobusu wsiadła otyła kobieta o kulach. Stała nad ordynatorem. Sapała. Dyszała. Chuchała.

– Mam papier – powiedziała wreszcie.

Doktor nie zareagował. Poczował smród wodoodpornego lakieru do włosów i obojętność.

Dzierlatki zamilkły. Wyczuły aferę.

Gruba pasażerka wyjęła ze skajowej torebki dokument, który podsunęła Opolskiemu pod sam nos.

Doktor spojrzał najpierw na pismo z pieczętką, a następnie na jego właścicielkę.

– Ma pani papier? – Opolski wzruszył ramionami. – I co z tego?
Karol Lipiński też miał papier.

– Nie znam żadnego Lipińskiego – odpowiedziała kobieta i szturchnęła doktora kulą.

– Papiery kłamią. – Tadeusz odsunął się od namolnej pasażerki.

– Na kalectwo drugiej grupy to jest dowód. Mój papier jest prawdziwy. Pan popatrz.

Opolski popatrzył.

W okno.

Za oknem: piekło, niebo, ziemia.

– Pan nie udaje wariata. Pan usiadł na miejscu dla inwalidów. Pan ustąpi, bo zawołam, kogo trzeba.

Opolski siedział.

Dzierlatki chichotały.

Kobieta krzyczała. Wzywała milicję obywatelską, kierowcę i sprawiedliwość Bożą. Nikt nie przybył jej na pomoc. Wreszcie użyła argumentu ostatecznego: „Żeby ci kulas dupę przetrącił, a w krzyżu połamało!”.

Doktor usłyszał „kutas” zamiast „kulas”. Mowę mu odebrało, ale nie władzę w nogach. Podniósł się, dźwignął walizkę i wysiadł na najbliższym przystanku.

– Myślisz, że co ja jestem? Przystanek autobusowy? – Hanka patrzyła na Pawła Opolskiego, który wycierał włosy w biały puchaty ręcznik. Takim samym ręcznikiem, tylko większym, przewiązał się w pasie.

Zanim wyszedł z łazienki, zdołała złożyć dokumenty. „Świadectwa historycznych kłamstw”. Czuła, że rośnie w niej wściekłość.

Nie, nie zrobi tego swojemu dziecku. W papierach dziecka wszystko będzie się zgadzało. I ojciec, i matka. Żadnych formalnych wątpliwości związanych z pochodzeniem. „Jestem żoną Karpia”, powtórzyła w duchu z całą mocą. „To on mnie przygarnął, nakarmił i potraktował jak własną siostrę”.

Paweł rzucił ręcznik na podłogę. Wąchał dłonie. Miał nadzieję, że nie pozostał na nich jakkolwiek zapach Benka.

– Czego chciał mój stary?

– Tego co ty. Najpierw mnie przelecieć, a później wziąć kąpiel.

Paweł się spieszył. Przecież nie tylko tego chciał od Hanki. Chciał odzyskać wspólną przeszłość i zaplanować wspólną przyszłość.

– A tak naprawdę?

– Ma jakieś sprawy z Benkiem. Nie wiem. Myślisz, że jestem jak przystanek? – Hanka powtórzyła pytanie.

– Raczej jak autobus – odpowiedział Paweł, zauważył grymas na twarzy kobiety – który wiezie ważnego pasażera – dodał.

Położył dłoń na jej brzuchu.

– Przestań. – Hanka strąciła rękę Pawła. Dość miała jego dotyków i planów na przyszłość z rozwodem w roli głównej. Z podwójnym rozwodem. – Wydaje ci się, że możesz przeczekać tutaj swoje małżeństwo i poczekać na koniec mojego? – zapytała.

– Właśnie tak. Wszystko, co zaszło, to tylko chwilowe komplikacje.

– Twoja żona i twoje dziecko to „tylko chwilowe komplikacje”?

– Hanka, ale ja Ewki nie...

– Nieważne. Jest twoją żoną.

– Tak jak Benek twoim mężem. To wszystko błaga!

Hanka podniosła się i włożyła saszetkę do szuflady sekretarzyka.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wyskrobałam?

O to nie zapytał. I nigdy nie zamierzał pytać. Był przekonany, że ocaliła dziecko z miłości do niego.

– Przegapiłam właściwy moment. Kiedy podjęłam decyzję, okazało się, że jest już za późno.

Paweł odsunął się od Hanki. Spodnie. Skarpety. Koszula. Kamizelka. Tak. Wyjdzie stąd i ochłonie. Hanka również. Zły nastrój minie jej za kilka dni. Na pewno. Wtedy Paweł znowu wróci do rozmowy oraz do gorącego, pękatego ciała Hanki.

Teraz włoży buty i wyjdzie. Na dzisiaj koniec z pytaniami. Gdzie są buty? Tutaj. Znowu? Znowu ze splątanymi sznurówkami? Z supłami? Z węzłami? Paweł szarpał się z nimi długą chwilę, wreszcie zaklął „kurwa!” i cisnął butem o ścianę. Afrykańska maska huknęła o podłogę.

– Twoja sprawa, dlaczego się nie wyskrobałaś. Chcę wiedzieć coś innego. Dlaczego wyszłaś za Benka? – wypalił Paweł, który od trzech tygodni kombinował, jak sformułować to niezręczne pytanie.

Dwadzieścia jeden dni temu wpadł na Rewolucji Październikowej pochwalić się Barbarze, że zdał poprawkę w Warszawie. Nie miał pojęcia, jak mu się to udało. Bez żadnych komplikacji, bez żadnych dodatkowych pism czy podań, oprócz jednej prośby.

Ledwie pożegnał się z Barbarą, usłyszał rumor na parterze. Karp wnosił walizki sprzed klatki do domu, Hanka grzebała w torbie. „To ty? Co ty tutaj robisz?“, zapytał Paweł. Stał, gapił się i nie mógł uwierzyć. „Wracam z podróży poślubnej“, odrzekła Hanka. Poprawiła beret na głowie. Rozpięła krótki rozkloszowany płaszcz. Pod sukienką w szkocką kratę pysznił się okrągły brzuch.

Paweł zgłupiał.

„To moje?“, zdążył zapytać szeptem, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Z góry zbiegł jazgoczący jamnik Czeczotowej. Szczekał na Pawła. Czeczotowa zbiegła za gnojkiem i również się rozdarła. Na Pawła, nie na psa. Że co stoi tak na środku klatki jak święty, cholera, turecki. Jeszcze go Fafik z latarnią pomyli i oszcza, dopiero będzie awantura!

Przy Hance wyrósł Benek. Nie zwrócił uwagi na Pawła. Nawet na niego nie spojrzał. Otworzył szeroko drzwi, otoczył żonę ramieniem i zniknął razem z nią w głębi mieszkania.

Opolski wciąż tkwił na klatce schodowej.

Pies i Czeczotowa ujadali.

Paweł nie reagował. Czuł się tak, jakby los nafałdował mu przed samym nosem, a on właśnie wdepnął w odchody przeznaczenia.

– Dlaczego właśnie za Karpia? – powtórzył raz jeszcze pytanie, stojąc przed Hanką bez butów, w samych skarpetach.

– Nie było innych chętnych na dziecko ze spałowanej ciąży.

– W kwietniu. Byłem u ciebie w kwietniu. Nic nie powiedziałaś.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam.

– A on wie? Ten cały Karp, on wie, że urodzisz moją córkę?

Hanka wzruszyła ramionami.

– Skąd wiesz, że twoją, i skąd wiesz, że córkę?

Paweł walnął drugim butem o ścianę. Podszedł do Hanki. Położył prawą rękę na jej ramieniu. Lewą uniósł do góry głowę

dziewczyny.

– *Halach*. – Hanka oswobodziła się z uścisku Pawła. – Wedle starego prawa dziecko odziedziczy po mnie żydowską krew. Po mnie, nie po ojcu. Tylko matka jest pewna, zapamiętaj sobie.

Opolski zastygł w bezruchu.

– Idź już stąd. Nie przychodź więcej. Zajmij się swoimi studiami i Ewą. Nie zasłużyła na to, żebyś ją zdradzał. Nawet ze mną.

– Hanka, zostaw Benka. Gdybym wiedział, że ty... Wszystko się ułoży. Zobaczysz.

– Chyba nie rozumiałeś.

– Czego nie rozumiałem? – zapytał.

– Tego, że noszę w sobie małego Karpia. Karpia po żydowsku.

„To nie ja powinienem wyjawić ciężarnej Żydówce, co stało się z jej ojcem. Rysiek Mielnicki zna lepiej tę historię”, pomyślał Tadeusz Opolski.

Postawił walizkę na dziurawym trotuarze i rozejrzał się. Zmrużył oczy. Słońce grzało jak pod koniec sierpnia. Z brzoź, akacji, topoli i klonów sypały się żółte i czerwone liście. Część zielonych wciąż trzymała się mocno gałęzi.

Złota polska jesień.

„Dlaczego tylko polska?”

A nie na przykład żydowska, ukraińska, białoruska, niemiecka?

„Kto jesieni przypisał narodowy epitet? I dlaczego nazwał ją złotą?”

A nie na przykład słotną, depresyjną, melancholijną, zabójczą lub samobójczą?

„A dlaczego, durniu, ludzie kłamią? Nie mogłeś powiedzieć tej biednej dziewczynie prawdy? Dlaczego?”, doktor sfukał sam siebie. „Bo tak”.

Spostrzegł, że wysiadł z autobusu przy parku Przyjaźni.

Do odjazdu pociągu zostało jeszcze pół godziny.

Usiadł na ławce w parkowej alejce i wciągnął głęboko zapach... krwi, spoconego ciała i strachu. Przypomniawszy sobie lęk rodzącej Krystyny. Lęk o życie męża i dziecka. I własny strach też sobie przypomniał. Przed rodzącą kobietą, przed jej dzieckiem, przed

konsekwencjami, które ponosił z ponad dwudziestoletnim opóźnieniem.

„Dlaczego właśnie teraz?” Nie mógł w to uwierzyć. Banalne „bo tak” niczego nie tłumaczyło.

Siedział wyprostowany na ławce, z rękoma bezwładnie ułożonymi na udach.

– Palisz pan? – zapytał parkowy lump. Stał przed doktorem Opolskim w przepoconej marynarce włożonej na pożółkły podkoszulek. Na skroni świeży szew. Włosy czarne, bujne, falowane, bez cienia siwizny.

– Nie mam zapalek – odpowiedział Tadeusz.

– Ja nie o zapalki. Zapalki mam. – W dłoni lumpa mignęła tektura z napisem: ROLNIKU! KONTRAKTUJ CIELETA.

„Polaku! Kontraktuj Żydów!”, Opolski przypomniał sobie zdanie, które Mielnicki wypowiadał przed każdym polowaniem na bolegoskich strychach, w piwnicach, w mieszkaniach, w szafach, w murach i pod deskami podłóg. Szmalcownik! Tadek nie zadawałby się z nim w ogóle! Ale szmalcownik chodził z Opolskim na lekcje niemieckiego do profesor Kujawskiej. Poza tym Tadek musiał gdzieś kupować cukier, mąkę czy groch. Rysiek miał dostęp do wszystkiego.

Zanim zapisał się do milicji, próbował wprowadzić Opolskiego w szemrany półświatek. Później wymazał z pamięci szemraną przeszłość.

– Szluga tylko potrzebuję. Masz pan? – Moczygęba kiwał się przed doktorem.

– Nie palę – Opolski podniósł się z ławki.

– Dlaczego?

„Dlaczego?”

– Bo tak – odpowiedział.

Pijak chwiejnym krokiem ruszył w stronę pomników żołnierzy polskiego i radzieckiego.

Doktor spojrzął na walizkę stojącą przy ławce.

Należała do ojca Tadeusza. Gdzieś w środku, na podszewce, wciąż mienił się wyhaftowany na czerwono monogram.

J.O.

„Świadeństwo przynależności. Do ojca Jana, do dziada Juliana, do pradziada Józefa. Pewnie Jerzy miał dostać ją na pamiątkę po przodkach. Dziedzictwo. A gdybym musiał uciekać?”, pomyślał nagle Tadeusz. „Bez powrotu? Bez odwrotu?”

Wstał. Wcisnął aktówkę pod pachę. Ruszył w ślad za pijakiem.

Walizkę zostawił przy ławce.

Nawet się nie obejrzał.

Po kilkudziesięciu krokach przystanął.

„Takich garniturów, much, koszul i butów to ja nigdzie nie kupię. Szkoda zostawiać tak na pastwę losu”, pomyślał.

Odwrócił się.

Po walizce nie było śladu.

Zniknęła.

„Jasna cholera. Za kwadrans odjeżdża pociąg do Warszawy”. Trudno. Kupi koszulę i krawat w hotelu. A buty? Wypastuje. Całe szczęście, że schował do aktówki wykład.

Sprawdził, czy aby na pewno.

Zbladł.

„Zostawiłem go w Niedorośli, na pewno”.

3.

– Na pewno jest mi tutaj dobrze – powiedziała Barbara znad grządki. – Zacznę się martwić, jak się zrobi naprawdę zimno.

W październikowe popołudnie w Łączkach było prawie pusto. W rogu ogrodu dogasało ognisko.

– Początek października, a już po pierwszych przymrozkach. Nie wytrzymasz długo w tej budzie. – Alicja Mielnicka spojrzała na barak stojący nieopodal. Poprawiła na głowie wełnianą czapkę. – Zamarzniesz.

– Bez przesady.

– A Tadeusz? Zapytał cię, gdzie będziesz mieszkać?

– Uważasz, że na to zasługuję? Po tym, co mu zrobiłam? Po tym, z kim go zdradziłam?

– A co z meldunkiem? Gdybym mogła, zakwaterowałabym cię u siebie. – Alicja zapaliła papierosa.

– Czyli formalnie u Mielnickiego. – Barbara sięgnęła po sadzonkę. – To się nazywa, czekaj, ironia losu.

– Jak to załatwisz?

– Tadeusz mnie nie wymelduje, ale mieszkać z nim nie będę.

Alicja wypuszczała wysoko w powietrze papierosowy dym. Siedziała na leżaku otulona kocem, tuż przy wielkich pąkach przekwitającej róży. Nie miała pojęcia, czy to odmiana Ave Maria, czy Flora Danica.

Obserwowała, jak Opolska sadi krzaki malin. Odmianę silnie krzewiącą. Miarką zrobioną z kawałka prostego kija odmierzała w rzędzie dokładnie pół metra. Najpierw kopała dołek, następnie w sam jego środek wkładała roślinę. Ściółkowała glebę kompostem. Lekko ubijała ziemię. Na koniec podlewała.

– Po dzisiejszej rozprawie oddałam Tadeuszowi klucze od mieszkania na Rewolucji. – Barbara odstawiła konewkę.

– To naprawdę koniec?

– Naprawdę. Dzisiaj o dziewiątej trzydzieści sąd orzekł... – Barbara ściągnęła usta. – Tadeusz chciał, żeby poszło szybko. Bez orzekania o winie, chociaż to ja...

– Daj spokój.

– Przynajmniej masz to za sobą. – Mielnicka zaciągnęła się papierosem.

Marzyła, aby uwolnić się od Ryszarda.

Tymczasem on zgodził się na powrót Alicji do domu. Gotów był wybaczyć żonie brak pokory i przyjąć pod wspólny dach. Co za łaskawość. Alicja odmówiła. Wiedziała, co wydarzy się pod wspólnym dachem. Wolą mieszkać w służbowym pokoju w Niedorośli i uczyć angielskiego lekarzy i półwariatów. Z daleka od męża. Odrzuciła też propozycję wyjazdu do Warszawy. Ojciec miał swoje sprawy, a ona – po raz pierwszy w życiu – swoje.

– Popatrz. – Barbara uniosła w górę jeden z krzaków malin. – Jeśli posadzę go za głęboko, w najlepszym razie opóźnię rozwój pędów. W najgorszym – roślina obumrze.

– A jeśli za płytko? – zainteresowała się Alicja.

– Szyjka korzeniowa przemarźnie zimą.

– Więc?

– W sam raz wykopany dołek. I ściółka. Chroni przed erozją, mrozem, wysuszeniem gleby. Złoty środek, jakby powiedział Tadeusz. Złoty środek w kompostowej otulinie.

– Złoty środek... – powtórzyła. – Skąd ty to wszystko wiesz?

Barbara wzruszyła ramionami. Dziwiły ją zdziwienia Alicji. Przeczytała tyle książek, a nie znała się na prostych rzeczach. Takich jak: sadzenie drzew, krzewów i kwiatów; przycinanie drzew, krzewów i bylin; wybieranie przed zimą cebulek z gleby; przerywanie warzyw; wysiewanie poplonów na zieloną masę; walka z przedziorkami i pordzewiaczami.

Zupełnie, ale to zupełnie nie miała pojęcia o sztuce komponowania rabat. Kiedy w połowie sierpnia po raz pierwszy zjawiała się w ogrodzie Barbary, jęknęła tylko: „Jak w rajcu...”. Ujrzała różaneczniki wielkokwiatowe w towarzystwie jeżówki purpurowej i płomyków wiechowatych. Rabatę z cisem, tawułą chińską (Barbara ukradła ją benedyktynom z klasztornej ogrodu), orlikiem, zawilcem

ogrodowym i dzwonkiem kropkowanym. Pyszniące się na innej rabacie dalej, lilie i mieczyki. Równo skoszoną, gęstą trawę.

Barak (brzydki!) porośnięty od strony północno-wschodniej winobluszczem, a od południowo-zachodniej winoroślami. Za barakiem trzy jabłonie, dwie grusze i cztery śliwy, trzy mirabele, dwie czereśnie, trzy morwy białe i cztery czarne. Uprawna część działki wyglądała równie imponująco: dynie, pomidory, ogórki, buraki, ziemniaki, a nawet skorzonera i spokrewniona z nią salsefia.

Zachwycona Alicja zapytała tylko: „Mogę tu czasem przyjeżdżać?”.

Barbara kiwnęła głową, że tak, że proszę bardzo, że nie ma sprawy.

Mielnicka wrywała się do Łączek w każdy wtorek. We wtorki miała wolne. Nie dawała lekcji w szpitalu. Tutaj, między łączkowskimi drzewami i kwiatami, trzydzieści pięć minut podmiejskim autobusem od centrum Bolegoszczy, regenerowała siły. Nie myślała o tym, co za nią. Nie planowała tego, co przed nią. Syciła się widokami i zapachami.

Zastanawiała się, jak może odwdzińczyć się Opolskiej za jej gościnność.

We wrześniu Barbara poprosiła o kilka lekcji angielskiego.

„Wszystko od razu chwytasz. Masz świetną pamięć”, oceniła Mielnicka.

Barbara nie uwierzyła. Czyżby Alicja porównała ją właśnie ze „studentami” z Niedorośli? Czyżby zadrwiła z jej wieku i z błędów w wymowie?

Ależ skąd! Mielnicka mówiła zupełnie poważnie.

Opolska wkuwała więc najważniejsze rzeczowniki (nazwy drzew, krzewów, warzyw, owoców i kwiatów), czasowniki (rosnąć, podlewać, pielnić, kosić, sprzedawać) i przymiotniki (świeżo zerwany, wyśmienity, dojrzały, zdrowy, najlepszy). Od tego chciała zacząć.

Mielnicka w zamian za lekcje otrzymywała siatki pełne jabłek, gruszek i śliwek. Naręcza świeżych mieczyków, astrów i dalii. Słoiki z truskawkowymi konfiturami, agrestowymi dżemami i porzeczkowymi nalewkami.

Zaufanie między kobietami rosło. Wprawdzie długo i powoli, ale rosło.

Opolska obserwowała Mielnicką. Przyglądała się, jak w upalne dni Alicja wiąże na głowie cienką chustkę, na powieki kładzie liście babki lancetowatej i zastyga na leżaku. Mogła opalać się całymi godzinami, odsłaniając uda i ręce pokryte siatką drobnych blizn.

Mielnicka obserwowała Opolską. Widziała, jak Barbara dźwiga ze studni ciężkie konewki z wodą. Jak podlewa, pielę, wrywa, sadi. Wątpiła, żeby pół roku wcześniej w mieszkaniu Opolskiej krzątała się pani od sprząwania i gotowania. Nigdy nie spotkała osoby bardziej pracowitej niż Barbara.

W zależności od dnia, pogody i nastroju albo zazdrościła Barbarze (jak to jest być w ciąży?), albo litowała się nad nią (romans z Mielnickim? absurdalny pomysł), albo jej nie dowierzała (naprawdę nie ma matury?).

Obie kobiety unikały rozmów o prokuratorze, chociaż to właśnie dzięki niemu się spotkały. Jedna chciała o nim zapomnieć, druga wyzwolić się od niego.

– Skąd wiem, jak uprawiać ziemię? Po prostu wiem – odpowiedziała Barbara. Nie wspomniała o dzieciństwie i młodości na podbiałostockiej wsi.

– Szekspir w oryginale nie jest tak dobry jak twoje opowieści o ogrodnictwie.

– A właśnie. Szekspir. Znowu napisał. W oryginale.

Opolska opłukała ręce w wannie pełnej deszczówki. Zniknęła na chwilę w baraku. Po chwili pojawiła się z listem w dłoni. Podała go Mielnickiej i przysiadła na skraju skrzynki z narzędziami.

– Mogłabyś?

Alicja spojrzała na kopertę. W prawym górnym rogu znaczek z konturem Afryki. List adresowany do Tadeusza Opolskiego na Rewolucji Październikowej 26 m. 12. Nadawca: G. White.

– Otworzyłaś? – zapytała Alicja.

Opolska skinęła głową.

– Przecież to karalne. Nie będę tego czytać. – Alicja oddała list Barbarze.

Opolska ujęła szarobiałą kopertę w spierzchnięte, zniszczone ziemią dłonie. Przekładała go z ręki do ręki jak gorący kartofel.

Podeszła do ośmiu skrzynek wypełnionych marchwią, pietruszką, burakami, dyniami, jabłkami i gruszkami. W jednej z nich

znalazła dorodną antonówkę. Wytarła owoc w rękaw roboczej kufajki. Wgryzła się w kwaśny miąższ.

Milczała.

Patrzyła przed siebie. Ktoś w oddali, chyba Franek Nogacki, orał pole. Unosiło się nad nim stado wron i gawronów. Stałe klientki świeżo spulchnionego bufetu.

Barbara wyrzuciła ogryzek za ogrodzenie.

Kucnęła obok Alicji. Ciągle z kopertą w dłoni.

– Ten przyszedł wczoraj – powiedziała.

– Mogłaś go oddać Tadeuszowi. Nawet dzisiaj. – Alicja nie lubiła kwaśnych jabłek i wtrącania się w cudze sprawy.

– Wszystkie wcześniejsze oddałam. – Opolska grzbietem listu zdzierła grudy zaschniętej ziemi z kalosza. – G. White. Listy od niego przychodzą od prawie dwudziestu lat. Popatrz. – Znowu podała kopertę Alicji. – Bez adresu zwrotnego. Bez pełnego imienia.

– I co z tego? – Alicja zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

– Nigdy wcześniej nie zaglądałam do środka. Nigdy. Wiesz, co robił z tymi listami Tadek?

– A co miał robić?

– Przy sprzątaniu pani Janeczka, nasza gospodyni... Dzień dobry, panie Kraszewski! – Barbara krzyknęła w stronę przechodzącego drogą starszego mężczyzny. – Więc pani Janeczka wybierała podarte fragmenty listów G. White'a spomiędzy książek, regałów, spod dywanu. Znajdowała resztki papieru spalone w kuchennym zlewie albo w sedesie. Przeczytaj mi to, proszę.

– Sama przeczytaj – zdenerwowała się Alicja. – Uczyłam cię angielskiego, więc wiem, że...

– ...odmiana czasownika *to be* to chyba za mało, żeby zrozumieć Szekspira.

Alicja sięgnęła po kopertę. Ważyła ją w dłoni.

Na świeżo skopanej grządce malin pojawił się kos. Samiec. Czarnogranatowy, z żółtym dziobem i z intensywnie pomarańczową obwódka wokół oczu. Szukał pędraków, resztek korzeni i jagód, starych ziaren.

Mielnicka wyciągnęła z koperty całkiem zwyczajną kartkę.

– On albo ona – zaczęła tłumaczyć – nie jestem pewna, pisze, że niedługo zamierza odwiedzić was w Polsce.

– Nas?

– Nie nas. Was. – Alicja wskazała palcem na Barbarę. – To znaczy nie wiem kogo. Bo was już nie ma.

– Co jeszcze?

– Że czuje się lepiej. Że prawe płuco już bez śladów gruźlicy. Że pieniądze wysłał tą drogą co zawsze. Na koniec G. White pozdrawia i prosi o modlitwę w intencji R. Wciąż niedomaga po operacji wyrostka.

– R.? Kto to taki ten R.?

– A skąd mam wiedzieć? – Alicja wstała. – Zmarłam.

Barbara popatrzyła na tajemniczy list, podeszła do ogniska i wrzuciła go w sam środek dogasającego paleniska.

– No co? – odpowiedziała na nieme pytanie Mielnickiej. – Przecież Tadeusz zrobiłby to samo.

Pod ogrodzenie podjechał żuk. Wychylił się z niego brodaty mężczyzna w berecie.

– Pani Basiu, co dzisiaj do wzięcia?

– Te tutaj skrzynki, panie Waldku! – krzyknęła Opolska.

Pan Waldek pomaszerował po towar. Załadował go pod plandekę, odliczone pieniądze wręczył Opolskiej.

– A podrzuci nas pan do miasta? – zapytała. – Do centrum?

– Pięć minut zaczekam. Tyle, żeby zakurzyć – powiedział pan Waldek.

Alicja złożyła koc, zaniosiła go do baraku.

– Dostawa świeżych warzyw dla synowej? – zapytała.

– Na targ. Z czegoś muszę się utrzymywać, prawda? – Barbara podniosła z ziemi gracę i wrzuciła do skrzynki z narzędziami.

– Prawda. Ale niekoniecznie w ten sposób – stwierdziła Mielnicka.

– Kurwą, moja droga Alicjo, już byłam.

Tak jak narzeczoną i żoną z przeszłością.

Przeszłość.

Barbara załatwiła ją jednym ruchem.

Wystarczyło, że oddała Ewie swój „zaręczynowy” pierścionek ze szmaragdem, a przeszłość przestała męczyć obrazami.

Podczas zaręczyn Pawła w domu babki Heleny Opolska poczuła, że odżywa. Kiedy starszy syn wsunął na palec narzeczonej pamiątkę styczniowej nocy; kiedy w ten sposób został zażegnany strach przed nieślubnym wstydem; kiedy goście usiedli do rosółu z domowym makaronem, do pieczonej kaczki i kotletów schabowych z ziemniakami posypanymi koperkiem; kiedy popijali kompot rabarbarowy; kiedy pogryzali ciasto z kruszonką – Barbara po raz pierwszy od dwudziestu kilku lat włożyła na swój talerz kilka łyżek bigosu i... i zjadła ze smakiem.

Kolejną porcją bigosu zainauguowała nowy etap w życiu.

Bez drewnianej ręki na karku.

Bez strachu przed zapachem kapusty.

Bez Tadeusza.

Złożył pozew o rozwód, a ona przestała na niego czekać. Przestała o niego zabiegać. Nie zamierzała prosić, by wrócił. Zrobiła to raz. Odmówił. Oddała go Annie jak pierścionek Ewie. To, co ich łączyło i co zawsze będzie ich łączyć, to tajemnica poczęcia Pawła. Bolesny sekret, o którym oboje milczeli.

Tuż po cichych zaślubinach syna Barbara zaczęła wyprzedawać na targu swoją garderobę. Tę z czasów Mielnickiego. Jedwabne sukienki. Wełniane płaszcze. Włoskie szpilki. Ręcznie szyte torby. Sprzedała też kilka pierścionków i złoty łańcuszek (bez serduszka) od Tadeusza. Pieniądze odkładała na szarą godzinę. Wiedziała, że wkrótce z szarej zrobi się czarna.

Kiedy Barbara stwierdziła, że pan Waldek nie zawsze przyjeżdża do Łączek po umówione warzywa i owoce na targ, postanowiła zainwestować część gotówki w kurs prawa jazdy. Trwał tylko dwa miesiące. W ciągu dwóch miesięcy nauczyła się zasad ruchu drogowego, budowy silnika, prowadzenia pojazdu i podejmowania szybkich decyzji. W połowie szkolenia pan Gienek, instruktor, powiedział: „Jakbyś się, kobieto, z kierownicą w rękach urodziła. Może od razu machnij prawko na motocykl, co? Przecież to nie zaszkodzi”.

Nic a nic.

Tyle tylko, że Barbara musiała sprzedać resztę złota: obrączkę, serduszko (od Tadeusza) i łańcuszek z zegarkiem.

Trzy razy w tygodniu dosiadała czarnej wufemki i słuchała pochwał pana Gienka.

Przewoziła też powoli (autobusem) najważniejsze rzeczy do baraku w Łączkach. Kilka garnków, parę sztućców i talerzy, palnik gazowy, zapas świec, dwa koce, pierzynę i łóżko polowe. A także wiklinowy kosz z ciepłymi ciuchami. Na jego spodzie leżał kożuch po ojcu.

Coraz rzadziej wracała na noc do Bolegoszczy.

Paweł z Andrzejem próbowali wybić Barbarze z głowy wyprowadzkę. Starszy obiecał pomówić z ojcem. Młodszy niczego nie obiecywał. Obaj jednak mówili: „Przecież tak nie można. Mamo, nie wygłupiaj się”.

Na początku września do Łączek przyjechał Tadeusz. Lał deszcz. Wiał silny wiatr. Droga zamieniła się w błotnistą kałużę. Doktor z trudem podpierał syrenką pod samą furtkę.

„Nie wyrzuciłem cię z domu. I nie wyrzucę”, obiecał.

„A po rozwodzie?”, zapytała Barbara. „Jak będzie?”

Milczał.

Odwróciła się od męża. Ruszyła w głąb ogrodu.

Zapukała w maskę syrenki, gdy Tadek uruchamiał silnik.

Otworzył szybę.

Podąła mu koszyk malin.

„Dla mnie?”

Na jej ustach pojawił się uśmiech. Wietrzny. Deszczowy. Błotnisty.

„Posłuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. Gdybyś wiele lat temu nie zgłupiał, Paweł wychowywałby się bez ojca”.

„Wynajmę jakieś mieszkanie dla ciebie”.

Ona ułamała przekwitającą rudbekię spod płotu i wsunęła w mokre włosy.

„Nie masz innych zmartwień?”

A powinien mieć. Powinien.

Zaraz po ślubie Ewa przestała jeść. Wypijała raz dziennie trochę wody, czasem słabą kawę zbożową lub cieką herbatę bez cukru.

Helena na siłę wpychała w dziewczynę tarte jabłka, duszone warzywa, tłuczone ziemniaki z masłem i ze śmietaną, czasem rosół, ale bez mięsa.

Ewa z trudem przełykała posiłki. To, co przełknęła, zwracała.

– Postanowiła chyba się zagłodzić – Helena Opolska poinformowała w progu Barbarę w późne popołudnie ósmego października.

Spod domu na Mickiewicza z hałasem odjechał pan Waldek.

– Idź, Baśka, do niej. Może ty coś poradzisz.

Helena wzięła od Barbary siatkę świeżych warzyw i owoców.

– Marchew i jabłka przyniosłam. Na sok. Dzisiaj zbierane. – Barbara ściągała w holu zabłocone buty. – I kompot z truskawek. A dla pani nalewkę ze śliwek.

Helena łypnęła jednym okiem na ogorzałą twarz Barbary. Nigdy nie pozwoliła synowej mówić do siebie „mamo”. „Matkę już miałaś. Jedna wystarczy”, jasno określiła relację jeszcze w czterdziestym piątym. Ze zmianą – być może – pochopnej decyzji Helena wahała się w pięćdziesiątym szóstym, kiedy spróbowała Basinej smorodinówki, a także w sześćdziesiątym pierwszym, kiedy uznała, że tak wyśmienitego jarzębiaku jak ten, który zrobiła żona Tadeusza, nigdy nie kosztowała.

– Płaszcz zdejmij – poprosiła. – Powieszę.

– Może później. Ewa u siebie? – zapytała Barbara.

Nie czuła się swobodnie w domu na Mickiewicza. Jednak od ponad dwóch miesięcy odwiedzała Helenę i Ewę kilka razy w tygodniu.

– Jak zwykle. Siedzi zamknięta na górze – odpowiedziała sędzina. – Pójść z tobą?

– Nie trzeba. – Barbara weszła na strome schody.

– Baśka?

Barbara zatrzymała się między szóstym a siódmym stopniem ciekawości teściowej.

– Już po wszystkim, prawda? – zapytała Helena.

Barbara skinęła głową.

– A tak. Po wszystkim. Po małżeństwie.

– I co? – Stara Opolska tarła oczodół pod piracką opaską. Na nic zdały się jej modlitwy o ocalenie związku syna. Bóg, widać, miał na głowie ważniejsze sprawy niż dociśnięcie od dawna luzującego się węzła małżeńskiego Tadka i Baški.

– Oprócz Łączek sąd, to znaczy Tadeusz, pozwolił zatrzymać mi nazwisko.

Zastanawiała się, czy skorzystać z oferty byłego już męża.

– Głęb – parsknęła Helena.

– Za to miły. Po sprawie rozwodowej zaprosił mnie na kawę do Ciotki Agaty.

– Dureń! Zwariował dla głupiej pielęgniarki!

Barbara zostawiła na dole piekącą się teściową, która trzaskała kuchennymi szafkami w poszukiwaniu kieliszka na śliwovicę.

Na górze Opolska przystanęła. Rozejrzała się. Dwa pokoje. Dwoje zamkniętych drzwi. Przyłożyła ucho do pierwszych. Cisza. Przyłożyła ucho do drugich. Brzęczenie. Od dwóch miesięcy łagodne brzęczenie.

Barbara zapukała.

Ewa nie odpowiedziała.

Barbara weszła do środka.

Ewa nie poruszyła się.

Siedziała przy otwartym oknie, w długim wełnianym swetrze, z burzą nieuczesanych jasnych włosów. Na serdecznym palcu jej prawej dłoni błyszczała złota obrączka. Na serdecznym palcu lewej – pierścionek ze szmaragdem.

Barbara wyciągnęła z kieszeni płaszcz słoiczek.

– Przyniosłam ci miód.

Postawiła go przed dziewczyną.

Ewa ożywiła się. Sięgnęła po słoik. Zdjęła pokrywkę. Zanurzyła palec w gęstym, brunatnoczerwonym płynie.

– Wrzosowy – powiedziała, zlizując z palców słodycz. – Lepszy niż ten ostatni.

– Tamten był mniszkowy.

– Właśnie. – Ewa zajadała się mazią.

Barbara wiedziała, że to koniec wizyty. Że dwieście pięćdziesiąt gramów miodu wystarczy Ewie do czwartku. We czwartek Barbara

przybędzie z nową dostawą pszczelego dobra. Błogosławiła w duchu Kluczków, sąsiadów z Łączek, właścicieli pasieki. Gdyby nie oni, być może nastąpiłoby to, czego lękała się Helena – Ewa umarłaby z głodu.

– Słuchaj... – Matka Pawła dotknęła ramienia synowej. Ciało dziewczyny zeszywniało. Zadrżało. Proste słowa „córko” lub „dziecko” utknęły w krtani Barbary. – Wszystko będzie dobrze. Na pewno.

Zeszła na dół.

W holu czekała na nią stara Opolska.

– I co?

– Musi pani przywyknąć – odrzekła Barbara. – Do porodu nic się nie zmieni.

Włożyła buty. Zapięła płaszcz.

– A później? – Helena złożyła ręce jak do modlitwy.

– Później? Później to nie wiem.

– Nie wiem, jak mogę pani pomóc. – Dyrektor Wanda Maciejewska zamknęła okno. Po plecach ciągnął październikowy chłód.

Z boiska dobiegały okrzyki uczniów. Kibicowali kolegom ścigającym się na bieżni.

Ostatnie promienie słońca błyskały zza konarów wysokich topól.

Wanda Maciejewska usadowiła się za biurkiem.

Ostatni raz widziała Opolską na ślubie Pawła. W urzędzie stanu cywilnego. Barbara miała na sobie elegancki kostium, a na nogach białe szpilki. W dłoni trzymała białą kopertówkę. Na jej plecy sływały miedziane fale. Stała obok Tadeusza z wysoko podniesioną głową.

Doktor Opolski, w jasnym garniturze i z białą muchą pod szyją, trzymał żonę pod rękę.

„Piękna para”, pomyślała Maciejewska i zrobiła trzy kroki w stronę Franciszka Mazurka. Na więcej się nie odważyła.

I właśnie dzisiaj, trzy miesiące później, Barbara Opolska pojawiła się bez zapowiedzi w gabinecie dyrektorki. Nie usiadła. Nie skorzystała z propozycji kawy albo herbaty. Nie sięgnęła po herbatnika.

Maciejewska przyglądała się Opolskiej.

Gęste włosy ściągnięte w gładki kok. Na twarzy nowe piegi. Suche, spierzchnięte dłonie z krótko obciętymi paznokciami i resztkami ziemi przy poszarpanych skórkach. Zmęczone oczy bez czarnej kreski i tuszu. Bury płaszcz na ręku. W rajstopach, nad lewym kolanem, dziura i oczka. I te zabłocone buty. Szczyt jesiennego szyku.

Dyrektorka wiele razy życzyła sobie zobaczyć Opolską tutaj, w murach Synów Pułku, w roli matki zainteresowanej losem synów. Nie zobaczyła.

– Rok szkolny zaczął się pięć tygodni temu – powiedziała. – Obawiam się, że nie mogę przyjąć pani podania.

– W takim razie przepraszam. Zająłem tylko czas. – Barbara zabrała papier z biurka dyrektorki. Włożyła go do torby.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytała Maciejewska. – Dlaczego nie w zeszłym roku, pięć lat temu, a najlepiej dwadzieścia?

Opolska pocierała dłonią o dłoń. Powinna kupić w aptece najtańszy krem z lanoliną. I pęsetę. Pod jednym z paznokci utkwiała drzazga. Dokuczała Barbarze jak słowa Alicji. Tuż przed wyjazdem z Łączek Mielnicka stwierdziła: „Byłaś, moja droga, kurwą, ale bez matury. Kurwa z maturą ma znacznie więcej możliwości niż ta bez”.

– Co panią skłoniło, żeby...? – dodała dyrektorka.

– Zaraz po wojnie to inni chcieli, żebym się uczyła. Teściowa, mąż, nawet starszy syn. Teraz to ja chcę. Tylko ja.

Maciejewska wyciągnęła rękę w kierunku Opolskiej.

Barbara zawahała się. Wyjęła zmięty papier. Wręczyła dyrektorce.

Maciejewska pochyliła się nad podaniem Barbary.

– Początek lekcji jutro o szesnastej trzydzieści – powiedziała, podnosząc głowę. – W prawym skrzydle szkoły. Będzie pani musiała nadrobić zaległości.

– Nadrobię. Nigdy nie jest za późno.

– Nigdy nie jest za późno – powtórzyła Maciejewska.

I pomyślała, że powinna jeszcze dzisiaj odwiedzić Franciszka.

Nie ma na co czekać.

4.

– Na co pan czeka? – ordynator Niedorośli pośpieszył portiera Kanarka. – Dalej, za mną!

Na szpitalnym dziedzińcu spotkał Mielnicką. Zmierzała w stronę budynku dla pracowników.

Zatrzymał się. Pocałował kobietę w dłoń. Alicja zaczęła opowiadać, że właśnie wraca z Łączek, ale doktor przerwał jej. Wyjaśnił, że dziś jeszcze musi dojechać na konferencję do Warszawy, a z jego aktówki zniknął maszynopis wykładu. Nie, w gabinecie go nie znalazł. Co za dzień! Najpierw ktoś ukradł mu walizkę, a później ten wykład. Taka komplikacja. Taka komplikacja!

Portierowi Kanarkowi wydawało się, że pani od angielskiego chciała z Opolskim dłużej porozmawiać, lecz doktor ją zbył niedbałym „przepraszam”.

„To nie było grzeczne”, pomyślał Kanarek. Dźwigał za doktorem pudło z książkami. „Że niby jeszcze ten zaginiony wykład zdąży przygotować? Na jutro?”, dziwił się portier.

Właściwie nie powinien tego robić. Nie powinien pomagać ordynatorowi. Wciąż czuł złość. Złość? Nie. Wściekłość. Od ponad pół roku ordynator nie zwrócił Kanarkowi szwabskiego mantla. Przy każdej okazji tłumaczył portierowi, że nie odebrał go z pralni. Kawał porządnej szuby liniał teraz między obcymi rzeczami. Przechodził zapachem chemii. Nasiąkał opowieściami bez znaczenia. Kanarek czuł przez skórę, że jego szynel traci pamięć i godność. Przez lekkomyślność doktora wisiał teraz samotny wśród głupich żakietów z aksamitu, niemądrych spódnic z zamszu czy naiwnych sukienek z astrachanu. Co te wszystkie szmaty mogą wiedzieć o życiu? I o śmierci.

„Kwit zgubiłem”, usprawiedliwiał się za każdym razem ordynator.

Kanarek znał się na ludziach. Kwit, kwit. Jakby w jego łapy trafił historyczny płaszcz po Niemcu, też usprawiedliwiłby się zgubionym kwitem.

– Panie Kanarek, proszę, niech pan wrzuci to na tylne siedzenie. Od strony pasażera.

Doktor otworzył przed portierem drzwi syrenki.

„Pan wrzuci, pan wrzuci”, Kanarek przedrzeźniał w duchu Opolskiego. I wrzucił. Pudło puściło od dołu. Książki rozsypały się na wszystkie strony.

– Później się tym zajmę. Dziękuję.

Ordynator trzasnął otwieranymi pod wiatr drzwiami samochodu, zajął miejsce za kierownicą, włożył kluczyki do stacyjki i spróbował odpalić samochód.

Bez skutku.

Kanarek założył ręce i czekał. „Napina się, jakby nie srał od tygodnia”, stwierdził, patrząc na coraz bardziej czerwoną twarz Opolskiego. „Nawet za darmo nie chciałbym pierdziawki. Że niby taki dobry ten model 101”, pomyślał Kanarek o syrence.

To, czego chciał, to niemiecki płaszcz.

Tylko.

I może jednak pierdziawka doktora.

Za darmo.

– Nie ma nic za darmo, mały. – Kobieta rozpinęła guziki przy koszuli Andrzeja.

– Wyplata dopiero na koniec miesiąca – wyszeptał młodszy Opolski. Jego puls i oddech przyśpieszyły. – Jak trzeba, przyniosę pieniądze, ale dopiero w listopadzie.

– Myślisz, że ja to robię za pieniądze? – zaśmiała się. – Ależ ty głupi.

Kobieta czekała na Andrzeja dokładnie o dziewiętnastej piętnaście na skrzyżowaniu Wrońskiego z aleją Wojska Polskiego.

Wsiadła do czwórki. Andrzej za nią.

Wysiadła przed budynkiem partii. Andrzej za nią.

Wsunęła się na klatkę schodową. Andrzej za nią.

Weszła do mieszkania na drugim piętrze. Andrzej za nią.

W mieszkaniu unosił się zapach damskiej bielizny i duszących perfum.

– Na pewno nikt nie przyjdzie? – Młodszy Opolski rozejrzył się po małej sypialni, którą niemal w całości zajmowało małżeńskie łóżko. Tak szerokie widział po raz pierwszy. Jego starzy od lat spali oddzielnie na wąskich tapczanach. Adela Podyasek brała go na wysłużonej wersalce. Sam robił to gdziekolwiek.

– Na pewno.

Andrzej poczuł język kobiety na swoich sutkach.

I niżej.

Jęknął.

Zamknął oczy.

„Jakbym zamknął oczy”, pomyślał doktor Opolski o panującej wokół ciemności. Pomyślał też o kamizelce z kożucha, którą spakował do walizki. Do walizki pozostawionej w przypiływie melancholii obok ławki w parku Przyjaźni. „Najbardziej idiotyczna terapia wszech czasów. Co ja sobie wyobrażałem? Że się wyleczę z poczucia winy?” Doktor walnąłby się w łeb za karę, gdyby nie to, że już to zrobił, gdy wysiadł z auta, żeby sprawdzić, dlaczego znowu stanęło. Ordynator Niedorośli znał się na wnętrznościach syrenki tak jak właściciel warsztatu samochodowego na etiologii choroby alkoholowej i na jej leczeniu apomorfina.

Tadeusz zrobił dziesięć przysiadów. Wciąż zimno. Sklepał twarz, barki, ramiona, brzuch, uda. Ciągle zimno. Podskoczył kilka razy. Jeszcze zimniej.

Ale co z Barbarą? „Może zamarza w baraku w Łączkach?” Chwileczkę, chwileczkę. Baśka dziesięć godzin temu przestała być jego żoną, a on właśnie o niej? Właśnie teraz? „Bez przesady. Tak wybrała. Tego chciała. Że w Łączkach. Uparła się. Nie jestem już odpowiedzialny za swoją żonę. Za swoją byłą żonę. Trochę czasu upłynie, zanim się przyzwyczaję”.

Wsiadł do samochodu i po raz setny spróbował go uruchomić.

Nie uruchomił.

Sto pierwsza próba nie miała najmniejszego sensu.

„Co znowu? Gaźnik? Świece? Pompa paliwowa? Kopułka rozdzielacza? Szlag by to”.

Przecież dzień, który zaczął się tak dobrze, nie mógł skończyć się źle. Sędzia Roman Dolata orzekł rozwód Tadeusza i Barbary na

pierwszej rozprawie. „To ponura okazja, by gratulować”, powiedział w ustnym uzasadnieniu, „ale gratuluję. Rzadko zdarza się, by małżonkowie rozstawali się w zgodzie i w pełnym porozumieniu. W mojej praktyce”, wyznał, „trafia się to po raz pierwszy”. Sędzia Roman Dolata miał trzydzieści jeden lat, trzy lata praktyki i to, co najlepsze w zawodzie sędziego, dopiero przed sobą.

Udane przedpołudnie zwarzyło spotkanie Tadeusza z Hanką od Karpia. Wczesne popołudnie – incydent w autobusie. Walizka w parku, wiadomo. A także zaginiony tekst wykładu o psychodynamicznych teoriach motywacji i popędu seksualnego w ujęciu Zygmunta Freuda oraz o ich zastosowaniu w psychiatrycznej praktyce klinicznej na podstawie badań własnych. Badania własne Opolskiego dowodziły zawodności koncepcji Freuda. O tym właśnie zamierzał mówić na konferencji.

„Zawodność”, pomyślał Tadeusz. „Słowo klucz”.

Późnym popołudniem, kiedy dotarł syrenką do Niedorośli, aby w szpitalnym gabinecie odnaleźć maszynopis wykładu, był przekonany, że niedawno wyremontowane przez Świerszcza auto już go nie zawiedzie. Ludzie to co innego. Nie mógł ich kontrolować. Oprócz tych w zakładzie. Ledwie jednak ordynator spławił portiera Kanarka (w jakiej pralni zostawił jego płaszcz? w jakiej?!), ledwie wypyrczył kurołapem za Niedorośl, samochód zatrzymał się na środku drogi, kilka kilometrów przed Chodynem.

„Żadnego pożytku z gruchota. Żadnego”.

Próbował złapać okazję do miasta, lecz oprócz dwóch nieoświetlonych furmanek powożonych przez dwóch nietrzeźwych furmanów nic nie przejeżdżało.

Tadeusz oparł się o samochód.

Para z ust.

Z ust.

Poczuł, że chciałby się cofnąć w rozwoju do fazy oralnej. „Niech mnie ktoś nakarmi, napoi, przytuli. Niech ktoś się mną zaopiekuje”, westchnął i klepnął się w czoło. „Wiem, gdzie jest mój wykład. Wiem!”

W oddali zamajaczyły pierwsze od półtorej godziny światła samochodu.

„Ratunek!”

Opolski począł dawać znaki rękoma i krzyczeć.

„Chyba mnie zauważył”.

Przy Tadeuszu zatrzymała się warszawa.

Ktoś uchylił okno, strzepnął popiół z papierosa, charknął, splunął i na koniec wydał głos:

– Sierżant Waniorek. Milicja. Obywatel z zakładu spierdolił czy pierdolnięty jest tak w ogólności?

– Pomocy. Pomocy potrzebuję.

Andrzej tego właśnie potrzebował.

Szybkiego pierwszego razu, długiego drugiego razu i zapowiedzi trzeciego. Najdłuższego.

Kobieta zarzuciła na ramiona Andrzeja nogi z wypielęgowanymi stopami, z pomalowanymi na czerwono paznokciami, z wąskimi kostkami, ze szczupłymi łydkami.

– Jak ty właściwie masz na imię? – zapytał.

– Zapytam tylko – powiedział Tadeusz – o to, co zgubiłem, i wracam. Pan poczeka, panie sierżancie – poprosił. – Później pojedziemy do Świerszcza. Niech partacz poprawi to, czego nie naprawił.

Sierżant wyszedł z warszawy. Otworzył drzwi od strony doktora. Prawie zasalutował. W ciągu półgodzinnej podróży ordynator przywrócił Waniorkowi sens życia. Doradził mu, jak wykwaterować wraźną teściową z dwupokojowego mieszkania; jak sprawić, żeby żona Waniorka, która urodziła bliźniaki, wrzaskliwe klony samej siebie, przestała stękać, gdy wracał po piwie z Akwarium, i zamiast pretensji podawała mu najpierw golonkę na talerzu, a później gorącą, parującą dupę; dowiedział się też, jakich argumentów użyć, by synowie Waniorka trzymali gęby zamknięte na kłódki, kiedy sierżant ogląda mecz; a na koniec, wstydliva sprawa, Waniorek wyznał, że spotyka się z sąsiadką z trzeciego piętra. W wiadomych celach. „Moja stara to przedmuchana rura. Ale własna rura, więc jakoś nie bardzo chyba w porządku jest, że ja do Ludki chodzę”, podzielił się wątpliwością. „Pan nie zdradza konkretnej kobiety, sierżancie. Pan nie zdradza swojej żony”, odrzekł doktor. „Pan po prostu wielbi i adoruje kobiecość w każdym jej przejawie”. „No anioł, kurwa, nie człowiek”, myślał Waniorek.

Oparł się o warszawę.

Doktor zniknął w bramie.

Z sąsiedniej wyszło dwóch mężczyzn.

Obaj w kaloszach, z wędkami, z wiadrami, ze złożonymi siedzeniami turystycznymi przytroczonymi do plecaków, w ciepłych kurtkach na watolinie, jeden w pilotce, drugi w berecie.

„Na nocnego szczupaka idą”, pomyślał sierżant.

– Pan władza podzieli się ogniem? – zapytał jeden z nich.

Pewnie.

Palili we trzech.

W milczeniu.

Tadeusz w milczeniu wszedł do mieszkania. Najpierw zapukał, lecz nikt nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Anna powinna wrócić już ze szpitala. Chociaż niekoniecznie. Może wzięła za kogoś dyżur? To się zdarzało. Ostatnio coraz częściej.

„Skoro jednak wyszła, drzwi powinny być zamknięte”.

Zaniepokoił się.

Przechodząc przez pokój w amfiladzie, zerknął na stół. W szarej teczce przewiązanej czerwoną tasiemką leżał jego wykład. Poznał go z daleka. Odetchnął z ulgą. Włożył teczkę pod pachę i ruszył w stronę sypialni.

Zza uchylonych drzwi dobiegały jęki.

„Ktoś krzywdzi Annę!”

Zajrzał do środka.

W Annie Łoś-Niechciał urzędował jego syn Andrzej. Robił z nią to, co doktor również lubił z nią robić. Bardzo lubił. Wściekły trzasnął drzwiami. Framuga zadrżała. Z drzwi wypadła szyba.

– Tato? – usłyszał pytanie.

I chichot Anny Łoś-Niechciał.

– No? Który ma większego? – zanosila się śmiechem.

*

– Moja większa i dłuższa. – Mężczyzna w pilotce rozłożył swoją wędkę. Zamigalo żółte światło latarni. – Mierzy dokładnie cztery

metry dwadzieścia centymetrów. Pan władza popatrzy, że dłuższa od tej Janusza.

– Gównu warta – powiedział Janusz, wędkarz w berecie. – Tę swoją bambusową to se, Kostek, w nosie możesz pogmerać.

– Też masz bambusową!

– Ale żywcówkę. Pan patrzy, panie sierżancie. – Janusz w berecie machnął swoją wędką. – Bambus, prawda, że bambus, ale jaki potężny. O tu pan chwyci. Czuje pan, jaki obwód?

– Długość się liczy, nie obwód! – Kostek szturchnął Janusza.

– Spokojnie, obywatele – sierżant Waniorek huknął na cały głos.

Doktor Opolski huknął Andrzeja w pysk.

Anna Łoś-Niechciał pisnęła.

– Już ty się lepiej nie odzywaj – mruknął do niej Tadeusz.

Nagi syn stał przed ojcem.

Ojciec patrzył na nagość syna. Na jego przyrodzenie.

„Freud nigdy nie zbadał i nie opisał najważniejszego kompleksu”, pomyślał Tadeusz, próbując opanować agresję. „Kompleksu Lajosa”.

– Won – powiedział i wypchnął nagiego Andrzeja z mieszkania Anny.

Andrzej ubrał się między piętami.

Śpieszył się.

Nie zawiązał sznurówek butów.

Nie włożył skórzanej kurki.

Wybiegł przed bramę w lekkiej koszuli.

Zanim zdążył pomyśleć o tym, co właśnie zaszło między nim a ojcem, poczuł ostry haczyk wbijający się w jego plecy.

Obejrzał się za siebie.

Pod latarnią stało dwóch wędkarzy w towarzystwie milicjanta.

– Patrz, Kostek, jakiego szczupaka ułowiłem – zaśmiał się wędkarz w berecie. – Poznajesz pętaka? – zapytał.

– Co mam nie poznać. Pewno, że poznaję. To ta cipa znad rzeki. – Wędkarz w pilotce splunął.

Andrzej zerwał haczyk, żyłkę i podskoczył do Kostka.

– Możesz powtórzyć? – zapytał.

Milicjant wyprostował się gotów do interwencji.

– A mogę – powiedział Kostek w pilotce. – To ty żeś w marcu
zrzucił ze skarpy kobietę do Boli.

PIĄTY
1–2 stycznia 1969
(środa–czwartek)

1.

– Boli? Myślisz, że to go boli?

Benek Karp stał nad łóżeczkiem swojego syna. Lewa dłoń chłopca zaciskała się na palcu ojca, druga, przykurczona i zgięta w łokciu, spoczywała na miękkich śpiochach z bawełny, które Benek – wraz z kompletem zimowych rzeczy, z wózkiem, pościelą, zestawem butelek i najlepszego sztucznego mleka – przywiózł małemu z Hamburga.

– Doktor powiedział, że nie powinno – odrzekła Hanka. Póleżała na szeszlengu w dużym pokoju, wciąż obolała po cesarskim cięciu. Położyła dłoń na podbrzuszu. Znowu dawało znać o sobie. – Przynajmniej na razie. Dopóki nie zacznie rosnać.

Dziecko zaczęło kwilić.

– Myślisz, że jest głodny? – Benek spojrzał na Hankę.

Hanka uniosła się. Powinna zadbać o swoje dziecko. Powinna zluzować Benka, który od trzech tygodni z krótkimi przerwami na sen trwał na ojcowskiej wachcie. Powinna uporać się z lękiem, który pojawił się w chwili, gdy usłyszała od położnej w sali pooperacyjnej: „Syn! Zdaje się, że oprócz ręki wszystko ma zdrowe”. Jaki syn? Przecież Paweł twierdził, że urodzi córkę. I co z ręką dziecka? Znaczy: syna. Naprawdę syna?

„Jak damy mu na imię?”, zapytał Benek, kiedy Hanka wróciła z małym do domu. „Może po twoim ojcu?”

Może, gdyby Hanka wiedziała, jak naprawdę nazywał się jej ojciec.

„To już lepiej po twoim”, odpowiedziała.

Benek zacisnął usta. Po kutasie, który zamknął go w psychuszce? Nigdy.

„Leon”, zdecydował. „Nasz syn będzie miał na imię Leon. Przyda mu się kiedyś odwaga i siła lwa”. I pogłaskał dziecko po chromej rączce.

Osiem dni po porodzie Hanka zagorączkowała. Z rany po cesarskim cięciu zaczęła sączyć się ropa z krwią. Na dłoniach pojawiły się wybroczyny. Marynarzowa trafiła z powrotem do szpitala, tym razem z podejrzeniem zakażenia.

Leosia zostawiła pod opieką Benka. Wróciła do męża i syna dopiero przed Bożym Narodzeniem, z obrzmiałymi piersiami przewiązаныmi bandażem elastycznym i z raną po cięciu, która goiła się tak jak rana po rozstaniu z Pawłem – boleśnie. „Trzeba czasu”, Hanka pocieszała siebie w duchu. Wiedziała jednak, że po raz drugi i trzeci, i czwarty wyrzuciłaby Pawła z domu bez butów, gdyby żądał od niej rozwodu z Benkiem. „Arogant!”

Benek nigdy nie zapytał o to, kto jest ojcem Leosia.

On nie wtrącał się w przeszłość Hanki. Ona nie wtrącała się w jego teraźniejszość. Od czasu do czasu robił tak zwane wypadki. Wiedziała dokąd i w jakim celu.

Karp raz jeden tylko wspomniał o zawartości różowego etui, które znalazł w szufladzie sekretarzyka. „Żydówka?”, zapytał. „Na to wygląda”, odpowiedziała Hanka. „Bóg to wariat”, odrzekł Karp. „Kto przy zdrowych zmysłach pożeniłby pedała z Żydówką?”

Właśnie. Pedała.

Hanka pilnie obserwowała, jak Karp kąpie i przewija syna. We wszystkim, co robił z dzieckiem i przy dziecku, próbowała rozpoznać intencje męża. Kilka razy wzięła Karpia z zaskoczenia: weszła do łazienki bez pukania, kiedy kąpał syna. Benek polewał dłonią kształtną główkę Leosia i opowiadał mu o sztormach na Morzu Północnym, o ludziach z Madagaskaru, o mrozach we Władywostoku. Kilka razy zrobiła nalot podczas nocnych karmień. Benek z pustą butelką w dłoni, z otwartymi ustami, pochrapując i posapując, spał w fotelu tuż przy łóżeczku syna.

Ból po cesarskim cięciu odpuszczał razem ze strachem o dziecko.

– Nie wiem, czy jest głodny. Przecież jadł półtorej godziny temu... – powiedziała Hanka, podnosząc się z szezlonga.

– Zajmę się tym. – Benek zatrzymał żonę. – Będziesz miała co robić, kiedy w lutym znowu wypłynę.

Wyjął chłopca z łóżeczka, ułożył na ramieniu i ruszył do kuchni.

W rondlu z gorącą wodą grzało się już w szklanej butelce mleko. Benek wylał kroplę niemieckiej mieszanki na owłosione przedramię. Parzyła.

Pogłaskał syna po meszku na główce.

„Nieważne, kto cię zrobił”, pomyślał. „Ważne, kto cię nauczy pływać”.

Podszedł do okna.

Podwórko pokrywała gruba warstwa białego puchu. Termometr wskazywał minus dwadzieścia jeden stopni. Na osiedlu panowała cisza po sylwestrowej nocy.

Zapadał pierwszy w nowym roku zmierzch.

W ciągu trzydziestu jeden lat Bernard Karp przeżył więcej przykrych chwil niż miłych, widział więcej rzeczy złych niż dobrych, miał na sumieniu więcej brudnych czynów niż szlachetnych, wypowiedział więcej przekleństw niż eleganckich formuł. Nie spodziewał się, że jego siła, arogancja i bezczelność spotkają się z łagodnością, bezbronnością i niewinnością. Prędzej uwierzyłby, że trafi go piorun w czasie słonecznej flauty na oceanie niż w to, że w darze od Boga-wariata otrzyma syna.

I żonę.

Wobec kobiet odczuwał: strach, pogardę, obrzydzenie. Korzystał z każdej okazji, aby je wyśmiać, zawstydzić, poniżyć. Lubił i szanował tylko dziwki: nikogo nie udawały, niczego od Benka nie chciały, znały swoją przyszłość. On także. Wiedział, że podzieli los wszystkich samotnych pedałów, którzy w rozmaitych zakątkach świata kończyli tak samo: nocą łowili towar, a później wracali do pustych domów, mieszkań, pokojów i pili. Dlaczego Benek Karp miałby się od nich różnić? Dlaczego miałby znaleźć port inny niż cztery ściany i kotwicę lepszą niż butelka whisky?

Pojawiła się jednak Hanka, a on poprosił ją o rękę (ona jego?, nie pamiętał) w obecności dwóch funkcjonariuszy SB. (Nigdy nie doszedł, o co chodziło skurwielom.)

Po ślubie sprawiedliwie podzielił mieszkanie: większy pokój przeznaczył dla Hanki i dziecka, sam przeniósł się do mniejszego. Częściej jednak przesiadywał w dużym pokoju razem z synem, Hanka zaś umykała na szerokie postanie u Benka.

Pewnej nocy Karp uśpił marudzącego Leosia. Odłożył go do łóżeczka. Po omacku trafił do siebie. Wykończony padł na sprężysty materac. Obok Hanki. Oddychała spokojnie, głęboko.

Zza okna wpadało słabe światło latarni. Benek patrzył na twarz żony. Odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. Wytarł wąską strużkę śliny.

Poczuł, że wszystko jest możliwe. Wróciło jego ulubione wspomnienie: Benek ma pięć lat i puszcza statki na Boli. Babka Józefina struga z kory kolejne parowce, żaglowce, frachtowce i razem z Benkiem wchodzi do płytkiej wody, z wysoko podwiniętą spódnicą. Powtarza: „Bolegoszcz to koniec świata, Benek, a tam, gdzie płyną nasze statki, początek. Tam jest świat, Benek, wielki świat. Kiedyś popłyniesz”.

Popłynął. I dopłynął do początku, którego nie przepowiedział mu nawet nigeryjski czarownik: miał żonę i syna.

– Popatrz – powiedział Benek. Wciąż stał przy oknie z dzieckiem na rękach. – To wszystko białe to zima. – Przysunął twarz syna do oszronionej szyby. – Zi-ma. A na gałęzi sikora. Si-ko-ra. Uboga. Widzisz? Szaro-czarna.

Mały rozkrzyczał się.

Le-le-le.

– Głodny jesteś, co?

Benek usiadł przy kuchennym stole i z wprawą zaczął karmić dziecko.

– Jesteś też inny – wyszeptał, patrząc na rękę dziecka pozbawioną stawu łokciowego i nadgarstka, z dłonią zredukowaną do pięści, z której wyrastało pięć uschniętych kikutek. – Tak jak ja. Nikt cię nie skrzywdzi, Leoś. Chyba że po moim trupie. Ale to jeszcze długo nie.

– Jeszcze długo nie. Niech pani popatrzy, nie wygląda na taką, która miałaby urodzić. – Barbara Gnatowska podniosła głowę znad kubka herbaty.

Obserwowała Ewę, która spacerowała po ogrodzie odziana w szeroki płaszcz po babce Helenie. Stara sędzina kazała go sobie uszyć w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, kiedy chodziła w ciąży z Tadeuszem. Ciepła jesienno-zimowa szuba służyła jej do rozwiązania w połowie listopada.

– Brzuch nosi wyżej niż głowę – dodała Barbara. – Trzeba jeszcze trochę poczekać na kolejnego Opolskiego. Najważniejsze, że zaczęła rozmawiać i jeść. Lepiej z nią, prawda?

– Nie wiem. – Helena podała na talerzu poświęteczny piernik. Podeszła do kuchennego okna. – Nic już nie wiem. Myślisz, że Tadeusz przyjdzie?

Barbara wrzuciła do herbaty łyżeczkę cukru. Nie widziała byłego męża od końca października. Przywiózł jej wtedy na działkę pierzynę cieplejszą od tej, którą już miała, i piecyk, używaną kozę, którą nie wiadomo skąd wytrzasnął. Nie zapomniał o Barbarze (czuł się winny, że była żona mieszka na działce), chociaż nie zapomniał jej romansu z Mielnickim.

Barbara nie narzekała. Wprawdzie nad ranem coraz częściej budziły ją przymrozki niż śpiew ptaków, ale i tak za nic na świecie nie wróciłaby do mieszkania na Rewolucji Październikowej, do mijania się między pokojami, do obojętności między słowami, do dużych kłamstw między mniejszymi kłamstwami, do smrodów na klatce schodowej, do wścibstwa dozorczy Drewienki, do kłótni Czeczotek, do chamstwa Karpia.

Rozwód to rozwód.

Układ to układ.

Pozostała mało istotna kwestia nazwiska Barbary, które po krótkim namyśle zwróciła mężowi. Wróciła do panieńskiego. W listopadzie odebrała nowy dowód osobisty. Na Barbarę Gnatowską. Stan cywilny: rozwódka.

Zgodnie z obietnicą doktor nie wymeldował byłej żony z Rewolucji Październikowej. Dał jej rok na znalezienie własnego lokum i podsunął kilka adresów do sprawdzenia, w tym jeden bardzo atrakcyjny: jednoizbowa nieruchomość wydzielona ze strychu

kamienicy, ogrzewana piecem węglowym. Można było ją kupić za pieniądze z Łączek. Tadeusz sugerował sprzedaż ziemi. „Musisz myśleć o swojej przyszłości, Barbara”.

Myślała.

Przede wszystkim o tym, że nie chce żadnej pomocy od Tadeusza. Miała własne plany, które – jeśli tylko wszystko dobrze się ułoży – z pewnością zrealizuje. I że nie sprzeda ziemi. Nigdy.

Popołudniami jeździła ze wsi do miasta. Do szkoły. Szybko nadrobiła zaległości. Okazała się nieodrodną matką swoich synów: wszyscy nauczyciele uznali ją za najzdolniejszą. Do zimnej budy w Łączkach wracała późną nocą. Wszystkie lekcje odrabiała następnego dnia przed południem, dorzucając od czasu do czasu do kozy. Tyle, żeby nie zamarznąć.

W połowie października zabił się na motorze jedyny syn sąsiada badylarza. Zrozpaczony ojciec, właściciel szklarni, nie chciał patrzeć na uszkodzoną wufemkę i sprzedał ją Barbarze za parę groszy, dorzucając za darmo mocno sfatygowany kask. Świerszcz po starej znajomości odremontował doktorowej pojazd, pieniędzy nie wziął, mruknął tylko: „Co za nieszczęście, panie, co za nieszczęście”.

Gnatowska nie dopytywała, czy mechanikowi chodzi o śmierć pierwszego właściciela motocykla czy o aresztowanie Andrzeja.

Pod koniec października bardzo zmartwiony Tadeusz (ciągle odrzucano jego prośbę o widzenie z młodszym synem) przyjechał do Łączek po kilka skrzynek zimowych jabłek i po nalewkę z aronii dla swojej matki. Jednak zamiast jesiennych darów dla rodziny Tadeusz zabrał z Łączek byłą żonę. Prosto do kliniki, z gorączką i zapaleniem płuc.

Kurowała się dwa tygodnie.

– Zimę spędzisz u mnie – zdecydowała Helena Opolska. – Synowie potrzebują matki, a wnuki babki. Na działkę, jak zechcesz, wrócisz w maju. Teraz zostaniesz na Mickiewicza.

Została.

Z poczuciem winy.

Nie zasługiwała na pomoc. Czowała, że oszukuje Helenę, która o rozpad związku wciąż obwiniwała Tadeusza. Nieuczciwość dusiła Barbarę, gnioła i uwierała.

Pewnego listopadowego wieczoru, kiedy Paweł był w Warszawie, a Ewa u siebie na górze, wyznała prawdę babce.

– Z kim ty zdradzałaś Tadka? – zapytała krótko. – Powtórz no. Szybko.

Barbara powtórzyła.

Helena dziobnęła synową z radości w czoło.

– To przecież prokurator okręgowy i zdaje się, dawny kolega Tadzia. On pomoże nam wydostać Andrzeja z opałów. Jutro do niego pójdziesz i się rozmówisz. Będą potrzebne pieniądze. Tu masz. – Wyjęła z szuflady kredensu kopertę. Dzień wcześniej podjęła w Orbisie znaczną sumę.

– Od kiedy pani tak za Andrzejem? – zapytała Barbara.

Żarówka zamigotała nerwowo, jakby szukała odpowiedzi na zadane przez doktorową pytanie. Zgasła. Kolejna awaria w dostawie prądu. Ostatnio zdarzały się coraz częściej. Barbara przyniosła z bawialni świecznik. Mdłe światło rozlało się po stole i po twarzy sędziny.

– Przecież dla pani liczy się tylko Paweł.

– Człowiek jest głupi, dopóki bieda go nie przycisnie.

Po tych słowach Barbara zbliżyła wewnętrzną stronę dłoni do płomienia. Ból. Swąd przypalanej skóry. Ulga. Odpuszczające napięcie. „Może dlatego Alicja ma tyle blizn na przedramionach i udach?”, pomyślała.

– Mój wnuk Andrzej nikogo nie skrzywdził. Powiedz to Mielnickiemu.

Chciała.

Ale następnego dnia nie zastała prokuratora okręgowego w jego służbowym gabinecie. Ani przez pięć kolejnych dni. Polowała na niego przez tydzień pod garsonierą. Pojawił się ósmego dnia z dziewczyną młodszą od Ewki. Kiedy dojrzał Barbarę, odprawił dziwkę na górę. Patrzył na Gnatowską tak, jakby próbował sobie przypomnieć, kim jest stojąca przed nim kobieta i co go z nią łączyło.

„Nie mamy o czym rozmawiać”, powiedział tylko.

– Jak to odprawił cię? – Helena nie chciała wierzyć synowej. – O! Tego nie robi się kochankom! Nawet byłym. – I wściekła trzasnęła drzwiami.

Kiedy nastał ranek, osobiście pojawiła się przed obliczem Mielnickiego. Znalazł dla niej czas przez wzgląd na zasługi jej świętej pamięci męża sędziego Jana Opolskiego, którego postać wciąż była żywa wśród pracowników sądu okręgowego.

„Akurat”, pomyślała Helena, ale nie przerwała Mielnickiemu przemowy.

Prokurator bardzo współczuł sędzinie. „Tak to bywa z młodymi. Nie wiadomo, kiedy i z jakiej przyczyny schodzą na złą drogę”. Dodał jeszcze, że taka skaza na honorze znakomitej rodziny musi dotkliwie boleć, ale dowody – jak twierdzi Tomasz Józwiak, prokurator prowadzący sprawę – świadczą przeciwko wnukowi. Wina podejrzanego jest raczej oczywista. Niestety, nawet on, Mielnicki, nic nie może w tej sprawie zrobić. Należy mieć nadzieję, że pojawią się nowi świadkowie, nowe dowody, gdyż mocnego alibi aresztowany, niestety, nie posiada. Wielce prawdopodobne, że w tej sytuacji trzeba już tylko czekać na akt oskarżenia. Na proces. I liczyć na łagodny wyrok. „Dwanaście lat, jeśli wnuka szanownej pani nie opuści szczęście. Jeśli opuści... No cóż”.

Helena wyszła z gabinetu Mielnickiego.

Kiedy na korytarzu ucichło stukanie parasola sędziny Opolskiej, prokurator spostrzegł na biurku pękatą kopertę. W środku – pięćdziesiąt funtów brytyjskich. Natychmiast zatelefonował do aresztu śledczego i wyraził zgodę na codzienne widzenia Andrzeja Opolskiego z matką oraz babką. O dowolnej porze. „Nie, ojca nie wpuszczają. Z tego, komendancie, tłumaczyć się nie będę”.

I tak minęły Helenie i Barbarze listopad oraz grudzień. Kilka razy w tygodniu, przed południem, zaglądały do Andrzeja, po południu kombinowały, jak wyciągnąć go z tarapatów. Między koniaczkiem a mocną kawą troszczyły się o małżeństwo Pawła i zdrowie Ewy.

Pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku uściśnęły się w milczeniu. Słowa nie były potrzebne. I tak życzyły sobie tego samego. Kiedy spełniały toast, pojawił się Paweł. Wypowiedział kilka okrągłych fraz i umknął z powrotem na górę, żeby się uczyć. Ewa przespała całego sylwestra.

– O co mama pytała?

– Czy Tadeusz przyjdzie. Jak myślisz?

– Możliwe. – Barbara wsypała do kubka drugą łyżeczkę cukru. Przez okno wychodzące na ogród obserwowała synową. Patrzyła, jak Ewa strąca śnieg z gałęzi świerka. – Chyba że ma dyżur.

– W Nowy Rok? Czy muszę zwariować, żeby zobaczyć się z własnym synem? Na izbie przyjąć w Niedorośli?

– W Niedorośli na oddziale mam komplet! – krzyknął w proggu Tadeusz. – Obiecałem, że postaram się wpaść, i jestem.

Z góry zszedł Paweł.

Ewa wróciła z ogrodu do domu i kręciła się w holu między teściem a mężem.

– Ty dokąd? – Paweł zapytał Ewę, która nakładała kozuchowe rękawice.

– Pojadę do ojca – odpowiedziała. – I do Renaty. Nie widziałam ich od Wigilii.

– Ciepłe majtki włoż! – krzyknęła Helena. – Tylko brakuje, żebyś przeiębiła pęcherz tuż przed rozwiązaniem.

Ewa uniosła spódnicę. Z obojętną miną okazała zgromadzonym rajtuzy i męskie kalesony w kolorze spranego błękitu, które Renata skróciła do pół uda, tak żeby nie wystawały spod ciężowych kiecek. Wszystkie inne gacie nie włożyły na ciężki, okrągły jak piłka lekarska brzuch Ewy.

Paweł, który nie dotknął żony od pamiętnego popołudnia szóstego kwietnia, po raz pierwszy zobaczył jej uda. „Formalności rozwodowe załatwię po porodzie”, pomyślał. „Skoro ojciec zdobył się na taki krok, ja też mogę”.

– Zostajesz na noc u Franciszka? – zapytała Barbara. – Czy przyjechać po ciebie?

– Motorem? – Ewa sprawdziła, czy ma w kieszeni chustkę do nosa.

– Motocyklem – poprawiła Barbara.

– To nie. – Najmłodsza pani Opolska odmówiła. – Sama wrócę. Jutro przed południem.

– Mogę wpaść po ciebie samochodem – odezwał się Tadeusz. Zdejmował płaszcz, ściągał buty i prosił o gorącą herbatę z malinową konfiturą.

– Nie trzeba. Zostanę na Tajtarach. – Ewa zamknęła drzwi i pomaszerowała w stronę furtki ścieżką posypaną piachem i solą.

Tadeusz wkładał w holu domowe pantofle. Zatrzymał Pawła przed wejściem do bawialni.

– Czekaj. Popatrz, co znalazłem pod stołem w pokoju Andrzeja. – Tadeusz podał Pawłowi książkę. – Robiła za podpórkę krzywej nogi.

– Co to jest? – zapytał Paweł.

– *Cement* Fiodora Gładkowa.

– O czym to?

– Bzdurny produkcyjniak. Nieważne. Tutaj popatrz. Tutaj. – Tadeusz otworzył książkę na stronie tytułowej. – Dedykację widzisz? Okrągłe, dziecięce pismo. Kaligrafia bez zarzutu.

Paweł przeczytał:

Dla Ciebie, Andriusza,
żeby Ty się nigdy nie poddał jak Gleb Czumałow
Lubow Grigoriewna
Bolegoszcz, 6 sty. 1964

– Szósty stycznia? Co to za okazja? – zapytał Paweł. – Andrzej ma urodziny w czerwcu.

– Prawosławne Boże Narodzenie.

– Chodził do tej kobiety?

– Zdaje się, że tak. Mało o tym mówił. Przeżyła tragedię kilka lat temu. Jej syn się utopił. Kolega Andrzeja.

– Po co mi to dajesz, tato?

– Pomyślałem, że może się przyda, chociaż teraz myślę, że powinienem wyrzucić. Lepiej, żeby taka rzecz w domu nie leżała. Diabeł wie, jaki to może być dowód. Pewnie obciążający Andrzeja.

Paweł przyglądał się dedykacji.

– A może ma to jakiś sens? – Paweł pocierał brodę.

Tadeusz spoglądał przez okno. Dostrzegł, że Ewa zamyka furtkę z grymasem bólu na twarzy.

Paweł skierował się do bawialni.

– Jak ona się czuje? – Tadeusz zatrzymał syna.

– Całkiem dobrze. Stawia już herbatę i piernik. – Paweł spojrzał na krzątającą się wokół stołu Barbarę. – Chodźmy.

– Nie pytam o twoją matkę, ale o twoją żonę.

– O moją żonę? – powtórzył Paweł z wyraźnym namysłem. Wyglądał tak, jakby musiał sobie przypomnieć, kim jest dziewczyna, która za tydzień, najdalej za dwa urodzi jego dziecko. – Znakomicie – odpowiedział. – Znakomicie.

Ewa znakomicie udawała. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zrozumiała, że względny spokój zapewnią jej wyłącznie pozory. Na śniadanie owsianka i kawa zbożowa. Na obiad zupa (najchętniej kwaśna), świeżo ugotowane ziemniaki z suszonym koprem lub natką pietruszki, do tego ogórki czy pomidory (marynowane albo kiszzone) i szklanka zimnego kefiru. Kolację Ewa czasem jadła, a czasem ją sprytnie omijała. Wieczorem łatwo było wymówić się zgagą lub niestrawnością.

Oprócz obowiązkowych posiłków wystarczało kilka kurtuazyjnych zdań przy ich spożywaniu. Niezmienny zestaw odpowiedzi na niezmiennie te same pytania:

- Jak się czujesz?
- Dziękuję, dobrze.
- Czegoś potrzebujesz?
- Dziękuję, wszystko mam.
- Dołożyć buraczków?
- Dziękuję, wystarczy.
- To może kabaczka? Z działki Barbary. Kiszony. Przecież lubisz kwaśne.
- Dziękuję, może później.

Ewa dawała teściowej i babce codzienną porcję okrągłych jak jej brzuch i pełnych jak jej piersi zapewnień, że wszystko jest w najlepszym porządku, choć początek ciąży i małżeństwa – temu Ewa nie mogła zaprzeczyć – był rzeczywiście trudny. Milczenie w pewnym momencie stało się zbyt demonstracyjne. Odmawianie posiłków tak samo. Plan, żeby zabić siebie i dziecko głodem i obojętnością, nie powiódł się. Im bardziej Ewa starała się zaszkodzić larwie, tym częściej i boleśniej larwa poruszała się w jej wnętrzu. Przypominała o rychłym końcu ciąży i o nieuchronnym porodzie.

Nie tak to sobie Mazurkówna wymyśliła („Opolska? Jaka Ewa Opolska? Byłam i będę Mazurkówna”). Krótkie spotkanie na chórze

z ciałem i pożądaniem własnym oraz Pawła miało być wydarzeniem pieczętującym najważniejszy wybór Ewy: klasztor. Pragnęła zamknąć się w ścianach przesiąkniętych posłuszeństwem oraz regułą z głębokim przekonaniem, że doskonale wie, z czego rezygnuje. Tłumaczyła sobie, że sens ma tylko takie wyrzeczenie, które poprzedziło osobiste doświadczenie. „Człowiek musi wiedzieć”, myślała wówczas, „jak smakuje to, z czego na zawsze rezygnuje”.

Ewa wolno przesuwiała się w górę ulicy Mickiewicza. Zimowe buty ślizgały się na oblodzonym chodniku. Latarnie rzucały blade światło na zaśnieżoną jezdnię.

W oknach domów migały zawieszane na choinkach białe lub kolorowe lampki. Mazurkównę minęło kilku skulonych przechodniów. „Dopiero wracają po sylwestrze”, pomyślała Ewa, która Nowy Rok przywitała w łóżku, licząc ostrzegawcze skurcze macicy.

Tymczasem jednorodzinne domy zaczęły przechodzić w zarządzane przez miasto kamienice. To znak, że Mazurkówna zbliżała się do głównego w tej okolicy skrzyżowania.

Obejrzała się za siebie.

„Nigdy nie wrócę do tamtego domu. Ani do Pawła”.

Zwłaszcza do męża, który zdawał się szczęśliwy przed każdym wyjazdem do Warszawy i nieszczęśliwy po każdym powrocie do Bolegoszcy. Wobec żony zachowywał dystans. Był grzeczny i obojętny. Nigdy nie zapytał o samopoczucie, nigdy nie powiedział przykrego słowa. „Dlaczego nie odmówił? Dlaczego nie sprzeciwił się babce? Dlaczego potwierdził, że jest ojcem larwy? Bękart łatwiej byłoby zostawić w sierocińcu. A tak?” Zmitygowała się po chwili. „A tak trzeba przyznać rację siostrze Laurencji”, pomyślała. „Zawsze powtarzała, że ciało to narzędzie szatana. Zasługuje na potępienie i na śmierć. Na nic więcej”.

– A ty tu czego? – Ewa zorientowała się, że od dłuższej chwili biegnie za nią krótkonogi kundel. – Zgubiłeś się?

Pies zamerdał ogonem.

– Też jesteś bezdomny? Nie. Masz obrozę. Zwiąłeś? – zapytała Ewa. Pochyliła się w stronę kundla. Ten oparł łapy o kolana dziewczyny i lizał ją po twarzy. – Wystarczy tej czułości. Wracaj do domu. – Ewa zdjęła rękawicę i marznącą dłonią głaskała psa. – Ktoś na ciebie czeka. Idź już. No idź.

Poszedł.

Mazurkówna znowu poczuła skurcze macicy. Od trzeciej po południu powtarzały się regularnie co dwadzieścia–trzydzieści minut.

„Wszędzie, tylko nie do szpitala”.

Z trudem doszła do zbiegu ulic Mickiewicza, Słowackiego i Norwida. Zatrzymała się na środku skrzyżowania, na przystanku czwórki.

Czekała.

Czekała.

Czekała.

Pięćdziesiąt minut. Autobus nie przyjechał. Ewa utknęła w trójkącie wielkich wieszczów.

– I co, panowie Mickiewicz, Słowacki i Norwid. Macie dla mnie jakieś romantyczne prorocstwo? Jakieś słowa pocieszenia? Jakiś ośmioletni prorok na nową drogę życia? Czekam. – Ewa wyteńczyła słuch. Usłyszała dobiegające z pobliskiej bramy słowa kolędy, szczekanie psa i krzyk: „Kurwa! Gdzie, jak leziesz?!”. Poza tym cisza. – Nigdy nie mieliście nic do powiedzenia, panowie poeci.

Wraz z ostatnimi słowami z ust dziewczyny wydobyła się mgiełka. Zadrżała na mrozie jak biała chusteczka przy romantycznym pożegnaniu i uniosła się w stronę nieba.

Mazurkówna usiadła na ławce w pobliżu przystanku.

Dokuczliwy mróz przestał jej przeszkadzać. Jego chłodne ramiona poczęły tulić dziewczynę do snu, przynosząc spokój i ukojenie. Jego zimne ręce masowały podbrzusze Ewy, łagodząc fanaberie larwy. Jego lodowate pocałunki sprawiały Ewie pierwszą od dawna przyjemność.

Mazurkówna spod przymkniętych powiek zauważyła, że na przystanku po przeciwnej stronie ulicy pojawił się wreszcie autobus numer cztery. Zmierzał w odwrotnym kierunku niż ten, który ją interesował.

Ewa spostrzegła, że ktoś chuchnął na szybę wymalowaną mrozem. Mała dłoń w kolorowej rękawicy roztarła mleczną pajęczynę. W oknie autobusu pojawiła się twarz dziewczynki. Jasne warkoczyki do ramion. Krótka grzywka wystająca spod czapki. Perkaty nos. Zawadiacki uśmiech. Ktoś objął roześmianą sikorkę. Na jej ramieniu, na białym płaszczu spoczęła dłoń bez dwóch palców.

– Znam cię – szepnęła Ewa. – W tamtą stronę nie jedź, mała. Tam nic nie ma, żadnej przyszłości...

Pojazd ruszył. Kilkadziesiąt metrów dalej gwałtownie zahamował.

Pod jego koła wpadł pies.

Ten sam, który –

– Który to już raz powtarzasz to samo? – Barbara zapytała Tadeusza. – Niewinny, niewinny, niewinny. Wszyscy, jak tu siedzimy – Barbara popatrzyła na Helenę, Pawła i w końcu na byłego męża – wierzymy, że Andrzej jest niewinny. Ale nasza wiara tym razem – Barbara zatrzymała dłużej wzrok na Helenie – to trochę za mało. Co z dowodami?

– Nowe się nie pojawiły – powiedział Paweł. – A sam Andrzej...

Starszy syn zamilkł, jakby przestraszył się własnych słów.

– A sam Andrzej...? – Babka czekała na puentę.

– Sam Andrzej – dokończyła Barbara – tak, powiem to wreszcie, wygląda na takiego, który nie tylko wrzucił tę nieboraczkę Lubę Stanisławską do Boli, nie tylko ją okradł, ale zrobił coś znacznie gorszego.

Helena, Paweł i Tadeusz patrzyli na Barbarę. W bawialni cykał zegar w rytmie nie-tak, nie-tak, nie-tak. Od pieca kaflowego szło miłe, chociaż coraz słabsze ciepło. „Na noc muszę dorzucić węgla”, pomyślała Barbara.

– Tak myślisz? – sędzina odezwała się po chwili milczenia.

– Tak, bo Andrzej w przeciwieństwie do nas, proszę pani...

– A dajże już spokój z tą „panią” – obruszyła się Helena.

– ...uwierzył, że popełnił zbrodnię – wyjaśniła Barbara i pomyślała, że „mamo” nigdy z siebie nie wydusi.

Helena zdjęła czarną opaskę z oka. Przetarła chusteczką zarośnięte powieką miejsce po lewym oku. Zdawało jej się, że oczodół zaczął ostatnio łzawić. Co za życie! I serce bolało coraz częściej. I żyła na skroni pulsowała. I szумы w głowie jakby silniejsze. Helena poczuła się opuszczona i oszukana. Władzom ziemskim nigdy nie wierzyła. Ale żeby władze niebieskie ją zlekceważyły? Prokuratora Mielnickiego nie skruszyła nawet nowenna do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. A przecież Helena zostawiła Matce Boskiej kopertę z datkiem większym niż ten dla Ryszarda.

„Poddać się to śmierć i klęska”, pomyślała sędzina i natychmiast odmówiła w myślach błagania do Maryi:

Za chorych, abyś ich uzdrowiła,
Za strapionych, abyś ich pocieszyła,
Za płaczących, abyś im łzy otarła,
Za sieroty i opuszczonych, abyś im matką była,
Za biednych i potrzebujących, abyś ich wspomogła,
Za błądzących, abyś ich na drogę prawdy sprowadziła,
Za kuszonych, abyś ich z siodeł szatańskich wybawiła,
Za upadających, abyś ich w dobrym podtrzymała,
Za grzeszników, abyś im żal i łaskę spowiedzi wyjednała...

– Talerz weź – mruknęła do starszego wnuka, który wybierał ze stołu okruchy piernika. Zorientowała się, że ze zgryzoty i ze smutku zapomniała podać koniaczek.

Paweł zastanawiał się, czy w spiżarce nie został przypadkiem kawałek świątecznego makowca. Nawet miał o to zapytać, ale uznał jednak, że nie wypada. Walne zgromadzenie Opolskich, zwołane po raz pierwszy od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, z udziałem Barbary Gnatowskiej, o której Paweł do niedawna sądził, że potrafi tylko streszczać przy śniadaniach idiotyczne notatki prasowe, nie było towarzyskim spotkaniem przy poświęconym makowcu. Chodziło o los Andrzeja.

Paweł zbadał jego sprawę. Wydawało się, że wszystko świadczy przeciw bratu. Sam Andrzej świadczył przeciw sobie. Odmawiał wszelkiej współpracy. „Daj spokój, Paweł”, powtarzał. „Nie ma dla mnie ratunku”.

„A jeśli?” Paweł spojrzał na *Cement* Gładkova. „A jeśli jest?” Przeczytał raz jeszcze banalną dedykację Luby Stanisławskiej.

Barbara podniosła się z krzesła.

– Nie mamy wpływu na sprawę Andrzeja. Podam kolację. Komu grzybową? Z kurek i prawdziwków.

Paweł coraz intensywniej zastanawiał się nad czymś.

– Ze śmietaną? – zapytał Tadeusz i przyznał w duchu rację Barbarze. Niczego nowego w sprawie Andrzeja już nie uradzą. – Jeśli tak, to poproszę.

Barbara skinęła głową i ruszyła w stronę kuchni.

Tadeusz zauważył, że bardzo zeszczupiała po chorobie. Obserwował smukłe jak kieliszek ciało byłej żony i pragnął, by jego męskość reagowała mniej intensywnie na jeszcze zgrabniejsze nogi i jeszcze węższą talię Barbary. Nie spodziewał się, że dwa głupie romanse (Baśki i jego), szybka decyzja o rozwodzie, rozdzielność łoża i majątku, spowodują w byłej żonie taką przemianę.

– Pomogę Baśce – powiedział, wstając od stołu.

Po drodze do kuchni potknął się o zniszczony kask motocyklowy. „Kolejny dowód”, pomyślał, „Basinej samodzielności”. Zaczęła jeździć na wufemce, gotować obiady, piec ciasta, smażyć racuchy. Przestała cierpieć na bezsenność, używała słów oraz pojęć, o których istnieniu jeszcze niedawno nie wiedziała (cykl rozwojowy, rachunek różniczkowy, tekst niecelowy, trafna metafora, pokrętna logika).

Wszedł do kuchni.

Barbara sięgała do szuflady po chochlę.

– Gdybym nie zostawił tych papierów u Anny... Gdybym nie złapał pod Niedoroślą okazji z milicjantem na pokładzie warszawy... Gdybym nie strzelił w pysk Andrzeja... Wtedy nie spotkałby tych cholernych wędkarzy. Może wszystko potoczyłoby się inaczej?

– A gdybyś dwadzieścia kilka lat temu nie znalazł mnie w ruinach za budą Tolka Siemaszki?

Tadeusz milczał.

– Czujesz się winny? – zapytała Barbara.

– Nigdy nie żałowałem, że tamtędy przechodziłem, że cię spotkałem.

– Daj spokój. Czujesz się winny tego, co zaszło z Andrzejem?

– Codziennie zadaję sobie pytanie, w którym miejscu popełniłem błąd. Jeśli nasz syn naprawdę to zrobił...

– Ja też. – Barbara stała odwrócona plecami do Tadeusza. Założyła opadające na twarz włosy za ucho. Od rozwodu przestała wiązać nad szyją kok w kształcie zaciśniętej pięści. – Ja też czuję się winna.

– Ty?

– Słuchaj, to normalne, żeby Andrzej... że on lubi starsze kobiety?

Tadeusz milczał.

– Czy to możliwe, że on w nich szuka... No wiesz kogo, prawda?

Wiedział.

– Nie wiem – odrzekł.

Przysiadł na taborecie. Obserwował skrępowanie Barbary. Wyrzuty sumienia przygarbiły naraz jej proste plecy. Spowodowały drżenie rąk.

Być może w innej sytuacji Tadeusz poczułby satysfakcję z cierpienia Barbary.

Ale nie tym razem.

– Że Andrzej szuka w dojrzałych kobietach... matki? – Barbara zastygła nad garnkiem gorącej zupy.

– Nie przeceniałbym twojego udziału w życiu intymnym Andrzeja.

– Mówisz jak lekarz czy jak podwójnie zdradzony mężczyzna? Przez żonę i przez syna.

Zabolało.

– Byłoby ci łatwiej, gdyby miał skłonność do mężczyzn? – zapytał.

– To obrzydliwe – powiedziała Barbara.

– W więzieniu, o ile mi wiadomo, nie spotka ani starszych, ani młodszych kobiet.

– Zapomnij, że cię o to pytałam. – Barbara podała Tadeuszowi talerz z parującą grzybową. – Zanieś to, proszę. To dla twojej matki.

W progu kuchni pojawił się Paweł.

– Nie będę jadł, mam. Przepraszam. Muszę się z kimś natychmiast spotkać. Aha. Babcia prosiła, żeby podać na stół koniak.

– Do zupy? – zapytał Tadeusz.

Stara sędzina pojawiła się za wnukiem z ręką zarzuconą na dolną część pleców.

– Koniaczek jednak poczeka. Tadzinku, masz przy sobie coś przeciwbólowego? Strasznie mnie w krzyżu łupie. I w głowie.

2.

W głowie Andrzeja powstała myśl. Za myślą pojawiła się decyzja. Zastanawiał się, czy powiedzieć o niej bratu.

Pierwszego stycznia późnym popołudniem siedział w pokoju widzeń przed Pawłem (któremu tak jak matce i babce drzwi do aresztu otworzyło pięćdziesiąt funtów brytyjskich) i ważył słowa. Właściwie nie brata teraz potrzebował, lecz prokuratora Tomasza Józwiaka.

Trafił przed jego oblicze kilka dni po zatrzymaniu, w związku z zeznaniami Janusza Wiechoczka i Konstantego Strzępy. Obaj wędkarze podpisali protokoły, w których stało czarno na białym, że widzieli podejrzanego w dniu prawdopodobnej śmierci Luby Stanisławskiej nad brzegiem Boli. Najpierw denatka stała na skarpie obok podejrzanego, a po chwili, „sruuu!”, już nie stała. „Jak szłem, to jeszcze ją widziałem. Jak doszłem, to już nie”, zeznał Janusz Wiechoczek. Konstanty Strzępa potwierdził i dosadnie podsumował: „Kurwa, ja pierdołę, a wyglądał na taką cipę. Jak dla mnie to on ją musiał wrzucić do tej wody, a sam spier... znaczy dał nogę z tym plecakiem”.

Plecak.

Andrzej długo próbował sobie przypomnieć, co z nim zrobił. Pamiętał, że pojechał z książkami Luby Stanisławskiej do Zakuliczek, do profesora Stillera („Byłem przekonany, że to zapas prowiantu. Do nas, do naszego gieesu przyjeżdżają na zakupy ludzie z Bolegoszczy. Od niedawna mamy naprawdę dobrze zaopatrzone. Pan, panie prokuratorze, o tym nie wiedział? To błąd. Nie, do środka, znaczy do plecaka nie zaglądałem, gdyż do sklepu, owszem, co najmniej raz na dwa dni”), zaraz, zaraz, właśnie, wcześniej był w sklepie na wsi, w którym spotkał uczynną sprzedawczynię („Mlekiem go poczęstowałam, nie dopił, to ja wszystko, co ten morderca, nie morderca? niech będzie, że podejrzanym, co racja, to racja, on mi się od razu wydał podejrzanym, tak jest, do rzeczy: wszystko, co on zostawił w szklance, wylałam na trawę. Przyszłam

następnego dnia na sklep, patrzę, a trawa w miejscu wylania całkiem uschnięta. To chyba znak, no nie?"); z plecakiem na ramionach zgarnął go na plebanię ksiądz Wojtek („Tak, nazywam się Wojciech Ziolo. Z zawodu duchowny. Milicjant Pana Boga? Nigdy tak o sobie nie myślałem. Tak, potwierdzam, że podejrzany chodził po balustradzie mostu Wschodniego. Czy wyglądał tak, jakby chciał się utopić? Nie wiem. Milicjant Pana Boga to nie Pan Bóg"); z plecakiem na ramionach Andrzej rozmawiał z Ewką pod Świętym Wawrzyńcem („Nic nie pamiętam z szóstego kwietnia bieżącego roku, możliwe, że przechodziłam w pobliżu tamtego kościoła, bardzo możliwe, o ile sobie przypominam, nie zatrzymywałam się jednak nigdzie. Tak, byłam tamtego dnia na Rybakach, ale prosto od sióstr Lewandowskich udałam się do domu. Andrzej Opolski twierdzi, że mnie widział? Możliwe, że tylko przelotnie"); z plecakiem na ramionach wrócił wreszcie na Rewolucji Październikowej 26/12.

Siedem i pół miesiąca później milicja, z prokuratorskim nakazem przeszukania, w ciągu dziesięciu minut odnalazła dowód zbrodni ukryty w pawlaczu nad kuchennymi drzwiami.

– Nie wiesz? – Jóźwiak zapytał Andrzeja w pokoju przesłuchań dokładnie dwunastego października. – Nie wiesz, w jaki sposób plecak denatki znalazł się w twoim domu?

– Wiem.

– To dlaczego zeznajesz, że nie wiesz?

– Nie wiem, w jaki sposób znalazł się w pawlaczu.

– Nie rób ze mnie durnia – fuknął prokurator.

– Postaram się – obiecał Andrzej i dostał w pysk od milicjanta.

– Komu sprzedałeś złoto?

– Jakie złoto?

Prokurator sięgnął do teczki. Wyciągnął z niej zdjęcia.

Andrzej zobaczył szeroką obrączkę ze złota w kolorze dojrzałej pomarańczy, kilka grubych łańcuszków, pierścionek z rubinem misternie osadzonym w złotym koszyczku, prosty, bardzo skromny pierścionek z szafirem, jeden sygnet i wysadzane bursztynami kolczyki w kształcie motyli.

– Komu? – zapytał prokurator.

– Komu to sprzedałem? Nikomu. Pierwszy raz widzę te rzeczy.

Tomasz Józwiak spojrział na gówniarza. Takich niewinnych gagatków, którzy zaprzeczają faktom, wypierają się dowodów, kłamią w żywe oczy, on, zastępca prokuratora okręgowego, słucha i ogląda bez przerwy.

Po raz drugi Andrzej spotkał się z Tomaszem Józwiakiem w połowie listopada podczas wizji lokalnej. W rolach głównych oprócz Andrzeja wystąpili dwaj wędkarze. Zeznawali zgodnie: z daleka Kostek z Januszem widzieli na skarpie kobietę z plecakiem i mężczyznę bez plecaka; kiedy podeszli bliżej, kobieta zniknęła, a na brzegu Boli został tylko mężczyzna z tajemniczym bagażem.

Prokurator Józwiak pragnął naocznie przekonać się, w jaki sposób Andrzej zepchnął Lubę Stanisławską ze skarpy.

– Ty stałeś tutaj – kręcił się wokół Opolskiego – a denatka tutaj. To teraz pokaż, jak ją strąciłeś z brzegu.

Andrzej spojrział na prokuratora.

– Nie zrobiłem tego.

– A tam nie zrobił. W dupę pewnie kopnął – mruknął Kostek.

Janusz szturchnął kumpla w bok. Lepiej nie podpadać władzy, zwłaszcza kiedy się łowi w niedozwolonych miejscach o niedozwolonej porze.

– Sierżancie Dułak! – zawołał prokurator.

Milicjant wyciągnął z sukki manekin i ustawił obok Opolskiego.

Andrzej ani drgnął.

– Na co czekasz? – zapytał kapitan Dułak.

– Na wiatr – odpowiedział Opolski.

Kostek zaczął rechotać. Niemożliwe, żeby wiatr wrzucił babę do rzeki. Za duża była. Zresztą wiatru wtedy ni chu, chu. W ogóle nie było. Ryby brały jak głupie.

Janusz na to, że wiatr piździł, że ho, ho. I że żadnej ryby nie złowili. Wiadomo: wiatr od wschodu, ryba chodu. A tamtego dnia, ty, Kostek, gówno pamiętasz, od strony Białych Jezior wiało tak, że Janusz wrócił do domu z przedmuchanymi na wylot kalesonami.

„Chyba z mózgiem!”, wtrącił się Kostek. „Sam żeś lina złowił!”, dodał.

Janusz podrapał się po kalesonach. Nie mógł sobie przypomnieć, jak to z tym linem było. Złowił czy nie złowił?

– Nie utopiłem Luby Stanisławskiej – oznajmił Opolski i poprosił o papierosa.

Milicjanci najpierw wepchnęli do sukki Andrzeja, a za nim manekin.

Odstawiono go do celi, w której siedział z niewinnym malwersantem i z trochę winnym kieszonkowcem. Obaj mężczyźni patrzyli na Andrzeja z szacunkiem. Morderca w więziennej hierarchii stał znacznie wyżej niż nieprzyłapany na gorącym uczynku księgowy oraz trochę przyłapany na gorącym uczynku złodziej. Współaresztanci chcieli wiedzieć, dlaczego Andrzej wybrał tak nietypowe narzędzie zbrodni. Nóż. Siekiera. Kamień. To się wie. To się rozumie. Tym się zabija. Złodziej słyszał nawet o kimś, kto mordował strzałem z kuszy (zabójcy nigdy nie schwytano). Parę lat temu, nie, nie w Bolegoszczy, w Białymstoku, czterech pijanych funkcjonariuszy wjechało warszawą w przystanek autobusowy. Samochód zabił czworo maturzystów. Proces nigdy się nie odbył. Sprawa rozeszła się po kościach, choć do dzisiaj pamięta o niej każdy z okolic Knyszyńskiej, Wiatrakowej i Ukośnej. Najlepsze jednak jest to, że w ciągu czterech lat wszyscy milicjanci zginęli. Od strzału z kuszy. Każdego roku jeden. Podobno ostatni w kolejce do odstrzału ukrywał się przed egzekutorem w Puszczy Białowieskiej. Też zginął.

„Kusza do zabijania lepsza niż rzeka”, podsumował złodziej. „Niechby i nawet rzeka. Ale, mały, no żeby kobitę pod wodę na oczach świadków? Bo to ty ją pod tę wodę, co nie?”

Złodziej zawiesił pytanie w powietrzu gęstym od papierosowego dymu.

Czekał na odpowiedź.

Andrzej milczał. Pamiętał, że jego matka często powtarzała, podobno za swoim ojcem: „Mniej mówisz, dłużej żyjesz”. Nie zwierzał się współaresztantom. Nigdy, nawet w wigilijny wieczór, nie powiedział im, co zdarzyło się przed południem szóstego kwietnia. Był pewien, że obaj chcą usłyszeć od niego to, do czego nie przyznał się podczas przesłuchań. Opolski podejrzliwie obserwował, jak księgowego i złodzieja zabierano raz w tygodniu do prokuratury. „Kapusie!”

Zaraz po zatrzymaniu wierzył, że ojciec użyje wszystkich swoich znajomości, żeby go wyciągnąć z tarapatów. Nie zrobił tego. Nawet

nie odwiedził syna w areszcie. Andrzej pogodził się z tym. Stary w końcu nie miał żadnego interesu, żeby go ratować z opresji. Przypomniał sobie jego gorącą dłoń na policzku, ostatnie słowo, jakie od niego usłyszał: „Won!”, i trzask drzwi od mieszkania laleczki, którą pędzłował feralnego wieczoru. Andrzejowi było naprawdę głupio. Przeprosiłby papę za pomyłkę. Przecież nie wiedział, że trafił na jego panienkę. Niewiedza jednak nie usprawiedliwia winy.

Później czepił się nadziei, że jego zbawczyniami zostaną babka i matka. Ta pierwsza dysponowała gotówką, którą mogła przekupić samego diabła, ta druga urokiem, nogami i podobno znajomościami.

Na początku listopada Barbara wyznała Andrzejowi podczas widzenia, że zna kogoś w prokuraturze, kto mógłby mu pomóc. Kogo znała i jak blisko, Andrzej nie zapytał. Bo i po co? „Mniej wiesz, dalej szczasz”. Tak podobno miał mawiać dziadek Gnatowski. Albo jakoś podobnie. Z ojca matki musiał być niezły gagatek. Andrzej czasem żałował, że nie zdążył go poznać.

Interwencja Barbary w prokuraturze skończyła się klapą.

Matka z babką bywały u Opolskiego dwa–trzy razy w tygodniu (przegapił moment, w którym tak się zakumplowały). Niczego od nich nie potrzebował. Niczego nie chciał. W pewnym momencie życzył sobie już tylko tego, żeby wreszcie zostawiły go w spokoju. Biadolenia nie potrzebował. Skoro nic nie mogą zrobić, niech zajmą się życiem na wolności. „Ewa urodziła?”, pytał czasem z sympatii dla bratowej. W odpowiedzi słyszał, że wszyscy czekają na rozwiązanie jak na dzień Zmartwychwstania. Babka wierzyła, że wtedy Ewa oprzytomnieje. „Jak urodzi, może się odrodzi. Na razie wygląda jak pęczniejący Grób Pański”, wzdychała. „A Paweł?”, dopytywał Andrzej. „Znowu najlepszy na studiach. Będzie się starał o pracę na uczelni”. „Kto, jak nie ten głab?”, kwitował Andrzej z uśmiechem i pogrążał się w milczeniu.

Raz jeden wpadł do Opolskiego ksiądz Wojtek. Nie wiedział, o czym rozmawiać z Andrzejem. W pewnych sytuacjach po prostu brakuje słów. Tych pocieszenia nawet w Ewangeliach jest za mało, tych potępienia nie wypada cytować nawet z Ewangelii. Na pożegnanie ksiądz Wojtek szepnął tylko: „Nawet jeśli ty to zrobisz, i tak nie żałuję, że cię uratowałem wtedy na moście”. Więcej nie

przyszedł. Pewnie dlatego, że zaczął się Adwent, gorący okres przed Bożym Narodzeniem.

Andrzej spędzał czas na pryczy i na przymusowych spacerach. Znalazł też rozrywkę: rozpoznawał kroki klawiszy. Uszaty maszerował nerwowo, stawiał krótkie kroki z pięty i chociaż nosił buty podbite gumą, robił hałas na cały korytarz. Dziobaty skradał się. Andrzej słyszał najpierw z daleka dzwonienie pęku kluczy, które Dziobaty nosił przy pasku, dużo później jego indiański chód. Komar stawiał stopy na zewnątrz. Chyba męczyło go płaskostopie, chodził ospale, powoli. Robił dwie lub trzy przerwy w drodze do ostatniej na korytarzu celi. Do tej, którą zajmował Andrzej.

Poza tym Opolski nie chciał. Ani jeść, ani rozmawiać, ani czytać, ani palić, ani wreszcie żyć. Śnił, że wskakuje do Boli zaraz po Lubie Stanisławskiej. Na brzegu rzeki zostawia plecak pełen ruskiej klasyki i ruskiego złota. Andrzej bez obciążenia swobodnie porusza się pod wodą. Połyka kijanki, mięczaki, ryby. Między palcami jego dłoni wyrastają szerokie błony. Zanim dotrze na dno, wypływa raz jeszcze na powierzchnię i zaciąga się powietrzem, jak skazaniec przed egzekucją ostatnim papierosem. Na dnie czekają już na niego Luba, Fabian i Włodek. Andrzej mocuje się znowu z Włodkiem, jak za dawnych dobrych czasów. Luba śmieje się. Sprawiedliwie sekunduje raz jednemu, raz drugiemu, ale Fabian rozdziela chłopców. Włodek nie ma szans z Andrzejem. W końcu Opolski liczy sobie osiemnaście, prawie dziewiętnaście lat, Włodek tylko dwanaście. I ten szal. Włodekowi przeszkadza długi kolorowy szal, którego nikt nie potrafi zdjąć z jego szyi. Ani matka, ani ojciec. „Może ty spróbujesz?”, pyta Włodek. Luba i Fabian patrzą na Andrzeja z nadzieją. I oto sukces. Opolski trzyma szal w spoconych, a może po prostu w mokrych dłoniach. Szal jednak robi się coraz bardziej śliski i ruchliwy. To węgorz. Oplata szyję Opolskiego. Zawiązuje się w elegancki krawat i zaciska coraz mocniej.

Budził się.

Wolał tęsknić za Adelą Podyasek. Za nocami w Supraślu. Za zapachem miłości na strychu, w ogrodzie i nad rzeką, tuż po północy albo chwilę przed świtem, na osłoniętym wysokimi trawami brzegu, którego nie ogarniało spojrzenie prawosławnego Jana Teologa. Andrzej obiecał sobie, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie, to...

Bez przesady. Nie wyjdzie z aresztu, a później z więzienia. Ta prosta prawda dotarła do niego w sylwestrową noc. Buzowała we krwi i w głowie Andrzeja jak noworoczny szampan. Rozluźniła napięcie. Przywróciła spokój.

Oto bowiem najmłodszy Opolski porzucił przekonanie o własnej niewinności. Przed aresztowaniem ciągle siebie usprawiedliwiał. Teraz zrozumiał, że nadszedł czas kary i pokuty.

W jego głowie powstała myśl. Za myślą pojawiła się decyzja. Powinien jak najszybciej spotkać się z Tomaszem Józwiakiem i przyznać się do trzykrotnego zabójstwa. W końcu Włodka i Fabiana też miał na sumieniu. Postanowił, że kiedy tylko prokurator wytrzeźwieje po sylwestrowej zabawie, wyzna mu prawdę. Dostyc z rżnięciem durnia. Dostyc z lekceważeniem prawa. Dostyc z aroganckim traktowaniem dowodów.

– Wynoś się już, Paweł – powiedział Andrzej. – Sam sobie dalej poradzę. Zrobiłeś, co mogłeś.

To prawda. Paweł starał się jak mógł. Szukał dla brata pomocy. W Warszawie wśród znajomych prawników. W Bolegoszczy wśród najlepszych adwokatów. Mimo wysiłków nikt – na razie – nie zgodził się bronić Andrzeja.

– Przypomnij sobie – poprosił starszy brat. – Przypomnij sobie, proszę cię. Za kilka dni miną trzy miesiące od aresztowania. Usłyszysz akt oskarżenia. Zacznie się proces. Andrzej! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Andrzej kiwnął głową. – Popatrz mi w oczy. Prosto w oczy. Zanim stąd wyjdę, muszę wiedzieć na pewno, że podpisałeś zeznania, w których przyznajesz się do winy. To ważne.

– To głupie.

– Co? – zapytał Paweł.

– Że tak zaczynasz rok sześćdziesiąty dziewiąty.

– Jak?

– Przesłuchując mnie. Który to już raz, Paweł? Który to już raz pytasz mnie o to samo i powtarzasz to samo?

– Podpisałeś?

– Nie.

Paweł wstał z krzesła. Zdjął kożuch z wieszaka i zaczął w pośpiechu zapinać guziki.

– Wszystko już powiedziałem. – Andrzej gapił się w ścianę. – Prokurator ma świadków i dowody. Wystarczy tego, Paweł. Przestań już. Odpuść. To ja zabiłem Lubę Stanisławską.

Niekoniecznie.

Ósmego października przed północą ojciec zadzwonił do Pawła i zawiadomił o aresztowaniu Andrzeja. Następnego dnia Paweł przyjechał z Warszawy do Bolegoszczy. Uścisnął na powitanie dłoń starego i natychmiast zajął się sprawdzeniem wszystkich rzeczy brata. Szukał w nich tego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia milicji. W ciuchach Andrzeja panował jak zwykle bałagan, koszulki między spodniami, skarpety między koszulkami. Wszystko czyste – bez śladów krwi lub spermy. Poza tym to, co zwykle: płyty na podłodze, na biurku, na parapecie, na półkach i na łóżku. Nic, ale to nic podejrzanego.

W łazience Paweł skontrolował kosz z brudnymi rzeczami i zawartość pralki. Znowu nic.

Wrócił do pokoju Andrzeja. Przysiadł na biurku. Na blacie dojrzał paczkę po giewontach (mimo kilku prób Paweł nie nauczył się palić) i leżące obok pudełko zapalek z piegowatą mordką ciemnowłosej dziewczuszki. Napis informował, że MÓJ TATUŚ NOSI KOSZULE Z.P.O. WÓLCZANKA.

Tatuś Pawła pojawił się w progu w zwykłej flaneli w kratę, z talerzem kanapek posmarowanych grubo masłem, pasztetem i obłożonych ogórkiem kiszonym.

– W domu nie ma nic podejrzanego. Jeśli jest niewinny, wypuszczą go – powiedział Paweł, wbijając zęby w chleb.

– A jeśli nie wypuszczą? – zapytał ojciec. – Zrób coś, Paweł. Masz kontakty. Jesteś prawnikiem. No, prawie prawnikiem.

– Dlaczego uważasz, że w ogóle powinienem angażować się w tę sprawę?

– Dlatego, że to twój brat.

– Czasem gorszy od jamnika Czeczotowej. Wszystko załatwiał ze mną kuksańcami.

– Nie tylko z tobą. – Ojciec skubał kołnierz koszuli. – Na podwórku za śmietnikiem też. Ty stałeś, a on łomotał smarkaczy, którzy wołali na ciebie „ryża dupa biskupa”.

– Mówił ci o tym? – zapytał Paweł, z trudem przetykając kanapkę.

– Andrzej? Nie, nigdy. Miałem pacjenta z sąsiedniej ulicy, z Rewolucji Francuskiej.

– Co to ma do rzeczy?

– Ten pacjent cierpiał na nerwicę natręctw. Osobliwą. Kiedy spotykał rudego, musiał splunąć mu prosto w twarz, a potem sklepać po pysku. Wołaliście na niego Fluczek Fluk.

– Fluczek Fluk siedzi w psychiatryku? – Paweł się zakrztusił.

– Siedział. W zeszłym roku zmarł. Z krzywą przegrodą i z nosem przesuniętym przez Andrzeja w stronę lewego oka. Paweł, wiem, co robili ci na podwórku.

– Radziłem sobie.

– Innego brata mieć nie będziesz.

– No raczej. Po twoim rozwodzie z matką nie mam co liczyć na nowe rodzeństwo.

Tadeusz zmilczał złościwość syna. Przed wyjściem z pokoju Andrzeja wspomniał tylko, że wędkarze oraz sąsiedzi Luby ciągle mówią o jakimś plecaku.

Plecak?

Paweł przypomniał sobie, że potykał się o plecak leżący obok łóżka Andrzeja na początku lipca, kiedy przez dwa tygodnie mieszkał z matką. Andrzej wyjechał na egzaminy, a ojciec wyprowadził się z domu.

Plecak.

Paweł pocierał czoło.

Porządne rzemienne zapięcia. Mocne szelki. Uchwyt do bukłaka. Od zewnątrz przetarty spód. Kilka ciemniejszych plam na plecach. Paweł zapamiętał szczegóły, gdyż obejrzał plecak z każdej strony. W środku również. Wywalił jego zawartość na podłogę. Zobaczył książki. Rosyjską klasykę. Bez stempli bibliotecznych. Bez ekslibrisów. Bez pocztówek, skrawków gazet, liścików między kartkami. Bez notatek na marginesach. Wszystko na powrót spakował do plecaka i wepchnął do pawlacza nad wejściem kuchennym między walizę ojca a neseser matki.

„Od kiedy Andrzej czyta po rosyjsku?“, dziwił się, trzaskając niedomykającymi się drzwiczkami szafki.

Paweł pomyślał wtedy, że Andrzej dostał od babki część lektur ze strychu na Mickiewicza. „Pewnie chciała, żeby opchnął ruskie knigi dziadka Jana w antykwariacie za parę złotych”. Babka miała wyjątkowe uczulenie na wszystko, co pochodziło zza wschodniej granicy. Włącznie z kwasem chlebowym, złotem, kryształami, blinami i matrioszkami.

Paweł, zawezwany w październiku przez ojca na pomoc, uznał, że wyjaśnił kwestię plecaka. Był przekonany, że wędkarzom i sąsiadom z pewnością chodziło o ruzsak. Nie o ten, który Andrzej przytargał do domu przed wakacjami.

Zapomniał o sprawie.

Tymczasem okazało się, że niewinny plecak, który Paweł osobiście położył tam, gdzie znaleźli go milicjanci, stał się głównym dowodem winy Andrzeja. I złoto, z którego powodu jego brat podobno zabił Lubę Grigoriewnę.

Paweł nie wiedział, jak pomóc głąbowi.

Dowiedział się, kiedy ojciec darował mu *Cement* Fiodora Gładkowa.

Zamiast zasiąść wspólnie z rodziną do popołudniowej zupy grzybowej, poprosił ojca o kluczyki do ledwie zipiącej syrenki. Odwiedził Andrzeja w areszcie, a po tym, jak się okazało, że brat wciąż nie przyznał się do winy, wiedział, co czynić dalej.

Kiedy po raz czternasty próbował uruchomić zmarzniętego grata pod bolegoskim pierdlem, zaklął. „Kurwa, gdybym od razu się zorientował, w czym rzecz, Andrzej święta spędziłby w domu”.

– W domu? Ale, pani Heleno, Ewy nie ma w domu. – Renata zerknęła jednym okiem na najświeższy numer „Głosu Bolegoszczy” (czwartek, 2 stycznia 1969 roku, R XXIV, 1, 6355).

Leżał na szafce telefonicznej w mieszkaniu naczelnikowej Róży Bykowej.

Renata wzięła gazetę do ręki i zerknęła na notatkę z pierwszej strony. Tekst informował, że Nowy Rok przywitało trzydzieści dwa miliony trzysta trzydzieści tysięcy Polaków. To o dwieście sześćdziesiąt pięć tysięcy więcej niż w zeszłym roku. I co jeszcze? Renata zmrużyła oczy. A. Spadła śmiertelność niemowląt. Na tysiąc narodzin przypadło w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym

dziesięć zgonów. „A co z matkami? Ich też mniej wykorkowało przy porodach?”

– Ewa nie zaglądała do nas od zeszłej środy – Renata poinformowała sędzinę Opolską. – Słucham? Jak to wyszła do nas wczoraj. Tutaj? Na Tajtary? Nie, nie nocowała. Chryste, co się stało?

O noworocznym toaście Władysława Gomułki oraz życzeniach marszałka Mariana Spychalskiego już nie przeczytała.

– Przekażę natychmiast ojcu. – Rzuciła słuchawkę na widełki.

Obok lustra w metalowej ramie, które wisiało tuż przy drzwiach, czekała na Renatę żona naczelnika urzędu pocztowego na ulicy Smętnej. Pachniała wodą po kalafiorze i spaloną cebulą.

Bykowie, choć wszyscy wołali na nich barany, byli lepsi. Jako jedyni w kamienicy Mazurków mieli telefon i własny kibel. Kibel na ogólnym wprowadzie korytarzu, ale tylko dla siebie. Zamykany na dwie kłódki od zewnątrz i na skobel od wewnątrz.

– Coś się stało? – Róża Bykowa zapytała Renatę.

– Wszystko w porządku. Przepraszam, śpieszę się – odpowiedziała starsza Mazurkówna.

– Nie po to wchodziłam na drugie piętro, żeby zawołać sąsiadkę do telefonu, żeby mi teraz sąsiadka burczała: „Wszystko w porządku. Przepraszam, śpieszę się”.

Skaranie boskie z tą Bykową. Pozwalała korzystać każdemu z telefonu, ale po zakończeniu rozmowy zawsze czekała na streszczenie najważniejszych wątków.

– Moja siostra... zaczęła rodzić – wyjaśniła Renata. – Naprawdę muszę już iść.

– Żeby siostrze sąsiadki, tej całej Ewie, nie zrobiło się jak waszej matce. – Naczelnikowa zdierała czerwony lakier z paznokci. – Widziałam ją na klatce schodowej. Będzie z miesiąc temu. „Dzień dobry” nawet do niej powiedziałam, a ona popatrzyła na mnie tak ślepo i straszno. Całkiem jak nieboszczka Maria, w którym to roku? W czterdziestym dziewiątym? W pięćdziesiątym? Parę dni przed przyjściem na świat siostry sąsiadki.

– Przed urodzeniem Ewy?

– Przecież mówię.

– Ewie na pewno nie zrobiło się jak naszej matce – zdenerwowała się Renata – bo naszej matce nic się nie zrobiło. Co

pani plecie, pani Bykowa?

– Plecie, plecie, zaraz plecie. Nic się Maniutce nie zrobiło, bo nie zdążyło się zrobić. Zeszła na amen.

– Tu niech pani sobie przeczyta. – Renata sięgnęła po „Głos Bolegoszczy” i stuknęła palcem w gazetę. – Tu piszą, że śmiertelność noworodków oraz matek rodzących zmalą.

– Może zmalą, a może nie. Ja tam swoje wiem. – Bykowa wzruszyła ramionami. – Wasza matka od początku ciąży z Ewką wyglądała tak, jakby się jej skrobanka nie udała. Sąsiadka nie zauważyła, że ta wasza Ewka zachowuje się jak ocalona od smyrania wieszakiem? Ciągłe sztywne i jakby... jakaś taka, jakaś taka... – Bykowa uniosła oczy w górę.

– Jaka? – zapytała Renata.

– Taka jakaś metalem krochmalona.

Renata poczuła dreszcze na plecach. „Metalem krochmalona?”

– A Maniuta, znaczy Maria, wasza matka, po aresztowaniu Franciszka zaczęła strasznie marnieć. Pod koniec ciąży wyglądała jak śmierć. Sąsiadka może nie pamięta, sąsiadka dziecko wtedy była. Ale ile Maniuta, tutaj, na tym taborku siedząc, łez wypłakała, to tylko ja wiem. Przychodziła i ryczała, że dwójki sama nie wychowa, że wolałaby umrzeć niż żyć na kreskę.

– Moja matka?

– No przecież mówię. Moja wciąż żyje.

– O Boże!

– O takich jak Maniuta w naszych stronach mówią, że udusiła je pępowina.

– Że co?

– No to, że takie podduszone przez pępowinę, zaraz po porodzie targają się na swoje życie. Maniuta podobno wyskoczyła z okna szpitala, ale ja tam nie wiem na pewno, w trumnie wyglądała, jakby szła do ślubu. W białej sukience z welonem.

– Dlaczego nigdy mi pani o tym nie powiedziała?

– A pytała sąsiadka? Wszyscy tutaj myślą, że ja tylko czekam, żeby wsadzić nos w nie swoje sprawy. Jakby każdy po ludzku powiedział, co go trapi, toby usłyszał poradę od serca. Wszyscy wchodzi jak po ogień, a wychodzą jak z ogniem w dupie. Byle szybciej, byle szybciej.

– Mogę zadzwonić? – zapytała Renata.
– A niech sąsiadka dzwoni. Jak już skończy, niech się wpisze do zeszytu. Po pieniądze przyjdę pod koniec miesiąca.

Renata wykręciła numer.

– Pani Wando, ojciec jest u pani? Zdarzyło się – Renata spojrzała na Bykową – zdarzyło się nieszczęście.

*

– Na szczęście pojawiłeś się w pobliżu. – Ryszard Mielnicki zakładał burozielony brezent na swojego Citroëna. – Przytrzymaj z drugiej strony i naciągnij. – Prokurator poinstruował Pawła Opolskiego. – Lepiej, proszę ja ciebie, osłaniać niż odśnieżać. Samochody są cenniejsze niż kobiety, zapamiętaj to sobie, młody człowieku. Kobiety można wymienić w każdej chwili, a samochód? Jeszcze naciągnij. Tak, z tej strony. Wystarczy.

Prokurator otrzepał płaszcz i rękawice. Dostrzegł na zaśnieżonym chodniku nastroszonego kulejącego gołębia. Ściągnął rękawicę, wyjął z kieszeni kożucha garść prosa i ziaren słonecznika. Rzucił karmę tak, by nie spłoszyć ptaka.

Dopiero po tym obdarzył Pawła uwagą.

– Marzniesz? Ty? Kiedy ostatnio cię widziałem, wyglądałeś jak słońce na lipcowym niebie.

– Wróciłem na studia. – Paweł naprawdę drżał. Drugiego dnia nowego roku temperatura spadła do minus dwudziestu trzech stopni.

– Wiem.

– Skąd?

– Proszę, proszę. Intuicyjnie wchodzisz w rolę. Pytanie, odpowiedź. Pytanie, odpowiedź. Wiesz, co się robi, kiedy ktoś nie udziela odpowiedzi?

– Nie.

– W pysk. Potrafiłbyś? – Mielnicki spojrzał na Opolskiego zaczepnie.

– Skąd pan wie, co u mnie? Obserwuje mnie pan?

– Daj spokój, chłopaku. Nie ten wzrok. W lewym minus osiem, w prawym minus dziewięć i pół.

– Pogrzebałem w Warszawie w uczelnianych archiwach. – Paweł roztarł ręce. – Pan, prokuratorze, i docent Mirosława Hałas skończyliście Wydział Prawa w tym samym roku.

– Sprawdziłeś mnie? Bardzo słusznie. A Mirka? Łaciata Mirka. Stare dzieje. Widziałeś, proszę ja ciebie, jej dekolt? Nieważne. Jeszcze mi się przyśni. Siadywaliśmy obok siebie na wykładach z karnego. – Mielnicki potarł nos. Naciągnął na czoło uszatkę z futra. – Do połowy lutego mróz będzie tak ścisnąć. Wyobrażasz sobie? Nienawidzę zimna.

– W marcu dostałem u docent Hałas ocenę niedostateczną.

– Którą poprawiłeś we wrześniu.

– Po pana interwencji?

– Tak daleko moja władza nie sięga. Na wszystkie pytania odpowiedziałeś podobno śpiewająco. Przy okazji ucałuj Mirce rączki ode mnie.

Paweł przypomniał sobie czerwone, łuszczące się plamy na ciele docent Hałas. Wzdrygnął się.

– Pana koleżanka najpierw mnie oblała, wylała, a potem ułaskawiła. Chcę wiedzieć, czy to przez znajomość z panem.

– Przez znajomość ze mną podjąłeś decyzję o powrocie na uczelnię? – Prokurator nawet nie próbował ukryć irytacji. – Przez znajomość ze mną pojechałeś we wrześniu do Warszawy na spotkanie z Mirką? Przez znajomość ze mną napisałeś prośbę do rektora? Przez znajomość ze mną wykułeś gospodarcze tak, że zagiąłeś samego profesora Dembickiego? Przez znajomość ze mną zrezygnowałeś z pisania pracy o *Zwierciadle saskim*? Przez znajomość ze mną zdecydowałeś się na teorię i praktykę domniemań? Zastanów się. To były twoje, a nie moje życiowe wybory. Może powinieneś powtórzyć egzamin z logiki.

– Hazard wymyka się logice.

– Hazard?

– Pan obstawia, jak to pan powiedział, moje życiowe wybory jak konie na wyścigach. Od dawna przygląda się pan temu, co robię?

Mielnicki skierował się w stronę prokuratury.

Paweł zatrzymał go. Położył dłoń na ramieniu Ryszarda.

– Czekał pan na właściwy moment, prawda? Najpierw pan sądził, że złapie mnie wojsko.

– Ale nie złapało. W sierpniu napisałeś do WKU wzruszające podanie. Prawda? Jak to ująłeś? Żona w ciąży, ty jesteś jedynym żywicielem podstawowej komórki społecznej. Musisz kontynuować naukę, aby pracować dla dobra socjalistycznej Polski. Krótko mówiąc – przekonałeś i wzruszyłeś wszystkich. Nawet podpułkownika Nalewajkę. Odroczył ci służbę. Ja odroczyłem swoje plany. Nie interweniowałem, chociaż mogłem.

– Jakie plany?

Pod prokuraturę zajechała nyska, z której wyskoczyło dwóch milicjantów. Trzeci wypchnął z samochodu więźnia ze skutymi nogami i rękami.

– Muszę wracać do pracy – powiedział Mielnicki, patrząc na funkcjonariuszy. Wprowadzali do budynku drżącego mężczyznę. Ryszard marzył o gorącej kawie i kieliszku brandy.

– Jeszcze chwila. Gdybym trafił do wojska, zaproponowałby mi pan współpracę za zwolnienie ze służby? – Paweł zbliżył się do Ryszarda.

– Gdybyś trafił do wojska, niczego nie musiałbym ci proponować. Po miesiącu błagałbyś mnie, żebym cię z niego wyciągnął. Podpisałbyś każdy papier.

– A ponieważ nie trafiłem... Wykorzystał pan wypadek z Andrzejem.

– Szkoda, że nie pomyślałeś o tym wcześniej.

– Szkoda, że nie złożył mi pan jeszcze jednej propozycji. Tym razem podszedłbym do niej poważniej niż w lipcu.

– W mojej prywatnej klasyfikacji istnieją dwie kategorie współpracowników. – Mielnicki poruszył palcami w butach. „Pewnie już odmrożone”, pomyślał. Zimowe trzewiki z Rzymu nadawały się na włoskie chłody, lecz nie na polskie mrozy. – Pierwsza kategoria to ci, których zmuszam do współpracy. Zazwyczaj nie odmawiają. Znają stawkę. Jak ich pozyskuje? Przez zaufanych ludzi. W drugiej grupie znajdują się ci, którzy sami chcą dla mnie pracować. Nie wywieram na nich presji. Czekam, aż sami do mnie przyjdą. Czasem bardzo długo.

– Dlaczego?

– Bo warto. Są lojalni, wierni i gotowi na wszystko.

– A na mnie? Czekał pan?

– Powiedzmy, że się spodziewałem. Ale przegapiłeś okazję. Teraz będziesz bratem skazańca, który w najlepszym razie dostanie dwadzieścia pięć lat, a w najgorszym stryczek.

– Pan dobrze wie, że w plecaku Luby Stanisławskiej, który pana ludzie znaleźli w mieszkaniu mojego ojca, nigdy nie było żadnego złota. To pan zorganizował pół kilo ruskiego złomu i podrzucił do materiału dowodowego. Zrobił pan Andrzeja na cacy.

– Daj spokój. Jestem za poważny na podobne zabawy.

– Jeśli sąd skaże Andrzeja, co raczej pewne, wygra pan rundkę z moim ojcem. Nic więcej. Satysfakcja minie panu po tygodniu. Znowu zacznie się pan nudzić.

– Skąd wiesz, że gram z twoim ojcem?

– W lipcu wspomniał pan, że jest jego przyjacielem z dawnych lat. Znam przyjaciół mojego ojca. O panu nigdy nie wspominał. Zapytałem go wprost, czy pana zna. Czy łączy go coś z panem. Wie pan, prokuratorze, co mi odpowiedział?

Złość na wspomnienie o Tadeuszu zaczynała rozgrzewać Mielnickiego lepiej niż gorąca kawa z koniakiem.

– „Słabo go pamiętam”, powiedział mój ojciec. „Syn szewca i szwaczki. Był i będzie miernotą z sutereny”.

Krew wróciła Mielnickiemu do rąk, nóg i twarzy.

Prokurator ściągnął brwi i zacisnął usta.

Paweł zauważył zmianę w zachowaniu Mielnickiego.

– Jestem przekonany – powiedział – że Andrzej może wyjść na wolność, kiedy pojawią się nowe dowody.

– Jakże? – zapytał Mielnicki.

Paweł wyciągnął z kieszeni kożucha kopertę. Podał ją Ryszardowi.

Ten zdjął rękawice, wyjął list ze środka i szybko przebiegł wzrokiem.

– Żartujesz, prawda?

– Jeśli pan to załatwi, będę dla pana pracować.

– Artykuł dwieście siedemdziesiąty Kodeksu karnego, paragraf pierwszy. Grozi za to od trzech miesięcy do pięciu lat.

– Będę dla pana pracować – powtórzył Paweł. – Bez względu na wszystko.

- Bez względu na wszystko? – zapytał Mielnicki.
- Obiecuję.

3.

Ewa obiecała sobie, że nie spojrzy na dziecko.

Jednak kilka godzin po porodzie stanęła przed wielką szybą oddzielającą salę noworodków od korytarza. Z daleka obserwowała pielęgniarkę i dwie praktykantki krzątające się między sześcioma łózkami. Na każdym z nich stało osiem kuwet, a w środku każdej leżało dziecko. W sumie czterdzieści osiem oseków.

Położna zauważyła Ewę. Wyszła na korytarz.

– Pani to które będzie? – zapytała.

– Nie wiem.

– Nazwisko?

– Mazu... Opolska.

Kobieta w bieli zniknęła w sali. Przejrzała karty informacyjne na kuwetach dzieci. Przy jednym z noworodków zatrzymała się dłużej. Podniosła maleństwo do góry. Ewa ujrzała biały kokon, z którego wystawała łysa główka. Larwa z otworem gębowym i z zamkniętymi oczami.

„Boże, wystarczy”.

Wystarczy, że urodziła toto. Że pozbyła się ciężaru, chociaż resztki po nim wciąż spływały po jej nogach. Nie, nie czuła bólu po porodzie.

Macica Ewy już zapomniała o dziecku. Wbrew zwyczajom wszystkich macic natychmiast po porodzie skurczyła się do rozmiarów sprzed ciąży. Jedynym znakiem niedawnej brzemienności była naturalna ciemna linia biegnąca od pępka do łona. Dziś rano zauważyła, że pojawiła się druga kreska. Ciemniejsza. Krótsza. Poprzeczna. Przecinała tę dłuższą, tworząc na brzuchu znak krzyża. Jak piętno.

– Nikt nie wie, że tu jestem – szepnęła.

Dzień wcześniej kierowca czwórki, któremu pies wbiegł pod koła na skrzyżowaniu ulic Mickiewicza, Norwida i Słowackiego, wysiadł

z autobusu, żeby sprawdzić, czy durnowata sobaka przeżyła zderzenie z pojazdem.

Miała pecha.

Oprócz martwego psa kierowca dostrzegł leżącą na ławce po przeciwnej stronie jezdni ciężarną – jak mu się zdawało – kobietę. Podeszedł bliżej. Pod ławką zamarzała kałuża. Ślizgawka z wód płodowych. Kierowca przypomniał sobie, że takie bajorko chlusnęło z jego żony pół roku wcześniej. Pięć godzin później na świecie pojawiła się mała Halinka (od tygodnia ząbkuje!). Kierowca, można powiedzieć, znał się na podstawach położnictwa.

– Wież pan kobitę do kliniki na Dwudziestolecia – krzyknął jeden z pasażerów. – Bo dziecko mrożone będzie!

– Specjalista z Bożej łaski – mruknął szofer, próbując dźwignąć Ewę z ławki.

Sęk w tym, że dziewczyna nie chciała nigdzie jechać. Krzyczała, że czeka na matkę. Matka, wołała, za chwilę po nią przyjdzie i zabierze do siebie.

– Matka, matka, trzymaj mnie pani mocno za szyję. Matka panina przyjdzie, ale jutro pod szpital. Pokażesz jej pani dziecko z okna, a ona posika się ze szczęścia – huknął kierowca, który na widok Halinki (jeszcze nie przesypia całych nocy, niestety) sam prawie popuścił z radości.

Na siłę wsadził Ewę do autobusu i kazał trzymać pasażerowi, który wyglądał na kulomiota. Wbrew regulaminowi zjechał z trasy i dotarł w dwanaście minut na szpitalny podjazd, ratując życie matki i dziecka (tydzień później dostanie za to pochwałę, a jego zdjęcie zawiśnie na tablicy z wizerunkami zakładowych bohaterów). Odetchnął z ulgą. Znał się na podstawach położnictwa, co miał się nie znać. Porodu jednak nie chciał odbierać. Tak przed końcem zmiany?

Lekarz dyżurny skierował od razu Ewę na pierwsze piętro, na oddział doktora Czubka.

– Rozwarcie już na osiem centymetrów. Rozgrzejesz się przy dziesiątym parciu – obiecał doktor Czubek, kiedy jedna pielęgniarka goliła krocze Ewy, a druga mierzyła ciśnienie. – Najdalej przy dwunastym.

Już w trzecim wyparła z siebie larwę.

– Żywe toto? – zapytała słabym głosem.

– Żywe – odparła położna, która próbowała zrozumieć, dlaczego nagle na porodówce zapanował przenikliwy chłód. Okna zamknięte, drzwi zamknięte, a zimno jak w grudniową noc.

Mazurkówna zamknęła oczy.

Nie dosłyszała, co mówi pielęgniarzka. Syn? Córka? Tak toto wrzeszczało, tak się darło, tak czegoś chciało.

Czego?

Od kogo?

Teraz Ewa stała wciąż pod salą dla noworodków i patrzyła na swoje dziecko.

Z daleka.

Z bardzo daleka.

W tym samym czasie niemal jednocześnie rozwrzeszczało się kilkoro dzieci. Pielęgniarzka odłożyła maleństwo Opolskich. Zagoniła do roboty chichoczące praktykantki.

– Już pani karmiła? – Przy Ewie wyrosła kobieta po trzydziestce, okryta szlafrokiem o kroju worka na buraki. Przetłuszczone włosy związała w dwa wysokie kucyki. Ewa pomyślała, że wygląda w nich jak zgrzypik twardokrywka. „Zdałabym maturę z biologii celująco”.

Baba zgrzypik wspięła się na palce. Próbowała zajrzeć do kuwety ustawionej pod przeciwległą ścianą.

– Ja to już od trzech dni. Z piersi, mówię pani, jak tylko pomyślę o karmieniu, mleko leci jak woda z kranu. Tylko kurków brakuje, żeby podregulować przepływ – roześmiała się. – A pani?

– Co ja? – zapytała Ewa. Pragnęła, żeby baba zgrzypik zniknęła.

– No pytam przecież. Karmiła już pani?

– Tak. – Ewa zakryła rękoma puste piersi.

– Syna urodziłam. Dziesięć lat starałam się o niego. A pani?

– Ja się nie starałam.

– Co pani urodziła, no przecież pytam? – Baba zgrzypik poprawiła poły szlafroka. Cuchnął zjełczalym mlekiem oraz kwaśnym potem. Na piersiach kobiety Ewa dostrzegła dwie powiększające się wilgotne plamy.

– Też syna – odpowiedziała Ewa.

– Jak będzie miał na imię?

– Po dziadku.

Baba zgrzypik przysunęła się do Mazurkówny.

– Śliczne cacko. – Spojrzała na pierścionek Ewy. Pogłaskała zielone oczko. – Co to za kamień?

– Szmaragd. Chyba. Nie jestem pewna – odpowiedziała Mazurkówna i przekręciła pierścionek tak, żeby nie było widać kamienia.

– Ja za syna dostanę złoty z rubinem. Dzisiaj wychodzę. – Baba zgrzypik wskazała głową na torbę stojącą na korytarzu. Wystawał z niej rękaw pomarańczowego swetra. – Mąż czeka na dole, moja matka, nawet teściowa. Rodzina, mówię pani, cała w komplecie. A pani kiedy? Też dzisiaj?

– Też dzisiaj.

Kobieta stanęła na palcach.

– Stasinek płacze! – krzyknęła. – No mówię, że Stasinek płacze! Niech pani popatrzy – zwróciła się do Ewy – co za znieczulica. I ona chce być pielęgniarką – skrytykowała jedną z praktykantek. – Już ja nauczę tą ofertę moresu!

Baba zgrzypik, podtrzymując obwisły brzuch, wparowała z awanturą do sali dla noworodków. Położna wyprowadziła ją po chwili.

– Powiedziałam, co trzeba i... – Baba zgrzypik rozejrzała się po korytarzu.

Nie dostrzegła ani stojącej tu przed chwilą młodej matki, ani swojej torby.

*

Wiktor Złotoś, nowy dyrektor szpitala w Niedorośli, siedział przy stole konferencyjnym przykrytym zielonym sukniem wraz z Sylwestrem Dąbrowskim – sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej (na etacie sekretarza POP), z Gwidonem Cieszką – wicesekretarzem POP (na etacie szpitalnego księgowego), z doktor Teresą Rembałą – członkinią zwyczajną POP (na etacie psychiatry dziecięcego w pawilonie D), z Lucyną Sopałą – protokolantką (na etacie sekretarki dyrektora Wiktora Złotosia), oraz z nieodłączną paprotką stojącą pośrodku stołu (na etacie świadka wszystkich posiedzeń zarządu).

Zakładowa komisja dyscyplinarna rozpoczęła zebranie.

Na ścianie, za komisją, wisiał orzeł bez korony.

Na krześle, przed komisją, siedział Tadeusz Opolski bez honoru.

– I nie dotarliście, panie kolego, powiedziałałabym towarzyszu, ale sumienie mi nie pozwala, nie dotarliście do Warszawy w październiku. Na konferencję – powiedział sekretarz Dąbrowski. Teresa Rembała pochyliła się w stronę sekretarza i szepnęła mu coś na ucho. – Dziękuję. Na międzynarodową konferencję. Z jakiej przyczyny, panie kolego?

– Z przyczyny fatalnego zbiegu wydarzeń.

– To nie okoliczności zbiegły, tylko pan. Towarzyszu dyrektorze? – sekretarz Dąbrowski zwrócił się do Złotosia. – Ma pan coś do powiedzenia?

– Trudno mówić o ucieczce, towarzyszu sekretarzu. – Złotoś stuknął piórem w blat stołu. – Doktor Opolski ósmego października rano otrzymał wypis na delegację służbową. Zamierzał dopełnić obowiązków. Czy to jego wina, że...?

– Nie dojechał? Nie dojechał. – Sekretarz Dąbrowski aż się uniósł z krzesła. – A jak nie dojechał, to można powiedzieć, że zbiegł. I co pan na to, doktorze?

Złotoś upuścił pióro na podłogę.

– W medycynie – powiedział, schylając się po zgubę – najpierw szukamy przyczyny, a następnie stawiamy diagnozę. Nieumyślne zaniedbanie obowiązków służbowych nie jest przestępstwem i – jak sądzę – ma swoje uzasadnienie. Prawda?

Złotoś spojrzał spode łba na Tadeusza. Rozłożył ręce, wydał usta i wytrzeszczył oczy.

Opolski zrozumiał: „Nabroiłeś, chłopie!”, mówiło ciało Złotosia, „Nic więcej nie mogę”.

Złotoś naprawdę nie mógł, choć bardzo chciał pomóc Tadeuszowi. To od Opolskiego nauczył się w ciągu ostatnich dziesięciu lat wszystkiego o dobrej robocie w szpitalu. „Diagnoza to za mało”, wyjaśniał Tadeusz. „Badaj kontekst i przyczynę. Rób dokładny wywiad rodzinny i środowiskowy, ale nie ufaj temu, co mówią krewni i znajomi chorego. Często mylą się w ocenie albo zwyczajnie kłamią. Zgłębianie ich motywacji nie jest twoim zadaniem. Obserwuj, obserwuj i jeszcze raz obserwuj pacjenta. Objawy przedmiotowe powiedzą ci więcej niż podmiotowe: słuchaj chorego.

Przyglądaj się jego reakcjom. Ciało mówi więcej niż usta. Ufaj swojej intuicji, zwłaszcza wtedy, gdy zawodzą dane obiektywne. Nie kombinuj. Proste rozwiązania okazują się zazwyczaj najcelniejsze. I jeszcze jedno, Wiktor”, powtarzał Opolski, „bądź mądry i współczuj. Nie jesteś lepszy od swojego pacjenta. Jeśli tego nie zrozumiesz, twoja praca nie będzie miała sensu. Miej głowę psychiatry, ale serce wariata”.

Tak. Złotoś najchętniej odesłałby Tadeusza z naganą i następnego dnia przywitał na powrót z szeroko otwartymi ramionami w progach pawilonu A.

– Jakie ma pan kolega usprawiedliwienie? – zapytał sekretarz Dąbrowski.

– Uzasadnienie – poprawił go dyrektor Złotoś. – Naprawdę brzmi lepiej.

– Nie mam – odrzekł Tadeusz. – Oprócz tego, że popsuł mi się samochód.

Protokolantka notowała każde słowo.

– Samochód? – powtórzył księgowy Gwidon Cieszka.

Opolski obserwował protokolantkę łomoczącą w maszynę. „To można pisać wszystkimi palcami, a wałek do papieru przesuwac równo co trzydzieści cztery sekundy? Czary”.

– Samochód? – zapytała sekretarka z dłońmi zawieszonymi w gotowości bojowej nad klawiaturą.

– Jakim samochodem pan kolega jeździ? – Sekretarz Dąbrowski wychylił się w stronę Tadeusza. – Bo nie pamiętam.

– To bez znaczenia. – Głos zabrała doktor Teresa Rembała. –

Nawet gdyby jeździł obrzydliwie drogim mercedesem, liczyłoby się tylko to, że nie dojechał na październikową konferencję. Zaprzepaścił szansę na przedstawienie dokonań naszego zakładu na międzynarodowym forum. Nieobecności doktora Opolskiego nie tłumaczą żadne przyczyny, usprawiedliwienia czy, jak chce towarzysz dyrektor, „uzasadnienia”.

„Ta cała Rembała wygryzie Złotosia w ciągu pół roku”, pomyślał Opolski i podrapał się po brodzie. Uświadomił sobie, że od sylwestrowego wieczoru ani razu się nie ogolił. „A Wiktor długo będzie lizał wygryzioną dupę”.

– Mamy jednak również inną sprawę – Rembała włożyła okulary – do przedyskutowania, towarzyszu sekretarzu.

Księgowy Gwidon Cieszka poczuł się w obowiązku.

– A tak. Sprawa. Alicja Mielnicka – powiedział i spojrzał na Opolskiego w napięciu i oczekiwaniu.

– Alicja Mielnicka? – zdziwił się najpierw Tadeusz, lecz chwilę później zrozumiał. – A co to za sprawa?

– Kim jest dla pana? – sprecyzował sekretarz Dąbrowski.

– Była moją pacjentką.

– Tą pacjentką – Teresa Rembała przekręcała na palcu złotą obrączkę – która próbowała popełnić samobójstwo na pana oddziale w kwietniu ubiegłego roku?

– Na moim oddziale nikt nigdy nie popełnił samobójstwa.

– Ale próbował. – Teresa Rembała zdjęła obrączkę, położyła na zielonym płótnie, obok brulionu z notatkami, i muskała liście paprotki. – A to oznacza, że w każdej chwili w pawilonie A może dojść do nieszczęścia. Kto za to poniesie odpowiedzialność? Pan osobiście czy cała placówka?

– Cała placówka – potwierdził sekretarz Dąbrowski. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się czternasta. Za czterdzieści minut powinien odebrać żonę z dworca. Wracła od matki spod Szczecina. Wiedział, że tydzień po powrocie znowu do niej wyjedzie. „Niech jedzie!”, pomyślał. Spojrzał na zaperzoną Teresę i oblizał się.

– Żywimy kolektywną obawę – proszę wybaczyć, panie kolego, szczerość – że pana kłopoty osobiste nie pozwalają panu kontrolować spraw zawodowych. – Teresa Rembała zwilżyła usta zimną kawą. W ich kącikach pozostał ciemny osad.

– Niech pani nie przesadza. – Doktor Złotoś skończył piątą serię odliczania do dziesięciu i głęboko oddychał. – Wszyscy mamy słabsze momenty w życiu.

– I wszyscy wiemy, kim jest Alicja Mielnicka – dokończyła Teresa Rembała.

– Ja nie wiem – szepnęła znad maszyny protokolantka.

– Żoną prokuratora okręgowego – wyjaśnił Gwidon Cieszka.

– I tę żonę – Teresa Rembała wstała od stołu i podeszła do okna – żonę prokuratora okręgowego pan, panie kolego, najpierw naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo, a później, w stanie

wątpliwej poprawy stanu zdrowia, polecił zatrudnić w naszym zakładzie na stanowisku... Właściwie na jakim stanowisku?

– Alicja Mielnicka nie była chora, żeby...

– Więc dlaczego pan ją przyjął do szpitala?

Tadeusz milczał.

Sekretarz Sylwester Dąbrowski cieszył się, że nie musi prowadzić posiedzenia. Członkini POP Teresa Rembała jak zwykle odwaliała za niego najgorszą robotę. Podniecała go swoim partyjnym podnieceniem. Loczek na jej czole podskakiwał jak Krupska na Leninie, a kolanko drżało tak, że no o Boże. Och, już on by ją na tym stole taką zaperzoną wziął z każdej strony. Jak po ostatniej naradzie w grudniu. Gorąca była, ochotna i taka, jakby to powiedzieć, otwarta.

Wicesekretarz Gwidon Cieszka gmerał w uchu i zastanawiał się, co zaserwuje dzisiaj szpitalna stołówka. Z daleka wyczuwał zupełną szczawiową i klopsy w sosie pomidorowym.

Protokolantka oglądała paznokcie. Znowu złamała dwa, chociaż były krótkie. Wszystko przez to walenie w maszynę.

– Powtórzę. – Teresa Rembała podeszła do Opolskiego. – To pan przyjął Alicję Mielnicką na swój oddział. To pan odpowiadał od początku do końca za jej zdrowie i bezpieczeństwo. To pan niemal dopuścił do nieszczęścia, to pan podjął absurdalne decyzje kadrowe, to pan w końcu ośmieszył prokuratora okręgowego.

– Zgłaszam sprzeciw formalny. Uczucia i emocje prokuratora okręgowego nie są przedmiotem naszego zebrania – zaproponował dyrektor Złotoś. Czuł coraz większą złość na Opolskiego. Tyle razy namawiał go, by zapisał się do partii. Tyle razy tłumaczył mu, że w życiu trzeba być jak rzodkiewka: czerwona skóra, biały duch.

Teresa Rembała gestem ręki uciszyła Wiktora Złotosia.

– Wystarczyło, panie kolego, wykonać pracę intelektualną – zwróciła się do Tadeusza. – Wystarczyło pomyśleć przez chwilę, w jakiej sytuacji postawił pan wybitną osobistość. Zatrudnił pan prokuratorową do uczenia angielskiego? I to gdzie? Na oddziale alkoholików? W ramach, jak pan to ujął w swoim pierwszym pisemnym wyjaśnieniu, terapii zajęciowej?

Sekretarz Dąbrowski przesunął palcem pod nosem. Kichnął.

Wicesekretarz Cieszka zmarszczył czoło. Myślał.

Protokolantka zakryła usta dłonią. Ziewała.

Tadeusz Opolski siedział przygarbiony. „I znowu Mielnicki. Wziął Barbarę, zabrał pracę, posadził Andrzeja. Co jeszcze? Co?”

– Tu jest nieoficjalne pismo z prokuratury. – Rembała podeszła do stołu i wyciągnęła dokument z teczki. – Jeśli dyscyplinarnie zwolnimy pana, panie kolego, za niedopełnienie obowiązków zawodowych oraz przekroczenie kompetencji, to honor naszej placówki zostanie ocalony. Dlatego obawiam się, że...

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Jest telefon do doktora Opolskiego – zameldował portier Kanarek. – Matka pana doktora dzwoni, że synowa wczoraj urodziła i że zniknęła ze szpitala. Zaginęła. Ma pan wracać co prędzej do Bolegoszczy, a po drodze do domu sprawdzić na dworcu i we wszystkich szaletach miejskich, czy synowej tam nie ma.

Tadeusz poderwał się z krzesła.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Pan kolega dokąd? – zapytała Teresa Rembała.

– W cholerę – odpowiedział Opolski. Chwycił teczkę i bez pożegnania ruszył w stronę wyjścia. – Panie Kanarek – zwrócił się do portiera – a mógłby mi pan...

– Nie. Płaszcz panu nie pożyczę – odpowiedział portier. – Mowy nie ma!

Paweł włożył rękawice do skórzanej torby.

Nacisnął dzwonek.

W głębi mieszkania rozległy się ciężkie kroki.

Opolski czekał.

Gapił się na mosiężną tabliczkę przytwierdzoną do drzwi czterema wkrętami:

Hanna Górską-Karp

i

Bernard Karp

– Ty? – zapytał Benek. – Czego chcesz? – Na ramieniu trzymał dziecko. Próbowało dźwigać głowę na wątlej szyi. Głowę pokrytą miedzianym meszkiem.

– Masz sprzedać karton marlboro? – zapytał Paweł. Ominął grzecznościową formułę „pan”. Kiedy ostatnio zwrócił się w ten

sposób do Karpia, skończył na podłodze z pańskim kutasem między pośladkami. – Marlboro potrzebuję.

– Tylko dunhille. Zostało mi pół kartonu.

– Marlboro.

– Co cię tak naszło na marlboro?

Nie Opolskiego naszło, tylko Świerszcza. Zaś Opolski musiał wywiązać się z obietnicy.

Kiedy dzień wcześniej dostał od ojca książkę Andrzeja z dedykacją Luby Stanisławskiej, przypomniał sobie, że jego bratu zdarzało się bezkarnie zwiewać ze szkoły. Sam zdybał go raz na działce w Łączkach. Z butelką taniego wina, z paczką najtańszych fajek i w towarzystwie Bolka. Paweł postraszył Andrzeja konsekwencjami: za wagary pała z zachowania i kolejny dywanik u Maciory.

„Ale co to znaczy? Wszystko będziesz miał usprawiedliwione?“, zapytał. „I co to znaczy, że dla ciebie to nie pierwszozna?“

Andrzej uśmiechnął się. „Bolek podrobi każde pismo, stary. To mistrz fałszowania podpisów“.

Paweł wątpił.

Wtedy Bolek, między jednym a drugim szlugiem, machnął podpis Pawła na marginesie „Przyjaciółki“. W baraku w Łączkach matka trzymała stare numery prasy.

„Skąd znasz mój podpis?“, zdumiał się Paweł.

„A nie wiem, gdzieś przyuważyłem“.

„Wystarczy, jak podrzucisz trochę dobrych fajek przed powrotem do jednostki. Andrzej obiecał mi kiedyś paczkę marlboro, ale wyszło, jak wyszło“, Bolek powiedział do Pawła dzień wcześniej na tyłach warsztatu ojca. Przyjechał do Bolegoszczy na przepustkę. Wychudzony i przemęczony zapytał tylko:

„Myślisz, że to pomoże Andrzejowi?“

„Pod warunkiem że nie puścisz pary z gęby“.

Bolek długą chwilę przyglądał się dedykacji w książce Fiodora Gładkowa. Analizował charakter pisma Luby Stanisławskiej. Na kartce wyrwanej ze starego zeszytu nasmarował kilka zdań, odwzorowując okrągłe litery Grigoriewny.

„To co mam napisać?“

„Podyktuję”, powiedział Paweł.

Bolek wyrwał kolejną kartkę i wykaligrafował pod dyktando:

Śmierć w rzece lepsza, czem życie bez rodziny.

Luba, 6 kw. 1968

„Dobrze?”, zapytał Bolek.

„Idealnie”.

„Tyle na pewno wystarczy?”, Świerszcz miał wątpliwości.

„Im krócej, tym lepiej”.

„Dostanę papierosy?”

„Jutro”, obiecał Paweł.

– Marlboro, marlboro, marlboro. Znaczy, że twoja matka znowu w potrzebie – dedukował Karp. – Nie widziałem jej ostatnio.

– Wyprowadziła się.

– Może przerzuciła się na giewonty?

– To nie dla matki. To dla ojca – wyjaśnił Paweł.

– Zaczął palić? – zdziwił się Benek.

– Po rozwodzie z matką – skłamał Paweł.

– Nic mi o tym nie wspominał. Nieważne. Dla doktora zawsze coś się znajdzie. Poczekaj chwilę. Poszukam w sypialni. Przypilnuj Leonka. Nie tak, od tej strony weź. Głowę przytrzymaj, bo jeszcze licha. Najbardziej lubi siedzieć na rękach. Jak go odłożyć, zaraz płacze. – Karp podał dziecko Pawłowi. – Czapkę zdejmij. Spocisz się. U nas gorąco.

I poszusował do sypialni.

Paweł usiadł na ławie stojącej w przedpokoju. Jedną ręką zdjął czapkę, drugą mocno przytulił do siebie Leona. Poczował ruch jelit dziecka i głośnie furczenie w pieluszce.

– Samo życie – szepnął do małego. – I co tu teraz z tobą zrobić?

Małemu śmierdziało ze śpiochów, ale Paweł nie czuł tego. Przyglądał się chłopcu. Obserwował bezzębne uśmiechy. Filozoficzną zmarszczkę na czole. Fałdki (jak dłutem rzeźbione) na zdrowym, tłustym nadgarstku. Oczy, które wciąż pamiętały życie sprzed narodzin i może nawet samego Boga.

Leon machał sprawną ręką w powietrzu. Chroma leżała bezwładnie na brzuchu. Na głowie mierzwiły się pierwsze miedziane loki. Jak u Barbary.

„Pianistą, chłopie, to ty nie zostaniesz”, pomyślał Paweł. „Może astronomem, prawnikiem albo tłumaczem? Twój pradziad Jan znał pięć albo sześć języków. Z jedną ręką można żyć”. Pogłaskał karłowate kikutki, a następnie zdrową dłoń. „I to całkiem dobrze”.

Palce zdrowej dłoni chłopczyka odruchowo zacisnęły się na wskazującym palcu Pawła. „Palec z palca”, pomyślał Opolski.

Reszta podobieństw była równie oczywista: włos z włosa, uśmiech z uśmiechu, dziurka w lewym policzku z dziurki w prawym policzku, zmarszczka między brwiami ze zmarszczki między brwiami, ciało z ciała. A Hanka precz z serca. W Opolskim narastał coraz większy żal do Górskiej. Przez niemądrą dumę i honor odebrała Pawłowi prawo do ułomności i słabości syna, a Leonowi prawo do siły i troski ojca.

Paweł głaskał dziecko po głowie.

– Zesrałeś się, Leonek. – Przy Opolskim wyrósł Karp. – Jedzie ci z pieluchy aż po sam strych. No chodź, kapitanie. – Benek wyciągnął ręce w stronę syna. – Najpierw cię, chłopie, przewinę, a potem walimy do mesy. Żarcie w butli czeka, co? Chwytaj! – Benek podał Pawłowi karton marlboro.

Opolski nie zauważył, ponieważ wciąż patrzył na...

– Syna mi oddaj – powiedział Karp. Nie spodobała mu się miedziana czupryna Opolskiego pochylająca się nad rudą główką Leona. Karp zacisnął usta jak pięści i pociągnął nosem. – Powiedziałem, syna mi oddaj.

Paweł nie zareagował.

– Muszę zająć się swoim dzieckiem. – Benek wyjął Leona z wąskich ramion Pawła. Schował chłopca w swoich szerokich i umięśnionych.

Opolski siedział bez ruchu.

– Wyrośnie z tego? – zapytał, wskazując na uschniętą rękę Leona.

– Nigdy. Ale dorośnie, żeby sobie z tym radzić. Nauczę go spuszczać wpierdol nawet tym kikutem. Teraz zjeżdżaj. Twój stary sam się ze mną rozliczy.

Karp zniknął w łazience.

Opolskiego dobiegł szum wody, popiskiwanie dziecka i głos Benka śpiewającego:

Heja, hej, brać na gejtawy, ooo!
Paddy Doyle znowu sprzedał nam pic.
Heja, hej, brać na gejtawy, ooo!
Paddy zrobił nas w konia jak nic.

Paweł w milczeniu naciągnął na głowę czapkę. Zsunął ją nisko na oczy. Zakrywała łzę w prawym oku i nienawiść w lewym.

Karp po raz drugi zgwałcił Opolskiego.

Wsunął papierosy pod pachę i nacisnął klamkę.

W drzwiach zderzył się z Hanką, odzianą w luźne futro, w wełniane spodnie wpuszczone w wysokie botki i w czarny golf. W ręku trzymała siatkę z zakupami.

„Przytyła”, pomyślał Paweł.

– To ty? – Hanka przez zaparowane okulary nie poznała Opolskiego. – Pomyliłeś piętra?

– Wpadłem na karpia po żydowsku – odpowiedział.

– U was podają dzisiaj bigos po opolsku.

– O co ci chodzi? – Paweł zaniepokoił się.

Hanka zdjęła futro. Przecierała okulary.

– W bramie minęłam twojego ojca. Potrącił mnie. Zamiast przeprosin usłyszałam: „Co za bigos, pani Hanko, co za bigos. Synowa urodziła dziś w nocy i uciekła ze szpitala”.

Paweł trzasnął drzwiami.

Hanka przekręciła klucz w zamku.

– Smacznego – mruknęła.

4.

– Smacznego – powiedziała Barbara, wchodząc do bawialni w domu Heleny Opolskiej. Kask zostawiła w kuchni. Kozaki na chodniku w holu. Poklepywała zmarznięte czerwone policzki.

Przy stole siedzieli już Franciszek Mazurek z narzeczoną Wandą Maciejewską i Renata Mazurkówna. Tadeusz Opolski zapadł się w fotelu po swoim ojcu, a Paweł przycupnął na tapicerowanym krześle między pianinem a wyjściem na werandę.

Na stole stał dzbanek z parującą herbatą.

Wanda kroić placek z kruszonką. Tak, to nie była pora na podwieczorek, ale chciała podzielić się ciastem, które upiekła. Po raz pierwszy w życiu. Po raz pierwszy w życiu nie miała też pojęcia, co czynić. Znakomicie wiedziała, że życie rzadko stosuje się do regulaminów i partyjnych dyrektyw. Ale życie Ewy, życie w roli matki oraz żony, związało właśnie z najważniejszej lekcji. Wagarowało nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim. Na pewno nie z Miłością Życia. „Miłość Życia”, prychnęła w duchu.

Kiedy Maciejewska dowiedziała się, że Mazurkówna zniknęła, natychmiast zadzwoniła do ubożanek. Siostra mistrzyni zapewniła dyrektorkę, że postulantka od cudownego zapylenia, ta, która stała się brzemienna po połknięciu pszczoły, nie zjawiała się w ich klasztorze. A gdyby nawet, matka przełożona osobiście odesłałaby ją z powrotem do rodzinnego ula.

„Co to za pomysł, żeby urodzić dziecko i uciec ze szpitala?“, zastanawiała się Wanda. „Za cztery tygodnie przecież mój i Franciszka ślub. Co czynić w tej sytuacji?“ Spojrzała na przeciwległą ścianę. Wisiał na niej wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. „Co czynić? Bo ja nie wiem“, powtórzyła Maciejewska, patrząc Ostrobramskiej prosto w oczy. Maryja nie odpowiedziała. „Towarzysz Wiesław też by nie odpowiedział“, pocieszyła się dyrektorka. „Tyle warta wiara w partię i w Matkę Boską“.

Łajza, która spała przy nogach Wandy, obudziła się, ziewnęła i zaczęła wylizywać spod ogona resztki po ostatniej cieczcze.

– Napije się pani herbaty? – Maciejewska zapytała Barbarę.

– Z miodem. Powinien być jeszcze ten, który ostatnio przynosiłam... – „Dla Ewy”, chciała dokończyć, ale powstrzymała się. – Chociaż nie. Może być taka. Boże, jak zmarłam. Nie dość, że śnieży, to jeszcze wieje. Ledwie utrzymałam się na motocyklu.

Franciszek niespokojnie wpatrywał się w Barbarę.

Przeczuwał odpowiedź. Od początku wiedział, że ta historia nie skończy się dobrze. Znał się na ludziach i na Bogu. Pojmował lepiej niż inni – pracował przecież od jedenastu lat na cmentarzu, do niejednej trumny zaglądał, do niejednego grobu sypał piach, na wielu żałobników patrzył, a i sam wiele w życiu doświadczył – że ludzkożerny Bóg nie jest prawdziwym koneserem, że gustuje wciąż w tych samych daniach, że lubi zjadać tych, których już popróbował. Mazurek obawiał się, że skoro Bóg zabrał tuż po rozwiązaniu jego żonę, zabierze też jego córkę. Dlatego Franciszek nie zgadzał się na ślub Ewy z Pawłem. Miał nadzieję, że na skalaną dziewczynę z bękartem Bóg się nie połakomi. Panna z nieślubnym dzieckiem była jak za kwaśny kapuśniak, jak przesolony rosół, jak przesłodzona kutia, jak wielkanocna baba z zakalcem. Nawet Bóg nie chciałby smakować takich potraw.

– Ewy nie ma w Łączkach. – Gnatowska przerwała ciszę. Patrzyła na starego Mazurka. – Mówiłam, że to niemożliwe. Nie wytrzymałaby w baraku na działce nawet kwadransa. Ale sprawdziłam. Tak jak pan chciał.

Renata schowała twarz w chustce. Ona dla odmiany nie po raz pierwszy w życiu straciła orientację. Czuła się tak, jakby trzymała w dłoniach źle skrojony materiał wydarzeń. W żadnej „Burdzie” nie znalazła szablonu, wedle którego mogłaby tak skroić teraźniejszość, żeby uszyć z niej przyszłość.

– W szpitalu nie pozwolili mi pójść do dziecka. – Wytarła oczy. – A błagałam. Jak Ewa się nie znajdzie, to co... – Rozpłakała się na cały głos.

Łajza wstała i zaczęła się niespokojnie kręcić.

– Nie teraz. Poczekaj jeszcze trochę – Maciejewska powiedziała do psa.

– Za pięć dni będzie można odebrać małą. – Tadeusz uspokoił Renatę. – Byłem w klinice. Rozmawiałem z doktorem Czubkiem. Edzio Łaniewski też obiecał zaglądać do dziewczynki i dzwonić do nas codziennie. Mała jest zdrowa. I wcale nie taka mała. Pięćdziesiąt siedem centymetrów i trzy tysiące osiemset pięćdziesiąt gramów. Kawał kobiety.

Nikomiu ze zgromadzonych w domu Heleny nie ulżyło z tego powodu.

– Nie jestem pewien, czy powinienem to mówić, ale dyżurująca położna...

Cała rodzina spojrzała na Tadeusza.

– ...dyżurująca położna twierdzi – doktor Opolski powstrzymywał drżenie głosu – że Ewa nawet nie spojrzała na dziecko. Nie dotknęła go ani razu. Nie przystawiła do piersi. Nie zapytała o płeć. Pacjentce, która widziała Ewę chwilę przed zniknięciem, wspomniała o tym, że urodziła syna.

Wanda Maciejewska wyjęła papierosy z torebki. Zapaliła. Zaciągnęła się głęboko.

– Czy naprawdę nikt w tym domu nie zauważył, że z Ewą jest niedobrze? Panie Tadeuszu – zwróciła się do Opolskiego – gdzie pan był, kiedy ona pogrążała się – Maciejewska zawiesiła głos – w chorobie?

Łajza szczerknęła.

Franciszek Mazurek począł rozglądać się za smyczą. Zawsze zapominał, gdzie ją zostawiał.

– Gdzie byłem? Nie tutaj. – Ordynator odpowiedział, drapiąc się po brodzie. – I nie tylko mnie tutaj nie było. To naprawdę, pani Wando, jest teraz bez znaczenia.

Doktor uświadomił sobie, że od dzisiaj będzie zaglądać tutaj bardzo często. Zanim znajdzie kolejną pracę, kto wie gdzie i kiedy, poświęci trochę czasu rodzinie. Westchnął. Stracił pracę i wszystko, co kochał i szanował: Łucję Koszurę, portiera Kanarka, wszystkie wariatki z pawilonu A i pracę naukową. Wiedział jednak, że to też teraz nie jest ważne.

– Obiecuję pani – Tadeusz zwrócił się do Maciejewskiej – że jeśli milicja nie odnajdzie mojej synowej, nie spojrzę w lustro na swoją gębę. Rzucę psychiatrię i zacznę pracować na poczcie. Oczywiście,

że powinienem rozpoznać depresję. Oczywiście, że powinienem zauważyć pierwsze objawy prawdopodobnej psychozy, ale...

– Niech pan da spokój. Najważniejsze, gdzie jest teraz Ewa – odezwał się głucho Franciszek.

Barbara skubała końcówki włosów.

W kieszeni jej grubego wełnianego golfu spoczywał pierścienek ze szmaragdem. Zamknięty w mieszku z kiedyś białego, dziś pożółkłego płótna, przewiązany wystrzępioną zieloną taśmą.

Paweł wyłamywał palce ze stawów.

– I co ja teraz zrobię? – zapytał.

– To co ja. – Franciszek podniósł się od stołu. Coś uwierało go od dłuższej chwili w siedzenie. Smycz. „Widać nie tylko w rękach straciłem czucie”. – Sam wychowasz.

– Nie tak całkiem sam. – Barbara podeszła do Pawła. Położyła dłoń na jego głowie. – A gdzie Helena? – zapytała.

– U siebie – odpowiedział Tadeusz. – Przez to wszystko poczuła się gorzej. Narzekała na serce i na głowę.

Sukapies rozpisywała się na dobre.

Franciszek zarzucił smycz na szyję. Nienawidził zakładać jej psu. „Każdy ma prawo chodzić tam, gdzie chce”, tłumaczył Wandzie. „Nawet kundel”.

– Idziemy, Łajza, na spacer – powiedział. – Ostatni dzisiaj, rozumiesz?

Renata znowu zaczęła chlipać.

Za Franciszkiem i Łajzą zatrzasnęły się drzwi wejściowo-wyjściowe.

Wanda zapaliła kolejnego papierosa.

Tadeusz nabijał fajkę.

Paweł otworzył pianino i wystukiwał jednym palcem gamę na najwyższej oktawie.

Barbara...

...nigdy wcześniej nie była w pokoju Heleny Opolskiej. Mieścił się naprzeciwko kuchni, między toaletą a schodami na górę. Zakaz wstępu obowiązywał wszystkich, nawet panie, które przychodziły sprzątać, z Ewą Mazurkówną włącznie.

Barbara zapukała. Odpowiedziała jej cisza. Uchyliła drzwi. Wsunęła się w gęsty zapach naftaliny. Minęła dębową, niedomykającą się szafę i przywarła plecami do pieca kaflowego. Wciąż czuła przenikliwy chłód po wyprawie do Łączek.

Piec był ledwie ciepły.

„To dziwne. Paweł przecież porządnie napalił przed południem” .

Barbara rozglądała się.

Pod przeciwległą ścianą dostrzegła etażerkę. Dwie półki od podłogi zajmowały ciasno upchnięte książki. Na najwyższej Barbara dostrzegła fotografie w złoconych i srebrzonych ramkach. Na jednej z nich rozpoznała siebie z haftowanym welonem na głowie i Tadeusza w pożyczonym garniturze. Na kolejnym ujrzała również siebie: siedziała w fotelu z nowo narodzonym Andrzejkiem na rękach i z pięcioletnim Pawłem, który położył głowę na jej ramieniu. Na trzecim zdjęciu również Barbara – wyprostowana jak struna, w uszytej na zamówienie garsonce z niemieckiej wełny, obok niej Tadeusz w stalowym garniturze i Andrzejek w pierwszokomunijnym stroju. Na czwartej fotografii, portretowej, największej, znowu Barbara, włosy ułożone jak Rity Hayworth, obok jej głowy – głowy chłopców (Pawłowi zaczął sypać się wąs) i głowa Tadeusza z siwiejącymi skroniami.

Gnatowska poczuła ucisk w gardle.

Starsza pani leżała w łóżku. Nad nią wisiał krzyż z wiśniowego drewna. Na prześcieradle, przy poduszce, spoczywała czarna opaska.

– Co z Ewą? – zapytała. – Znalazła się?

– Paweł zgłosił zaginięcie na komendzie. Powiedzieli, że się tym zajmą.

– A dziecko?

– Krzyczy najgłośniej.

– Wreszcie dziewczynka. – Helena uśmiechnęła się słabo. – Jak będzie miała na imię?

– Paweł wymyśli – odrzekła Barbara. – Kiedy wreszcie zaczniesz myśleć. Teraz ma pustkę w głowie. Jak my wszyscy.

– Nigdy nie pozwoliłam, abyś stała się moją córką. – Helena patrzyła w sufit. – Źle cię traktowałam.

– Matkę przecież miałam – odrzekła Barbara.

– Przepraszam. – Sędzina lekko uniosła rękę i skinęła na synową.

Przyglądała się Baŝce. Nigdy nie pomyślała i nie powiedziała o niej „była żona Tadzika”. Pozostała dla niej jedyną kobietą młodszego syna. „Co człowiek złączył”, myślała, „tego czasem i Bóg nie rozłączy. Bo nie warto”.

– Mówimy głupie rzeczy z zazdrości o synów – powiedziała stara Opolska. – Wiesz przecież.

Gnatowska podeszła do łóżka. Okryła jej zwiędnięte piersi kołdrą. Poprawiła poduszkę. Usiadła przy teściowej. Długo na nią patrzyła. Naraz spostrzegła ze zdumieniem, że zmarszczki na twarzy sędziny wygładzają się, ostre rysy łagodnieją, a głęboka bruzda między brwiami znika. Powieka porastająca pusty oczodół naraz otworzyła się i sędzina popatrzyła na Baŝkę dwójgłębokimi bladobłękitnymi oczu.

– Jestem już bardzo zmęczona. – Jej głos zabrzmiał jeszcze słabiej. – Opiekuj się nimi. Wszystkimi. Pawełkiem. Jego córką. Nie zapomnij o Andrzeju. Tylko ty będziesz umiała zadbać o... Potrafisz.

– Pani Heleno – Barbara ujęła dłoń sędziny – proszę tak nie mówić...

– Doglądaj Tadka. On tylko ciebie zawsze... Tylko ty wiesz, co on... Obiecuj...

Helena Opolska zamknęła oczy.

Westchnęła.

Po raz ostatni.

Barbara zacisnęła usta. W dłoni wciąż trzymała dłoń sędziny. Stygnącą jak piec.

– Obiecuję, mamó.

Wyszła z pokoju Heleny. Stała w progu bawialni i poczuła, że opuszczają ją siły. Najchętniej położyłaby się obok teściowej i tak jak ona nie wstała.

Weszła jednak do środka.

Spojrzała na zgromadzonych.

Renata, wciąż chlipiąc, rozmawiała z Franciszkiem przy wyjściu na werandę.

Paweł uderzał w jeden, wciąż ten sam, klawisz na pianinie.

Wanda paliła. Obok popielniczki leżał „Głos Bolegoszczy”.

Na stole stał nietknięty placek z kruszonką.

Barbara zdecydowała, że nie powie im teraz o śmierci Heleny.

Usiadła obok Wandy Maciejewskiej.

– Co piszą? – zapytała dyrektorkę.

– O wzroście eksportu polskiej odzieży. Confexim podbija rynki światowe. Kogo to obchodzi?

– Nie wiem – odrzekła Barbara.

– Rozprawiają o imieniu dla pani wnuczki. Trzeba ją będzie zapisać w urzędzie – powiedziała Wanda. – Nie wiadomo, kiedy Ewa się znajdzie.

– Helena! – krzyknęła Barbara.

Tadeusz puścił kłąb dymu z fajki.

– Od kiedy, Basiu, wołasz moją matkę po imieniu?

– Nasza wnuczka będzie miała na imię Helena.

Renata i Franciszek spojrzeli na Barbarę.

– Postanowiłam.

I była taka moc w tym postanowieniu, że nikt nie ośmielił się sprzeciwić.

– Przyniosę koniaczku – powiedziała Barbara. „Helena na pewno zrobiłaby to samo”, pomyślała i ukrywając łzy, wyszła do kuchni.

Prokurator Ryszard Mielnicki z czystym sumieniem mógł zaliczyć drugi dzień nowego roku do wyjątkowo udanych. Po kilkunastu miesiącach cierpliwego oczekiwania osiągnął to, czego chciał: Paweł Opolski przyszedł do niego i poprosił o łaskę dla brata. Mielnicki wołał wprawdzie, żeby to Tadeusz błagał o zmiłowanie. Kłopoty młodszego Opolskiego, naprawdę grube kłopoty, były wystarczającym powodem do tego, by Tadeusz zgiął kark przed Mielnickim.

Jednak Tadeusz, skończony kretyn, głupszy niż wszystkie jego pacjentki, wciąż się nie ukorzył przed Mielnickim. Widzenie z synem załatwił oficjalnie, przez prokuratora Tomasza Józwiaka. Naiwny, po stokroć naiwny. Naprawdę sądził, że może obejść Mielnickiego? Rysiek od razu wydał odpowiednie dyspozycje Józwiakowi.

Tadek, choć wiedział o tym, wciąż nie poprosił o spotkanie z Ryśkiem.

Co innego była żona Opolskiego. Przyszła do Mielnickiego w listopadzie z przejmującym apelem do jego sumienia. Nawet ładnych słów używała: „niewinność”, „przyjaźń” oraz „przez wzgląd na wszystko, co nas łączyło, włącznie z twoim dzieckiem, które straciłam”.

„To akurat nas podzieliło”, odpowiedział Mielnicki, z nieukrywaną pogardą obserwując byłą żonę Tadeusza. Żeby jeszcze wyglądała tak atrakcyjnie jak pół roku wcześniej. Rysiek z przyjemnością popatrzyłby na wdzięki byłej kochanki. Dopadła jednak Ryśka pod garsonierą w stroju, w którym przypominała własną babkę: wełniana chusta na łbie i męski kozuch. „Rozwód jej nie posłużył, o nie”, pomyślał Mielnicki, oceniając skalę upadku Barbary. Upadku, do którego sam doprowadził. Kosztowało go to wprawdzie trochę pieniędzy. Musiał płacić jej za każde spotkanie. Wiedział jednak, że dobrze lokuje gotówkę, że każdą złotówkę inwestuje w rozbite małżeństwo Tadeusza. Do tego, że musi płacić Barbarze, nie przyznawał się nawet przed sobą. Jeśli tego nie robił, jeśli nie traktował kobiety jak dziwki, jeśli wiedział, że nie rzuci jej po wszystkim na podłogę banknotu lub dwóch (niech się schyla, niech węszy, niech szuka), po prostu nie mógł. Osobisty Prokurator Generalny Mielnickiego prowadził włoski strajk w kalesonach. Leżał i ani drgnął.

„Znowu śnieży”, Ryszard, który właśnie wychodził z prokuratury po dniu pełnym pracy, poślizgnął się na chodniku. Udało się. Nie upadł.

Otrzeptał rękaw ze śniegu i uśmiechnął się na wspomnienie Barbary.

W listopadzie lizała mu stopy, błagając o interwencję w sprawie Andrzeja. „Głupia baba!” Może gdyby zahukała jak sierpówka. Może gdyby zaszczekała jak świętej pamięci pudel Mielnickiego, któremu ulżył kilka lat temu w nowotworowych cierpieniach strzałem w łeb z parabelki. Może gdyby wreszcie użyła takich argumentów jak jej teściowa. Konkretnych.

Próbowała jednak przekonać Mielnickiego słowami. Słowami? Nie istniały słowa, które robiłyby na nim wrażenie.

„Wszystko układa się tak, jak zaplanowałem”, myślał Mielnicki, zmierzając w stronę samochodu. „Prawie wszystko”. Opolski stracił

dwóch synów (Pawła z całą pewnością), żonę, pracę, a nawet kochankę, tę całą Łoś-Niechciał.

Teraz Mielnicki zamierzał wziąć odwet na Opolskim za Alicję. Żona wymknęła mu się razem z pieniędzmi ulokowanymi na szwajcarskim koncie. „Przez tego sukinsyna”.

Odśnieżył brezent, wytrzeptał i schował do bagażnika. Odkopał koła Citroëna ze zwałów śniegu.

Wsiadł do samochodu. Zmienił rękawiczki z grubych kozuchowych na cienkie skórkowe. Tylko w takich prowadził.

Spróbował uruchomić wóz. Raz. Drugi. Trzeci. Za czwartym odpalił.

Mielnicki bez pośpiechu jechał w kierunku domu.

Walił coraz mocniejszy śnieg.

„Trudno, będę musiał wypuścić tego całego Andrzeja”. Trochę żałował, ale nawet on, prokurator Mielnicki, dotrzymywał warunków umowy. Czasem. „Pawła wychowam po swojemu. Będzie tańczył, jak zagram. Tadzikowi przypadnie w udziale wstyd. Wstyd za to, co już wkrótce zacznie robić jego syn”.

Prokurator jechał przez zimową Bolegoszcz.

Śnieg. Mróz. Noc.

Minął obsypany iskrzącą się bielą park Przyjaźni, kilku późnowieczornych spacerowiczów, ojca, który ciągnął sanki z dzieckiem, mężczyznę z psem i zakochaną parę. „Jak w baśni”, zachwycił się. „Całkiem jak w baśni tego... No...”, pstryknął palcami, żeby przywołać w pamięci, „...no, Andersena. W tej baśni o dziewczynce z zapałkami”.

Naraz zatęsknił za sierotką, która zajęłaby się jego zapałką, która wykrzesałaby z niej ogień, hm, może na przykład ustami? Postanowił, że znajdzie po drodze na Rybaki jakąś małą dziwkę z dużymi cyckami.

Zatrzymał się na czerwonym świetle.

W słabym blasku latarni dostrzegł ciemną plamę na siedzeniu pasażera. Pojawiła się po marcowej przejażdżce Opolskiego Citroënem. „Brudas”, szepnął Ryszard. „To pewnie przez niego. Przez ten płaszcz po gruźliku. Muszę się zająć tym paskudztwem”. Powinien był wcześniej, ale przez całych osiem miesięcy i przy pomocy polskiego ambasadora we Francji szukał odpowiedniego

lakieru do uszkodzonej karoserii. Zadrapania również pojawiły się w marcu. Również od strony pasażera. Również po wymianie zdań z Tadeuszem.

„Jakby ktoś kamieniem przejechał po samochodzie”, powiedział stary Świerszcz, który oceniał szkodę. „Byle czym, panie prokuratorze, kryć tego nie wolno. A jak pan dorwie już tego gówniarza, co panu auto skrzywdził, niech mu pan najpierw nogi z dupy powyrywa, a później posadzi na dożywocie”.

Już on dorwie tego gówniarza, na pewno dorwie. Na początek zadowolił się kopertą od matki winowajcy. Część remontu sfinansowało pięćdziesiąt funtów, które Helena Opolska ofiarowała Ryszardowi w intencji wnuka. Stara pojawiła się w prokuraturze we właściwym czasie, wyposażona we właściwe argumenty. O. Takie argumenty prokurator Ryszard Mielnicki wprost uwielbiał.

Ale na wymianę całej tapicerki potrzebował dwa albo trzy razy tyle. I dwa albo trzy razy tyle czasu, żeby znaleźć taki sam, zupełnie niezwykły kolor skóry. W odcieniu kości słoniowej.

„Za szkody dzieci zawsze powinni płacić ich rodzice”, stwierdził Ryszard.

Skoro stara Opolska wychowała barbarzyńcę, niech buli. Forsy ma jak lodu. Co miesiąc dostaje przez Orbis dwieście pięćdziesiąt funtów i dwadzieścia pięć dolarów. Ich nadawcą był tajemniczy G. Weiß, którego Mielnicki nie mógł namierzyć przez umyślnych ludzi w NRF. Tropy zaczynały się w Londynie, a kończyły w Berlinie Zachodnim.

„Wiedźmę stać na każdy wydatek”.

I naraz zrezygnował z pirotechnicznej orgii z udziałem dziewczynki z zapalkami. Zawrócił w stronę ulicy Mickiewicza z mocnym postanowieniem, że nie spojrzy w kierunku rodzinnej sutereny. Krzepiła go wizja, że już za chwilę stanie przed Heleną Opolską, półprywatnie, choć ciągle w roli prokuratora, i powie, że dzięki jego usilnym wysiłkom, staraniom i działaniom pojawiły się nowe wątki w sprawie Andrzeja, które dają szansę na pomyślny obrót sprawy. To oczywiście będzie kosztowało, należy w wiadomy sposób przekonać ostatnich świadków do właściwych zeznań. Oczywiście, że zgodnych z prawdą. Czy jednak dwieście pięćdziesiąt funtów

brytyjskich i sto pięćdziesiąt dolarów za wolność wnuka to wygórowana cena?

Franciszek Mazurek zapłaciłby każdą cenę za odnalezienie Ewy.

Od kiedy najpierw uciekła do klasztoru, a później zamieszkała w domu na Mickiewicza, brakowało mu młodszej córki jak dwóch palców u prawej dłoni. W kuchni tęsknił za jej gęstymi zupami, za pierogami leniwymi, za ciastem drożdżowym i za kawą po turecku. W pokoju za codziennymi porządkami, za wycieraniem kurzu z półek i podłóg. W przedpokoju za czystym chodnikiem. W życiu za jej uśmiechem, który za każdym razem przypominał Franciszkowi matkę Ewy – Marię.

Nigdy nie uwierzył w pogłoski o rzekomym samobójstwie żony. O skoku ze szpitalnego okna zaraz po porodzie. „Przecież okna w szpitalach się nie otwierają”, tłumaczył sobie. „To kłamstwo. To manipulacja”. Tym bardziej że Maria nigdy nie kłamała. Ani przed śmiercią, ani po śmierci. Gdyby gruchnęła głową o chodnik, powiedziałaaby przecież Franciszkowi. O wszystkim mu opowiadała, gdy siedział przy jej grobie i wsłuchiwał się w szum cmentarnych topól. „Ale od lipca zeszłego roku nie odezwała się ani słowem”, stwierdził Mazurek. „Od chwili, kiedy pojawiła się Wandzia. Czyżby była zazdrosna?”

– Stój, Łajza! – zawołał Franciszek i sięgnął po wiszącą na szyi smycz.

Na siebie powinien krzyknąć.

Zapędził się nie wiadomo kiedy w stronę parku Przyjaźni. Daleko. Ze dwadzieścia, a w tę pogodę może nawet ze trzydzieści minut od domu Heleny Opolskiej.

Zawrócił. Powinien być ze wszystkimi i czekać. Na telefon, na Ewę, na cud. Po raz pierwszy od dwudziestu lat czekał na cud. Po raz pierwszy od czasu śledztw, przesłuchań i wyroków prosił Boga o interwencję.

Minał kilku późnowieczornych spacerowiczów, ojca ciągnącego sanki z dzieckiem, zakochaną parę, a w oddali samochód, który stanął na środku drogi i nie mógł ruszyć.

Łajza przybiegła do Franciszka. Zatrzymała się przy pryzmie śniegu i zaczęła w niej kopać, jakby szukała skarbu. „Szczęśliwy

pies”, pomyślał ojciec Ewy. „Najszczęśliwszy”.

Franciszek, tak jak suka Maciejewskiej, nienawidził chodzenia przy nodze, spacerów na placu ogrodzonym murem i drutem kolczastym, raz dziennie między piętnastą a piętnastą trzydzieści.

– Wracamy do domu – powiedział. – Może Ewa się odnalazła.
Łajza zamerdała ogonem i złała się.

Barbara Gnatowska naląła do kieliszka odrobinę smorodiniówki (koniaczku nie znalazła), którą robiła cztery lata wcześniej, a którą odkryła w jednej z szafek Heleny Opolskiej.

Naraz poczuła w kuchni chłód.

Sprawdziła okno. Zamknięte.

Wyszła do holu.

Sprawdziła drzwi wyjściowe. Wszystko z nimi w porządku. Na wszelki wypadek założyła jeszcze łańcuch.

Spojrzała na drzwi do pokoju Heleny. Te również były zamknięte. I bardzo dobrze.

Wróciła do kuchni. Usiadła przy stole.

Nasłuchiwała.

Wiedziała, że Kostropata czyni porządki nie tylko z martwym ciałem Heleny, ale też ze wszystkimi jej rzeczami: z fotografiami, różańcami, z opaską na oku, z samym okiem, ze stopami (Kostucha każdemu przed wniebowstąpieniem musi obmyć i wytrzeć nogi, dlatego ci, co wydają ostatnie tchnienie, wyglądają tak, jakby się utopili w misce wody święconej). Śmierć, która przyszła do Heleny, pewnie już ukradła zapas koniaczku (nagle gdzieś zginął, zniknął, zapodział się, choć Barbara dobrze pamięta, że zazwyczaj stał tutaj, w kredensie pod ścianą). Tak, tak, Śmierć zabierała Helenę z całym zapasem brandy. Innych zgarniała z większymi majątkami: z ziemią, pieniędzmi, a nawet ze złotem.

Ludzi bogatych w strach, gniew, nienawiść i złe słowa po prostu uwalniała od męczącego życia. Ile można trwać w lęku, złości, nienawiści lub złorzeczeniu? Nie można. Za długo nie można. Trzeba ulżyć takim ludziskom, ale przed ostatecznym spotkaniem musowo pomęczyć chorobami. Takiej na przykład Dorotce z Gródka Kostropata wykosiła całą macicę i płuca, zanim umyła jedną nogę (do czyścica jedna wystarczy). Męczyła się Dorotka strasznie. Bo

nienawidziła. Nienawidziła Ańki, szwagierki, gorzej niż moli w kaszy, myszy w mące i oddechu męża śmierdzącego samogonem. I zazdrościła. Zazdrościła Ańce wszystkiego: gęstych włosów, wdowieństwa i domu, który został jej po świętej pamięci Józinku.

A Mietkowi z Królowego Stoja, co przed chorobą w strasznych słowach przeklął własnego ojca za to, że mu ziemi nie zapisał, Kostucha zżarła pół mózgu. Umierał Mietek sześć lat, a dwa ostatnie leżał bez mowy i głowy. Tylko wył z bólu.

Barbara wypła za wieczny odpoczynek Dorotki i Mietka.

Westchnęła.

Trzeba teraz Helenę zostawić w spokoju.

Pamiętała, że u nich na wsi trup zostawał z bliskimi w domu przez trzy dni i trzy noce. Nawet podczas upalnego lata. Nawet gdy zwłoki zaczynały śmierdzieć. Martwi potrzebowali czasu przed ostatnią podróżą. Potrzebowali posiedzieć, a raczej poleżeć, razem z krewnymi.

Barbara sięgnęła do kieszeni. Jej dłoń zacisnęła się na mieszku ze szmaragdowym pierścionkiem.

Wypiła duszkiem smorodinówkę (za słodka!) z nadzieją, że się rozgrzeje, pokrzepi w tym mroźnym, nie tylko za oknem, czasie.

Chłód wciąż narastał.

Wraz z nim niepokój.

Zbliżała się trwoga.

Barbara poczuła tęsknotę za Alicją. Tylko jej mogła opowiedzieć o przerażeniu, którego przyczyn nie znała. Ataki paniki pojawiały się w najmniej oczekiwanych momentach, tak jak teraz. Ale Alicja na początku grudnia wyjechała do Warszawy, do ojca, i jeszcze nie wróciła.

Kiedy w kuchni Heleny Opolskiej zapanował styczniowy mróz, rozległ się dzwonek...

...u drzwi, kiedy Tadeusz sięgał po szklanekę ze stygnącą herbatą. Zastanawiał się, czy w dramatycznej sytuacji wypada zjeść kawałek placka Wandy Maciejewskiej, czy raczej nie wypada. Czuł jednak głód. Ostatnim posiłkiem Tadeusza było śniadanie: pół talerza makaronu z mlekiem i kubek kawy zbożowej.

Doktor Opolski zrezygnował z ciasta.

– Otworzę – powiedział i wstał.

Renata też poderwała się na nogi.

– Lepiej ja. To pewnie Ewka. – Otarła łzy z twarzy. – Otworzę.

– A jeśli nie ona? – zapytał Paweł, podnosząc głowę znad pianina. Od dłuższej chwili plumkał bezmyślnie jednym palcem melodię kotka, który wlaźł na płótek i mrugał.

– A kto? – Renata zatrzymała się w pół kroku i zamrugła jak kotek.

– Na przykład złe wieści – odpowiedział. – Jesteś gotowa?

Renata usiadła na skraju fotela dziadka Opolskiego i znowu ukryła głowę w dłoniach.

– Ty na pewno. Chciałbyś, żeby były złe... – wyszeptała, ale Paweł tego nie usłyszał.

– To Franciszek wraca z Łajzą. – Dyrektor Maciejewska zdetonowała napięcie. Zgasła papierosa w pełnej popielniczce i sięgnęła po nową paczkę sportów. „Naprawdę?”, pomyślała. Przyglądała się nadrukowi na pudełku zapalek. Na niebieskogrnatowym tle dwie żarówki: biała i czarna. Oraz slogan: WYGASZAJ ZBĘDNE OŚWIETLENIE. „Zbędnych ludzi także?”, zadumała się, wyłączając jednocześnie stojącą obok lampkę nocną. Tak na wszelki wypadek. – Trzeba zaparzyć gorącej herbaty. Franuś pewno zmarznięty.

Znowu rozległ się alarmujący dźwięk dzwonka...

– I to bardzo zmarznięty. – Tadeusz wstał od stołu. – Otworzę Franciszkowi i poproszę Barbarę, żeby nastawiła wodę.

Doktor Opolski poczuł, że musi natychmiast wyjść z bawialni, która zaczynała przypominać psychiatryczną izbę przyjęć. Nie radził sobie z rosnącym napięciem. W domu był tylko synem, ojcem i...

...bratem.

Za drzwiami, z których Tadeusz zdjął łańcuch i które szeroko otworzył, spodziewając się Franciszka z psem, ujrzał Jerzego Opolskiego.

– Mogę wejść? – zapytał Jerzy.

Tadeusz cofnął się w głąb holu. Żyła na jego skroni poczęła pulsować, jakby miała za chwilę pęknąć. Odruchowo zacisnął pięści.

Spojrzał na drzwi do pokoju matki. „Boże”, pomyślał, „jeśli go zobaczy, nie przeżyje tego...”

Jerzy wszedł do środka. Wytarł buty. Zdjął czapkę w szkocką kratę, którą najpierw otrzepał ze śniegu, a następnie położył na ławie. Wychylił się w stronę bawialni. Usłyszał głosy i dźwięki pianina, tym razem szła dziewczeczka do laseczka, do zielonego, ha, ha, do zielonego.

– Świątujecie siedemdziesiąte urodziny matki? Obiecałem jej, że wspólnie wypijemy koniaczek z okazji jubileuszu.

Wyciągnął z neseseru butelkę brandy. Podał bratu. Ten nie zareagował.

– Pisałem przecież, że przyjadę – obruszył się Jerzy. – Od dwóch lat niemal w każdym liście.

Z których Tadeusz żadnego nie przeczytał.

– Po ćwierć wieku przypomniałeś sobie, że nasza matka ma urodziny? – zapytał doktor.

– Przez ćwierć wieku ani razu o tym nie zapomniałem.

„W przeciwieństwie do mnie”, pomyślał Tadeusz i się zawstydził. „To przez pracę, przez Ewę, przez to wszystko”.

– Nic tu po tobie, bracie – powiedział. – Wracaj, skąd przyjechałeś.

Przyglądał się Jerzemu z coraz większym niepokojem, z rosnącym w sercu dygotem, z drżeniem kolan.

Nie widział go od dwudziestu czterech lat.

Jerzy postarzał się, ale szlachetnie. Gęste, zupełnie siwe włosy. Krótka przyszyżona broda oraz wąsy. Kilka bruzd wokół oczu oraz ust. Ich źródłem nie była troska o trudną codzienność. Zmarszczki Jerzego zapowiadały spokojną, dostatnią starość.

Długi kożuch z szerokimi klapami z futra leżał na starszym z braci Opolskich jak skrojony na miarę. Wszystko tak na nim leżało. I mundur harcerza, i mundur żołnierza. Świetnie wyglądałby również w stroju więźnia, ale przed tą częścią powojennej historii AK uciekł.

Jerzy zdjął rękawicę. Schował ją do kieszeni.

Przeszył Tadeusza pustym spojrzeniem niebieskich oczu.

Przez szparę w kuchennych drzwiach Barbara patrzyła jednym okiem na drewnianą rękę mężczyzny.

Świat Baśki wirował coraz szybciej. Jak na karuzeli, która przyjeżdżała do Bolegoszczy każdej wiosny razem z wesołym miasteczkiem. Na tej karuzeli w szalonym pędzie kręciły się teraz razem z Gnatowską wszystkie puste dni i bezsenne noce, męczące ją od tamtego wydarzenia. Nigdy nie próbowała dociec, kto jej to zrobił i z jakiego powodu. I dlaczego ten akurat gwałt bolał ją bardziej niż kilka wcześniejszych.

Oparła się o ścianę i osunęła na podłogę.

Z daleka, z bardzo daleka, pewnie od strony budy Tolka Siemaszki, dopadł Gnatowską smród duszonej kapusty. Tuż pod jej nosem pachniała coraz intensywniej rękawica z kozłej skóry.

Baśka wsunęła w usta pięść. Zacisnęła na niej zęby. W drugiej dłoni trzymała szklankę. Zgniotła ją. Drewniana ręka po raz drugi zaczęła penetrować Gnatowską w środku.

– To matka? – Jerzy wskazał głową na kuchenne drzwi. – Wydaje mi się, że ktoś tam jest.

– Baśka. Moja żona – odrzekł Tadeusz. Dlaczego nie powiedział: „Moja była żona”? – Matka u siebie.

– Chciałbym się z nią przywitać.

– Poczekaj, aż wstanie. Popołudniowa drzemka to świętość.

Jerzy przysiadł na ławie tuż obok swojej czapki w szkocką kratę. Lewą ręką rozpiął płaszcz. Prawą, tą drewnianą, wyrównał kant wełnianych spodni.

„Pewnie z jedwabną podszewką od spodu”, pomyślał Tadeusz. – Baśka. Twoja żona. Matka pisała o niej same dobre rzeczy. Gorąco tutaj. – Jerzy zdjął płaszcz.

– Jak to pisała „same dobre rzeczy”? – Tadeusz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Nie, nie w to, że matka pisała o Barbarze „same dobre rzeczy”. Bardziej w to, że matka w ogóle... – Do ciebie pisała? Sądziłem, że wierzy...

– W to, co jej powiedziałaś po naszym ostatnim spotkaniu: że nie żyję?

– Nigdy się nie przyznała, że... Nigdy nie zarzuciła mi kłamstwa...

– Ponieważ w każdym liście prosiłem ją o to. – Jerzy zrobił kilka kroków w stronę pokoju Heleny, ale Tadeusz stanął mu na drodze. –

W pierwszym napisałem, że dla wszystkich będzie lepiej i bezpieczniej, jeśli uwierzą w moją śmierć. Zakazałem jej rozmawiać z kimkolwiek na mój temat. Z tobą również.

– Zakazałeś?

– Tak naprawdę to nie bardzo. Helenie niczego nie można zakazać. Raczej wytłumaczyłem i poprosiłem. Do ciebie również pisałem.

– Wyrzucam listy od nieznajomych – odpowiedział Tadeusz.

– Żadnego nie czytałeś?

– Nie – skłamał. Przeczytał. Tylko ten pierwszy. W którym G. White jasno dawał do zrozumienia, kim jest. Później wszystkie upychał po kieszeniach, darł, wyrzucał, czasem palił.

– Nie wpadłeś na to, że może być w nich coś ważnego? – Jerzy westchnął.

– Wpadłem zaraz po tobie na tamtą dziewczynę w ruinach.

Starszy syn Heleny Opolskiej martwym wzrokiem wpatrywał się w ścianę. W punkt między drewnianym krzyżem bez figury Jezusa a akwarelami przedstawiającymi brzezinę w czterech odsłonach: wiosną, latem, jesienią i zimą.

– Pamiętasz? – Tadeusz czekał na odpowiedź.

– Nie pamiętam. A z tym, co ty pamiętasz, ja nie mam nic wspólnego. – Jerzy uśmiechnął się i uniósł butelkę koniaku, którą przywiózł w prezencie. – Napijemy się za zdrowie matki?

I za to, żeby zapomnieć.

Lecz to nie było możliwe.

Jerzy pamiętał.

Najpierw włosy do ramion w kolorze sierpniowego zboża, szeroki uśmiech, równe zęby, szare oczy, a przede wszystkim piersi: jędrne, twarde i soczyste jak letnie kronselki.

Jerzy wypatrzył Filipinę Murawską jeszcze przed wojną, w kościele Świętego Wawrzyńca, do którego Helena Opolska lubiła wyprawiać się wiosną i latem – na Rybaki ze Śródmieścia był kawał drogi. I bardzo dobrze. Helena uważała, że mąż oraz synowie powinni jak najwięcej chodzić. Dla zdrowotności. A dokąd? Do kościoła. Dla czystości. Duszy i ciała.

Jerzy po raz pierwszy dostrzegł Filę na sumie, którą celebrował ksiądz Adolf. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym miała siedemnaście lat i spokój w sercu, którego on, absolwent warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej, początkujący pracownik Banku Gospodarstwa Krajowego w Rzeszowie, szukał w ramionach mężatek i fordanserek. Mógł mieć każdą, wybrał ją – Filę, słodką i niedostępną jak Ziemia Święta. „Idealna na żonę i matkę”, myślał. O tym, czy on, najpierw rozrywkowy bankowiec, później poważny partyzant, na koniec lokalny egzekutor, nadaje się na męża i ojca, nie myślał. Ciemne wątki swojego życiorysu zachował dla siebie. Nigdy się nimi nie pochwalił przed piękną Filipiną.

W samym środku okupacji wyrывał się jak głupi do Bolegoszczy z lasów pod Rzeszowem. Jesienią i zimą podrzucał Fili najlepsze mięso i sadło, a wiosną i latem przynosił owocowo-warzywne bukiety. W ciepłe wieczory (czasem nawet jeszcze we wrześniu) czytał dziewczynie nad Bolą fragmenty *Lalki*. Najbardziej lubiła *Pamiętnik starego subiekta*. „Rzecki? Przypomina mi wuja z Przemyśla”, tłumaczyła. „Tego, który grał na skrzypcach i pracował w policji. Nie, nie żyje, tak jak matka”. Wuj w policji? Niewykluczone, że panabożej. Tu i ówdzie bolegoszczanie szeptali, że Fila to córka biskupa przemyskiego. Dlatego taka nabożna i kręcąca się po rozmaitych plebaniach. Ale Jerzy nikogo nie słuchał, a wierzył w to, w co chciał. Na pewno nie w ludzkie gadki.

Pamiętał też, że za każdym razem, kiedy próbował rozpiąć jej bluzkę, czy w pokoju na plebanii (do którego wkradał się przez okno), czy w księżowskim sadzie (wystarczył skok przez mur, żeby się w nim znaleźć), w chaszczach nad Bolą (między drugim a trzecim zakolem), Fila powtarzała: „Jurek, no Jurek, proszę cię, po ślubie”.

O którym nie uprzedził nikogo z rodziny. Ani matki pogrążonej w żałobie po ojcu, ani brata, który robił pod siebie podczas każdego głośniejszego nalotu. Rodzina nie wiedziała o jego sekretnych wizytach w Bolegoszczy. Nie pojawiał się na Mickiewicza 68. Nikomu nie wspominał o spotkaniach z Filą. Nawet chłopakom z oddziału nie powiedział o tym, że zaręczył się z dziewczyną. Pierścionek z dużym szmaragdem, który ofiarował narzeczonej, ściągnął z ręki trupa. Rękę znalazł w krzakach przy torach w lesie. Rozglądał się za głową (liczył

na kolczyki w uszach do kompletu) i za korpusem (ten zamierzał po prostu pogrzebać), ale reszty ciała nie znalazł.

Z decyzji o ślubie z małą Murawską postanowił wytłumaczyć się po wojnie. Nie wykluczał, że ominie go komplikacja związana z oficjalną prezentacją. Mogło się zdarzyć, że matkę zatłuką Rosjanie, a brat umrze ze strachu przy pierwszej lepszej okolicy.

„Pamiętasz?” W uszach Jerzego zabrzmiało pytanie Tadeusza. Pamiętał.

Tak. Na przykład to, że Fila nigdy nie pozwoliła mu na to, o czym marzył najbardziej. On, dowódca oddziału partyzanckiego; on, który wykonywał wyroki na Niemcach i konfidentach, strzelając im w skroń lub w tył głowy; on, który bardziej od śmierci bał się tylko własnej matki – śnił lubieżne sny o gospodyni księdza. W snach robił z nią wszystko. I tylko w snach. Ale czekał. Wiedział, że warto. Kobiety, które łatwo zdobywał, równie łatwo zbywał.

Co jeszcze pamiętał?

Że kiedy tracił umiar i dążył do wszystkiego, Fila przywoływała go do porządku, bijąc lekko po lewej dłoni, po niecierplivej, wrywanej dłoni, po tej, która sprawdzała jędrność piersi, gładkość ramion i brzucha. Tę prawą, drewnianą, Jerzy ukrywał najczęściej w kieszeniach marynarek, płaszczy lub po prostu pod pachą. Nie śmiałyby dotknąć śmierzącą protezą żadnej kobiety. Chociaż po ostatnich świętach odwagi miał nieco więcej. Dostał od Fili w prezencie rękawicę. Z kozłowej skóry. Specjalnie dopasowaną do drewnianej dłoni.

Co jeszcze pamiętał?

Że tamtego styczniowego wieczoru powiedział: „Poczekaj, Fila. To nie potrwa długo. Wrócę za kwadrans, może szybciej. Załatwię sprawę ze znajomym, a później lecimy do księdza Adolfa. Co za szczęście, że ten twój proboszcz zgodził się dać nam dzisiaj ślub”.

Pamiętał, że Fila wtarła w usta odrobinę smalcu (bez niego strasznie pękały), który zawsze nosiła przy sobie w metalowej puszcze po landrynkach, i poprawiła grubą chustę na głowie.

„I że mam dzisiaj urodziny. To też chyba szczęście”, dodała. Obiecała umierającej matce, że wyjdzie za mąż dopiero wtedy, gdy skończy dwadzieścia cztery lata i samodzielnie uskłada posag: dwie

kołdry, dwie poduchy, cztery komplety pościeli z haftowanymi monogramami, dwie ręcznie tkane kapy na małżeńskie łoże i gotówkę na pierwszy rok życia po ślubie. „Żebyś nikomu ciężarem nie była”, upomniała ją matka i trzy doby później skoła.

Fila wywiązała się z obietnicy. Częściowo. Skończyła dwadzieścia cztery lata. I nic więcej. Część pracowicie gromadzonego posagu zabrali najpierw Niemcy (pieniądze), a to, czego oni nie zgarnęli, wzięli Ruscy (kołdry, poduchy i całą resztę).

I dziewictwo ocalała. Cudem. Ale to sprawka matki Fili, która nad wszystkim czuwała z nieba.

„Że masz dzisiaj urodziny, to chyba największe szczęście”, powtórzył Jerzy.

„Poczekam”, odpowiedziała Fila. „Zajrzę do tamtej budy”, wskazała na barak Tolka Siemaszki. „Ogrzeję się trochę”.

I zniknęła w ciemności.

Jerzy pobiegł pod adres, pod którym spodziewał się znaleźć klienta do odstrzału. Po akcji (kulał jak sto diabłów, bo dostał dębowym taborettem w kolano, i to od kogo!) szukał Fili w umówionym miejscu. Nie znalazł narzeczonej w budzie Tolka ani w żadnej z okolicznych bram.

Fila zapadła się pod ziemię.

Pomyślał, że wróciła na plebanię, do księdza Adolfa. „Pomysłowa dziewczyna”, uśmiechnął się w duchu Jerzy. „Pewnie postanowiła przygotować weselną jajecznicę zakrapianą samogonem z piwniczki katabasa”.

Coraz mocniej kulejąc, ruszył wolnym krokiem w stronę kościoła Świętego Wawrzyńca. W ruinach zburzonego domu usłyszał rżenie. Zatrzymał się. Nigdy nie wzruszały go przedśmierne stękania. Wręcz przeciwnie. Wydało mu się jednak, że słyszy: „Dziś są moje urodziny”. Ale tylko mu się wydało. W głębi ruin panowała cisza. I ciemność.

Jerzy zapalił zapałkę.

Przedarł się z trudem przez śnieg i kamienie.

Pod tym, co zostało ze ściany budynku, znalazł ciało Fili.

Stygło.

„Fila, kochana, dziś są twoje urodziny...”, powtarzał szeptem. Całował twarz dziewczyny. Jej otwarte oczy. Jej chłodne, półotwarte

usta. „Są twoje urodziny... Fila... Były... Dziś były twoje urodziny”, szepnął na koniec.

Ostatnie urodziny.

Otarł łzy.

Zapalił kolejną zapałkę.

W słabym świetle dostrzegł rozdartą kurtkę Fili, marznącą krew w okolicy serca, zadartą do góry spódnice.

Poczuł wściekłość. Rozpaczliwą wściekłość. Od sześciu lat czekał na Filę. Od sześciu lat śnił o niej każdej samotnej nocy. Od sześciu lat marzył o pierwszej wspólnej nocy. I o reszcie życia u okrągłego, kształtnego boku Fili, w cieniu jej brzemiennego raz po raz brzucha, w pobliżu jej gorącego ciała. Tymczasem w ciągu dwóch kwadransów ktoś zbezczescił i zabił Filę oraz wszystkie pragnienia Jerzego.

W oddali usłyszał pijacki śpiew:

Po szerokim stawie pływa dziadek z babką.
Babka utonęła do góry kuciapką.

Wyjrzał z ruin. Spostrzegł, że z budy Tolka Siemaszki wybiega dziewczyna, że zmierza w stronę ruin. Zgarnął ją, kiedy na chwilę przystanęła, żeby obejrzeć się za siebie.

– Nie szarp się. – Powalił smarkulę w kożuchu na ziemię. Kożuch śmierdział męskim potem i kapustą duszoną na padlinie. – Nie szarp się, to będzie bolało mniej. – Przesunął drewnianą dłonią po twarzy szamoczącej się dziewczuchy. Protezą obleczoną w skórzaną rękawicę od Fili zdzielił dziewczynę po gębie. Raz. I drugi. I trzeci. – Mówię, że będzie mniej bolało.

Z trudem dostał się tam, gdzie nigdy nie wpuściła go Fila. Rozwarł uda dziewczuchy. „Śmierdzi jak z beczki śledzi”, pomyślał. Wściekły wbił drewnianą rękę w środek dziewczyny.

– Ciebie będzie bolało mniej, ale nie twojego chłopa. Niech boli.

Później zrobił to bardzo szybko, z tłumionym krzykiem w krtani, z łzami marznącymi na policzkach.

Kiedy w oddali zaskrzypiały kroki na śniegu, wyturlał się z ruin.

Zaczął uciekać.

Kulał. Noga bolała go coraz mocniej.

Nie zareagował na wołanie: „Czekaj! Pogadajmy! Wszystko ci wytłumaczę!”.

Następnego dnia wrócił po ciało Fili.

Leżało przysypane grubą warstwą śniegu.

Z serdecznego palca lewej dłoni dziewczyny zniknął zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem.

Franciszek Mazurek wydobył się z przyzmy śniegu, w którą wpadł, kiedy próbował dogonić Łajzę. Zwiąła mu po raz kolejny tego wieczoru. Chciał ją wziąć na smycz (tylko tym razem) i co prędzej wrócić do domu. Sukapies jednak uciekła z resztką cieczi pod ogonem.

„Wolę Bożą, cholera, poczuła. A później wróci z kundlowym przychówkiem. Całkiem jak Ewka, całkiem”, pomyślał i zawstydził się.

– Łajza! – krzyknął Franciszek. – Wracaj, łachudro, po dobroci! Gdzie zniknęłaś?

– Tato, gdzie zniknęłaś? – Paweł Opolski pojawił się w holu. – Posłuchaj. Myślałem o tym, że...

Na pewno nie o tym, że zobaczy obcego mężczyznę tak bardzo podobnego do własnego ojca.

Paweł stanął między Tadeuszem a Jerzym. Przyglądał się to jednemu, to drugiemu. Zawiesił pytające spojrzenie na ojcu.

– Żadnych wieści o Ewie. Wracaj do gości – doktor Opolski wydał polecenie, bezradnie rozkładając ręce.

„Kpi. Do jakich gości? Dyrektor Maciejewska to prawie teściowa, a siostra Ewki to prawie wariatka. Zawodzi sopranem już szóstą godzinę. Co dwanaście minut wyciąga najwyższe C”, pomyślał Paweł. Milczał jednak. I czekał.

Tadeusz dobrze wiedział, że na wyjaśnienia.

– Daleki krewny – powiedział, wskazując głową na Jerzego. – Syn stryjecznego brata mojego dziada, a może pradziada. Zajrzał do nas w drodze do... bliższych niż my krewnych w Warszawie.

– Tadeusz. Zaprosz mnie, proszę, do bawialni. Poczęstuj koniakiem. Zawołaj – Jerzy zawiesił głos, zastanawiał się chwilę – swoją matkę. Powinna mnie pamiętać. George White – przedstawił się Jerzy i lewicą uściśnął prawicę Pawła.

– Życzy pan sobie... – zaczął Paweł, ale rozległ się dzwonek.

Tadeusz nie poruszył się.

Paweł lekko uchylił drzwi.

Na schodach stał Ryszard Mielnicki.

– Mam wiadomość – powiedział prokurator. Sam sobie otworzył drzwi na oścież i wparadował do środka. – Przepraszam, że tak późno, ale samochód po drodze odmówił posłuszeństwa. Zatrzymał się tu niedaleko, więc pomyślałem, proszę ja ciebie... Zresztą ja nie z tobą chciałem. Szanowna pani Helena u siebie? To z nią chciałbym zamienić słowo.

Zdjął rękawice, przetarł końcówką szalika zaparowane okulary. Dopiero wtedy przejrzał na oczy. Natychmiast zrozumiał, że jest za późno, żeby się wycofać.

Tadeusz wstał.

Jerzy zacisnął drewnianą dłoń w pięść.

Paweł poczuł, że robi mu się słabo.

– Jaką wiadomość? – zapytał.

Edek Łaniewski nie zadawał zbędnych pytań. Uczynił to tylko raz, w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Wtedy usłyszał od Ryśka Mielnickiego, że nie powinien głupio interesować się tym, na co Ryśkowi potrzebne jest od czasu do czasu jego mieszkanie.

– Od stawiania pytań jestem ja – ostrzegł wtedy Rysiek, świeżo upieczony funkcjonariusz MO. – Od odpowiadania cała reszta.

Kiedy więc w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego w niewielkim mieszkaniu Edka, u zbiegu Jasnej i Kościuszki, które jeszcze przed wojną kupili mu rodzice, oboje dentyści, pojawił się Rysiek Mielnicki, Łaniewski natychmiast zrozumiał, że musi się wynieść. W milczeniu spakował do kieszeni szczoteczkę, proszek do zębów, plik notatek z chorób zakaźnych, które musiał zaliczyć na kursie medycznym, kalesony na zmianę i podreptał po zaśnieżonych ulicach na drugi koniec Bolegoszczy do Eli Rudnickiej. Zamierzał się z nią ożenić, jak tylko puści lód na Boli.

Przed wyjściem rzucił Ryśkowi na stół klucze od mieszkania i prośbę:

– Rano w skrzynce na listy zostaw.

„Rano, rano. Do rana daleko”, myślał Rysiek, bębniąc palcami o dębowy taboret. Co i rusz spoglądał na zegarek. Niecierpliwił się.

Mielnicki znał Edzia Łaniewskiego jeszcze ze szkoły powszechnej. Edzio chodził do klasy wyżej, ale kumplował się ze wszystkimi. I z tymi, którzy mieszkali w willach, i z tymi, którzy żyli z suterenach. „Brat łata”, mówili o nim. Okrągły, zawsze uśmiechnięty i uczynny. Ludzie szeptali, że pewnie pójdzie na księdza. Pocięszał skołatane serca bliźnich lepiej niż proboszcz w farze podczas spowiedzi wielkopostnej. A Edek owszem, zamierzał robić w sercach, ale jako kardiolog.

Rysiek przeszedł się po mieszkaniu Łaniewskiego. Sprawdził, czy koc na łóżku jest czysty i czy w wiadrze znajduje się zapas węgla. Nienawidził marznąć na golasa.

Nalał do kubka ciepłej kawy zbożowej, która grzała się na piecu, i zagryzł chlebem posmarowanym miodem. Miód pachniał latem i lipami.

Rozległo się wreszcie ciche stukanie do drzwi.

– Nareszcie – szepnął Mielnicki.

Umówił na noc Luśkę, jedną z najmłodszych dziwek, jakie wywahał na Wroniej. Najdalej szesnastoletnią. Świeżą, wstydliwą i posłuszną. Mówiła, że tylko do wiosny chce zostać w Bolegoszczy. Później zamierzała wrócić w rodzinne strony. Obiecała Mielnickiemu, że nie będzie się puszczać z innymi, dopóki Mielnicki osobiście nie zwolni jej z roboty. „Wtedy kupię ci bilet na tę twoją wieś. Jak zakręcisz dupą, to może jakiegoś durnego chłopca jeszcze znajdziesz”.

Płacił Luśce dobrze, ale też wymagał. Nie zostawiał na nieletniej kurwie miejsca, którego by nie spruł, nie dotknął, nie sklepał i nie oblizał. To samo kazał robić Luśce. A nawet więcej. To ona miała starać się bardziej. Ostatnio bardziej niż bardziej. Mielnicki potrzebował relaksu po męczących dniach i nocach na służbie.

Otworzył drzwi.

– Ty tu czego? – zapytał.

Przed nim stał zmarznięty Tadek Opolski.

– Nie twoja sprawa. Edka szukam – odpowiedział gość.

– Na Kuliczkach znajdziesz. U narzeczonej. Wynoś się teraz. – Mielnicki machnął drzwiami, które Tadek zdążył zatrzymać nogą.

– Czekał. Wezmę tylko swoje notatki.
– Jakie notatki? Po co? – zapytał podejrzliwie Rysiek.
– Prowadzisz śledztwa nawet po godzinach? Tak bez łomu w łapie?

Twarz Mielnickiego wykrzywił skurcz.

– Won.

– Było minęło. No, wpuść mnie. Znajdę tylko swój brulion. – Tadek sforsował drzwi i od razu wskoczył do pokoju za kuchnią. Ryśka zostawił w kuchni. – Do egzaminu z chorób zakaźnych. Zostawiłem tutaj przedwczoraj, jak z Edkiem powtarzaliśmy. Zabiorę i zjeżdżam! – krzyknął, przerzucając bałagan na Edkowym stole. – Obiecuję, panie kapitanie! Chyba już „kapitanie”. Jesteś już kapitanem czy nie? Słyszałem od Edka, że masz awansować. Wyjeżdżasz do Warszawy? Edek mówił, że już niedługo.

Opolskiemu odpowiedziała cisza. Zerknął na uchylone drzwi i wzruszył ramionami.

Pod stertą łachów znalazł wreszcie to, czego szukał.

Z brulionem pod pachą wszedł do kuchni.

Zatrzymał się w pół kroku.

Na drewnianym taborecie siedział Rysiek. Ręce miał założone za szyję.

Za nim stał Jerzy. Przykładał parabelkę do głowy Mielnickiego.

– Prosi o litość. I powołuje się na znajomość z tobą. – Jerzy nie spuszczał wzroku z Tadka. – Masz z nim coś wspólnego?

Tadka oblała fala gorąca. Rozpiął płaszcz. Potarł czoło dłonią.

Parabelka Jerzego przesunęła się z głowy Ryśka na serce brata.

– Nawet nie próbuj – ostrzegł Jerzy. – Odpowiedz, masz z nim coś wspólnego?

– Mam – odpowiedział Tadek.

Jerzy czekał.

Z pieca dolatywał zapach kawy zbożowej. Tadek poczuł, że pragnie – kubka gorącej zbożówki z łyżeczką miodu. Miód zauważył na stole. Stał w otwartym słoiku. Po jego ściankach spływała bursztynowa słodycz.

– Mam z Ryśkiem coś wspólnego. – Tadek spojrział wreszcie na brata. – Kolegę Edka i czwartkowe wieczory przy brydżu.

Mielnicki spojrzał na Tadka.

– We trzech się spotykacie, żeby pograć w brydża?

– Zostaw go – zażądał Tadeusz. – Zostaw go, bo inaczej...

– Poskarżysz się matce? – parsknął Jerzy.

– Bo inaczej będziesz musiał zabić najpierw mnie. Przecież już celujesz. Prawda?

Tadeusz zrobił trzy kroki w stronę Jerzego. I kolejne trzy. Zatrzymał się krok przed parabelką.

– Od kiedy taki odważny jesteś? – zapytał starszy brat.

– Matka ugotowała dziś fasolę na obiad. Idź do niej, zjedz obiad na kolację, pierdnij i zmądrzej. Ostatni raz stołowałeś się u matki trzy lata temu.

– Chcesz umrzeć razem z tym czerwonym ścierwem? – zapytał Jerzy.

Tadeusz zrobił kolejne pół kroku w stronę brata.

– Żadnych egzekucji – powiedział. – To... nieludzkie.

– Sieje grozę po okolicznych wsiach. – Jerzy trącił Ryśka pistoletem w ramię. – Wszyscy wskazują mu ludzi z AK. Ściga naszych po lasach i pakuje do więzień, z których już nie wychodzą. Wiedziałaś?

– Nie jesteś katem. Nie ty, Jerzy.

– Bronisz ścierwa, bo myślisz, że ścierwo obroni ciebie? Że pozwoli ci żyć spokojnie w czerwonym systemie?

– Jeśli go zabijesz, będziesz...

„...taki jak on, jak Mielnicki”, chciał dokończyć Tadeusz, ale rozległo się wesole:

– To ja już jestem. – W progu pojawiła się Luśka. Dziewczyna w kufajce, w walonkach i z grubym szalem na głowie. Buźkę miała różową od mrozu, lecz w oczach gorące iskry. – Spóźniłam się trochę, bo mnie dziewczyny szykowały do... A o co się tutaj właściwie rozchodzi?

Jerzy stracił orientację. W kogo miał celować? Kogo skasować? Brata? Świnie? Dziewczynę? A może durnia, który nadał mu robotę w trefnym miejscu?

– To co? – zapytał Tadek. – Partyjkę brydża? Mamy już czworo do kompletu.

I wytrącił spod tyłka Ryśka taboret.
Rysiek rymśnął na podłogę.
Tadek chwycił mebel i huknął nim brata w goleń.
Jerzy jęknął i aż przysiadł z bólu.
Dziewczyna zaczęła piszczeć.
Rysiek rzucił się na Jerzego i począł się z nim szarpać.
Tadek zdzielił więc taboretom również Mielnickiego. Po łapach.
Jerzy rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem w poszukiwaniu parabelki, a kiedy dostrzegł, że mierzy do niego dziewczyna w kufajce, wybiegł z mieszkania Edka.
Po chwili rozległ się strzał.

*

– Jaka to wiadomość? – zapytał Paweł.
Prokurator Mielnicki milczał.
– Coś z Ewą? Wie pan, co z moją... żoną? – Paweł po raz pierwszy w ten sposób wyraził się o Mazurkównie.
– Z pana żoną? – Ryszard przybrał oficjalny ton. – Co z nią? – Mielnicki patrzył na braci i po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat przeżywał wydarzenia styczniowej nocy.
Po tym, jak Jerzy uciekł, Luśka postrzeliła się w udo parabelką.
Tadek najpierw opatrzył ranę dziewczyny, a później wybiegł od Edka Łaniewskiego z przekleństwem na ustach: „Kurwa, straciłem brata. Przez ciebie, gnoju”.
– Zniknęła – odpowiedział Paweł. – Moja żona zniknęła. Myślałem, że może pan coś wie. Że pan w tej sprawie.
– Wspominałem, że ja na słówko z szanowną panią Heleną... – Mielnicki mocniej zawiązał szal na szyi. – Ale to innym razem. Jutro przyślę po starszą panią Opolską samochód służbowy. A teraz... Teraz proszę wybaczyć najście. – Gdyby jednak pojawiły się wieści o pańskiej żonie, osobiście poinformuję. – Ukłonił się i wyszedł.
Jerzy siedział jak sparaliżowany. Jak porażony. Jak martwy. Wszystko wróciło wraz z Mielnickim.
Po dwudziestu pięciu latach zamierzał spotkać się z matką, a nie z Ryśkiem, przez którego stracił Filę.
Obiłby mu tłustą głębę drewnianą protezą.

„Nie w urodziny matki”, zganiał siebie. „Jeszcze dorwę sukinkota”.

– Kieliszki w kuchni? – Otrząsnął się wreszcie, wstał z ławy, zgarniając koniak pod pachę.

Musiał się napić.

Tadeusz uczynił gest, jakby chciał zatrzymać brata, ale tylko machnął ręką.

Marzył o podwójnej dawce haloperidolu i o wczasach pod kroplówką w izolatce w Niedorośli.

Jak najszybciej.

Franciszek Mazurek szybkim krokiem zbliżał się do domu na Mickiewicza. Ślizgał się bardziej niż szedł, ale wreszcie zmierzał we właściwym kierunku. Stracił pół godziny, może więcej, na uganianie się za stukniętą sobaką. Łajza, którą zdzielił smyczą po grzbiecie, kiedy tylko pojawiła się po bezpiecznej eskapadzie, szła teraz karnie przy nodze.

– Pan może popchnie?! – Franciszek usłyszał za sobą.

Przy cudacznym samochodzie z chyba otwieranym dachem stał jego właściciel i tupał nogami z zimna.

– Popchnę, czemu nie? – odkrzyknął Mazurek. Zdziwił się, bo poczuł świerzbienie uciętych palców. Ruszył w stronę mężczyzny, którego głos zaskrzypiał jak nieoliwione imadło.

„W taki mróz zamarzają nawet zagraniczne maszyny. Chyba zagraniczne”. Franciszek nie miał pewności. Słabo znał się na samochodach. Tak jak na ludziach. Lepiej rozeznawał się w karawanach i koniach, które woziły trumny po cmentarzu. Na trupach też się znał. Na strojach trupów. Na żałobnikach. I na łzach.

O śmierci wiedział więcej niż o życiu.

Mazurek zbliżył się do mężczyzny.

– Wsiadaj pan za kółko – powiedział – a ja...

Zamigotała uliczna latarnia. W jej blasku zawirowały płatki śniegu. I błysnęła okrągła jak kajzerka twarz czwartego śledczego. Warszawskiego.

Franciszek Mazurek pociągnął nosem.

„Bóg istnieje”, przemknęło mu przez myśl. „A cuda się zdarzają”.

Zdjął z szyi smycz Łajzy. Ścisnął w dłoni z obciętymi palcami.

I zarzucił na szyję oprawcy.

Jerzy wszedł do kuchni. Rozejrzał się. Wciąż ten sam stół. Wciąż te same krzesła. Wciąż ta sama donica z fikusem na oknie. Czy wciąż ten sam fikus? Nie był pewien

Wiedział, że kieliszki do koniaczku znajdzie w kredensie pod ścianą.

„Zawsze tam stały”. Dobrze pamiętał.

Ruszył w stronę mebla.

Minął stół, na którym stała pełna popielniczka, puste opakowanie po damskich oraz czerwone pudełko zapalek z czarnym zegarem: JUBILER. PUNKTUALNOŚĆ OBOWIĄZUJE.

„Zależy kogo”, pomyślał Jerzy.

Przy zlewozmywaku, w rogu kuchni, dostrzegł wysoką rudowłosą kobietę. Pociągała nosem.

Podszedł do niej.

Zauważył, że jej prawa ręka krwawi. Że w zlewie leży stłuczone szkło. Że rana jest głęboka.

Przez moment chciał zawołać Tadeusza, w końcu był medykiem, ale po namyśle wyciągnął z kieszeni spodni bawełnianą chustkę. Zmoczył ją w zimnej wodzie. Odwrócił miedzianowłosą do siebie i przyłożył opatrunek do rany. Otarł dłonią łzy z twarzy kobiety.

– Ty jesteś Baśka? – zapytał.

Potwierdziła.

„Kobieta z klasą”, skonstatował. „Powiniennem się przedstawić”. Ale jako kto? Jako George White, daleki krewny, mąż Rosamund, Polak z brytyjskim obywatelstwem, z nazwiskiem żony i z posadą dyrektora jednego z banków w City? A może jako niemiecki duplikat White’a – Georg Weiß, który posyłał matce pieniądze z berlińskiego konta? A może jako...

– Jerzy. Jestem... – Zamilkł. – Dlaczego płaczesz? Przestań już.

– Godzinę temu zmarła twoja matka.

„Moja matka na mnie czeka”, pomyślała kobieta odziana w pomarańczowy sweter. „Nadeszła pora”.

I stanęła na ośnieżonej balustradzie mostu Wschodniego.

Dorota Gąsiorowska *Obietnica Łucji*



Życie pełne jest zbiegów okoliczności.

Uciekając przed swoją przeszłością, Łucja przypadkowo trafia do Różanego Gaju – uroczego miasteczka ze starym, zniszczonym pałacem. Przypadek sprawia, że zaprzyjaźnia się z młodą, ciężko chorą kobietą i składa jej niezwykłą obietnicę: ma odnaleźć ojca jej córeczki.

Kiedy w zaskakujących okolicznościach poznaje genialnego muzyka i jego zimną, bezduszną partnerkę Adelę, zaczyna dostrzegać, że przypadki odgrywają w jej życiu coraz ważniejszą rolę. A może to wcale nie są zbiegi okoliczności?

Obietnica Łucji to wzruszająca opowieść o nadziei i prawdzie.
Historia o przeznaczeniu, które zawsze chodzi swoimi ścieżkami.

Dorota Gąsiorowska *Marzenie Łucji*



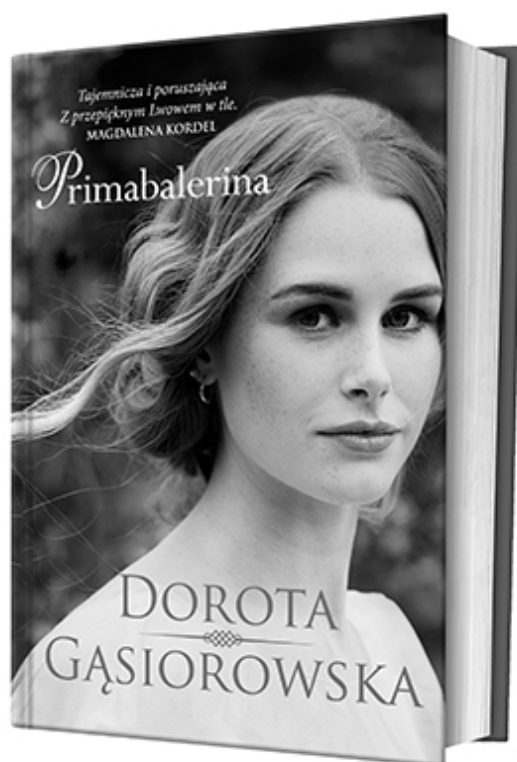
Opowieść o kobiecie, która nie bała się marzyć.

Łucja jest o krok od realizacji swojego największego pragnienia – stworzenia szczęśliwej rodziny u boku Tomasza. Ale marzenia często spełniają się w zupełnie inny sposób, niż się tego spodziewamy. Przedłużająca się rozłąka z ukochanym sprawia, że wizja ślubu rozwiewa się jak mgła. A kiedy w Różanym Gaju pojawia się tajemniczy malarz i proponuje Łucji namalowanie jej portretu – ta przyjmuje propozycję. Między kobietą i artystą tworzy się szczególna relacja, którą coraz trudniej im lekceważyć.

Łucja musi nauczyć się walczyć o swoje marzenia. A jeśli pewne

drogi okażą się nie przebycia – znaleźć w sobie siłę do znalezienia innych ścieżek.

Dorota Gąsiorowska *Primabalerina*



Każdy nowy dzień daje szansę na zmiany.

Kiedy Nina stanęła przed bramą starej lwowskiej kamienicy, nie przypuszczała, że kryje się za nią tajemnica.

Historia słynnej primabaleriny prowadzi ją śladem rodzinnych sekretów, a kresowy Lwów staje się coraz bliższy sercu. Okazuje się, że Nina może tu odnaleźć klucz do własnej przeszłości.

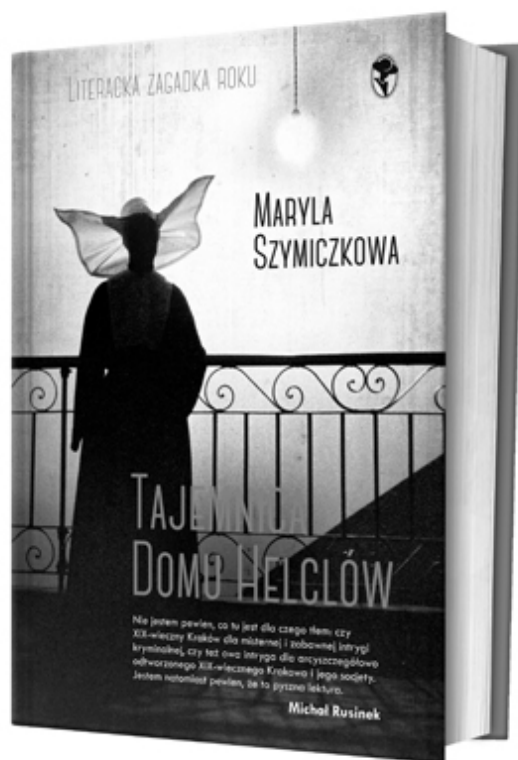
Ale przyszłość też nigdy nie jest taka, jak się spodziewamy.

Kiedy Nina przypadkowo spotkała Michała, oboje poczuli, że łączy ich coś szczególnego.

Czy w powodzi emocji rozpozna to jedno jedyne prawdziwe uczucie? Czy zdoła zawalczyć o szczęście, które czasem bywa kruche jak

porcelanowa figurka baletnicy?

Maryla Szymiczka *Tajemnica Domu Helclów*



Profesorowa Szczupaczyńska ma tysiąc spraw na głowie. Musi pamiętać o pulardzie na obiad, nie zapomnieć o kupieniu wina przeciwko cholercie, sprawdzić, czy nowa służąca dobrze wyczyściła srebra. I jednocześnie potwornie się nudzi. Kraków w 1893 roku nie obfituje w atrakcje.

Kiedy więc przypadkiem dowiaduje się, że w słynnym Domu Helclów zaginęła jedna z pensjonariuszek, zaczyna działać. Z wrodzoną dociekliwością – niektórzy mogliby ją nazwać wścibstwem – rozpoczyna śledztwo.

Marylę Szymiczkową powołali do życia literaci:

Jacek Dehnel (ur. 1980) – pisarz, poeta, tłumacz. Prowadzi bloga poświęconego międzywojennemu tabloidowi kryminalnemu „Tajny

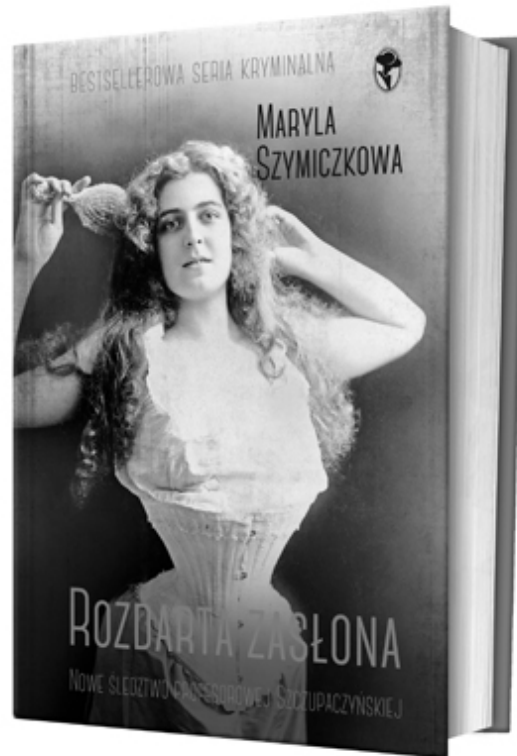
Detektyw”.

Piotr Tarczyński (ur. 1983) – tłumacz, historyk, amerykanista. Krakus od pokoleń, od dziesięciu lat na emigracji w Warszawie.

Maryla Szymiczkowa

Rozdarta zasłona

Kolejne śledztwo profesorowej Szczupaczyńskiej.



Pod willą Rożnowskich wielkie zbiegowisko – Wisła wyrzuciła na brzeg zwłoki młodej dziewczyny.

W domu profesorostwa Szczupaczyńskich nie mniejsza tragedia: Karolcia – dopiero co przyuczona do służby – niespodziewanie złożyła wymówienie.

A tu zbliża się Wielkanoc i Zofia Szczupaczyńska musi zająć się całym domem, mając do dyspozycji zaledwie jedną służącą! Wie jednak, że jej obywatelskim obowiązkiem jest pomóc w znalezieniu sprawcy morderstwa nad Wisłą. Nawet jeśli będzie zmuszona złamać

większość zasad statecznej matrony. Czy uda jej się zedrzeć zasłonę skrywającą mroczne oblicze Krakowa 1895 roku?

Copyright © by Ewa Madeyska
by arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografia na okładce
Copyright © Sieboldianus/E+/Getty Images

Redakcja
Marianna Sokołowska

Opieka redakcyjna
Agata Pieniążek

Korekta
cała jaskrawość, www.calajaskrawosc.pl

ISBN 978-83-240-3854-1

znak *litera
nova*

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki
37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

Table of Contents

Karta tytułowa

PIERWSZY - 22 marca 1968(piątek)

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

DRUGI - 6 kwietnia 1968(sobota)

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

TRZECI - 14–15 lipca 1968(niedziela–poniedziałek)

1.

2.

3.

4.

5.

6.

CZWARTY - 8 października 1968(wtorek)

1.

2.

3.

4.

PIĄTY - 1–2 stycznia 1969(środa–czwartek)

1.

2.

3.

4.

Polecamy.

Karta redakcyjna